

Alan Hollinghurst

Spadająca gwiazda

Przełożyła Magda Białoń-Chalecka

Tytuł oryginału The Folding Star

Muzeum

1

Na wąskiej wysepce przystanku jakiś mężczyzna czekał na tramwaj. Niepewnym głosem zapytałem go o rozkład jazdy. Wytłumaczył mi wszystko uprzejmie, dokładnie, jakby był tym bardzo zainteresowany; lecz do mnie nic nie dotarło. Zauroczyły mnie jego szare oczy, niepotrzebny uśmiech, plamki białej farby na nosie i ciemnoblond włosach. Skinąłem głową i uśmiechnąłem się do niego, a on, trzymając ręce w kieszeniach i patrząc w głąb pustej ulicy, pogrążył się w zadumie. Postanowiłem, że za nim pójdę.

Tramwaj podjechał bezszelestnie, już z włączonymi światłami, choć niebo było jeszcze jasne: numer 3, okólny. Wgramoliliśmy się razem po schodkach i poprosiłem go o pomoc przy kasowniku, który zadzwonił, jakbym zdobył główną wygraną. Chłopak wsunął się na siedzenie za mną i czułem jego obojętną obecność, kiedy toczyliśmy się od przystanku do przystanku mijając kościoły i kanały; zaczął gwizdać jakąś melodyjkę i jego oddech poruszył włosy na moim karku. Pomyślałem: oto wieczorne rytuały, które wkrótce będą również moimi, przystanek na nieznanym przedmieściu lub jakiś bar, lub kochanek. Odwróciłem się, by zadać mu następne pytanie, które we mnie dojrzało, ale zrobiłem to akurat w chwili, gdy zdawało się, iż brakło prądu i tramwaj stanął. Na chłopaka czekała młoda kobieta paląca papierosa. Ujrawszy go z zadowoleniem pomachała dłonią. Mój przyjaciel wyskoczył na chodnik i pokłusował trzymając ją pod rękę, podczas gdy drzwi

zamknęły się z westchnieniem.

Pojechałem dalej, za place targowe, prawie na nic nie zwracając uwagi, rozmyślając nad tym, czego ja się właściwie spodziewałem. Przez dwa czy trzy przystanki miałem cały wagon tylko dla siebie; wyczułem niepokój motorniczego, więc niewzruszenie gapiłem się przez okno na monotonną okolicę, przez którą przejeżdżaliśmy; wtem wpadłem w paniczny popłoch i naciśnąłem guzik dzwonka. Kiedy tramwaj odjechał i znalazłem się zupełnie sam, uświadomiłem sobie nagle, co nie zdarzyło mi się ani na dworcu, ani w hotelu, że przybyłem do obcego miasta w obcym kraju. Coś we mnie aż skurczyło się na myśl o zwykłej zmianie miejsca.

Nie było nikogo innego na ulicy prowadzącej do kościoła, nikogo na obskurnym placu, nad którym górowała jego wieża. Św. Vaast: brzydki, stary kadłub z doczepioną kruchta, różnymi zawijasami i odpadającą, poźółkłą sztukaterią, z poobtykanym ptasimi gniazdami frontonem powyżej. Był oczywiście zamknięty: żadnego zapóźnionego świątefka migoczącego w oknie zakrystii - żadnego chóru spotykającego się po pracy, by ćwiczyć Te Deum we własnej aranżacji dyrygenta czy pełne gróźb flamandzkie motety. Zadrzałem i ruszyłem dalej.

Po drugiej stronie placu widniała aleja prowadząca w jeszcze bardziej niegościnnie tereny. Kiedy się zbliżyłem, uliczne lampy zamigotały na różowo i była to jedyna reakcja otoczenia na moją obecność. Wznoszące się tu budynki wyglądały majestatycznie, niczym kina z pogaszonymi światłami. Najniższe okna zabito deskami i oklejono plakatami reklamującymi grupy rockowe i mdłe uśmiechy polityków, którzy startowali w zeszłorocznych wyborach. Nazwy gazet, drukarni, firm inżynierskich wykonane pełnym nadziei gotyckim pismem nadal były widoczne nad zamkniętymi na kłódkę kratami w drzwiach wejściowych. Odnosiło się wrażenie, że prowadzono tu kakofoniczny, całonocny interes, i że miasto z niewzruszoną wrogością wybrało odpowiedni moment, uciszyło go i przywróciło własny martwy spokój. Przy końcu ulicy zauważyłem długą, wulgarną fasadę hotelu „Pielgrzym i Komiwojażer”, nadal opatrzoną mosiężną barierką przy drzwiach

wejściowych oraz czerwono-niebieskimi znaczkami klubów automobilowych. Wszedłem po schodach otoczony tłumem duchów i spojrzałem przez okazałe przeszklone drzwi na pół akra niknącego w ciemności błota i gruzu.

Siedziałem w dosyć tłoczonym barze, z powrotem w centrum miasta. Wypiłem parę drinków i znów wróciła mi świadomość własnych możliwości wraz z poczuciem usprawiedliwionej zwłoki - dopiero co przyjechałem, mam jeszcze czas na wszystko. Patrzyłem przez dym z papierosa w miedziany półmrok na różnych nieznanym, niektórych gawędzących, innych obejmujących się, jeszcze innych beztrosko samotnych. Bar nazywał się „Kaseta”. Wyobraziłem go sobie za miesiąc lub dwa, kiedy stępi się pierwsze wrażenie na widok mosiężnych kranów, okien z butelkowego szkła i małych, lakierowanych boksów, a sposób bycia obu barmanów, jednego milkliwego, drugiego wylewnego, stanie się dla mnie rzeczą najzupetniej naturalną. Uśmiechnąłem się do własnych przewidywań, pogodzony ze zmianą, gotów na miłość, odnalazłszy się w rytmie tego typowego wieczora w dziwacznym pseudo-tudorowskim wnętrzu jedyne w mieście baru dla gejów.

Pomyślałem, że może powinienem pójść coś zjeść, ale najpierw zamówiłem kolejne piwo. Wchodziły łatwo i były lekkie - mogłeś ich wypić, ile chciałeś. Przeciągnąłem się i przyznałem, że jestem bardzo zmęczony. Wstałem o świcie, żeby wyjechać. Matka pomagała mi bez słowa, a gdy odwoziła mnie na pociąg do Dover, nie potrafiła ukryć niepokoju i smutku. Było mi jej żal, ale też czułem się utwierdzony w słuszności tego, co robię. Nie potrafiłem jej nic wyjaśnić, mimo że właśnie wyjaśnień potrzebowała. Niechętnie mamrotałem coś o tym, że czas ucieka, że praca za granicą jest tylko doraźna; ale ani słowa o mrocznym wrażeniu, że przekroczyłem już zewnętrzną granicę młodości i spoglądam za siebie na tych, którzy są prawdziwie młodzi z niepożądanym pragnieniem i żalem.

Tuż naprzeciw mnie siedział chłopiec z gęstymi jasnymi włosami i długą, dosyć nadętą twarzą - zapewne lokalny typ urody. Zauważyłem, że towarzyszący mu starszy facet niemalże nie może uwierzyć w swoje szczęście i czepia się go z niezręczną determinacją,

choć sam chłopak zdawał się swobodnie przyjmować jego częste umizgi. Od czasu do czasu napotykałem spojrzenie chłopca, który rozmawiał dalej, jakby mnie nie widział. Przyłapałem się na bezsensownych marzeniach o naszym wspólnym życiu.

Przystanął koło mnie ubrany w garnitur mężczyzna w średnim wieku i zaczął opowiadać o swoich sukcesach zawodowych; zachowywałem się uprzejmie jak zawsze, ale prawdopodobnie mógł wyczuć, że uważam, iż coś tu jest nie tak. Sporo się rozglądał i chciał, żebym potakiwał jego opiniom na temat zebranych w lokalu ludzi; kilkakrotnie cofał się stając na drodze dzieciakom idącym do kibla, po czym zamieniał swoje przeprosiny w pospieszne objęcie w pól. Seks zdecydowanie stał na samym czele listy jego codziennych potrzeb, ale w dziwnie niepoehlebny sposób ja sam nie posiadałem dla niego żadnej wartości erotycznej. Zapytał, czy mam jakiś numer kontaktowy. Odpowiedziałem, że nie, i zacząłem się zastanawiać, z czym ten numer mógłby mnie skontaktować. Nie mogłem mu wyjaśnić mojego osobliwego umiarkowania seksualnego w ciągu paru ostatnich lat, nekanej fantazjami wstrzemięźliwości, rzadko rozsianych dawek intensywnych, lecz anonimowych rozkoszy; sam nie wiedziałem, jak do tego doszło. Nie byłem też pewien, czy mogę się wiele spodziewać po moim hotelu, „Mykonosie”, który ogłaszał się w angielskiej prasie dla gejów. Kiedy się meldowałem, wydał mi się zwykłą, duszną norą, z maleńkim opustoszałym hallem przesyconym kwaśnym zapachem.

Mężczyzna przy drugim końcu baru, koło drzwi, posłał mi szybki i sceptyczny uśmiech, odwrócił wzrok i znów na mnie spojrzał. Przystanąłem przy nim, żeby się jeszcze napić i zaproponowałem mu drinka, przez chwilę z zakłopotaniem wpatrując się w należący do mnie zwitek banknotów o wysokich nominałach z wizerunkami obcych mi twórców historii belgijskiej. Było coś groźnego w moim rozmówcy. Jego przystojna twarz o mocno zarysowanej szczęce z kropelką śliny w kąciu ust sugerowała jakieś nieokreślone wyzwanie. Mógłby być żołnierzem po służbie, zdenerwowanym i samotnym, liczącym na swoją mocną sylwetkę i krótko ostrzyżoną głowę. Z pożądania poczułem jakby palącą dziurę w żołądku, ale on nie dał po sobie poznać, że czuje cokolwiek. Staliśmy blisko siebie, obaj patrząc

również poza plecy tego drugiego, tak że widziałem go na tle przechodzących mężczyzn, ramienia wokół czyjejś talii, palców lekko dotykających policzka. Gburowaty barman, w kolczykach i bransoletach, nalał piwo i burknął coś do mojego przyjaciela, którego obserwowałem udając, że nie słucham, o czym rozmawiają. Chłopak wyciągnął rękę po szklankę i dostrzegłem wytatuowane na jego czterech palcach litery: R, Ó, Ż, A.

Był cichy, spięty i nie okazywał zbytniego zainteresowania rozmową ze mną. Czułem, że szuka czegoś, na czym mógłby zogniskować uwagę w tłumie za moimi plecami; albo też wpatrywał się w szklankę przytłoczony jakimś gorzkim wspomnieniem. Zapytałem, czy służył w marynarce wojennej, a on machnął lekceważąco swoją napiętnowaną dłoń, nie mówiąc tak ani nie. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego zawracam sobie nim głowę. Wtedy z nieznacznym uśmiechem, który pozwolił mi myśleć, że to tylko nieśmiałość, że czułość, jakiej szuka, nie obywa się bez uszczerbku dla jego dumy, zaproponował:

- Powiedz mi, co robisz.

Powiedziałem mu, że jestem nauczycielem, przyjechałem tu uczyć paru chłopców angielskiego.

Nie zadrzał z emocji, to robiło wrażenie tylko na tych, którzy lubią, gdy się ich uczy: dostrzegłem w jego wzroku coś na kształt podejrzliwości, jakby nie oddał mi eseju na czas.

- Zatem pochodzisz z Londynu?

- Trochę bardziej na południe. Na pewno nie słyszałeś o tym miejscu. Nazywa się Rough Common.

- Co cię przyniosło aż tutaj, na litość boską?

Właściwie powinienem był przewidzieć, że najtrudniejsze pytania będą zadawane w taki niedbały i obojętny sposób. Po raz kolejny poczułem, że moje pobudki są zbyt subtelne, by je wyjaśniać. Miały coś wspólnego z dorastaniem w domu śpiewaka przy codziennym akompaniamencie sztuki i z tym starym miasteczkiem słynącym ze swojej muzyki i malarstwa; nie potrafiłem jeszcze sam przed sobą przyznać się do niepewności, jaką budzi we mnie jego martwota, atmosfera zamkniętego muzeum, świadomość, że to, co się tu działo,

miało miejsce całe wieki temu. Odrzekłem: - Chciałem odświeżyć swój holenderski. Rodzina mojej matki pochodzi z Holandii, uczyłem się go w szkole. Chyba jest tak, że studiujemy pewne rzeczy, a potem znajdujemy dla nich zastosowanie. - Przez ostatni miesiąc powtarzania lekcji pod nosem wyobrażałem sobie przebiegające dużo płynniej konwersacje, w których radosne przykłady z podręcznika do gramatyki pozwalały na namiętne wyznania.

Zaczął robić aluzje do pieniędzy, które miałem, więc przerwałem mu: - Ależ to wszystko, co posiadam, jestem makabrycznie biedny! - Poklepałem zwitek banknotów spoczywający w zapiętej kieszeni kurtki, a chłopak spojrzał na mnie z przyjaznym powątpiewaniem, mówiąc, że on wie o czekach podróżnych ukrytych wśród koszul w hotelowej komodzie i o moim solidnym pochodzeniu, i że nigdy nie brakuje mi gotówki. W końcu zszokowany w nieco burżuazyjny sposób, odczytałem przesłanie w jego oczach o źrenicach zwężonych tak, że wyglądały jak czarne główki szpilek. Nie wiedziałem, czy poruszać ten temat czy nie, w ogóle nie byłem pewien, czy mam rację. Narkotyki przerażały mnie i budziły bezradne pragnienie niesienia pomocy.

Postawiłem dwie następne kolejki - nie mogłem udawać, że mnie na to nie stać; przyjął je z lekkim rozdrażnieniem, jakby konieczność podziękowania mi oznaczała przyznanie się do braku niezależności. Byłem w pewnym sensie ofiarą naciągacza, kimś, kto go nie znał, świetnym frajerem pierwszej nocy spowodowanego kaprysem wygnania, pijanym i spragnionym kontaktu. Od czasu do czasu drapał się po piersi paznokciem kciuka, a cichy trzask włosów pod bawełnianą koszulką poło przywoływał przed moje oczy wizję całego jego ciała, tak żywą, jakby opierał się obok mnie nagi.

Poczęstowałem go papierosem, ale pogardliwie potrząsnął głową. - Muszę odebrać trochę kasy - odezwał się nie patrząc na mnie, udając, że przyjął moją deklarację ubóstwa. Uświadomiłem sobie, że to już koniec, nie nadaję się dla niego; nawet nie powiedział mi, jak ma na imię. W myślach nazywałem go po prostu Różą. Różą o cyckach jak pączki róż! Uznałem, że nie warto wyjaśniać literackiego żartu. Wymamrotałem: - Czym się zajmujesz?

Milczał, co zapewne uznałbym za próżność, gdybym nie wyczuł jego desperacji.

- Brudnymi sprawami - odrzekł w końcu zdecydowanie, ale nie zamierzał zdradzić żadnych szczegółów. A potem, z nieprzekonywającym zainteresowaniem: - I kogo będziesz uczył angielskiego?

- Na początek dwóch chłopców.

- Tylko dwóch.

- To dosyć trudni chłopcy. - Skinął głową. - Mieli jakieś kłopoty - zapewniłem go. -

Starszy wygląda bardzo seksownie.

Róża parsknął lekko.

- Powinienem się domyślić, że to takie sztuczki.

- Nie, nie. Mogę ci udowodnić, jeśli chcesz. - Była to prawda, nosiłem przy sobie jego list, jak pamiątkę po kochanku, którego miałem może jeszcze spotkać. Wyjąłem kopertę z wewnętrznej kieszeni i wyciągnąłem złożoną kartkę z przyczepionym zdjęciem z pięciominutowki - Luc Altidore, 17, zainteresowania: historia, sztuka. Rozłożyłem ją na wilgotnym kontuarze, pokazując z lekkim niepokojem Różę, jakbym poszukiwał tego chłopca i uważał, że może on go rozpoznać i wskaże mi ślad. Na pewno nikt nie mógłby zapomnieć tej bladej maski z dużymi, wyschniętymi ustami, włosami opadającymi na czoło i buntowniczą pustką oczu w błysku flesza, jakby nie zgadzał się na swoją urodę. Przypomniałem sobie niewyraźnie, że uczyłem go już w snach, przeżyłem powoli spalające się godziny nauki twarzą w twarz z nim.

Stałem się mniej sympatyczny dla mego towarzysza, jakbym już zdobył władzę nad tym dzieciakiem dzięki nieczystym perswazjom literatury.

- Możliwe, że będę musiał robić też inne rzeczy - powiedziałem.

- Potrzebuję gotówki. Poza tym, nie chcę czytać książek całymi dniami. - Pogłaskałem go po przedramieniu i poczułem, jak drży zmuszając się, by nie cofnąć ręki.

- Dlaczego nie?

Zawahałem się. - Książki to kupa śmieci.

- Mylisz się - rzucił zawzięcie. - Masz szczęście. Jesteś nauczycielem. Książki to

twoje życie. - I odszedł ode mnie, zostawiając mi jedynie intymną i samotną satysfakcję z cytatu, który być może popierał jego ostatnie stwierdzenie.

Po powrocie z ubikacji zobaczyłem go kierującego się do wyjścia, obejmującego ramieniem tego nudziarza w garniturze, od którego uciekłem wcześniej. Koleżka miał zaróżowioną twarz i skonsternowaną minę, zaskoczony zbyt nagłym przyływem szczęścia.

W surowym Muzeum Miejskim poderwałem Cherifa, Marokańczyka, ale urodzonego w Paryżu i nie obrzezanego. Czułem się odrobinę zbity z tropu wśród tych sterylnych północnych bogobożnych patronów i zapatrzonych w siebie Dziewic - żadne z nich nie witało widza ani nie oddawało mu spojrzenia, jak to często robią ciemnoocy włoscy bogowie i święci. Może to absurd, ale potrzebowałem pozdrowienia, nawet z odległości pięciu setek lat. Tutaj wszyscy patrzyli w dół lub w bok, w pozach pełnej przygany niewinności. Zbożne, niepochlebne portrety możnych w czapach i kwefach także były dumnie wstrzemięźliwe. Przyciągały pełną respektu ciżbę niedzielnych par w szeleszczących płaszczach przeciwdeszczowych (dzień zaczął się niepewnie).

Jednakże nie były one w guście Cherifa. Szwendał się po muzeum, potrząsając głową i drapiąc się w jaja przed rajsko-piekielnym Boschem. Później wyznał mi, że już przedtem polował tam na facetów: nie wiedział wiele o malarstwie, ale wiedział, że gdy nadchodzi czas muzeum, w samotnych ludziach budzi się głęboka potrzeba, wręcz przymus, by obcować ze sztuką, z odbiciami w szybach osłaniających jakieś mroczne, dawne męczeństwo, by swobodnie mitrzyć czas i krytykować, poddać się rytmowi pogoni z sali do sali... Podszedłem do niego i na zmianę pokazywaliśmy sobie co ohydniejsze mutacje w Ogrodzie Rozkoszy: damę z tyłkiem świni, dżentelmena ślimaka, dziwkę z kleszczami homara. Mój przyjaciel zsunął na tył głowy stateczną tweedową czapkę, przy której jego ciemna twarz i matowe czarne loki wydawały się wzruszająco nie na miejscu, po czym uśmiechnął się do mnie w sposób nie przesłonięty chmurami pytań historycznych.

Przewędrowaliśmy wzdłuż cierpkich kazań martwych natur (mucha na cytrynie, czyli przemijająca obfitość), przez hall do opustoszałych galerii, gdzie wisały późniejsze dzieła:

woskowane historyczne tableaux, brunatne wiejskie sceny, fiołkowo-fosforyzujące zmierzchy, Sfinksy i Ateny lokalnych symbolistów. I był tam jeden obraz, który naprawdę przesyłał skłopotane pozdrowienie - kobieta z rozczochranymi rudymi włosami, w rubinowych kolczykach, z obnażoną jedną piersią: nachyliłem się, by przeczytać wydrukowany podpis: Edgar Orst, Jadis Herodias, quoi encore? Babo-chołpowatej strażniczce z identyfikatorem, kroczącej z pomieszczenia do pomieszczenia, żeby mieć nas na oku, musieliśmy się wydać parą zmęczonych swoim towarzystwem ludzi, zabijających czas, łudzących się, że sztuka pomoże im przetrwać deszczową niedzielę, ale w efekcie znudzonych malarstwem, tak jak i ona. Cherif pochwycił moje spojrzenie i przełknąłem ślinę na myśl o sekretnej pewności naszych zamiarów.

Nawet w „Mykonosie”, pomyślałem, Cherif w swojej brązowej skórzanej kurtce i roboczych buciorach może wydać się zbyt nieokrzesany i swawolny, aby go wpuszczono. Lecz był to tylko brytyjski klasowy pudeur - recepcjonista spokojnie kiwnął do niego głową wręczając klucz. (Pomyślałem sobie potem, że może Cherif już przedtem był tu stałym klientem; i czyż nie było pewnej przebiegłości i zimnej krwi w samym urzędniku, podwajającym i potrajającym się jako barman i sprzątaczkę odkurzającą salę telewizyjną?)

Ledwie zamknąłem drzwi, Cherif zabrał się do mnie, gryząc moje usta i wypychając je językiem, pospiesznie zdzierając mi okulary ukosem przez czubek głowy. Był zwierzęciem, doprawdy wspaniała sprawa, jeśli jest nim ktoś inny. Sekundę czy dwie później jedną ręką przesunął w górę i w dół mojego tyłka, a drugą kierował mnie, bym ujął jego ptaka, twardo sterczącego pod kątem w starych, luźnych dżinsach.

W drodze z muzeum przechodziliśmy przez most nad łabędziami i nad pustym stateczkiem turystycznym z komentarzem grzmiącym mimo braku klientów, a Cherif nagle wyciągnął dłoń, na której leżała mała paczuszka z odcisniętym okrągłym konturem zwiniętej gumy. Nie miałem nic przeciwko takiemu bezsłowemu potwierdzeniu, lecz odwróciłem głowę, zbyt przepełniony uczuciami do tego chłopca, który został moim przyjacielem dopiero dwadzieścia minut temu i nic do mnie nie czuł, ale był tak bez wahania sobą, z niewielką

nadwagą oraz zacienioną zarostem górną wargą i podbródkiem. Teraz siedział na moich kolanach, ujeżdżając mnie z jakąś natarczywą obojętnością - przesunąłem dłońmi po jego lśniących i ufnych plecach, sięgnąłem do ramion, na których wyrobione przez pracę mięśnie napinały się i rozluźniały. Byłem zadowolony, że nie może mnie widzieć, z rozdziawionymi ustami i sercem ciężkim od uznania dla niego.

Znajdowaliśmy się na brzegu łóżka, więc objąłem go mocno i popatrzyłem mu przez ramię w lustro na drzwiach. Nasze spojrzenia spotkały się, lecz jego speszyła taka poufałość. Potem, gdy miałem już kończyć, zeskoczył ze mnie i stanął na podłodze. Ja również się starabaniłem, przez chwilę zaskoczony własnym odbiciem w lustrze, jakbym bez okularów musiał na nowo skupić obraz mrużąc oczy albo jakby szósty zmysł ujawnił twarz w mojej twarzy, upiorne rysy uchwycone w srebrnej powierzchni zwierciadła. Cherif zrobił pół kroku w przód i oparł się o szybę rozcapierzonymi dłońmi. Wydobyła się z niej, czy też może z przestrzeni za nią, sekwencja dźwięków; a potem przez kilka sekund patrzyliśmy, jak się dematerializujemy i ukazuje się wewnętrzna perspektywa - pokój z zamkniętymi okiennicami i stertami krzesel, oświetlony z boku otwierającymi się i zamykającymi drzwiami. Cherif wzdychał i śmiał się cicho, a potem usiadł znowu na łóżku, podczas gdy ja podskakując i drepcząc w miejscu naciągałem spodnie.

Odkrywałem miasto dosyć szybko i niecierpliwie, odwołując się do mapy, która pomijała boczne uliczki i aleje, za to słynne budowle przedstawiała na dziecienną modłę za pomocą nieproporcjonalnie wielkich obrazków. Dzięki temu w poetycki sposób przekazywała mi wizję miasta taką, jaką mógłby inżynier z piętnastego wieku, specjalista od grobli i wałów, zaproponować rządzącemu hrabiemu: oprawiony opal pożytkowany drogami wodnymi i zawieszony na szerokiej wstędze kanału morskiego. Park przemysłowy, powojenne dzielnice dla biedoty, zrujnowane przedmieścia z wędrówek podczas mojej pierwszej nocy pobytu tutaj, ukazane były jako pola, potwierdzając wrażenie, które odnosiłem na każdym rogu - że całe miasto pragnie przedstawiać się jak impresja artysty.

Nie było ono duże, a jego wspaniałe monumenty, podobnie jak zwieńczone wieżyczkami elewacje rozpychające się na mapie, rozmiarami absolutnie nie pasowały do ulic, podwórek i kanałów pod nimi. Spiczasty, pozbawiony okien monolit wieży św. Jana i brzydkie zielone wieżyczki, którymi budowniczy z początku stulecia udekorował wiekową wieżę Katedry, stanowiły zaledwie satelity dla legendarnej wyniosłości Dzwonnicy. Z daleka, z Ostendy, gdyby usunąć dźwigi i obrzeża miasta, te trzy budowle na równinie wyglądałyby jak tajemnicza trójca, z Dzwonnicy, wiek po wieku wyrastającą kolejnym zwieńczonym blankami piętnem w stronę ośmiokątnej korony, najwytrwalej ze wszystkich szturmującej niebios.

Tego dnia niebo wisało nisko, a powietrze było bagniste i wilgotne, gdy idąc przez Grote Markt ujrzałem, jak maestro słynnego carillonu - młody człowiek z brodą w kształcie łopaty, w sztruksowej kurcie i pumpach do kolan, jak postać z pociesznego flamandzkiego zegara - otwiera bramę i zaczyna wspinaczkę po dwustu stopniach do swojej konsoli w chmurach. Nawet na Grote Markt, pod schodkowatymi szczytami dachów najlepszych restauracji i połączanymi aniołami, które przystanęły na szczycie Ratusza i uniosły swe trąby wysoko nad postojami taksówek i przystankami autobusowymi, nie działo się zupełnie nic. Kilku turystów wyszło spod przeszklonej arkady biura podróży, ale wakacje szkolne dobiegały już końca i wśród zwiedzających były same żądne wiedzy małżeństwa. Kilka kobiet taszczących torby pełne zakupów wgramoliło się do dwóch czekających autobusów z nazwami pobliskich wiosek. Czasami przejechał cichy tramwaj. Tak wyglądały dnie i tygodnie uroczystego placu. Wtem kuranty wydzwoniły swoją martwą interpretację ludowej pieśni czy może hymnu.

Najbardziej wyzywająca była cisza, która zapadła potem. Kiedy wędrowałem z listą adresów, bezruch miasta stopił się z moim nowo nabytym przecuciem, że jestem śledzony, że coś się czai w przedpołudniowej pustce. Z uczuciem ulgi powróciłem na te dwie czy trzy ulice obrzeżone normalnymi sklepami, czerwonymi neonami ze specjalnymi ofertami kiełbasek lub kawy, magazynami odzieżowymi lub papierniczymi pełnymi radosnych

koszulek, tornistrów i kolorowych piór na rentree . A wśród czerwono noszących breughelowskich chłopców z rowerami byli też inni, wyglądający na znudzonych, stylowych i godnych pożądaną. Poczułem zdziwienie, że tacy też tu mieszkają.

W sumie obejrzałem pięć pokoi, ale wyboru dokonałem bez wahania. Pozostałe stanowiły wielkie zbiorniki samotności lub zbyt były naszpikowane i przytłamszone nakazami i zakazami dla kogoś, kto wreszcie opuścił dom rodzinny. Przeraziłem się, że mógłbym tam leżeć, nie mogąc zapalić papierosa, słuchając, jak gdzieś nade mną napełnia się zbiornik na wodę. Zazwyczaj to gospodyni, rozgadana acz wykrętna, otwierała drzwi i prowadziła mnie na górę, obserwując z oburzeniem, jak sprawdzam łóżko lub otwieram którąś z wiszących szafek. W dwóch domach inni bladzi lokatorzy zostali przyłapani w drodze z sypialni do ubikacji i otrzymali ostrzeżenie. Nie bardzo wyobrażałem sobie Cherifa jako mile widzianego gościa w takim miejscu, ani też romansu mojego nowego życia rozkwitającego pod podobnym nadzorem.

Pokój, który wybrałem, był tak ustronny, że poczułem jakbym wkraczał, z nagłością charakterystyczną dla snów, w sekretne, wewnętrzne życie miasta. Od strony ulicy znajdowało się domostwo doktora, nagie i białe, z mosiężną tabliczką wypolerowaną nieomalże do gładkości. Z boku zamknięte furtką przejście prowadziło na płytkie podwórko: tył rezydencji doktora wychodził na rząd o wiele starszych zabudowań - z szorstkiej, różowej cegły, ze stromymi dachami, wysokimi drzwiami i kołowrotami na służących za magazyny strychach. Jak maleńkie kolegium w Cambridge, budynek ten miał dwie klatki schodowe, po jednej na każdym końcu, prowadzące do nie używanych warsztatów, składzików i dwóch mieszkańek do wynajęcia na drugim piętrze. Jedno zajęte już jakieś dziewczuchy z Hiszpanii; drugie, tanie, lecz prymitywne, należało do mnie; stary lekarz (który nadal przyjmował paru pacjentów) powiedział po francusku, że bardzo go cieszy, iż gości u siebie Anglika.

Wzdłuż całej jednej ściany pokoju biegły niebywale głębokie szafki, każda opatrzona emaliowanym numerem i zamykającymi się z hukiem drzwiczkami. Zająć je wszystkie mogłem tylko wkładając do jednej majtki, do drugiej buty, a swetry do trzeciej; gdy

otworzyło się numer czwarty, ukazywała się moja skórzana kurtka niby historyczna szata w katedralnym skarbcu oflankowana monstrancjami specjalnych flaszek i słoików. Każdą półkę pokrywały stare gazety pieczołowicie umocowane pinezkami. Przechyliłem głowę na bok, by przyjrzeć się posrebrzonym przez czas wiadomościom sportowym i antycznym wynikom wyścigów samochodowych. Ściana naprzeciwko drzwi była po prostu drewnianym przepierzeniem, pooranym dziurami oraz główkami wbitych w nie gwoździ, co skłoniło mnie do zastanowienia, co też tu składowano, jaką pracę tu wykonywano i kiedy się ona zakończyła. Otoczenie wyglądało zachęcająco dla moich planów, czyli pisania, któremu zamierzałem znowu się oddać. Przepierzenie wydzielało miejsce do spania, zatkanie wysokim, żelaznym łóżem, z łatwością mogącym pomieścić trzy osoby. Na zewnątrz, u szczytu schodów, znajdowała się mała łazienka, ze zlewem i fragmentem lustra oraz szczątkowym prysznicem, który ciekł pozostawiając rdzawą plamę.

Kiedy tylko zostałem sam, wyjąłem moje słowniki, angielski, francuski oraz holenderski, a także notatniki i atramenty; sprawdziłem naczynia - wszystkiego po dwie sztuki, co wydało mi się kolejnym dobrym znakiem - i włączyłem trzeszczącą maszynkę elektryczną. Wytłumaczyłem sobie, że brak ogrzewania nie ma znaczenia - był tu tylko mały wentylator, który huczał i pożerał prąd. Gdy opadłem na łóżko, rozległo się brzęczenie jego obluzowanych kwiatonów.

We frontowej ścianie głównego pokoju znajdowało się mansardowe okienko oprawione w ołów wychodzące na podwórko i na zamknięte okiennice drugiego piętra domu doktora; za to z tyłu było wielkie okno otwierane pionowo. Wychodziło na zachód, na popękaną absydę kościoła św. Narcyza; na mapie rysunek tej pojedynczej ceglanej baszty i spiczastej latarni przesłaniał mój dom i leżący poniżej ogród. Dźwignąłem ciężką ramę okienną i zapatrzyłem się w ciszę liściastej przestrzeni. Na lewo widniała zarośnięta bluszczem tylna ślepa ściana kina, a na prawo kanał, w którym odbijała się butwiejąca śluza i wysokie, opatrzone kratami okna zabytkowego budynku, mieszczącego zapewne jakąś instytucję. Sam ogród nie był cmentarzem, mimo że przylegał do kościoła, a ktoś wyciął

olchę tuż przy ziemi i wytruł pnącza, które nadal pokrywały czernią zapadniętą w ziemię przybudówkę lub może kotłownię. Trudno było wyobrazić sobie, kto to mógł zrobić - zdawało się, że do ogrodu nie prowadzi żadna brama, a tam, gdzie kanał przylegał do kościelnego muru, dostrzegłem tylko wachlarzowato ułożone poczerńiałe pręty. Między drzewami owocowymi leżała skoszona trawa. Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem błękitną wstęgę papieru toaletowego rzuconego z wysoka i zaczepionego między konarami. I było tam coś jeszcze, czego nie widziałem dokładnie, mała kamienna figura - pustelnik czy święty, satyr lub może kupidyn - przesłonięta liśćmi i stojąca po kostki w sianie. Chciałem zejść na dół, ale po chwili poczułem, że chyba wolę, by miejsce to nigdy nie było odwiedzane. Jego piękno zasadało się nie w nim samym, lecz w jego osamotnieniu, jak to dzieje się z każdym punktem w środku miasta otoczonym wysokim murem - ogrodem starej głuchej wdowy czy zamkniętym na kłódkę cmentarzem Żydów lub trynitarzy.

Zatrzymałem się w połowie schodów, usłyszawszy echo wcześniejsze nawet niż Cambridge i moja niezależność. Wieża kościelna gdzieś w Kencie, otwarte wąskie drzwiczki: trwa próba, część festiwalu, mój ojciec śpiewa. Jestem małym chłopcem, gramolę się wśród gratów nagromadzonych przez kościelnego i sprzątaczkę u stóp spiralnych schodów, wśród ścierek i mioteł, zwiniętych sztandarów, wyrzuconych trójnożnych stojaków na kwiaty z wyschniętymi oazami i pogiętych cebrów. Kurz i tajemnice. Nikt mnie nie szuka. Idę wyżej i wyżej, aż ukazuje się szpara okna. Wyglądam na cmentarz, na naszego humbera zaparkowanego pod ocienioną daszkiem bramą, na kroplę ziemi za drzewami i czuję strach, kręci mi się w głowie, zaszedłem za daleko. Naraz piękny tenor zaczyna w górnych rejestrach, wysoki i niezmacony, prawdopodobnie Bach, choć może to coś lżejszego, zupełnie się na tym nie znam, jest tylko wznoszenie się i opadanie głosu mojego ojca, a mnie zdaje się, że go widzę, jak lśniący ślad wśród cieni. Nie wiedząc nawet dlaczego, z kłapięciem siadam na podłodze i zaczynam płakać.

Bar wyznaczony przez Cherifa znajdował się spory kawałek drogi piechotą ode mnie,

a wiodła ona szerokimi opustoszałymi nadbrzeżami wzdłuż szerokich opustoszałych kanałów, z rzadka połączonych ze sobą kamiennymi mostami. Po południu chmury trochę się podniosły i w chłodzie, którym powiało, czuć było pierwszą zapowiedź jesieni. Przeszedłem przez mały park z pustymi ławkami, gdzie drzewa okazywały osobliwe, senne wzburzenie. Potem minąłem szerokie drewniane przystanie wioślarskie, rozwalone chaty, psy i bawiące się dzieci, które wyglądały na nie przywykłe do widoku obcych. Przez moment zastanawiałem się, czy nie zgubiłem drogi, ale oto trafiłem na bar Wanne'a; w drzwiach wisiała zasłona, a za nią znajdowało się wąskie brązowe pomieszczenie. Mężczyźni przy barze słuchali transmisji meczu piłki nożnej i dosadnie dawali upust swemu oburzeniu. Długowłosey barman potraktował mnie obojętnie, choć może była to łagodna wrogość.

Nie miałem co robić, zatem odświeżałem moją znajomość flamandzkiego na porzuconej gazecie, która powoli ujawniała się jako zażarcie prawicowa. Za szybko wypięłem piwo, więc zamówiłem następne. Chciałem znowu być z Cherifem, poszukiwania całego dnia prowadziły z powrotem do niego, i kiedy się nie pojawiał, zaczął mnie dręczyć mdły gniew; a potem zdumienie sobą samym i bezpodstawną wiarą, że moje potrzeby mogłyby choć raz zostać tak łatwo zaspokojone. Gdy tylko drzwi się otwierały, wiedziałem, że to on i przełykałem żal na widok jego przyjacielskiej twarzy i wszystkiego co oferowała, ale zawsze był to ktoś inny, stały bywalec, którego obdarzano lakonicznym, zapóźnionym pozdrowieniem, gdy wchłaniała go grupa przy barze.

Z wyjątkiem kobiety w podomce, która zajrzała z zaplecza, żeby na coś ponarzekać, znajdowali się tu wyłącznie mężczyźni. Jednak z pewnością miejsce to nie przypominało baru dla gejów - chyba że był to jakiś szkaradny specjalistyczny lokal dla robotników. W końcu odważyłem się przywołać barmana. Czy znał kogoś nazywanego Cherifem, francuskiego Marokańczyka, dokera...? W którym to miejscu barman bardzo dobitnie obwieścił, że facet nazywany przez mnie Cherifem nie jest tu mile widziany, podobnie jak nikt jemu podobny. Wyszedłem bezzwłocznie i ruszyłem z powrotem drogą, którą tu dotarłem, te same dzieci odwracając się obserwowały, jak je mijam. Wczesny wieczór był wzniosły, chłonny i nie

zdziwiony.

Ciszę opuszczenia spowijającą stary kościół św. Narcyza przerywał jedynie rozbrzmiewający co godzinę dzwon i - jak przekonałem się w nocy - co sześć godzin kurant z potamanymi trybami, bezlitośnie wygrywający jakiś hymn. Za każdym razem, gdy trafiały się nieregularne pauzy po brakujących nutach, miałem nadzieję, że już wreszcie skończył.

Obudził mnie o północy i o szóstej, z ukłuciem rozpacz po minionym wieczorze; przedzierałem się przez wyczerpujące, pełne kar fantazje z udziałem Cherifa, które niezmiennie gasły z sykiem w płytkim śnie.

O dziesiątej, w promiennej wakacyjnej mgiełce, wyruszyłem do domu Altidore'ów. Mieszkali przy ulicy Długiej, biegnącej od centrum miasta eleganckim, bezkresnym łukiem; policzyłem domy w przód i znalazłem numer 39, zanim do niego dotarłem: wyniosły i pełen umiaru, z wysoką suteroną i czterema lub pięcioma stopniami wznoszącymi się stromo do czarnych drzwi wejściowych. Spostrzegłem, że tłumię ciekawość, przychodząc na pierwsze spotkanie z pustą głową i w ostatniej chwili przyspieszając kroku - co stanowi jedną z metod stawiania czoła wyzwaniu; choć cały czas wzruszająco posępny wizerunek chłopca wisiał w powietrzu przede mną, migocząc jak projekcja podświadomości na tle zwieńczeń i szczytów budynków, a jego nazwisko rozbrzmiewało niczym subtelna romanca: Altidore, samo w sobie było gotycką dzwonnica lub też błędnym rycerzem z Faerie Queene...

Zadzwoniłem krótko, lecz rozpaczliwie i matka Luca otworzyła drzwi; wkroczyłem do wnętrza, którego nigdy nie próbowałem sobie wyobrazić, i natychmiast zauważyłem, że jest to świątynia i warsztat obsesji. Ta kobieta była chyba najplodniejszą hafciarką w Belgii. Hall, a potem salon, do którego mnie wepchnęła, ozdobione były festonami jej wyrobów. Nawisy, czy raczej obwisy, ogromnych kilimów przedstawiających ten rodzaj motywów - okręty, gospody z surowych bali, zespoły baletowe - które zawsze pojawiają się w puzzlach, nie ze względu na malowniczość, lecz utrudniającą zadanie monotonię, stanowiły ledwie tło dla kwiecistych parawanów przed kominkiem, koronkowych, naszywanych koralikami obrusów

oraz sof tak zawalonych dziko kolorowymi poduchami, że zostawała ledwie odrobina miejsca na pupę siedzącego. Kroczyłem wśród tego wszystkiego godnie i milcząc wzruszałem z uznaniem ramionami. Aby sobie ulżyć, skierowałem wzrok na sufit, lecz nawet tam gobelin ze sceną przywodzącą na myśl iście wiktoriańską dosłowność rozciągał się jak gigantyczna broda między łańcuchami zyrandola. Idąc za nią uprzejmię do kuchni po kawę, rzuciłem okiem na farbiarnię, gdzie wisały motki czerwonej i pomarańczowej wełny ociekającej nad wiadrami i wydzielającej cierpki zapach.

Rozmawiała niepewnie, z rozczarowaniem, jakby przez przypadek rzucając zgryźliwe uwagi, więc wybaczałem jej grubiaństwo lub przyjmowałem jak żarty. Prawie sześć stóp wysoka, w fiołkoworóżowej, zrobionej na szydełku sukience, z długimi nogami w liliowych pończochach i zapinanych na sprzączki butach za kostkę, z włosami schludnie i bez życia przylizanymi wokół drobnej, jasno upudrowanej twarzy. Energiczna, spostrzegawcza, niewesoła, boleśnie artystyczna: od razu dostrzegłem jej absurdalność, ale pomyślałem sobie, że może kiedyś wyda mi się w jakiś smutny sposób sympatyczna. Kiedy podziękowałem za maleńkie lukrowane ciastko, powiedziała:

- Tak, powinien pan schudnąć przynajmniej dziesięć funtów, nie dostanie pan ciastka.
- I sama je sobie wzięła ze spokojnym opanowaniem kogoś, kto nigdy nie będzie taki tłusty, jak ja już zaczynałem być. - Jestem bardzo zajęta - oświadczyła. - Pracuję nad nowym obrusem na ołtarz do Katedry. Nie może mi pan zająć zbyt wiele czasu.

Uśmiechnąłem się i odpowiedziałem: - Ależ naturalnie. - Ciekaw byłem, czy Luc też jest wysoki i chudy.

- Cieszę się, że spotykamy się sami, podczas gdy Luc wyjechał - wyznała, jakby wciągając mnie w jakieś przerażające przedsięwzięcie szczególnie delikatnej natury; ale moje myśli i postanowienia odbijały echem tylko to jedno słowo: „wyjechał”. Wyjechał! Zatem napięcie opadło, bez potrzeby wypróbowałem pełne niepokoju gambity na pierwszą konwersację. Zdaje się, że pojechał z przyjaciółmi na wybrzeże, nikt nie mógł go powstrzymać, chociaż pani Altidore ubłagała go, aby zabrał kilka książek, i ze srogą miną

utrzymywała, że chłopak będzie się tam uczył. Mówiła o nim nieostrożnie rozpaczliwym tonem; lecz kilka razy poprawiła się, przypominając nam obojgu, że jest on inteligentny, inteligentniejszy niż nieomalże wszyscy na świecie. Był krnąbrny, nieusłuchany, nieprzewidywalny; ale za chwilę znów stawał się łagodnym, samokrytycznym i ponad wszelką wątpliwość dobrym chłopcem. Ona rozpaczała, a ja uspokajałem ją konwencjonalnymi pocieszeniami, skromną pewnością siebie, zobaczę, co się da zrobić; natomiast kiedy wycofywała się w nagłą solidarność z synem, spostrzegalem, że czuję nieokreśloną zazdrość i zastanawiam się, jak go uwolnić z jej wielobarwnej sieci.

Powiedziała mi, że Luc był uczniem w kolegium Świętego Narcyza, najstarszej i najbardziej ekskluzywnej jezuickiej szkole w tej prowincji, gdzie do jego przyjaciół należały dzieci różnych ważnych prawników i bankierów, których nazwiska nic mi nie mówiły. Ostatniego lata, jednakże, w następstwie nieokreślonego incydentu, którego omawianie byłoby „zbyt wielką stratą czasu dla nas obojga”, poproszono go o opuszczenie szkoły. Teraz trapili się dalszym ciągiem jego edukacji: pani Altidore twierdziła, iż przekonała go, by spróbował pójść na uniwersytet - może w Anglii: słyszała, że w Dorset istnieje program wymiany studentów europejskich i jakaś metoda radzenia sobie z wrażliwymi chłopcami mającymi problemy z przystosowaniem. Luc osobiście skłaniał się do wyjazdu za granicę. Moim zadaniem było ułatwić mu ucieczkę - wygładzić jego angielszczyznę, najwidoczniej już prawie doskonałą, i poszerzyć wiedzę na temat literatury angielskiej: Milton, Wordsworth, Margaret Drabble i jakich tam jeszcze autorów uznaję za istotnych.

Zanim wyszedłem, zapytała mnie o pozostałych uczniach i wydawała się zadowolona, że mam na razie tylko jednego więcej, zatem będę w stanie naprawdę się poświęcić sprawie Luca. Chciała wiedzieć, kim jest ten drugi; uniosła brwi i przekrzywiła głowę, gdy odpowiedziałem, że to Marcel Echevin; chociaż był beznadziejnie tępy, uważała go za stosowne uzupełnienie trzódki.

- Niech pan nie próbuje iść na łatwiznę, spotykając się naraz z Echevinem i moim synem - doradziła mi. - Zupełnie do siebie nie przystają. Mam nadzieję, że mogę panu zaufać.

Nastąpiła wietrzna, gorąca pogoda, idealne wrześnie dni, liście o bladych spodach drżały i migotały jak sprężyny. I ja również wyjechałbym z miasta, gdyby dano mi szansę - przyłączyłbym się do mojego ucznia na plaży pod marnym pretekstem studiowania literatury. Lecz musiałem się spotykać z drugim wychowankiem i zarabiać na życie. Trudno odnaleźć motywację do pracy, gdy ma się wrażenie, iż jest się po prostu na wakacjach. Napisałem list do mojej starej przyjaciółki Edie, opowiadając o szybkim starciu z Cherifem, ale pomijając bolesne upokorzenie rendez-vous w barze Wanne'a. Do mamy też napisałem, tyle że bardziej się trzymałem kwestii pogody i wyżywienia. Czułem, że obie, choć na różne sposoby, wyczekują na mnie, starając się ukryć niepokój wywołany moją nagłą decyzją. I raz, czy może dwa, pomyślałem z nagłym ukłuciem tęsknoty o nich wszystkich, o pubie i o błoniach, i o całej podmiejskiej przestrzeni - będącej na poły mapą, na poły obrazem, jak turystyczny prospekt tutaj, ale pozostawionej nieskończenie daleko i banalnej.

Młody Echevin przyszedł do mnie po lunchu: spóźnił się, nie mógł znaleźć domu, zawracał głowę starej, marudnej gospodyni doktora (która raczej dosadnie poprosiła, żeby coś podobnego nigdy się nie powtórzyło), a potem siedział zaróżowiony i sapiący przez przepisową godzinę naszych konwersacji. Cierpiał na ciężką astmę, o czym wiedziałem z listu jego ojca, i przez większą część poprzedniego roku nie chodził do szkoły, przyglądając się światu z pozbawionego kurzu sanatorium koło Brukseli. Uczułem do niego odrobinę litości i wspominałem szkolnych kolegów niezrozumiale napiętnowanych cukrzycą lub kłopotliwymi alergiami. Ta sama bezwolna, niemiła aura otaczała Marcela; a do tego był tłusty, nerwowy i niezdarny. Jego astma dostarczyła głównego tematu dyskusji i pozwoliła mi zerknąć w mdłe, umeblowane szklanymi gablotami życie chłopca; okrutnie ograniczyła jego doświadczenia. Część zasadniczych tematów podczas konwersacji - sport, przyroda, to, co robimy w pełne pyłków letnie wakacje - była dla niego zupełnie niedostępna; sierpień upłynął mu na grach video (i przez chwilę słownictwo chłopca nabrało niezgłębionej pewności siebie). Nowy lek przynosił mu zbawienie - on oraz telewizja, dająca mu pewną szczątkową wiedzę na temat spraw bieżących, z których niewiele rozumiał, jako że zbyt mało go zajmowały i zbyt cierpiał

na duszności. Nasza główna zasada - że rozmawiamy tylko po angielsku - była często naruszana; „Nie wiem, nie rozumiem” brzmiał jego nieśmiały refren. A ja powracałem do nauczycielskiej manieri w trakcie pustej towarzyskiej uprzejmości, którą nasze pogaduszki parodiowały, a moja nagła pedanteria czy strata cierpliwości przerażały go i doprowadzały prawie do łez. Oczywiście pozostali nauczyciele, od matematyki, historii i tak dalej, mówili w przyjaznym języku flamandzkim, byli miejscowymi ludźmi, dzielącymi jego system odniesień. Uplęła dobra chwila, zanim zorientowałem się, jaki odmienny jestem - czułem, że wzbudzam strach, i ufałem, że robię to w sposób niecodzienny, nie miałem tylko pewności, czy sprostać temu wyobrażeniu, czy raczej je załagodzić.

Marcel ubrany był w jaskrawy młodzieżowy dres, jakby zazwyczaj jeździł na rowerze czy deskorolce, oraz miał ogromny zegarek na rękę wyposażony w mnóstwo obracalnych szkiełek i wbudowanych tarcz, które mogłyby być przydatne trenerowi, nurkowi głębinowemu lub handlarzowi na międzynarodową skalę. Spoglądał nań tak rozbijająco często, że zacząłem za każdym razem pytać go, ile jeszcze czasu zostało. Równie bardzo jak on pragnąłem, by ta godzina już minęła.

Szoku doznałem pod koniec lekcji, kiedy spytałem, od jak dawna cierpi na astmę i czy wie, dlaczego. Dwuczłonowe pytanie, niezbyt rozsądne przy początkującym, mógł stracić głowę i dać połowiczną odpowiedź. Odwrócił wzrok i dostrzegłem zmianę w kolorze jego niedoli.

- Tak, potrafię powiedzieć dlaczego - odrzekł. - I kiedy.

Początkowo nie bardzo rozumiałem całą historię, dręczyłem go więc i zmuszałem do powtarzania słów, nie zdając sobie sprawy, że prowadzę go w przeszłość, jak jakiś łagodny i mądry psychoanalityk, do sceny tragedii z dzieciństwa. Okazało się, że miała ona miejsce dziesięć lat temu, w lecie, kiedy poszedł z mamą na zakupy do miasta: był wtedy raptem sześciolatkiem. Weszli do kwaciarni i czekali na swoją kolej, kiedy spostrzegł pszczołę kręcącą się wokół koszyka matki. Wiedział, że ugryzienie pszczoły może być dla niej śmiertelne, ale ona rozmawiała z przyjaciółką i kazała mu nie przeszkadzać. Próbował

odgonić owada, ale tylko go przestraszył, i gdy matka odwróciła się, podleciał w górę i użądlił ją w twarz. Zaczęła po omacku szukać w torbie antidotum, ale wzięła z domu niewłaściwą torebkę. Upadła na podłogę u stóp Marcela i po minucie już nie żyła.

Jego astma zaczęła się kilka miesięcy później, wyzwalaly ją zwłaszcza kwiaty. Zauważyłem, że odczuwa coś na kształt dumy ze swojej historii. Powiedział, że jego ojciec kocha kwiaty, ale od tamtej pory nigdy już nie pojawiły się u nich w domu. Zapytałem, z czymś co ewidentnie było podejrzaną słodyczą, czym zajmuje się tato; i dowiedziałem się, że jest kustoszem niewielkiego muzeum dzieł Orsta, znajdującego się na obrzeżach miasta, których jeszcze nie zwiedzałem, gdzie odnowiono pięć czy sześć wiatraków stojących na szczycie wysokiej grobli. Marcel zdecydowanie stwierdził, że prace Orsta nie podobają mu się.

Najpierw wypłem dosyć sporo w swoim pokoju, wsączając w siebie litr wolnej od cła „Cap and Badge”, a gdzieś o jedenastej poszedłem do „Baru Biff”, klubu w piwnicy domu tuż obok Katedry. Nieroztropny lub krótkowzroczny pielgrzym mógł z łatwością pomylić go z wejściem do krypty (X wiek) i grobowca św. Ernesta. Ulica była prawie zupełnie opustoszała, tylko czasami pojawiał się spóźniony przechodzień lub para chłopaczków w dzinsowych kurtkach przystawała, żeby zajrzeć przez zamknięte kraty sklepów elektrycznych. Była też ciepła, przesycona zapachem drzew, które zdawały się dopominać ostatej, przelotnej możliwości powrotu lata. Całkiem nieźle czułem się w skórzanej kurtce, grafitowych 501-kach oraz podkutych, ciasno zasznurowanych czarnych Oksfordach; spięty, ale na fali i nieodpowiedzialny.

Zauważyłem, że wychwalają ten klub w dziale reklamy lokalnej gazety, i zawahałem się z konsternacją nad znajomo wyglądającym centralnym „portfolio” z chudymi młodzieńcami w szortach lub kąpielówkach oraz nad doniesieniami o bajkowych nocach na dyskotecie: zrobione z flesztu fotki dwóch lub trzech najładniejszych chłopaków i otyłego barmana obejmującego ramieniem utlenionego wyrostka były nie do odróżnienia od tych

ukazujących się w brytyjskiej prasie dla gejów, wskrzeszających wspomnienia o wspaniałej zabawie w knajpie „Mały” czy „Odjazd!” albo w wyelegantowanej „Błękitnej Fedorze” Croydona, zdewastowanej kilka tygodni temu. Gdy tylko zamknęły się za mną ciężkie, dźwiękoszczelne drzwi z zakratowanym judaszem, znalazłem się w miejscu tak znajomym, że nie zdziwiłbym się na widok moich starych przyjaciół Danny’ego i Simona wyciągających ręce, żeby unieść drinki nad ramionami chłopaków uparcie oblegających bar albo skaczących czy też dostojnie kroczących po maleńkim parkiecie. Panowała tu taka sama zwariowana iluzja splendoru, ta sama przepłacona tandeta, ta sama frywolna małomiasteczkowość i posępna tłusta ciotowatość, a pod tym wszystkim identyczne pilne potrzeby i przekora. Żaden z nas nie potrzebował pałacu: lubiliśmy to hałaśliwe piekielko z zanikającymi zasadami i osobistościami, wilkołakami i maskotkami.

Nie znaczy to, że utożsamiałem się z tym miejscem do końca. Byłem przecież nowym przybyszem, osobą nie znaną, prawdopodobnie letnikiem lub nieśmiałym debiutantem. Kilka głów obróciło się w moją stronę, przypuszczam, że padło parę uwag. Lecz kiedy wziąłem butelkę drogiego, bo modnego, piwa i przeszedłem się kawałek, wiedziałem już, że nie zrobiłem furory: coś hardego i dumnego we mnie chciało błyszczeć, coś swojskiego i skromnego cieszyło się, że tak nie jest. Naturalnie nie wszyscy stali bywalcy poszukują nowości: może chcieliby zaliczyć jakąś obcą anielską piękność, ale wiedzą, że kierowca ciężarówki, gruby koleś z brązowymi zębami i słynnym kutasem, i tak da im to, na co wyczekiwali przez cały tydzień. Starsi faceci w rogu patrzą na młodzików z zawiścią, ale też z pewnym rozczarowaniem.

Oparłem się o lustrzany filar i zacząłem obserwować grupkę dzieciaków, które żartowały i pieściły się nawzajem, szybkimi, ukradkowymi łykami popijając cokę oraz piwo i obskakując małomównego, eleganckiego pięknisia stojącego na skraju parkietu. Wydawali się bardziej w swoim żywiole niż pozostali wśród dźwięków smętnego, cieniutkiego euro-popa przeplatane bardzo, bardzo znużonymi klasycznymi kawałkami disco, które być może im nadal wydawały się sensowne i zabawne. Czy to legalne? - zastanawiałem się obserwując

muskularnego chłopaka w sznurkowym podkoszulku i workowatych związanych w pasie dżinsach zlizującego jasną pianę z ciemnej krawędzi górnej wargi i rozprawiającego schrypniętym głosem jak gangster ze szkolnego boiska. Zapewne nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat. Ale tutaj to było w porządku, inaczej niż u nas; klasyczny, powszedni, europejski zdrowy rozsądek. Pomyślałem, że nigdy w życiu nikogo tak nie pragnąłem. Zdenerwowała mnie zbytnia oczywistość moich uczuć, gdyż jego kumple zauważyli, jak się w niego wpatruję, a on odwrócił się i przesunął językiem po podniebieniu za górnymi zębami. Nie miałem pewności, czy ten gest był szyderstwem czy prowokacją, może pewnego rodzaju obelgą zenująco wspomnianą u Szekspira. Właśnie podniecenie absorbowało mnie do tego stopnia, że nie uświadamiałem sobie, iż dla innych stanowi ono zupełnie klasyczny obrazek: poszedłem za chłopakiem do toalety, ale zamknął się w kabinie, więc tylko słuchałem, jak wyraziście odchrząkuje w trakcie sikania. Zwlekałem z wyjściem i spojrzałem w lustro na Edwarda Mannersa, dwukrotnie od niego starszego tyjącego nauczyciela w okularach.

Po powrocie do baru, kiedy popijałem następne piwo, przydryfował do mnie mężczyzna o nieskazitelnych, zabójczych wprost rysach i zaczął banalną gadkę, która w świecie na zewnątrz stanowiłaby sygnał do swobodnej i długiej znajomości, a tu stosowana była jako droga na skróty do krótkiej. Było coś fascynującego w jego blond bladości, skórze naciągniętej na szerokich, wystających kościach policzkowych, długich włosach zaczesanych do przodu, a potem zawracających ułożoną warstwami i zapewne spryskaną lakierem falą. Nie mogłem odgadnąć, w jakim jest wieku: cerę miał doskonałą, ale kiedy się uśmiechał, marszczyła się w setki linii wokół szarych oczu. Poza tym był dziwnie pozaklasowy i w ogóle nie naznaczony naturalnym życiowym zużyciem. Strój miał niedbały, a jednak szykowny: na koszulce z wycięciem w kształcie litery V różowa koszula z guzikami, kieszeniami i epoletami, do tego zaprasowane w kant obcisłe na tyłku spodnie, które zdawały się skrywać z przodu coś znacznego, wręcz do znudzenia długiego. Kiedy wyznał, że jest modelem, wszystko ułożyło się w całość.

Człowiek, który bez przerwy się uśmiecha, budzi pewną podejrzliwość. Pragnąłem,

żeby Ty (jak absurdalnie zażądał, by go nazywać) pozwolił sobie na więcej bezwyrazowości, do której jego rysy bardzo pasowały, a właściwie były jej wprost idealnym wyrazem. Ale pod względem ortodontycznym również był perfekcyjny i chyba skalkulował sobie, że to się liczy bardziej. W końcu, ileż można wymagać? Zadałem sobie to pytanie i chwilę z nim potańczyłem, chociaż wyrwałem się na drinka, kiedy DJ z uniesieniem zapowiedział pościelowe. Zapytałem, od czego skrótem jest Ty, a on spojrzał na mnie, jakbym się wygłupiał, i powiedział:

- Po prostu Ty!

Trzymaliśmy się razem: Ty był gotów po raz drugi odbębnić naszą poprzednią pogawędkę, ale ja udawałem, że go nie słyszę przez hałas muzyki. Miał obsesję na punkcie swojej kariery i zdawał się czuć stworzony do sukcesów w Londynie, a ja miałem jakimś cudem pomóc mu tego dokonać. Wszystko już zostało ustalone - miałem przejrzeć jego zdjęcia i powiedzieć, co o nich myślę. Zdawało się, że wędrujemy w tę i we w tę przez granicę pomiędzy funkcjonalnym nonsensem grepsów przy podrywie a jakimiś jego szczegółowo opracowanymi fantazjami, które roztaczał przede mną niepomyślnie, kręcącymi się wokół przewlekłych sesji zdjęciowych w tropikalnych krajach, nagradzanych niebotyczną gażą. Jednakże dotarło do mnie, gdy zaczął coś mówić o chłopcach przy stole w mrocznym boksie po drugiej stronie sali. Rozmyślnie siedziałem do nich plecami, ale odwróciłem się z fałszywą obojętnością, wstydząc się wstydzić: wiedziałem, że Ty wskazuje na dzieciaka, w którym się zadurzyłem. I rzeczywiście był to on, ciasno obejmował chudsze kumpla o długich włosach, pożerając jego twarz pracowicie i publicznie, jak to młodzież ma w zwyczaju... mnie pozostawiając równie pożerającą zazdrość i rozdrażnienie. Odwróciłem się i huknąłem na Ty'a (dostrzegłem, że nie ma pewności, czy gniewam się, czy żartuję); potem pocałowałem go lekko, co przyniosło mi pocieszenie: Ty uśmiechnął się, wyrażając zadowolenie, że wreszcie uznałem jego urok i poddałem się mu. Wypiliśmy kolejnego drinka i zacząłem czuć się wystarczająco pijany, by zdecydować się pójść z tym facetem, nazbyt powszednia pragmatyczna decyzja. Próbowaliśmy dostrzegać w nim to, co

najlepsze: zęby, skórę, prawdopodobnie zgrabne ciało, wypracowane na siłowni i w solarium (było to więcej, niż ja mogłem zaoferować), podobnie jak to coś, co odznaczało się w jego spodniach, lecz mimo wszystko czułem, że mam nad nim nieskończoną przewagę, przewagę z rodzaju tych, które są zbyt przeważające, by dać je komuś odczuć. Wtem stanął przed nami Cherif, uśmiechnął się i pochylił, by objąć nas obu naraz. Jego oddech czuć było narkotykiem.

Zachowywałem się ozięble, starając się zachwiać jego przekonaniem, że cieszy mnie nasze spotkanie. Potargał mnie po włosach i z szyderczą powagą powitał Ty'a: - Bonsoir, M'sieur Mouchoir. - Ty śmiejąc się, ale też czerwieniąc, kazał mu się odpieprzyć. - Zatem poznałeś mojego przyjaciela, M'sieura Mouchoira - zwrócił się do mnie; uznałem, że to pewnie jakiś kawał z brodą dotyczący mody i modeli, więc zaledwie wzruszyłem ramionami. Cherif kiwał głową, chichotał i był bardzo powolny. - Jak się masz, mój przyjacielu Edwardzie? - spytał.

Posłałem mu obojętny uśmiech i odpowiedziałem:

- Nie zastałem cię wczoraj u Wanne'a.

- Och, ja tam nie mogę chodzić - zastrzegł się, jakby propozycja wyszła ode mnie.

- Zatem to nie był najlepszy pomysł, żeby się ze mną umawiać w tym miejscu,

prawda?

Cherif miał absolutnie tępą minę i przez chwilę myślałem, że może rzeczywiście stara się nadrobić jakiś prawdziwy zanik pamięci; ale jego niezręczny, instynktowny unik dowiódł, że jest inaczej. - Dlaczego mężczyźni w okularach są tacy seksowni? - zapytał. Spojrzał na przystojnego, zapewne noszącego szkła kontaktowe, Ty'a. - Co o tym myślisz, Mouchoir? - Ty tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi.

- Nie lubię, gdy się mnie robi w balona - dodałem, ale już tajałem pod ręką Cherifa delikatnie gładząc mnie po krzyżu. Widziałem już i czułem przyjemność powrotu z nim do domu, równie jasno, jak mogłem sobie wyobrazić nic nie znaczący i nieponętny akt, przez który brnąłbym z Ty'em.

Przez pewien czas Ty godził się z losem, a jego uśmiech wyrabiał nadgodziny pokrywając upokorzenie, jakiego doznał, gdy zostałem mu dosłownie wydarty z ramion przez faceta, którego znał i który kpił z niego w taki dziecinny sposób. Jednak nie miałem pojęcia, dlaczego wyróżnił akurat mnie ani też jakie uczucia kryły się pod tą piękną powierzchownością. Można by pomyśleć, że z łatwością znalazłby tu sobie kogoś innego - ale prawda była taka, że nikt się do niego nie zbliżał ani też nie pozdrowiał go przechodząc. Nagle wydał mi się wyizolowany w swoich wypielegnowanych rojeniach, i od przyjścia Cherifa czułem, że szuka już innego partnera - własnego odbicia w przydymionych lustrach night-clubu. Zrozumiałem, że jest to relacja głębsza niż ta, którą mógłby mieć ze mną czy jakimkolwiek innym tancerzem w „Barze Biff”.

2

Następnego ranka obudził mnie podekscytowany Cherif i kazał mi wyjrzeć przez okno. Poruszałem się zbyt wolno i nie zdążyłem zobaczyć tej zabawnej rzeczy, którą chciał mi pokazać. Lecz kilka minut później, kiedy łąziłem zaspany i nakładałem sobie na twarz klaunowską brodę z piany do golenia, stojąc w samym podkoszulku przy do połowy otwartych okiennicach, zawołał, żebym podszedł do niego. Kutas sterczał mu przyjaźnie i krzywo.

Po prawej stronie, z jednego z wysokich, zakratowanych okien instytucji, która dotychczas pozostawała cicha i ciemna, trzech chłopców sikało do kanału. Stali na parapecie, przyciśnięci do krat, kierując swoje zamierające łuki w górę i w dal - przypuszczalnie konkurowali o to, kto sięgnie najdalej. Obserwowałem, jak kończą i schodzą na dół, podczas gdy piana do golenia zanikała z prawie bezgłośnym trzeszczeniem na moim zaroście. Po chwili następne trio zajęło pozycje, usłyszeliśmy dość dosłowną komendę wyszczekaną ze środka, a ten z lewej już zaczął. Ewidentny falstart. Dwaj pozostali ruszyli parę sekund później, najpierw niezdecydowanymi strużkami i kropelkami, lecz ze wzrastającą pewnością

siebie, aż w pewnej chwili wszyscy lali na całego, niczym gwardia honorowa. Nie podejrzewam, żeby któryś z nich dosięgnął do naszej strony kanału, ale numer pierwszy wywarł najlepsze wrażenie i miał największy potencjał: nadal świetnie mu szło, gdy tymczasem danina pozostałych dwóch kurczyła się i zanikała znacząc ślad na wodzie, a bryza chwytała ją i rozpryskiwała jej rzędzące pióropusze.

Po raz pierwszy pojąłem, że te połatanne ceglane koszary to sama szkoła Świętego Narcyza, a że był dzień rentree, młodzi dżentelmeni korzystali z prawa do odwiecznego przywileju. Obejrzelśmy z Cherifem jeszcze parę rund, zanim nowość nie straciła na atrakcyjności i nie rozległ się dźwięk ręcznego dzwonka. Wtedy uświadomiłem sobie, że w moim życiu pojawił się nowy element i że ponad małym, zagubionym ogrodem w dole, gdzie nic poza kosem nigdy nie poruszało się wśród liści, tydzień po tygodniu będą do mnie docierały szkolne hałasy: dzwonki, przytłumione unisono lekcji i modłów w kaplicy, stukot setek odstawianych krzesel, nagła cisza i wybuchy wrzawy.

Również na ulicach, kiedy szedłem do Altidore'ów, spostrzegłem, że wiele się zmieniło: płaskostopy maruder z wystającą ze spodni koszulą sapiąc przebiegł obok mnie i zatrzymał się krzywiąc twarz z bólu wywołanego skurczem; dwaj wagarowicze zdarli z siebie krawaty przed wejściem do sklepu video; wypadłszy nagle z bocznej uliczki, wyposażona na zawody gromada staniających się na nogach uczniów prowadzonych przez maniakałnego tysego nauczyciela przecięła mi drogę. Był to pierwszy dzień i surowy rytm życia szkolnego pochwylił już dzieci, spoglądające wstecz, jak rekruci na okręcie, na leniwy brzeg domu. Przez chwilę podzielałem bunt i poczucie winy wagarowiczów, a serce zaczęło mi bić szybciej od zapomnianego już panicznego przecucia: musiałem przeciwstawić się mrocznej, leczniczej pustce szkoły. I oczywiście wisało nade mną pierwsze spotkanie z Lukiem, sprawiając, że czułem się na poły nauczycielem i na poły ofiarą.

Najpierw wpadłem w szpony jego matki. Prowadząc mnie do jadalni wyraziła nadzieję, że nie mam nic przeciwko przychodzeniu do nich do domu, gdyż wydaje się to lepsze z punktu widzenia dyscypliny niż posyłanie Luca przez całe miasto do mnie - a poza

tym wie wtedy, gdzie on jest. Już sobie wyobraziłem skrzywienie deski zdradzającej jej obecność pod drzwiami. Ciągnęła dalej wydając jakieś kategoryczne i niekonsekwentne polecenia, których ledwie słuchałem - udawałem, że nie zauważyłem go, w momencie gdy wszedłem do hallu, tuż za plecami matki wślizgującego się do kuchni z ręcznikiem na szyi. Mignęły mi jego bosc pięty, nie znana mi jeszcze sylwetka i sposób poruszania się.

Zostawiła mnie w wyłożonym ciemną boazerią pokoju, wśród rodzinnych portretów. Czekałem chwilę pod ich ponurymi spojrzeniami: jeden nad drugim, roztropni, czarno odziani, jakby wszystkich namalowano we wdowieństwie. Czując się nieco winny i niezdolny do odpowiedzialnego postępowania, podszedłem do długiego okna i wyjrzałem na ogród - otoczony wysokim murem pasek kończący się w kanale z beczynn timer pływającymi łabędziami i małym narożnym balkonem nad wodą, gdzie wyobraziłem sobie Luca palącego papierosy lub czekającego na schadzkę. W tym pokoju działalność pani Altidore mniej rzucała się w oczy, jedynie coś w rodzaju bieźnika zdobionego kutasami leżało na kredensie. Potem odstawiłem krzesło od stołu i odkryłem wykonaną z przeraźliwą pracowitością poduchę siedzenia.

Usłyszałem kroki, gdy nic nie mówiąc przeszli przez hall, a potem zatrzymali się na chwilę, by nawzajem przepuścić się przez drzwi, dzięki czemu spostrzegłem, że też są zdenerwowani. Matka i syn, ramię w ramię: wyczułem między nimi porozumienie i nie rozwiązana sprzeczność interesów.

- To jest Luc - odezwała się. - Pan Manners.

Odgarnął włosy z czoła, a jego dłoń była wilgotna, gdy mi ją podał.

- Hello.

- Hello! - Jakże staroświecko akuraty byłem.

Kiwnął głową, a włosy z powrotem opadły mu w przód. Przez nadchodzącą godzinę będę widział, jak ten niesforny lok wysychając z brązowego robi się złoty, i poznam różne sposoby, na jakie on go ujarzma - opieszale go przyczesując, mocując się z nim szaleńczo, odrzucając w tył głowę ku miernym efektom - oraz ile trwa zsuwanie się do przodu i

połyskujący upadek. Lecz w chwili, gdy zostaliśmy sami, w ogóle na niego nie patrzyłem; wzrok utkwilem bezrozumnie w kredensie, w szkaradnej paterze, cukiernicy z dozownikiem, brandy w oszklonej szafce.

- Moja mama przyniesie zaraz kawę - powiedział. Ton beztroski i łagodnie pytający, wyszkolony akcent. Wtedy spojrzałem. Był smukły, miał szerokie ramiona, nosił starą niebieską koszulę; i spodobały mi się jego duże płaskie pośladki, gdy przechodził koło mnie, choć luźne bawełniane spodnie nic więcej nie zdradzały. Był tak wysoki jak ja (mogłem wyobrazić go sobie, jak upiera się, że wyższy, prowokuje mnie ze śmiechem i stajemy plecy w plecy). Czy rozumiał, że ważę go i mierzę w taki sposób, a może spostrzegł, że po plecach przebiegł mi dreszcz pożądania, kiedy spojrzałem na nagie podbicie jego stopy między mankietem spodni a nisko wyciętymi mokasynami? Nie umiałem rozpoznać, czy błysk próżności i nieufności w jego oczach jest czymś więcej niż normalną ostrożnością chłopca wobec nauczyciela lub rezerwą ludzi chłodno zaczynających swoją znajomość.

Dla mnie on oczywiście nie był zupełnie nie znany, choć kiedy zajął swoje miejsce przy odległym końcu stołu i czekał, aż zacznę, ledwo się powstrzymałem od powiedzenia mu, jak się różni od swojego zdjęcia, jak jest lepszy i bardziej niezwykły. W pokoleniu jego ojca podobne rysy mogłyby być uznane za brzydkie lub przerysowane, lecz teraz stały się modne i przyznawano, że są cudowne na swój własny sposób; po ojcu musiał odziedziczyć długi nos i wysokie kości policzkowe, które nadawały mu wygląd jasnowłosego Azteka. Oczy miał wąskie i bezbarwne - zagubione spojrzenie matki z dodatkiem pewnej ostrożności i bystrości; szerokie usta wydawały się obarczone mimowolną ekspresywnością, kiedy później wykrzywiłem się do niego w uśmiechu, wydatne wargi rozciągnęły się, ukazując silne, seksowne kły i wysokie dziąsła. Górna warga była nieomalże zbyt ciężka, pofałdowane wywinięcie do góry, bez dołka na opuszkę palca pod nosem, gdzie miała prostą krawędź, jakby niecierpliwie zakończono ją jednym uderzeniem dłuta. W całości było coś przyciągającego uwagę, a nawet odrobinę odpychającego.

Mama zapukała i wniosała dwie kawy z przepaszającym wyrazem twarzy, jakby

chciała powiedzieć, że już po raz ostatni przeszkadza nam w poważnej pracy, którą mamy do wykonania. Potem konwersacja zaczęła stawiać pierwsze niepewne kroki i toczyła się z minuty na minutę, wokół sztucznie prowokowanych tematów na krótko nabierając spontanicznego rozpędu, zanim ponownie zamierała jak stary silnik, w którym pokładało się zbyt wiele zaufania. Rozmawialiśmy o położeniu geograficznym Belgii, o względnych zaletach zachodniej równiny i południowo-wschodnich wyżyn, przedyskutowaliśmy kwestię flamandzko-walońską nie dochodząc do zbyt głębokich ani odkrywczych konkluzji. Zdumiewające przeżycie - ten chłopak fascynował mnie, a jednak prowadziłem rozmowę, jakbym wpadł w sidła jakiegoś nudziarza na cocktail party. A może naprawdę był nudziarzem; nie istniały powody, dla których nie miałby nim być, niezależnie od tego, co mówiła jego drażliwa mamuśka. Czy też oczekiwałem zbyt wiele, zbyt wcześnie, nie doceniając jego solidnych atutów, bezmyślnego uczniowskiego szacunku do wiedzy samej w sobie? Czułem, że muszę się czegoś o nim dowiedzieć, omamić go subtelnymi pytaniami, aby niepostrzeżenie dla samego siebie stał się niedyskretny; trochę się zachnąłem, kiedy zaczął się zwierzać bez większych oporów i zadufania.

Był opalony i wyglądał na wypoczętego, więc zapytałem go o ostatni pobyt nad morzem. Spędzili kilka dni w willi dawnego przyjaciela z ławy szkolnej, tuż za francuską granicą, na samej plaży w wiosce o nazwie St. Ernest-aux-Sablonnières, do której, jak wyznał mi w zaufaniu, przywieziono ciało świętego po jego fatalnej krucjacie. Patrick jakimś tam był jego wielkim przyjacielem - następny bogaty dzieciak, jak się domyśliłem - i w letnie wakacje często bywali razem w tym domu na plaży, gdy ta jakaś tam rodzina wyjeżdżała. Tym razem piękna pogoda tuż przed rozpoczęciem nowego semestru skusiła chłopców do samotnej eskapady na parę dni; to znaczy tak sądziłem i zazdrośnie miałem nadzieję, zanim wyszło na jaw, że była z nimi również dziewczyna.

Wpadłem w rytm pozornie bezcelowych pytań, niby dla poszerzenia jego słownictwa; i pod tym pretekstem przeszedłem ukradkiem przez tę nadmorską idyllę, co do której nigdy nie było najodlegleszej kwestii, bym miał w niej uczestniczyć. Po pierwsze, jak tam się

dostali? Samochodem jego przyjaciela Patricka. Ach, a jaki to samochód? Mini! Och; a jak wygląda dom? Biały, jednopiętrowy, z płaskim dachem. Weranda z białymi filarami biegnie wzdłuż całego frontu. Ku mojemu zdziwieniu nazwał ją stoą. Z tyłu był ogród z drzewami pochylającymi się nad domem i furtka z dwoma czy trzema stopniami prowadzącymi na wydmy. Najbliższy budynek znajdował się sto metrów dalej. A co było w środku? Przynajmniej cztery sypialnie (zatem nie wykluczone, że mogli zachować idealną niewinność). Wyszczególniliśmy pościel, czerwono-zielone poszwy na kołdry, prześcieradła z niewiadomego materiału. Meble zrobione były z sosny i orzecha; znajdowało się tam wiele książek na tematy przyrodnicze i ornitologiczne. Motyw ptaków powtarzał się na filiżankach i talerzach, a także na różnych przedmiotach w kuchni, którą uważał za urocze pomieszczenie. Chciałem wrócić do godzin nocnych i spytać, o czym marzył, gdy szum fal kołysał go do snu; ale coś mnie powstrzymało. Czułem, że nie powinienem być już bardziej wścibski, choć reagował na wszystkie wyzwania z ledwie wyczuwalnym wahaniem i pewną chłodną dumą. Co robili? Spacerowali, czytali, naprawdę się uczyli, dyskutowali o różnych sprawach. Takich jak? Takich jak... zanieczyszczenie środowiska, sztuki radiowe, efekty ustaleń dotyczących płac. Wydawali się najbardziej posępnymi ludźmi na świecie. (Wydawali się tacy jak my.) Czy wchodzili do wody? Tak, choć było dosyć zimno. I co zakładał do kąpieli? Kąpielówki. To znaczy slipy czy szorty? Slipy. A jakiego koloru? Czarne. Jak to się zdarza, zapomniał swoich i musiał pożyczyć od Patricka, a jego były za duże. Zatem spadały mu? Och, nie, ale niełatwo było je utrzymać... Co, hm, co czytał? Czytał Wielkie nadzieje i coś Gramsciego! (Zdawał się pełen wrażeń na temat tego ostatniego, ale twardo zwracałem go do Pipa, Magwitch i Herberta Pocketa.)

Kiedy minęło trochę więcej niż godzina, rozległo się kolejne energiczne pukanie, pani Altidore weszła i spojrzała najpierw na jednego z nas, potem na drugiego, jakby czekała na podjęcie decyzji. Na chwilę zapadła cisza. Potem spytała Luca, jak mu poszło, a on kiwnął głową i wzruszył ramionami, przyzwyczajony do lekceważenia zamieszania robionego przez matkę. Powiedziałem, że syn świetnie mówi po angielsku, a ona odrzekła: - Wiem. - Kazała

Lucowi odprowadzić mnie do drzwi, co zrobił z wymowną mieszaniną niechęci i ceremonialności. Ucisnąłem jego dużą, silną dłoń, a on kiwnął lokiem i sucho mnie pożegnał.

Znalazłszy się na ulicy, nie czułem prawie zupełnie nic. Nie chciałem analizować swoich motywów - siedłem dosyć rażno, rozglądając się z zadowoleniem, jak ktoś pogodzony ze sobą i nie zaprzeczający, że się rozczarował. Chociaż narzucało się pytanie, czy cały ten szmat drogi przejechałem właśnie po to.

Ruszyłem do domu okrężną drogą, obok kina Memling i w dół ulicą, przy której stał kościół św. Narcyza. Na tablicy koło drzwi głównych wisiały stosunkowo aktualne ogłoszenia, chociaż trudno stwierdzić, czy obwieszczenie o pielgrzymce (autobusem) w kwietniu stanowi wystarczającą podstawę, by uwierzyć, że zwieńczona żelaznymi szpikulcami brama, przez którą je czytałem, zostanie jeszcze kiedykolwiek otwarta dla pobożnych lub ciekawskich. Zauważyłem, że między bramą a drzwiami zebrały się śmieci.

Dalej przez most, pod który ponuro wślizgiwał się mój kanał, i oto szkoła. Zbliżała się pora lunchu. Usłyszałem ręczny dzwonek odbijający się echem na wewnętrznym dziedzińcu, a kiedy przeszedłem na drugą stronę ulicy, żeby przyjrzeć się wysokiej, zwieńczonej wieloma szczytami budowli z pokrzywionych purpurowych cegieł pospinanych metalowymi klamrami w kształcie E, X i S, po raz pierwszy zobaczyłem historyczny mundurek noszony przez chłopców: czarne spodnie i pończochy oraz czarna kusa bluza z białym kołnierzem i żółtym obliczem narcyza naszytym z galonu na kieszonce. Dwóch chłopców, bez wątpienia uczniów starszych klas, przechadzało się przy bramie, jak postaci na starodruku, i udawało im się wyglądać na wymuskanych, a jednocześnie purytańskich.

Nie byłem pewien, czy pojąłem cały ten biznes z Narcyzem: w hagiograficznej fazie naszej konwersacji Luc powiedział, że święty był dawno temu biskupem Jeruzalem, a jego kości w roku 1099 przywiózł z powrotem z krucjaty Godefroi de Bouillon. Jednak ta wiarogodna legenda wydawała się rozmyślnie poplątana z pogańskim mitem o chłopcu-kwiecie. Nie żebym miał coś przeciwko temu.

Echevin przyszedł rano przynosząc mi ustne zaproszenie od swego ojca na obiad, jeśli będę wolny, tego samego dnia. Jako że dosyć już miałem podgrzewania puszek z tym lub owym oraz uzupełniania ich mlekiem, herbatnikami czy sporadycznie burgerem w McDonaldzie obok Pałacu Biskupiego, przyjąłem propozycję, a następnie poczułem się zobligowany, by szczególnie łagodnie i wyrozumiale traktować Marcela, któremu nie mógłbym spojrzeć w twarz przy stole, gdybym pomiatał nim w czasie lekcji. Starałem się uciszać instynkt podszeptujący mi, że należy go ponaglać. Wyglądał na bardzo nieszczęśliwego i zalęknionego, kiedy przyszedł - zaszokowało mnie, gdy z jego dużej, okrągłej twarzy wyczytałem, jakim mogę być potworem.

Napiłem się trochę z Cherifem, zanim tam poszedłem - czekał na mnie w barze kupiwszy piwo dla nas obu. Odniosłem wrażenie, zarówno podniecające jak i niepokojące, że figuruję w jego planach, że znalazło się tam dla mnie miejsce; pomyślałem, że nie wolno mi dopuścić, aby się zakochał, choć przez chwilę szybowałem na spokojnych wyżynach jego serdeczności i rozsmakowywałem się w pomyśle, by podbić jego serce; kiedy opadło pierwsze podniecenie, wiedziałem już, że dla mnie to nie była miłość, choć może moje uczucie nosiło pewne nerwowe, mechaniczne podobieństwo do niej.

Rozmowa niezbyt nam się kleiła - z rzadka rzucaliśmy parę słów i z zakłopotaniem rozglądaliśmy się wkoło. Był to prawie że moment pogawędki o belgijskiej geografii. Przypomniałem sobie, jak planowałem wyzwolić się od starego nawyku codziennego przychodzenia do pubu wczesnym wieczorem, a tu znowu osuwałem się w wygodne piekło przyzwyczajenia, co wyglądało mi na koniec eksperymentu. Odstawiłem pustą szklankę i posłałem Cherifowi krzywy, kwaśny uśmiech, jakby jego należało winić za moją słabość. Wziąłem zostawioną przez kogoś gazetę i przeleciałem przez jeden czy dwa artykuły, które nieszczęśliwie mnie zainteresowały, przekładając je Cherifowi na francuski - brytyjscy konserwatyści „rozpaczliwie pragną powrotu pani Thatcher”, flamandzki minister kultury szuka „nowej moralności w sztuce”. Zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby spotkać się z

Cherifem tylko raz i zachować przypadkową słodycz pierwszego spotkania, zamiast pchać się na ospałe mielizny następnych dni. Lecz godzinę później, kiedy musiałem iść, a właściwie już byłem spóźniony do Echevinów, odkryliśmy się na nowo, obejmował mnie za ramiona, jego ptak komicznie wiercił się w džinsach, i dałbym wszystko za następnego drinka, albo za to, bym mógł zabrać go do swojego pokoju. Chciałem natychmiast go pieprzyć i całować lśniące brązowe płatki jego uszu.

Ponieważ byłem lekko przepompowany piwem, musiałem pójść do toalety, jak tylko dotarłem do domu Echevinów. Spojrzałem na siebie w lustrze, układając twarz w pełen szacunku wyraz i zaciskając węzeł niebieskiego, jedwabnego krawata, który podarowała mi Edie. Wyglądałem ubogo i prowizorycznie; brzegi mojego ubrania były przetarte i nawet na krawacie widniała plama, o czym przypomniałem sobie dopiero teraz, a co oznaczało, że nie miałem już czystych krawatów. Może to nie byłoby takie złe wyrzucić wrażenie splukanego rupieciarza na człowieku będącym niejako moim pracodawcą, a poza tym zawsze uważałem się za swego rodzaju artystę, który ma obowiązek nie stosować się do ogólnie przyjętych zasad; jednak po tych niefortunnych oględzinach zatęskniłem do pięknego garnituru. Czas płynął szybciej, niż myślałem. Toaleta należała do tych, w których woda ledwie wiruje z zawartością wokół muszli, usuwając wybrane fragmenty, a po szybkim suchym spazmie zwraca resztę z wyrzutem pławiącą się tam, gdzie przedtem. Stałem co chwilę uruchamiając jeszcze nie gotową spluczkę. Gospodyni, która mnie tu wprowadziła, nadal na mnie czekała, kiedy wyłoniłem się z łazienki; uśmiechnęła się smutno, ale gdy wiodła mnie na górę wąską, wyłożoną drewnem klatką schodową, w niej również wyczułem rozczarowanie. A może było to jedynie moje wrażenie wywołane nagłym przemieszczeniem się, brakiem tchu po przebiegnięciu z jednego świata w drugi, z zadymionego baru z szafą grającą w milczącą elegancję obcego domu.

Pozostawiony sam sobie wędrowałem ostrożnie po salonie, jakbym mógł zniszczyć coś utraciwszy równowagę w zamroczeniu alkoholowym. Biało pomalowana boazeria

stanowiła tło dla pół tuzina pasteli Orsta, które promieniały niby okna kaplicy w trzykrotnie większych od siebie ramach: zrobiłem srogą minę przez osłaniające szkło do rozmodlonej twarzy w mieniącym się wiśniowym kolorze poświaty. Próbowałem przypomnieć sobie nazwisko gospodyni. Z tego, co Marcel opowiadał mi dziś rano, dowiedziałem się, że była jego nianią i traktowała go po matczynemu od czasu dziwacznej śmierci jego prawdziwej matki. Znalazszy się w tym domu, ponownie pomyślałem o tym uządleniu, które wyglądało jak podła interwencja zmieniająca bieg bajki, a ci, którzy przeżyli, trwają w jej długim cieniu.

Echevin został ojcem dosyć późno. Był to przystojny mężczyzna po sześćdziesiątce, przyjemnie łysy i bez wąsów, których z jakiegoś powodu oczekiwałem, tak że jego twarz miała wrażliwy, zaskoczony wyraz nie pozbawiony uroku. Miał ogromne oczy z plamkami w kolorze dębu na jasnoniebieskich tęczęwkach. Nosił popielaty garnitur człowieka interesu, ale nietypowe zakładki i rozcięcia zdawały się wskazywać na jego zainteresowanie sztuką. Gospodyni wróciła z dzbanem ponczu (pani Vivier, pani Vivier), a on zaproponował mi szklankę cichym pomrukiem, jakby jeszcze się nie zdecydował, czy zostaniemy przyjaciółmi, czy nie. Było mi gorąco, czułem się rozstrojony i przypochlebnie klepałem coś o Rubensie i uroku starych mistrzów, na co odpowiadał wartką, nieskrępowaną angielszczyzną uprzejmie, acz zwięźle. Powiedziałem sobie, że on nie musi wysłuchiwać tego wszystkiego, ale wystrzeżałem się skierowania rozmowy na kwestię Marcela; w końcu wyznał jedynie, że chłopiec nigdy nie zaznał krótkotrwałych, radosnych chwil dzieciństwa, czy coś w tym stylu, prawdopodobnie cytując. Na chwilę ukazała się ojcowska miłość, baczna i nie narzucająca się, jakiej sam zaznałem i jaką utraciłem. Rozumiał, że nie musi mi mówić, iż moje postępowanie jest źle widziane i zbyt surowe - nie nagabywany obiecałem, że będę miły dla Marcela i przy kolacji promieniałem i żartowałem z chłopcem w sposób, który zdał mu się chyba złowróżbny po mojej uprzedniej szorstkości. Nie wiedziałem, czy było nietaktem powiedzieć Echevinowi:

- Marcel wspomniał, że nie jest wielbicielem dzieł Orsta. - Mogła to być kość niezgody między nimi.

- To prawda - odparł lapidarnie. - Ale są inne rzeczy w życiu prócz dzieł Orsta. Poza tym nie są one pomyślane tak, by działać na dzieci. Upodobanie do femme fatale budzi się później, jeśli w ogóle. - W trakcie jedzenia przyszedł mi na myśl łagodny kontrargument, że szesnastoletni chłopiec nie jest już dzieckiem, a kiedy pobiegłem myślami wstecz do romantycznego pozera, którym sam byłem w tym wieku, stwierdziłem, że dostrzegam kogoś, kto mógłby znaleźć rozkosz w prywatnym czyścucu Orsta.

- Sądzę, że są naprawdę przygnębiające - odezwał się Marcel z uśmiechem, który wskazywał na to, że jest to dozwolona domowa herezja.

Po kolacji, po której czułem się napchany i niekształtny, Echevin zaprosił mnie do swojej pracowni, podczas gdy Marcel w celu podkreślenia, iż dotrzymują swojej części umowy, został wysłany, by uczyć się czasowników. Biedny chłopak z samozaparciem przyniósł Gramatykę angielską Knowlesa, którą podetknął mi pod nos stukając palcem w okładkę, zanim wspiął się na sofę i zaczął milcząco poruszać ustami, jak małe dziecko zabawiające wyimaginowanych przyjaciół. Kiedy wróciliśmy po dwudziestu minutach, siedział przechylony na bok i sapał przez sen.

Myślę, że decyzja jego ojca, by pokazać mi, nad czym pracuje, była spontaniczna, a zatem prawdopodobnie jej żałował: nastąpiła chwila wieczornych zwierzeń zamiast spodziewanej, wręcz mile widzianej, spokojnej pogawędki, uprzejmie powtarzającej się i wyczerpującej, dopóki nie nadszedłby czas, bym go opuścił. Poszedł przodem, a ja z nową udawaną surowością wbijałem Marcelowi do głowy I should like, you would like, nalegając na bezcelowe i niezauważalne rozróżnienie. Z zaskakującą nostalgią pomyślałem o gonieniu za aksamitnymi motylami słownictwa z Lukiem; a to z kolei przywołało letnią mgiełkę niepokoju i pożądania.

Gabinet pana domu zaskoczył mnie swoim położeniem: Echevin wszedł do czegoś, co mógłbym uznać jedynie za kredens wbudowany w grubą ścianę, ale gdy wkroczyłem tam za nim, przeszedłem przez krótki tunel o ceglanych ścianach i po dwóch schodach wspiąłem się do jasnego, zagraconego biura na pierwszym piętrze przyległego budynku: biuro dyrektora

Muzeum Orsta. Zastanawiałem się, czy przychodzi tu regularnie po kolacji, żeby popracować w ciszy nie zakłócaną dzwonkiem telefonu lub szczebiotem średnio zainteresowanych turystów dochodzącym ze schodów, które dostrzegłem przez otwarte drzwi poniżej. Turystów przywiezionych tu przez wilgotną niziną aurę, posłusznych ogłoszeniu w hallu hotelowym lub przewodnikowi Michelin: co oni mogą wynieść z tych zaszyfrowanych dzieł sztuki? I co ich twórcę obchodzili przypadkowi widzowie? Echevin gestem wskazał portretową fotografię wysoko na ścianie: pięćdziesięcioletni mężczyzna o pociągłej twarzy, z krótką, szpiczastą szpakowatą brodą, siedzący z policzkiem przechylonym w stronę wysadzanej klejnotami gałki laski: grymaśne, ironiczne spojrzenie heteroseksualnego starego kawalera, na poły dandysa, na poły kaznodziei, i mina przywodząca na myśl zimną niczym stal enigmę, jakby niemalże chciał przewyższyć zalanego światłem gwiazd sfinksa, którego namalował, a który teraz stał oparty o ścianę naprzeciwko z gumowymi narożnikami chroniącymi kawowego koloru pozłotą ramy. (- Właśnie wrócił z wystawy symbolistów w Monachium - wyjaśnił mój gospodarz z dumą, ale też jakby ze znużeniem.)

A może to było nużące pracować równie długo i blisko z człowiekiem spoglądającym tak zimno znad dwustu książek i katalogów (po francusku i flamandzku, niemiecku i angielsku, duńsku, a to co?, węgiersku i japońsku), które w jakikolwiek sposób, choćby tylko w przypisach, wspominały o nim lub o jego świecie i czasach. Ton Echevina mniej świadczył o znużeniu, a bardziej o uprzejmym zniecierpliwieniu, które, jak wyczułem sunąc za nim, wymierzone było zarówno we mnie, jak i w samego Orsta. Niepewien co teraz robić, skoro już się tam znaleźliśmy, stojąc ramię w ramię obok ogromnego biurka zajmującego połowę pokoju, szybko otworzył jakiś folder i, podobnie jak jego syn parę minut wcześniej, swoim silnym, kwadratowym palcem postukał w stertę włożonych w środek fotostatów.

- To powinno pana zainteresować - powiedział bez większego przekonania. Przerzucił kilka z nich, nie dając mi czasu, bym się im przyjrzał dokładniej. - Jego artykuły dla prasy brytyjskiej. O, tutaj. Wielki belgijski rzeźbiarz - to o Meunierze - nie, mógł pan o nim nie słyszeć. Zamieszczono to w „The Studio”. A tutaj Pogrzeb Burne-Jonesa z „Timesa”: czy wie

pan, że Burne-Jones był pierwszym malarzem, za którego odprawiono nabożeństwo w Westminster Abbey? Dziwny i godny podziwu wybór, nie sądzi pan? - Znów zamknął folder.

- Orst był niegdyś słynną postacią w Londynie, kiedy Anglia była otwarta na wpływy europejskie, a Belgia stanowiła centrum awangardy. Ale to działo się dawno temu.

- Niestety, obawiam się, że przed przyjazdem tutaj nigdy nie widziałem jego obrazów w oryginale.

- Absolutnie prawdopodobne. Coś koło tuzina czy może więcej znajduje się w Tate, ale ostatni raz pokazywano je jeszcze przed wojną. W Leeds jest jedno ważne dzieło, Reveries, kilka portretów w Glasgow, wykupionych z kolekcji Connala, oraz jeden czy dwa w Brighton. - Pomyślałem, że te akurat mogłem widzieć na jakimś obozie czy w czasie wysmaganego wiatrem weekendu, gdy wstawałem w porze lunchu i niemalże w hysterii wędrowałem z kimś, kto się do mnie przyczepił, pełen fantastycznych pomysłów, jak się go pozbyć. - I nawet w waszym obłąkanym, małym Muzeum Corley-Cripps w Eastbourne, które jest zawsze tak dogodnie nieczynne, mają pewien istotny rysunek.

Spojrzał na mnie nie mrugając oczyma, a ja odrzekłem: - Tak, bardzo mi przykro z tego powodu. - Uśmiechnął się czarująco, cicho zachichotał i w tym momencie zrozumiałem, że nawiązała się między nami zupełnie nagła i nieoczekiwana zażyłość. Odczułem przyjemne ciepło w ciele, lekki dreszcz, łzy na rzęsach, ale nie dość, by spadły. Odwiedziłem Muzeum Corley-Cripps wiele lat temu z moim wujem Wilfredem, gejem, prosperującym w rejonie Newhaven dzięki jakiemuś nieokreślonymu interesowi, i nadal żywo pamiętałem obszerną willę z lat 90. ubiegłego stulecia, z zieloną kopułą i samochodami w szopie obok, które były prawie tak wiekowe jak dom. Wpuściła nas niechętnie starsza kobieta w płaszczu, której przedwojenna fotografia wisząca w jednym z pokoi pozwoliła zidentyfikować ją jako Madeleine Corley-Cripps, synową budowniczego domu. Możliwe, że przez chwilę oglądałem jakieś mistyczne panneau Orsta, tak jak na pewno obejrzałem trzy damy Burne-Jonesa i poczerńiałe alegorie G. F. Wattsa. Ale ich tajemnice zdawały się przyćmione w obliczu czarującego zaniedbania samego otoczenia - pamiętam klekot luźnych klepek pod stopami,

kolosalne obumierające rośliny, gabloty ze zniszczonymi przez wilgoć memorabiliami, lamówki na zasłonach, wystrzępione, zbrązowiałe i ciągnące się po podłodze, widok z okien na ogród i rzeźby pokryte bąblami i zmatowione przez słone powietrze.

Nazwał je raptem obłąkanym, ale miałem nadzieję, że mój gospodarz, który musiał posiadać spore doświadczenie w myszkowaniu po dziwacznych i nie zawsze gościnnych miejscach, podziela moje uwielbienie dla tego domostwa - gdyż w nagłym przypiływie zapału okazało się, że jest to właśnie uwielbienie. Nie byłem pewien, czy już skończyliśmy dowcipkować. Chciałem opowiedzieć o samochodach, o tym, jak wraz z wujem, gdy Madeleine Corley-Cripps zamknęła już za nami frontowe drzwi, wolniutko poszliśmy wzdłuż podjazdu, zatrzymaliśmy się, bez słowa zawróciliśmy i niegodnym kłusem pognaliśmy w stronę garażu, spiesznie zerkając przez ramię. Stały tam wszystkie stare automobile Corley-Crippsów, trzy z przodu i trzy w głębi: sportowy delage, niebywale rzadki napier 90, zielony bentley, długonosa isotta-fraschini, łobuzerski mały bugatti z tyłem jak osa - druga pasja producenta niegdyś słynnych na cały świat sprzęzarek. I jakże marzycielskie światło je otaczało, filtrowane przez jeżyny pieniące się na szklanym dachu.

- Rzeczą, którą pamiętam nawet lepiej niż Beatrice Burne-Jonesa - odezwał się Paul Echevin - jest ośmiolitrowy bentley z 1931 (jak sądzę), pierwsza limuzyna, która przekroczyła prędkość stu mil na godzinę. Musiał stać nie tknięty przez ćwierć wieku. Nie śmiałem go dotknąć palcem ze strachu, że mógłby rozpaść się w kupkę prochu.

Noc była zarazem gwieździsta i pochmurna, niezbyt późna, dziwny bar przy kanale nadal oświetlony. Przechodząc obok postyszałem głosy ostatnich stałych bywalców, na zmianę rozmawiających i sarkających, kłócących się z przyzwyczajenia. Byłem szczęśliwy, że chodzę po tym pięknym małym miasteczku, nieświadom, czy jest mi ciepło, czy zimno po ostatnim koniaku - tym, którego powinienem był odmówić. Czułem się pełen energii, co zdarzało mi się często, kiedy naprawdę pora już była iść spać, pora, kiedy w czasach, gdy należałem do klubu, wszyscy tam ożywialiśmy i wytrwale bawiliśmy się dalej. Zamarudziłem

na Grote Markt, wysłuchałem dwóch kurantów na kwadrans z Dzwonnicy, w międzyczasie wypalając papierosa. W restauracji spuszczone żaluzje, a dwaj kelnerzy w anorakach na białych koszulach z czarnymi muszkami w kilku susach dopadli ostatniego autobusu, już niecierpliwie parsającego pneumatycznymi hamulcami.

Kiedy trochę później przeszedłem przez ulicę do domu starego doktora, spostrzegłem, że boczna furtka jest otwarta - nigdy jej tak nie zostawiałem w nocy, zgodnie z surowymi zaleceniami starej gospodyni. Wszedłszy na podwórko od razu zauważyłem, że okno pokoju na samej górze w drugiej klatce schodowej jest rażąco oświetlone: przybyły moje nowe sąsiadki. W nastroju obrażonego posiadacza wbiegłem po dwa schody naraz. Zamknąwszy drzwi stałem w napięciu w prawie zupełnej ciemności wsłuchany w głosy hiszpańskich dziewcząt dobiegające z tego dotychczas milczącego królestwa za moją ścianą szafek.

Co one tam wyprawiały? Początkowo pomyślałem, że ich niezwykle przenikliwy śmiech i okrzyki to tylko podekscytowane hałasy związane z przyjazdem i rozpakowywaniem, z pytaniami miotanymi z jednego pokoju do drugiego, gdzie schować taką to a taką rzecz z niedowierzaniem wyszarpiętą z walizki. Lecz nie było słyhać żadnych innych dźwięków - żadnego szurania czy otwierania i zamykania drzwi. Może po prostu siedziały tam, czytając szkolne podręczniki bądź cerując pończochy, od czasu do czasu unosząc wzrok i nie mogąc się powstrzymać, by nie wyskrzeczec jakiegoś wesołego komunału. Nie znałem rozkładu ich kwatery, może był zupełnie inny od mojego. Pohałasowałem trochę i w środku długiej wymiany zdań zawierającej odśpiewanie dwóch lub trzech wersów z *When I'm Sixty-four*, przemaszerowałem wzdłuż pokoju trzaskając drzwiczkami wszystkich szafek po kolei. Co absolutnie niczego nie zmieniło. W przyptywie nagłej rozpaczyc pojąłem, że one muszą mieć gitarę.

Rozebrałem się, zgasilem światło i usiadłem czekając na następną uwagę lub pierwszy eksplodujący akord. Raz czy dwa zdawało mi się, że słyszę skrzypienie przyciskanych strun w przygarbionej próbie zmiany akordów, zanim prawa ręka wydrze swoje oklepane potworności z pudła... Ale może było to tylko skrzypienie gdzieś w głębi domu albo dzwonek

nocnego tramwaju przy zajezdni. Po chwili słyszałem już tylko, jak dudni mój własny przyspieszony oburzeniem puls i włosy na moich nogach zsuwają się razem. Następnie carillon na dwunastą u św. Narcyza, co nieomal sprawiło mi przyjemność, wydzwonił swój bęcający hymn, który stał się czymś w rodzaju złośliwej kołysanki. „Tak, mocno zamknij oczy: Nie będziesz spał tej nocy” - brakująca nuta, akcent metryczny zaznaczony tylko przez zardzewiały brzdęk, padający na słowo „oczy”.

3

Sobota i późny start - przebudzenie w zwykłej przytulnej fali wspomnień i fantazji, fantazji bez postaci centralnej. Z Lukiem to by nie wyszło, więc wspomniałem paru chłopaków, których widziałem na ulicy, a potem szybko przywołałem Cherifa na zakończenie.

Wziąłem prysznic, doprowadzony do szału przez nagły brak wody: kręciłem kurkiem gorącej, a pojawiała się tylko anemiczna strużka zimnej. Stałem na podłodze, zaglądając do środka przez zasłonę. Wtem rozległ się daleki skowyt, kołatanie w cysternie na dachu i popłynął wrzątek młócąc strumieniami w gwałtownych kłębach pary. Oczywiście! To robota moich nowych sąsiadeczek, ich prysznic miał pierwszeństwo przed moim, mogły w każdej chwili odciąć wodę, pozostawiając mi trzęsienie się ze złości.

Wytarłem do czysta mikroskopijne lustro i zerknąłem w nie. Było absurdalnie małe - niemalże mogłoby się zmieścić w torebce; jego krawędzie obcinały mi twarz, która wyglądała z tym dosyć dobrze, uznałem, jak rysy każdego rowerzysty w klasycznej oprawie hełmu. Przesunąłem dłońmi po gęstych, czarnych włosach - to moja największa zaleta, czasami ludzie uważają je za farbowane, jeśli nie widzieli moich przedramion lub gołych nóg. Wyobraziłem sobie, że mogłyby się podobać Lucowi i dać mu podstawy do uznania mnie za młodego i romantycznego. Powinien zobaczyć je w tym lustrze, które pomijało całą resztę mojej fizjonomii. Przyszedł mi na myśl Cherif, z jego pocieszającą nadwagą. Wydawało się,

że podobam mu się cały i nie podejrzewa nawet mojego bezustannego rozczarowania tym, jaki się stałem i jaki prawdopodobnie pozostanę - choć nigdy nie wyglądałem olśniewająco w stroju kąpielowym, uchwycony na fotografiach innych ludzi zawsze cechowałem się pewną niezaprzeczalną krzepkością. Mokra jeszcze włosy zacesałem do tyłu, a one przyłgnęły pociągająco tam, gdzie je ułożyłem. To znaczy - mnie to pociągało, a dla innych był to może wskaźnik moich autoiluzji.

Poszedłem na przechadzkę przez kompleks zabytkowych budynków tworzących nadal religijne serce starego miasta - Katedra, pałac biskupi, czworobok hospicjum o niskich mansardach - i dalej, alejami na tyłach muzeum, aby odkryć, że dziś jest dzień targu zwierząt. Półciężarówki i przyczepy handlarzy stały ciasno ustawione pod murem, a pomiędzy nimi, na niskich podestach albo po prostu na bruku, znajdowały się pełne szmerów i szelestów klatki z towarami. Unosił się tam ostry zapach nieszczęścia, jaki pamiętałem z cyrku, który pewnego lata, gdy byłem jeszcze dzieckiem, rozstawił się pod naszymi oknami w Rough Common; potem, idąc przez niefrasobliwy tłum, który zdawał się przytłaczający na wąsko zastawionej ulicy, poczułem z jednej ciężarówki swąd smażonej cebuli, kiełbasy i frytek oraz świeżych trąbików i krewetek z drugiej.

Słyszałem o tym targu od kogoś w „Kasecie” i wiedziałem, że cieszy się popularnością wśród okolicznych dzieci, których było tu teraz mnóstwo. Śmiały się z małej małpki biegającej w kółko, próbowały wywołać jakąś reakcję drzewnych węży w stanie śpiączki lub wiekowych, liniejących papug, które stały raz na jednej nodze, raz na drugiej, cynicznie rozglądając się wkoło. Widziałem jaszczurki, kociaki, karpie, kanarki; widziałem małą rudą małpę pocierającą sobie nos gestem osoby zażenowanej; widziałem maleńkie puchate psiaki, które można by pomylić z papciami i owady, które można by uznać za uschnięte, opadłe liście. Pewna staruszka miała puszkę po herbatnikach pełną pajaków, a wyglądający na uczonego mężczyzna stał za szklaną gablotą do połowy wypełnioną ziemią, żądając, by mu wierzyć, iż zawiera ona parę nocnych nornic. Wałęsałem się wśród rodzin, będących w nastroju stonowanej wesołości, spacerowałem pomiędzy chłopcami, którzy stali

obok rowerów, przyoblekając twarze w wyraz właściwej dla nastolatków pogardy przemieszanej z niewinnym zaciekawieniem. Z rzadka kilka franków zmieniało właścicieli, a nabywca królika lub piranii odchodził żwawo, jakby zrobił jakiś ciemny interes; bez wątpienia zachowywałem się bardzo po angielsku, ale dziwiło mnie, jaki bezlitosny kaprys skłania ludzi do kupowania tu czegokolwiek. Unikałem wzroku handlarzy i miałem uczucie, że jeśli dam się zniecka usidlić ich trajkotowi, albo gorzej jeszcze milczącemu skinieniu ręki i dłoni ściskającej łokieć, zostanie mi ukazane jakieś bardziej jeszcze przykre kuriozum, coś nadzwyczaj trującego lub zdeformowanego.

Sprzedawcy zwierząt stanowili zbiorowisko równie hałaśliwe jak same zwierzęta. Nawet młodzi mieli wyjąłowiony, beznamiętny wygląd typowy dla przekupniów na całym świecie, milczeli przez dłuższy czas, jakby niczego nie oczekiwali, po to żeby wybuchnąć nagle szalbierczym ożywieniem. Po znakach na ciężarówkach i po tablicach rejestracyjnych było widać, że przyjechali z Holandii, z Ardenów, z północnej Francji, i na krótką chwilę ukazał mi się obraz tej prowizorycznej menażerii z turkotem jeżdżącej z miejsca na miejsce po deszczowych drogach Flandrii, niechętnego sobie bractwa powracającego tu co tydzień lub co miesiąc. Gdzieś dalej rozległy się okrzyki, zajadłe szczekanie psa i jeszcze czyjeś niewyraźne podniesione głosy. Poprzez tłum nie mogłem dojrzeć, co się dzieje, ale sposób, w jaki ludzie się odwracali i po kilku sekundach podejmowali przerwana rozmowę z lekceważącym machnięciem ręki, kazał mi przypuszczać, że powodem jest znany wszystkim pijak albo gwałtowna sprzeczka wynikła z jakiejś zastarzałej rywalizacji.

Potem, od czasu do czasu wydając sprośne okrzyki przeszedł obok niski, brodaty mężczyzna w podartych i brudnych tweedach, machając patykiem i z warczeniem robiąc wypady w stronę rodziców i ich lekko przestraszonych pociech, które zapewne zastanawiały się, czy mamusie i tatusiowie również znają te brzydkie wyrazy, nigdy nie używane w domu. Przed nim spieszyl czarno-biały terier, który zdawał się częściowo uczestniczyć, a częściowo przepraszać za wystąpienie swojego pana, i spoglądał na wystawione na sprzedaż zwierzęta, jakby chciał z zakłopotaniem pokazać, że świadom jest swego z nimi pokrewieństwa. Kiedy

mężczyzna przestawał wygłaszać tyrady, pies zaczynał szczekać, tak jakby należało utrzymać mniej więcej stały poziom hałasu. - To tylko stary Gus - wyjaśnił stojący obok mnie facet; ale Gus nie zachowywał się jak człowiek stary - była w nim jakaś szydercza wyniosłość - a kiedy spojrzał na mnie, aż cofnąłem się na widok bystrych oczu i przystojnej twarzy pooranej bruzdami, zmiętej pod potarganymi włosami i tygodniowym zarostem. Był stary w takim sensie, w jakim „postać” jest stara, a także przedwczesną starością nędzy. Kiedy już przeszedł, kilku chłopców odważyło się wykrzyknąć za nim dziecinne zniewagi.

Skończyłem już z targiem, ale poczekałem chwilę, aż Gus odejdzie, zanim ruszyłem w tym samym kierunku - wolałem się go wystrzeżać, choć gdy odwracał się i napinał ramiona albo rzucał się na kogoś, kto przez sekundę ucieleśniał to coś, czego nienawidzi i przeciwko czemu się buntuje, ciosy jego kostura zawsze chybiały celu; a z jego słów można było się nerwowo pośmiać. Ulica dochodziła do szerszej i jaśniejszej arterii, a na skrzyżowaniu stali ludzie rozmawiając w weekendowym pomieszaniu beczynności z zaferowaniem. Ładny, niski ciemnowłosy chłopak z rękami w kieszeniach workowatych, niebieskich sztruksów, ze swetrem zarzuconym na ramiona, zaśmiał się i cofnął o krok akurat, gdy Gus przechodził za jego plecami. Obaj odskoczyli od siebie, chłopiec z odrobiną spóźnionym przestraszeniem, Gus z burknięciem kogoś, kto nade wszystko nie cierpi, gdy go dotykać; potem nastąpiła cisza, a następnie uśmiech ukazujący żółte zęby. Gus postąpił w przód, lewą rękę zaciskając na zwisającym, poczeriałym kroku swoich spodni.

- Wiem wszystko o małych chłopcach - powiedział. - Wiem wszystko o kutasach i cipach. - Dzieciak cofnął się i odwrócił szybko, choć z kpiącym okrzykiem do swoich kompanów. Ale Gus przestał już się nim interesować.

Grupa opieszłych kupujących, zaparkowana ciężarówka, narożnik ulicy z wiszącą lampą i okaleczoną figurą św. Antoniego z Padwy - wszystko to nie pozwoliło mi przyjrzeć się temu chłopakowi o szerokich ramionach i jędrnych pośladkach, więc kierowany impulsem skręciłem za nim za róg. On i jego przyjaciele puścili się pędem i zajęło mi dobrą chwilę, zanim ich odnalazłem, stojących pod metalowo-szklaną markizą teatru. Był tam mój znajomy

oraz wyższy jasnowłosy chłopak obok niego; za nimi, patrząc w moją stronę, stała spokojna dziewczyna o szerokiej twarzy, z lśniąco ciętymi włosami obciętych na pazia. Ręka niższego chłopca spoczywała powyżej pasa tego wyższego, jakby dotknął go lekko, by o czymś zapewnić lub przyciągnąć jego uwagę i bez skrępowania zostawił ją tam przez zapomnienie. Był to punkt zwrotny w moim życiu, to drugie spotkanie z Lukiem. Od razu wiedziałem, że jego kształt pozostał we mnie, niczym jasny obraz migający i unoszący się na śpiącej siatkówce: poczułem coś w rodzaju przykrego podniecenia, moje serce zamarło. W chwili, gdy go rozpoznałem i bez nadziei zapragnąłem, by był mój, wiedziałem, że obserwuję go na swobodzie w świecie, który ledwie styka się z moim: miałem świadomość jego absolutnej obojętności, kiedy tak stał plecami do mnie w brązowej zamszowej kurtce i białych dżinsach, plecami, na których ten pociągający nieznajomy mógł położyć dłoń, pewny swego w jakiejś nieodgadnionej zażyłości. Nigdy miłość od pierwszego wejrzenia; ale czasami od drugiego - szedłem pod teatralnymi arkadami, jakbym nie zdawał sobie sprawy z obecności tej trójki, i z przesadnym skupieniem wbijałem wzrok w jakiś obiekt za nimi, rozśpiewane echo moich kroków dzwoniło w długiej perspektywie łuków i zdawało się wzywać cienie wcześniejszych miłości wyruszające w swą nieprawdopodobną podróż. Tych troje prawdopodobnie osiągnęło naturalną pauzę w rozmowie, choć oczywiście uznałem, że ich dosyć raptowne milczenie, kiedy przeszedłem tuż obok odwracając wzrok i wpatrując się w przydługie, nie mające nic do rzeczy plakaty Henryka VIII i La Siffleuse, jest dosłownie aktem agresji. Sztywno wkroczyłem na Grote Markt i przeszedłem na drugą stronę, jakby nadal mnie obserwowali lub wręcz śledzili. Dotarwszy do biura podróży, bez wahania wpadłem do środka, stanąłem za stojakiem na karty pocztowe i zerkając między nimi przez duże okno z napisem odkryłem, że nigdzie ich nie widać. Dopiero wtedy w upokorzeniu zacząłem się dziwić, jak to się stało, że ten nagły wybuch emocji poprowadził mnie tak niewłaściwie. Straciłem szansę na niewymuszone powitanie, manifestację przyjaznej równości naszych poczynań, słowo lub dwa z jego pięknymi przyjaciółmi. Mogłem objąć ramieniem te szerokie zamszowe plecy tuż nad dłonią tego drugiego i zasłużyć na początek równie zażyłej przyjaźni. Wyciągałem

pocztówki jedną po drugiej i układałem jak koszmarny zestaw kart w grze w oczko:

Dzwonnica, Dzwonnica, zamarznęty kanał, fresk w Ratuszu, namalowany przez Edgara

Orsta.

Znajdowałem się w obskurnej starej księgarni i wodziłem niewidzącymi oczyma po półkach czekając, aż minie burza w mojej głowie: to miejsce było azylem, bunkrem umocnionym swą własną zakurzoną nudą oraz przepierzeniami z papieru i startej skóry. Zmroziłem wyniosłego sprzedawcę, który dociekał, jakie są moje szczególne zainteresowania i który prawdopodobnie uważał, że jestem złodziejem - ja, który nigdy w życiu nic nie ukradłem. Utorowałem sobie drogę do najdalszego pomieszczenia, gdzie pod schodami znajdowało się kilka półek z angielskimi książkami i przykucnąłem przed nimi z uczuciem, że proszę je o pomoc.

H. E. Bates, Ciężkie czasy, Drabble, stareńkie skrócone teksty Gullivera i Crusoe z anulowanymi pieczętkami biblioteki Świętego Narcyza, złocisty kwiat na spłowiałych zielonych okładkach... Półka z poezją: Arkell, Armstrong, Arnold (Edwin i Matthew), jak w antykwariacie Digby'ego u nas w miasteczku, gdzie pisałem swą pierwszą wakacyjną pracę - gościnna strefa dla umarłego i umierającego entuzjazmu. Musiał zejść jakiś lokalny anglofil posunięty w latach. Spostrzegłem mojego dawno utraconego szkolnego przyjaciela: Poetów naszych czasów, wyjąłem go i przycisnąłem do siebie nawet nie otwierając. Pomyślałem, że dam to Lucowi; moglibyśmy razem studiować Binyona i Bottomleya, i Masefielda, a on nie miałby pojęcia, jak ich frazy splatają się z moją przeszłością, oto melancholijne tajemnice czytania. Uderzyło mnie, że powinienem mu kupić też inne książki, będą prezentami, zbyt zmurszałymi, by mógł je za takie uznać, opatrzonymi niewidzialną dedykacją. Natychmiast zdecydowanie wybrałem Niezręczny wiek, Perswazje oraz Stracone zachody miłości. No i oczywiście dostatecznie trudna lista lektur zajmie go, więc nie będzie miał czasu dla bezmyślnych, obłąkających go przyjaciół, jego dzień będzie w pewnym sensie należał do mnie; a wieczorami - może będzie musiał spotykać się ze mną wieczorami, aby

uporządkować swoje subtelne wątpliwości, kwestie motywu i metafory... Jeszcze raz przejrzałem półkę i zmarszczyłem brwi czytając zatarty tytuł jednej z powieści; po kilku sekundach miałem już pewność - w rzeczy samej była to jedna z książek mojej ciotki Tiny, pokryta rudymi plamami i rozsypująca się, na papierze z czasów wojny i wyceniona tak, jakby sprzedawca znał wartość, jaką będzie ona przedstawiać dla pewnego tkliwego klienta. Prócz przyjaciół pod tymi schodami znajdowała się również moja rodzina.

Kiedy nie szedłem do „Kasety”, odwiedzałem „Złotego Cielca”, bar dla ludzi starszych w centrum miasta, ale tak schowany w alei zastawionej rowerami i skrzynkami piwa, że mógłby się znajdować gdziekolwiek. Bywalcy albo siedzieli w bezmyślnym milczeniu, albo głośno i urywanie opowiadali o tym, co widzieli w telewizji. Równie dobrze mogłeś się znaleźć w pubie jakiegoś miasteczka na zachodzie Anglii lub nawet w „Jerzym IV” w domu, tyle że tu nie grała muzyka, przy której lepiej się czyta lub pisze listy. Dzisiaj Strzeż się, Marysiu! zaprzętała moją uwagę między słodowymi tykami „Silence” na lunch - powalającego piwa z Antwerpii, warzonego rzekomo przez trapistów. Czułem się tępo dumny z małej, brudnej książeczki i chciałem powiedzieć old boyowi siedzącemu obok mnie, że Christina McFie to moja komiczno-tragiczna cioteczna babka.

Strzeż się, Marysiu! była, albo nie była, jej najlepszą książką - zależy, czy brało się ją na poważnie, czy traktowało jako dziwaczny dowcip. Ciotka Tina spędziła długi bezdzietny okres dorosłości w Afryce jako żona szkockiego plantatora kawy, a powieści przysły do niej niemalże nie prozione, jak listy pełne nostalgii i dzieciennego bajdurzenia. Im więcej pisała o Anglii, tym romantyczniejszy stawał się jej obraz - po trzech czy czterech książkach był ledwie rozpoznawalny; lecz jej gafy zaczęły przyciągać nowych czytelników, którzy rozkoszowali się mimowolnym komizmem tego naiwnie napuszonego stylu. Przez jakiś czas istniał nawet fan-klub Christiny McFie, choć nigdy nie było do końca jasne, czy dała się nabrać, czy też traktowała go z taką samą celową afektacją jak jego założyciele. Przypomniałem sobie swoje rozczarowanie, kiedy ciotka wróciła z Kenii i okazało się, że nie

jest czarna, a jedynie opalona i pomarszczona; wydzieliała bardzo ostry zapach, który mocno zaskoczył przytulanego sześciolatka, nosiła spodnie i paliła żółte papierosy.

Przeczytałem Strzeż się, Marysiu!, gdy byłem zbyt młody, aby zrozumieć, co jest nie tak z tą książką; to ta, w której ciotce się poplątało i napisała o Bermondsey, kiedy jasno chodziło jej o Belgravię ; rozpustne „towarzystwo z Bermondsey” wyglądało jak postaci z Thackereya dziwacznie przetłumaczone na erę fonografu i pędzących bentleyów. W sumie, dlaczego nie? - pomyślałem. Potem skończyła w Chislehurst, ekscentrycznie odizolowana wśród swych prywatnych fantazji na temat Anglii.

Byłem dosyć poruszony portretem młodego księcia Bermondsey i ze świadomym entuzjazmem delektowałem się jej wywróconym do góry nogami światem. Skończyłem piwo i przyjemność zniknęła. Zamknąłem książkę i siadłem wyprostowany, opierając głowę o ścianę i bębniąc w zamyśleniu palcami po okładce, słabo uśmiechając się do siebie z rozpaczy, że już jest po wszystkim. A także z podniecenia rozbudzonego uświadomioną koniecznością. Spacerowałem po ulicach szybko i bez celu, z wyschniętymi ustami, zawrotami głowy wywołanymi wczesnopopołudniowym pijaństwem, pod blaskiem słońca sponad z rzadka rozsianych chmur. Niebawem znalazłem się na mojej ulicy, w moim pokoju i zamknąłem drzwi. Panował tam ciepły nastrój odosobnienia, jak w opustoszałym salonie, gdy wszyscy poszli do kościoła: a w nim pozostały zimne filiżanki po kawie i rozpostarte stare gazety, które służąca ma posprzątać pod nieobecność państwa.

Gdzieś tam teraz Luc... robi coś. Może w domu wraz z matką pochłania z apetytem lunch wśród sporadycznej wymiany zdań. Ona nie rozumiała, jaki jest piękny, cenzurowała go, gdy wyciągał te długie uda w białych dżinsach pod stołem, przy którym on i ja siedzieliśmy kiedyś przez godzinkę. Żył na gwiazdzistej marzycielskiej orbicie młodości, a ona starała się ściągnąć go na ziemię swoimi zmartwieniami i troskami. A może poszedł do kawiarni z dwójką przyjaciół i byli teraz trochę podpici i rozochoceni po butelce czerwonego wina. Przyjaciele muszą go kochać i mniej lub bardziej otwarcie pożądać. Leżałem rozciągnięty na pobrzękującym łóżku i rozmyślałem, wierzchem dłoni zakrywszy oczy.

Usłyszałem jeszcze, jak św. Narcyz wybił trzecią. Gdy się obudziłem, pokój pełen był cieni, a przez wydrążoną grubość ścian dochodził śmiech Hiszpanek.

Nie było zbyt wcześnie, by pójść do „Kasety” i czułem zapowiedź przeszywającego, suchego bólu głowy, któremu najlepiej zapobiec powodzią jasnego belgijskiego piwa. Na ulicach i placach wokół Ratusza Miejskiego zamykano właśnie sklepy, zwijano brezent znad straganów, wieszaki z ubraniami toczono na chybotliwych kółkach po bruku do czekających furgonetek, duża śmieciara posuwała się cał po calu przez rumowisko, karmiona od tyłu przez grupy niemłodych ludzi w kombinezonach... Ponownie przywracano właściwą temu miejscu pustkę, poddawano się jej - co napełniało mnie na zmianę wdzięcznością i paniką. Usuwano rzeczy w denerwujący sposób rozpraszające uwagę, ale pozostające po nich próżne miejsca sprawiały, że z niecierpliwością wyglądałem towarzystwa: towarzystwa, w którym mógłbym pobyc i z którym mógłbym podzielić się moim nowym, szalonym sekretem.

Cherif był już przy barze, siedział samotnie przy najdalszym jego końcu, opierając się o kontuar, pijany i przygnębiony po kilku godzinach telewizyjnej piłki nożnej. Na ekranie powyżej mędracy w białych swetrach analizowali grę, a Cherif grzmotnął pięścią w blat oglądając powtórzony w zwolnionym tempie wkurzający gol z pierwszej połowy. Chwilę trwało, zanim skupił na mnie wzrok i przyjął niezwykłą namiętność mojego pocałunku i objęcia. Kupiłem dla nas piwo i chwilęostałem za nim mocno przytulony głową do jego ramienia, podczas gdy oglądał wywiad z menażerem wygrywającej drużyny. Wciągnąłem w nozdrza dymno-piwny zapach ospałości, wetknąłem prawą dłoń pod pasek jego spodni i poczułem wyraźny początek włosów nad kutasem - to, co w wieku dziesięciu czy dwunastu lat, przejęci lękiem niby dzieci w bajce, nazywaliśmy „borem”. Jak każde dotykankie po omacku teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, zachowało świeżość i zdumienie tych pierwszych mrocznych wędrówek na tereny zakazane, pierwszego cudu przyzwolenia... Lewą rękę włożyłem do jego lewej kieszeni i pracowałem nad nim przez szorstką podszewkę, delikatnie, tak by nikt na sali nie zauważył - dopóki nie skręcił bioder i zaprotestował cichym sapnięciem.

Teraz, kiedy przyszło co do czego, nie widziałem, jak uczynić swoje wyznanie.

Zaprowadziłem go do stolika w kącie, chociaż wiedziałem, że nadal od czasu do czasu spogląda na ekran telewizyjny ulokowany pod kątem nade mną, tak że mógł tylko częściowo widzieć obraz, ale też nie mógł przestać próbować coś dojrzeć. Nie rozumiał, dlaczego musieliśmy się przesiąść, lecz ja byłem tak pochłonięty swoją tajemnicą i oklaskami, które powinny ją powitać, że nie dostrzegłem apodyktycznej nuty w swoim głosie.

- Cherif, posłuchaj - zacząłem. - Zakochałem się.

Spojrzał mętным wzrokiem, a potem pochylił się i pocałował mnie w usta. Czułem się całkiem zadowolony, że otrzymałem jego błogosławieństwo.

- Przyjacielu - powiedział.

- Stało się to dosyć nagle, ale chyba widziałem, że się zbliża. - Nadal milczał, nie dociekając, potem spuścił wzrok, jakby uczucie na chwilę go onieśmieliło, i sięgnął do kieszeni swojej skórzanej kurtki po papierosy i zapałki. - Przypuszczam, że możesz się domyślić, o kogo chodzi - ciągnąłem cicho chichocząc z ulgą, teraz, kiedy byłem tak blisko powiedzenia o tym. Zapalił fajkę, po czym wysunął jedną w moją stronę i chociaż nerwy kusity mnie i już czułem posmak dymu i cichutkie trzeszczenie palącego się papierosa, zbyt drżały mi ręce, bym mógł go przyjąć. Znowu zerknął na telewizor, potem na mnie.

Powiedziałem:

- To mój uczeń Luc - a on dokładnie w tej samej chwili wyznał beznamiętnie: - Ja też cię kocham.

Zwierzając się sięgnąłem przez stół, by przykryć ręką pięść Cherifa, a w ciszy, która teraz zapadła, spojrzał na nasze luźno złożone dłonie z dosyć imponującą pogardą. Pozwolił mi wcisnąć palce głębiej w swoją zwiniętą pięść, ale wnet je wycofałem.

- Oczywiście nadal chcę być z tobą - odezwałem się jak najniezręczniejszy cudzołóżnik.

I przez kilka sekund łaknąłem Cherifa i szalałem z wściekłości na niego oraz na siebie.

Po tym wszystkim popadł w ponury nastrój na resztę wieczoru i ciężko z nim było

wytrzymać. Powłóczyłem się po barze i znalazłem sobie miejsce wśród innych ludzi, niezbyt dobrze mi znanych. Może im się narzucałem - ale korzystałem z alkoholicznego poczucia braterstwa i piłem, żeby na nic nie zważać.

Przez chwilę gawędziłem z Gerardem, młodym muzykiem. Świetny kompan, ale jakby nieobecny - ten rodzaj osoby, w której zadurzyć się jest sprawą beznadziejną, co prawie mi się przydarzyło na początku, z powodu jego huczącego śmiechu i dowcipnych, sentymentalnych uwag. Powiedział mi, że ożenił się w wieku siedemnastu lat, ale przeprowadzili separację, zanim skończył uniwersytet: jego żona była silną, wymagającą dziewczyną i prawie go przekonała, że nie ma odchyleń. Ale gdzieś tak po roku odkrył, że tak samo jak przed małżeństwem, jego myśli cały czas biegną do innych mężczyzn. Mogłem sobie wyobrazić, jak ta para pochłonięta była sobą: opowiedział o tym, jak o jakimś krótkotrwałym zmartwieniu, jak o spóźnieniu na pociąg; lecz jasno widziałem, iż dręczy go to dużo bardziej. Położyłem rękę na jego ramieniu i pogłaskałem go kciukiem po karku, ale nie zbliżyło nas to ani trochę. Mimo że był mniej więcej w moim wieku, nadal miał trądzik i ubierał się beznadziejnie - w bezkształtne dżinsy, fluorescencyjne adidas i skomplikowane, zrobione na drutach wdzianko muzykanta; a jednak był piękny z tymi brudnymi blond włosami i orzechowymi oczyma. Otaczał go seksowny nastrój młodości, palącej papierosy i pijącej alkohol: jeśli nawet zbyt był bystry, żeby stać się alkoholikiem, to i tak bez wątpienia lubił sobie popić. Był dziewczęcy, ale nie ogolony; nagi prawdopodobnie okazałby się bardzo owłosiony, chociaż zastanawiałem się, czy jego ciało jest wiotkie, czy też ciężkie i silne. Zachowywał się swobodnie i miał szeroki zadek, lecz sprawiał wrażenie, że w walce byłby przykrym przeciwnikiem.

Ponieważ w swoim obecnym stanie mógłbym w każdy kontakt wnieść niepokojący ładunek uczucia, celowo wypytywałem go głównie o pracę. Grał w zespole muzyki dawnej, który spotykał się trzy lub cztery razy w tygodniu i dawał regularne koncerty w Katedrze i innych miejscach w całej Flandrii - widziałem go parę dni wcześniej z dyskretnie dziwną czarną walizką, która skrywała bombardon, choć jej wygląd sugerowałby raczej wysoce

specjalistyczne narzędzia chirurgiczne. Zespół nazywał się Ghezellen van der Musycke - nazwa nie bardziej artretyczna niż w większości takich towarzystw - i składał się nie tylko z instrumentalistów, ale też ze śpiewaków. Czasami Gerard przyprowadzał jednego czy dwóch do „Kasety”, ale oni siadali gdzieś w kącie, rzucali dziecinne żarty i wychodzili wcześniej. Gerard wyjawiał, że wkrótce ukaże się ich płyta, a potem mówił o dawnej muzyce religijnej tego miasta z takim entuzjazmem, że prawie uwierzyłem w niezwykle poszanowanie, jakie żywił dla opisywanych przez siebie różnorodnych mszy, motetów i innych osiągnięć prymitywnej polifonii. Parę drinków później nadal rozprawił o późnośredniowiecznym stylu życia, o nieustającym ciągu rytuałów i nabożeństw, psalmodii i procesji, dni świątecznych i obrządków. Poddawałem się temu biernie; czułem, że jest mu obojętne, do kogo mówi. Wciąż na nowo oślepiał mnie widok pleców Luca, sprawiając, że żłopałem piwo do dna. Gerard gawędził o wiecznie rozwijającym się burgundzkim dworze. Czasami ilustrował wypowiedź krótkimi urywkami z Obrechta i Dufaya, nucąc jęklwym głosem, jaki słyszy się na próbnym nagraniu prowadzonym przez podstarzałych dyrygentów. Zdaje się, że w maju tego roku Ghezellen grał na swych szałamajach i trombonach podczas Drogi Krzyżowej, wywołując jakieś niezdrowe uczucia w konwencjonalnych członkach zespołu miejskiego. Na Boże Narodzenie planowali odtworzyć uroczystości ślubne Karola Śmiałego i Małgorzaty York, w czasie których do kolacji przygrywali muzycy przebrani za zwierzęta: Gerard miał być zajęcem, a jego koledzy lwami, kozłami, niedźwiedziami i wilkami. Siedem małych wykona moryskę. Najwyraźniej w oryginalnym przedstawieniu uczestniczył dromader, ale na niczym nie grał. Spojrzałem ponad ramieniem Gerarda tam, gdzie zmrok zapadał na opustoszałej ulicy i na wszystkich cichych ulicach i podwórzach dalej. Wyobraziłem sobie drogę do domu, przez tylną alejkę zwaną Ślepym Lisem, a potem przez jasno iluminowaną ulicę.

Zacząłem opowiadać Gerardowi o moim ojcu, o płytach nagrywanych przez niego i o tym, jak to było dorastać w domu muzyka, o zapachu krochmalu, o szpitalnej ciszy, zimnych kolacjach przykrytych ściereczką i czekających na jego późny powrót z recitalu w Hove czy oratorium w katedrze Guildford. Gerard rozdarty był między przyjacielskim entuzjazmem a

protekcjonalną pobłażliwością w stosunku do tego nie znanego tenora z repertuarem od Haendla i Mendelssohna obniżającym loty przez Balfe'a i Johna Bacchusa Dykesa do Oklahoma! i okazyjnej składanki z Lennona i McCartneya. Pokręcił głową i powiedział: - To całkiem inny świat, prawda? - jakby dziwić się wytrzymałości mego ojca i dystansując siebie, jako muzyka, od jakichkolwiek hańbiących go związków. Już miałem mu wykazać, że Lewis Manners dał światu daleko więcej szczęścia, niż Ghezellen van der Musycke kiedykolwiek będzie miało szansę dać, a co więcej, naprawdę potrafił śpiewać, ale moją uwagę rozproszył Cherif wspinający się na stołek barowy kawałek dalej i z urażoną miną mieszający resztkę drinka w szklance.

Później rozmawiałem z Mattem. Matt był smukłym i bladym mężczyzną, z włosami przylizanymi do tyłu i cynicznym uśmiechem, który nigdy nie sięgał lewej strony ust. Miał w sobie jakiś afektowany spokój; kiedy spoglądał na człowieka, ledwo muskał go wzrokiem, jakby już doszedł z nim do porozumienia. Gdy widziałem go tu poprzednim razem, zachowywał się przemądrzale i niby drobny spekulant baczył na swoje mankiety i kanty na flanelowych spodniach. Zrozumiałem, że ma coś wspólnego z komputerami oraz że posiada mnóstwo pieniędzy, co wyjaśniało, dlaczego tak wyróżnia się elegancją i opanowaniem wśród przyjezdnych młodzików odwiedzających bar, i wzbogacało stałe magnetyczne pole seksu i niewierności, które (o czym dobrze wiedział) go otaczało. Dziś wieczór był w czystych, nowych dżinsach i koszulce z reprodukcją Toma of Finland: jeden baniasty rowerzysta zamykał w objęciach drugiego na płytkim wgłębieniu w klatce piersiowej Matta. Wysłuchał uważnie choć beznamiętnie mych pełnych bólu, nietaktownych wzmianek o Lucu i Cherifie, potem położył mi dłoń na ramieniu i cicho przemówił. Jego wypowiedź była monotonna i szczegółowa, a wszystko, co mówił nabierało klimatu double entendre . Sprawił, że uczułem mrowienie w plecach i pustkę w piersi. Mówił o „najlepszych miejscach w mieście”: najlepszym miejscem była Pustelnia, czyli jakiś stary ogród na skraju miasta.

Poszliśmy z Mattem przez wąską, teatralnie ponurą alejkę Ślepego Lisa, a potem

dziesięć minut siedzieliśmy w autobusie, czekając aż ruszy. Obejrzałem sobie garstkę pasażerów, ospałych ze zmęczenia lub wytrząsających gazety środkiem na zewnątrz w poszukiwaniu ostatniego nie czytanego ogłoszenia, i zacząłem rozmyślać nad swoim dosyć dwuznacznym położeniem. Matt zabierał mnie do Pustelni z powodu tego, co mu powiedziałem o moich kłopotach, o minionym dniu, stwierdził pewnie, że to pozwoli mi zapomnieć; jechaliśmy tam razem - zrobiliśmy olśniewające wyjście z „Kasety” - ale kiedy znajdziemy się na miejscu, każdy będzie musiał zająć się sobą. Z tego, co zrozumiałem, Matt był zupełnie pewien, że spotka budowlańca z Leuven, którego miał tam w poprzednią sobotę; nie będzie chciał, żebym się przy nim pałętał niczym młodsza siostra, chociaż czułem dosyć komiczny strach, że będę ciągle na nich wpadał wędząc za zdobyczą. Tak naprawdę to po prostu sam chciałem Matta, ale sekundy mijały, a ja nie miałem siły mu o tym powiedzieć: siedzieliśmy z rękoma przewieszonymi przez oparcia siedzeń przed nami i sporadycznie rzucaliśmy uwagi o tym i o owym.

Na pierwszym przystanku wyjrzałem przez okno i kogóż tam ujrzałem, jak nie Cherifa? Wgramolił się do środka i natychmiast usiadł z przodu obok małego staruszka: nie wiedziałem, czy nas zauważył, ani czy miał świadomość, że go ukradkiem obserwujemy, kiedy zdejmował swoją ohydną tweedową czapkę i siedział trzymając ją zwiniętą w dłoniach jak żołnierz. Pomyślałem, że jest niespokojny, a także ponuro zdeterminowany, niezależny, lecz pełen nadziei, że popsuje nam szyki, jeśli tylko będzie mógł. Był to tak dziecinny fortel, że po raz pierwszy w trakcie tego przymglonego, lekkomyślnego wieczora uświadomiłem sobie, iż Cherif czuje się prawdziwie zraniony: kiedy gnaliśmy po bezludnej tafli okrężnicy, przez kilka chwil myślałem, że to może moja wina, że zdeptałem uczucie delikatniejsze, niż on był w stanie okazać, i że w gruncie rzeczy to ja jestem prostakiem, za którego miałem Cherifa.

Potem Matt pociągnął za dzwonek i zatrzymaliśmy się z parsknięciem przy wiacie, gdzie niebywale, wonne lipy wznosiły się nad wysokim ceglanym murem. Dwóch luźno objętych chłopców, jeden tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach, drugi podrapany i z

gęstymi, przepoconymi włosami sterzącymi pionowo, czekało, aż wysiądziemy. Czułem się, jakbym za późno przyszedł na przyjęcie, choć była dopiero 10.30 czy coś koło tego. Matt, którego jedyny cel stanowił seks i który nie tolerowałby żadnych poniżających towarzyskich ambarasów, wymruczał do mnie, żebyśmy puścili Cherifa przodem. Po chwili ruszyliśmy za nim, Matt nagle czujny i spięty, zapalił pierwszego papierosa, zapominając o mnie, czy też o tym, by mnie poczęstować. Mur skręcił łukiem w kierunku dużej, powyginanej żelaznej bramy, po której Matt natychmiast zaczął się wspinać. Poczekalem, aż przejdzie. Byłem dostatecznie pijany, żeby bez namysłu podążyć za nim, wpychając śliskie buty w nieregularną drabinę z prętów i zakrętasów i windując się na sam szczyt, podczas gdy brama brzęczała przy zawiasach. Kolejna grupa młodzieńców z butelkami piwa niemalże szeptem wydała okrzyk, kiedy zeskoczyłem na dół, a potem powiedziała „Dobry wieczór” z tak chuligańską uprzejmością, że się rozchmurzyłem. Byłem wewnątrz. Rozejrzałem się za Mattem i wyczułem zapach żelaza na swoich dłoniach; ale on zniknął.

Ruszyłem aleją na wprost. Jeden z chłopców coś zawołał, ale ja machnąłem ręką i szedłem dalej, zwalniając, gdy straciłem z oczu światło ulicznych lamp, a masa drzew odcięła niebo nade mną. Od czasu do czasu wiał lekki wiatr i, gdybym był trzeźwy, mogłoby być mi chłodno; powietrze przepajał leśny zapach liści i ziemi, a silny szok, że znowu znajduję się na łonie natury po tygodniu cegły i kamienia, przejął mnie dreszczem. Przez chwilę stałem bez ruchu na ścieżce i słuchałem, jak chłodny powiew przelatuje od jedengo końca lasu do drugiego. A mój drogi, nieżyjący ojciec śpiewał Gdziekolwiek pójdiesz, ze słowami powtarzanymi idiotyczną ilość razy, „Gdziekolwiek pójdiesz, chłodne wiatry owieją polany, / Drzewa, gdzie siądziesz, dadzą ci cień”, i przy każdym powtórzeniu udawało mu się na nowo wyrazić zdumienie...

Za mną droga tworzyła jaśniejszą, lekko zamgloną szczelinę, a kiedy wyłoniłem się spomiędzy drzew i rozejrzałem wkoło, przekonany, że roi się tam od ludzi, powstrzymujących śmiech jak goście na przyjęciu-niespodziance, ogromny księżyc w trzeciej kwadrze, blisko, ledwie pół mili stąd, i żółty jak mosiądz, uniósł się w górę.

W pięć minut zdemaskował żalosne pozostałości Pustelni na lewo, a przed nią szerokie pole, w oddali zwężające się w następną aleję i błysk wody. Nie było ani śladu życia i przez chwilę myślałem, że naprawdę spóźniłem się na przyjęcie albo że, gdybym posłuchał chłopaka przy bramie, byłbym teraz w skądinąd niedostępnym miejscu, gdzie coś się dzieje. Tak czy tak, czułem się zakłopotany i wlokłem się wdłuż ścian Pustelni, jakby przywiódło mnie tu czyste zainteresowanie architekturą. Stał tam zwieńczony kopułą pawilon, połączony kolumnadą z niskim domem z pozamykanymi okiennicami. Jego fragment został z grubsza odrestaurowany jako kawiarnia oraz coś, co mogło być składzikiem dozorczy parku. Rodziny przyjeżdżały tu przez okrągły rok; za budynkami znajdował się piaszczysty placyk z huśtawkami i drabinką do wspinania. Ruszyłem z powrotem wzdłuż kolumnady i zająłem przez okno do wnętrza pawilonu, skąd księżyc wydobył gigantyczne trofeum - dzbanek na herbatę.

I dalej przez wysoką trawę, w pijackim upojeniu moje czyny niemalże uprzedzały decyzje, by je wykonać. Znalazłem się we mgle, która wisiła pomiędzy olbrzymimi bukami jak suchy lód na jakimś romantycznym proscenium powoli przetaczający się przez orchesterę... Dwa zniszczone rokokowe lwy stojące na flankach ciemnego kanału ledwo widziały się nawzajem. Szedłem wzdłuż wody do samego końca, ucząc się odczytywać drogę w przyciemnionym świetle księżyca i refleksujących pasmach słodkowodnej mgły, a moje serce co jakiś czas zamierało na widok czekającej postaci, lecz była to jedynie omszała Pomona lub Apollo, których rysy zatartł czas - podobnie jak budzone przez nich nadzieje. Nie miałem pojęcia, czy zbliżam się do miejsca zabawy, czy coraz bardziej i bardziej oddalam, w rejony, gdzie jedyne, co się porusza, to gronostaje, lisy i dziwaczne, przerażone turkawki. Matt wspominał o czymś w rodzaju konwencjonalnego ogrodu, prawie labiryntu, jak go sobie wyobrażałem. Wróciłem drugą stroną kanału, a że zacząłem tęsknić za drinkiem, stwierdziłem, że chyba już pojedę do domu.

Zdało mi się, iż dostyszałem muzykę - powolną dwuptciową piosenkę pop - ale bryza porwała ją i podrzucała jak w walcu, a potem uciszyła długim poszumem liści. Ruszyłem w

tamtym kierunku z niezręczną determinacją przez prawie zupełną ciemność panującą w lesie, z trzaskiem deptając bukowe orzeszki i liście, muskany niskim poszyciem, unosząc stopy wysoko, ale i tak to tu, to tam potykając się o suche gałęzie. Wiedziałem, że powinienem iść z powrotem w stronę ulicy. Cichym, pogodnym monologiem zbeształem się za tak długą, samotną i scenicznie okrężną drogę do miejsca, które było w zasięgu ręki na starcie: świecące wskazówki zegarka wskazywały 11.20. Czułem się bardzo daleko od domu i przez chwilę stałem nieruchomo sprawdzając swoją chęć na seks, tak jak sprawdza się poziom oleju w samochodzie. Stwierdziłem, że jak na razie wystarczy mi jej i pognałem w kierunku muzyki, krótkich błysków światła i wydawanych przez chłopców sowych pohukiwań.

Ktoś miał latarkę i wędrował po lesie włączając ją i wyłączając, co wywoływało różne okrzyki i pomruki, a od czasu do czasu śmiech. A może to śmiał się sam właściciel latarki, pijany i nużąco rozfiglowany. Na krótką chwilę znalazłem się na bladej granicy jej promienia, niepewny, czy mnie widać i czy chcę, by ktoś mnie zauważył, czy jestem intruzem czy błądzącym gościem dopiero co przybyłym do zaciemnionego przybytku rozkoszy, wdzięcznym za jaśniejącą czarodziejską różdżkę biletera. Wtem promień przeskoczył w lewo i wyłowił sylwetki dwóch mężczyzn opartych o drzewo, dzinsy wokół kolan, ramię wokół szyi, dłoń prostacko obłapiająca blade pośladki - po czym znów pogrążyli się w ciemnościach, zbyt pochłonięci sobą, by się przejąć lub zaprotestować. Latarka zgasła, a ja stałem spokojnie, podczas gdy wiszący w powietrzu obraz, migotliwy, ektoplazmatyczny pośladki, zniknął i blakł. Po chwili światło znów zabłysło i na kilka sekund objawił mi się cały ogród.

Ujrzałem szeroką, okrągłą polanę, która mogła być urocza wieki temu, kiedy las stanowił ledwie szkółkę z regularnymi szpalerami zwięzającymi się w oddali. Teraz przypominała pejzaż ze snu, potężne drzewa poruszały się beznamiętnie nad kręgiem cisowych altan wyposażonych w ławki z gryfimi nogami, a na środku znajdował się napęczniony kamienny basen, czysty i zasilany wodą w tajemniczy sposób.

Kilku wyrostków siedziało po turecku na jego wilgotnym obramowaniu: mieli

kombajn, nastrojony na jakąś mocno nostalgiczną nocną stację - słuchali Herman's Hermits, a następnie Village People, zagłuszanych od czasu do czasu przez buczenie i jęki meteorytów oraz kontynentalny bełkot z sąsiedniej długości fal. Wylazłem spod drzew tłumiąc nadzieję na randkę jak podłotek, z rękami w kieszeniach. Jeden z chłopców zawołał: - Haluu! Co słychać? - i kiedy podszedłem do nich, podaliśmy sobie ręce i zmierzyliśmy się nawzajem wzrokiem przy płomieniu jednorazowej zapalniczki. Potem znowu ciemność. Ktoś powiedział, że widział mnie w „Kasecie”, ktoś inny myślał, że on też. W nastroju dobroduszej jednomyslności, wetknięto mi w rękę dużą plastikową butelkę, a Dusty Springfield wyznała, że po prostu nie wie, co ze sobą począć. Jeden z moich kompanów zaśpiewał wraz z nią, uprzedzając słowa i myląc się. Przynajmniej było coś do picia. Przechyliłem powgniatany gąsior i z niedowierzaniem przełknąłem łyk soku pomarańczowego.

Każda cisowa nisza oferowała dyskrecję. Wolnym krokiem obszedłem krąg sprawdzając, co się dzieje. Z niektórych dochodził stały szybki rytm lub mruczone zachęty, albo głęboki, gwałtowny oddech, gdy rozkosz sięgała szczytu. W niektórych słychać było dziewczęce chichoty i szepty. Inne wydawały się puste i ciche; w kilku jaśniał i przygaszał papieros palony w samotności. Przeszedłem wokół jeszcze raz, z odrobiną sztuczną niedbałością, świadom, że jestem o wiele lepiej widoczny dla tych, którzy tam czekają, niż oni dla mnie. Przy blasku z żaru papierosa wydało mi się, że dostrzegam bladolicą maskę i podniesiony skórzany kołnierz. Żałowałem, że nie mam na sobie mojej skórzanej kurtki, że nie zaplanowałem całej tej eskapady. Czy Matt nadal znajdował się tutaj? Czy spotkał swego budowlańca? Czy ten piękny mężczyzna pieprzył się gdzieś kilka stóp dalej? Czy też był w lesie, poza zasięgiem światła latarki, z martwymi liśćmi we włosach i wilgotną ziemią odcisniętą na plecach, ujarzmiany przez swojego murarskiego kolosa? Znowu minąłem tę samą alkowę, dygocząc z pożądania i wstrętu, i usłyszałem jakiś dźwięk - może tylko chrząknięcie po gitaniu, męski pomruk gotowości, samej obecności... A gdzie, u diabła, jest Cherif? Spazm wścieklej zazdrości wepchnął mnie do środka.

Nigdy nie wiedziałeś, czego się spodziewać. Nie wiedziałeś, czego oni się

spodziewają. Nie mieliście tej przewagi, że razem chodziliście do szkoły. Nie mogłeś wmawiać w siebie, iż marzyłeś o nim przy drinku lub kolacji, nie znaliście swoich imion, ani czegokolwiek innego. Absolutna, czarna niewiedza była całym pięknem tych spotkań, a także ich monotonią. Może potem nastąpi krótka wymiana zdań i informacji przy płomyku zapalniczki, zanotujesz numer, zbyt często tylko jeden... Najprościej było, jeśli od razu zaczynali cię obciążać lub zmuszali do tego ciebie: brałeś się do rzeczy, wiedziałeś, co robisz i że prawdopodobnie nie potrwa to długo. Ale od pierwszego pełnego napięcia zaspakajania potrzeb na błoniach w wieku siedemnastu lat czasy się zmieniły. Powstały nowe zasady, które nie przychodziły zupełnie naturalnie... Czasami ci nieznajomi stawali się bardzo czuli, pieścili językiem całe twoje ciało, kłuli zarostem, wzdychali i jęczeli. Czasami prawie wcale nie chcieli cię dotykać, trzymali cię na dystans, jak kogoś, kogo nie chce się uścisnąć przy pożegnaniu; a potem ręka schodziła niżej i z roztargnieniem zabierała się do roboty. Czasami chcieli stać mocno przyciśnięci do twoich pleców, czasami chcieli, żebyś ty im to robił. Czasami ty też chciałeś. Oczywiście często byli pijani lub naćpani, tak jak i ty, i wszystko miało mniejsze znaczenie - w każdym razie, ledwo co pamiętałeś. Raz na jakiś czas zdarzało się najlepsze różnicie od dwóch czy trzech lat.

Mężczyzna przydeptał papierosa, ale jego zapach pozostał i jakby się zestalił wokół niego. Szybko przesunąłem dłonią po zapinanej na klamerci skórzanego kurtce i w dół po tęgawych nogach, jakbym przeszukiwał go na lotnisku. Miał na sobie mnóstwo metalu - sprzączki na rękawach kurtki, pęk kluczy przytroczony grubym łańcuszkiem do szlufki na pasek, ołowiana klamra samego paska, nity w džinsach. Kiedy się wyprostowałem, niezdecydowanie przesunąłem dłonią po mojej twarzy, palcem kwaśno pachnącym nikotyną pod moim nosem; potem po piersiach, brzuchu, uspokajająco, wymijająco. Z kolei dotknąłem jego głowy, pogładziłem za uchem, w którym wisiała kiść trzech czy czterech kolczyków i jeszcze wkręcony ćwiek. Włosy miał gładkie, przylegające do czaszki, a kiedy objął mnie ramionami i przyciągnął blisko do siebie, sięgnąłem dalej do podwójnej gumki i jedwabistego końca końskiego ogona. Było mi tam z nim miło i ciepło.

Mimo to nieszczęśliwie go polubiłem; wśród westchnień i pomruków wydałem nad jego ramieniem potężne ziewnięcie, którego ostatni paroksyzm obróciłem w dreszcz i kłający pocałunek opancerzonego ucha. Próbowałem wyobrazić sobie, że to ktoś inny wyciąga mojego kutasa - który był odrobinę ponury i odrobinę psuł zabawę, bo chciał spać. Ja również należycie pochwyciłem jego raczej natarczywy, anonimowy, sztywny mały interesik. Przypuśćmy, że to Matt, a nawet Gerard... ale zacząłem się oswajać z nocą, zacząłem dostrzegać ciemny owal jego twarzy na tle głębszej ciemności za nim, a kiedy otarł się o mnie, wyczułem postrzępione końce wąsów. Wiedział, że się waham, i z serdeczności lub czystej niewrażliwości natarł jeszcze mocniej: nastąpił szybki rytualik jęków: - Och, tak... och, tak... och, tak... - i spuścił się obficie na przód mojej koszuli. Zamknąłem oczy. Przez chwilę wspierając się na mnie i owiewając mi twarz gorącym oddechem dochodził do siebie, a potem znowu zajął się mną. Z poczuciem świadomego świętokradztwa w końcu dopuściłem do siebie myśl o Lucu. To Luc stał za mną, jego wyładowany ptak znów sztywniał pomiędzy moimi nogami, silna, młoda dłoń Luca energicznie, prawie zbyt zawzięcie, waliła mi konia, zdecydowana dać mi rozkosz, skupiona tylko na tym: Luc, który złożył drugą dłoń, żeby pochwycić moją ciepłą spermę.

Powoli okręciłem się w jego ramionach, nocny wiatr przyniósł kilka fraz wyśpiewanych anielskim tenorinem Stevie'ego Wondera na fali ciemniejszego, niewyraźnego poszumu lasu, wysoka trawa chwiała się i szeptała, ktoś przebiegł i zabrzmiał rytmiczny szelest ocierających się o siebie nogawek ortalionowego dresu, a o stopę czy dwie obok nas czatowało światło latarki. Oto my - dwaj mężczyźni, pijani, niezgrabni, ze spermą na dłoniach i ubraniach. Spojrzał na mnie z rozbawieniem, podczas gdy ja skrzywiłem się i odwróciłem.

4

- Widziałem cię w mieście.

- Kiedy to było?

- W sobotę, na rynku. - Luc zachowywał się ostrożnie i rozważnie, pozostawiając

sobie drogę odwrotu, gdyby jego pierwszy przyjacielski gest został odrzucony. Wpatrywałem się w pociągły, przejrzysty cud jego twarzy, masę śliskich włosów, w tę brutalnie podatną na zranienie wargę. Był odrobinę kiczowatym dziełem artysty, który rzeźbił w alabastrze jakby był to scukrzony miód. Twarz miał lekko odgniecioną od snu, a na nie golonej jeszcze codziennie szczęce strzępek puchu z ręcznika.

- Kocham cię.

Spojrzał na zeszyt i ułożył czerwony, czarny i niebieski cienkopis w jednej linii z jego górną krawędzią. Zasypałem go jeszcze kilkoma rundami milczącego „kocham cię”, co zajęło raptem dwie czy trzy sekundy.

- Powinieneś być powiedzieć mi „cześć”.

- Obawiam się, że nie zdążyłbym. - Czy wyczuł nieporadną panikę w mojej nagłej ucieczce na drugą stronę placu? - Byłem z przyjaciółmi. - Och, jego przyjaciele... Pomyślałem o tym urodziwym, wzajemnie się adorującym trio oraz o tuzinkowej poufałości niższego, ciemnowłosego chłopca i tej dziewczyny z moim Lukiem, i byłem już bardzo bliski opowiedzenia o moich przyjaciółach. Nie może uważać, że jestem samotnym safandulą. Serce mi waliło, a moja własna górna warga była sucha, wywinięta i jakoś tak przyklejona do zębów w nerwowym rozwarciu; było mi bardzo ciepło.

Znów znajdowaliśmy się w jadalni, nie twarzą w twarz jak przy pierwszej rozmowie z tą jej atmosferą czeku bez pokrycia, ale prostopadle do siebie, u szczytu stołu. Przewidywałem, że nasze stopy zetkną się, czułem tętno nogi założonej na nogę delikatnie dotykającej tydki tego drugiego, jeśli pod koniec godziny odsuniemy krzesła i będziemy rozmawiać. Nie pomyślałem o tym, ale miałem światło za plecami, przepłukane światło nizin, które iluminowało Luca, sprawiając, że parokrotnie zmarszczył się, gdy słońce przebiło się przez listowie orzecha i uderzyło w te wąskie, szczerze nieromantyczne oczy. Nie pojmowałem, jak on może nie zauważać moich uczuć, które zdawały się błąkać i odbijać po całym pokoju, nie śmiejąc się skupić na swoim obiekcie. Na pewno zachowywałem się nietypowo.

Weszła jego matka z dwiema filiżankami kawy na pozłacanej tacy z papier-mache, które wydały mi się pocieszającym symbolem mego życia z Lukiem, dowodem swojskiej normalności, który widziałem powtarzający się w pasażu nadchodzących miesięcy niby malejący i w końcu znikający lokaj na butelce Camp. Pani Altidore przez chwilę kosztowała naszej urywanej konwersacji, po czym wycofała się jakby nie całkiem zadowolona z jej barwy i smaku. Kiedy wyszła, podskoczyłem, żeby wziąć cukier z kredensu, mając się na baczności przed jej dogmatyczną kampanią zmuszającą mnie do schudnięcia, co sprawiło, iż poczułem, że jestem przekornie pozbawiony charakteru i że psują mi się zęby. Ale co tam, do diabła. Dostrzegłem swoje odbicie w skośnej szybie jednego z czarniejszych portretów Altidore'ów i wcale nie wyglądałem tak źle: tylko czasami w snach stawałem się prawdziwym dychawicznym tłuściochem. Zaproponowałem cukier Lucowi, który odmówił z nutą sennego lekceważenia; nie było na nim grama zbędnego ciała. Wyobraziłem sobie, jak się brandzluje w łóżku, może pół godziny temu, głęboki wdech i miękkie perły spadające na jego włosy łonowe. Skrupulatnie odstawiłem cukiernicę na miejsce obok srebrnej flaszeczki na ocet, groteskowej patery i butelki ze złocistym całem koniaku.

- Opowiedz mi o swoich przyjaciółach.

- Cóż, nie ma zbyt dużo do opowiadania.

- Spodziewam się, że masz bardzo wielu przyjaciół.

- Nie, nie tak znowu wielu. - Opuścił głowę, żeby wziąć pierwszy łyk kawy. - Miałem dobrych przyjaciół u Świętego Narcyza, ale teraz nie widuję ich za często. - Jego głos brzmiał cicho, natarczywie, nieufnie: łamiący serca Brutus ze szkolego przedstawienia; czasami pobrzmiwała w nim poranna chryпка, jakby już nałogowo palił papierosy.

- Nie wierzę, że wszyscy cię opuścili, że postanowili nie być już twoimi przyjaciółmi.

- Jest paru, niewielu, ludzi, którzy zawsze będą twoimi przyjaciółmi, nawet jeśli nieczęsto ich spotykasz, i są też inni, których widujesz... których widujesz przez cały czas, jasne, oni są przyjaciółmi, ale gdy życie toczy się swoim torem, zaczynasz o nich zapominać i odkrywasz, że nie macie już sobie wiele do powiedzenia.

- Jakież to prawdziwe.

- Na przykład u Świętego Narcyza miałem przyjaciela Jeroena, wiesz, zwykliśmy spotykać się codziennie, i tak było też przed szkołą. Jego ojciec studiował razem z moim, więc bawiliśmy się z Jeroenem, kiedy byliśmy mali. Obaj jesteśmy, cóż, dosyć dobrymi biegaczami, ale on zaczął biegać szybciej niż ja i pewnie uprzedziłem się do niego - oczywiście nie okazywałem tego, ale wiesz, to tkwiło gdzieś tam w środku. Tak, głęboko. Ale teraz, gdy spotykam go w mieście, jak na przykład wczoraj, zbija mnie to z pantafyku, bo prawie nic do siebie nie mówimy, a może też jestem trochę zażenowany, gdyż nie chodzę już do szkoły, ale potem myślę sobie, że on chciałby być doroślejszy i też nie chodzić do szkoły, mimo że teraz jest jednym z czołowych prymusów - jak wy to mówicie, prefektów, tak - i kapitanem wszystkich drużyn. Śmiejemy się z siebie nawzajem przez chwilę, a potem się rozstajemy.

Mój biedny, kochany Lucu! Jakich nienawistnych rzeczy musisz się jeszcze nauczyć. Zrobiłem dobroduszną minę - ale nie nazbyt dobroduszną: wyrozumiąły, głupawy uśmiech prawdziwego przyjaciela. Pocieszająca była myśl, że starzy, nie doceniający go przyjaciele odpadają, zostawiając tylko nasze małe grono bałwochwalców, nie niepokojone przez innych pochlebców i próżniaków (choć schizma i zdrada w tak fanatycznej klicie stanowi kolejne niebezpieczeństwo, które należy brać pod uwagę). Pomimo to, stawiając następne pytanie, sam sobie wydałem się grubianinem i znowu przez sekundę odczuwałem zamierzone lekceważenie przesłuchującego dla etykiety, odsuniętej na dalszy plan przez niepohamowaną logikę potrzeby, by wiedzieć wszystko.

- Zatem kim są teraz twoi główni przyjaciele, twoi najlepsi przyjaciele? - I ręka zadrzała mi tak mocno, że musiałem odstawić filiżankę na spodeczek nie pijąc kawy. Błady uśmiech sugerował zaskoczenie zapewne niewinnym natręctwem, wyzwaniem, by oceniać sprawy tak osobiste i dyskutować o nich w obcym języku. Lecz po chwili, opuszczając wzrok i wpatrując się w ciemne wiry i słoje orzechowego blatu, zdawał się mówić, że chce wyzwiać, potrzebuje wyróżniać się, i że mam rację poddając go tak intymnej próbie w trakcie naszej

urzędowej godziny. Z ukłuciem pewności i żalu zrozumiałem, że nie odpowiedziałby szczerze, gdyby nie uważał mnie za nieistotnego pracownika, którego traktuje jak równego sobie tylko dlatego, że jest dostatecznie dobrze wychowany. Na chwilę spadłem z pozycji członka straży pretoriańskiej do pozycji ubogiego członka czeladzi w odległym, uwięzionym w czasie szlachetnym domostwie.

Pierwszą osobą, którą opisał, był jego przerażająco inteligentny rówieśnik od Świętego Narcyza, Arnold, który zdał egzaminy końcowe rok wcześniej, a teraz studiował na uniwersytecie w Leuven, robiąc około dziesięciu różnych specjalizacji jednocześnie, i obrął sobie za cel ukończenie edukacji w o połowę krótszym czasie niż wszyscy.

Nieprawdopodobne, aby był to ten przystojny niski chłopak, którego widziałem w sobotę rano, z włosami przystrzyżonymi na gracza rugby i powierzchownością bystrzaka, ale na pewno nie intelektualisty. Zatem po minucie czy dwóch przerwałem mu panegiryk na cześć fenomenalnego umysłu Arnolda, młodzieńca władającego sześcioma czy siedmioma językami, grającego prawie że z niedbałą wirtuozerią na organach i wiolonczeli, aby podkreślić znaczenie opisu cech fizycznych. - To powinieneś przedstawić mi najpierw. Wyczarować wygląd człowieka, zanim zagłębisz się w te wszystkie historie o jego umyśle.

- Cóż, jest dosyć wysoki...

- Ach.

- Czy powiedziałem coś nie tak?

- Nie, nie. Mów dalej. Jaki jest wysoki? Twojego wzrostu?

- Odrobinę wyższy niż ja. - Luc zamilkł, jakby spełnił wymogi opisu zewnętrznego, ale ja przycisnąłem go jeszcze trochę - rodzaj ubrań, okulary, lekkie wady wymowy - żeby ukryć mój brak zainteresowania.

- I Arnold jest twoim najlepszym przyjacielem, tak? Musi ci brakować jego towarzystwa i tego, żeby ci mówił co jest co.

- Co jest co. Tak, to prawda. Ale pisujemy do siebie, a on przysyła bardzo długie listy z informacjami, co czyta, jaką muzykę gra i tak dalej.

- A ty o czym piszesz w swoich listach?

- Oczwiście przekazuję mu, co sędzę o książkach, które kazał mi przeczytać; i o muzyce, ale mniej, ponieważ on szalenie lubi muzykę organową, a ja jej nie znoszę.

- Zupełnie słusznie. - Luc uśmiechnął się pierwszym uśmiechem naszej przyjaźni, niemalże zamknął oczy, a szeroka górna warga obnażyła dziąsła i wilgotne siekacze. Nagle zauważył chyba, że wpatruję się w jego usta, uśmiech zamarł, Luc zaczerwienił się i odwrócił wzrok zapierając się wszystkiego. Czy też był jedynie skrępowany, że przez chwilę zachowywał się tak bez skrępowania? Nie rezygnując ze śledztwa na temat jego kumpli, zboczyłem na chwilę w muzykę i to, czego słucha. Oświadczył dość przygnębiająco, że lubi „wszystkie rodzaje muzyki” - poza rzeczonym wyjątkiem straszliwej dudniącej, grzmiącej i zawodzącej mechaniczności organów (nie ujął tego dokładnie w ten sposób) - a przyparty do muru wspomniał o Philipie Glassie (opornie, jakby wiedział, że nie jest on wcale dobry) i o triach na pianino Schuberta (które Arnold grywał wraz z przyjaciółmi z uniwersytetu i nalegał, aby Luc również miał je w swej głowie i w swym organizmie). Z pewną rozpaczą wróciłem myślami do dni, kiedy po raz pierwszy napychałem sobie głowę tymi triami, a teraz absolutnie nie chciałbym ich wysłuchać na nowo. Ale to działo się połowę mego życia temu - gdy w wieku Luca odkrywałem świat.

- A kim są twoi najlepsi przyjaciele tutaj w mieście?

Ponuro pociągnął kilka łyków kawy. - Może mój najlepszy przyjaciel nazywa się Sybille.

- To piękne imię - skomentowałem niedbale, jakby podłoga nie zapadła się pod moimi stopami i z postrzępionej rasy na suficie nie sypał się złowieszczy pył. I niby jakiś stary hetero, od którego skóra cierpnie, ciągnąłem: - A czy Sybille jest równie piękna jak jej imię?

- Tak, chyba można powiedzieć, że jest bardzo piękna.

- Jasnowłosa, jak przypuszczam? - niezgrabnie wabiłem go w sidła.

- Właściwie ma włosy ciemnobrązowe.

- Wysoka i groźna jak Sybille Michała Anioła?

Luc unióś brwi, zapędzony w kozi róg pytaniem, które w rzeczy samej wypowiedziałem podwójnym diapazonem kiepskiego aktorzyzny, jakbym grał pod gust jakiegoś trzeciego, niewidzialnego towarzysza.

- Nie jest wysoka - odrzekł.

- Sybille były mądrymi kobietami, prorokiniami. Michał Anioł namalował je w pachwinach łuków w Kaplicy Sykstyńskiej, trzymające księgi z przepowiedniami.

- Tak, wiem. - Zatem myślisz, że wiesz, co to są pachwiny łuków, tak? W takim razie, czym one dokładnie są...? Zawahałem się i zamknąłem drzwi przed obrazem Luca z jego współczesną sybillą, spotykającego się z nią w wolne popołudnia, przemierzającego ulice w sentymentalnym uścisku, herbata w kawiarni, ona na poduszce, on zarozumiały w swoim pierwszym zakochaniu. - Chodzi nadal do szkoły?

- Tak, do ostatniej klasy.

- U Świętego Narcyza?

- U Świętego Narcyza nie ma dziewcząt. Chodzi do Świętej Oportunaty, niedaleko Katedry. To jest nawet jeszcze starsza szkoła, założona w czternastym...

- Dokładnie tak. A... a znasz inne dziewczęta stamtąd?

- Tak, bardzo dużo - odpowiedział z lekko prowokacyjnym skinieniem głowy. A dlaczegożby nie miał znać dużo, nawet bardzo dużo dziewcząt? Ja sam znałem ich całe mrowie, kiedy byłem w jego wieku, co prawda teraz jakoś mniej, z braku tych sposobności, jakie daje szkoła i uniwersytet. I czyż Edie nie była pod wieloma względami moim najlepszym przyjacielem? Czy nie chodziliśmy ramię w ramię po Fore Street, a nawet przy okazji kręciliśmy się po Cricketfield Lane w uroczej, wyzutej z erotyzmu parodii narzeczonego z narzeczoną - marząc, paplając, zarzucając się afektowanymi zwierzeniami?

Chciałem wiedzieć więcej, ale bałem się, że usłyszę coś, czego nade wszystko nie chciałem usłyszeć z jego ust.

- Porozmawiajmy o jedzeniu! - zaproponowałem.

- W porządku - odpowiedział wzruszając ramionami, ale potem pochylił się do

przodu, jakby to mimo wszystko mogło okazać się dobrą zabawą. -Wymienię piętnaście gatunków ryb.

Kiedy odrobinę spieszący się zegar w przyległym salonie cicho wydzwonił dwunastą, mieliśmy już przetrząśnięte śliskie stragany na moło św. Andrzeja tworząc cały katalog węgorzy, małży, żabnic, kleni i leszczy, i zaczęliśmy być wręcz rozbawieni, wyciągając coraz dziwniejsze i bardziej wątpliwe gatunki z porzuconych wiader i mrocznych zbiorników. Słownictwo Luca dotyczące ryb było tak obszerne, że zauważyłem, iż sam się od niego uczę; niewątpliwie efekt solidnych ćwiczeń u Świętego Narcyza, wbijanych uczniom do głów przez jakiegoś opętańczo sumiennego nauczyciela, i stwierdziłem, że choć Luc mógł policzyć sobie punkty za osobliwości takie jak złotoryb czy wargacz, nie bardzo miał pojęcie, jak one wyglądają bądź smakują. Jednak w miarę trwania gry, stawaliśmy się sobie bliżsi, a nasze skrępowanie poszło w zapomnienie. Pogoń zamieniła się w wyścig. - Jestem zaskoczony, że przeoczyłeś lipienia - powiedziałem surowo; a on uderzył dłonią w stół i odrzekł: - Tak, a co powiesz na cefala, Edwardzie, i co ty na cefala! - Uśmiechnąłem się, a moje serce przyspieszyło, gdyż po raz pierwszy naprawdę zwrócił się do mnie po imieniu, po raz pierwszy stałem się osobą, moje własne imię paliło mnie w twarz jak jakieś płynące z głębi serca czułe słówko.

Spodziewałem się, że jego mama zaraz wejdzie i wszystko zakończy, więc wstałem, przeciągnąłem się i wyjrzałem przez okno na pasek ogrodu z krzewami w donicach i małym balkonikiem ze szpiczastym dachem. Za nim znajdował się kanał. W jego posępnych, niewybagrowanych głębinach musiały żyć ryby, o których nie śniło się ani Lucowi, ani mnie. Spytałem go, czy zna mojego drugiego ucznia Marcela i odwróciłem się, by popatrzeć na niego, gdy będzie odpowiadał w jednej z tych znikających smug słonecznego światła, a mój cień przez chwilę nieruchomo leżał w poprzek dywanu głową na jego łonie.

- Tylko z widzenia - odrzekł - ze szkoły. Sądzę, że to bardzo miły młody człowiek, chyba niezbyt szczęśliwy. Sybille... - Czekałem. - Sybille jest jego przyjaciółką. Ja go w sumie nie znam. - Podniósł zeszyt, w którym miał zapisać jeszcze jakieś słówko, i zebrał

kolorowe pióra. Weszła mama. Wstał i wymieniwszy ze mną jeszcze parę zdań spełnił swój obowiązek odprowadzając mnie do drzwi, jakby miał nadzieję, że jest to coś, czego nie będzie musiał robić zawsze.

5

Sam nie wiedząc jak, dotarłem na ulicę, przy której mieściło się Muzeum Orsta, i czując się nagle zupełnie wyczerpany, usiadłem na ławce naprzeciwko. Spokój tutaj w subtelny sposób różnił się od spokoju w centrum miasta, od wykładanych ceglami skwerków, gdzie przez bity kwadrans nie przejeżdżał żaden samochód i nie zmieniało się nic poza tym, że ktoś zatrzasnął okiennicę lub jakiś pies przetruchtał w tylko sobie zany cel, co chwila przystając. Tutaj cisza była podobnie głęboka, imponujące ceglane domy tak samo pogrążone w milczeniu i dyskrecji, ich okna srebrno-czarne nad przysadzistymi lipami. Lecz wyczuwało się świeżość, bliskość otwartego nieba, ku któremu rząd wiatraków przy końcu ulicy ślepo otwierał ramiona. Obserwowałem kilku turystów wchodzących do Muzeum i wyczułem w nich zadowolenie z wielkiego osiągnięcia, jakim był przyjazd aż tu, bez mała na wieś.

W ciemnym, pachnącym pastą do podłóg hallu Muzeum zapłaciłem za wstęp i kupiłem broszurę, z zarozumiałstwem uważając, że studentka przy biurku powinna wiedzieć, iż przy innych okazjach wchodzę tu za darmo, z dyrektorem, długo po tym, gdy ona pójdzie już do domu. W pewnym sensie rościłem sobie do tego prawo, z powodu nieoczekiwanego porozumienia, które, jak ufałem, nawiązało się między Paulem Echevinem i mną. Byłoby przyjemnie, gdyby nagle zszedł po schodach i zauważył mnie; ale też trochę się tego obawiałem, w przypadku gdyby powitanie było chłodne, a studentkę darzył większym zaufaniem niż mnie. Siedziała za skromną wystawką pocztówek z wyniosłą miną inteligentnej osoby marnującej czas w zbożnym celu. Jakież długie godziny, tygodnie pustki muszą przebrzmiewać w tym hallu, gdy nadchodzi jesień. Kiedy się odwróciłem, wzięła grubą książkę w papierowej okładce i pogrążyła się w czytaniu.

Pierwsza sala była długa i do połowy wysokości wyłożona boazerią, skąpo

umeblowana jak pomieszczenie mieszkalne, które nie jest już domem - para odgradzonych sznurem krzesel, biurko z tuzinem zakurzonych przegródek, wysoki holenderski wazon w wielkim, czarnym otworze kominka. Kremowe bawełniane rolety od frontu były do połowy opuszczone, a znajdujące się na drugim końcu pokoju okna wychodziły na zacieniony, otwarty ganek i jeden z otoczonych wysokim murem sekretnych ogrodów miasta. Garstka obrazów Orsta - każdy pieczołowicie odizolowany - wisiała w delikatnych, padających ukośnie promieniach światła, na tle wytartych obić ściennych z motywami heroicznymi. Przeszedłem się kilka razy po pokoju, rozmyślając, czy to nie błąd, czy nie powinem natychmiast sobie stąd pójść, ale w końcu wytrzymałem, gdyż prawie bałem się znowu znaleźć na ulicy, uśpionej, starzejącej się ulicy, będąc tak poraniony radością, pożądaniem, poczuciem ulgi i porażki. Siadłem na rozkładanym krześle nieobecnego strażnika, jakbym cofnął się do swego narożnika, uderzony urodą chłopca i zbyt oszołomiony, by zważać na dalsze ciosy.

Zmusiłem się, żeby przeczytać krótki rys historyczny napisany przez Paula Echevina. Wiedziałem, że nie wiem nic o Orście poza paroma detalami z obwolut książek i może z paru dekadencckich plakatów na uniwersytecie - ze słynnym Sfinksem, który wspinając się na tylne łapy, szarżuje i owija nogi Edypa swym ogorzałym ogonem; albo z dziwnie pociągającym Czyścem, gdzie każda wycieńczona postać ugina się pod ciężarem własnej Chimery, swojsko wyglądającej hybrydy przypominającej grubą futrzaną etolę mamusi, nadal posiadającą stopy i głowę z długimi zębami. Wyrafinowana asymetria i społeczna elegancja portretów znajdujących się w tym pokoju - jak się okazało, wszystko to byli członkowie rodziny - stanowiła nie lada niespodziankę.

Dowiedziałem się, że Orst przyszedł na świat w tym domu w roku 1865 jako syn wybitnego prawnika. Dzieciństwo spędził dosyć samotnie, rodzina jego była pobożna i staroświecka, lecz kulturalna, dom zagracony i demode w umeblowaniu oraz bogaty we wzorzyste, zdobione motywami historycznymi flamandzkie tkaniny, które tak często pojawiają się w obrazach Edgara. Mieliśmy wyobrazić sobie jego wraz z siostrą Delphiną bawiących się w odosobnionym ogrodzie z szesnastowiecznymi morwami, dwoje

introspektywnych dzieci zagubionych we własnym świecie baśni, czasami bawiących się oddzielnie i odgrywających swe osobiste legendy. (W tym momencie różne dzwonnice miejskie, trochę nierównomiernie i w swoim dzwonieniu niepomne na siebie nawzajem, zaczęły wybijać godzinę.) W tylnej ścianie znajdowały się drzwi wychodzące na zewnętrzny obronny kanał, drzwi zawsze zamknięte, ale stanowiące kolejne źródło, jak wywnioskował Echevin, wciąż powtarzającego się motywu przejść w dziełach Orsta - niby mistyczny przedsięwzięcie pozornie do nie wiadomo czego, jak w jego arcydziele *La Porte Enlr'ouverte*.

Jako młody człowiek wyjechał do Brukseli studiować prawo, ale w pierwszym zdumiewającym przejawie niezależności rzucił je po roku i udało mu się zapisać, dzięki mocy projektów jakiejś romantycznej scenografii do *Hamleta*, na *Academie des Beaux-Arts*. Wyraźna inklinacja do anglofilstwa kazała mu zamieszkać w dzielnicy Leopold z kolonią brytyjską i większość sukcesów swoich wczesnych lat zawdzięczał galeriom i kolekcjonerom z Londynu, Liverpoolu oraz Glasgow. Burne-Jones wywarł na niego wpływ, był jego wielbicielem, a pod koniec życia, gdy Orst spędzał dwa czy trzy miesiące każdego sezonu wystawowego w Anglii, również jego przyjacielem. Orst w ostatnich latach swego życia przyłączył się do grupy belgijskich symbolistów, nazywających się niczym prekursorska drużyna jakiejś niezgodnej z przepisami gry w piłkę „Les XX”.

W 1898 wykonał projekty do *Kupca weneckiego* w Brukseli i namalował naturalnej wielkości *Porcję*, Jane Byron, szkocką aktorkę o obfitych rudych włosach i wydatnych ustach, bladą piękność tamtego okresu. Potem nastąpił skandaliczny romans (Ja Byron procesowała się o rozwód w Anglii ku konsternacji katolickiej prasy belgijskiej), a Orst stworzył serię szkiców, portretów oraz alegorii w ciągu burzliwych sześciu miesięcy poprzedzających jej śmierć przez utonięcie w Ostendzie w roku 1899. Wygląda na to, że portrety i fantazje nie skończyły się wraz z jej śmiercią: wyposażony w namiętne wspomnienia i kilka setek fotografii Orst malował ją przez następne trzydzieści czy czterdzieści lat - dopóki nie stracił wzroku w połowie lat 30.

W 1900 opuścił Brukselę i powrócił do porzuconego miasta swoich narodzin; jego

kariera jako portrecisty zakończyła się (choć dawał się przekonać do przyjęcia okazjonalnego zlecenia, na przykład, by namalować królewskie dzieci) i tym samym poświęcił się wyłącznie swojej melancholijnej obsesji. Wyobrażałem go sobie spędzającego całe dni w tym domu z czasów dzieciństwa, być może w tym pokoju; lecz okazało się, że wybudował własny dom po drugiej stronie miasta, wysoki biały maison d'artiste zwieńczony statuetką Hermesa, patrzącego z wyzywającą wyniosłością na sąsiednie podmiejskie ogrody. (Po wojnie budynek został zburzony w trakcie budowy ważnej drogi).

W książeczce zamieszczono trzy podobizny samego Orsta. Pierwszą wykonał jego kolega z Akademii: pospieszny szkic węglem podkreślający potencjalną świetność i potencjalny tragizm. Na drugiej, fotografii tym razem, widać go było w pracowni na tle obić ściennych i objets de vertu, już jako dandysa o chłodnych oczach, którego znałem z obrazu w gabinecie Echevina, na poły wynurzającego się z cienia, na poły w nim skrytego. Przy kieszonce marynarki wisiało pince-nez o soczewkach z górskiego kryształu. Trzecia, choć zrobiona pod koniec jego życia, wyglądała jak eksperyment z początków rozwoju fotografii lub jak coś w pokoju oglądane z zewnątrz przez zaparowaną szybę: plama białego światła, w której zakutany w szale stary, ślepy człowiek na wózku inwalidzkim niemalże zdawał się dematerializować.

Obsesja Orsta na punkcie aktorki wywarła na mnie silne wrażenie. Podziwiałem pełen wyższości sposób, w jaki wyrzekł się wszystkiego na jej rzecz i spektakularnie wycofał z życia w śniegi snu. Oczywiście domyśliłem się tego jedynie na podstawie paru faktów opisanych w broszurze: moje myśli wybiegły naprzód i przywłaszczyły sobie całą koncepcję. Marzyłem o życiu poświęconym wizerunkowi Luca - dom z zamkniętymi okiennicami, w każdym pokoju oświetlona świecami ikona z jego niezwykłą twarzą - dopóki z drżeniem nie uświadomiłem sobie, że już go uśmierciłem, co być może było zbyt wygórowaną ceną dla nas obu. W poszukiwaniu Jane ruszyłem na górę, na pierwszym zakręcie usuwając się na bok, żeby przepuścić parę, która weszła do Muzeum przede mną. Stanowczo wyrażali niesmak, że przebyli całą tę drogę po to, aby zobaczyć coś podobnego; ich los obudził we mnie

równocześnie sympatię i rozpacz; potem przez drzwi gabinetu Paula Echevina, nie domknięte w zatwierdzonym orstowskim stylu, usłyszałem, jak rozmawia przez telefon, próbując zakończyć konwersację.

A oto i Jane. Nie była całkiem sama: inne postaci i różnorakie bestie kroczyły lub czaiły się w gwieździstym półmroku, w wyłożonym klejnotami Hadesie, który zamieszkiwała. Lecz to zawsze przy niej rozgrywał się dramat, na niej skupiał nastrój. Jedna część wielkiego tryptyku, zawieszona jak obraz ołtarzowy przedstawiała tylko lewą dłoń w pierścieniach, zbierającą tren z pomarszczonej satyny, niby dłoń oblubienicy wsiadającej do powozu, ale wiadomo było, że to Jane. Na innych obrazach, skadrowanych w podobnie uderzający sposób, widniał tylko dół jej twarzy o zdecydowanie zarysowanej linii brody i włosy rozpuszczone lub zebrane wokół niej jak całun. W scenie rodzajowej, gdzie pół tuzina kobiet próżnowało na tarasie popijając herbatę, szyjąc i paląc papierosy, podczas gdy w tle zachodzące słońce bladeło za czubkami drzew, wszystkie one okazały się być Jane - en face, raz uśmiechnięta, raz zadumana, z obu profili, plecy z elegancką tირიurą, przeciągająca się, dłonie wsparte o talię z tyłu i czuły profil perdu, mówiący o intymności i zapomnieniu; na manierycznie szerokich deskach płaskiej złotej ramy wypisano czerwono słowa *Leal Souvenir*.

Przez samo powtarzanie się ta twarz zaczynała emanować jakąś mocą, choć nie miała ona nic wspólnego z charakterem czy siłą wyrazu. Jane Byron mogła być wszechstronną aktorką, ale Orst obsadzał ją jedynie w rolach enigmatycznych i monumentalnych - była prorokinią, pokutnicą, pytią. Nawet sceny domowe, oddane z fotograficzną dokładnością, wyglądały jak stop-klatki w filmie i zdawały się doniesieniami ze świata marzeń. Sama twarz była maską, ciężką, czasami wręcz matronową, i chociaż do niej samej nie poczułem sympatii, czułem się dziwnie podekscytowany jej bladą proliferacją. Choć nie znalazłem w tych obrazach absolutnie żadnego odniesienia do mężczyzn (pojawiający się czasem hermafrodytyczny chłopak zawsze się w końcu okazywał Hebe lub bezbiustą dziewczynką-dzieckiem), miały w sobie coś perwersyjnego, co w zupełności mi wystarczało. Była to

namiętność nieuchronnie przechodząca w manię i eksploatowana przez własny, samo wzbudzający się mechanizm, długo po tym, jak już zniknął jej przedmiot.

Po tym wszystkim sporą niespodzianką stanowiło spotkanie na górnym piętrze grupy uczniów od Świętego Narcyza, młodszych chłopców w pelerynach i getrach, ze skrzyżowanymi nogami otaczających półkolem nauczyciela plastyki, dynamicznego, rubasznego mężczyznę zbudowanego jak napastnik drużyny piłki nożnej. Stałem po drugiej stronie sali, patrząc wzrokiem dorosłego na rząd malusieńkich, prawie niewidocznych rysunków, ale po chłopięcemu zaciekawiony innymi i tym, co się do nich mówi. Nauczyciel opowiadał o cyklu krajobrazów: usłyszałem, że Orst co roku powracał do osady w Ardenach, gdzie spędzał lato w dzieciństwie, i że lubił uciekać z pracowni i malować w lasach oraz na porośniętych wrzosem wyżynach; że wracał szczególnie w jedno miejsce, do samotnej leśnej sadzawki, którą namalował dwadzieścia czy trzydzieści razy w różnym świetle i o różnych porach roku. Dowiedziałem się również o Świętym Narcyzie więcej, niż wywnioskowałem z chóralnych recytacji i dziwnych emfatycznych fraz z wykładów dolatujących przez ogród z tyłu; rozpoznałem metodyczną prezentację, nadmiernie jasne światło rzucane na niejasne kwestie, mieszaninę swobodnej spekulacji i przymusowego kucia, wszystko to, co składa się na dobrą, staroświecką edukację; dostrzegłem umiarkowane samozadowolenie nauczyciela i skupienie chłopców, którzy nie bali się wyrazić swojej opinii, gdy ich o nią spytano, i nie przerywano im przyganami. Pomyślałem o Lucu na takiej samej lekcji dwa lub trzy lata temu, pełnym uwagi, lecz niezależnym, udzielającym najlepszych odpowiedzi, już dużym chłopaku w szykownym czarnym uniformie, który nosił jeszcze nie tak dawno temu, zanim stało się to coś, co się stało... na pewno był pupilem wszystkich nauczycieli (choć ten wyglądał na trochę zbyt zapalonego, by mieć pupilów).

- Jakiego koloru jest ta sadzawka? Stevens?

- Szara, sir.

- Nie. Van Damme?

- Ołowiana, sir.

- Dobrze. A co to są za drzewa? Stevens?

- Czy to jodły Douglasa, sir?

- Same jodły wystarczą, dziękuję, Stevens.

Opanował mnie mdlący strach, jakbym znów znalazł się w szkole, ale tym razem jako dorosły człowiek o kiepskiej pamięci wśród nastolatków przypominających strzelby przygotowane do strzału, więc wymknąłem się na schody, zostawiając sadzawki na inny dzień.

Paul Echevin wchodził na górę, ale coś kazało mi się skulić i spuścić wzrok, gdy się mijaliśmy, jakbym mógł przemknąć się nie zauważony w dębowym półmroku; sekundę później zły byłem, że uciekłem przed spotkaniem, o którym myślałem z przyjemnością, a nawet podnieceniem.

- Edward!

Odwrocił się trzymając rękę na balustradzie.

- Och, cześć... - Nie byłem pewien, jak się do niego zwracać.

- Nie powiedziałeś mi, że przyjdiesz.

- Nie wiedziałem - odrzekłem z nagłym naciskiem na ostatnie słowo, co zaskoczyło nas obu i sprawiło, że Paul przez chwilę nic nie mówił.

- Nie wiedziałem - powtórzyłem już bardziej sensownie.

- Daj mi znać, jak przyjdiesz znowu - nie musisz płacić.

- To bardzo miło z twojej strony.

Znowu ruszył w górę. - Uciekasz już? Widziałeś wszystko?

- Muszę. Za pół godziny mam lekcję z Marcelem. - Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami, chcąc w ten sposób wyrazić, że to jest życie, ale nie jest to ciężar.

- Ach, tak. Cóż, wpadnij do nas znowu, dobrze? Może przyjdiesz jutro na kolację? Będzie parę osób, ale nic oficjalnego. Trochę się o ciebie martwię - dodał kiwając głową, dziwny, ale jasnowidzący. - Myślę, że musimy cię podkarmić.

Skręciłem właśnie w swoją ulicę, gdy rozległo się irytujące „pip-pip-pip” klaksonu i polakierowany na niebieski metalik jeep z całymmi jardami chromowanych listew, potrójnymi rurami wydechowymi i gigantycznymi oponami zatrzymał się tuż za mną. Przypominał mi te cierpliwe zabawki, które całymmi dniami przewracają się i odzyskują równowagę na tacach przed sklepami pamiątkarskimi na Oxford Street. Zajrzałem do wewnątrz, a tam Matt przechylał się przez siedzenie próbując otworzyć drzwi od strony pasażera. Nasze stosunki były chłodne i niezbyt bliskie tej nocy w Pustelni, stąd wiedziałem, że stanął jedynie po to, by się pochwalić swoim śmiesznym wehikułem.

- Hej, Ed! - odezwał się. - Wskakuj, pojedziemy na przejażdżkę.

- Nie mogę - odpowiedziałem. - Mam lekcję.

Błędne zdrobnienie wstrząsnęło mną. Moja matka przez całe życie nalegała na pełną formę Edward, i ja również - jedynie wuj Wilfred otrzymał pozwolenie na dewiację w postaci „Neda”. Jednak przyjemnie było dać się sprowokować do reakcji - przypominało to pospieszną, wakacyjną poufałość. Mogłoby to nawet przynieść pewną ulgę - być Edem przez jeden dzień pod słonecznym niebem. Poczulem dreszcz wspomnień, trwający ledwie pół sekundy kontakt z przenikliwym, zapomnianym nastrojem - lato w Kinchin Cove, mój brat marudzący, żebym odłożył książkę i zagrał w kamyki oraz wołanie plażowego tyrana: - Jak on ma na imię? Dobra, Ed, ty tam, Ed...

- To ten przystojniak? Jego też możemy zabrać na przejażdżkę.

- Obawiam się, że nie jest przystojny. Nie ten. To tłusty mały koleś z astmą. - Oparłem się o otwarte drzwi. Prawa ręka Matta leżała nadal na siedzeniu pasażera, z żyłami seksownie nabrzmiętymi i błękitnymi na delikatnych kościach i z szokująco poobgryzanymi paznokciami. Wyobraziłem ją sobie sunącą w górę mego uda, gdy siedzę obok i wypadamy z miasta.

- Gdzie mieszkasz?

- Tutaj. W tym białym domu na rogu.

- Wygląda bardzo okazale.

- Prawda? - Wpatrywaliśmy się w domostwo, jakbym to ja był jego szczęśliwym właścicielem.

- A to kto?

Boczna furтка otworzyła się i niebawem urodziwy chłopak z kręconymi ciemnymi włosami wyszedł na ulicę, sprawdzając rozporek i robiąc zadowoloną minę.

- Och, ten - mruknąłem ze zdumieniem. Obserwowaliśmy z Mattem, jak oddala się drugą stroną ulicy, najwidoczniej nieświadom naszych taksujących spojrzeń.

- Tylko nie mów mi, że twój kolejny był. - Odwrócił się i przekrzywiając głowę patrzył przez tylne plastikowe okienko, żeby nie uronić ani jednej sekundy z widoku młodego mężczyzny. Potem usiadł prosto z lubieżnym uśmiechem.

- Jak się bawiłeś tamtej nocy?

- Dobrze, dzięki.

-Poradziłeś sobie?

- Tak. Zgubiłem się na parę godzin, ale w końcu jakoś sobie poradziłem. - Kiwał głową i wpatrywał się we mnie: było jasne, że powinienem zadać mu to samo pytanie.

- A ty? Znalazłeś swojego budowlańca?

- Sukinsyn nie przyszedł. Albo wcześniej znalazł sobie kogoś innego. Nie, skończyłem z twoim przyjacielem, tym Francuzem, Marokańczykiem. - Sporzął na mnie zmrużonymi oczyma, jak sadystyczne dziecko świadome, że jego słowa wywrą jakiś efekt, ale niepewne, jaki. - Powinieneś pilnować tego faceta, Ed. Powiedział mi, że cię kocha, a w dodatku jest dziki. Pieprzyliśmy się na prawo i lewo.

- Tak, Cherif jest dobry - odpowiedziałem, dławiąc się chwilowym bólem wywołanym jego uwagą. - Ale nie jest we mnie naprawdę zakochany. I zapominasz, że ja kocham kogoś innego.

Sporzął na mnie sceptycznie i kilka razy podgazował zachrypnięty silnik.

- Co robisz dziś wieczorem?

Pomyślałem o paru kłamstwach (tańce w koszarach, kolacja z Lukiem w wiejskim

hotelu).

- Och, to co zwykle - odrzekłem. - Szukam zapomnienia w „Kasecie”.

- Byłeś już w łaźni miejskiej?

- Masz na myśli basen czy coś innego?

- Tak, pływalnię. Łażnię miejską. Może pójdziesz ze mną trochę się pomęczyć, zanim zaczniesz pić?

Nie chciałem bardziej się angażować w Matta; hamowałem się, co często mi się ostatnimi czasy zdarzało przy pięknych mężczyznach („Mną się nie musisz przejmować”) - a pływakiem byłem marnym i nerwowym. Lecz nagle przemówił do mnie pomysł, by skupić się na czymś innym niż Luc, godzinę lub dwie uratować z nocy, którą inaczej będę ponaglał i utopię w alkoholu. I być może nawet spodobało mi się, że będziemy z Mattem rozebrani, a później spędzimy dziesięć minut pod prysznicem, gawędząc jak normalni chłopcy i dzieląc się jego szamponem. Powiedziałem, że przyjdę i przyjąłem wskazówki, jak tam dotrzeć, nie będąc w stanie skoncentrować się na tym, co do mnie mówi. Matt puścił oko, a ja zatrzasnąłem drzwiczki; dopiero, gdy patrzyłem, jak dociska gaz i wystrzela jak z katapulty pustą ulicą w kierunku jakiegoś wymyślanego wyzwania, przyszło mi na myśl, iż chyba nie mam przy sobie żadnych kąpielówek. Wówczas pojawił się Marcel, nie tak niespokojny jak zawsze, ale z nowym komicznym wyrazem twarzy „ależ ze mnie głuptas”, który był wybitnie niepożądany.

Przez następną godzinę dokładałem wszelkich starań, aby być pomocnym dla chłopca: stawałem się przyjacielem rodziny, co pociągało za sobą pewne nieokreślone, acz realne obowiązki; zacząłem też dostrzegać, że Marcel odgrywa pewną rolę w świecie Luca, więc należy mu się przypochlebiać, żeby uzyskać dostęp do informacji. Byłem dosyć niespokojny na myśl o tym, co mógłby mi powiedzieć, o marzeniach, które mógłby mimo woli pobudzić lub zniszczyć. Straciłem już całą odwagę, jaką okazywałem wypytyjąc Luca, więc stąpałem ostrożnie, sprawdzając grunt przed każdym pełnym wahania krokiem, niczego z góry nie przesądzając. Czas był przeraźliwie elastyczny. Kiedy mozoliliśmy się nad najprostszymi

czasownikami nieregularnymi, kiedy siedziałem czekając na odpowiedzi i wpatrując się nad jego ramieniem w drzewa i wieżę kościoła, minuty i sekundy zdawały się zwalniać. Miałem uczucie, że każdy ruch będzie wymagał wytężonego wysiłku lub okaże się niemożliwy, a mój głos zabrzmiał jak pomruk wilkołaka, rozbity na oddzielne wibracje. Ale kiedy pogrążałem się w sobie, a mój umysł analizował całą dotychczasową historię z Lukiem, kiedy zazdrośnie rozmyślałem o Matcie i Cherifie, czas wydawał się dramatycznie skondensowany, wszystko działo się w jednej chwili, w sposób gwałtowny, żywy i doniosły, niczym pierwszy głos w jakimś wspaniałym kanonie, podczas gdy w głębinach basy przemyślały nad tematem w nieubłaganie zwolnionym tempie.

W końcu niespodziewanie św. Narcyz oznajmił, że minęła godzina, jego podstarzały brzękot wszczął tumult w szkole, gdzie zakończono lekcje, a nauczyciele, sami częściowo czując ulgę, wykrzykiwali ostatnie polecenia przez narastający zgiełk. Marcel bezmyślnie zamknął zeszyt, w którym wypisywał czasownik „zapomnieć” i zuchwale się rozpromienił. Nadal był uzależniony od zasad i bodźców szkoły, z której uciekł; widząc to podszedłem do okna i uprzejmym tonem wypytywałem go o pobyt w szkole i o przyjaciół, a on tymczasem pakował tornister.

- Masz nadal jakichś kumpli w szkole? No wiesz, przyjaciół?

- Jednego czy dwóch. - Jakież to musi wydawać się nierealne: być oddzielonym od nich, od ich codziennych zajęć i plotek, przez ten kwadratowy ogród i mętny kanał. Jakby jedna z klas odplynęła we śnie i przysiadła nie opodal, dając swemu samotnemu uczniowi wrażenie, że jest uprzywilejowany, a jednocześnie napełniając go niepokojem.

- Powinienem być spytać cię wcześniej, czy znasz mojego drugiego ucznia, Luca Altidore'a.

- Nie, w sumie go nie znam - wymamrotał.

- Oczywiście, przecież jest starszy od ciebie. - Odwróciłem się i spojrzałem na niego zachęcająco. Był już gotów do odejścia i czekał z czystą uprzejmością, może pamiętając, że znów mam przyjść na obiad, że już nigdy się mnie nie pozbędzie. - Musi ci brakować tego

wszystkiego, Marcel, prawda? - ponagliłem go. - Zwłaszcza towarzystwa.

- To bardzo mądra szkoła, a ja nie jestem taki mądry. - Potrząsnął głową, dając mi do zrozumienia, że ciężko powiedzieć, czy szczęśliwszy jest teraz, czy był przedtem; i rozumiałem, że nie był szczęśliwy ani w szkole, ani poza nią. Od samego początku znałem go jako chłopca odizolowanego przez chorobę, ale wyobrażałem sobie, że ma przynajmniej hobby - w najprostszym rozumieniu tego słowa, znaczki lub modelarstwo - oraz przyjaciela lub dwóch, z którymi je dzieli. Jednak rozumiałem, że tym przyjacielem nie mógłby być Luc.

- A co wiesz o dziewczynie Luca? - zagrzmiałem nietaktownie, zatruwając, i zaczerwieniłem się. Marcel pokręcił głową i przybrał zawziętą minę, jakby cała lekcja wraz ze swoim katechizmem miała znów się zacząć.

- Jak ona się nazywa? - Zgrywałem się dalej. - Sybille jakaś tam?

Spuścił wzrok bezmyślnie bawiąc się sprzączką od tornistra. Czerwienił się bardziej ode mnie.

- Ona nie jest jego dziewczyną - powiedział. - Są tylko przyjaciółmi.

- Nie jego dziewczyną - cicho za nim powtórzyłem. - Nie, myślę, że jest trochę za młody, żeby mieć... - A co Marcel wiedział o dziewczynach?

- Cóż, do zobaczenia w środę. Nie, jutro wieczorem. Będzie miło.

- On nigdy nie interesował się dziewczynami - wyrzucił z siebie po flamandzku, jakby ta myśl była zbyt poważna lub szokująca, by ją wyrazić w trudnym obcym języku. Puściłem mu płazem to uchybienie i zachowałem tę wytęsknioną, lecz wątpliwą informację, by przyjrzeć jej się później.

W chwilę po tym, gdy zamknęły się za nim drzwi, poczułem upokorzenie, że muszę odgrywać doprowadzoną wręcz do farsy rolę bufona. Podeszedłem do frontowego okna i obserwowałem Marcela, który wypadł na podwórze i choć był chłopcem zasiedziałym i dychawicznym, puścił się ciężkim kłusem, jakby ledwo mógł się doczekać chwili, gdy dotrze do bramy i uwolni się ode mnie. Instynktownie rozumiałem wolność, której łaknął - nie

potrzebował jej, by robić jakieś śmiałe rzeczy, lecz by nie robić nic, wędrować w stronę domu w łagodnym popołudniowym słońcu... Stałem oparty czołem o szybę i po dziesięciu sekundach znowu doleciał mnie trzask furtki zamykanej przez chłopaka o kręconych włosach, którego wcześniej widzieliśmy z Mattem. Wracał z domu handlowego i machał siatką, z której wystawał bochenek chleba i bukiet kwiatów. Zniknął na klatce schodowej Hiszpanek i coś mi mówiło, że w wypchanej dolnej części torby znajdują się serowe chipsy, coka, sprite'y oraz kilka piw dla chłopców. Z tego, co wiedziałem, dziewczyn nie było w domu, ale kiedy wrócą, zrobią imprezę! Przez chwilę moje przygnębienie zdławiło nawet zazdrość.

Otworzyłem szafkę i wszedłem do niej szamocząc się cicho z płaszczem przeciwdeszczowym i skórzaną kurtką oraz podzwaniając nie używanymi wieszakami na poprzeczce. Czułem fatalistyczną potrzebę, by wiedzieć, co mnie czeka, jakie karygodne hałasy będę musiał tolerować; zjadała mnie również ciekawość na temat tego chłopaka. Wydawał mi się niezachwianie piękny i seksowny w kontraście z ukrytymi i niejasnymi zaletami Luca, który nigdy nie interesował się dziewczynami. Ale spędziwszy dziesięć minut z uchem łapczywie przyklejonym do drewnianego przepierzenia, nadal nie usłyszałem niczego poza trzaskiem otwieranej puszki z napojem, kilku słów, pół wypowiedzianych, pół wyśpiewanych oraz pełnego zadowolenia, dźwięcznego beknięcia. W końcu zdało mi się, że słyszę delikatny rytmiczny dźwięk i wyobrażałem sobie chłopca badającego się w skupieniu, aż pojąłem, że to dudni puls w moim uchu. Wycofałem się do pokoju i zamknąłem drzwi.

Droga do łaźni miejskiej była dla mnie na tyle niejasna, że nawet się nie zmuszając skręciłem w ulicę, przy której mieszkał Luc, ale mijając jego dom nerwowo spuściłem wzrok i tylko badawczo zerknąłem w okna parteru. Zapadał wieczór i w pokojach od frontu nie widziałem nic poza ciężkimi zasłonami pani Altidore. A na pierwszym piętrze dostrzegłem coś innego, odbłask krążka, przypominającego soczewkę, zawieszoną tuż za szybą i łapiącą światło z błyskiem ożywienia. Lepiej teraz go nie spotkać. Nagły odpływ niepokoju; a zaraz potem raptowny przyptyw, jak goniąca fala lęku wepchnięta we wlot mojego serca: może to właśnie Wordsworth miał na myśli w tym fragmencie, którego będę uczył Luca dużo później,

gdy mówił o doznaniach odczuwanych wzdłuż serca - jakby serce było nadmorską plażą, o którą rytmicznie rozbijają się uczucia. Rozpoznałem mocno stłumiony zimny strach przed wodą i echo naszego szkolnego basenu o wysokim sklepieniu.

Minąłbym to miejsce, gdybym nie zauważył dziarskiej rodzinie trzymającej zwinięte ręczniki pod pachami, skręcającej tuż przede mną w kryte przejście pełne pozapinanych na kłódki rowerów. Przy jego końcu furtka i nieubłagany młynek zezwalały na wstęp do dalszego, ciemniejszego pasażu, do krainy brązowej farby i tynku zniszczonego przez wilgoć.

Nie znalazłem żadnych kąpielówek, więc założyłem parę starych szortów z wojskowych nadwyżek z rozporkiem na guziki i zawijanymi mankietami, do spakowania których skłonił mnie w Anglii jakiś letni kaprys: były to moje szorty do koszenia trawnika, moje szorty do wylegiwania się na skoszonym trawniku z niedzielną gazetą. Wyglądały beznadziejnie wśród wystrzałowych speedosów dzieciaków i porządnych gorsetów ich tatusiów. Ostrożnie ruszyłem przez brodzik z letnią wodą w stronę białego, hałaśliwego obramowania basenu.

Jednym z nieszczęść pływania jest fakt, że nie można robić tego w okularach: poddanie się zimnej wodzie następuje natychmiast po poddaniu się światu rozmazanych odległości i pomieszanych tożsamości. Kiedy tak stałem i wyrzeszczałem oczy w nikłej nadziei na dojrzenie ciemnej głowy Matta na którymś z torsów, odczułem chwilowy przedsmak lęków starych ludzi, uśmiechających się niepewnie, by odeprzeć wymaginowane zagrożenia i połowicznie dosłyszane kpiny. Potem wskoczyłem do wody jak dziecko, prosto z murku, zaciskając palcami nos.

Kiedy tylko odbiłem się od brzegu, kieszenie moich szortów wypełniła woda. Po dwóch czy trzech kolejnych ostrożnych ruchach spodenki wlokły się za mną zaczepione na biodrach i musiałem błyskawicznie sięgnąć ręką, żeby je z powrotem podciągnąć... Poszukałem stopami dna i okazało się, że stoję ledwie na czubkach palców. Nie mając śmiałości, aby wywindować się na brzeg jednym obnażającym podskokiem, najpierw podrygując na paluszkach, a następnie mozolnie brnąc, ruszyłem w stronę płytszego końca.

Przestraszony pokrzykiwaniem pewnego płynącego z pluskiem pływaka, który miał czas jedynie na bezsłowne szczeknięcia między kolejnymi zanurzeniami głowy, rzuciłem się plecami w tył, żeby umknąć mu z drogi, i wpadłem na krępa kobietę majestatycznie, powoli poruszającą wysoko utrzymaną głową, a pod wodą kopiającą jak muł.

Przycupnąłem na płyciźnie na oślep rozchlapując wokół siebie wodę, przerysowując ból wywołany kopniakiem tej kobiety, a wewnątrz kwiląc jak dziecko szukające wymówki, żeby móc pójść do domu. Pokręciłem się trochę tak, by wszystkich mężczyzn, czekających lub odpoczywających po kolejnym przepłyniętym dystansie, wprowadzić w gościnny zasięg moich krótkowzrocznych oczu, ale nie znalazłem nikogo znajomego, nikogo szczególnego, aż w końcu dostrzegłem Matta, zamachałem do niego ręką i wydałem żalosny, chłopiący okrzyk. Przez chwilę patrzył na mnie, a potem odwrócił się plecami, a ja powlokłem się w jego stronę i już kładłem mu rękę na ramieniu, gdy zorientowałem się, że to nie on. Wtem jakieś dzieciaki przeleciały młóćąc ramionami w szale pogoni połączonej z walką, ciągnąc za sobą kilwater następnych krzyków i pędu, czyjeś ramię chwyciło mnie od tyłu i zaczęło dusić, czyjeś uda owinęły się wokół moich bioder, a ja cisnąłem się w przód i pod wodę w beładnym przerażeniu.

Kiedy wydostałem się na powierzchnię, zasapany i wściekły, uścisk zelżał, a on zsunął się z moich pleców i obrócił mnie w ramionach całkiem jak kochanek. - Matt, ty głupi pierdolony przydupasie! - Wyglądał oszałamiająco z przylizanymi włosami, tanim błyskiem szafirowego kolczyka w uchu i bezczelnym krzywym uśmiechem. Chciałem dać mu w twarz, ale powstrzymałem się, gdy spytał: - Przestraszyłem cię? - i splukałem ślinę z górnej wargi. Staliśmy kilka stóp od brzegu prawie że objęci; woda sięgała nam do pępka.

- Muszę wyjść - oświadczyłem. - Spadają mi kąpielówki. To znaczy, to nie są wcale kąpielówki... i w tym cały problem:... - Matt przesunął palcem wewnątrz mojego zwisającego paska, potarł wierzchem dłoni o przesiąkniętą wodą krok. - Na litość boską, człowieku, nie jesteśmy w „Barze Biff”. - Ruszyłem w stronę małej drabinki używanej przez bojaźliwych i starszych. Matt płynął przy mnie na plecach, wzbijając pianę nogami, smukły i odprężony.

Kiedy wyszedłem, a z moich kieszeni i mankietów wylała się na brzeg woda, nie zaśmiał się; wręcz sam wyskoczył i ruszył ze mną do wyjścia: miał na sobie nic nie ważące, czarne szorty ze sztucznego jedwabiu.

- Później postawię ci drinka - zaproponował. - Muszę zrobić dwa tysiące metrów.

- To wygląda na dużo później. Dobra, wiesz, gdzie będę. - Zanim się odwrócił, ścisnął moje ramię, a potem pobiegł i nie rozpryskując wody skoczył na główkę w pomarszczony błękit. Był interesująco blady, jakby nie zawracał sobie głowy próżnym opalaniem lub jakby spędził gorące późne lato w ciekawszy sposób niż większość z nas. Zrobiło mi się przykro, że straciłem szansę namydlenia mu pleców.

Natryski były funkcjonalne i nie do opanowania: wyłożone żółtymi kafelkami pomieszczenie z sześcioma zamontowanymi na stałe prysznicami i umieszczonym wysoko na jednej ścianie wąskim okienkiem, które można było otworzyć od góry pociągając za łańcuch. Poczułem zdziwienie, kiedy przez szum wody oraz zasysanie i charczenie odpływu doleciał mnie warkot silnika motorówki i nikły zapach spalonej benzyny. Kanał musiał leżeć tuż na zewnątrz, może wręcz omywał ścianę basenu.

- Dobrze się pływało? - spytał myjący głowę tatuś naprzeciwko z miłą, nienatrętną bezpośredniością tutejszych ludzi.

- Nie mam odpowiedniego stroju - odpowiedziałem i pospieszyłem, żeby wydostać się z moich szortów.

- Przydałyby się porządne kąpielówki - odrzekł. Nasza konwersacja nie mogła wznieść się na wyżyny, ale gawędziliśmy przez parę minut, gdy się myłem, o basenach krytych w przeciwieństwie do pływania w morzu oraz o belgijskich plażach. Bardzo entuzjastycznie wyrażał się o Blankenberge, choć to, co wychwalał, czyli tłumy i tanie jedzenie, mocno mnie zraziło. Zostałem jeszcze przez chwilę po jego wyjściu, pozwalając gorącej wodzie bębnić po moich ramionach, potem mrużąc oczy podszedłem do drzwi, żeby spojrzeć na elektryczny szkolny zegar w szatni. Już dziesięć po ósmej: najwyższy czas na drinka.

Wytarłem się stojąc na wyłożonym gumową wycieraczką progu natrysków i byłem już prawie całkiem suchy, gdy usłyszałem okrzyk i para chłopaków wpadła rozpryskując wodę w baseniku do płukania stóp: miło zaokrąglony ciemny chłopak i kościsty blondyn z długimi włosami, które upiął w węzeł jak dziewczyna. Wbiegli prosto pod prysznice i oparli się o przeciwległe ściany, sapiąc i śmiejąc się z siebie nawzajem. Bez wahania odrzuciłem ręcznik na bok i wszedłem z powrotem, odkorkowałem butelkę z szamponem i przygotowałem się do ponownego mycia głowy.

Nie widziałem ich od tego pierwszego wieczora w „Barze Biff”, gorący mały pyskacz i jego przyjaciel, jego kochanek, który teraz rozpuścił włosy i potrząsnął głową rozsypując je na ramionach, jakby był samą Jane Byron; i rzeczywiście dodało to trochę blasku tej twarzy o zapadniętych oczach, nadal pocętkowanej przyszczami na czole i szczęce. Ciemny chłopak, który nie był pulchny, ale też prawdopodobnie nigdy nie będzie chudy, wydawał się tak chrapliwie seksowny, jak to tylko możliwe: co chwilę rzucałem spojrzenie na jego kwadratową głowę o pełnych ustach, przypominającą głowę rzymskiego ulicznika, na miękkie czarne włosy nad górną wargą - oraz jeden czy dwa na piersi o szerokich sutkach - i w dół na zawiązany sznurek kąpielówek, przecinający kształtne, obrócone bokiem wybrzuszenie fiuta ciasno opiętego czerwonym materiałem. Jednak to jego chudy przyjaciel, stojący tuż obok mnie, przypomniał mi znowu nastrój tych dawno minionych miesięcy odkrywania samego siebie, pierwszego zawładnięcia prawami seksu. Ten ciemny chłopak na zawsze pozostanie seksowny, nawet jeśli wgrzyzie się w wiek średni lub, kto wie, w małżeństwo i jego niewierności; ale blondyn - nawet nie blondyn, ale pewien rodzaj bezbarwności, jaką przybiera wilgotne ciało - wydał mi się zupełnym przeciętniakiem niezwykle opromienionym miłością i zaufaniem. Przypomniałem sobie, jak zmienia się cały świat, jak nagle znajdujesz się na samym środku wspaniałego rozświetlonego traktu ludzkiego szczęścia i myślisz, że zostaniesz tam już na zawsze - choć teraz, piętnaście lat później, okazało się, iż krótkowzrocznie zerkam tam z lamusa zawiedzionych nadziei i złych nawyków, który zawsze czekał w pogotowiu tuż obok.

Moi chłopcy w sumie nie myli się ani nie rozbierali, a jedynie kręcili się po łaźni i śmiali. Gdzieś po dziesięciu minutach ich nieskrępowane zawłaszczenie tego miejsca stało się męczące, a myłem się tak intensywnie i pracowicie, że zaczynałem się już czuć jak ofiara jakiegoś traumatycznego poczucia winy, która musi szorować się i szorować, aż zetrze sobie całą skórę... W końcu jasnowłosa skończył i pośpieszył do szatni - nie dosłyszałem, co powiedział wychodząc. Miał na sobie długie do kolan, fosforyzujące pomarańczowo-cytrynowo-różowe spodenki, koszmarne kolorki z mojego dzieciństwa, które zdają się znów wkraczać do mody. Jego przyjaciel uśmiechnął się z uznaniem, w oczekiwaniu, ale został pod prysznicem. Moje serce nacisnęło na gaz.

Lecz na razie po prostu nonszalancko się kąpałem, jakbym chciał wyciągnąć maksimum korzyści po kilku niezwykle wyczerpujących godzinach ćwiczeń. Kiedy uniosłem wzrok, chłopak uśmiechnął się do mnie.

- Przepraszam, proszę pana - odezwał się po angielsku. A potem nie mając pojęcia, co dalej, przeszedł na flamandzki: - Czy mógłbym pożyczyć trochę szamponu, proszę pana? - Widząc, że zrozumiałem i podałem mu dosyć cenny flakonik ziołowej odżywki firmy Coward & Rattigan, uśmiechnął się szeroko i podszedł, żeby go wziąć. Gdyby był jednym z moich uczniów, zaznaczyłbym, że za to, co pożyczył, w odpowiednim czasie będzie musiał zapłacić.

Obficie nalał sobie na dłoń szamponu i stanął na środku pomieszczenia wcierając go w przykrótkie włosy; potem oddał mi butelkę i wszedł pod prysznic obok mnie. Długie strugi mydlin spłynęły po jego ładnie umięśnionych plecach.

- Dobrze się pływało, proszę pana? - zapytał.

- Tak, świetnie, dzięki. Czuję się mocno zmęczony.

- Wtedy pływanie robi najlepiej. A ile pan przepłynął, proszę pana? Sto długości?

Mógłbym się obejść bez tego całego interesu z „proszę panem”; czułem się przez to jak staruszek w rękach usługowego młodego bagażowego w hotelu ostrzącego sobie zęby na napiwek. Chciałem wyglądać na jego kolegę, prawie na rówieśnika, a on mówił do mnie „proszę pana” co trzecie słowo.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy omyłkowo nie wziął mnie za nauczyciela ze swojej szkoły. - Nie aż tak wiele - odpowiedziałem - chociaż chciałbym tyle przepłynąć. Tak przy okazji mam na imię Ed... Edward. - Kiwnął głową i podstawił twarz pod strumień spadającej wody. Potem postąpił krok do tyłu, kilka razy gwałtownie wciągając oddech, nareszcie pomanipulował przy sznurku i zdał swoje skąpe czerwone slipy.

Upłynęło dziwaczne trzydzieści czy czterdzieści sekund - ja stałem z bezradną i nietkniętą erekcją, a chłopak dosyć niezręcznie odprawiał coś w rodzaju zaimprovizowanego aktu, okręcając się i schylając pod prysznicem, zakładając ręce za głowę, żeby pokazać szybkie młode bicepsy, wzdychając jak ktoś symulujący przyjemność na filmie. Około trzydziestu sekund, zanim zrozumiałem. Błyskawicznie wypadłem spod prysznica, porwałem ręcznik i wściekłym krokiem przemierzając szatnię nagle poczułem się bardzo świadom swojej nagości i gwałtownie się skurczyłem w poczuciu własnej głupoty i zagubienia.

Wybrałem szafkę w kącie o dziwnym kształcie, przypominającym niemal alkowę. Jasnowłosy chłopak, chudy kochanek, stał tam teraz odwrócony do mnie plecami, z ręcznikiem na ramionach. Musiałem coś powiedzieć - może tylko wydałem szczeknięcie pływaka - a on odwrócił się z moim portfelem w ręku. Za nim drzwi szafki były otwarte, mokre szorty nadal zwisały z kluczyka, okręcając się powoli i kapiąc na betonową podłogę.

Rzucił portfel na ławkę, jakby budził w nim niesmak, jakby ktoś wyciął mu kawał, każąc go podnieść z ulicy; szybko przeszedł obok mnie, odrzucając wilgotne włosy z twarzy. Nie mógłby uciec daleko w takim stanie, ale za to mógłby skierować się z powrotem na basen, gdzie trudniej by było nieśmiałemu obcokrajowcowi zrobić zamieszanie. Jestem pewien, że wymknąłby mi się w jakiś sposób, gdyby jego przyjaciel nie nadszedł przejściem między szafkami i wiszącymi płaszczami, z groźną miną, ale też ze śladem niepewnego rozbawienia, gotów uratować sytuację żartem. Wyobraziłem sobie, jaki kit zaraz będą mi wciskać, ile przewrotnych usprawiedliwień stworzą, żeby odciąć mi możliwość złożenia odpowiedniej skargi czy doniesienia. Ale mój ciemnowłosy, młody wabik nie musiał się przyznawać do udziału w tym, mógł udawać, że o niczym nie ma pojęcia, więc kiedy

przymaszerował w sukurs przyjacielowi, z silnym małym kutasem podskakującym w rytm kroków, poczułem się dziwnie wzruszony i zmieszany w głębi swojej złości.

- Zabrał coś, proszę pana? - spytał z ręką na moim ramieniu, spoglądając na ograbioną szafkę. Teraz „proszę pana” zawierało innego rodzaju sarkazm, jak w wykonaniu policjanta. Postąpiłem krok do przodu i chwyciłem otwarty portfel. I tak nawet przedtem nie było tam wiele. - Nie mam żadnych pieniędzy, ty głupi sukinsynu - wygadałem się. - Naprawdę wybraliście niewłaściwą osobę. - Wiedziałem, że wychodząc z domu zabrałem kilkaset franków na drinki lub może na kanapkę czy jajko z piklami. Teraz nie było w portfelu nic.

- Ja niczego nie zabrałem - powiedział złodziej z przelotnym uśmiechem osoby urażonej. Patrzyłem na niego bez słowa, z wyciągniętą dłonią.

- Kiedy przyszedłem, to już tak wyglądało. - Jego przyjaciel przysunął się bliżej, jakby chciał coś mu szepnąć przez włosy, wsunął dwa palce za jego pasek i wyciągnął pieniądze, dwa lśniące papierki z późnorenesansowymi portretami, gwarant mojego przetrwania. - Co ty, kurwa, wyprawiasz? - wykrztusił zdeorientowany blondas. Czuł się zdradzony. Ale miałem przecucie, że ten drugi jest lepszym kryminalistą niż jego wspólnik, któremu kradzież zajęła tyle czasu i który został tak nieszczęśliwie przyłapany.

- Oto pieniądze, Edwardzie - powiedział. - Posłuchaj, naprawdę mi przykro z tego powodu. - Niezdarnie pogmerałem przy ręczniku i owinąłem go wokół pasa jak spódniczkę. Bardziej ranił mnie mój własny niedorozwój umysłowy, niż niegustowne drobne przestępstwo, więc uniosłem głos, by ukryć wstyd.

- Wszystko to bardzo pięknie - powiedziałem. - Obawiam się jednak, że muszę to zgłosić. Po prostu nie możecie...

- Chwileczkę, Edwardzie - przerwał mi chłopak rozglądając się wokół, by oszacować szkody, jakie mój wybuch może przynieść i prawdopodobnie też po to, by upewnić się, że nie będzie publiczności przez resztę tego aktu. Znowu ręką na moim ramieniu, ale tym razem też lekko przycisnął się do mnie bokiem ciała.

- Usiądźmy na chwilę, wiesz...

- Nie ma potrzeby siadać - warknąłem. A potem: - Cholera, gdzie mój zegarek? - Złoty zegarek mego drogiego taty ze stoperem, który sprytnie odmierzał niejednego Mesjasza i Gerontiusa... Zacząłem grzebać w szafce, wdzięczny przynajmniej za to, że złapałem przestępcę i że to, nade wszystko, da się uratować. Ale zegarek znajdował się na miejscu, zawinięty w skarpetę leżał w nosku mojego buta. Odwróciłem się, niemalże sapiąc pod naporem bólu i lęku, jaki te dzieciaki we mnie wywoływały. Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że nie mówię własnym głosem, że wściekłość zdradliwie wymusza na mnie rutynowe odzywki i martwe formułki. Chudy wymamrotał: „Mark”, ale Mark spojrzał na niego, a potem powoli usiadł; i było coś w tym powolnym zetknięciu zrobionej z listewek sosnowej ławki i nagich pośladków chłopca, może coś wykalkulowanego, a może nie, może to chwilowe uniesienie jego nagości w kontakcie z nieożywionym, twardym światem albo wizja lekko zaczerwienionych pasków, które zostaną po listewkach, kiedy wstanie, jakby po jakimś delikatnym sumiennym spuszczeniu batów, co przeważało szalę na jego korzyść. Usiadłem obok i po chwili to samo zrobił drugi chłopak, naprzeciwko nas i ostrożnie. Lekko dygotał, więc otulił ramiona ręcznikiem.

Mark spojrzał mi prosto w oczy i zaczerwienił się mówiąc:

- Zrobię wszystko, na co będziesz miał ochotę, Edwardzie.

Opowiadając całą historię Mattowi, kiedy późną nocą spieszyliśmy z baru do jego mieszkania, miałem problem z przekazaniem całej głębi dylematu: akurat ten właśnie chłopak siedział nago obok mnie, oddychał przez usta prosto w moją twarz, strużki wody spływały z mokrych włosów po jego szyi i robił niewiarygodne propozycje, które ja musiałem zrzędlawie odrzucać.

- Powinieneś był go tu przyprowadzić - stwierdził Matt. - Moglibyśmy się z nim zabawiać na zmianę. - Krótko zaśmiał się tym swoim dokuczliwym śmiechem, który zawsze wydawał się cierpki albo mimowolny. - Tak, moglibyśmy go rznąć równocześnie. Robiłeś to kiedyś?

- O tak - odrzekłem - ale ostatnim razem, kiedy sam byłem dzieciakiem... - Spojrzał na

mnie z zachwytem w maskującym blasku lampy ulicznej.

- Jesteś naprawdę dziki - powiedział.

- Każdy jest dziki, jak mu dać szansę - oświadczyłem, zbyt wkurzony, aby przejmować się tym, czy mam rację. - Jest takie miejsce, do którego chadzałem, kiedy miałem gdzieś około, hm, dwudziestu lat. Trochę jak sauna, ale w prywatnym domu - nigdy byś się nie domyślił, że znajduje się tam coś podobnego. Nie miało nawet nazwy ani niczego: ludzie, którzy tam przychodzili, mówili na to „u pana Croya”. Chociaż muszę przyznać, że po samym panu Croyu nigdy nie było nawet śladu. - Wspomnienie tych szalonych popołudni zaparło mi dech w piersi, uświadamiając mi, że mam już w sobie takie epoki i że mogę patrzeć wstecz przez mżawkę straconego czasu na arkadyjskie polany, odległe, lecz pełne światła i życia.

Zatrzymałem się i przywołałem Matta. - Chodź ze mną na chwilę. Chcę na coś popatrzeć.

- Dajże spokój, człowieku, jest już pół do drugiej, do cholery.

Nie zwróciłem na niego uwagi i poszedłem w przeciwną stronę boczną alejką, wiodącą na ulicę Długą. I już po paru minutach stałem naprzeciw tego wysokiego domu, pełen czci patrząc w górę, jak młody mężczyzna w pieśni Schuberta, na okno pogrążonego we śnie ukochanego. Choć prawdę mówiąc nie wiedziałem, które okno należy do niego.

Wszędzie były zaciągnięte zasłony, a dyskretny blask staroświeckiej lampy, połyskujący na lśniącej czerni frontowych drzwi, górne piętra gubił w mroku. Tam, gdzie przedtem byłem nieśmiały, teraz wpatrywałem się głodnym wzrokiem, z pełną niepokoju radością, w każdy zaciemniony otwór, aż po zamazaną linię dachu i gwiazdy stojące ponad nią.

- Co jest? - spytał Matt przystając koło mnie.

- Tam w środku śpi piękny siedemnastoletni chłopiec.

Matt potrząsnął głową. - Czy tylko na to przyszliśmy popatrzeć? Czy też bierzemy ze sobą siedemnastoletniego chłopca?

- Proszę cię! - Uśmiechnąłem się do rezydencji Altidore'ów i jakoś myślami wydobyłem Luca z ciemności, śpiącego z rozchylonymi ustami w półmroku - z jakiegoś

powodu w piżamie, ale bluza była rozpięta i zwinięta pod nim, a ręka w poprzek brzucha nieświadomie odpychała zaborczą pierzynę.

Przez chwilę beładnie mówiłem coś do Matta, próbując wciągnąć go w swój nastrój, ale w końcu uczułem zadowolenie, że nie był ani dostatecznie pijany, ani dostatecznie romantyczny, żeby się dać i że pozostało to moje i nie sprofanowane. Obejmował mnie w talii pod kurtką, trzymając dłoń nad paskiem, tam, gdzie byłem odrobinę tłustawy; przejechała taksówka i kierowca rzucił do pasażera jakąś uwagę na nasz temat - a kiedy odjechali, cisza uświadomiła mi brutalnie, jaki musieliśmy przedtem robić hałas. Przypomniałem sobie nocę w domu, gdy budzili mnie pijacy przechodzący lub przystający na pół godziny przed naszą bramą, głośni i znieczuleni na wszystko przez alkohol, czasami kobiety dziko protestowały... Wyobraziłem sobie, jak Luc potykając się podchodzi do okna, trochę zły, a trochę zaciekawiony, odsuwa zasłonę i widzi nas podpierających się nawzajem i gadających głupoty w bramie naprzeciwko. Wtedy Matt zaczął rozpinać mi rozporek.

6

- Masz doprawdy zdumiewający krawat.

Rozpromieniłem się. - Tak, podoba ci się? - Nie da się zakwestionować czyjegoś krawata, nie da się przed nim uciec. Pani Vivier skinęła do mnie głową, by pokazać, że rejestruje to zjawisko, ale jest zbyt uprzejma być może za mało au courant z całą tą sceną krawatową, aby zaryzykować własny osąd. Podeszedłem do lustra nad kominkiem pyszałkowato odchylając się do tyłu jak aktor, który przytył, a jaskrawe odbicie głównego motywu uderzyło mnie bardziej, niż się spodziewałem.

- Nie jestem pewien, czy sam bym taki założył - odrzekł Paul Echevin, również przyglądając mu się w bezpiecznej głębinie lustra. - Nie założyłeś go przypadkiem odwrotnie? To znaczy, w lustrze wydaje się być w porządku.

- Och. - Niepewnie spojrzałem zezem w dół.

- Musisz mi powiedzieć, gdzie go dostałeś.

- W niesamowitym sklepie z ubraniami, chyba przy ulicy Garbarskiej, dosyć trafnie. Mają tam całe masy skóry i biżuterii zrobionej z noży i widelców. - Była to najbardziej afektowana rzecz, jaką powiedziałem do Echevina, ale on zaśmiał się inteligentnie. - Ktoś maluje dla nich te artystyczne krawaty.

Rozległo się oschłe buczenie dzwonka - pani Vivier zawołała z kuchni i Echevin poszedł na dół wpuścić następnych gości. Zostałem na chwilę sam z moim krawatem i z miłością drapieźnie spadającą na mnie i zapierającą mi dech, co sprawiło, że najpierw zbladłem, a zaraz potem poczerwieniałem. Tego popołudnia czułem się taki nieokrzesany i szalony, że zupełnie absurdalnie kupiłem sobie w tym sklepiku, aby trochę się ukoić, coś w rodzaju pośredniego podarunku dla Luca. Rozważałem oczywiście, czyby mu czegoś nie dać, może apaszkę, pierścionek z trupią czaszką lub srebrne lureksowe cache-sexe... Kiedy ubrany w bryczesy i szlafmycę sprzedawca o gołębach oczach zajrzał przez zastony, żeby spytać, czy potrzebna mi pomoc przy wciskaniu się w dziwnie nieelastyczne kąpielówki, które mi polecił, pomyślałem, że może powinienem przyprowadzić chłopca do przymiarki - przecież pierwszego dnia naszej znajomości opowiedział mi, iż pożyczył od swojego przyjaciela Patricka slipy, które były za duże i podobnie jak moje szorty groziły spadnięciem. W efekcie wzięłem kąpielówki, koszulkę koloru lobelii, tak błękitną, że ledwie można było na nią patrzeć, oraz wspomniany już krawat. Pomyślałem, że założę go do Paula Echevina, by odwrócić uwagę od mego wewnętrznego podniecenia, a także jako jego symbol.

Wśród pozostałych gości znajdował się mężczyzna o imieniu Maurice, jego opanowana, lecz pogodna żona Inge oraz ich córka Helene, poważna młoda kobieta, w której dopiero po chwili rozpoznałem studentkę sprzedającą bilety w Muzeum obok. Maurice był zdecydowanym, upartym niskim mężczyzną, nawet całkiem przystojnym. Opadł na krzesło z westchnieniem, jakby znalazł się we własnym domu. Był nauczycielem, jak się okazało, i posiadał pewne nauczycielskie cechy: w subtelny sposób nie przynależał do zwykłego społeczeństwa ludzi dorosłych, zgnieciony między powołaniem a rutyną, jednak bywał nużący z powodu nawykowego entuzjazmu. Wspomniałem tajemnicę małżeństw nauczycieli,

sposób, w jaki ich biedne żony stanowiły przedmiot pożądania lub kpin chłopców o brudnych myślach. Nie miałem pewności, do której kategorii zaliczyć młodo wyglądającą, pulchną Inge. Była pół-Niemką, pół-Szwedką, żyła w Belgii, gdzie mówiono po flamandzku, i od lat pracowała jako tłumacz w Brukseli, świetnie obeznana z leksykalnym odmętem administracji Wspólnoty Europejskiej. Opowiedziała mi swoją historię przy kolacji, nie nastawiając się zbyt na to, że mnie zainteresuje, a pijacki entuzjazm, jaki okazywałem przy każdym zwrocie jej drogi życiowej, mógł spokojnie wyglądać na wymuszony lub wręcz szyderczy. Rzecz w tym, że odkryłem, iż Maurice nie jest zwykłym nauczycielem, ale szefem anglistów u Świętego Narcyza, a zatem źródłem, jeśli się z nim właściwie obejdę, niebywale cennych informacji. Należało zatem jego wraz z żoną otoczyć takimi staraniami i taką dbałością, jakiej w życiu nie zaznali. Początek był trochę trudny. Maurice tak absolutnie się zadomowił, że ja zostałem opuszczony, podczas gdy on plotkował z Echevinem. Inge pognęła do kuchni, aby wymienić przepisy z panią Vivier, a Helene i ja znaleźliśmy się w roli dzieci, które, jeśli się je dyskretnie zignoruje, mogą świetnie się ze sobą bawić. Ku mej rozpaczycy nie podano jeszcze drinków, więc stałem z rękami w kieszeniach, podczas gdy Helene manipulowała przy pierścionku na swojej lewej dłoni.

- Jesteś zaręczona! - powiedziałem; a ona potaknęła rumieniąc się. Jej radosne zakłopotanie połączone z pewną archetypiczną ulgą, że w takim razie nie będę musiał sam się z nią żenić i że w sumie honor nie pozwala mi z nią flirtować, sprawiło, że nagle zapalałem do niej sympatią. - Jesteś historykiem sztuki, jak sądzę?

I znowu pełen namaszczenia niepokój.

- Nie, nie. Och, chodzi ci o Muzeum. Nie, ja tylko od czasu do czasu pomagam, gdy Paul mnie poprosi. - Jakże często źle interpretowałem czyjś wygląd lub zachowanie i obdarzałem obcych ludzi onieśmiałającą mocą, której nie posiadali czy nawet nie chcieli. - Robię to i owo. Nie sprawia mi kłopotu pilnowanie dzieci i pomaganie przy spisie ludności. Pracowałam jako sekretarka u mojego ojca, a nawet nadzorowałam egzaminy. Ale nie, naprawdę jestem nikim.

- Lubisz prace, przy których można czytać książki.

- Takie są najlepsze - odpowiedziała z nieśmiałym chichotem. Było w niej coś tak wrażliwego i czułego, że w końcu zacząłem się czuć dosyć zazdrosny o jej męża, o jej męża in spe. Przyszło mi namyśl, aby spytać o niego, chociaż niezbyt ufałem przedstawianym przez młode kobiety opisom swych przyszłych, ich wspaniałych zawodów i cudownej prezencji. Ale oto wpadła pani Vivier z tacą, na której stało wino przyprawione cytryną i korzeniami oraz kieliszki, a Maurice spojrzął na mnie i powiedział:

- Właśnie zauważyłem twój orstowski krawat.

- Och tak - odparłem, wygładzając go na mocno wymaginowanym brzuchu, który osiodływał.

- Zatem Paul sprzedaje teraz takie rzeczy? - Na co Echevin jedynie coś mruknął. - To Atena, prawda? Choć nie ma jej tutaj ani w domu obok. Znajduje się zapewne w Muzeum Miejskim? - Wstał i badawczo przyjrzał się krawatowi, na którym rzeczywiście Atena Orsta została odtworzona z pewnymi dodatkowymi złoceniami i błyskami oraz z iluzoryczną głębią hologramu. - Co to mówi William Butler Yeats? „Maud Gonne na stacji Howth czekająca na pociąg, niczym Pallas Atena o prostych plecach i dumnej postawie...” - Uniósł wzrok, poruszony własną krótką przemową.

- Czekająca pociągu - sprostowałem.

- Maude Gonne na stacji Howth czekająca na pociąg.

- Nie, tam jest „czekająca pociągu”, nie „na pociąg”. - Wyglądał na niepewnego i niezbyt zadowolonego. - To afazyjna forma „oczekującej”, albo może dokładniej mówiąc aferezyjna. - Brnąłem dalej jak kompletny dupek. - Wiesz, celowe skasowanie pierwszej sylaby.

- Widzę, że będziesz musiał bardziej uważać na swoje cytaty, kochanie - zauważyła Inge lekko oskarżycielskim tonem.

Z miną winowajcy rozejrzałem się po pokoju, właściwie sam zaszokowany, że tak grzmiąco wygłosiłem podobny kicz w miejscu, gdzie autentyczne Orsty nieporównywalnej

delikatności wisiły na ścianach.

Usiedliśmy do kolacji bez Marcela.

- Poszedł do kina z przyjacielem - usprawiedliwił go Echevin.

- Krwawa łaźnia 4, chyba tak się to nazywa. Nie zaszkodzi mu? Od tak dawna nie widziałem żadnego filmu... Mam wrażenie, że może powinienem go przed czymś chronić.

- Jestem pewien, że wszystko będzie w porządku - zapewniłem go. Nie przepadałem za rzeczami tego typu, ale żywiłem właściwą cześć dla napakowanej klaty Kurta Burnsa, podludzkiego gwiazdora całej popularnej serii, który przez ostatnich kilka dni panoszył się po całym mieście z torsem nabłyszczonym oliwą i karabinem maszynowym miotającym płomienie.

- I jak leci małemu? - rubasznie zagaił Maurice z drugiej strony stołu.

- Świetnie. Jest dużo szczęśliwszy - odpowiedział ojciec chłopca, co dotkliwie mi uświadomiło, jak bardzo nieszczęśliwy Marcel musiał być przedtem. - Nadal trochę męczy go astma. Ale jak się pomyśli, co się działo rok temu...

- Wykazuje jakieś skłonności do czytania książek? - indagował Maurice, niezbyt delikatnie.

- Biedne dziecko zostało tak otumanione lekarstwami, Maurice - odezwała się pani Vivier - doprawdy trudno się dziwić, jeśli jego nauka na tym ucierpiała. - Był to nieoczekiwany wybuch i Echevin docenił go, nawet jeśli pominął milczeniem.

- Musisz o to zapytać naszego przyjaciela Edwarda - odpowiedział Maurice'owi.

Zaskoczony Maurice odwrócił się w moją stronę, więc szybko wyznałem, że uczę Marcela angielskiego i robię, co w mojej mocy, żeby... - Radzi sobie nieźle - powiedziałem lojalnie. - Potrzeba mu tylko więcej pewności siebie. - Oto prosta kwintesencja milionów sprawozdań na koniec semestru szkolnego.

Maurice pochylił się nad zupą, przełknął kilka łyżek szybko i bez uznania, jakby przyzwyczajony był tylko do szkolnego jedzenia. - I kiedy zamierzasz nam go oddać? - Wtedy właśnie zrozumiałem, że pojawia się przede mną nowa szansa; w przeciągu kilku

minut objawiliśmy się sobie jako w pewnym sensie koledzy po fachu, choć on stał w centrum wielkiej, samonapędzającej się maszyny, podczas gdy ja zbierałem zniszczone i co trudniejsze fragmenty, które jej hałaśliwe tryby wytrzęsły na zewnątrz. Może o zmroku, gdy wyteżę wzrok, będę mógł dojrzeć go z mojego okna, jak przemierza jasno oświetloną klasę rozprawiając o Yeatsie.

- Bardzo mi przykro - odezwałem się. - Nie miałem pojęcia, że uczysz u Świętego Narcyza. - W rzeczy samej nie miałem pojęcia, że do personelu jezuickiej szkoły nie muszą należeć wyłącznie duchowni o zimnych oczach.

- Zobaczmy, jak mu będzie szło pod koniec wiosny - rzekł Echevin. Tak bardzo pragnąłem zapytać o Luca, że zamilkłem na dobre. Czułem, że jeśli choćby wspomnę jego imię, obleję się purpurą albo rozporek otworzy mi się jednym szarpnięciem strzelając guzikami w kieliszki do wina, albo może Atena na moim krawacie odwróci się i puści oko. Oczywiście nie użyłbym tej nonszalanckiej monosylaby; nazwałbym go „chłopcem Altidore'ów” albo użyłbym innego równie dosadnie sielankowego zwrotu. Piłem z potrzeby i wzruszyłem się zauważywszy, że Echevin, który sam pił bardzo ostrożnie, pamięta o moim nałogu i często dolewa mi cierpkiego jabłecznika, który żłopałem i wychwalałem podczas pierwszej wizyty.

- Helene powiedziała mi, że robisz jakieś ekscytujące rzeczy w Muzeum, Paul - odezwała się Inge. - Nie całkiem rozumiałam... - Jego twarz przepięknie pojaśniała: oto człowiek do granic znużenia obyty ze swoją pracą, więziony w dosyć dusznej i przytłaczającej kabinie, któremu nareszcie udaje się otworzyć zardzewiały świetlik i głęboko odetchnąć zapomnianym zamysłem.

- Od długiego czasu telefonowałem, próbując doprowadzić sprawę do pomyślnego zakończenia, i wygląda na to, że mi się udało. - Aprobująco kiwnąłem do niego głową. - Składam na nowo tryptyk, który został rozparcelowany przed wojną. Od lat mieliśmy jego jedno skrzydło, przedstawiające kobietę patrzącą w lustro. Pamiętacie, widać tam tylko odbicie twarzy, przecięte na pół ramą lustra.

- To chyba najpopularniejsza pocztówka, jaką sprzedajemy - wtrąciła Helenę.

Jej matka powiedziała:

- To taki bardzo ciemny obraz; czy on nie jest prawie cały czarny?

- Jest bardzo lenebreux - zgodził się Echevin; - efekt światła świec padającego na szatę kobiety, czy raczej coś w rodzaju peleryny, jest doprawdy niezwykły. No i oczywiście włosom też niczego nie żałował.

- Jak sądzę, to jedna z Jane - stwierdziła Inge z wyrozumiałym śmieszkiem, którym przypominała córkę.

- To jedna z Jane - potwierdził Echevin. - Całość nazywa się Aulre-fois, co samo w sobie stanowi problem, jako że Orst stworzył około trzydziestu obrazów o takim tytule. Jednak na szczęście mam zdjęcie tego tryptyku, kiedy znajdował się jeszcze w jego pracowni w „Willi Hermes”. Niezbyt wyraźne zdjęcie: obraz stoi w tle wśród różnych innych prac, ale widać wystarczająco wiele. Mogłem mieć zupełną pewność, gdy coś zobaczyłem, czy to to dzieło, czy nie.

- Przede wszystkim dlaczego ktoś podzielił tryptyk? - zapytałem.

- Sprzedano go dosyć późno; w latach trzydziestych staruszek pilnie potrzebował gotówki - oczywiście wyszedł z mody, zaczynał ślepnąć i nic już nie tworzył. Kilku kolekcjonerów żerowało na nim, jak sądzę. Ogólnie miał skłonności do gromadzenia rzeczy, ale niestety wiele wypuścił z rąk. Ta akurat praca została kupiona przez Żyda z Bawarii, przemysłowca, który trzymał się, jak długo mógł, zanim uciekł do Szwajcarii prawie bez niczego, z wyjątkiem skrzydła tryptyku - które jest zupełnie inne niż to nasze i, jak sądzę, dużo późniejsze. Wiem o nim od dwóch lub trzech lat: to zaskakująco piękny krajobraz morski, prawie abstrakcyjny, tylko trzy pasy: morze, niebo i brzeg, bardzo melancholijny i wyrazisty.

Zamruczeliśmy z uznaniem.

- Zastanawiam się, jaki jest związek pomiędzy nim a kobietą w lustrze - powiedziałem.

- Ach, cóż... - burknął Maurice.

- To jedna z tych spraw - odrzekł Echevin, uśmiechając się, by ukryć sugestię, iż spodziewano się, że powinienem to wiedzieć. - Prawdopodobnie zauważyłeś w Muzeum kilka dzieł, w których łączy pozornie nie powiązane ze sobą tematy. Czasami istnieje jasna symboliczna relacja między nimi, a czasami poezja leży w ich tajemniczej inności, jak w obrazach ze snu. Orst mówił o nich, że są to świątynie nastroju lub wspomnienia - miał nadzieję, że widz będzie nastawiony na mistyczną kontemplację.

Kiwnąłem głową. W pewnym sensie wiedziałem o tym; i przykro mi było, że wymusiłem aż taki wykład. - Chciałbym usłyszeć coś o środkowej części - poprosiłem.

- Tak, środkową część - ciągnął Echevin znowu z tym słodkim rumieńcem odkrywcy i wesółymi zmarszczkami wokół wielkich, jasnych oczu - znalazłem prawie przypadkowo, kiedy pojechałem w lecie do Monachium na wielką wystawę symbolistów. Pewnego wieczora na przyjęciu spotkałem mężczyznę, który, usłyszawszy o moich powiązaniach z Orstem, spytał, czy nie pojechałbym do jego domu i nie rzucił okiem na obraz, kupiony przez niego na wyprzedazy w Czechosłowacji i opatrzony monogramem EO. Muszę przyznać, że się zawahałem. Sam właściciel na pewno nie był ekspretem, był to po prostu niezwykle sympatyczny dentysta, ale zastanowiło mnie dziwne pochodzenie obrazu, a sam koncept skarbów zagrzebanych w Europie Wschodniej nagle wychodzących na jaw i możliwych do zdobycia również zdawał się atrakcyjny.

Historia zmierzała do oczywistego końca, więc siedzieliśmy z wyrazem pogodnej zachęty na twarzach i uprzejmie grzebaliśmy widelcami w grubych, brudnobiałych płatach ryby na naszych talerzach, ryby, która musi figurować gdzieś w katalogu Luca, choć ja sam nie potrafiłem przypisać jej żadnej nazwy. I ta myśl na dziesięć sekund ścisnęła mi serce sprawiając, że absolutnie zatonąłem w uczuciu do Luca: nagle znalazł się tuż przy mnie i zacząłem rozpinać mu koszulę...

- Nie było to wcale takie łatwe - kontynuował nasz gospodarz. - Zabrał mnie z przyjęcia taksówką, wydawało się, że chce wszystko wiedzieć natychmiast. Jechaliśmy i

jechaliśmy, potem znaleźliśmy się na autostradzie i okazało się, że mieszka dostownie w innym mieście; zaczynałem być trochę niespokojny i widziałem, jak bardzo on się denerwuje, że ja mógłbym się zdenerwować, więc zapanowało dosyć silne skrępowanie. W końcu dotarliśmy do okazałego wieżowca - absolutnie nowego, ewidentnie był to bardzo bogaty dentysta - i weszliśmy gdzieś na dziesiąte piętro. Mieszkał tam ze swoją srogą starą matką; pojawiła się w podomce oraz w szalu i wyglądała na bardzo zdeorientowaną i bardzo zaborczą.

- Mieszkanie zapchane było dziełami sztuki, w większości nic nie wartymi, ale okazjnie trafiały się drobiazgi, które można by zdjąć i obejrzeć uważnie. Na przykład zauważyłem parę rysunków Puvisa. Lecz obraz, który chciał mi pokazać, należał raczej do tych marnych, surowy portret wykonany przez kogoś, kto nie umiał malować, a akurat Orst, pominiwszy wszystkie jego wady, zdecydowanie potrafił to robić. Spojrzałem na niego i wypowiedziałem się może trochę... kategoriycznie. Nie miał nawet obiecane monogramu. Matka kręciła się podejrzliwie obok nas, mimo ponagłań syna, aby wróciła do łóżka; dopiero, kiedy powiedziałem, że muszę wracać do hotelu, odeszła powłócząc nogami. - Wzrok Echevina na chwilę spoczął na mnie. - Bardzo wolno docierają do mnie pewne rzeczy - ciągnął. - Przed pożegnaniem wstąpiłem do łazienki, a kiedy z niej wyszedłem, zastanawiając się, czy mam dosyć pieniędzy na powrót taksówką i wyobrażając sobie krępujący moment, gdy poproszę dentystę o pomoc, dentysta już tam stał, ale już sans marynarki i krawata, czekając w drzwiach do dyskretnie oświetlonej sypialni. Przypuszczam, że wcześniej musiałem dać jakiś sygnał lub nie zrozumieć czegoś, gdy rozmawialiśmy na przyjęciu: mój niemiecki w żadnej mierze nie jest doskonały.

- O mój Boże - jęknął Maurice. Helene i ja zaśmialiśmy się ze zrozumieniem. Uprzymniłem sobie, że uroda Echevina oraz jego skromny, nieśmiały, niezależny sposób bycia może prowokować tego rodzaju pomyłki.

- Najgorsze było to - mówił dalej - że nad jego ramieniem, i w rzeczy samej nad jego łóżkiem, zobaczyłem obraz, który przyspieszył bicie mojego serca, czyli podziałał dokładnie

tak, jak zapewne biedny dentysta ufał, że podziela na mnie jego widok. Oczywiście to był Orst, którego chciał mi pokazać, tamten poprzedni bohomas stanowił tylko podpuchę i mimo mroku widziałem, że bardzo przypomina środkowe panneau ze starej fotografii: jeden z opustoszałych gotyckich pejzaży miejskich Orsta. Właściwie przyćmione światło sprawiło, że wyglądał dokładnie tak, jak na zdjęciu. Zatem musiałem wejść do tej sypialni! To było dziesięć minut próby... - Echevin zauważył jedzenie na swoim talerzu i zaczął nadrabiać zaległości.

- Mimo wszystko musiał być zadowolony, gdy się dowiedział, że posiada cenny obraz - stwierdziła Inge.

- O, tak, summa summarum. Ale najpierw chciwość odbyła walkę ze zranionymi uczuciami. Obraz był nie podpisany - należał do wuja - naszego bawarskiego przemysłowca oczywiście. A temu człowiekowi malowidło bardzo się podobało i dlatego powiesił je w swojej sypialni. I dlatego też nie było łatwo namówić go, aby się z nim rozstał. Musiałem mocno flirtować przez telefon. Jednak wierzę, że teraz nam je udostępni, i kiedy w przyszłym miesiącu skrzydło ze Szwajcarii przyjedzie na wieczną pożyczkę, może przed końcem roku uda nam się odzyskać jedną z głównych zaginionych prac Orsta.

- Jakież odrażające doświadczenie - zauważył Maurice.

- To był całkiem przystojny dentysta - stwierdził Echevin przekornie potrząsnąwszy głową. Nastąpił moment wzajemnego dopasowywania się, ustalania temperatury etycznej. Czułem się dzisiaj potwornie pedalsko, jednak nie chciałem zrażać pruderyjnego Maurice'a ani budzić w nim podejrzeń, że pod powłóczką dobrotliwego zainteresowania chłopcem, które zamierzałem okazać, pożądam aż do bólu tyłka Luca, jego dotyku, ust, języka, sutek, nóg, słonawych palców u stóp i mimowolnie tryskającego kutasa. W trakcie deseru rozmowa wolno kłusowała bądź ciężko stąpała, lecz podczas drinka przyspieszyła i ruszyła meandrami. Panowało naturalne dla proszonych kolacji wrażenie, że tak naprawdę nikt nie wie o czym mówi - Helene, która grała na pianinie, gorliwa, ale nie mająca pojęcia o muzyce, Maurice ze swoimi spartolonymi cytatami i częściowo zapomnianymi relacjami z wieczornych

wiadomości, i ja udający, że częściowo zapomniałem książki, których nigdy w życiu nie czytałem. Oczywiście Echevin naprawdę znał się na Edgarze Orście, ale kiedy rozmowa zesłała na piłkę nożną i boks, co do których Inge miała bardzo ugruntowane zdanie, szybko zrobił fintę i ustąpił bez walki.

Przez parę minut bawiłem się ukradkowym wprowadzaniem imienia Luca do pogawędki, co zwykłem robić z dawnymi ukochanymi, pytając, czy raczej opowiadając Helene o Glucku lub przerzucając się z Mauricem cytatami z Cavaliera i zazdrośnie obserwując, jak kształtuje i z wielką dokładnością wymawia słowo Lucasta - śmiały buziaczek, którym się zaczyna, a następnie kłąsnięcie językiem w górę i w dół po zębach. Potem wydeklamował w sposób nie nadający się do poprawienia: - Bo miłość moja wolna tak / I duszę porwać pragnie, / Że tylko anioł, niebios ptak, / Nadąza za nią snadnie.

Dopiero gdy wróciliśmy do drugiego pokoju i staliśmy w kółko z filiżankami kawy, wypełniając pełne zadowolenia pauzy przeciągłymi spojrzeniami na obrazy, w końcu wystąpiłem ze swoim pytaniem:

- Ciekaw jestem, czy uczyłeś mojego drugiego ucznia, tego Altidore'a. - Nawet w moich uszach przez kilka pierwszych słów brzmiało to chaotycznie jak obojętny bełkot, a potem, w miarę zbliżania się tego uświęconego nazwiska z brawurowym warkotem przeskoczyły mi tryby. Próbowałem to przepchnąć jako stłamszone bekniecie, kaszlnięcie i kichnięcie.

- Co takiego? Hm... Nie. - Upił tyk kawy i rozejrzał się wokół.

- Nie bądź śmieszny - miałem ochotę powiedzieć; ale odczekałem, a potem podsunąłem: - Wydaje się bardzo bystrym koleżką.

- Tak, chyba zawsze nieźle sobie radził. Z zasady biorę ich tylko na ostatni rok. - Cóż to za cud, pomyślałem, że Luc teraz nie pisze eseju o Lovelace'ie czy Sucklingu dla tego zajętego, śmierdzącego stęchlizną mężczyzny, który odwrócił się i uniesieniem dłoni dał sygnał swojej żonie, aby szykowała się do wyjścia.

- Musiał przeżyć wielki wstrząs, gdy go wyrzucono - zaryzykowałem.

- Jestem pewien, że utrzymasz go na właściwym poziomie - powiedział z nagłą serdecznością kogoś, kto wychodzi i chce wywrzeć sympatyczne wrażenie na osobie, której towarzystwo go nie bawiło.

Szczęśliwie Inge dosłyszała:

- Kogo on ma utrzymać? - zainteresowała się.

- Och, chodzi o tego drugiego chłopca, którego uczę, Luca Altidore'a. Zastanawiałem się, czy Maurice pamięta go ze Świętego Narcyza.

- A, to dopiero była historia - powiedziała, plus chichot.

- To znaczy jego wydalenie? - spytałem entuzjastycznie.

- Dokładnie. - Znowu nastąpiła przerażająca pauza, w której przewidywałem, że rozmowę porwie jakaś nieznośnie nudna kwestia.

- Nie bardzo zrozumiałem - wyznałem leniwie - ze wzmianek jego matki, co naprawdę się wydarzyło.

- Cóż, nie sądzę, żeby ktokolwiek wiedział dokładnie, co się wydarzyło, no wiesz - mówiła z zabawną surowością marszcząc podbródek - prócz samego chłopca i marynarzy.

Nie mam zielonego pojęcia, jak to przyjąłem. Myślę, że się uśmiechnąłem, może trochę sztucznie, pod miażdżącą presją zdumionego podniecenia.

- Marynarzy - powiedziałem w końcu wściekłym tonem, jakbym zawsze spodziewał się po nich najgorszego.

- To znaczy, tyle tylko wiem, może Maurice wie więcej. - Ale Maurice już się odwrócił i wołał coś do gospodarza. - O tym chłopcu, jak on ma na imię?

- Luc - powiedziałem słabo.

- Młodego Luca znaleziono na statku w porcie, jak grał w karty czy w co tam z paczką norweskich marynarzy, gdzieś około trzeciej nad ranem... - Wzruszyła ramionami. - Czy tak?

- Mm. To wszystko, co wiem - zgodziłem się.

- I to prawdopodobnie wystarczy. - No, tu się nie mogłem zgodzić. A ona radośnie dodała: - Jakbyś dowiedział się czegoś więcej, z wielką ochotą o tym posłucham.

- Nie sędzę, żebym mógł go spytać wprost - odrzekłem, już się zastanawiając, jak to by można zrobić.

- Może kiedy się bardziej zaprzyjaźnicie - powiedziała to tak, że pomyślałem, iż mnie przejrzała. - Uwielbiam te marynarsko-dentystyczne historie.

7

Matt mieszkał w nękaniej przeciągami służbówce doczepionej do ogromnego, podniszczonego domu w zachodniej części miasta. Jeśli poszedłeś do łóżka późno, udawało ci się pospać tylko godzinę lub dwie, gdyż potem zmierzające do portu ciężarówki zaczynały przejeżdżać przy końcu ulicy, hałasując tak, że drżały szyby w oknach, a sprężyny łóżka wibrowały. Budziłeś się i stwierdzałeś, że chcesz siku, więc w bladej poświacie z zewnątrz szukałeś drogi do małej zimnej łazienki, w której podłogę stanowiło kłębowisko brudnej bielizny, a na szklanej półce piętrzyły się kremy i balsamy Matta, pigułki na pobudzenie i środki profilaktyczne. W drodze powrotnej potykałeś się o coś i chrapanie Matta ustawało na kilka sekund; potem przepaszająco wsuwałeś się pod kołdrę i chrapanie znowu się zaczynało, a ty leżałeś drżąc z pragnienia, żeby znaleźć się we własnym domu. Wtedy zaczynał buceć budzik, była już siódma, a Matt przewracał się na drugi bok i wpychał twardego kutasa między twoje nogi.

Podczas pierwszej wizyty zaskoczył mnie chaos, w którym Matt żył: krzesła zavalone ubraniami, poprzewracane buty i porzucone mokasyny, stare skarpety i brukowe powieścidła zaplątane w pościel. Brudne talerze i szklanki rygorystycznie wynoszono do ponurej, małej kuchenki, lecz tam po prostu gromadziło się je w zlewie, dopóki jakieś naczynie nie było potrzebne. Wtedy wydobywało się je ostrożnie i przez chwilę sptukiwało pod buchającym i prychającym gejzerem gorącej wody. Większość pozostałej przestrzeni pomiędzy, nad i pod łóżkiem, szafą, krzesłami, stołem i telewizorem zajmował sprzęt komputerowy Matta: spiętrzone pudła z częściami, dyskiety, dodatkowe klawiatury - podobnie jak inne elektroniczne dobra oraz gry video i setki czystych taśm. Jednak spośród tych podświadomych

gruzów, co dzień, co noc, wyłaniał się Matt, czysty, piękny, słodko pachnący, otoczony aurą męskiego ładu.

Dom, na tyłach którego mieszkał, należał do starszej samotnej kobiety, głuchej i rozkochanej w kotach. Mattowi, jak się okazało, nie wolno było korzystać z frontowych drzwi ani w ogóle wchodzić do jej części budynku; zatem dojście do jego pokoi prowadziło przez tylne podwórko i oszklony ganek pełen półmartwych roślin. Obaj żyliśmy ukryci za starymi ludźmi, których nigdy nie widywaliśmy. Było to równocześnie dziwne i pocieszające, jakby pozwolono nam znowu być dziećmi, wolnymi i pozbawionymi przywilejów. Matt i tak nie respektował żadnych zasad i podczas mojej pierwszej wizyty zaniepokoił mnie, gdy udając chojraka zszedł do kuchni swojej gospodyni, żeby poszukać brandy, której mi się zachciało o drugiej czy trzeciej nad ranem. Koty roztropnie zebrały się wokół niego, jakby znały go dobrze albo oczekiwały, że je nakarmi.

Gdy już wytrzeźwiałem, zdumiało mnie, że zostałem kochankiem Matta: pomyślałem, że mogło to spowodować coś, co powiedział mu Cherif, jakiś mimowolny dowód uznania. Kiedy spojrzałem na siebie w lustrze łazienkowym, wydawało się, że witam z szacunkiem znajomość, o której od dawna myślałem, że nigdy nie zostanie uwieńczona powodzeniem. Choć było to dosyć dziwne powodzenie: słowo „kochanek” raczej niezbyt odpowiadało mojej roli. Matt był jak piękny chłopak, którego mogłem spotkać na błoniach i uznać się za szczęściarza, gdyby spędził ze mną dziesięć minut pod drzewem. Nie było w tym żadnego uczucia poza minimum zaufania dwóch osób dających sobie wzajemnie rozkosz; gdy moje instynkty sennie kierowały się ku miłości, on mnie odpychał oziębłe, jakby schronienie się w moich objęciach oznaczało dla niego zagrożenie albo spadek formy. Mimo całej przebiegłości, nie potrafił wykrzesać z siebie ani śladu romantyzmu. Nie byłem nawet pewien, czy rozumie choćby pojęcie przyjaźni. Wydawało się, że jest w stanie podtrzymywać tę barierę między seksem a uczuciem, która normalnie kruszy się w chwili utraty anonimowości lub szansy na drugie spotkanie. Obudziło to we mnie wspomnienia z najbardziej erotycznego okresu mego życia: z dni oszczędzania na Croya. I taka sytuacja

odpowiadała mi połowicznie; z Mattem robiłem tuzin rzeczy, których nie mógłbym zrobić z Lukiem.

Zostałem u Matta prawie cały tydzień, po części z powodu Hiszpanek - nie tyle chodziło o to, że hałasowały, ale o mój strach, że mogą hałasować i w niepożądany sposób zakłócać zbytkowny stan zaniepokojenia, który należał tylko do mnie i zmuszał mnie do chodzenia po pokoju, do picia, a zaraz potem do palenia, kilkakrotnego czytania jednego fragmentu, spoglądania przez okno u schyłku dnia, jakbym próbował odcyfrować jakąś prawdę lub raczej nadzieję z drzew, chmur i ucziemionych przez czas cegieł. W małym, zagubionym ogrodzie poniżej pierwsze liście spadły z drzew. U Matta nie było żadnych takich rozrywek. Bywałem tam z reguły dopiero po zamknięciu „Kasety”, pijany i spragniony, a każdą wizytę można opisać jako opadający łuk od zapamiętania się w pieprzeniu do niespokojnego przebudzenia z suchością w ustach, a potem potykania się o różne rzeczy w czasie ubierania i drogi do domu. Najdłużej trwały godziny półsnu, w czasie których zielone cyfry budzika, pomiędzy króciuteńkimi spazmami drzemki, czuwały bardzo pilnie. Czas pędzi naprzód co sił, ale rano nigdy nie nadejdzie.

Cherif wyjechał gdzieś - chyba do Rotterdamu, jak powiedział Ivo, ciotowaty i wylewny barman, choć obrażony Cherif nic nie wspomniał o tym Mattowi ani mnie. Powinienem może się zmartwić, ale jego nieobecność dała mi niezastufane wytchnienie od poczucia winy i obowiązku. Potem zauważyłem, że bez niego czuję się samotny; Matt był smukły, sprawny i niepohamowany, podobał mi się ten gimnastyczny seks, po którym ociekałem potem i ciężko dyszałem; ale kiedy budziły mnie jego rżące chrapnięcia, zaczynałem z czułością wspominać pocieszycielskie objęcia Cherifa. Pisałem długi i często przerywany list do Edie o tym, jak Cherif wyznał mi miłość i jak brakowało mi jego zakurzonych ubrań i poważnych pocałunków.

Początkowo byłem zbyt pochłonięty sobą, żeby zauważyć, iż Matt ma skłonności przestępcze. Być może powinien był mnie zaalarmować ten mały najazd na spiżarnię; później w tym samym tygodniu poszedł znaleźć piecyk elektryczny, żeby rozproszyć nocny chłód, a

przez kuchenne drzwi widać było plecy jego gospodyni, zmywającej naczynia i ze zdziennieniem wygłaszającej orację do kotów. Kochał się we własnej śmiałości; kiedy wrócił z piecykiem, dojrzałem na jego twarzy pychę przytłumioną przez cyniczne i wzruszające zakłopotanie artysty-oszusta i zauważyłem, że fiut prawie mu stoi. Potem pewnego wieczora zastałem go zawijającego brudne slipy w bibułkę i odkładającego je na stertę toreb jednorazowych opatrzonych nalepkami z adresami wydrukowanymi dużymi literami. Nie skomentowałem tego i wykorzystałem najnowsze wieści o Lucu odgrywając wybuch ślepej miłości, co łatwo ukryło fakt, że wszystko zauważyłem. Chociaż Matt nie krył się z tym, co robi: był kompetentnym hochsztaplerem. Cała ta sprawa poruszyła dawno zapomniane niepokoje, pruderyjną dezaprobatę walczącą z pełnym pożądania i lęku podziwem.

Moje nowiny także były doniosłe. Do tej pory spacerując po mieście zawsze skręcałem w ulicę Luca i przechodziłem obok jego domu szybko, lecz bezwstydnie, z wyrażającą życzliwe oczekiwanie miną, która musiała wydawać się lekko wariacka innym przechodniom. Spostrzegłem, że moje wyprawy po najprostsze sprawunki rozwlekają się w okazałe i męczące pętle przyciągane magnetyczną siłą tej ulicy i tego domu. Wesolutka mapa turystyczna została pocięta nowymi szlakami, naniósł na nią nową kaplicę, której istnienia nikt nie podejrzewał. Stan ogólnego niepokoju sprawiał, że wiele chodziłem w czasie dnia i zaczynałem już rozpoznawać przekupniów, grupy dzieciaków i niektórych popołudniowych spacerowiczów przestrzegających ustalonych godzin. Zawsze celowałem tak, by przejść koło Altidore'ów wczesnym wieczorem, kiedy mogą zapalić się światła w domu i ukazać Luca w oknie na piętrze wycierającego włosy ręcznikiem. Jak do tej pory nigdy to się nie wydarzyło, a ja z sercem bijącym coraz wolniej szedłem dalej następnymi ulicami już przesiąkniętymi nastrojem rozczarowania i zawiedzionych nadziei.

W ten czwartek, po lekcji z Marcelem, który robił postępy i opisał akcję Krwawej łaźni 4 z nową pewnością siebie, wyszedłem z domu, podryfowałem po centrum handlowym, spędziłem chwilę w księgarni w sekcji fotograficznej wertując modne albumy retro ze

zdjęciami atletów i pływaków, a potem z poczuciem winy wstąpiłem do „Złotego Cielca” na butelkę „Silence”. Czułem się szampańsko i lekkomyślnie, gdy jakiś czas później skręciłem w ulicę Długą, a lampy akurat zabłyśły nade mną, różowe i fiołkowe, i migoczące, jak ulubiona jaskinia rozpusty.

Nadal znajdowałem się w pewnej odległości od domu, ale miałem go już na celowniku i wiedziałem, jak jest wpasowany w rytm frontonów naprzeciwko, bardziej oszklony i szykowny niż najbliżsi sąsiedzi, a w domu tuż przed nim w górnym oknie umieszczono oświetlony krzyż. Otworzyły się frontowe drzwi i na szczycie schodów ukazały się dwie postaci, a potem sam Luc, wyższy i opiekuńczy, wyłonił się spomiędzy nich: Trójca! Od razu rozpoznałem wytworną Sybille, a także chłopca, oczywiście, spokojnego i silnego. Wyciągnęła rękę i pocałowała Luca w policzek. Widziałem jakby w odległości cała ode mnie jego oświetlone reflektorami usta pocałowały powietrze obok niej, a potem on i chłopak objęli się ramionami i pozostali sromotnie przytuleni przez ostatnie krótkie chwile odraczające zakończenie rozmowy.

Zawahałem się. Czy widać mnie w tym niepewnym świetle? Powinienem przejść obok niedbale skinąwszy im dłonią i pozdrowiwszy ich, a nawet, co byłoby zupełnie idealne, przystanąć i dać się wciągnąć w swobodne objęcia rozmowy - moglibyśmy przedstawić się sobie, czarująco zainauguować serdeczną przyjaźń. Ale zostałem tam, gdzie byłem, dwadzieścia jardów dalej, przyciśnięty do ściany obserwując, jak żartują i umawiają się na coś, niby wygłodniały duch: czułem się, jakbym był niczym, zwykłą emanacją zwietrzałych cegieł i zaprawy. Głupkowato przykucnąłem niby zawiązując sznurówkę, ale bezradnie uniosłem wzrok w kierunku młodych i zobaczyłem, jak goście odsuwają się, schodzą po schodach i odwracają się z kolejnym pożegnalnym okrzykiem. Gdy oddalili się trochę, Luc zawołał: - Hej, Patrick! - a kiedy chłopiec spojrział, wykonał coś w rodzaju podskoku, jakby brał piłkę na główkę, i obaj się uśmiechnęli. Potem chłopak, Patrick, wyszedł na ulicę i schylił się, żeby otworzyć drzwi samochodu: mini, różowe mini. W otępieniu ruszyłem w ich stronę, kiedy samochód odbił od krawężnika; silnik źle chodził. Próbowałem zapamiętać numer

rejestracyjny: KYF, KYF... sylaba podobna do „Cherif”. Drzwi zamknęły się za Lukiem, zanim do nich dotarłem, i nawet nie zerknąłem w okno, zatopiony w na nowo rozbudzonym poczuciu porażki i własnej głupoty.

Usłyszałem, że ktoś za mną biegnie i Luc dotknął mojego ramienia. Był zachwycająco zarumieniony, odrzucił włosy do tyłu i przez chwilę myślałem, że mnie uderzy.

- Cześć, Luc! Ja właśnie...

- Edward, co za szczęśliwy traf! Chciałem cię o coś spytać, a nie wiedziałem, jak się z tobą skontaktować.

- Och.

- I zobaczyłem, że przechodzisz za oknem, akurat w momencie, gdy o tobie myślałem!

Był tak przejęty, że może nie zauważył, jak dziwnie odpowiedziałem.

- Nie uważasz, że to musi być dobry znak?

- Bez wątplenia. - Zastanawiałem się, czy zamierza zaprosić mnie do środka i w ułamku sekundy wieczór zmienił się zupełnie, nawet jeśli byłby to tylko drink z nim, jego matką i barokowym grzmieniem trąb nadziei i namiętności bezdźwięcznie wybuchającym nad naszymi głowami.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi odwołać jutrzejszą lekcję, bo chcę wyjechać z miasta.

- Och, oczywiście, a dokąd jedziesz?

- Nad morze, chyba ci już kiedyś o tym opowiadałem, mój przyjaciel ma tam dom.

A więc to planowali we trójkę... I już w tym momencie stare miasto zaczęło wydawać się nieprzyjemne i opuszczone bez nich, bez niego, jak to pewnie bywało wieki temu, kiedy dwór, o którym opowiadał Gerard, wyjeżdżał i zabierał ze sobą swoje maskarady. - Jak długo cię nie będzie?

- Tylko do niedzieli wieczór lub do poniedziałku. Możemy się spotkać w poniedziałek, dokładniej mówiąc po południu.

- Dobrze, zgoda. Jeżeli na pewno weźmiesz ze sobą książki. Mamy sporo lektur do

przejrzania, wiesz przecież; nie możesz stać się zbyt niesystematyczny. - W moim umyśle pojawił się zdumiewający obraz: Luc marszczący brwi i pijący wódkę w zadymionej kabinie jakiegoś porzewiałego, starego tankowca, rozdający karty bandzie jasnowłosych marynarzy w podkoszulkach, wymieniających spojrzenia i plotkujących o nim w języku, którego on nie rozumie.

- Pewnie. Będę czytał Poetów naszych czasów w każdej wolnej chwili, Edwardzie.

- Świetnie.

Nastąpiła chwila milczenia, w trakcie której po prostu patrzyliśmy sobie w oczy, a jego zadowolony uśmiech wysychał. Luc odsunął się i czekał, aż mu pozwolę odejść. Nigdy nie widziałem, by zachowywał się tak dziecinnie - może fakt, że nie kłopotał się okazywaniem swojej zwykłej obojętności, był oznaką zaufania, chociaż na pewno też musiał wiedzieć, że zapal i gorliwość podbijają serca dorosłych i przekonują ich, że na świecie istnieje jeszcze dobro. A potem, kiedy odwrócił się i pobiegł do domu, pomyślałem, że nigdy nie widziałem, by był tak męski - tak barczysty, tak ociążały mimo szczupłości i tak bezspornie dojrzały. Ruszyłem w kierunku mieszkania Matta, a lampy uliczne rozgrzewały się i żółkły w miarę zapadania mroku.

8

Znowu wpadłem w popłoch przestraszony rozległą przestrzenią nieba otwierającą się nad moją głową. Miasto nagle zostało za nami; obejrzałem się i moim oczom znowu ukazała się górująca nad magazynami i osiedlami mieszkalnymi grupka ekstrawaganckich wież; one stały się miastem; potem zmałyły i spowiła je mgła. Jechaliśmy szybko, silnik ryczał, a wiatr przedzierał się nad przednią szybą i smagał mnie po włosach na czubku głowy. Chciałem znaleźć się z powrotem tam, skąd wyruszyliśmy, leżeć do późna w łóżku lub spacerkiem iść na przedprzedobiednie piwo. Wyprowadziliśmy ciężarówki i samochody osobowe z bagażami na dachu, które dopiero co opuściły prom. Oto cała reszta świata, również mojego starego świata - Brytyjczycy nadal ostrożni po tej niewłaściwej stronie drogi majaczyli przed nami, a

potem przez kilka sekund obok nas, przymocowany sznurami brezent trzepotał na wietrze, a kierowcy okazywali pełną czujność, gdy lśniący jeep mijał ich z rykiem. Lecz ja stałem się już obywatelem kontynentu, z litością i konsternacją obserwowałem, jak zostają w tyle.

Niebo na horyzoncie było brązowawe, jakby nad morzem padał deszcz. Matt miał na sobie okulary z butelkowozielonymi szklami i prowadził samochód marszcząc brwi. Parę mil później chmura uniosła się i rozproszyła; im dalej jechaliśmy, tym niebo było promienniejsze i tym bardziej przypominało obrazy starych mistrzów, tak że cała ta szaleńcza, męcząca eskapada zaczęła wydawać się ponadczasowa, zanurzona we własnych sennych niebiosach. Kiedy przekroczyliśmy granicę z Francją, a Matt wyłączył silnik i zjechał na wiejską drogę, żeby sprawdzić mapę, moja gęsia skórka wygładziła się, a październikowe słońce niemal piekło mnie w przedramiona. Ostatnie cztery mile przejechaliśmy bardziej ukradkowo, ja z lewą dłonią wetkniętą pod udo Matta, jak dziecko proszące o dodanie mu otuchy. Potem ukazał nam się rozległy widok na morze srebrzyście pomarszczone, z kilkoma dużymi statkami odpływającymi w dal; ostry zakręt drogi zaprezentował nam naraz garstkę domów, masywny, przysadzisty kościół ze strzeliście zakończonym dachem i znak - St Emest-aux-Sablonnières.

Jechaliśmy powolutku główną ulicą, ja przyczajony na siedzeniu w jednej z baseballowych czapek Matta, niezbyt mnie maskującej, przerażony, że mnie zobaczą albo że choćby zauważą, a jeep pierdział rozgłośnie przy każdym dotknięciu pedału gazu. Był tam sklep spożywczy, bar, sklep z tanimi wyrobami przemysłowymi, kilka starych kamiennych domów, a na każdym końcu nowe wille z cegły ze stalowymi żaluzjami przeciwwłamaniowymi i nie uprawianymi ogródkami w takim stanie, w jakim zostawili je budowlańcy. Za nimi widać było morze oraz inne domy, a kiedy zawróciliśmy, skręciliśmy w wąską aleję na lewo i wyjechaliśmy na zasypany piachem trakt, wiedziałem, że to tu właśnie mieliśmy dotrzeć.

Szereg skromnych willi, parterowych domów z trawnikami ciągnącymi się aż do wydm. Atmosfera lekkiego zaniedbania - pokryte strupami sztukaterie, zardzewiałe tabliczki

z nazwami domów, zdziczała budleja przebijająca się przez płoty ogrodów. Atmosfera okresu międzywojennego, sztywnej bieli, pustych przestrzeni i koktajli pitych na obrzeżonych trawą tarasach z widokiem zachodzącego słońca nad kanałem La Manche. I miejsca teraz już beznadziejnie nieszykownego, małej kolonii zostawionej na pastwę piachu i twardej trawy.

Minąwszy dziesięć czy dwanaście domów, dowleliśmy się na koniec drogi, gdzie znajdował się mały betonowy parking, czuwający nad plażą niczym stanowisko artylerii. Kilka nowych pojazdów czekało obok porzuconego i splądrowanego ami, a w dole dostrzegłem kilka postaci. Czy pośród nich była Trójca, intymnie obwarowana jednym z tych parawanów w pasy lub pędząca, by zmierzyć się z morzem? Ponownie zawróciliśmy i dopiero jadąc w tę stronę spostrzegłem KYF, schowany na oplatanym różami zadaszonym podjeździe, podjeździe... „Les Goelands”. Teraz już znalazłem się dosłownie na podłodze jeepa Matta i ponaglałem go, by jechał dalej. Zatrzymał się obok następnego wjazdu i zapytał mnie, co ja takiego zamierzam zrobić i po co tu przyjechaliśmy. Nie był zły, ale przywykł do osiągnięcia rezultatów; nie miał wyobraźni; nie szokowały go kaprysy i dziwactwa innych ludzi - im dziwniejsi, tym lepsi, jak zaczynałem sobie uświadamiać - ale potrzebował celu. Trudno mu było wytłumaczyć, że ja po prostu chciałem tutaj być, po prostu chciałem zobaczyć ten dom.

- Zatem zamierzamy ich szpiegować.

- Przecież to niemożliwe. Jeśli pójde na plażę, zostanę rozpoznany.

Matt zlekceważył to.

- Ale chcesz go zobaczyć rozebranego. Chcesz wiedzieć, co porabia Les Trois. - Bez wahania przejął moją terminologię. - I czy twój dzieciak pieprzy się z dziewczyną, czy z chłopakiem. Czy z obojgiem.

- Albo z żadnym. - Trochę upakarzające było usłyszeć to w takiej formie.

- Nigdy nie widziałem żadnego z nich, nie zapominaj o tym. Lepiej, żeby byli nieźli.

Przez chwilę siedziałem czując się podle, raniło mnie przymierze z kimś tak obcym i nieopowiednim. Matt zgasił silnik i wyskoczył z samochodu.

Nad podjazdem, przed którym się znajdowaliśmy, zwieszały się gałęzie rozrośniętych drzew; bramka, obciążona siatką, żeby nie włąziły psy, obwisała pod ciężkim łańcuchem. Kępom cyprysów pozwolono rosnąć i rosnąć, aż przesłoniły dom; ich młode czubki chwiały się na wietrze. Matt w koszuli polo wyłożonej na spodnie oparł się o furtkę. Potem zgrabnie ją przeskoczył, ukazując biały kwadrat nagich pleców, i zniknął na podjeździe. Ja zostałem tam, gdzie byłem, wreszcie przeświadczony o zupełnej klęsce.

Ten dom był starszy niż pozostałe, może pierwszy, jaki wybudowano na wydmach pod wioską. Miał okiennice i oszalowane ściany, a przy końcu zaniedbanego ogrodu drugą bramę pod rustykalnym łukiem wiodącą na plażę. Matt odprowadził samochód na parking, gdzie wyglądał on o ułamek mniej podejrzanie i prawie racjonalnie - bryka na ubaw, plażowy wózek z wysokim poziomem testosteronu. Każdy, kto go tam zobaczy, od razu będzie wiedział, że należy do jakichś rozrywkowych młodych przygłupów leżących o całe mile stąd na plaży z kombajnem i zestawem do badmintona. Tymczasem my skradaliśmy się przez kłujące zarośla, zaglądając do ogrodu „Les Goelands”. Najpierw przeszkadzał w tym pobielony wapnem mur, a bliżej domu ciemna szopa z posmołowanym dachem. Po prostu nie dało się zajrzeć do środka, nie było też nic słychać.

Opisałem Mattowi tę grupkę najdokładniej, jak potrafiłem. - Wszyscy są piękni - powiedziałem. - Sybille jest drobna i powściągliwa, z lśniąco rudobrązowymi włosami, Patrick jest krępy, flegmatyczny, ma kwadratową twarz i krótkie, ciemne włosy, sterczące w różne strony; a Luc... cóż, o Lucu powiedziałem ci wszystko.

- Niewątpliwie - odrzekł Matt z wytwornym sarkazmem, do którego zazwyczaj się nie posuwał.

Siedziałem przy końcu ogrodu, podczas gdy on oddalał się plażą w swoich czarnych kąpielówkach i podkoszulku. W pewnym sensie przypominało mi to uczenie, umiejętność sprowokowania jego wyobraźni, postawienia przed nim zadania, które go wciągnie dla samej przyjemności wykonania go. Teraz on był moim wzrokiem, musiał ich odszukać i zdać

szczegółowe sprawozdanie, a oczy mojej wyobraźni śledziły go aż za niewyraźny horyzont piaszczystych wzgórz na pole gry, do której absurdalnie nie mogłem się przyłączyć.

Wałęsałem się po otoczonym niskim murkiem patio, zarośniętym trawą i powojem, z wbudowanymi ławkami spaczonymi przez słońce i czarną kratą rusztu, której używano chyba całkiem niedawno: może przeniosła się tu jakaś impreza z plaży - w kącie leżały przewracane butelki po piwie z ukośnie połyskującymi kilkoma calami deszczówki.

Wypaliłem papierosa i z sykiem zgasilem go w jednej z nich. Było bardzo cicho, z kołysaniem i szeptem morza nie opodal, ale poza zasięgiem wzroku, i gorącą słoneczną pogodą stanowiącą cud, w którym Trójca uczestniczyła w jakiś podświadomy sposób: wiedzieli o niej już zawczasu i wiedzieli, niemalże bez namysłu, jak ją wykorzystać.

Rozpiąłem koszulę i położyłem się na jednej z ławek, wdychając waniliowy zapach nasion krzaka, na którym przepychało się i pobzykiwało pół tuzina późnych pszczoł.

Po jakimś czasie obszedłem dom dookoła zaglądając do środka w paru miejscach, gdzie okiennice były połamane, ale moja własna głowa zasłaniała światło potrzebne mi, by coś zobaczyć. Na piętrze od tyłu znajdowała się staromodna przeszklona weranda. Widok z jej szerokich, przymglonych przez sól okien, teraz przesłoniętych opuszczonymi jasnymi żaluzjami, musi sięgać za wydmy. Na kawałku utwardzonej ziemi poniżej leżała na ceglach dnem do góry mała żaglówka; przekrzywiłem głowę, żeby odczytać łuszczący się, odręczny napis: U Allegro. Daremnie rozważałem, czy jej siostrzana łódź leży przed domem obok. Może właśnie teraz Luc uszczelnia ją niezbyt entuzjastycznie.

Moje serce przyspieszyło na dźwięk zbliżających się kroków: to Matt z włosami nadal mokrymi po pływaniu (choć trochę już podsuszonymi i zmierzwionymi przez wiatr) i piachem schnącym wśród ciemnych włosów na łydkach.

- Nie było cię całe wieki - odezwałem się. - Nie mogłeś ich znaleźć? Może są w domu.

- Nie, znalazłem ich. - Odwrócił się do mnie bokiem, odciągnął gumkę kąpielówek i gwałtownie nasikał w krzaki; potem chwilę stał poklepując swojego ptaka, tak jak lekarz poklepuje żyłę, gdy chce, żeby nabrzmiała; potem z pomrukiem żalu wetknął sztywny interes

z powrotem w majtki, tak że przez chwilę niezdarnie się wybrzuszały, po czym powoli oklapły.

Skręcało mnie z ciekawości, żeby dowiedzieć się, co się wydarzyło, a także skręcało mnie po prostu z głodu. Był najwyższy czas na lunch.

- Pójdziemy do baru coś zjeść?

- Dobra, możesz iść - odrzekł. - Ja wypłem piwo i zjadłem kanapkę na plaży.

- Och. Dzięki, że mi też przyniosłeś.

Odszedł kilka kroków i stanął z rękami na biodrach patrząc na dom.

- Powiem ci coś - odezwał się. - Ten chłopak to sam ogień.

Przeszył mnie dreszcz bólu i zrozumienia.

- No, przecież ci mówiłem - wytknąłem mu. - Powiedziałem, że to złoty sen, który stał się ciałem.

- Nie, nie chodzi mi o tego ze złotego snu - zaprotestował. - Tamten jest w porządku, trochę chudy, trochę dziwaczny... te usta? Nie, mówię o tym drugim dzieciaku, Patricku. - Matt spojrzał na mnie i pokręcił głową. - Powiem ci coś, ten chłopak ma giganta. Totalne pieprzone monstrum między nogami.

- Skąd wiesz?

- Człowieku, starczy, że jesteś sto jardów od niego, a już to widzisz. Biega sobie w tym maleńkim czymś do pływania, z tyłu wystaje mu ta wielka, umięśniona dupa, a z przodu ten nieprawdopodobny ładunek. Cała plaża wlepiła w to gały. - Matt chwycił się za krocze i zadrżał.

- Ciesz się, że się dobrze bawiłeś - powiedziałem zgryźliwie, ale też zgodnie z prawdą. Lekcja przynosiła efekty. - Sam chciałbym go zobaczyć. A co miał na sobie Luc?

- Co? Och, jakieś takie spodnie, jak żeglarskie, długie spodnie, ale przykrótkie.

- Pływał w długich spodniach?

- Czytał książkę.

Och, mój posłuszny Luc, że też wziął sobie moje polecenia tak prosto do serca.

- Nadal tam są?

- Tak, jeszcze tam pobędą. Po południu prawdopodobnie popłyną łódką. Mają takie miłe, małe dinghy.

- Mm. Nie powinienem pozwalać twojej wyobraźni iść razem z tobą.

Matt podszedł, objął mnie za ramiona i pocałował w nos.

- Przynajmniej mówili, że tak zrobią.

- To znaczy, że właściwie ich podsłuchiwałeś.

- Ed! - Potrząsnął mną. - Spędziłem z nimi ostatnie pół godziny. Graliśmy razem w ringo - to znaczy dziewczyna, Wielki Fiut i ja. Profesor się uczył... A potem bardzo uprzejmie podzielili się ze mną swoim lekkim lunchem.

Odsunąłem się. - Jak ty to robisz? - spytałem zdumiony, zły i toczony przez zazdrość.

Niespiesznie przeszedł wzdłuż ściany domu, przystanął przy tylnych drzwiach i nacisnął klamkę. Przystając co chwilę ruszył naokoło domu, boso po żwirze pokrytym sosnowymi igłami. Kiedy skończył obchód, powiedział cicho: - Lepiej, żebyśmy tu dzisiaj zostali. - I wysłał mnie z powrotem na koniec ogrodu, żebym nie widział, co robi. Zaczynałem odnosić wrażenie, że może zrobić wszystko, co zechce, choćby przez sam fakt, że o to nie dba.

Kiedy wszedłem do tego domu i tylne drzwi zamknęły się z szurgotem, a rodzina myszy świsnęła i zamarła bez ruchu na podłodze w kuchni, zaprotestowałem ledwo słyszalnym szeptem. Matt skinął na mnie ręką z zacienionego korytarza i znaleźliśmy się w otchłani; adrenalinę pobudzoną przez zbrodnię ukoilo nieruchome, zastałe powietrze; gdy przechodziliśmy, wirujące promienie światła wpadające przez połamane okiennice muskały nasze nogi, budząc we mnie poczucie tajemniczego bezpieczeństwa, wyciszonego i odległego jak dźwięk morza.

W kącie hallu wejściowego leżały złożone dwa długie i dwa krótkie wiosła z U Allegro, a nad telefonem widniał przypięty kalendarz na rok 1987 z wizerunkiem Maryi Panny oraz pozdrowienia z warsztatu Citroena w Dunkierce. Matt uniósł słuchawkę,

przytknął do ucha i odłożył na blat stolika, jakbyśmy chcieli, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Właściciele nazywali się Rostand, dosyć imponująco, ale zimny, niepożądany wstrząs po zobaczeniu ich nazwiska na wyrzyganej stercie martwej korespondencji pod drzwiami, katalogów ogrodniczych na każdy rok, sezonowych okólników z St Ernest, uśmierzyła świadomość, że minęło mnóstwo czasu, jakby zrezygnowali z wszelkich praw do własności, porzucając ją na tak długo. Zazdrościłem im wakacyjnego domu i przypomniałem sobie, jak zaborczy byłem w stosunku do domku, który wynajmowaliśmy co rok w Kinchin Cove; jak podobały mi się meble drugiej, a właściwie trzeciej kategorii, pokryty sztucznym tworzywem stół, połatane fotele, ozdobiona muszelkami lampka, taka jak u Rostandów, i jak nienawidziłem ostatniego dnia, zdejmowania pościeli z łóżek, sprzątnięcia i ostatecznego cofania się do tylnych drzwi, z wycieraniem podłogi po drodze, żeby usunąć ostatni ślad naszej obecności.

Jak we śnie ruszyłem za Mattem na górę; choć większość domu pograżona była w cienistym mroku, na podeście schodów przez drzwi otwierające się na oszkloną werandę bił blask. Matt cicho zawołał: - Ed! - Opuszczone żaluzje rozświetlało padające na nie słońce, a w powietrzu wisiał suchy, stary zapach ogrzanej bejcy do drewna, jak wewnątrz pudełka na cygara. Matt klęczał na niskim parapecie, a kiedy podszedłem do niego, odchylił listewkę żaluzji i wyjrzałem na zewnątrz, z nagłym zawrotem głowy jak przy zdjęciach filmowych kręconych z dźwigu, ponad gąszczem krzaków na długą, białą stołę „Les Goelandes”, na białe stopnie i prostokąt opadającego w dół trawnika. Matt zabrał palec, jakby mówił: to jest tam, ale nie możesz tego jeszcze mieć.

- I co dostanę w nagrodę? - zapytał stając na podłodze.

Klęknąłem, musnąłem nosem i pocałowałem jego jądra przez lśniące, czarne nic kąpielówek, uniosłem je na języku i pozwoliłem im opaść. Zerknąłem w górę: Matt wdychał gdzieś w dal, jakby nadal patrzył na Patricka. Wiedziałem, że raczej nie mnie pożąda. Zsunął slipy na uda i czekał z rękoma założonymi na czubku głowy, podczas gdy ja uwalniałem jego jaja ustami, językiem i delikatnymi, uważnymi ugryzieniami. Wewnętrzna strona kąpielówek

zrobiona z gazy nadal była wilgotna i oklejona ziarenkami piachu; Matt smakował słono między nogami.

Cofnął się trochę, kiedy pomagałem mu się wydostać z pętów spodenek, i wyciągnął się na złupionych przez myszy poduchach wiklinowego leżaka. Opadłem na kolana, lizałem, wciągałem i ssałem jego jaja, a on onanizował się i drugą ręką szczytywał mi włosy do tyłu. Czasami opadały mi na czoło i dostawały się w miarowo działający tłok jego pięści. - To boli! - chciałem powiedzieć, ale wtłaczał mi do ust swoje jądra, bym je połknął, kiedy on dojdzie, więc wydałem tylko grubiańskie chrząknięcie.

Poszedł do sklepu, ja snułem się po domu, trochę zaciekawiony Rostandami i niezbyt świadomy, że postępuję niewłaściwie. Po drugiej stronie podestu znajdowały się drzwi z chłopięcą wywieszką: Julien, Prive, Danger de Mort. Otworzyłem je i przez ułamek sekundy widziałem małego, grubego chłopca w okularach gorliwie dochodzącego do porozumienia z zespołem Police lub Duran Duran. Lecz gdy moje oczy przywykły do mroku, nie było tam niczego prócz gołego materaca i sosnowego dzieciennego biurka, na którym leżało kilka komiksów z Asteriksem, rozwalony ferrari testa rossa i dawno już pomarszczony, nadmuchiwany globus. Uznałem, że Julien musi być odrobinę młodszy od Patricka. Czy znali się, bawili się na łódce każdego długiego lata, zmieniali się jeden po drugim w okresie dojrzewania, Julien zaniepokojony i przestraszony swoim belgijskim kolegą? Może Luc również go znał, a może ta wcześniejsza, mniej skomplikowana trójca przychodziła do pokoju Juliana, aby bić się, przechwalać i prowadzić napuszone rozmowy właściwe wiekowi młodzieńczemu.

Rozbiliśmy obóz w domu, zjedliśmy mączyste jabłka, pate i oliwki ze słoika. Matt wymknął się jeszcze kilka razy i znowu pływał późnym popołudniem, gdy, co sam przyznał, morze było boleśnie zimne. Cieszyłem się, kiedy miałem dom tylko dla siebie, kładłem się wtedy w rozproszonym świetle werandy, oślepiony marzeniami i co jakiś czas odpływałem w sen. Odrobinę poprawiłem pozycję żaluzji i od czasu do czasu zerkałem na zewnątrz. Raz wysokie okna wychodzące na ganek były otwarte, a na sznurku pojawiły się ręczniki i

spodenki kąpielowe: nie zauważyłem, kiedy wrócili. Później drzwi były zamknięte, a światło z okien padało w poprzek trawnika; ale znajdowaliśmy się pod zbyt ostrym kątem, bym mógł zajrzeć do środka. Jeszcze później, o pierwszej czy drugiej, poszedłem samotnie wzdłuż plaży i podejrzanie zamarudziłem przy białych słupkach ich płotu. Nie było już żadnych świateł, ale zamglony księżyc w trzeciej kwadrze wyławił nikły blask wydm, drobne znikające linie grzbietów fal, i gdy się odwróciłem, białą willę, wiszące ręczniki i zamazane, odbarwione przez morze hortensje. A oto furka, otwarta i zaryta w piachu, i karłowate krzewy cierniste, przycięte przez wiatr w kształt strzał wymierzonych w pociemniałe okna. Może by tak wejść? Nagle poczułem, że dom nie jest zamknięty i że mógłbym przejść po nim jak widmo, stanąć nad każdą uśpioną twarzą, jego z nią lub jego z nim. Ale nie zrobiłem tego, nie chciałem. Pokręciłem się chwilę i pokuśtykałem z powrotem przez wydmy z sercem tryskającym z tęsknoty. Wziąłem zapaloną świecę, którą zostawiłem w kuchni, i osłaniając ją dłonią poszedłem na piętro wśród niemego pokazu cieni i upiorów, tam, gdzie Matt już chrapał, budząc współczujące echo w starych szafkach i gołych podłogach. Chwilę nad nim postąłem - ramiona miał przygwożdżone kamforowym kokonem z koców, a jego piękna, cyniczna twarz z rozwartymi ustami wydawała się odrobinę starcza. Potem przekradłem się przez podest schodów i kompletnie ubrany ległem w pokoju Juliana. Przez długi czas patrzyłem, jak pali się świeca, a jej płomień chybotze w niegroźnym przeciągu. Kiedy ją zdmuchnąłem i zobaczyłem, jak woskowy kielich o cienkich ściankach na jej szczycie stygnie w ciemności, przyszło mi na myśl, że przez całe wieki świat zasypiał z tym słodkim swędem spalenizny w nozdrzach.

Przebudziłem się przerażony i zdumiony, że mogłem tak zasnąć i opuścić początek ważnego egzaminu. Już spóźniony o pół godziny, ubranie nie wyprasowane, nic nie pamiętam, wszystkie ruchy zwolnione i histeryczne... Potem obudziłem się ponownie i jęknąłem patrząc na szczątkowy błysk cyferblatu zegarka mojego taty - „odświecający”, jak nazywałem go w dzieciństwie, zdejmując mu go z nadgarstka i wieszając na lampie, żeby doładować jego blask. Pięć i dwadzieścia (jak tato zwykł osobliwie przedstawiać liczby i jak ja

czasami go naśladowałem), pięć i dwadzieścia po czwartej: najgorsza nocna głębina nareszcie dopuszczająca możliwość, że nadejdzie świt. Słysząc było jakiś hałas - przerywane szuranie i odległe skrobanie, takie jak zawsze, choć może dzisiaj przerywają je ostrzegawcze piśnięcia z powodu Guliwera drzemiącego pośród nich. Uznałem, że nie przeszkadza mi to, krótko i tępo pomartwiłem się o swoje życie i o wszystko, co robię, a potem odkryłem, że jest za kwadrans ósma, a kwadrat okna „odświeca” nie mające do mnie dostępu słońce.

Matt, człowiek systematyczny, wstał już i wyszedł, a ja poczułem wakacyjny impuls, żeby również łapać co najlepsze z dnia. Potem przemknęła mi przez myśl scena przypadkowego spotkania i aż zbladłem z przyprawiającego o mdłości wstydu. Prowadziłem regularne obserwacje z werandy, ale lokatorzy „Les Goelandes” w oczywisty sposób wykorzystywali do cna nic nie podejrzewający, przez nic nie zakłócany niedzielny poranek. Dzwon u św. Ernesta rozkazująco wydzwonił godzinę, potem zamilkł, a oni nadal spali lub może przebudzili się z sennymi uśmiechami i lepкими pocałunkami, i namiętnie znowu zrobili to, co robili, zanim poszli spać. Dopiero po dziesiątej otworzyło się okno, Patrick wyszedł na ganek z dzbankiem kawy i przystanął drapiąc się w tył głowy i beznamiętnie patrząc na morze.

Próbowałem dojrzeć jego osławionego kutasa, ale miał na sobie stare workowate sztruksy, tak jak wtedy, kiedy zobaczyłem go pierwszy raz, i koszulkę z napisem, luźno opadającą na spodnie. Nic mnie to w sumie nie obchodziło; to kutas Luca mnie obchodził i jego sobie bez końca wyobrażałem. Zmieniał się w moich fantazjach, czasami był skromny i silny, czasami długi i miał ciężką główkę, jedyne stałe cechy stanowił luźny napletek, pewność, że w ogóle istnieje oraz jego wrzosowo-miodowe piękno. Luc wyszedł z domu za Patrickiem i przez chwilę stał obejmując go ramieniem.

Odskokczyłem od okna jak rażony błyskiem eksplozji, a potem nieśmiało wróciłem. Na pewno nie było mnie widać, nigdy nie zauważyliby zmiany w ułożeniu żaluzji, to ostatnia rzecz na ziemi, której się mogli spodziewać. Zawładnęła mną naraz paląca potrzeba i ponizienie, i upłynęło trochę czasu, zanim poczułem voyeurystyczną pewność siebie, że nikt

mnie nie widzi. Sto metrów odległości - powiedział Luc, co wskazywało jedynie na to, jak zupełnie nie dbał o dokładność lub jak niewiele zauważał, albo też, że nie wyobrażał sobie, iż jego odpowiedź ni w pięć, ni w dziewięć na pytanie ni w pięć, ni w dziewięć zostanie dokładnie sprawdzona i oceniona, że będzie to dystans pomiędzy nim a mną. Był oddalony o dwadzieścia, może trzydzieści jardów. Zniknął. Wrócił z Sybille, z talerzem białych bułek i słoikiem dżemu. Siedli w trójkę boso obok siebie na schodkach, a ja rozróżniałem ich głosy, ale nie słyszałem, co mówią. Sybille kompetentnie przecinała bułki na pół, smarowała je dżemem i podawała chłopcom, którzy pochylali się do przodu, żeby nie obsypywać się okruchami. Nigdy wcześniej nie widziałem, jak Luc je. Kiedy skończył, Patrick spojrzął mu w twarz i powiedział coś, a on wysunął język i zlizął morelową plamę.

Potem nastąpiła krótka sprzeczka, Luc szturchał Patricka łokciem jak niegrzeczne dziecko przy stole i prawie zepchnął go ze schodów na krzak ozdobnej pigwy. Obaj chłopcy wstali, szczerząc zęby i osłaniając twarze pięściami, a Luc dał susa na trawnik. Z całą mocą uświadomiłem sobie, że dopiero co zwlókł się z łóżka, wciągnął ten cienki, błękitny sweter, prawdopodobnie na gołe ciało, i te stare czerwone drelichy do pół łydki. Obserwowałem, jak podskakuje w miejscu, dopóki nie zauważył, że zabawa się skończyła i powlókł się do domu. Wszyscy weszli do środka, pozostawiając talerz i dzbanek na schodach. Och, byli tylko dziećmi, tylko tu obozowali: gdyby towarzyszyli im rodzice Patricka, mieliby stół, tacę, serwetki, maszynkę do kawy. Straszliwie mnie poruszył sposób, w jaki korzystali z tego miejsca i radzili sobie bez protokołów dorosłych.

Czas mijał. Słońce wspinało się coraz wyżej i rozjaśniało. Muchy bzyczały między szybą a żaluzjami. Okno na ganku naszych sąsiadów nadal było otwarte, filiżanka i talerz ustawione na schodach, wczorajsze ręczniki lekko rozkołysane na sznurku. Było to jak gra na sprawdzenie pamięci. Czułem się sprowokowany, żeby znaleźć coś, co się zmieniło. Uznałem, że chyba zabrano do środka czarne kąpielówki Patricka. Kiedy Matt wrócił, przez chwilę nerwowo się z nim obcałowywałem na dole. Gdzie oni są, chciał wiedzieć; co się dzieje? Pobiegł daleko wzdłuż brzegu, rodziny wyległy na plażę, zebrał się niewielki tłumek

wokół furgonetki sprzedającej frankfurterki i frytki, piłki plażowe podskakiwały, a ich mali pieprzeni smarkaci jaśniepanowie i jaśniepanie nie zgadzali się wyjść i zagrać. Był zły na wesoło, jak ktoś ukrywający własną psotę. Zabrałem kilka egzemplarzy „Paris Matcha” na górę, żeby je przekartkować, z tremą czekając na możliwe spotkanie. Pobawiliśmy się w chaotyczną grę polegającą na śledzeniu losów aktorów i modelek, w moim numerze widzianych razem w klubie nocnym, następnie biorących ślub w późniejszym wydaniu, które Matt właśnie odrzucał na bok, a przeprowadzających separację w ekskluzywnym wydaniu nadzwyczajnym dwa lub trzy miesiące później. A z kim byli teraz? Matt dość szybko stracił zainteresowanie i szukając zdobyczy krążył po pokoju.

Moją czujność obudziły głosy i przysunąłem się z powrotem do okna w nagłym, posępnym podnieceniu. Odbывała się kolejna sprzeczka: Patrick zadał Lucowi pytanie, oskarżył go o coś, ale od razu zawstydził się, że może nie mieć racji; Luc pokręcił głową niedowierzająco i odszedł kawałek - nagle odwrócił się, wysunął biodro i zsunął spodnie pokazując pasek niebieskich majtek. Taki pikantny, oklepany gest: nie spodobał mi się. Patrick wszedł do domu, a Luc przez parę minut wałęsał się sam po ogrodzie. Miałem wrażenie, że jest skrępowany, jakby niejasno przeczuwał, że ktoś go obserwuje. Zaczynałem przyswajać sobie dziwaczne tempo dnia voyeurysty, na który składają się strzępki obrazów, przeciągające się chwile beczynności, wielka cierpliwa inwestycja czasu, tajemniczość, dużo więcej niż czysto towarzyska zażyłość z postaciami absolutnie obojętnymi i nieświadomymi twojej obecności; byli marionetkami szarpiącymi się na sznurkach własnych przyzwyczajień i kaprysów, odpornymi na mamrotane przez ciebie ponaglenia, twoją nieskuteczną telepatią, twoje przesłonięte oczy. Doświadczyłem tego już wcześniej, raz czy dwa - na poły zawstydzony - obserwując, jak syn naszych sąsiadów marnotrawi dzień, patrząc na rozległe obszary jego marzeń i sporadyczne tajemnicze działania. Przypominałem sobie strukturę rzadkawego, powolnego czasu, w którym istniał, chandry samotnego poranka z jedną skarpetką zdjętą i jedną założoną. Nienawidziłem Donningtonów - nie z jakiegoś szczególnego powodu, po prostu w ten zapalczywy, ogólny sposób, w jaki nienawidzi się

swoich sąsiadów z tą ich łódką i telefonem grzecznościowym - i kiedy kierowałem lornetkę na młodego Gerry'ego, którego okrągła twarz była obcesowo zmiętoszona, poszczypana i generalnie obmyśliwana na nowo przez bogów dojrzewania, czułem, że mszczę się w sekrecie. Zamykałem się w łazience i patrzyłem, i patrzyłem. Było to jak deprawujący przywilej nadany we śnie lub w starożytnej szkole publicznej.

- Rzućmy na to okiem. - Matt podszedł do mnie, znudzony i dosyć brutalny. Nadal gapiłem się na pusty trawnik.

- Nie ma na co patrzeć w tej chwili.

Zmysłowy palec z delikatnym owalem ciała w miejscu straconego paznokcia rozsunął listewki żaluzji i okryte skórą cylindry masywnej lornetki wsunęły się na stanowisko.

- Rany, wszystko przez to widać. - Jak on to robił? Znowu okazałem się nieudolnym, niezdarnym marzycielem, chronionym i przechytrzonym przez nieczułego przyjaciela. Inny tępo zakończony palec poruszył karbowanym pokrętle do nastawiania ostrości. - Niesamowite. Można policzyć źdźbła trawy - powiedział. - Jeśli ma się na to ochotę.

- Pozwól mi popatrzeć.

Lornetka przesłaniała mu prawie całą twarz, więc jego uśmiech mógł być tylko grymasem człowieka patrzącego pod słońce. - Mógłbyś policzyć włosy na jego jajach.

- On nie ma włosów na jajach. Czy teraz ja mogę popatrzeć, proszę?

- Taa... tak... - W skupieniu wysunął język. - O rety. Nadchodzi Wielki Fiut. Spójrz tylko na to... Chyba znowu wybierają się pływać łodzią. - Patrzyłem mrużąc oczy, jakoś przekonany, że bez lornety nie będę w stanie nic zobaczyć, chociaż oczywiście widziałem Sybille i Patricka, obładowanych wiosłami, czerpakiem i podobnymi do skrzynek różowymi kapokami.

- Ciekawe, gdzie twój mały przyjaciel? Prawdopodobnie zostanie w domu, żeby czytać i w ogóle go nie zobaczysz, co będzie wyłącznie twoją winą. - Dałem Mattowi kuksańca w żebra - tak jak bijący się chłopcy, zauważyłem - a on zachichotał i powiedział: - Nie, zaraz, któż to się pojawił? - I wrócił Luc, niezręcznie przystanął na schodach, jakby nie

mógł pomóc, kiedy się tego po nim spodziewano. - Gdybym był młodym... Lukiem - przemówił Matt - byłbym odrobinę zazdrosny o Wielkiego Fiuta i dziewczynę.

Kiedy w końcu dostałem lornetkę i uchwyciłem tę parę sunącą na plażę, zauważyłem w nich jakąś gniewną stanowczość. Nie wyglądało na to, by mieli się dobrze bawić. Zdjąłem okulary i nastawiłem ostrość odpowiednio do mojego wzroku. Soczewki były bardzo mocne, zapewne używano ich w czasie wojny do przeczesywania oceanu z wieżyczki obserwacyjnej na pancerniku, a później zachowano, gdyż pozwalały obserwować upierzenie i czarujące ruchy nadmorskich ptaków. Ciężki pokrowiec był wyszczerbiony, skóra wytarta, a na farbie wydrapano nazwisko DHONDT.

Pół godziny pognało i odpłynęło, zanim Luc znowu się pojawił. Potem akcja zaczęła się rozwijać z własną oszczędną siłą napędową. Wyszedł na ganek, a ja skierowałem na niego lornetkę: był uderzająco wyraźny i bliski, namacalny, ale również wystylizowany, jak na rozmytym zdjęciu bez głębi ostrości. Kiedy uniosłem nieco rękę, obraz niedbale przesunął się na jakąś zieleń, na potakujący czubek młodego drzewka, i wpatrując się w niepokojąco rozmazany krajobraz musiałem przesunąć lornetkę w dół i w bok, żeby odnaleźć go spacerującego po trawniku, tuż przede mną jak się zdawało, niby postać na spłaszczonym pierwszym planie japońskiego sztychu. Nie śmiałem bardziej rozsunąć żaluzji, więc obraz od góry i od dołu zamknięty był mglistą ramą nieostrzych listewek. Przydawały tajemniczości pięknemu widokowi, który otaczały.

Rozłożył wyblakły niebieski ręcznik z postrzępionymi brzegami, stary ręcznik na plażę, poświęcony dla smoły i olejku do opalania. Potem obszedł go w jakiś taki ziemiański sposób i spojrzął w kierunku wydm. Przez chwilę myślałem, że pójdzie na plażę i że stracę swój niemalże nadprzyrodzony punkt obserwacyjny. Ale wybrał odosobnienie i od razu dostrzegłem jego nieśmiałą, bystrą dumę, która sprawiła, że pokochałem go nawet bardziej. Zdjął sweter i położył się, sięgając ręką do szmacianej torby: patrzyłem, jak wyjmuje jakąś emulsję i czyta opis na butelce, po czym postanawia, że dzisiaj nie grozi mu oparzenie; jednak słońce świeciło mocno, więc założył okulary przeciwsłoneczne z daszkiem, z uchwytami na

uszy połączonymi krótką, haftowaną taśmą. Potem przewrócił się na brzuch i otworzył książkę, zwrócony był w drugą stronę, więc poprawiłem ostrość nad jego ramieniem i dostrzegłem charakterystyczną stronę Poetów naszych czasów: musiał wetknąć w środek ołówek jako zakładkę, więc wkrótce już podkreślał słowa, robił zapiski na marginesie i przez mniej więcej pięć minut pracował nad zwartym, konwencjonalnym gryzmołem - chyba było to na stronie Roya Campbella. Cała sprawa z Naszymi Czasami polegała na tym, że były to raczej Czasy Naszych Ojców. Zdziwił mnie mój odruch, żeby przytrzymać go przy sobie we wspólnym dzieciństwie niemodnych wierszy i zdyskredytowanej retoryki. Studiowałem jego nagie, brązowe plecy dokładniej niż cokolwiek w życiu - szerokie płaszczyzny łopatek, odrobinę chłopiące wgłębienie między nimi, pojawiające się, gdy opierał się na łokciach, różowe ślady zadrapań na ramionach, zaczesane do tyłu złociste włosy wetknięte pod wyszywaną tasiemkę okularów.

Kiedy odłożyłem lornetkę, żeby zdjąć spodnie, zaskoczył mnie fakt, że znajduję się w pokoju, w innym domu, a nie klęczę między jego rozsuniętymi nogami, gotów, by go pieprzyć lub łaskotać w stopy. Powróciwszy na stanowisko stwierdziłem, że Luc wstał i rozgląda się wokół, więc pomyślałem, że pewnie już rezygnuje. Matt nie miał racji mówiąc, że jest chudy; był szczupły, ale nie bardziej chudy niż Matt, a pierś miał zaskakująco rozbudowaną, z szerokimi, mlecznymi sutkami. Klęczałem pobudzając powietrze językiem i zębami i poruszając szczęką w wymaginowanych pocałunkach.

Zdejmował spodnie.

Nie jestem w stanie opisać następnej godziny. Luc na trawie w płytkich niebieskich spodenkach, dosyć dyskretnych; granice letniej opalenizny, czerwonych drelichów i szortów dłuższych niż te, zaznaczające komiczne seksowne etapy w górę jego długich nóg, aż do białego paska - który przelotnie widziałem - szerokości palca, biegnącego wzdłuż lamówki majtek w miejscu, gdzie zaczyna się wypukłość pośladków. Już pojawiające się drobne fałdki i błękitne węzłki żył na wewnętrznej stronie jego ud. Nic na temat ptaka, ale kilkusekundowy widok pomarszczonej moszny (możliwe, że sobie to wyobraziłem).

Zarzucenie Poetów naszych czasów na korzyść żółtego walkmana. To na pewno nie Schubert. Przeraził wyzwanie, gdy spojrział w moją stronę, pół siedząc, jakby zaalarmował go jakiś hałas lub błysk soczewek, potem znów się położył, wsuwając palce za pasek. Zazdrość o jego dłonie, gdy obejmowały jego głowę, strzepywały owada lub łaskoczącą trawę, delikatnie drapały go paznokciem kciuka. Zazdrość o stopę o długich palcach i brudnej pięcie pocierającą o łydkę drugiej nogi, potem zsuwającą się powoli, dopóki nie legła obok tej drugiej i zaczęła kiwać się w takt muzyki.

Musiał się przesunąć, gdy słońce przechodziło na drugą stronę, a cień naszego domu nacierał na trawnik; spadzisty dach i leżąca niżej weranda nabrały złowieszczych kształtów, jak ślepa głowa i łapy Sfinksa - pomyślałem. Dwukrotnie podniosłem ręcznik i marszcząc czoło przemieściłem się dalej, obiekt doświadczenia ze światłem, którego zdawał się nie pojmować. Dwukrotnie Matt mnie odratowywał. Potrzebowałem obu rąk, żeby utrzymać ciężkie szkła bez drżenia. Byłem unieruchomiony, dłonie i głowa w jednej pozycji, serce i umysł tam na zewnątrz, gdzie mój uczeń leżał i marzył, i umykał przed nadejściem chłodnego przypiływu cienia.

9

Przyszedłem na lekcję za wcześnie. Zbliżałem się od drugiej strony, od ulic kojarzonych z rozczarowaniem, niechętnym odejściem pielgrzyma ze świątyni, gdy rany i kalectwo nadal pozostają nie uleczone, choć z tego punktu widzenia posępne znaki orientacyjne przybrały nową aurę nadziei i zrozumienia. Uspakajałem nerwy za pomocą sztuczek przeciwko tremie, których nauczył mnie ojciec. A oto Luc, szedł przede mną, nie biegł, ale widać było, że nie chce się spóźnić. Nabrałem otuchy, kiedy zobaczyłem, że spogląda na zegarek; ten szybki gest dał świadectwo mojemu autorytetowi - nie umniejszonemu, może wręcz uwydatnionemu, przez tolerancję, jaką wykazałem przy przekładaniu lekcji. Ale czyż nie poczułem również bólu, uświadamiając sobie, jak odległą postacią nadal dla niego jestem, pedantem na punkcie martwej poezji i punktualności?

Skręcił za róg, a kiedy tam dotarłem dwadzieścia sekund później, zobaczyłem, że rozmawia z mężczyzną, który prawdopodobnie go zaczepił. Trzymali każdy za jedną krawędź rozłożonej mapy turystycznej, a Luc, wyższy o głowę, schylał się nad nią w poszukiwaniu jakiejś ulicy, jak założyłem, o którą spytał ten człowiek. Usłyszałem, że pochrząkuje z irytacją i chichocze ze wstydu nie mogąc jej znaleźć; tymczasem turysta miał spokojny, prawie zadowolony wyraz twarzy, bo przecież okazał się nie taki znowu głupi. Łatwo jest zadać trudne pytanie - pomyślałem.

Nie podobał mi się wygląd tego faceta - po czterdziestce, wysportowany, z jasnymi kręconymi włosami tworzącymi zakola nad długą nudną twarzą. Zapewne ludzie mówili, że jest przystojny, zresztą sprawiał wrażenie, jakby sam w to wierzył. Miał schludny plecak z peleryną podpiętą pod klapą.

Zanim zrównałem się z nimi, zatrzymałem się, zdecydowany dotrzeć do domu po Lucu, a poza tym osłabłem, widząc go ledwie stopę od siebie, pojąwszy, gdzie byłem, ciałem i duchem, od naszego ostatniego spotkania. Zaledwie wczoraj dwukrotnie doszedłem nad jego nagimi nogami - czy raczej nad poduchami okrywającymi ławeczkę pod oknem i nad stertą pomarszczonych przez czas magazynów telewizyjnych w opuszczonym domu - lecz mimo to wydawało mi się, jakbyśmy się kochali, stosunek tak się przedłużał i tak bardzo byłem na nim skupiony; znałem jego ciało lepiej niż on sam. Teraz spostrzegłem, iż to nie było całkiem sprawiedliwe: nie do wiary, że on nic nie wiedział, że czytał i słuchał muzyki w tym czasie. Mężczyzna wybaczał Lucowi niepowodzenie, wolną ręką chwytając go pocieszająco za ramię. - Nie martw się, to taki mój szczególny, specyficzny konik - mówił po angielsku, kiedy postąpiłem do przodu i chwyciłem Luca za drugi łokieć mimowolnie protestując przeciwko roszczeniom tamtego. Jak on śmie narzucać swoje szczególne, specyficzne koniki temu chłopcu?

- Chciał wiedzieć, gdzie jest Bractwo św. Kaspiana - wyjaśnił Luc, gdy przemierzaliśmy ostatnie sto jardów do domu. - Wiem, że powinienem to wiedzieć, kiedyś się tego uczyłem.

Mogłem mu powiedzieć, Bóg jeden wie. Była to obskurna, upstrzona plamami budowla na skraju miasta, niedaleko mieszkania Matta; przechodziłem tamtędy co dnia i nigdy nie zauważyłem ani śladu życia. Tylko najbardziej nawiedzony antykwariusz mógł zapragnąć pójść tam z własnej woli. Mogłem mu zaimponować, nawet łagodnie przytłoczyć go swoją wiedzą, która nawet nie była wiedzą o mnisich bractwach, a jedynie efektem wstydlivej ucieczki ulicami następnego poranka. Ale usta miałem suche niczym ścierka, a moja twarz zdawała się gumowato sztywna, jakbym został zraniony przez starego przyjaciela i nie wiedział, co powiedzieć. Luc zerknął na mnie kątem oka, ale pomyślał prawdopodobnie, że jestem po prostu zły i że czeka go ciężka godzina. Niemalże do tego doprowadzał mnie fakt, że tak po prostu idziemy razem w realnym świecie, obaj w czarnych dżinsach i elegancy w lekkich sportowych marynarkach, choć jego była kosztowna i szkocka, a moja amerykańska i z ciuchów.

- Cóż to się stało z twoimi okularami? - spytał Luc z nową bezceremonialnością, kiedy zajęliśmy nasze zwykłe miejsca za stołem w jadalni.

Przesunąłem palcami po pękniętym mostku i bocznych zawiasach sztywno umocowanych taśmą klejącą. Chciałem mu opowiedzieć, że kiedy już wreszcie poszedł do domu i nie zostało po nim nic prócz srebrzystego prostokąta na trawie w miejscu, gdzie był rozciągnięty ręcznik, wstałem i strapiony wędrowałem po na wpół widocznej podłodze, aż wdepnąłem w okulary, które poprzednio odrzuciłem, żeby się z nim kochać, powodując widoczne szkody.

- Spadłem z roweru - wyjaśniłem absurdalnie: - A dokładniej zostałem zrzucony.

- Mam nadzieję, że nic ci się nie stało, Edwardzie - powiedział z pełnym entuzjazmu współczuciem, prawie że bardziej entuzjastyczny niż współczujący, ale miał dopiero siedemnaście lat i cóż mógł wiedzieć? - Tylu ludzi jeździ na rowerach i sądzę, że może to być bardzo niebezpieczne. - Wzruszyłem ramionami pokazując, iż nic mi nie jest. - Nie wiedziałem, że masz rower - dodał.

- To właściwie nie był mój rower - przyznałem. - To rower przyjaciela. - Już

widziałem, jak pcha mnie coraz dalej i dalej w oszustwo, podobnie jak szybka, kłamliwa odpowiedź na pytanie golarza, po której następuje kolejne pytanie zadane bez zainteresowania, może w parę minut doprowadzić do szaleńczej powodzi zmyśleń non sequitur. - Już więcej nie będę na nim jeździł - podkreśliłem. - To był zupełny gruchot.

- Gruchot. Tak. W każdym razie, myślałem, że wolisz chodzić piechotą - powiedział. (Zatem myślał o mnie.) - Często cię widuję, jak spacerujesz po tej ulicy, kiedy pracuję wieczorem, co przypomina mi, że powinienem pracować jeszcze pilniej.

Widział mnie... I czy to kontrolowany gniew zabrzmiał w jego chłodnej wypowiedzi, nowy ton w naszych stosunkach? Niezdarnie odparowałem zarzut: - Nie mogłeś pracować zbyt pilnie, skoro wyglądałeś przez okno. - Uświadomiłem sobie, że gładzę jak przyciężki, zrzędlawy dureń i uśmiechnąłem się, żeby zatamować jego nienawiść.

- Chyba nie wiesz wszystkiego o okiennych lusterkach zamontowanych w większości starych domów. Możemy sobie siedzieć i robić, na co mamy ochotę, a potem szybko podnosimy wzrok i widzimy całą ulicę.

Zaczerwieniłem się i kiwnąłem głową w autentycznym olśnieniu. Oczywiście, że widziałem te szpiegowskie zwierciadła; ale nie zdawałem sobie sprawy, jak nawykowo wścibscy są ci ludzie. Zaczynałem odnosić wrażenie, że wszystko, co robię, może być obserwowane i oceniane zza ciemnych, starych okien miasta.

- Jak minął weekend? - spytałem.

- Och, bardzo dobrze, dziękuję.

- Musisz mi przypomnieć, dokąd pojechałeś. Pamiętam, że to gdzieś, gdzie twój przyjaciel ma dom, tak?

- Tak. W małej wiosce tuż za granicą z Francją, nazywa się St Ernest-aux-Sablonnières...

- No oczywiście, pamiętam już, gdzie święty Ernest itd... - Kiwnąłem głową i spojrzał na mnie z lekką troską, jakbym rzeczywiście mógł zapomnieć całą tę czczą gadaninę z naszej pierwszej lekcji. - Musieliście mieć dobrą pogodę, jesteś chyba nawet trochę bardziej

brązowy; jeśli było podobnie jak tu, to pewnie mogliście się wręcz opalać.

- Opalanie się jest dla mnie zbyt nudne. Ale owszem, słońce świeciło i ogólnie pogoda dopisała.

- Tak. - Przemyslałem to próżne kłamstewko. - Opowiedz, co robiłeś. Kto tam był?

- Och, tylko ja i mój przyjaciel Patrick. Chyba wspomniałem ci już przedtem, że to dom jego rodziców.

- Tylko wy dwaj?

- Tak, było bardzo spokojnie, mogliśmy odpoczywać i, cóż, odrabiać zadania domowe.

- Jak przyjemnie. - Odwrócił wzrok, jakbym insynuował coś, choć w rzeczywistości byłem zbity z tropu przez jego kłamstwo, urażony, że mi kłamie i miałem ochotę zagnać go w kozi róg i zdemaskować. Mama wyszła dziś do Katedry i nie mieliśmy kawy, żeby wypełniać chwile ciszy i neutralizować zakłopotanie. Byliśmy sami w domu... Wstałem, podszedłem do okna i z niezadowoloną miną dokonałem inspekcji ogrodu, czyli dwóch japońskich klonów z powykręcanyimi konarami płonących miedzią i szkarłatem. Moje długie, pełne rozczarowania milczenie zaniepokoiło go.

- Przeczytałem to, co mi kazałeś.

- Dobrze... dobrze... - Wróciłem i usiadłem. Musiałem przywrócić ten weekend do rzeczywistości. - Może będziemy bardziej brytyjscy - powiedziałem groźnym tonem i obserwowałem, jak zaniepokojenie wypiera jego wymuszony uśmiech. - Opowiedz mi jeszcze raz, jaka była pogoda.

Ulga i znużenie. - Znowu ta diabelna pogoda! Rano było trochę... mgły; potem rozproszyła się i zostały tylko niewielkie formacje cirrocumulusów.

- Czy rodzice twojego przyjaciela Patricka nie boją się zostawiać domu bez opieki? - Rozmyślałem o sennych mirażach wczorajszego słońca na białej sztukaterii, o otwartych drzwiach, a on ciągle coś dodawał i ujmował, przemycił Sybille poza obraz i domalował stratosferyczne chmury, na które nawet nie rzuciłem okiem.

- Nie martwią się tym. Ojciec mojego przyjaciela, pan Roger Dhondt, jeździ tam dosyć często. Jest pisarzem i, hm, właśnie tam zajmuje się pisaniem.

- Zatem twój przyjaciel Patrick nazywa się Dhondt?

- Tak, może o nim słyszałeś? Roger Dhondt wydał kilka książek o przyrodzie i -
ecologie...

- Ekologii. Nie, nigdy o nim nie słyszałem.

- Wiesz, on bywał w Het Zwin, z dzikim ptactwem. Bardzo interesuje się ptakami. -
Zerknąłem na Luca i zauważyłem, że martwi go moja grobowa mina. - Właściwie - dodał zachęcająco - nawet ich dom nazywa się „Mewy”.

- Wiem, wiem - miałem ochotę wymamrotać, jako że nawet apatyczny urok tej pensjonatowej nazwy przywodzącej na myśl błękitne niebo zaczął blaknąć.

- Czasami w lecie na plaży mieszkają ludzie. Ale to włóczęgi i nie przejmujemy się nimi. - Uśmiechnął się jak dziecko, które nie ma przystępu do intrygującego smutku rodziców i próbuje ich zabawić, podczas gdy oni wymieniają kamienne, porozumiewawcze spojrzenia.

- Czasami wchodzi do takiego jednego domu, który stoi pusty od wielu lat. Wiemy, że czasami wchodzi do ogrodu, co jest w porządku, okay, rozpalają ognisko i robią imprezę. Mój przyjaciel Patrick sądzi, że teraz ktoś zamieszkał w tym domu, ale ja nie wiem.

- A dlaczego tak sądzi? - spytałem wymijająco. - To znaczy, czy widział tam kogoś?

Luc był jeszcze bardziej wymijający.

- Powiedział, że słyszał hałasy w domu, który stoi obok naszego, to znaczy jego domu. Kręcił się tam, wiesz, facet, którego ciągle spotykaliśmy; był obcy, ale ja myślę, że to miły, przystojny facet, całkiem bogaty, a nie włóczęga, który włamałby się komuś do mieszkania. - Wpatrywałem się w niego i widziałem, jak znowu się stara być jeszcze miłszym, ale w taki sposób, jakby nie był pewien, czy warto się wysilać. - Mój przyjaciel Patrick mówi, że słyszał taki dźwięk, jakby ktoś chrapał, dochodzący z tamtej willi. Ale ja sądzę, że to był tylko szum morza.

W drodze powrotnej z St Ernest Matt powiedział mi, że wyjeżdża z miasta na tydzień

lub dwa. Powiedział to w tak zdawkowy sposób, że zrozumiałem, iż musi to być coś ważnego, w co nie powinienem wnikać.

- Będzie mi ciebie brakowało - wyznałem i zaskoczyła mnie prawdziwość moich słów.

Odrzekł zagadkowo: - Taa... - i po chwili wspomniał o jakichś interesach, które pragnąłby mi powierzyć na czas swojej nieobecności. Pomanipulował przy kieszeni na piersi, wyciągnął grubaśny zwitek banknotów i rzucił mi go na kolana. Nie chciałem ich przeliczać, dopóki byłem z nim, ale poczułem przyptyw niezastudzonej łaski losu, niezależnie od tego, o co chodziło. Lekceważyłem problem pieniędzy, przepuszczając doszczętnie dobre, ale z rzadka rozsiane zarobki z lekcji na alkohol i marnując niewielkie rezerwy na romantyczne zbędniaki jak koszula w kolorze lobelii - już prawie podjąłem decyzję, że po tym weekendzie zadecyduję, że zdecyduję się, co robić dalej. Następnie okazało się, iż nawet nie spędzimy razem tej nocy; a że wyjeżdżał następnego ranka, zostałem nieoczekiwanie osierocony. Powędrowałem z powrotem do swojego pokoju, czując się bliski obłądu i samotny.

Koperta zaadresowana pięknym pełnym wyobraźni pismem została wsunięta pod moje drzwi i leżała na powycieranym chodniku. Sprzątnąłem popielniczkę, zaskorupały dzbanek na kawę, butelkę mleka zamienionego w karmelkowe męty pod bladoniebieską wodą - wszystko to z szacunku do mojego listu i kapryśnego docinka, jaki stanowił, na temat lepszego życia, które mógłbym wieść. Zupełnie sobie nie wyobrażałem, kto go przysłał; miałem nadzieję, że to zaproszenie - czyjaś propozycja, że się mną zajmie przez godzinę lub dwie. Lecz mało kto wiedział, gdzie mieszkam. Nieludzko pragnąłem znów zobaczyć Cherifa, ale powątpiewałem, czy jego pismo mogłoby być tak rokokowe. Pismo Marcela, co wiedziałem, było zamaszyste i pochylone w lewo. A potem powrócił mój pierwszy pomysł przeczący wszelkiemu rozsądkowi: że to od Luca. Coś, co bał się powiedzieć mi twarzą w twarz - taki rodzaj walentynki fantazyjną kursywą lub wręcz przeciwnie, zdumiewający liścik oświadczający, że wszystko między nami musi się skończyć.

List był od Paula Echevina i po chwili dostroiłem się do przyjemności, jaką mi to sprawiło. Czy chciałbym zarobić trochę pieniędzy pomagając mu w Muzeum? Czasami

będzie to zajęcie Helene, czyli czytanie powieści w hallu i od czasu do czasu sprzedawanie biletu lub pocztówki; głównie jednak robota papierkowa, sprawdzanie informacji, korekta angielskiej wersji katalogu Orsta, który naprawdę trzeba wykończyć przed nadchodzącą wiosną i który był już od tylu lat spóźniony.

Czułem się urzeczony i trochę onieśmielony - mimo że udekorował list jak pomysłowy wujek dla bystrego bratanka: u dołu strony widniał szkic przedstawiający Paula znikającego pod zwałami papierów, a jego imię wypisane było całymi strumieniami zakrętasów, jak na wizytówce Wiatru Południowo-Zachodniego w książeczce dla dzieci, którą kiedyś miałem. Co za upiorny nawał pracy i w dodatku wszystko na opak: musisz robić dla pieniędzy to, czego nigdy byś nie zrobił w innym wypadku; rozumowałem jak dziecko, które nie pojmuje sedna sprawy, ale mimo to pytania stawiane przez nie jowialnemu dorosłemu dotyczą pewnych nieprzyjemnych słabych stron argumentacji. Potem ujrzałem siebie, gdzieś dziewięcioletniego, siedzącego za ogromnym biurkiem Paula Echevina z brodą na przedramieniu, w pierwszym tygodniu zimy, częściowo w mroku, a częściowo w świetle lampy zapalanej w porze herbaty, otoczonego milczeniem zapracowanych dorosłych, zagubionego w świecie słów i obrazów.

Było ciemno na schodach, ciemno w pokoju na samej górze, ale ta ciemność przypominała ciemność na filmach, gdzie śpiące osoby pogrążone są w błękitnym cieniu; albo może było coś fosforyzującego w powietrzu, gdyż zasłony, prześcieradła i poszewka na poduszkę łagodnie jaśniały. Ostrożnie stąpałem wśród rozrzuconych ubrań, obok zwiniętej w rulon koszuli, denerwująco śmiesznych spodenek bokserskich, nade wszystko uważając, żeby nie nadepnąć na okulary. Luc spał na plecach, bluzę od piżamy miał rozpiętą, sutki szerokie, brązowe i sterczące, powstrzymywał chciwy piernat ręką w skórzanej rękawiczce. Pomyślałem, że gdyby udało mi się odpiąć rękawiczkę w nadgarstku i wyczarować spod niej te długie, nerwowe palce, byłoby to bardzo piękne osiągnięcie. Przysiadłem na krawędzi łóżka i szczegółowo obejrzałem jego brzuch z kuszącą język szparką pępka opadający w

zwolnionym oddechu głębokiego snu. Jego anatomia była wspaniała i jakoś sama w sobie świetlista, a żyły na szyi w tych miejscach, gdzie nabrzmiały, wydawały się przezroczyste jak na modelu czy mapie ciała. Model mężczyzny... Z nabożeństwem odsunąłem kołdrę i zobaczyłem kutasa śpiącego w niedbale rozsuniętym rozporku piżamy. Był ciężki i ciepły w mojej dłoni, jedwabisty napletek zsunął się z intymnym, wilgotnym szepnięciem. Luc otworzył oczy i od razu zobaczył mnie. Zbyt był poruszony, aby się uśmiechnąć. To była miłość przypominająca lewitację w transie, przyjemna i promienna jak niebiańska muzyka, być może tak właśnie w wizjach święci widzą wieczność. Była nasza. Jego ramiona otoczyły moją głowę i pociągnęły w dół.

Otworzyłem oczy i od razu ujrzałem parę butów, zrobionych z pożytkowanej, zabarwionej na pomarańczowo skóry, ustawionych pod kątem czterdziestu pięciu stopni do siebie, pięta jednego na drugim, jak pierwsza pozycja w balecie. Były nieskończenie potworne, w zagranicznym fasonie, zdarte i rozczłapane od długotrwałego noszenia. Leżałem na boku na krawędzi materaca, a pościel sięgała mi akurat do linii ramion i bioder. Wystraszyłem się, że mój brzuch przeważy i wyląduję na podłodze. Buty stanowiły ogniskową mojej niedoli. Znów zamknąłem oczy i tęsknie odtworzyłem blaknący już sen, żeby wyłović i zapamiętać wszystko, co się da. Jak mnie kochał. Jak do mnie przyłgnął.

Byłem unieruchomiony w tej pozycji przez szorstką piętę wpychającą się w moją łydkę i lekko lepką grubawą pupę przyciśniętą do mojej. Próbowałem powoli, lecz stanowczo przesunąć się do tyłu, ale napotkałem na nieświadomy, zdecydowany opór. Zezując na zegarek leżący na podłodze ustaliłem, że jest dopiero 6.15; światło dnia ukonkretniało się na ścianie i tęskniłem jedynie za ciepłem i zapomnieniem. Wysunąłem się z łóżka, obszedłem je i położyłem się po drugiej stronie, gdzie spotkałem się z chłodnym przyjęciem. Poduszka miała drożdżowy zapach wyschniętej spermy - zarazem rześki i nieswieży.

Spojrzałem na dużą, pokrytą zarostem twarz należącą do... do kogo? Do Fritsa. Z Holandii. Gorliwego, bezkrytycznego wielbiciela literatury angielskiej. Może miedziane oświetlenie „Kasety” i łaskawie łudzący alkohol użyczyły mu blasku, gdy stał oparty o ścianę

czytając W niewoli uczuć - jak podejrzewałem, zwiedziony tym pierwszym dobitnym rzeczownikiem, choć nadal po dwustu stronach uparcie miał nadzieję. Wyglądał tak potężnie i bezpiecznie jak rzemieślnik, ze wzruszającą mieszaniną nieporadności i pomysłowości; wyobrażałem sobie, jak po mistrzowsku robi coś w drewnie.

Zdawał się miło zaskoczony, gdy zaprosiłem go do siebie, jakby nasza rozmowa o Maughamie mogła być celem sama w sobie; jakbym proponował mu podwiezienie do jakiegoś miejsca, które nie było mi po drodze. - Dziękuję ci bardzo - odpowiedział. Kiedy szliśmy przez puste miasto stało się dla mnie jasne, że poderwałem nudziarza sporego kalibru; za każdym razem, gdy okrężnie kierowałem rozmowę na temat mężczyzn i seksu, mówił: - Tak, tak - jakby nie całkiem rozumiał, a potem dalej perrorował tą swoją wytrwałą angielszczyzną na temat Richarda Adamsa. Zacząłem się zastanawiać, czy aby wiedział, że „Kaseta” to bar dla gejów.

A potem Hiszpanki, ich głosy za drewnianą ścianą, mruczenie i wrzaski brzmiące jak kpiny, kiedy siadłem na kolanach Fritsa w fotelu, wsunąłem rękę pod jego dżinsową koszulę i przesuwałem się po nim w przód i w tył, dopóki nie zaprezentował wielkiej, tłustej erekcji. - Tak - powiedział zacząłem pojmywać, że życie złożone z siedzenia w biurze przez cały dzień, co dzień, nie jest dla mnie. Potem trochę czasu zajęło mi odkrycie, co naprawdę chcę robić. Chciałem czytać dobrą literaturę i podróżować. Musiałem wydostać się z targowiska myszy, Edwardzie.

Uniosłem trochę pościel i w szarawym świetle spojrzałem na jego śpiące ciało, rozlazłe, owłosione, zdawało się niemal spojone przez długą, brązową bezwłosą bliznę, a pulchny pączek jego ptaka podnosił się i sztywniał, gdy Frits wzbijał się ku światłu porannych snów.

10

- Słucham?

- Halo? Matt?

- Niestety, Matta nie ma. - Chwila ciszy na podjęcie decyzji.

- Och, tak. - Rozłączył się.

Dalej sortowałem zamówienia - pospinane różowe karteczki, na których taktownie poznaczano towary numerami. Każdego popołudnia na podłodze ganku oczekiwała na mnie spora sterta korespondencji - były tam listy dotyczące interesów zaadresowane do Matta i od czasu do czasu koperty do jakiegoś Wima Vermeulena, które odkładałem na bok i które coraz bardziej pobudzały moją ciekawość. Doszedłem do wniosku, że musiał to być jeden z jego dawnych kochanków lub partnerów, albo może poprzedni lokator. Coś powstrzymywało mnie przed otwarciem ich - pomyślałem psotnie, że może jest to honor złodzieja.

Listy od abonentów Matta często miały po kilka stron, pełne były tajonej euforii i niełatwe do odczytania. „Nie wiem, jak wyrazić swoją wdzięczność za zaznajomienie mnie z młodym Caseyem Hopperem” - zaczynał się jeden z nich. „Ależ z niego «lalunia»! Zupełnie się w nim zadurzyłem. To taka przyjemność znaleźć chłopca w jego wieku, który naprawdę lubi robić to ze starszym - i większym - mężczyzną. A Casey, z przyjemnością to stwierdzam, niewątpliwie sam jest dobrze wyposażony. Ma takie błagalne spojrzenie, kiedy leży rozciągnięty z rękami i nogami przywiązany do słupków łóżka, a ja mogę wpatrywać się w jego sekretny skarb. Czasami już wtedy jest «po wszystkim», zanim jeszcze wydarzy się cokolwiek innego.

Może powinienem opowiedzieć ci coś o sobie. Prowadziłem interes związany z rolnictwem w Ghent, gdzie mieszkałem przez całe życie. Tak przy okazji mam sześćdziesiąt siedem lat i przeszedłem już na emeryturę, więc dysponuję ogromną ilością wolnego czasu i zapewne jeszcze się z tobą skontaktuję. Lubię młodych mężczyzn, gdzieś tak w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, dobrze zbudowanych z krótkimi włosami. Nie lubię chłopców z włosami farbowanymi, zniewieściałych w jakikolwiek sposób, noszących kolczyki czy inną biżuterię. Łatwo przewidzieć, że Casey Hopper stoi na czele mojej listy!

Może uznasz to za dziwne, ale nigdy szczególnie nie przwiązywałem wagi do seksu, mimo tego, co tutaj napisałem; zwłaszcza, że nie byłoby to dla mnie łatwe. Mieszkam z

matką, która ma teraz dziewięćdziesiąt cztery lata, ale dopiero niedawno zupełnie zaniewidziała. Zawsze polegałem na czystym i łatwym praktykowaniu tego, co zwykło się nazywać samogwałtem. Mogę z dumą oświadczyć, że osiągałem orgazm przynajmniej raz dziennie od 1937 roku.

«Gorące dupcie 12» z pewnością zasłużyły na swój tytuł! Proszę, zawiadom mnie, czy masz jeszcze jakieś filmy z zachwycającym, młodym Caseyem w...” Pismo było czytelne, pochyłe, niecierpliwe. Bez wątpienia list napisała w każdym sensie zajęta dłoń fachowca.

Doprawdy trudno byłoby mi wymyślić osobę mniej odpowiednią do zwierzeń niż Matt, chociaż rozumiałem naukowe podejście, z jakim przeczytałby podobny list. Pracował w usługach, które wymagają pewnego szacunku dla fantazji, jakim służą. Widywałem go przy laptopie ze srebrnym ekranem w skupieniu odpowiadającego na takie zapytania; i wysłuchiwałem przytłumionego klekotu klawiszy rozlegającego się po chwili przerwy, kiedy to obmyślał jakąś pikantną prowokację i wydawał cichy chichot lub gardłowe „Och, tak...”. Cała sztuka, jak się zdawało, polegała na tym, by być zarazem bezpośrednim i figlarnie metaforycznym, a efekt końcowy charakteryzował się entuzjastycznym, grafomańskim stylem, będącym obscenicznym odpowiednikiem dzieł mojej ciotki Tiny. Namiętność wprowadzało się na ślepo, a w złożeniach była zupełnie jednoznaczna z dupczeniem: namiętnemu dyszlowi z zasady przypisana była dziupla namiętności, a przy końcu tryskały gejzery biało-gorącego soku namiętności, które (paradoksalnie) ochładzały kochanków. Sam odpowiedziałem na kilka takich listów i odnalazłem w sobie naturalne uzdolnienia w tym kierunku: „Wkrótce uroczy Lance napycha sobie usta potężnym namiętnym bakłażanem Chada, a Chad poświęca całą swoją uwagę wygłodniałej dziupli namiętności młodzika.” Później próbowałem też wariantów na bazie Gerarda Manleya Hopkinsa: „Rick wielbi mocarną męską maczugę Cody’ego... Zach i Zed z zapamiętaniem na zmianę przeżynają zroszony potem zadek żółtodzioba...”

Czułem się jednak trochę niepewnie w półświatku pokoju Matta, nadeptując na tak wiele rzeczy. Długie sploty pościeli wyglądały trochę zbyt niechlujnie bez niego, smukłego i

białego, rozciągniętego wśród nich. Bardziej niż przedtem drażnił mnie stęchły zapach w łazience, gdzie pobrudzona bielizna, którą kradł i sprzedawał, leżała za drzwiami utrudniając ich otwieranie. Było coś niesamowitego w odszukiwaniu właściwego pornosa i kopiowaniu go na nową taśmę na dwóch połączonych magnetowidach, gdy tymczasem głucha kobieta trzaskała drzwiami i śpiewała za ścianą. Rozsiadałem się wśród rupieci, zawijając poplamione chłopięce gatki w bibułkę i dołączając do nich bilecik poświadczający, podczas gdy maszyny pracowały prawie bezdźwięcznie z włączonymi czerwonymi światełkami, a rytualne obrazy treści miłosnej przepływały przez kable.

Znowu zadzwonił telefon.

- Słucham.

- Cześć! Matta nie ma, tak?

- To pan dzwonił wcześniej? Czy to Dirk?

- Och, tak, to ja.

- Zapewne chce pan wiedzieć, czy Matt ma coś dla pana, prawda? No więc ma.

- Z kim rozmawiam?

- Mam na imię, hm... Casey; Matt zostawił swoje sprawy pod moją opieką.

- Coś takiego, jak Casey Hopper. To doprawdy cudowne.

- Jak Casey... Chyba go nie znam.

- Och, spodobałby się panu. Jest bardzo popularny.

- Mam dla pana coś bardzo wyjątkowego. Chyba wie pan, co to jest, prawda?

- Jeśli to, na co mam nadzieję... Czy należało do pewnego młodego człowieka?

Zajrzałem do notatek, które zostawił Matt. - Tak. Dokładniej mówiąc do... pana

Davida K - Ciii, Casey, nie mów na głos. - Poczujęm, że wkroczyłem w sekretną strefę.

Zastanawiałem się, czy mój rozmówca, mój klient, jest nagi. - Bardzo proszę, niech pan będzie tak uprzejmy i opisz mi to.

Sięgnąłem na ślepo po jedną z rzeczy. - Mam nadzieję, że pan to weźmie, Dirk. Matt naraził się na wielkie kłopoty, żeby to zdobyć.

- Oczywiście. Wszystko co... co należy do Davida...

- Cóż, jest to para białych krótkich kalesonów. Calvin Klein.

- Jakaż próżność - wyszeptał Dirk.

- Rozmiar M.

- Mm, mm - potwierdził Dirk. - Czy one są, czy są wzbogacone, podpisane?

Dosyć ostrożnie wywróciłem je na lewą stronę i zauważyłem czerwoną tasiemkę z nazwiskiem jakiegoś P. R. Marisa. - Mają zdecydowaną pierwszoklasową sygnaturę na wstawce z przodu. Tak na marginesie, wygląda na to, że nosi po lewej stronie.

- Wiedziałem!

- Jednakże będzie to dosyć drogie - powiedziałem spoglądając na cenę, którą Matt podkreślił w spisie. - Ma oznaczenie z przodu, gdzieś wielkości jednego franka, bardzo obfite, ale również wyraźny... znak tylny.

- Och, paskudny chłopiec!

- Tak, piękny pasek.

Poczułem, jak rumieniec płynie po linii.

- Taki młodzieńczy pośpiech i żywiołowość. - Pozwoliłem obwisłemu ciuszkowi, z tą jego legendą małaletniej niepowściągliwości, opaść na podłogę. - Wie pan, widziałem go pewnego dnia, jak wychodził ze szkolnej bramy, taki śliczny jak obrazek w tych swoich bryczesach, i pomyślałem: ty nic nie wiesz, aniołeczku, że ja mam w tej chwili na sobie twoje sromotne spodenki do piłki nożnej - takie obcisłe i małe były.

- Dokładnie takie. Proszę poczekać, aż pan zobaczy te. Co będzie pan mógł zrobić po przestaniu sześciu tysięcy franków pod zwykłym adresem.

Słuchałem, jak przyjmuje obraźliwy wydzwitek ceny, ledwie przez moment upokorzony ekstrawagancją własnej potrzeby, a potem stwierdza, że nie musi o tym wiedzieć nikt prócz jego i mnie.

- Być może będę was prosił też o inne rzeczy - powiedział.

- Proszę bardzo; ale obawiam się, że tej ceny nie mogę opuścić. - Odwróciłem się w

stronę, gdzie czarne kąpielówki Patricka Dhondta leżały rozciągnięte i tandetnie połyskujące na cokole z pustych pudeł. - Mnóstwo osób gotowych jest zapłacić daleko więcej za dobre artykuły. Na litość boską, Dirk, to ryzykowny interes.

- Wyglądasz na dosyć zmęczonego.

- Od lat nie pracowałem tak ciężko.

- Nie podoba ci się to?

- Nie wiem dokładnie. Być może pierwszy dzień musi być trochę nerwowy. -

Uśmiechnąłem się do Helene, która odwzajemniła uśmiech, a potem spuściła wzrok. - Masz ochotę pójść gdzieś na drinka?

Nieczęsto składano jej podobne propozycje i Helene wykazała się właściwą osobom nieśmiałym gotowością, by ją odważnie przyjąć. Miała przy sobie torbę zawierającą skromny dzienny utarg, więc poczekałem, podczas gdy ona pobiegła z nią na górę do sejfu. W rogach hallu i dalej w pokoju z zamkniętymi okiennicami zawierającym kolekcję portretów rodzinnych czerwone światełka fotokomórek czujnie zapalały się i gasły. Po zejściu na dół Helene uruchomiła je z tablicy rozdzielczej umieszczonej w szafce i mieliśmy trzydzieści sekund na wydostanie się, przez co wykazywaliśmy podejrzany pośpiech.

- Znasz jakieś miejsce tu w okolicy? - spytałem, niechętnie myśląc o długim spacerze przed drinkiem.

Zrobiła zabawnie groźną minę.

- Tu w okolicy nie ma żadnych miejsc - odrzekła. - Ale jeśli sprawa jest pilna, to mam samochód.

Szybko to rozważyłem i wybrałem „Złotego Cielca”. Zawiozła nas tam rozchwierutany 2CV, w którym różne rzeczy działały nie tak, jak powinny. Paplałem w wymuszenie swobodny sposób właściwy pasażerowi w samochodzie zupełnie obcej osoby, podczas gdy ona marszcząc czoło patrzyła przez przednią szybę i energicznie deptała po pedałach.

Zdawała się zażenowana barem, jego uderzającym brązowym mrokiem i nieartystycznym wystrojem, które dla mnie były cudowne i stanowiły wytchnienie od wszystkiego innego. Usiedliśmy obok pary artretycznych graczy w domino, podszedł stary kelner i zamówiłem duże piwo, a ona poprosiła - z pewną uprzejmą, demokratyczną opieszałością - o kawę i szklankę wody mineralnej. Obserwowałem, jak obserwuje oddalającego się kelnera i jego niecierpliwy pośpiech, którym starał się zamaskować deformację stopy.

- To tutaj zazwyczaj przychodzisz?

- Przychodzę tu od czasu do czasu, dla odmiany od drugiego baru, w którym bywam.

Znam tam wielu ludzi i rozpraszałoby mnie w czasie rozmowy z tobą, a na nią przede wszystkim miałem ochotę. W „Kasecie” dudni szafa grająca, a stada młodzieży drą się co sił. Tutaj nie ma muzyki, wszyscy są po dziewięćdziesiątce, nikt się do ciebie nie odzywa ani nawet cię nie aprobuje, dzięki czemu jest tu naprawdę kojąco.

- Tak, byłem w „Kasecie” - powiedziała. - Jan, mój narzeczony, ma kilku przyjaciół, którzy są gejami i często tam bywają.

- Rozumiem.

- Można się tam dobrze zabawić, ale wokół kręci się tylu przystojnych młodych mężczyzn, a ja mam świadomość, że jestem ostatnią osobą, którą mogliby się zainteresować! Chociaż zapewne, tak jak mówisz, to właśnie jest naprawdę kojąco. - I obląta się rumieńcem wywołanym nagłą zmianą tonu i beztroską, z jaką przedrzeźniła mnie wypowiadając ostatnie słowa.

- Wiedziałaś, że jestem gejem podczas naszego pierwszego spotkania? - zapytałem.

Jej twarz pozbawiona była wyrazu.

- Och, myślałam, że miałeś wielki, ogromny znaczek z kolosalnymi literami JESTEM GEJEM.

- Ja... - zająknąłem się, zaśmiałem i teraz ja z kolei zaczerwieniłem z jakiegoś powodu. - Nie byłem zupełnie pewien, czy Paul wie. Podejrzewałem...

- Nie musisz się o to martwić - przerwała, kiedy kelner przyniósł drinki i wkroczył w naszą rozmowę. - Paul i tak cię uwielbia.

Sprawiło mi to ogromną przyjemność.

- Cóż, ja też bardzo go lubię - powiedziałem unosząc szklanekę, jakbym wznosił za niego toast. - To bardzo pochlebne, bo podczas pierwszego spotkania sprawił, że czułem się przy nim jak głupek.

- Może wypijeś za dużo alkoholu - odrzekła, umoczywszy usta w piegowatej od mokki piance na kawie z taką samą grymasną miną, jaką okazywała lekceważenie całemu barowi. I oczywiście, jeśli chodzi o alkohol, prawdopodobnie miała rację.

- Dzisiaj znów był dosyć surowy. Przypuszczam, że chciał ustalić właściwe stosunki w pracy.

- Przynajmniej miałeś jakąś pracę. Ja w hallu zasypiałam nad Georgem Meredithem. - Uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście można się przy nim zazięwać.

- Och, cieszę się, że się nie pomyliłam.

- Jeśli nawet, to mylimy się oboje. Co jest bardzo nieprawdopodobne.

Rozejrzała się po sali, zatrzymując wzrok na fotografiach drużyny piłkarskiej z lat pięćdziesiątych (której prawoskrzydłowym był posępny, czczący wspomnienia właściciel knajpy) oraz na fałszywym portrecie siedemnastowiecznego kardynała mającego taką minę, jakby spłatał figla.

- Co kazał ci robić?

- Hm, różne rzeczy związane z tym jego wspaniałym katalogiem. Musi być skończony przed następną wiosną i wygląda na to, że najpierw w wersji angielskiej. Orst stworzył potworne ilości dzieł, a okoliczności ich powstania są prawdziwym koszmarem. Wyrażam się tak, jakbym wiedział o czym mówię, ale oczywiście to nieprawda, co w pewnym sensie czyni tę pracę ciekawszą, mimo że sam nie prowadzę badań, a jedynie sprawdzam angielski tekst.

- Wygląda na to, że też można się przy tym zazięwać.

- Na szczęście jestem potwornym pedantem, bez wątpienia omylnym pedantem, ale wiem, jak pisać słowa takie jak „dagerotyp” lub „de Nuncques” oraz uwielbiam zauważać, kiedy 1869 wyszedł jako 1896 lub nawet 1968.

- Rzeczywiście bardzo dobrze mówisz po flamandzku jak na Anglika.

- Dziękuję. Moja babka ze strony matki pochodziła z Holandii, więc kiedy byłem mały, nasłuchałem się sporo flamandzkiego.

- No właśnie, to jest to: mówisz po flamandzku z angielsko-holenderskim akcentem!

- Aha! - odpowiedziałem lekko skonsternowany. - Nie wiedziałem, że masz na drugie profesor Higgins.

Pochyliła się do przodu z poważnym wyrazem twarzy.

- Tak naprawdę nikt nie oczekuje, że Paul ukończy katalog do wiosny - wyznała, prawie że wstydząc się za niego lub może w jego imieniu.

- Właściwie wszyscy już sobie z niego żartują. Miał go opublikować przynajmniej pięć lat temu, ale z jakiegoś powodu nie może się zmobilizować, żeby go dokończyć.

Miałem ochotę zlekceważyć jej słowa albo uznać, że ona nic naprawdę nie może wiedzieć. Chciałem pomóc mu w dopięciu celu, zanim opuszczę miasto, zanim przyjdzie niewyobrażalne lato następnego roku. Przez chwilę odczuwałem potworną nieprzezroczystość upływającego czasu, zaraz zacznie się zima, przez którą wszyscy musimy przebrnąć, różne rzeczy wydarzą się i przeminą, i staną się przeszłością moją i Luca - a także Jana i Helene. W październiku wezmą ślub u św. Jana, pod wielką, ceglana, przerażającą wieżą. Być może zaproszą mnie i przyjdę ubrany w swoje najlepsze ciuchy, dzwony zagrzmia, a ja w męczarniach przyglądał się będę chłopcom z rowerami, którzy przystaną, by popatrzeć na tłum i pannę młodą, i z daleka się z niej pośmiać. A Luc... będziemy już wtedy dobrymi przyjaciółmi; mnie nie uda się zdobyć jego namiętności, będzie to raczej szczerą przyjaźń, naznaczona moimi chorobliwymi wyrzeczeniami i jego przepraszącymi kompensatami i konstruktywnymi pomysłami.

- Od jak dawna go znasz? - spytałem. Odpowiedź Helene zabrzmiała spokojnie i

stanowczo.

- Od zawsze. Nie mówiłam ci, że jest moim ojcem chrzestnym? Zatem jest. On i mój tato dorastali razem, podczas wojny... byli chyba najlepszymi przyjaciółmi, ale wydaje mi się, że przestali nimi być już dawno temu. Paul nadal jest bardzo kochany dla Maurice'a, ale Maurice w ostatnich latach jakoś oziębł i nie jest kochany dla nikogo. Oczywiście wypowiada się głównie cytatami, co bywa wyczerpujące i doprowadza biedną mamusię do szału.

- Ja też trochę cytuję. Chyba nie wybaczy mi, że skorygowałem jego Yeatsa.

- Nie, prawdopodobnie nie wybaczy.

Wyglądało na to, że skończyłem już moje piwo i zastanawiałem się, czy aby na pewno dostałem pełną szklanę. Helene przełknęła resztkę wody mineralnej, ale gdy zaproponowałem jej coś jeszcze, odpowiedziała:

- Może byśmy poszli... stąd i spacerowali się wzdłuż kanałów. - Spojrzałem na nią w osłupieniu. - Potem ja pójdę do domu, a ty zajmiesz się piciem na poważnie.

Wieczór był chłodny i ponury. Pozwoliłem się poprowadzić przez opuszczoną arenę Grote Markt do miejsca, które ktoś nazwał ville sainte - miasto ukryte wewnątrz miasta, złożone z wąskich dziedzińców, alejek i klasztorów wokół Katedry i pałacu biskupiego. Spacerowałem tu już wcześniej i siedziałem nad kanałem na spadzistym ceglany mostku łączącym dwa kryte pasaże, i prawie że dostałem zadyszki od wzdychania; zatem to miejsce miało dla mnie swój nastrój, nastrój czarnej fali wspomnień.

- Ciekawe będzie obserwować, jak potoczy się sprawa katalogu - podjęła Helene. - Jestem pewna, że trzeba jeszcze wiele zrobić. Czy Paul pokazał ci któryś z późnych obrazów, namalowanych, gdy Orst tracił wzrok?

- Nie, nawet nie obejrzałem jeszcze wszystkich dzieł w Muzeum.

- Są ich jeszcze setki w starym magazynie na poddaszu. Czasami można zobaczyć, jak spuszcza ją za pomocą kołowrotu, oczywiście w wielkim, mocnym pudle, jakieś genialne płótno jadące na wystawę.

- Jest coś szczególnego w tych późnych obrazach?

- Paul nie lubi ich pokazywać. Nie są naprawdę wykończone, przynajmniej nie tak, jak te wcześniejsze, które dopracował tak cudownie, że przypominają fotografie - cóż, oczywiście, większość z nich powstała na podstawie zdjęć, jak wiesz. Potem, pod koniec, kiedy tracił wzrok, starał się malować rzeczy takimi, jak je naprawdę widział. Pejzaże stały się zamazane i chmurne, i odnosisz wrażenie, że Orst właściwie nie dostrzegał nawet płótna. Myślę, że są niezwykle wzruszające - w pewnym sensie podobają mi się bardziej niż pozostałe, które po pewnym czasie zaczynają trochę nużyć. - To ostatnie powiedziała udając, że czuje się winna. - Lecz Paul z jakiegoś powodu nie potrafi podjąć co do nich decyzji.

- Czy zostaną włączone do katalogu?

Zachichotała tym swoim wzruszającym, dziwnie seksownym śmiechem.

- To ciekawe.

- Cóż, muszę się dowiedzieć - oświadczyłem sztywno.

- Mm, koniecznie.

Wyłoniliśmy się z bramy na brzegu szerokiego basenu kanałowego, gdzie cumowało jedna obok drugiej pół tuzina turystycznych łódek z przeszklonymi dachami. Panował tu cudowny nastrój miejsca pozostawionego w tyle, skończonego sezonu. Oparliśmy się o barierkę i spojrzeliśmy w dół przez opadłe brązowe wachlarze orzechowych liści do zacienionego salonu.

- Myślę, że śmierć Orsta musiała pozostawić... jakieś znamię na psychice Paula. I może to wszystko z tego właśnie się bierze.

Pokręciłem głową, zasmucony własną niewiedzą.

- Nie mam pojęcia, co się wydarzyło.

- Przepraszam, nie wiem, ile wiesz. Tak, Paul, jak zapewne ci powiedział, będąc dzieckiem znał Orsta, odwiedzał go i opiekował się nim i chyba czytał mu książki. Orst najwyraźniej nigdy nie widział Paula, czy też mówił, że czasami wydaje mu się, iż widzi go jak przez mgłę. Prosił Paula, żeby opisywał wszystko ze szczegółami, nawet jego własne obrazy, co zapewne przypominało przygotowywanie katalogu, a Orst je wszystkie pamiętał...

Potem zamordowali go Niemcy i zapewne dla Paula było to jak strata ojca lub może wuja.

- Zamordowali go Niemcy. W broszurce w Muzeum nie ma o tym ani słowa.

- Wiem.

- Ale to brzmi jak najistotniejsze wydarzenie w historii życia malarza... - Helene uniosła ramiona na kilka sekund. - Przypuszczasz, że był Żydem?

- Na pewno częściowo. Musisz o to spytać Paula.

- Nie wydaje się, żeby miał mi chętnie odpowiedzieć.

Odwróciliśmy się i spojrzeliśmy ponad niskimi dachami na rywalizujące ze sobą wieże św. Jana i Katedry, srebrne i pozbawione cienia w świetle reflektorów na tle zmierzchającego się nieba.

- Właściwie myślę, że to mogła być pomyłka. Albo na przykład został aresztowany i po prostu umarł. Był stary i chyba potwornie schorowany. Stało się to tuż przed naszym wyzwoleniem - wyznała w komiczny sposób bezceremonialnie utożsamiając się z wcześniejszą generacją i z tym znaczącym wydarzeniem: - Paul miał około osiemnastu lat. - Zastanowiło mnie, co by robił Luc, gdyby to była druga wojna światowa. Nie wiedziałem jeszcze, czy należy do rzeszy zwykłych popleczników, subtelnie zinstytucjonalizowanych przez szkolenie u Świętego Narcyza, czy też jego wyłamania się jest objawem bardziej zdecydowanych i chwiejnych cech, niewytlumaczalnego daru pozwalającego mu na kształtowanie własnego życia, tak jak kształtował moje. Kiedy Paul zaprzyjaźnił się ze starym, ślepy malarzem, był chłopcem, mógł być kimś, kogo ktoś taki jak ja mógł uczyć; i podejmował życiową decyzję - o czym nikt wtedy nie wiedział, może jego rodzice nieznacznie się martwili, przebacząc synowi miłosierny impuls, ale podchodząc z zabobonnym lękiem do artysty w tej ekscentrycznej willi. Któż to wie? Ale gdyby nie rozpoznał tej konieczności, cóż, nie siedziałbym sobie na barierce nad kanałem. Były to dziwnie satysfakcjonujące chwile, pod wielkimi, zniszczonymi orzechami, gdy patrząc na szczyty domów, wieże i wieczorne światła, zobaczyłem, jak altruizm Paula i burzliwe wagary Luca zasiliły pusty wir w moim własnym życiu.

- Jestem trochę zazdrosna o to, że pracujesz na górze - wyznała Helene, cichutko śmiejąc się z własnej szczerości.

- No, wiesz, to się zmieni. Kiedy ciebie nie będzie, ja wyląduję przy biurku od frontu z tym Meredithem.

- Cóż, zobaczymy.

- Byłoby miło, gdybyśmy mogli oboje pracować na górze - powiedziałem uprzejmie, maskując niepokój, że może zabrałem jej pracę, a ten spacerek odbyliśmy po to, aby mogła mi to zasugerować. - Wiesz o niebo więcej na ten temat niż ja.

- Cóż, nie byłabym bezużyteczna. Nie dlatego, że pałam sympatią do samych obrazów, ale że znałam je chyba całe swoje życie. Bezpośredni związek Paula z nimi sprawia, że ja z kolei czuję się trochę jak ich właścicielka. - Odeszła kilka kroków i ruszyliśmy dalej, przez łukowo sklepione przejście pod latarnią, która nadawała budynkowi wygląd klasztoru lub szpitala, a potem przez szereg milczących dziedzińców tak połączonych alejkami odchodzącymi pod kątem prostym, że na każdym z nich wydawało się, iż poszliśmy w złą stronę i dotarliśmy do końca.

- Co myślałaś o obrazach Orsta, kiedy byłaś mała? - spytałem, przez chwilę maszerując w szybkim tempie, żeby ją dogonić.

- Wydawały mi się dosyć przerażające, ale też fascynujące. Wiesz, jak to jest: zmuszasz się do patrzenia na potworne rzeczy, żeby wypalić ich potworność. Niektóre z nich były oczywiście w porządku, na przykład te cudowne portrety; ale Meduza w krezie z węży sprawiała, że jeszcze nie tak dawno naprawdę trudno mi było wejść do tego pokoju. Niektóre inne wyglądają mniej sensacyjnie, ale wydają się nawet jeszcze bardziej niepokojące, przez to, że niejasno określają, co się dzieje.

- Byłem mocno zdumiony, kiedy zobaczyłem całe towarzystwo od Świętego Narcyza w Muzeum.

- Och, my ze Świętej Oportunaty też zawsze przychodziłyśmy, z panną Van der Menge, naszą szaloną psorką od plastyki. Musiałyśmy wybierać jakiś detal z obrazu,

kopiować go i pisać o nim. Pamiętam, że bardzo zależało mi na własnej Chimerze. Potem trzeba było przeprowadzić trochę prac badawczych: co to jest Chimera, co artysta chciał przez nią wyrazić, itede, co ona je?

- Naprawdę masz dużo lepsze kwalifikacje.

- Zawsze miałam przewagę, bo Paul czasem oprowadzał mnie z rodzicami po godzinach otwarcia, wyciągał też piękne rysunki i sztychy, których inne dziewczęta z całą pewnością nigdy nie widziały. Nawet pokazywał nam niektóre białe obrazy.

- Białe?

- Tak nazywam te późne dzieła, o których ci opowiadałam, gdyż są namalowane w różnych odcieniach bieli, lekko przechodzącej w żółcień lub jasny błękit. Nie uważasz, że to dobre określenie?

- Chyba może być trochę mylące...

Ku mojemu zdziwieniu wyszliśmy na ulicę Trębaczy, kilka jardów od samochodu Helene. Na prawo carillon na wielkiej dzwonnicy w malignie zaczął wygrywać niedorzeczny katolicki hymn, odprawiając w ten sposób modły przed wybiciem ważnej godziny szóstej.

- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Tak jest - odpowiedziałem. - Będę czekał z niecierpliwością.

- Muszę iść do domu i popracować nad swoją suknią.

- Och...

- Robimy z mamusią fantastyczną suknię ślubną. Kiedy ją szyjemy, ledwie nas widać pod całymi jardami materiału. To jakby siedziało się w chmurze.

- W chmurze naszpikowanej szpilkami, jak sobie wyobrażam.

Zaśmiała się zabawnie po swoim, pochyliła do przodu i pozwoliła pocałować się w oba policzki. Suknie ślubne i białe obrazy sprawiły, że zacząłem myśleć w staroświecki sposób: czy zachowała siebie dla Jana? Czy zachowała siebie przed nim? Jakież to niewyobrażalne - iść w drżącej niewinności przez zapłakany, pełen uwielbienia tłum.

Następnym razem, gdy przyszedłem do Luca, drzwi otworzyła niespokojna dziewczyna wyglądająca jak rodowita londyńska pokojówka i zmierzwszy mnie z góry na dół usunęła się na bok: wszedłem przestępując różnorakie pudła i długi kabel froterki do podłogi. Luc zbiegał po schodach.

- Co za koszmarny bajzel! - powiedział i jak do tej pory był to najbardziej uderzający anglicyzm w jego ustach. - Mój ojciec przyjeżdża w odwiedziny, więc wszystko stanęło na głowie.

Pani Altidore wyszła z jadalni.

- Nie możecie teraz się tu pałętać - oświadczyła, patrząc na nas ze zmarszczonymi brwiami i dając - przynajmniej mi - odczuć, że łączy nas z Lukiem jakieś cudowne wspólnie popełnione wykroczenie. Luc natomiast otworzył usta i przesadnie wzruszył ramionami, delikatnie kpiąc z jej paniki ukrytej pod cienkim woalem lekceważenia. Gdyby mnie tam nie było, może podniosłaby głos lub lekko uderzyła go w ramię. Pochyliła się, chwyciła mały dywanik i pogoniła nas nim w stronę schodów. - Zabierz Edwarda Mannersa do swojego pokoju, kochanie, i nie przeszkadzaj mnie i Rosie.

- Ale... - Luc chciał wysunąć jakieś dalsze niezbite obiekcje, lekko zaczerwieniony, pomyślałem, z powodu żywiołowej niechęci, żeby mnie tam zabrać. Przez sekundę wspominałem pokój Juliana Rostanda, tam na wybrzeżu, i etykietę strefy wolnej od dorosłych - Privi, Danger de Mort. Spuściłem wzrok, cierpiąc z powodu sytuacji, a gorąca, mdląca fala podniecenia zalała moje serce. Być może obaj myśleliśmy o tych samych powodach do skrępowania - nie pościelone łóżko, i gdzie ja mam usiąść, bezradne symbole dzieciństwa, które sypialnia młodego człowieka zawsze kryje, jego nagłe zażenowanie nimi. Kiedy stwierdził, że to nieuniknione, pognął w górę po schodach, przesadzając dwa, czasami trzy stopnie naraz, a ja pogestykułowałem chwilę z matką, po czym odwróciłem się, by podążyć za nim. Był pewien ślad lekceważenia i wyniosłości w sposobie, w jaki wyrwał do przodu, było to nietowarzyskie wejście twarzą w zadek. Nigdy przedtem nie wchodziliśmy razem po

schodach.

Na podeście na pierwszym piętrze zawahałem się i wszedłem do pokoju - bliźniacze łóżka, suszone kwiaty, blade światło słoneczne na srebrnych kołdrach poprzycinane we wzorki przez koronkowe firanki - mauzoleum pokoju gościnnego. Czas tutaj przyhamował, puste miesiące rozciągały się, a tuż obok dorastał Luc, gnając susami w górę i w dół po schodach obok tych na wpół otwartych drzwi. Zawołał mnie zatrzymawszy się niezdecydowanie przy zakręcie balustrady piętro wyżej. Kiedy wszedłem, obdarzył mnie pełnym napięcia, wymuszonym uśmiechem niechętnego powitania.

Pokój Luca... Wkroczyłem do niego z zupełną bezstronnością, jakby pokazywał mi go agent nieruchomości, i wyjrzałem z okna w dół na ulicę, zauważając jej mniejsze kuliste odbicie w wiszącym obok lusterku. Pokój Luca nie miał wiele charakteru: zdezelowane stare biurko z krzesłem obrotowym, powyżej półki ze szkolnymi podręcznikami, angielskimi, francuskimi i flamandzkimi powieściami, kilka tomów radosnej i niezbyt uroczej encyklopedii dla dzieci; miniwieża z podłączonymi słuchawkami i stertą taśm oraz żółty walkman; płowy dywan, magnoliowe ściany z oprawioną w ramki szkolną fotografią i plakatem z Muzeum Miejskiego (jakiś cnotliwy Memling); pojedyncze łóżko w pośpiechu zakryte jedną ze zbytkownych narzut jego matki, zrzucone mokasyny widoczne pod frędzlami... Gdybyż tylko to mogło stać się teraz, moja dłoń w jego włosach, jego ciało całą długością przyciśnięte do mnie, nasze języki dotykające się nawzajem. Miał na sobie bardzo workowate spodnie koloru pustyni, ściągnięte w smukłej talii praktycznym paskiem i koszulę z trzema guzikami przy szyi przypominającą sweter - efekt był bardzo kobiecy i sprawił, że zacząłem wyobrażać sobie jego ptaka z jeszcze większą ciekawością i pragnieniem.

Odtańczyliśmy niezdarne „przepraszam” na środku pokoju i ja dotarłem do krzesła, podczas gdy on wycofał się w stronę łóżka i nerwowo przysiadł na jego krawędzi; rzuciłem okiem na papiery na biurku i odczytałem początek listu: „Drogi Arnoldzie”, napisany dużymi nie połączonymi ze sobą literami, „jak ci idzie?”, w którym to momencie wena przestała mu dopisywać.

- Zatem przyjeżdża twój ojciec? - rozpocząłem rozmowę.
- Tak, to prawda, mój ojciec. Nie widzimy go przez wieki, a potem bach! Nagle się pojawia. - Prychnął i z rozgoryczeniem pokiwał głową.
- Wtedy moja matka bardzo się przejmuje i musimy sprzątać cały dom.
- Wydawało mi się, że i tak był już nieskazitelnie czysty.
- Tak, oczywiście. Ale nie radziłbym ci jej o tym mówić. Nie bardzo dzisiaj słucha, co się do niej mówi. - Nie umiałbym powiedzieć, czy rzeczywiście był tym wszystkim przybity.
- Nie pamiętam, jak długo oni są... osobno.

Odpowiedź zabrzmiała prawie szyderczo:

- Cztery lata. - I wstał. - Nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy napić się kawy - powiedział. - Masz ochotę?
- Hm... dziękuję. Ale... Czy mam pójść z tobą?
- Proszę - odrzekł, ale potem odwrócił się i spojrzał na mnie, jakbym mógł być mu ciężarem albo jakby chciał mi oszczędzić niedorzecznej awantury, którą zaraz rozpęta. - Może lepiej będzie, jeśli zostaniesz. - I znalazł się za drzwiami, zostawiając mnie samego.

Ku memu zdumieniu na moment zmroziło mnie współczucie dla jego biednej matki, prowokowanej przez syna, który powinien siedzieć w szkole, w chwili gdy ona jest najbardziej podatna na zranienie. Potem odtajałem pod gorącym powiewem zakazanej okazji: może mimo wszystko mi ufa i była to tylko wywołana przez poczucie winy projekcja mojej miłości, której istnienia Luc nigdy nawet nie podejrzewał. Stanowił zupełną niewiadomą, nadal wszystko przy nim było możliwe, nie otwarte szafki i szuflady, szybko zasłane pojedyncze łóżko... Zrobiłem kilka kroków, a deski zatrzęszczały tak głośno, że pewnie było je słychać na ulicy.

Spojrzałem na łóżko, o którym śniłem. Purpurowa narzuta była starannie wyhaftowana poskręcaną złotą nitką w długie włókna art-nouveau, które u wezłowią rozkwitały w powyginane białe lilie; pomyślałem sobie, że może była to rozgrzewka przed jednym z obrusów ołtarzowych. Odsunąłem ją i wpatrzyłem się w zagłówek w luźnej

poszewce, zbity i krzywo ułożony, może odepchnięty na bok w sennym spazmie lub nieporadnej walce przy przebudzeniu; i biała pierzyna z błękitną lamówką, sfałdowana, skołtuniona i wyłóżąca przy guzikach. Pochyliłem się, żeby wchłonąć jej zapach, zapach pralni, bawełny i ledwo wyczuwalną woń mężczyzny, zagubiony trop snu i oddechu zaspanego chłopca. Ułożyłem kapę, tak jak była przedtem, i na chwilę usiadłem na niej, żeby odtworzyć wgłębienie, które pozostawił Luc.

W górnej szufladzie biurka na wierzchu leżała jaskrawa papierowa torebka, ozdobiona ukośnie ułożonymi rodzinnymi fotkami, z której wysuwał się lśniący plik lekko wygiętych kolorowych zdjęć. Zdenerwowanie sprzed sześćdziesięciu sekund opuściło mnie i przetasowałem fotografie pewną dłońią włamywacza. Wskakiwały na wierzch, jedna po drugiej jak pływacy unoszący się i opadający na kolejnych falach - Luc, Patrick, Sybille, Patrick, Patrick, Luc, Sybille, Sybille, Sybille. Chłopcy w podkoszulkach lub z nagimi torsami, heroikomiczni, ona bardzo opanowana, pewna siebie, świadoma swej urody; chłopcy również byli świadomi swojej, co uwidaczniało się w każdym swawolnym geście, nawet gdy jeden wskazywał na drugiego, który robił zeza i wywieszał język. Wtem trafiłem na zdjęcie Luca tak mitycznie pięknego, że zaschło mi w ustach i poczułem, iż wzbiera we mnie cichy szloch. Patrzył na wskroś mnie, oczy miał zwężone, ale półprzezroczyste od słońca, mokre od morskiej wody włosy pociemniałe i dziwnie zaczesane do tyłu, usta rozchylone, ale zdecydowane, jakby sprawdzał brzmienie własnego nazwiska, był nagi do dolnej krawędzi fotografii, tuż poniżej pępka, a długie ręce rozkładał szeroko, jakiś zwykły gest uchwycony w połowie, tak że wyglądał niczym Niżyński zatrzymany w locie. Usłyszałem jego szybkie kroki na podeście schodów piętro niżej, więc na powrót poprawiłem i wyrównałem zdjęcia, wyciągając przy okazji rolki negatywów owinięte w pomarszczony papier. Wetknąłem je głęboko do wewnętrznej kieszeni na piersi. Kiedy wszedł, siedziałem rozwalony na krześle z jakąś książką z powiastkami i ssałem uchwyt moich pokręconych okularów. Wyczułem, że zaciekało go, co przeglądam.

- Kawy zdecydowanie nie będzie - oświadczył. Wyglądał na całkiem zadowolonego i

ubawionego tym, że podjął wysiłek i przeprowadził swój plan z tak prowokacyjnym umiarkowaniem. Znowu usiadł na łóżku i zatarł dłonie. Nie byłem pewien, czy w tym krótkim epizodzie jesteśmy sprzymierzeńcami, czy też należy on tylko do niego. - Co czytasz? - zapytał.

Nie miałem zielonego pojęcia, rzut oka na stronę nie objawił nic istotnego, więc podałem mu książkę ze znudzonym uśmiechem. Nie była to szczególnie atrakcyjna książka - okazało się, że to historia krucjat we wzmocnionej szkolnej okładce.

- Nigdy nie potrafiłem odróżnić jednej krucjaty od drugiej - wyznałem.

Luc chrząknął.

- To jedna z książek mojego ojca.

Odebrałem ją z uprzejmie nikłym zainteresowaniem, niepewny po co. - Nie wydaje się bardzo...

- Wydał całą tę serię - ciągnął. - Oczywiście nigdy ich nie czytam, ale przysyła je wszystkie, chyba poprawia mu to samopoczucie.

Następnie Luc opowiedział mi o interesach swojego ojca. Było to drobiazgowe sprawozdanie, coś, co raczej sam opracował niż coś połowicznie zapomnianego, co od kogoś zasłyszał.

- Nazywam to Upadkiem Domu Altidore'ów - zaczął. Czułem się tak pochlebiony i tak bardzo mu współczułem, że trudno mi było się skupić. Jego pradziad Guillaume, jak się okazało, w latach 90. ubiegłego stulecia założył małe wydawnictwo i publikował niewielkie nakłady luksusowo wydanej literatury pięknej i poezji - część pracy Maeterlincka o pszczołach, zbiorki wierszy i esejów Verhaerena na temat sztuki flamandzkiej z pięknymi brunatnymi rycinami. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak zamożni i dostojni byli Altidore'owie: publikowanie stanowiło ledwie jeu d'esprit Guillaume'a, który doprowadził do współczesnego apogeum rozkwitu rodziny, a także był wielkim kolekcjonerem. Obecnie oryginalne Edycje Altidore warte są tysiące funtów, ale merkantylne imperium, które je sfinansowało, upadło. Dziad Luca był hazardzistą, nie interesował się okrętami ani miedzią.

Uwielbiał podróżować i wydawać przyjęcia, więc wybudował dom, w którym mogły się odbywać: niewielkie, ozdobione freskami chateau położone w lesie niedaleko od morza i kasyn. Stracił fortunę w Kongo; i jeszcze sporo więcej podczas depresji. Udało mu się zrobić pieniądze jedynie na wydawnictwie, więc poszerzył wykaz autorów o wielu co popularniejszych pisarzy tamtych czasów. Dziesięć lat temu ojciec Luca odziedziczył podupadły, ale mający spory potencjał interes, ogółem biorąc oklapnięty, lecz dysponujący pewniakami. Włożył weń sporo pieniędzy swojej bogatej starszej żony i w czasie boomu na początku lat osiemdziesiątych wydawnictwo odzyskało formę. Miał wizję, powiedział Luc, przywrócenia rodzinie choć części splendoru z przełomu wieków. Wysłał robotników, by naprawili dach w małym chateau. Potem szczęście znów się od niego odwróciło i Edycje Altidore, jak wiele innych, zostały wykupione przez wielki konglomerat. Ojciec Luca zachował jakąś dekoracyjną, pozorną funkcję, stał się znowu potwornie bogaty dzięki udziałom i mniej więcej po roku nieregularnego dojeżdżania do pracy wyprowadził się ze swojego domu, od swojej rodziny i zamiast tego zaczął wieść modne życie w Brukseli. Nie wystąpił o rozwód w ciągu minionych czterech lat, choć Luc wiedział, że żyje z aktorką - dosłownie nastolatką, wyznał z niesmakiem - a matka od tamtej pory stała się bardzo trudna w pożyciu.

Kiedy opowiadał, uderzyła mnie nieprzyjemna siła jego uczucia i przeraziła pryncypialna bezwzględność młodości, która być może wypływała z innych wątpliwości i lęków. Czułem się speszony, siedząc tak i trzymając książkę jego ojca, jakbym brał w tym wszystkim udział lub był temu winny; jak wtedy, gdy przyjaciel opowiada ci o swojej kłótni z kimś innym i wchodzi w nią na powrót z takim zacierzeniem, że zaczynasz się czuć niczym zarzewie gniewu, który on wspomina. Uśmiechnąłem się.

- Jestem bardzo dobrze usposobiony do mojej mamy - oświadczył uroczyście Luc. - Nie chcę, byś sobie pomyślał, że jest inaczej. Drażni mnie, gdy robi tyle zamieszania wokół niego i wyobraża sobie, że on wróci, a przecież oczywiste jest, że tak się nie stanie. Przeważnie udaje mi się nią opiekować, ale kiedy przyjeżdża ojciec, niewiele mogę zrobić. -

Jakże wzruszająco i upakarzająco ujrzeć nagle Luca w roli baczego obrońcy tej kobiety, która zawsze wydawała mi się niepoczytalna, a teraz zaczynałem ją odbierać jako nieszczęśliwie zakochaną osobę wystrychniętą na dudka przez dużo od niej młodszego męża.

- Wiem już - ciągnął Luc - wystarczająco wiele o miłości, aby zrozumieć, dlaczego ona to robi. Ale mimo wszystko... - Wpatrywałem się w niego przez śmiertelnie dręczące kilka sekund, a potem palnąłem optymistycznie: „- Zatem dobrze ci się układa z ojcem?

- Tak, oczywiście. I, widzisz, on jest bardzo zabawny i pełen życia, i tak dalej. - Spojrzał na swoje zaciśnięte pięści, które nerwowo składał razem. - Kiedyś uważałem, że prawdopodobnie nie chciał mieć dziecka. Teraz nie jestem tego pewien - od kiedy się nie widzimy, chyba jesteśmy lepszymi przyjaciółmi.

Nie wiedziałem, co powiedzieć po tak stonowanym i bolesnym oświadczeniu. Myślę, że Luc był zaskoczony równie mocno jak ja tym wszystkim, co wyszło na jaw. Pochyliłem się do przodu, mogłem bez problemów pogłaskać jego dłoń i pieścizną nakłonić ją do pełnego wdzięczności uścisku.

- Spotkałeś kiedyś tę... aktorkę?

- Tak, raz, na przyjęciu z obojgiem rodziców. Dawno temu, chyba zanim ten romans się zaczął. - Obejrzał się, jakby miał ochotę wyciągnąć się na łóżku, ale potem przemyślał to sobie. - Ale skąd można mieć pewność?

Myślę, że nie oczekiwał odpowiedzi. - Och, nie można.

- Występowała w filmie telewizyjnym, który puszczały w dwóch czy trzech częściach. Mogłem go oglądać, jeśli mamy nie było w domu. - Znowu troska przemieszana z psotą. - Muszę przyznać, że jest bardzo piękna, choć marna z niej aktorka. Gdybyś ją zobaczył, sam mógłbyś się w niej zakochać, Edwardzie.

- To ciekawe.

- Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że miała ledwie siedemnaście lat, kiedy ją poznał. - Nie potrafię powiedzieć, czy patrzył na mnie w zamyśleniu, pochłonięty wyobrażaniem sobie dziewczyny, czy też zachowywał kamienną twarz. - W każdym razie, powiedział mi kiedyś,

że dla niego była to miłość jak uderzenie pioruna, dla niej nie, potrzebowała dużo więcej czasu.

Całe to nagłe gadanie o miłości sprawiało takie wrażenie, jakby właśnie nauczył się tego słowa: używał go lekko i świadomie, jak nowego przekleństwa naładowanego nie wypróbowywanym dotąd potencjałem i mocą prowokowania.

- A co z zamkiem twojego dziadka? Widziałeś go kiedyś?

- Pojechaliśmy tam wszyscy, kiedy byłem mały, miałem może... osiem lat. Nikt się nim nie zajmował przez długi czas i nie było to wcale bezpieczne. Chyba nie wybudowali go właściwie.

- Och.

- Jedyne co pamiętam dokładnie, to okrągły pokój, nazywacie to chyba rotundą, z malowidłami na suficie przedstawiającymi mojego dziadka i jego bogatych przyjaciół, którzy w rzeczywistości byli próżniakami, poprzebieranych dla kaprysu. Dziadek Theo przebrany był za hinduskiego księcia z długim mieczem. - Spojrzał na mnie otwarcie. - Pamiętam również, że bardzo mnie przestraszył jego portret.

- A co się teraz dzieje z chateau?

Wzruszył ramionami, wypierając się swojego rozczarowania.

- Nadal tam stoi, z zabitymi oknami, tyle że położono metalowy dach, żeby chronić dom przed deszczem.

Chciałem tam z nim pojechać i pomóc mu odzyskać zamek. Był to po prostu kolejny zew pragnienia, by lepiej poznać bezpańskie włości, które pewnego dnia staną się Małym Trianonem Luca, i by obejrzeć trochę konfundującą sraczkę w ostatnim locie w dół historii rodu Altidore'ów. Równocześnie ukazał mi się obraz mojej własnej historii w postaci zamkniętego i gnijącego pawilonu, zbyt odległego i niebezpiecznego, by Luc zechciał go odwiedzić. Te lekcje stanowiły ledwie pozorowanie rozmowy, mną targał ból i byłem wścibski, a on po prostu reagował i był uprzejmy. Raz czy dwa wspominałem o śpiewaniu mojego ojca czy o powieściach ciotecznej babki, obie rzeczy po równi zapomniane, lub opowiadałem

pocieszająco o czasach, gdy ja chodziłem do szkoły oraz o swoich ówczesnych porażkach.

Reagował pełną tolerancji obojętnością i milczeniem.

Chwilami napięcie stawało się niemalże zbyt wielkie: mieć go tu przed sobą, patrzącego na mnie, z wahaniem zwilżającego językiem tę grubą wargę, odgarniającego włosy dłonią, która później go rozbierze i będzie zbyt wiele sobie pozwalala. Gwałtownie wstałem i poprosiłem, żeby wskazał mi drogę do łazienki.

Znajdowała się piętro niżej, obok marmurowej rezerwowej sypialni. Luc zaprowadził mnie do niej i pokazał kosztowne wyposażenie. Zamknąłem drzwi i przyszło mi na myśl, że może będzie czekał na zewnątrz, jak kiedyś z niezwykłą cierpliwością pani Vivier w domu Paula, więc nasłuchiwałem, dopóki nie usłyszałem trzeszczenia schodów, gdy wracał na górę. Oparłem się o drzwi i z politowaniem przyjrzałem się sobie w ścianie luster naprzeciwko, myśląc, że muszę coś powiedzieć Lucowi, że nie może tak być dalej. Uznałem, że skoro już tu jestem, to mogę równie dobrze się wysikać, co zrobiłem, cały czas się obserwując, jak to czasami jest możliwe w pociągach. Umyłem dłonie i na mozaikowym obramowaniu umywalki zauważyłem przeróżne flaszeczki - bżowy talk i emulsja do demakijażu należące do matki, piana do golenia i szczoteczka do zębów z Kaczorem Donaldem, upaprana różową pastą, należąca do syna; tak dobrze to pamiętałem - twoje rzeczy zajęły miejsce rzeczy twego ojca, teraz ty i matka staliście się w pewnym sensie małżeństwem. Zasnęta szczoteczka smakowała nylonem i zwietrzałą miętą.

W nogach długiej, białej wanny z niebywałymi, przycupniętymi i w jakiś sposób czujnymi, mosiężnymi kurkami znajdował się wyłożony materiałem w paski kosz na brudne ubrania. Przegrzebałem delikatnie jego zawartość - znowu mieszanina srebrzystych majtek i biustonoszy oraz bardziej przepoconych rzeczy chłopięcych, koszul z brudnymi kołnierzykami, wyróconych na lewą stronę skarpet i bielizny. Znalazłem białe slipy firmy Horn, maleńkie i wilgotne od ręcznika, w który były zawinięte. Wyjąłem je i zakryłem nimi twarz. Wydawały się nienagannie czyste, przesycone ledwie widmem zapachu, wręcz nie warto było ich zmieniać na nowe. Kiedy je zwinąłem, prawie zupełnie kryły się w mojej

pięści. Zakopałem je na dnie kosza, ale potem jakiś potworny przymus kazał mi znowu zanurzyć po nie rękę.

Zanim nasza godzina dobiegła końca, usłyszeliśmy pneumatyczny chrzęst i elektroniczne kwilenie dużego samochodu parkowanego na niewielkiej przestrzeni. Zobaczyłem, że Luc wpatruje się w lusterko okienne i dostrzegłem dziób szarobłękitnego mercedesa puchnący w stronę drzwi frontowych w wypukłej powierzchni zwierciadła. Tak się złożyło, że podejmowałem właśnie kolejną próbę opowiedzenia czegoś o sobie, ale spostrzegłem, że całe jego skupienie zachwiało się i zniknęło.

- Tak, mój ojciec przyjechał - powiedział. - Sądzę, że chyba lepiej będzie...

- Dostyc już na dzisiaj - pomogłem mu i obaj się poderwaliśmy na nogi. Objawiał pełne niepokoju podniecenie, przez co czułem się zarówno opiekuńczy jak i de trop . Pomyślałem, że w pewnym sensie powinienem poznać jego ojca; powinniśmy okazać sobie wzajemne uznanie i niejako profesjonalne zrozumienie nad głową Luca. Potem, kiedy zeszliśmy już do połowy schodów, poczułem się po prostu zażenowany, że jestem obcym człowiekiem, którego należy traktować uprzejmie w chwili rodzinnego pełnego napięcia powitania. Jednak Luc, który szedł przede mną i był mi tym droższy, że pozwalałem mu odejść, nie zapomniał o mnie. Przeskoczył ostatnie cztery stopnie i kiedy ojciec uniósł wzrok po cichej wymianie zdań z matką w otwartych drzwiach wejściowych, objął go ramieniem za szyję i pocałował w usta. Potem odwrócił się do mnie bokiem i wyciągnął ramię w moją stronę. - To jest Edward - przedstawił mnie; ruszyłem do przodu z głupawą miną wyrażającą naraz nieśmiałość i dumę, jakbym był kimś, kogo Luc zamierza poślubić.

Wymieniliśmy z jego ojcem tylko kilka zdań, pokpiwając sobie z jego nieobecności i nieokreślonych obowiązków, pocieszając się doskonałością angielszczyzny Luca i faktem, że jego dobre wyniki są nieuniknione. Zaszokował mnie wygląd Martina Altidore'a. Zdawał się taki młody. Chociaż wiedziałem, że jest młodszy od żony, nadal jakoś spodziewałem się mieszczańskiej postaci z potretów rodzinnych; ale nie miał w sobie nic z ich roztropności czy ostrzegawczego spojrzenia możliwych. Był ciemniejszy niż syn, bardziej zwierzęcy i zwarty

(długie nogi Luc odziedziczył po matce), ale miał taki sam wydatny nos i prawie tak samo duże usta. I był w tym samym przedziale życia co ja - no, może troszkę dalej, ale na pewno co najwyżej koło czterdziestki. Miał pięknie skrojony ciemny garnitur, bielusięnką jedwabną koszulę oraz jedwabny krawat koloru krwi. Od razu widać było, że lubi rznąć. Gdybyśmy spotkali się w barze, zapragnąłbym go. Starłem się mu przypodobać, grając na pewnej próżności, która go cechowała - przypuszczam, że to stanowiło o jego uroku, pewien rodzaj płytkiego spoufalania się, coś, czego Lucowi brakowało - a przy tym pozostać przy Lucu, a także być miłym dla jego matki, częściowo zapomnianej tuż obok naszego małego męskiego kółka.

12

Poszedłem na stację, żeby powitać Edie, i musiałem czekać pół godziny, więc systematycznie przemierzałem peron tam i z powrotem, a potem usiadłem z papierosem przy kawie w prawie całkiem pustym bufecie. Było to jedno z tych beczynnych interludiów, kiedy przyjemne znużenie miesza się z oczekiwaniem i kilka minut anonimowego seksu w wymytnym i opustoszałym „Męskim” odpowiadałoby ci najbardziej - wychodzisz akurat w chwili, gdy rozbrzmiewa gong, a kompetentny głos zapowiada pociąg pospieszny. Ale tego ranka nic się nie dało zrobić: kilku otyłych drugorzędnych biznesmenów w prochowcach z paskami, starsza pani z wózkiem pełnym bagaży i z taką miną, jakby przeczuwała nieszczęście. Byłem spięty, ale lekki, czułem się dziwnie pocieszony przez nie znane mi plany i problemy innych ludzi. Długa wskazówka na pozbawionej cyfr tarczy zegara klikała z minuty na minutę, podczas gdy szczupła czerwona wskazówka sekundowa gnała w kółko. Spojrzałem przez ogromne okna z powrotem na miasto - niedaleko mała baszta strażnicza ze szpiczastym dachem i obwisłą flagą w kratę, a za nią impresja na temat murów i wieżyczek przypominająca wizerunek miasteczka w księdze godzinek, tyle że rozmażany i rozjaśniony złotem zmieniających kolor kasztanowców i blednącą żółcienia lip. Chwila była odpowiednia, żeby moja stara przyjaciółka zobaczyła to miejsce.

Istotnie, kiedy przyjechała, wszystko wydawało jej się cudowne: czysty, spóźniony pociąg, brak ludzi, ugrzecznioma międzywojenna wspianiałość dworca z wypłowiałym marmurem i zbędną przestrzennością - wszystko zdawało jej się zabawne i zachwycające. Uścisnęliśmy się gorąco i przez chwilę poniósł mnie przyptływ pewności siebie, wynikłej z obecności prawdziwego, starego przyjaciela, którego przyjaźń przetrwała i odsunęła w cień inne moje utrapienia i niefortunne życiowe pomyłki. Obarczyłem się jej kilkoma torbami niczym doświadczony boy hotelowy i wyruszyliśmy na piechotę do miasta. Edie podróżowała z pudłem na kapelusze.

- Chcę, żebyś zobaczyła je w taki sposób, jakbyś była starym pielgrzymem albo nie miała na tramwaj.

- Bosko.

Poprowadziłem ją przez most, a potem przez bramę z tarczą herbową na pierwszy mały skwerek; milczące domy i posąg jakiegoś dziewiętnastowiecznego osobnika z opadającym wąsem - Edie podbiegła, żeby odczytać jego nazwisko.

- Nie mam pojęcia - wyznałem.

- Ależ, kochanie, sądziłam, że będziesz już wszystko wiedział.

- Przepraszam. Wiem kilka rzeczy, ale... akurat nie to.

- Ach tak. - Obeszła statuę na wysokim piedestale, jakby moja ignorancja czyniła ją bardziej interesującą lub problematyczną. Ciekawy w tym mężczyźnie był jedynie zamyślony, prawie nieszczęśliwy wyraz twarzy, jakby sam czuł, że znakomite i wieczne trwanie w posągowości nie pasuje do niego zupełnie. Być może był dobrym lekarzem lub pomniejszym poetą religijnym. Edie przybrała taką samą pozę jak on, łagodnie z niej drwiąc, i pochwyciła spojrzenie młodego chłopca, który przebiegał obok i przystanął ze zdumienia, widząc mężczyznę z pudłem na kapelusze i uderzającą ciemnowłosą dziewczynę w czarnych pończochach, tunice i opadającym berecie, podobną do stuartowskiego pafia w żałobie, stojącą bez ruchu. We mnie obudziło to starszy oddźwięk: pracowite, długie godziny sesji zdjęciowych, kiedy Edie była jeszcze w szkole dla modelek i gdy chodziliśmy na błonia z

walizką, parasolami i płachtami cynfolii oraz z jednym lub dwoma jej pomysłowymi przyjaciółmi, i tworzyliśmy nasze lśniące, statyczne happeningi, przy których cierpliwi przychodnie przystawali i dziwili się.

Wprost kipiałem chęcią opowiedzenia jej o różnych sprawach; była pobłażliwą słuchaczką, inaczej niż rywalizujący przyjaciele płci męskiej, którzy walczą z tobą o przewagę w rozmowie. Lecz chciałem, aby najpierw miasto wzięło ją w objęcia. Szliśmy sobie, a ja wskazywałem to na kościół, to na jakiś dom, na fragment dziedzica, ale prawie się nie odzywaliśmy. Czułem, że to miejsce jest moje, byłem dumny z niego i z tego, że mniej więcej znam przez nie drogę; rozpoznawałem różne odcienie milczenia Edie, od gwałtownego po pogodne, i wiedziałem, że jesteśmy razem - tak jak z nikim nie byłem razem, od kiedy tu przyjechałem.

Znaleźliśmy się w punkcie słynącym ze swego piękna, z widokiem na Dzwonnicę po drugiej stronie kanału, liście z trzepotem opadające na wodę i po lewej na długie nadbrzeże z trzema mostami prowadzącymi od nieciekawego światła słonecznego do wąskich alejek w centrum miasta.

- Absolutnie rozkoszne - stwierdziła Edie. - Miałeś wielkie szczęście i wielką rację, że tu przyjechałeś. Nie rozumiałam, dlaczego to zrobiłeś, mówiąc szczerze myślałam, że to zupełnie wariactwo, ale miałeś absolutnie rację.

Przyjąłem jej nietajone uznanie za dobrą monetę.

- Voila.

- Muszę przyznać, że panuje tu raczej szczególny spokój. - Zerknęła na zegarek. - Chodzi mi o to, że w ciągu ostatnich dwudziestu minut spotkaliśmy trzy osoby, a teraz nie widać w ogóle nikogo. To naprawdę może wziąć człowieka.

- Tak. Ździebko tu jest ospale gdzieś tak od roku 1510. Ale robimy co w naszej mocy, żeby zorganizować sobie rozrywki.

- Jak się domyśliśmy z twojego listu.

Nie można powiedzieć, żeby Edie nie była wielkopańska. Moja matka często

powtarzała, że ona pochodzi z „bardzo dobrej rodziny”, w ten sposób fałszywie usprawiedliwiając co bardziej gawroszowate i alkoholiczne upodobania Edie i sugerując, że mam szczęście, iż w ogóle przyjaźnię się z jakimś de Souzaem. Ci de Souzaowie byli wspaniałymi, liberalnymi filantropami, choć może ogółem rzecz biorąc nie tak chętnymi jak akurat ta jedna, by chadzać do pubów i rozmawiać, dosyć szczegółowo, o mężczyznach i o tym, co lubią robić. Miała dobitny kontralt, gdy mówiła, i pewną hauteur - podcinaną przez wulgarny śmiech, który bulwersował ludzi wchodzących do kina lub kawiarni.

Zawsze używała tego samego zapachu, pięknego aromatu, który był opactwami, ciotkami, wiejskimi domami pełnymi gobelinów, zasuszonymi płatkami w porcelanowych wazach, zanim stał się... tym, czym się stał, dyskretnym flakonikiem dostarczanym przez jakiegoś zielarza z Mayfair upudrowanym wdowom w czarnych lakierkach na grubym obcasie. Niezbyt pasował do tego, w co zwykła się ubierać - często nosiła rzeczy uszyte przez samą siebie, zazwyczaj seksowne, teatralne i niejasno niepokojące: była pierwszą znaną mi osobą wzbudzającą tak powszechny zachwyty dzięki śmiałości obnażaniu pewnych części ciała połączonemu z tajemniczym przesłonięciem innych. Piętnaście lat temu widziałem, jak ścisnęła biust niby subretka w komedii z okresu Restauracji, i z przerażeniem obserwowałem, jak maluje i posypuje pudrem twarz, z tym długim nosem i meszkiem nad górną wargą, aż przeobrażała się w wyzywającą, ironiczną maskę. Nawet wtedy używała swoich tajemniczych perfum, tak że wdychać je znowu teraz w moich pokojach oznaczało powrót przez połowę życia spędzonego obok niej. Zagłuszył zapach żółtych róż, które kupiłem i wetknąłem do dzbanka na środku stołu.

- Cudownie, kochanie - powiedziała Edie, otwierając szafki, do których powkładałem to, co sprzątnąłem z pokoju. - Można by tu przeżyć wspaniały romans. - Podeszła do długiego okna od tyłu i wyjrzała na tajemny ogród.

Czułem się radośnie bogaty dzięki pieniądзом, które dostałem od Matta, i zachwycało mnie, że mogę ugościć Edie. Cały czas proponowała, że zapłaci za różne rzeczy, co często

musiała robić w przeszłości, ale ja uparcie, choć uprzejmie odmawiałem. Natychmiast zabrałem ją na lunch do ponurej i wysoko cenionej restauracji na głównym placu, gdzie wypiliśmy trzy butelki Chablis, zjedliśmy małże, skarpia i naleśniki z jabłkami. Temat Luca był niemalże namacalny tuż obok nas. W miarę picia stawałem się coraz bardziej nierozważny i skłonny do zwierzeń, ale powstrzymywałem się aż do kawy: uznałem, że odbierze mi to apetyt i posiłek będzie stratą pieniędzy. Pytałem ją o sprawy związane z domem z takim uczuciem, jakbym wyjechał pięć miesięcy, a nie pięć tygodni temu.

- Prawie nic się nie zmieniło od twojego wyjazdu - powiedziała. - Byłam w Common w zeszłym tygodniu odwiedzić mamuszkę i tatuśka, ale wpadłam też do „Jerzego” na szklaneczkę guinnessa i pozbierać trochę plotek. Powiadają, że twojemu staremu przyjacielowi Willie’emu Turloughowi urodziło się właśnie kolejne dziecko.

- I pomyśleć, że ja mogłem być jego dzieckiem - powiedziałem, jakbym miał jakąś nową, dziką wizję prawa spadkowego. - Jednak on jest teraz tysy, prawda?

- Z tego co mówią, ma wspaniałą przepiękną czachę. Przecież nigdy nie mógłby stać się mniej niż poniżająco przystojny... - Pochyliła się w przód i przesunęła dłonią po mojej gęstej czuprynie.

- Coś jeszcze?

- Wstąpiłam do sklepu Ranka, wszystko tam jest skandalicznie drogie. Mówił, że nikt nawet nie zadzwonił - wiesz, dla bezpieczeństwa założyli brzęczyk - przez dwa dni. Kupiłam dwa stare porcelanowe świeczniki za cenę mniej więcej rejsu dookoła świata, powodowała mną mieszanka filantropii i szaleństwa, jak w większej części naszego istnienia.

- Jesteś z nich zadowolona?

- Wcale. Z utęsknieniem czekam, aż ktoś będzie brał ślub, żeby móc przekazać je dalej.

Bawiłem się nóżką swojego kieliszka.

- Ja nigdy na to nie czekam - wyznałem. - A co u samego Ranka?

- Cóż, zaskoczyło mnie, że tak dobrze wygląda. Colin zabrał go do Algierii, gdzie

było zdaje się dosyć kosmato z wyuzdania, ale w efekcie wygląda ładnie i się opalił; przybrał też trochę na wadze. Zdaje się, że AZT bardzo poprawił mu humor.

- Tak bym chciał, żeby wyzdrowiał - powiedziałem, bo wyglądało na to, że nadal warto było to powiedzieć.

- Niestety, nie widziałam twojej mamusi - po chwili milczenia podjęła Edie. - Nie przypuszczam, żeby spodziewała się mojej wizyty, skoro ty wyjechałeś.

- Dostałem wczoraj list na dziesięć stron. Miewa się dobrze. O ile nie ma czegoś niepokojącego na dalszych stronach. Nigdy nie udało mi się skończyć jej listu przed nadejściem następnego.

Siedzieliśmy trochę za długo, może byliśmy odrobinę hałaśliwi po alkoholu (nigdy tego nie wiadomo) i jako jedyni zostaliśmy po lunchu. Kelner, który musiał obsługiwać już tylko nas, zdawkowo kiwnął głową, gdy poprosiliśmy o drugi dzbanek kawy.

- No i co z tym twoim złamanym sercem? - spytała Edie. - Czy może przesadzam?

- Boże, chciałbym, żeby tak było - jęknąłem i nagle poczułem w oczach łzy.

- Kochanie. Może wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, że może być dobrze... - Zapaliłem papierosa z paczki, którą ktoś zostawił w barze, amerykański gatunek, cienkie i słodkie: - szok odkrywania, co inni ludzie kupują i lubią.

- Czy wreszcie... zrobiłeś postępy?

Pokręciłem głową.

- W powietrzu unoszą się przepotworne przeszkody i złe moce. Czasami znajduję się ledwie osiemnaście cali od niego, nasze stopy dosłownie się stykają, gdy siedzimy podczas lekcji przy stole, czuję zapach kawy z mlekiem w jego oddechu, a mimo to jestem zupełnie unieruchomiony.

- Cóż, trudno, żebyś zaczął go obłapiać na lekcji. - Potem: - Jak to się skończy?

- To... to zbyt logiczne i niemożliwe pytanie. Liczy się jedynie to, co jest teraz. - Edie nie odpowiedziała. - Czuję się taki pusty i tak za nim tęsknię, on wpływa na wszystko, co

robię i myślę, i bardzo trudno uwierzyć, że może nawet o tym nie wie. Czasami naprawdę doprowadza mnie to do szaleństwa. Kiedy przychodzę na lekcje, wiesz jak to jest, najpierw czuję się zupełnie nieprzytomny po prostu dlatego, że z nim jestem, potem po paru minutach jakoś tłamszę namiętność słowami, wszystko się normalizuje, chwilami wręcz dostrzegam banalność tej sytuacji - oczywiście czasami nagle zalewa mnie żar - a później, gdy zbliża się koniec, wszystko znowu staje się nie do zniesienia. Czuję, że twarz mi sztywnieje z bólu, a on nawet nie wie, że go zadaje: to podstawowa zasada biologiczna, nie możesz znieść rozłąki i parę minut po tym, gdy już się pożegnaliście, serce zaczyna ci walić i walić, i czujesz rozpacz i szok, jakbyś właśnie na własne oczy widziała potworny wypadek. I musisz się napić. - Mocno zaciągnąłem się papierosem i zgasilem go. - Ach, kawa.

Kelner postawił miedziany dzbanek i zasłaniając nam widok na siebie zabrał popielniczkę i wreszcie opróżnione kieliszki.

- Jak myślisz, w którą stronę kierują się jego myśli? - zapytała Edie.

- Te nocne? Cóż, ciężka sprawa... Wspominałem o Trójcy? Potęgują wzajemnie swoją mistycyzację bez końca. Są wszyscy piękni, zamożni i sprawiają wrażenie, jakby nawzajem szaleli na swoim punkcie.

- Wiesz, co mówią... Un trio n'excite pas de soupcons .

- Cóż, moje soupcons nigdy nie były bardziej excites. - Zawahałem się, a potem wyjąłem z kieszeni kopertę ze zdjęciami. - Mogę ci pokazać.

- Och.

Przetasałem odbitki i wyłożyłem przed nią z pół tuzina zdjęć. Wyglądało na to, że rozmyślnie postanowiła zachowywać się obojętnie.

- Zatem ten ciemnowłosey to Patrick? Muszę przyznać, że wygląda jak prawdziwy mały zbir. Mimo to całkiem milutki.

- Nie wygląda na zbira. Ma gigantycznego fiuta.

- Sybille jest urocza, zgadzam się. Piękne oczy, i usta; i ta kolorystyka.

- Tak.

- Wygląda na to, że jest bardzo wyrafinowana i nie można jej się oprzeć.

- No, właśnie. Dziękuję ci.

- A to musi być on. - Spojrzałem w bok i z powrotem na odwrócony do góry nogami obrazek czekając na jej reakcję. Był to podobny do fauna Luc na plaży.

- Nie sądzisz, że jest w tym bardzo starożytna Grecja?

- Mm. Gdzie je zrobiono?

- W takim jednym miejscu tuż za granicą francuską, gdzie Trójca zawsze jeździ.

Pojechałem tam za nimi z moim przyjacielem Mattem i w pewnym sensie szpiegowaliśmy ich.

- Rozumiem. To ty je zrobiłeś.

- Nie, nie... nie. Ukradłem negatywy i kazałem zrobić odbitki.

Edie uniosła brew i ponownie się zadumałem, tak jak to robiłem przez całe godziny medytacji nad tym zdjęciem, kto je zrobił i na które z przyjaciół Luc skierował to wieloznaczne spojrzenie.

- To musiało być raczej trudne.

- Potwornie łatwe. Ukradłem mnóstwo rzeczy. W tej chwili mam na sobie jego majtki, i jego podkoszulek i jedną skarpetę. - Wytknąłem stopy spod obrusa, a Edie z uwagą przyjrzała się mojej jednej niebieskiej i jednej zielonej kostce. - Niebieska jest Luca.

- Kochanie... Chodzi mi o to... naprawdę wydaje się, iż completely znikowałeś.

Zniosłem tę uwagę w milczeniu. Nie byłem pewien, ale chyba zawierała cień gratulacji. Szybkimi, natarczywymi łykami wypilem filiżankę kawy, a Edie dalej oglądała zdjęcia.

- Czy te pozostałe są dobre? - spytała.

- Jest jeszcze parę, którymi nie chciałem cię zanudzać.

- Zanudzać? Uwielbiam zdjęcia innych ludzi. Jedynie one nie przynoszą rozczarowania.

Wręczyłem jej paczuszkę.

- To te dosyć dziwaczne, gdzie bawią się w teatr czy coś podobnego. To, na którym Patrick ma prześcieradło na głowie, a Luc macha pogrzebaczem jak mieczem. Bardzo osobliwe - powiedziałem sucho i zazdrośnie.

Edie zmarszczyła się nad zdjęciem.

- To wcale nie jest takie osobliwe. Po prostu dokazują. Tylko dlatego, że potrafisz myśleć jedynie o tym, jak wpatrują się sobie w oczy lub kochają się całymi dniami, zdajesz się zapominać, że to tylko dzieciaki, które nadal robią różne infantylne, dosyć szalone rzeczy, lubią się przebierać i wygłupiać. Może o tym nie słyszałeś, ale to się nazywa fantazja.

- Nawet ich nie znasz. - Chwyła mnie za rękę. - Nie powiedziałaś, co myślisz o Lucu.

- Cóż, jest uroczy, kochanie... dziwnie uroczy, nieprawdaż? Jego górna warga jest ogromna i nazbyt soczysta.

- Kiedy pojmujesz, o co w nim chodzi, to zaczynasz najbardziej kochać jego górną wargę. Przechodzisz od nielubienia jej do akceptacji i do... uwielbienia.

- Myślę też - powiedziała Edie - że jest za młody dla ciebie.

- Cóż, oczywiście, że jest dla mnie za młody - odrzekłem nagle przygnębiony i poirytowany. - Jednak to się zdarza, zdarza się.

Edie zrobiła furorę w „Kasecie”, wszyscy ściskali ją za rękę i odbywała zabawne konwersacje, w większości ponad głowami tłumu. Miała na sobie czarne buty i pończochy, grubą, krótką, marszczoną czerwoną spódniczkę, która sterczała na boki, czarną skórzaną kurtkę i włosy zebrane pod czarną czapką: wyglądała jak interesujący młody mężczyzna, w tym krótkim okresie, kiedy dopuszczano wśród mężczyzn możliwość noszenia spódnic. Nie była „ciotką ciot” (jeśli już, to twierdziła, że ja nią jestem), ale emocjonalna powściągliwość w następstwie kilku krótkich, niejasno nieszczęśliwych miłostek sprawiła, że czuła się swobodnie wśród homoseksualistów; spoufalali się bezceremonialnie, lecz nie żądali od niej niczego, a ona śledziła ich poczynania z ogromnym zainteresowaniem i pewnego rodzaju

życzliwym rozbawieniem, jak przy oglądaniu przyjemnego melodramatu starej daty. Chodziła do „Jerzego IV” w porze lunchu, ale nigdy wieczorem, gdyż uważała, że należy wtedy chłopców zostawić ich własnym psotom, o których i tak usłyszy następnego dnia. Była również miła, kiedy ktoś tego potrzebował: opiekowała się naszymi umierającymi przyjaciółmi. Ranek był jednym z nich.

Edie i Gerard polubili się i odbyli długą, ożywioną rozmowę, podczas gdy ja wysiadywałem na stołku barowym i robiłem okazjonalne wtręty, sugerując bliższą znajomość z Gerardem niż to miało miejsce w rzeczywistości. Przypuszczam, że ich dowcipna pogawędka, z Edie w roli nie cieszącego się poważaniem, mniej popularnego członka rodziny królewskiej okazującego promienne zainteresowanie opowieściami swego rozmówcy, rozbudziła we mnie jakąś nietaktowną zazdrość - ponadto przypomniały mi się dawne dwuznaczne upodobania Gerarda, jego wczesne małżeństwo, więc nie całkiem mu ufałem. Postawiłem nam kolejnego drinka, a on natychmiast porzucił temat burgundzkiej muzyki dworskiej i zapytał:

- I jak ci idzie z Mattem?

- Świetnie! - odrzekłem.

Gerard rozejrzał się po sali i stwierdził:

- Tak, wiele osób poważnie się zdziwiło, kiedy poszedłeś z nim.

- Za gorący dla mnie, o to chodzi?

- Cóż... I nie bardzo interesuje się rzeczami, które ty lubisz.

- Przykro mi - odrzekłem - ale wygląda na to, że mamy wystarczająco wiele wspólnego, aby dobrze się nam układało. Być może wierzysz w narcystyczną teorię wzajemnego przyciągania się gejów; ja zawsze uwielbiałem robić to z ludźmi, którzy są inni ode mnie. - Zabrzmiało to raczej gniewnie, więc na chwilę stałem się miły. - Nie było go przez kilka tygodni, powinien wrócić jutro. - Spuściłem wzrok. - Naprawdę bardzo mi go brakowało.

- Słyszałem, że lubi dosyć zwariowany seks.

- No. - Powiedziałem. A Edie spytała:

- Czy to ten, dla którego pracujesz?

- Nie, nie - odrzekłem ciepłym, kłamliwym tonem. Wiedziałem, że Edie zrozumie: właściwie sama go nazwała Zaparciem Mannersa lata temu.

- Nikt nie chciałby pracować dla Matta - wyjaśnił Gerard. - Zajmuje się jakimiś ciemnymi interesami i często siedzi w kozie. - Zaśmialiśmy się, a on dodał z upodobaniem psuja: - Matt nie jest nawet jego prawdziwym imieniem, Edward może poświadczyć. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Wim Vermeulen. - Przez chwilę sceptycznie mrużyłem oczy, po czym kiwnąłem głową i westchnąłem potwierdzając informację. - Zmienił je niedawno, kiedy wyszedł z więzienia. Najwidoczniej myślał, że wygląda jak Matt Dillon.

- Sądzę, że jest do niego szalenie podobny - powiedziałem.

Trochę później razem z Edie opadliśmy na ławkę w rogu i jednym okiem przyglądaliśmy się szczeciniastym chłopakom obmacującym się na parkiecie.

- Czy ten Matt to naprawdę kanciarz, jak twierdzi twój muzyczny kolega? Fakt, że zmienił nazwisko, wydaje się dosyć dziwny.

- Gerard jest po prostu do szaleństwa o nas zazdrosny - wyjaśniłem uświadamiając sobie symetrię sytuacji. - Ale Matt jest kanciarzem, to prawda. I mniej więcej sam doszedłem do wniosku, że siedział za kratkami. Chociaż przyznaję, że ta sprawa z Vermeulenem to niespodzianka. Sądziłem, że to jakiś jego znajomy; przychodzą do niego listy. Nawet zaczynałem być ociupinkę zazdrosny.

- Uważaj na siebie.

- To nic poważnego, przynajmniej to, co ja robię. Matt prowadzi mnóstwo interesów z komputerami, z którymi, jak się domyślasz, nie mam nic wspólnego. A ta druga historia... to raczej zawstydzające. W pewnym sensie handluje fetyszami. I sprzedaje kasety z pornosami, bardzo tanio, drogą pocztową - kupuje je i kopiuje, co, jak przypuszczam, jest nielegalne. A także, wiesz, sprzedaje ubrania, co zapewne też nie jest legalne, a przynosi dużo większe zyski.

- Dlaczego jest nielegalne?

- Bo najpierw je kradnie. Są gdzieś tam - i tutaj, z tego co wiem - faceci, gotowi wydać fortunę na, powiedzmy, gatki szóstoklasisty z klinem z przodu lub bardzo przepocone, obrzydliwe suspensorium.

- Mam nadzieję, że nie wydałeś fortuny na swoją niebieską skarpetkę.

- Nie, nie, sam się nią poczęstowałem. Problem z artykułami Matta polega na tym, że to oszustwo. Czasami autentycznie pracuje nad zamówieniem; ale z zasady przesyła byle co jako, powiedzmy, dosyć mocno poplamione slipy młodego listonosza lub szorty z lycry krajowego mistrza juniorów w squashu, który, tak się akurat składa, pochodzi z naszego własnego Świętego Narcyza. Matt idzie do łaźni miejskiej, kiedy chłopcy mają lekcje pływania, i bierze sobie garść co brudniejszych części garderoby.

Edie miała bezstronną minę człowieka, który przebywając na wakacjach z życzliwością w sercu przyswaja sobie zasady narodowego sportu innego kraju.

- Zatem zabrudzenia są naprawdę istotną sprawą?

- Och, absolutnie. I włosy łonowe. Fenomenalnie podnoszą cenę. I tutaj naprawdę trzeba być bardzo uważnym.

- Wydaje się, że cały interes jest bardzo ukierunkowany na szkołę.

- Tak, w tej chwili rzeczywiście. Może to gorączka z okazji rentree, które zawsze przyciąga wielu zboczeńców. Starsi ludzie również mają wzięcie - niektórzy z nich brudzą zawodowo: przypuszczam, że mogłabyś to nazwać cynicznym paskudzeniem.

- To dla mnie autentyczne objawienie.

- Prawda? W pewnym sensie cała działalność przypomina alchemię. Bierzesz coś o praktycznie znikomej wartości i przydajesz temu magicznie podniecających skojarzeń, nawet jeśli są tego rodzaju, który większość ludzi uznałaby za odrażający, i otrzymujesz złoto. - Sam miałem erekcję w uścisku obcisłych slipów Luca i czułem erekcje, które on musiał mieć, rozpychające tę samą bawełnę, która obecnie więziła mnie, a jego jądra bezmyślnie tuliły się w nich do siebie przez cały dzień.

- Przypuszczam, że nie spotkałeś żadnego ze swoich klientów.

- Wszystko załatwia się przesyłkami poleconymi. Oczywiście piszą te wspaniałe fantazje na temat gwiazd porno - niektóre to grafomania, ale inne na pewno są dziełem wiodących akademików, którzy wzorują się trochę na Henrym Jamesie, i ujmują wszystkie brzydkie wyrazy w cudzysłów; część z nich bez przerwy przechwala się na temat rozmiarów własnego ekwipunku, ale nie da się w to uwierzyć. No i jest jeszcze telefon. To wszystko dla mnie nowość, ale odkrywam, że jestem całkiem niezłym telefonicznym naciągaczem: podkreścam ich zachowując się raczej wstrzemięźliwie, jakbym mógł im nie dać tego, czego tak bardzo pragną. Jako okazja, żeby porozmawiać napuszoną angielszczyzną z obcokrajowcami, bije to lekcje konwersacji na głowę, a płaca jest dużo lepsza. - Zerknąłem w lewo i spostrzegłem Fritsa, ciężko samotnego ze swoją książką. - Nie patrz teraz - poprosiłem - bo bardzo chętnie uniknąłbym tej osoby, która tam stoi i czyta.

Edie oczywiście spojrzała natychmiast i akurat pochwyciła jego wzrok, kiedy przewracał stronę.

- Cóż, mam nadzieję, że jesteś fanką Somerseta Maughama - powiedziałem, kiedy z wdzięcznością zbliżył się do nas i zaproponował nam drinka.

Dużo później znaleźliśmy się w łóżku, w niemalże dziecięcej czystej przytulności - może poza faktem, że musieliśmy chyba śmierdziec papierosami i piwem - Edie jak jedno z dzieci von Trappa w pizamie, która wyglądała na uszytą ze starych zasłon, i ja w nowiuteńkich spodenkach bokserskich, nadal bardzo szykownych.

Lampa była zgaszona i tylko poświata z ulicy ukazywała zarys jej kształtu między mną a oknem. Hiszpanki były cicho, tylko czasami niewyraźny warkot samochodu jadącego po kostce unosił się nad oddzielającymi nas od niego domami. O pierwszej Edie wyznała, że denerwują ją kuranty wybijające godziny u św. Narcyza. Ja ich już nawet nie słyszałem.

- Nawet lubię Fritsa - powiedziała sennie. - Tak powinny nazywać się po flamandzku frytki.

- Ja też nawet go lubię. Podoba mi się, jak szczerze się dziwi, gdy ktoś go uważa za atrakcyjnego. Trzeba go trochę podbechtać. I oczywiście jest absolutnie ogłupiającym nudziarzem. Musisz cały czas mu przypominać, że chodzi ci o jego kutasa, a nie o opinię na temat powieści Hugh'a Walpole'a z cyklu kronik Herries.

- Cóż, mnie nie chodzi o jego kutasa. Myślę, że był słodki i całkiem troskliwy, nie tak jak paru innych, których mi przedstawiłeś.

Westchnąłem. - Prawdopodobnie znienawidzisz Matta, jeśli go poznasz. W ogóle nie jest słodki. To wielki koneser słabostek innych ludzi.

- Chwała niebiosom, że nie mam żadnych - powiedziała Edie obłudnie kokosząc się na poduszce.

Tylko raz były między nami kłopoty. Zgłupiałem na punkcie blondyna z doskonałymi manierami nazywającego się Robin Stannard, który był niebywale przyjacielski i udawał, że nic nie wie o sile mych rzewnych uczuć do niego. Edie była moją powierniczką w całym tym antyromansie i podtrzymywała mnie na duchu, dopóki nie odkryłem, że nagle sama go sobie złowiła: któregoś dnia przywitałem Robina z tęskną jowialnością i poczułem od niego jej perfumy. Zdrada ta była tak ogłuszająca, że zanim się z nią oswoiłem, ich flircik już się skończył; a po kilku dniach odwiedziła mnie Edie, zbyt zawstydzona, żeby być w stanie przeprosić. Wszystko to miało miejsce dziesięć lat temu, ale przytłoczyło mnie dziś niemal z całą dawną mocą i nie mogłem zasnąć jeszcze długo po tym, jak ona bez wątpienia zapadła w sen.

Następnego dnia była sobota, jesienna i słoneczna. Poprzedniego wieczora zaproponowałem Edie spacer z oglądaniem podstawowych atrakcji miasta, Memlingów, św. Jana, może Muzeum Orsta, jeśli będziemy mieli dość energii. Wstała wcześniej i wykonała kilka zatrważających ćwiczeń, lecz ja po przebudzeniu poczułem zdecydowany wstręt do planów, które robiłem wcześniej, zniknął ich powab, prawie pozwoliłem, żeby było po mnie widać, iż pragnę spędzić ten dzień, zmarnować ten dzień, w innym stylu.

- Nie wiem - powiedziałem - co chciałybyś robić. - Znajdowałem się na granicy tego paskudnego obszaru okrojonych obietnic.

Edie uwielbiała wspinać się na różne rzeczy - zamki, katedry, przeróżne wariactwa z widokiem na pięć hrabstw, wytrząchane przez wiatr wieże widokowe pozostawione w parkach publicznych po zapomnianych ekspozycjach. Częściowo fakt, iż tego nie lubiłem, iż po odliczeniu pięćdziesięciu stopni w ciemnej, spiralnej klatce schodowej zaczynałem się czuć trochę bardziej niż po prostu zziębnięty, zaczynałem się czuć zagrożony i zagłodzony, powstrzymał mnie przed zapłaceniem kilku franków za wejście na Dzwonnicę. Już wczoraj poczułem lekką panikę, kiedy zauważyłem, że oczy Edie spoczęły na wieży, i wymamrotałem w myślach jakieś dziecinne zaklęcia, żeby powstrzymać ją od prośby, byśmy poszli na górę. Ale nie dało się tego uniknąć. Dziś rano na placu Edie tak wykręcała szyję patrząc na zwieńczony wieżyczkami szczyt, że prawie upadła na plecy. Niebo było lazurowe i nieskończone, był to najodpowiedniejszy dzień na wspinaczkę.

- Musimy to zrobić - oświadczyła, początkowo nie zauważając, że cierpię usłyszawszy od brutalnie rozentuzjasmowanej przyjaciółki to, czego najbardziej się obawiałem. Potem powtarzała, że bym nie szedł, że pomacha mi z góry, że mogę, jak „osoba dorosła” poczekać w kawiarni po drugiej stronie placu. Cofnąłem się i mrużąc oczy obejrzałem fasadę. Podziwiałem ją oczywiście ze względu na malowniczość, ale dla przyszłego wspinacza jej dziwaczna konstrukcja - przypominająca wysokie wieże kościelne zatknięte jedna na drugą, każda kolejna węższa od poprzedniej - wzmagała wrażenie próby ogniowej przez dzielenie jej na trzy etapy. W każdej schody niewątpliwie będą coraz węższe, uczucie usidlenia coraz mocniejsze, a przelotne widoki z maleńkich okienek coraz bardziej przerażająco odległe od ziemi. Szczytowa część była ażurowym ośmiokątem, w którym widniały dzwony zwisające nad nicością.

Faza pierwsza okazała się w sumie niezła. Schody były szerokie i dobrze oświetlone. Zajęło wieży dobrą chwilę oddzielenie się od wielkiej, przysadzistej gotyckiej sali, którą wieńczyła. Na górze wstąpiliśmy do mrocznej komnaty, mieszczącej muzeum lokalnej

historii i z czystej ulgi drobiazgowo obejrzałem rozpadające się, beznose lub bezrękie manekiny w historycznych kostiumach oraz makietę miasta z czasów Karola Śmiałego, z poprzewracanymi żołnierzami i siecią kanałów pokrytych kurzem.

Odcinek drugi stanowił już gorszy sprawdzian. Edie bez przerwy powtarzała, jak niebywale odważny jestem, i pytała, dlaczego nie zejść na dół; a ja nie wiem, co za perwersyjne machismo pchało mnie naprzód, jakby ktoś szedł za mną wciskając mi pięści w plecy.

- Nie powiem o tym nikomu - obiecała.

- Chcę, żebyś wszystkim w domu powiedziała, że to zrobiłem - sapnąłem wzdragając się przed widokiem cienkich jak grot strzały starych dachów daleko w dole i horyzontu zaoranej ziemi.

Na samym dole trzeciego etapu znajdowało się biuro carillionisty, w tej chwili opuszczone: spojrzeliśmy przez wiszącą w drzwiach linę na klawiaturę oraz oprawione w ramki zdjęcia różnych sław, które, co zdumiewające w kilku przypadkach, wspięły się aż tu i uścisnęły dłoń tegoż carillionisty: król Leopold II, Montserrat Caballe, mężczyzna w futrze i z insygniami królewskimi, wyglądający jak Erie Sykes. Pokoik był urządzony bardzo przytulnie - niemalże oczekiwało się widoku kuchenki gazowej i czajnika. Wtedy właśnie zaczął się prawdziwy horror.

Na schodach, które były bardzo strome i ciemne, mogła zmieścić się zaledwie jedna osoba naraz. Zrobiłem się wesolutki i wykrzykiwałem fragmenty poematów, co Edie brała za dobry znak, dopóki nie zacząłem macać ją za pięty i łąpać za nogawki. Pragnąłem zawrócić, ale nie odważyłbym się sam zejść na dół. Raptem gdzieś nad nami rozległy się głosy, tupot kroków, wykrzykiwane liczby, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt cztery, piskliwe groźby i przechwałki. Brzmiało mi to na około trzydzieścioro, czterdzieścioro dzieci zamierzających przejść obok nas. Zanim je zobaczyłem, wyobrażałem je sobie jako czarno-czerwonych uczniów diabelskich, radośnie brykających z widłami nad szczytami dachów i nad chmurami. Kiedy nadeszły, okazały się jedynie napierającą ciemnością, przytłaczającym

bombardowaniem. Wpuściłem nogę Edie z uścisku, wyciągniętą ręką chwyciłem zimny, czarny kamień, dziecięce kolana i plecaki; ktoś nastąpił mi na palce; przywarłem do mniemanego środkowego filaru, ale od wewnętrznej strony zwężający się schodek nie był wystarczająco szeroki i już widziałem, jak nieuważny, rozpychający się tłum młodzików wypiera mnie z miejsca i spadam w czarny komin.

- No już, nie było tak źle, prawda? - powiedziała Edie wybiegając po kilku ostatnich schodach w słońce.

- Edie... Edie...

Odwróciła się, chwyciła moją głowę i pochyliła ją w przód jak do chrztu pod niskim nadprożem. Drzwi dla krasnali, kurczę Felek...

Przede mną leżała przestrzeń z wypłukanej przez deszcze blachy ołowianej. Z rozpaczą patrzyłem, jak Edie pomyka po niej i zachłystuje się jednym widokiem po drugim przez szczodre otwory strzelnicze w balustradzie.

- Jest przepięknie! - krzyknęła naciskając na uszy kapelusz szarpany przez zaskakująco hoży wiaterek, niewyczuwalny na poziomie ziemi, przystany, by nękać tych, co rzucają wyzwanie wysokościom. Pomyślałem, że jeśli dopadnę ustawionego na środku masztu flagowego i uchwycę się go, to może uda mi się przetrwać. Choć nogi miałem jak z waty, pobiegłem do niego, jakbym umykał przed strzałem snajpera. Kurczowo zaciskając za plecami obie dłonie na maszcie, stanąłem i rozważyłem swoje położenie. Trudno było uwierzyć, że nie odgrywam komedii, nikt nie mógł przecież tak idiotycznie bać się wysokości; jednak kolana drżały mi ze strachu i nie mogłem zaczerpnąć głębszego oddechu z powodu czarnego węzła w piersi.

- Musisz mi wyjaśnić, co jest co - zawołała Edie.

Powoli, przytrzymując jak ciężko pijanego, doprowadziła mnie do balustrady. Chciałem to zrobić, ale już idąc miałem wrażenie, że walczę o przetrwanie na krawędzi klifu. Nie zrobiłbym tego z nikim prócz niej. No, może Luc też by mnie nakłonił. Długie, sześciokątne szczeliny otwierały się na wysokości przepony, a z obu stron można było

chwycić się kamienia. Pro forma wskazałem na Katedrę i Św. Jana; oczywiście widać też było świetlik szkoły Świętego Narcyza z dwoma ukrytymi za nią dziedzińcami, a to zapewne stromy, stary dach nad moim własnym pokojem oraz mansardowe okienko od przodu: Edie spojrzała w kierunku pokazywanym przez mój drżący palec. Gdy popatrzyłem zbyt stromo w dół, od razu wpadałem w panikę i cofałem się.

- Raju, spójrz na doki - powiedziałem.

Kanał morski był roziskrzony i pusty, w oddali widniały uniesione dźwigi, a za nimi błyszcząca linia wybrzeża. Dostrzegłem zaniedbane przemysłowe peryferie, drogi wijące się przez płaskie pola uprawne i odległe kępy topól i buków.

Po drugiej stronie widmo miasta ciągnęło się aż po horyzont, był tam też dworzec, skromne przedmieścia, a potem piękny złocisty las. Dopiero po chwili rozpoznałem w nim Pustelnię. Obejmując ją całą jednym spojrzeniem otoczoną wysokim murem, trudno mi było uwierzyć, że tak długo się po niej błąkałem tamtej nocy. Dostrzegłem domek od herbaty; a ta długa przerwa między drzewami musi skrywać nieskończony, mglisty staw. A gdzie polana z cisowymi niszami? Gdzieś tam, wśród jesiennej wspaniałości.

Chciałem poszukać domu Luca, ale znajdował się za blisko: próbowałem odnaleźć choćby dalszy koniec ulicy Długiej, ale zrobiło mi się słabo, musiałem cofnąć się i usiąść. Przez chwilę leżałem płasko na plecach z zamkniętymi oczyma, podczas gdy Edie miotła się wkoło. Prócz zwierzęcego strachu czułem też pewnego rodzaju poniżenie na widok osobliwego labiryntu miasta skurzonego tam w dole, z trasą mojej jałowej marszruty widoczną jak na dłoni. Kiedy otworzyłem oczy, było jeszcze gorzej - rozhuśtana błękitna próżnia, czubek słupa flagowego z oksydowanym odgromnikiem. Czułem się jak na czubku masztu. Wtem z unicestwiającym hukiem dzwony zaczęły wybijać jedenastą.

- Teraz ty musisz coś dla mnie zrobić - oświadczyłem. Przytupywałem i zataczałem się na uroczym płaskim gruncie, wesolutki niczym ktoś, kogo właśnie ograbiono z autonomii na jarmarcznej karuzeli śmierci. Z pewnością przechodnie mogli zauważyć, iż na chwilę

opuściłem ich wymiar, po czym wróciłem do niego składając przysięgę, że nigdy więcej tego nie zrobię. To ciepło! Ten wyczuwalny spokój! Weszliśmy do „Złotego Cielca” i wypiliśmy kojący nerwy dzin.

Nie dotarliśmy do Orsta tego dnia, ale zrobiliśmy bardzo szybki obchód po Muzeum Miejskim: Edie oglądała obrazy w skoncentrowany i fotograficzny sposób, zupełnie różny od mojego leniwego, marzycielskiego zwyczaju. Pokazałem jej miejsce przed Boschem, gdzie spotkałem Cherifa, i stałem się bardzo liryczny: taki był seksowny, taki chętny... A gdzie się teraz podziewał? Nadal w Rotterdamie?

- Prawdopodobnie tam jest równie seksowny i równie chętny - odparła Edie sceptycznie, ale nie niegrzecznie.

Wyszliśmy na zewnątrz i skręciliśmy za róg w rzadki tłumek, a w wąskiej alejce od tyłu znowu odbywał się targ zwierząt. Powiedziałem Edie, że musi to zobaczyć, być może teraz ja z kolei nie dostrzegłem jej niechęci, ale po kilku jardach przerażonych myszy biegających w kołowrotkach i spętanych sokołów podskakujących i dziobiących więzy na łapach, Edie odwróciła się cała napięta ze złości i rozpacz.

- Przepraszam, kochanie, nie mogę... Nie rozumiem, jak ty możesz.

- Oczywiście, chodźmy gdzie indziej.

Ująłem ją pod ramię, poprowadziłem do końca alei i wyszliśmy na skwer przed teatrem.

- Tutaj zakochałem się w Lucu - wyznałem, psim zwyczajem znacząc każde miejsce miłosnymi skojarzeniami.

- To jak jakaś cholerna Trasa Jubileuszowa - uznała Edie. - Tyle że jesteś tu ledwie pięć minut.

- Przepraszam, że wciąż nudzę na temat miłości. Po prostu tak się składa, że trafiłaś akurat w mój ostatni, szalony poryw przed nastaniem wieku starczego.

- Hmm. - Okręciła się, żeby obejrzeć budynki. - Zabierasz mnie dziś wieczorem do teatru?

- No, mógłbym. Ale to nam zabierze wiele cennego czasu, który moglibyśmy przeznaczyć na picie.

- Mam piersiówkę.

- I nie wiem, czy ci się spodoba. To sezon operowy: Henryk VIII Saint-Saensa i La Siffleuse Gretry'ego.

- To drugie będzie cudowne. Brzmi jak coś dla Sir Perry'ego.

Była to aluzja do naszego lokalnego starego literata, Sir Perry'ego Dawlisha, sławnego - do pewnego stopnia - z powodu monografii na temat Gwizdanie w literaturze.

Spokojnym krokiem ruszyliśmy wzdłuż bocznej ściany teatru przyciągani przez dźwięk pianina i kobiecy głos. Z otwartego okna sali prób wyływał melancholijny sopran: Dans cette brumeuse Angleterre je meurs sous un pale soleil... Słuchaliśmy, dopóki tupnięcie i wściekły okrzyk: „Cholera!” nie podsumował całego wystąpienia.

- To zapewne biedna Katarzyna Aragońska - stwierdziła współczująco Edie. -
Wiadomo, co ona czuje.

- Pisałeś coś ostatnio? - spytała dużo później w „Kasecie”. To była aluzja do naszego lokalnego młodego literata, Edwarda Mannersa, wcześniej przysposobianego do sukcesów pisarskich, ale już uznanego przez większość za przegrany przypadek.

- Cóż za potwornie nieczułe pytanie.

- Przepraszam, kochanie. Chcesz jeszcze jedno piwo?

- Jak wypiję to, na pewno będę chciał. - I wywołało we mnie autentyczne ukłucie lodowatego niepokoju.

Pozostawiony sam sobie rozejrzałem się po tłoczonym barze i pomyślałem, że wszyscy wyglądają bardzo atrakcyjnie i interesująco: był to początek pory zaniku wszelkich wymagań - oczywiście często (o czym chętnie się zapominało) oznaczało to wzajemny kompromis. Tłum się rozstał i przemanewrowała przezeń para chłopaków: musiałem pomyśleć kilka sekund, zanim ich umiejscowiłem. Z przodu szedł rozdzierająco piękny chłopak, którego

podejrzewałem o słuzenie Hiszpankom, a popychał go trzymając mu rękę na karku sprzedawca ze sklepu z ciuchami dla ciot - już przedtem go tu widziałem - ten, który sprzedał mi mój niegustowny orstowski krawat.

- On nie jest pedałem, on nie jest pedałem - powtarzał z podnieceniem.

Przecisnęli się do baru tuż koło miejsca, gdzie stała Edie, więc niedbale stanąłem obok. Sklep nadal chronił Rozdzierającego obejmując go ramieniem za szyję, jakby w innym wypadku chłopak mógł wpaść w panikę i uciec, albo też zostać przechwycony i nadwerężony przez rozognioną klientelę. Powiedziałem do Edie:

- Ten chłopak pracuje w sklepie z ubraniami w centrum, powinnaś go poznać.

A potem przypomniałem chłopakowi, jak mnie wrobił w kupienie zboczonego kostiumu kąpielowego. Ponieważ nigdy nie pracowałem w sklepie z ubraniami, wyobrażałem sobie, że personel musi z czułością wspominać każdego, kto tam wszedł. - Miałeś na sobie bryczesy - powiedziałem, żeby odkorkować mu pamięć. Wetknął dłoń w swoje ładne, ciemne włosy, szeroko otworzył wielkie, ciemne oczy i niepewnie wykrzyknął:

- Oczywiście!

Był drobny, ruchliwy i wykorzystywał fakt, że wygląda tak młodo. Uroda jego przyjaciela przyćmiewała go w bardzo niesprawiedliwy sposób.

Edie podała mi szklankę i stała przyglądając się uprzejmie chłopcom, którzy lekko się odwrócili, żeby złapać spojrzenie barmana, i w oczywisty sposób myśleli, iż to już koniec naszej konwersacji. - Tak przy okazji, mam na imię Edward - przedstawiłem się. Chłopak ze sklepu spojrzał na mnie niepewnie. - Edward. Ja Edward. - I wyciągnąłem dłoń.

- Alejo - odpowiedział; a potem powodowany hiszpańską uprzejmością: - To mój kuzyn Agustino, z Bilbao. On nie jest pedałem.

- A to moja przyjaciółka Edie z Anglii. Ona też nie jest pedałem.

Agustino wyglądał na przeraźliwie ucieszonego tym faktem i gorliwie uściśnił dłońe nam obojgu. Patrzyłem mu w oczy, dopóki nie spuścił wzroku i uśmiech nie spłynął mu z twarzy. Dopiero wtedy oswobodziłem jego palce, które nadal w roztargnieniu ścisnąłem.

Niemalże mu współczułem, iż musi dźwigać przez życie odpowiedzialność za tak obłąkańczą urodę. Krótkie, ciemne, kręcone włosy, bystre, ciemne oczy, lekko wywinięte wargi okolone delikatnymi zmarszczkami, gdy się uśmiechał, małe uszy, nieskazitelna gładkość skóry podkreślona przy szyi wywiniętym kołnierzem ze zblakłego, starego dżinsu, wszystko to sprawiało, że pragnąłeś go całować i pieprzyć. Drażyła mnie zazdrość o Hiszpanki, które mają go dla siebie po drugiej stronie mojej ściany.

Nakłoniłem Aleja do rozmowy z Edie. Powiedziała coś na temat jego wyszywanej czarnej kamizelki i zobaczyłem, jak przesuwa palcami po hacie. Przywodził na myśl rok 1980 czy coś koło tego i jej afektowanych młodych przyjaciół, jej kolegów studentów z Centralnej Szkoły Mody, kiedy Edie stanowiła moje entree do Londynu, do West Endu, i wszyscy chodziliśmy razem pić do Soho, czekającego po drugiej stronie Oxford Street jak barrio ryzykownych pokus. Ci chłopcy tworzyli kochany stary Nowy Romantyzm, zapuszczali końskie ogony, nosili mnóstwo złotych tasiemek i sprzączek, bufiaste spodnie i rękawy; mieli bzika na punkcie dziewczyn, uważali, że to cudowne, co można zrobić z nich i kilku jardów tafty oraz wstążki.

Prowadziłem uspokajającą rozmowę z Agustinem. Od jak dawna tu jest? Prawie od miesiąca. No i co robi? Jest zatrudniony przez hiszpański skład win... mają sklep przy ulicy Obrecht... powinienem przyjść na degustację. Z ogromną chęcią, odrzekłem. Zauważyłem pewne skrępowanie w jego odpowiedziach wywołane naszą fizyczną bliskością w tłoku przy barze, moją pijacką bezceremonialnością, której byłem ledwie świadom, a także faktem, że zauważył sposób, w jaki obserwuję jego twarz i piękną jamę ustną. Cóż za szczęście, że jego kuzyn również mieszka w tym mieście! Tak, to prawda. Czy są sobie bliscy? Cóż, gałąź rodziny Alejo nadal mieszka w Trujillo, które jest bardzo daleko (śłodkie nieporozumienie, po którym zdziwiłem się, jaki los przywiódł Alejo z dalekiego Trujillo do postmodernistycznego butik na północy).

- Ciekawe, czy znasz pewnych Hiszpanów, którzy mieszkają przy ulicy świętego Albana? - Spytałem.

Wydawał się tym ogłuszony, jakbym miał dostęp do tajnych akt.

- To naprawdę niesamowite - stwierdził. - Obecnie moje siostry mieszkają na tej właśnie ulicy. Czasami tam sypiam; tak jest lepiej, kiedy do mojego kuzyna przychodzą koledzy i kochankowie: nie chce, żebym się tam wtedy pałętał. - Cóż, w to trudno było uwierzyć. - Więc idę do moich sióstr i śpię na podłodze, o rety... - I wykonał pantomimę pocierając ramię i napinając plecy. Jego siostry... podłoga...

- Teraz ja z kolei jestem ciekaw - powiedział - czy znasz Anglika, który mieszka przy tej ulicy i jest sąsiadem moich sióstr...

- Och - stwierdziłem.

- Bardzo tajemniczy człowiek. Mówią, że nigdy go nie widziały, ale słyszą go do późna w nocy, jak klnie, śpiewa i trzaska drzwiami czy czymś innym. Zawsze jest bardzo pijany i mimo że im przeszkadza, boją się z nim porozmawiać.

- Czy ty też go słyszałeś? - zapytałem, w nadziei, że zdementuję to jako oszczerczą plotkę.

- O tak, słyszałem... - I ujrzałem wyraźnie, że zaczyna rozumieć z uroczym rumieńcem i taką miną, jakby chciał się wyprzeć swojej pomyłki. Podniósł szklanę do ust, a ponieważ obserwowałem go z dziwnie wyolbrzymioną uwagą, bardzo dokładnie widziałem przez szkło jego otwarte usta i zęby załamujące się w jasnym piwie, które przełknął trzema zachłannymi haustami.

- Często jestem bardzo pijany - przyznałem, kładąc ciężko dłoń na jego ramieniu i potrząsając nim przyjaźnie. Zerknąłem w bok na Edie, która na rzecz Aleja rzeźbiła wokół siebie jakiś wymaginowany gorset i zakończyła go sceptycznym coup d'ail w moją stronę. - A mówiąc zupełnie szczerze, twoje siostry również potrafią narobić sporo hałasu. - Och, te koszmarne życiowe wzajemne ustępstwa.

Kręciło się koło nas dwóch czy trzech, jakby w nadziei, że zostaną przedstawieni Agustinowi, którego Alejo nigdy do tej pory nie zdołał namówić, aby przyszedł w to miejsce: unosili brwi patrząc na niego nad głową Aleja, podczas gdy ja niezręcznie próbowałem

zatrzymać go przy sobie. Ale moja kolejka już dobiegła końca. Alejo całował właśnie jednego z nowo przybyłych i ciągnął swojego kuzyna, aby go poznać.

Po następnej mętnej godzinie picia i po wypaleniu większej ilości papierosów niż moja normalna racja dzienna, znaleźliśmy się z Edie na zewnątrz znowu w towarzystwie tych dwóch Hiszpanów. Panował rześki chłodek, chociaż oni byli lżej ubrani, mniej odrętwiali od alkoholu i przestępowali z nogi na nogę, kiedy się żegnaliśmy. Alejo szedł do „Baru Biff” z pięcioma czy sześcioma kolegami. Z czułą gorliwością ucałował Agustina w oba policzki, co zdaje się upoważniło jego przyjaciół do zrobienia tego samego; chłopiec stał jak oporna panna młoda, a jego nowi znajomi ustawiali się w kolejce do niego. Potem zostaliśmy tylko w trójkę - oczywiście tej nocy musiał się wynieść od Aleja. Ja byłem ich strażą przyboczną...

Wędrowaliśmy w stronę domu pod lśniącymi gwiazdami. Niejasno pamiętam dwie czy trzy wycieczki w bok, gdy chciałem im pokazać jakieś historyczne monumenty. Mój głos odbijał się echem od zaciemnionych budynków, a Agustino stał w łagodnym blasku lampy ulicznej drżący i obojętny.

Dużo później siedziałem z Agustinem w moim pokoju, a Edie leżała w łóżku, powalona alkoholem i zmęczeniem. Chłopiec musiał uznać, że jesteśmy parą, bo inaczej nie przyszedłby na górę i nie przyjął szklaneczki whisky. Przemknęło mi przez myśl motto mego wuja Wilfreda: „Niech nie kręcą się przy tobie dziewczuchy, bo z zabawy będą kluchy” - to nie zawsze prawda. Całe kwadransy mijały w dwie czy trzy minuty. Agustino martwi się o swojego kuzyna i o jego styl życia - nie potępia tego, nie o to chodzi, chociaż gdyby jego wujostwo w Trujillo wiedzieli... Mówię mu, że wszystko jest w porządku, rozwodzę się nad ogólnymi zaletami stylu życia Aleja i rzeczy, które lubi robić, jakbym znał chłopaka i interesował się jego losem od lat: to zdaje się sprawiać, że jestem bardziej godny zaufania... Agustina przerażają opowieści, które słyszał - mówi z zabobonnym lękiem o narkotykach, filmach pornograficznych, zniknięciach. Może porwano jakiegoś przyjaciela Alejo. Przez chwilę koncentruję się na nim tak bardzo, że nie dociera do mnie, co on mówi. To tak, jak czasami nie można zrozumieć, gdy ludzie mówią zbyt wyraźnie. Czuję się zdruzgotany jego

urodą, którą zdaje się postrzegać w zupełnie inny sposób niż wtedy, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Mówi, że kościół właśnie wydzwonił 2.30. Stoimy u szczytu schodów i pytam go z ciężką ironią, czy to w porządku przeszkadzać jego siostronom o tej porze: jest u nich bardzo cicho. Odpowiada, że nie ma problemu, obie wyjechały na noc do Antwerpii. - Och - bąkam i robi mi się duszno, gdyż wyczuwam dogodną okazję. Ujmuję jego lewą dłoń w swoje dłonie i przez chwilę głaszczę jej wierzch. Pochylam się w stronę jego niespokojnego oddechu i czybkami palców przesuwam po szybko pulsującej błękitnej żyłce na tej cudownej szyi. Odsuwa mnie na długość ramienia, krzywi się z rozczarowaniem, które tnie do samego serca, i wyciąga rękę. Wymieniamy uścisk dłoni raz, dwa razy i Agustino bez słowa umyka w dół pogrążonych w cieniu schodów.

W każdą niedzielę rano Edie musiała popływać. Podniosła się z łóżka jak zombie o 8.30, a po chwili usłyszałem szum wody splukiwanej w kibelku i niewesołe, rytmiczne pomruki towarzyszące jej ćwiczeniom. Niewiarygodna kobieta. Naciągnąłem pierzynę na głowę, myśląc z satysfakcją, że jestem zbyt leniwy, by stać się niewolnikiem przyzwyczajęń. Wydawało się, że nie mam jeszcze kaca. Chciałem powrócić w płytkie sny o starych przyjaciółkach, przypominanych mi przez nostalgiczne rozmowy, które ostatnio odbywaliśmy...

Edie stała przy łóżku z dzbankiem herbaty.

- Czas wyciągnąć twój perwersyjny strój kąpielowy - oznajmiła. Co za fanatyczka! Wiłem się, kopałem i wymyślałem ją, ale nic to nie dało. - Czy mam zapukać do Agustina?

Agustino!

Pognałem do drugiego pokoju i wlałem do szafy. Słysząc było słaby dźwięk głosu z radia, początek audycji - och, znałem ją: K361. Czy zrobiłem coś prawdziwie potwornego? Na pewno nie, choć czułem się tak, jakby coś mnie wczoraj zasmuciło. Musiał być nie lada kołtunem, żeby mieć mi to za złe. Czy próbowałem go pocałować? Potworne poczucie winy

sprzed wielu lat. Muzyka się urwała, a potem trzasnęły drzwi. Podeszedłem do okna frontowego, wyjrzałem na podwórko i zobaczyłem, jak pospiesznie wychodzi. Trwało to tylko chwilę oczywiście, ale wydało mi się, że zajął miejsce Luca w szczytowym punkcie mojego obłądu.

Edie odezwała się:

- Myślałam, że już dawno temu ustaliliśmy, iż ty nie angażujesz się w zwykłych chłopców, a ja nie angażuję się w gejów, gdyż w obu przypadkach jest to pewna recepta na złamane serce.

- Masz rację - odrzekłem, bezbronny i brzuchaty w moich spodenkach bokserskich. W duchu umartwiania się poszedłem poszukać kąpielówek.

Dotarwszy do łaźni, poczułem lekkie mdłości, co nie dziwne zważywszy wczorajsze pospieszne picie i przewidywaną niedolę pływania, wspomnienia ostatniego razu oraz wrażenie dziarskiej rezolucji w odbijającej się echem wrzawie po ciszy panującej na ulicach. Powietrze w środku miało zastały chlorowy zapach zmywacza do paznokci i starego dymu papierosowego.

W przebieralni panował tłok, było tam wielu tatusiów ze swoimi synkami i z synkami swoich przyjaciół, dzieciaków piszczących i wpadających na mnie, krzywiącego się z bólu i kluczącego po całym pomieszczeniu. W końcu znalazłem szafkę i zacząłem się rozbierać. Miałem na sobie nowe kąpielówki i choć może przesłaniały trochę za mało, wydawały się w porządku: miały przyjemną, gładką fakturę. Chyba trochę rzucały się w oczy. Właśnie ściągałem koszulę przez głowę, kiedy usłyszałem znajomy głos, a potem drugi. Serce mi podskoczyło, nie miałem czasu na zaplanowanie ucieczki: przez sekundę myślałem, żeby może z głową ukrytą w koszuli ruszyć w jakieś inne miejsce, jak oskarżony opuszczający gmach sądu pod kocem. Wziąłem się jednak w garść, uwolniłem ramiona i spojrzałem. Luc i Patrick niespiesznie zmierzali w moją stronę, a tuż za nimi, uśmiechając się do siebie, szedł Matt.

Byłem tak przerażony samym zgrupowaniem oraz tym, co ono implikowało, że po

prostu usiadłem z westchnieniem i z uśmiechem. Natomiast członkowie grupy nie okazywali przejęcia: byli odprężeni i radosni. Nie pojmowali, że są trybunałem w sprawie mojej skomplikowanej, okrywającej hańbą zbrodni. Wyszli spod prysznic - nastolatki w długich ręcznikach owiniętych wokół talii, Matt nagi, ale trzymający przed sobą ręcznik i wyżęte szorty. Pierwszy zauważył mnie Luc, postąpił do przodu z szerokim uśmiechem i potrząsnął moją dłoń, jakby naprawdę czuł do mnie sympatię albo jakby ten ponury samczy lokal wymagał klasycznej serdeczności.

- Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, Edwardzie! - powiedział.

- Tak, zdumiewający. - Był sto razy cudowniejszy niż Agustino. Jego zdjęcia to śmieci. Mimo mającego nade mną upokorzenia, myślałem o tym, że nie ma na sobie żadnych ubrań, tylko ten ręcznik, i że zaraz go zdejmie. Wstałem i poczułem ciepło bijące od jego piersi oraz twarzy, i dostrzegłem, że mimo to ramiona ma pokryte gęsią skórą.

- Tak przy okazji, to mój przyjaciel Patrick, którym... o którym ci opowiadałem.

Spotkanie ich obu razem było jak spotkanie słynnych gwiazd filmowych, których uroda oraz otaczająca je aura paraliżowała język. Patrick również uścisnął mi dłoń, kiwnął głową i powiedział, że cieszy się ze spotkania; mówił po angielsku swobodnie, choć bez skłonności Luca do parodiowania angielskiego akcentu.

Matt obserwował to wszystko, a ja strzełem w niego ostrzegawczym spojrzeniem ponad ramieniem Patricka. Może, jeśli nie przyzna się do mnie, da się jeszcze uratować ten dzień; chłopcy byli zajęci przy swoich szafkach. Chciałem się stąd wydostać i ukryć w wodzie: a równocześnie pragnąłem zamordzić i zobaczyć Luca nagiego - musiałem to zobaczyć. Matt podszedł do mnie, powiedział: - Witaj, przyjacielu. - I z rozmachem walnął mnie w kark i ramię w niefrasobliwym geście powitania.

- Cześć - odpowiedziałem ochryple.

- Wariackie kąpielówki - stwierdził, a szeptem dodał: - Twoje własne? - i odwracając się puścił do mnie oko.

Luc zauważył to i zapytał: - Czy Edward zna Matta? - tonem niewątpliwie udawanego

oszołomienia.

- Tak, to ci faceci, o których ci opowiadałem - powiedział Matt. - Ci, których wtedy spotkałem na plaży.

- Och... ja...

- Tak, to ten facet, o którym ja ci opowiadałem - odparł gderliwie Luc. - Mówiłem, że pewien młody mężczyzna był na plaży koło domu mojego przyjaciela Patricka i... wiesz, ten dom obok?

- Coś niesamowitego - uznałem. - To znaczy, że byliście w tym samym czasie w tej maleńkiej wiosce, o której nikt nigdy nie słyszał? Och, znowu zapomniałem, jak się nazywa.

Wszystko zależało od następnego zdania Matta; nie wiem, dlaczego uznałem, że mnie zawiedzie, chyba z powodu zazdrości o jego przyjaźń z tymi chłopcami i kacowej paranoi oraz herezji ostatniej nocy. Dalej trwałem przy minie wyrażającej roztargnione zdumienie.

- Tak, wtedy, kiedy włamaliśmy się do tego starego domu.

Patrick uniósł wzrok z triumfem, nawet może z podziwem.

- A więc włamaliście się do tego domu? - Luc spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

- To znaczy wy obaj?

Byłbym wybuchł i skompromitował się, gdyby Matt nie zakończył swojej gierki i nie powiedział:

- Nie z nim, nie. Byłem tam z moim starym przyjacielem.

- Jego nigdy nie widzieliśmy - chłodno stwierdził Luc. - Albo jej.

- Chrapiesz bardzo głośno? - podsunął Patrick. Myślałem zdruzgotany o innych stratach i o tym, jaki głupi był Matt, że tak bardzo polegał na swoim polocie i kłamstwach. Chłopcy wydawali się tacy niewinni w jego towarzystwie, nic nie podejrzewali, pochlebiała im uwaga tego smukłego, starszego od nich o lat dziesięć pływaka wykazującego się obojętnym, pozbawionym skrupułów obyciem. W taki sposób działają naciągacze. Chłopcy nie zauważyli jego sztywnego fiuta, którym mi mignął, kiedy odwrócił się, żeby naciągnąć

dżinsy na nagą dupę - tak go kręciło niebezpieczeństwo i oszukiwanie. Obserwowałem, jak Luc przyswaja sobie fakt, że mężczyzna może nie nosić majtek, i myślałem z rezerwą o pasjach, którym dałem ujście na tej właśnie pupie.

Patrick nękał Matta następnymi pytaniami, wysuwając się z ręcznika i wycierając tyłek, tak że jego kutas huśtał się w tył i w przód. Było to okazale monstrum, emanujące leniwym przeświadczeniem o własnej biegłości, a jego pożytkowana miękkość i połyskliwy meszek sugerowały oszałamiające możliwości wyciągania się i nabrzmiewania: w rzeczy samej całokształt jego genitaliów tak zapierał dech w piersiach, jak żaden, który w życiu widziałem. Ale to nie był odpowiedni moment dla mnie. Skupiłem się wyłącznie na Lucu (dostrzegłem, jak z uśmiechem zerknął na sprzęt Patricka). Całe stulecie zabrało mu układanie ubrań w stos na ławce przed szafką, która znajdowała się za daleko, żebym mógł podtrzymać luźną rozmowę. Ociągałem się, jak tylko mogłem w najbardziej rozmarzony sposób, równocześnie próbując bezskutecznie wciągać brzuch - miałem jeszcze do zdjęcia tylko okulary, zegarek i skarpety. Udawałem zainteresowanie stanem moich palców u nóg i zaglądałem między nie, jakbym szukał śladów grzybicy. W niezręcznie radosny sposób wtrąciłem się do czegoś, co zdawało się zamieniać w absorbującą rozmowę o futbolu między Mattem i Patrickiem, ale zupełnie nie byłem w stanie się skoncentrować. Przypomniałem sobie o Edie, zapewne odwaliła już kilka długości. I czy Luc nigdy nie zdejmie tego ręcznika? Czego się tak wstydzi? Pomyślałem, żeby go może podpalić albo poprosić, żeby mi go pożyczył.

Ten moment nadszedł, kiedy musiałem zdjąć okulary, ostatnią rzecz, jaką wkładałem do szafki. Teraz będę zmuszony podejść naprawdę blisko do niego, jeżeli oczekiwany widok nie ma być jedynie mieszaniną różowości i złota. A tu nagle:

- Cześć!

Znałem ten głos i wstrząsnęło mną z odrazy, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, kto to jest: namolny mały Anglik, który zatrzymał Luca na ulicy tego ranka po eskapadzie do St Ernest. Ponownie sięgnąłem po okulary. Tak, to on, wysportowany i zwarty, ociekający wodą

z basenu.

- Och, cześć! - Luc okazał się niewybrednie sympatyczny, jak psiak; poczułem, że odziera to nasze wcześniejsze uroczе powitanie z połowy wartości.

- Widziałem, jak pływasz - powiedział mężczyzna, kiwając głową i lekko, rytmicznie napinając mięśnie pleców. - Jesteś całkiem niezły. - Luc uśmiechnął się i niezdecydowanie pokręcił głową. - Ale nie robisz zwrotów dostatecznie ostro. - Położył dłoń na ramieniu chłopca, jakby mówił, że to tylko drobiazg, on mu pomoże to nadrobić, jeśli Luc będzie chciał; potem spojrzał na mnie, przyswajając sobie fakt, że ja znowu jestem tu, na scenie, i opuścił ramię w geście tymczasowego ustępstwa. - Cóż, lepiej wezmę prysznic! - Żył w świecie prawie samych wykrzykników. Spojrzałem na niego chłodno, gdy się wycofywał.

- Zdaje się, że masz tu wielbiciela - powiedziałem zawstydzony i jakoś perfidny. Na co Luc zmarszczył czoło. I wtedy bydlak wrócił:

- Och, tak przy okazji, znalazłem Bractwo. - Uśmiechnął się, jakby to naprawdę był ich własny osobisty sukces. - Absolutnie fascynujące! - Teraz Luc nie wiedział już, jak zareagować, tymczasem jego wielbiciel, a mój znieawidzony i bezczelny rywal, pomachał szybko ręką i wybiegł z szatni.

- Kiedy to znowu się spotykamy? - zahuczałem żałośnie. Ale Luc jakimś sposobem nie usłyszał. Trzymając wszystkie ubrania w ręku porzucił pustą szafkę i wszedł do jednej z czterech kabin zarezerwowanych, jak przypuszczam, dla klinicznie nieśmiałych lub dla tych, którzy być może z jakichś religijnych powodów... i zaryglował połówkowe drzwi. Dziesięć sekund później, jak gwałt Danae, rozległ się brzęk monet wysypujących się z wywróconej kieszeni i stłumione „Kurwa!”. Kilka centymów wirując potoczyło się w moją stronę po wilgotnych kafelkach podłogi.

13

Dzień bezustannego deszczu, ciągle szepczącego na ulicy, nasilającego się do syku i potem zanikającego, gdy z rzadka przejechał jakiś samochód. Siedząc pod lampą przy biurku

Paula Echevina, wyobrażałem sobie opieszłą nieustępliwość dżdżu wzdłuż dróg całej Flandrii i na wybrzeżu, na hotelowych gankach i pustych esplanadach. Paul zauważył, że się rozmarzyłem - i chociaż lubił pracować bardzo intensywnie, sam trochę uległ temu nastrojowi: wymieniliśmy pełne zadumy uśmiechy nad stertami kartonowych skoroszytów.

Przewracałem strony albumu ze sztychami Orsta, sprawdzając odsyłacze, ale wyciszony i bezpieczny, niczym dziecko nad książką z obrazkami. Ten świat w subtelny sposób różnił się od świata jego obrazów: było to nawiedzone dominium odbłasków i cieni, i zarośniętych dziką różą ścieżek. Na kilku małych akwafortach sylwetki ludzkie były zasugerowane ciemnym szraferunkiem, ale nie całkiem sprecyzowane, jak skulone w deszczu, rozmazane postaci widziane z jadącego samochodu. Na przykład w *Le Carrosse de l'Archeveque*, gdzie przez okno powozu wpadało pajęczne wieczorne światło, ale mimo to trudno było powiedzieć, czy ciemne bryły po obu stronach to zaskoczeni przez noc podróżni w płaszczach i woalach, czy jedynie widmowe istoty na tle wyblakłych obić. Znajdowałem odniesienia do legend, których nie znałem i których może nie znał nikt: musiałem przyjmować je na wiarę jak dowody z zaświatów, które należy odczytać w szklanej kuli i zinterpretować zgodnie z własnymi potrzebami. Często tytuły były po prostu zdaniem zaczerpniętymi może z baśni lub wiersza: // *resla debout devant la troisieme porte . Encore dans la chambre de ma vieille parente*; scenka, w której mężczyzna potykając się szedł w dół spiralnej rampy, nosiła przerażający podpis: *Que fera-t-il la, l'insatiable?* Miałem wrażenie, że ocieram się o tajemnice bez rozwiązań lub czasami o ekstatyczne rozwiązania problemów, których nigdy nie sformułowano. Obejrzałem całą serię na temat Nadmorskiego królestwa: *d'après Edgar Poe*, która nie miała żadnego związku z zapamiętanym przez mnie wierszem, i inną o Królestwie Allemonde: pociąg do utraconych królestw i nawiedzonych, schorzałych monarchów tkwił w Orście bardzo głęboko. Allemonde było senną krainą bezsłonecznych borów i zrujnowanych wieżyc, przesączoną przecuciem zagłady, chociaż jakoś bez podania przyczyn; postaci po omacku wędrujące po szczytach klifów i schodach wydawały się zbyt pasywne, by mogły być tragiczne - czasami blask płomienia wyławiał je z

mroku i przydawał im pewnego patosu, jak marionetkom.

Leżał koło mnie maszynopis katalogu, z drobiazgowo wyszczególnionymi detalami dotyczącymi daty, wymiarów oraz pochodzenia obrazów, co często pociągało za sobą komentarz należycie wymijający: aktualne miejsce pobytu nie znane. Musiałem potwierdzić kilka cytatów z tomu *Legendes flamandes*, który Orst ilustrował. Zajęcie akurat na tyle sensowne, że pozwalało mi nie stracić poczucia godności własnej. Znaczący to, że tu i tam Paul popełnił błąd: wyjątek nie znajdował się na tej stronie, na której jego przypis twierdził, że się znajduje, lub przekreślił nazwisko - drobne potknięcia w erudycji, które sprawiały, że byłem użyteczny i czułem się bliższy Paula. Zdawało się, iż obaj wiemy, że to sprawdzanie i grzebanie w kurzu jest w pewnym sensie zajęciem bardzo intymnym, uspokaja jakieś wewnętrzne drżenie: może po prostu mijające lata.

Czytałem opowieść o zdradzieckim Kapłanie. Wspaniały Rycerz poślubił piękną Damę i zamieszkali razem w zamku nad morzem. Rycerz jeździł polować i ogólnie czynić dobrze, a Dama przechadzała się po ogrodzie lub siedziała ze swoimi dworakami i tkła prześliczne gobeliny. Wszystko wydawało się w porządku, ale w miarę upływu lat coraz bardziej martwiła ich jedna rzecz: nie mieli dzieci. I choćby modlili się najgorliwiej, nic nie mogło zmienić tego faktu. Dama pogrążyła się w smutku i spędzała długie dni zanosząc błagania do Boga i pytając Kapłana, jak może odpokutować za ten wielki grzech w swoim sercu, za który Bóg karze ją w taki sposób. A Rycerz był zagniewany; choć potem on również prosił Kapłana o odpuszczenie grzechów.

Nareszcie Kapłan, ładny i wygadany młody mężczyzna, powiedział Rycerzowi, że ten musi wyjechać na krucjatę, która miała niezadługo wyruszyć, aby szukać boskiego przebaczenia w murach samego Jeruzalem. Tylko wtedy, powiedział, Rycerz i Dama będą mogli mieć nadzieję, że Bóg pobłogosławi ich potomstwem. Zatem Rycerz zaopatrzył się w oręż i odjechał, pozostawiając Damę, by czekała i modliła się pod opieką Kapłana.

Teraz myśli Kapłana zaprzętało co innego niż modlitwy, gdyż pierwszego dnia, gdy ujrzał Damę, obudziła się w nim wielka namiętność, tym potworniejsza, że przeklęta przez

najwzniejsze nakazy jego zakonu i honoru. Mijały tygodnie, a on próbował wpłynąć na Damę i sprytnie wyjawiał jej swoją miłość, udając, że mówi o miłości boskiej. A ona, która lubiła Kapłana i ufała mu, odkryła, że namiętność młodego człowieka zatruwa i niszczy jej uczucia. Pewnego dnia, kiedy siedzieli w ogrodowej altanie wychodzącej na morze, Kapłan powiedział, że gdyby on sam zległ z nią, wtedy wola boska z pewnością się wypełni, a jej łono ożyje.

Gdy pojęła prawdziwą naturę jego miłości, zaczęła się przed nim wzdragać i trzymała się na uboczu, spotykając go tylko w godzinach codziennych modłów. Lecz jej pogarda jeszcze gwałtowniej rozpała gorączkę Kapłana. I gdy tygodnie zamieniały się w miesiące, znajdował sposoby, aby przebywać z nią, wygnał jej dworki straszliwymi groźbami zemsty boskiej i zarządzał zamkiem, jakby należał do niego. Doświadczał ją ogromnymi upokorzeniami, ale ona ciągle się modliła - za swego męża, za siebie i za Kapłana, aby okazał skruchę; i ciągle odprawiała go z niczym. Potem całymi dniami odmawiał jej posiłków lub trzymał ją w wartowni bez światła, twierdząc, że wolą Boga jest, aby się umartwiała. Na noc wrzucał do jej komnaty dzikie stworzenia, węże i ropuchy, które okoliczne dzieci złapały w lasach. A ona nadal odmawiała. I nadal się modliła. Pod koniec każdego dnia zmuszał ją, by przychodziła do niego wyznać swoje grzechy.

A gdy minął rok i nadeszła następna wiosna, dotarli do Zamku wieści o powrocie Rycerza. Pojechał do Jeruzalem i u samego Świętego Grobu modlił się do Boga o przebaczenie. Nim dzień dobiegnie końca, Rycerz powita swoją Damę, a ich związek zostanie pobłogosławiony dziećmi.

Usłyszawszy to, Kapłan przeraził się: serce miał tak przepiętione miłością do Damy, niezależnie od tego, jak podłą, że nawet nie pomyślał o dniu powrotu Rycerza. Lecz Dama była radosna i wdzięczna za boską dobroć, i wyprostowała się dumnie, gdyż wiedziała, że gdy wróci mąż, nie tylko jej łono ożyje, ale też z serca spadnie jej ciężar wszystkich cierpień, jakimi nękał ją zdradziecki Kapłan, który zostanie na zawsze wygnany.

Teraz Kapłan przyszedł do niej pokornie i zaklinał ją w imię boskie, aby nie mówiła

nic o tym, jak ją traktował. Ale ona odrzekła, że w oczach Boga żadnego grzechu nie da się ukryć i że wszystko należy wyjawzić. Upadł na kolana, jakby modlił się do samej Matki Boskiej i błagał ze łzami w oczach, by zatrzymała w sekrecie jego miłość. Ale odpowiedziała jedynie, jak odpowiadała już tysiące razy: „Nie” i „Nie mogę”.

Widząc to Kapłan wycofał się w milczeniu, wrócił potulnie dopiero u schyłku dnia, w porze wieczery, i zaproponował jej dzban dobrego burgundzkiego wina. Wypiła je z radością, za zdrowie swego męża i dziecka, które będzie jej. I nie minęła nawet chwila, gdy padła na podłogę, krzycząc z dłonią przyciśniętą do serca; gdyż zdradziecki Kapłan zatrutą wino posoką odciągniętą z mózgu ropuchy, aby Dama nie zdradziła Rycerzowi jego podłości i nigdy już nie należała do swego męża, skoro nie mogła należeć do niego. A gdy tak leżała, na schodach rozległy się kroki i wszedł roześmiany Rycerz wołając swą żonę; ujrzał ją i wzięt w ramiona, a ona spojrzała na niego i umarła. Zdradziecki Kapłan pobłogosławił ją i zmówił modlitwę za jej duszę.

Spojrzałem przez okno na migoczącą zasłonę deszczu na tle szkarłatnych cegieł fasad naprzeciwko. Lipy zgubiły już liście. Moje rozmyślenia o perfidnej niesprawiedliwości tej opowieści rozmyły się w niegościnniej pogodzie, spokojnie i pocieszająco nalegającej, że powinniśmy zostać w domu - co budziło dreszcz dziecinnego poczucia bezpieczeństwa. Powróciłem do zeszytu w linie, z cenną, ręcznie malowaną okładką oraz ogromnymi marginesami i przeczytałem komentarz Paula na temat trzech ilustracji do zdradzieckiego Kapłana. Podkreślał, że motyw wierności często powraca w dziełach Orsta oraz zwracał uwagę na niepokojący sposób, w jaki artysta zdawał się podziwiać stałość obsesji Kapłana na punkcie Damy bardziej niż jej miłość do męża. Ona stanowiła punkt centralny wszystkich akwafort, z białą twarzą, jasnymi oczyma, owinięta we własne włosy - przecucie postaci Jane Byron. Pierwszy obraz był po prostu jej ikoną, choć niekonwencjonalnie skomponowaną, gdyż głowa znajdowała się w górnym lewym rogu, a resztę przestrzeni wypełniały fale włosów i wertykalny wir sukni. Na drugim, wraz z dworkami (zastanawiająco do niej podobnymi), zajęta była szyciem, a ciemne fałdy gobelinu uniesionego w ich dłoniach

podkreślały mistyczną bladość jej twarzy, gdy na chwilę przerwała i zapatrzyła się. Na trzecim obrazie leżała w pozycji omdlewającej Piety bliska śmierci, osłonięta połami płaszcza Rycerza; jednak obraz nie obejmował jego twarzy, a czarna sylwetka Kapłana majestatycznie wyrastała za nimi, z uniesionymi w górę dłońmi i oczyma. Była to bardzo findesieclowa interpretacja starej baśni pochodzącej z trzynastego wieku, a poza Flandrią obecnej we francuskich fabliaux i włoskich zbiorach. Jej niezwykle zakończenie zauroczyło Orsta, który zinterpretował je po swojemu, poddając widzom myśl o perwersyjnym seksualnym triumfie przez ogoloną, fallicznie wyprostowaną postać księdza oraz leżącą na wznak, uległą kobietę z rozchylonymi ustami i przymkniętymi oczyma nadal rzucającymi ekstatyczne światło.

Należy również zauważyć wykorzystanie ufortyfikowanej wieży kościoła św. Vaasta w szkicu zamku stanowiącego cul-de-lampe: słowo, które na moment zaburzyło mój spokój, jako że czytane na wspak dawało imię Luc. Palindrom marzeń: „Luca cul” - dwa okrągłe policzki i liźnięcie „a” pomiędzy nimi. Bredziłem i przestawiałem te zgłoski przez cały dzień. Przerwałem zauważywszy kolofon wydawcy, acheve 13 marca 1897: Edycje Guillaume’a Altidore’a oraz monogram, secesyjne GA magicznie ułożone w formie pierścienia, który nic nie podejrzewając przeoczyłem wśród wykwintnych ozdobników okładki. - A więc to tak - pomyślałem, zamykając książkę i kładąc na niej dłoń. Miałem wrażenie, że jest bardzo odległa od Luca, ale zarazem dawała mi złudzenie jego bliskości, udziału w świetności historii rodzinnej, która budziła w nim zdumiewającą dumę i gorycz. Zazębienie się tych dwóch historii uśmierzyło moją miłosną potrzebę złudzeń i omenów.

- Zjedźmy lunch tutaj - zaproponował Paul trochę później. - Nie ma Lilli, będziemy musieli zdać się na łaskę lodówki. - Przeszliśmy drzwiami łączącymi oba domy do skromnego saloniku, dla mnie nadal zabarwionego niejasną atmosferą towarzyskich niezręczności, chwil zażenowania, które prawdopodobnie ja jeden pamiętałem. - Jak z pewnością zauważyłeś, Lilli bardzo kocha wieś. Raz w tygodniu wyjeżdża na farmę swojej szwagierki i zostaje tam na noc. Nawet na spacerach chodzi po obrzeżach miasta, gdzie może poczuć zapach pól.

- Dorastałem na skraju błoni, wiem więc, o co jej chodzi. Wyczuwam łąkę na ulicy, jak mówi Tennyson. - Wziąłem „Flemish Post” z kuchennego stołu i, podczas gdy Paul ze zmartwioną miną przeglądał różne potrawy w lodówce, przeczytałem o porwaniu syna jakiegoś przemysłowca: zamieszczono jego posępną fotkę z polaroidu, na podstawie której i tak nikt nie dałby rady go rozpoznać.

- Chłodny dziś dzień, napijmy się trochę wina.

- Z ochotą. - To było niemalże niechlujne według standardów Paula. - Zauważyłem, że Legendes flamandes zostały wydane przez Guillaume’a Altidore’a, który, z tego co wiem, był pradiadem mojego drugiego ucznia.

- Oczywiście, zapomniałem o tym.

- Opowiedział mi wszystko o upadku rodziny. - I ręka mi zadrżała, gdy podnosiłem kieliszek ze stołu.

- Przypuszczam, że rzeczywiście trochę podupadli. Widziałeś ich stary dom, tu niedaleko? Teraz są tam biura, nikt nie mógłby mieszkać w takim ogromnym budynku. - Umoczył w czymś palec i polizał go. - Obawiam się, że Martin Altidore, ojciec chłopca, to trochę ladaco. A matka jest bardzo wzruszająca, prawda? Miałem trochę kłopotów z jednym z jej obrusów ołtarzowych. Jako sekretarz Stowarzyszenia Ochrony Zabytków musiałem napisać do niej z powiadomieniem, że nie uważamy go za odpowiedni.

- Biedna kobieta. Chociaż nie zaskoczyło mnie to. - Przypomniała mi się jej pierwsza ironiczna reakcja na nazwisko Echevina.

- Altidore’owie zawsze wyróżniali się ekscentrycznymi wyskokami lub kaprysami. A śmiem twierdzić, że połączenie tego z ogromnym bogactwem nie jest zbyt zdrowym... pomysłem. W przeciwieństwie do tej sałatki z kurczaka z curry, zdaje mi się. Jedzmy. - Wyszedł do hallu i słodko głupiutkim głosem zaszcebiotał w górę schodów: - Marcel! - Rozległy się dalekie dźwięki, jakby ktoś upuścił jakąś rzecz na podłogę, a potem wszedł do ubikacji.

- Rozumiem, że wasza ostatnia lekcja przebiegła gładko? - spytał. Ciągle myślałem o

Altidore'ach i z ukłuciem bólu przypomniła mi się ostatnia lekcja z Lukiem.

- Och, tak, świetnie - odparłem. - Tak, zyskuje coraz więcej pewności siebie.

- Naprawdę?

Mnie wydawał się ciągle taki sam, ale układy pomiędzy naszą trójką zależały od tej uspakajającej fikcji.

- Jak ma na imię chłopak Altidore'ów? - zapytał Paul, gdy wszyscy usiedliśmy. Jak zawsze trudno mi było wymówić to imię na głos - zawsze poprzedzało je kołatanie serca i wewnętrzne gongi.

- Ma na imię Luc - odpowiedział Marcel.

- Czy Luc opowiadał ci o swoich dużo wcześniejszych przodkach, na przykład tych z szesnastego wieku? W pewnym sensie jest to bardziej interesujące. Widać, jak wahały się losy rodziny, w piętnastym wieku bardzo zamożnej, lecz potem, jak wiesz, stary kanał morski zamulił się i większość dorobkiewiczów opuściła miasto. Oni pozostali, żyjąc przeszłością, a ich bogactwo powoli topniało. Dopiero po interesie w Kongo znów nagle stanęli na nogi, jak sądzę, i to nie na długo.

- Ojciec Luca wydaje się dosyć nadziany.

- Ojciec Luca sprzedał Memlinga. Japończykom.

- Ach.

- Narodzenie Chrystusa namalowane specjalnie dla jego przodka na ołtarz w prywatnej kaplicy gildii, pewnego rodzaju szlacheckiego bractwa, do którego należał. Wybuchła straszna wrzawa - prywatna sprzedaż, nikt nie wie za ile milionów. Przykro mi, mój drogi Edwardzie, ale ten człowiek jest barbarzyńcą.

Jakież imponujący wybuch gniewu seniora. Zdarzało mi się zapominać, że Paul jest dwukrotnie starszy ode mnie, że wyprzedza mnie o długość całego mojego życia. Mimo to nadal pożądałem Martina, zarówno dla niego samego, jak i dla opromieniającego go blasku chętki na jego syna.

- Ona ma mnóstwo pieniędzy - powiedział Marcel z pełnymi ustami.

- To ciekawe - mówił Paul. - Anthonis Altidore był najosobliwszy. Wpadł na fantastyczny pomysł, że jest w prostej linii potomkiem świętego Jakuba Młodsze­go, brata Naszego Pana - czy raczej, jak zawsze uważałem, że powinno być, brata przyrodnie­go. Posunął się bardzo daleko, żeby całą sprawę udokumentować historycznie, miał obsesję na punkcie genealogii i zatrudniał całe rzesze antykwariuszy, aby rysowali podrabiane drzewa rodowe - przynajmniej zakładam, że były one fałszowane, bo gdzieś tak w okolicach, powiedzmy, trzeciego wieku napotyka się chyba dosyć mroczne rejony. I zebrał nieprzeliczone ilości relikwii - oczywiście jak zwykle kości, no wiesz, może kawałek starego psa, i zdaje się jakiś język, oraz różnorakie memorabilia, fragment jego płaszcza i drewniana laska, którą ciągle można obejrzeć w Katedrze, jeśli się wie, gdzie szukać.

- Jakie to zabawne. - Wypiłem swoje wino do dna, tracąc panowanie po całej tej Altidore'owskiej adrenalinie. Myśl, że Luc może być spokrewniony z Jezusem Chrystusem, była lekko zbijająca z tropu.

- Zdaje się, że ta obsesja przylgnęła do nich na dobre. Jak pojedziesz do Brukseli, możesz tam obejrzeć wczesnego Van Dycka namalowanego chyba dla wnuka Anthonisa. Właściwie przedstawia on Świętą Rodzinę razem ze świętym Jakubem Młodszym, co jest dosyć niekonwencjonalne - można go poznać po okazałych wąsach, najwyraźniej głowa jest portretem Altidore'a, który był bardzo dumny ze swych krzaczastych... porostów.

- Oni wszyscy są niemożliwie próżni - stwierdziłem ze zdradzieckim drżeniem.

- Chłopiec jest bardzo przystojny, widziałem go kiedyś - powiedział Paul. Musiałem odłożyć nóż i widelec.

- Chyba tak, w pewnym sensie - zgodziłem się.

- Tak mi było żal jego biednej matki, która musiała radzić sobie zupełnie sama, kiedy wybuchła ta sprawa ze statkiem. Myślę, że może to zaburzyło jej wyczucie koloru.

- Księżę Arktyki - przemówił Marcel.

- Słucham cię?

- Statek nazywał się Księżę Arktyki. Orgia na Księciu Arktyki.

- Kochanie, nikt tego tak nie nazywał. Właściwie Altidore'owi prawie zupełnie udało się całą rzecz utrzymać z dala od prasy. - Paul spojrzął z wyrzutem na syna, ale nie potrafił ukryć rozbawienia. - Marcel wie o tym wszystko od swojej, nie wolno mi mówić „dziewczyny”, przyjaciółki, Sybille de Taeye, córki ministra kultury, która jest w pewnej mierze Egerią dla młodego Luca, z tego co wiem. - Marcel zaczerwienił się, podobnie jak kilka tygodni temu, kiedy wlałem mu na tę samą grządkę. Oczywiście ona nie była jego dziewczyną - jeśli tak uważał, to musiał stawić czoła dość ostremu współzawodnictwu; czerwienił się, gdyż obnażono jego marzenia.

- Ona nie jest moją dziewczyną - zaparł się.

- Jest dla ciebie bardzo miła, prawda? - zapytał optymistycznie Paul.

- Nie, nie jest! - odparł Marcel i wielkie łzy zebrały mu się w oczach. Pomyślałem: poczekaj no tylko do następnej lekcji. Przerobimy słownictwo dotyczące orgii. Opowiesz mi wszystko dokładnie tak, jak usłyszałeś to od Sybille.

Później czytałem o willi Edgara Orsta, teraz już zdemolowanej, a przedtem okazałej i tajemniczej na skraju podmiejskiego osiedla mieszkaniowego. Paul pokazał mi relację angielskiego dziennikarza z wizyty w roku 1904:

W ubiegłym miesiącu mieliśmy zaszczyt przeprowadzić rozmowę z p. Edgarem Orstem - którego prace, jak nasi czytelnicy bez wątplenia pamiętają, publikowaliśmy na naszych łamach nie tak dawno temu - w Willi Hermes, jego nowej okazałej rezydencji-cwm-atelier. W rzeczy samej, dom od trzech lat znajduje się w budowie i mimo że p. Orst ubolewa nad opóźnieniem, nie da się zaprzeczyć, iż każdy detal budowli i jej wyposażenia świadczy o niezwyklej staranności zarówno projektu, jak i wykonania; wszyscy goście o upodobaniach artystycznych zmuszeni byłiby zakrzyknąć razem z nami: Jakże można to było zrobić prędzej?

Z zewnątrz willa jest wysoka i nieco posępna, wszakże surowość otworów okiennych i prostotę elewacji łagodzą subtelne wzory sztukaterii biegnących wzdłuż narożników oraz

nadproży, a pomalowanie całości olśniewającą bielą przydało jej cudownego blasku. Główny szczyt wieńczy oczywiście postać czujnego młodego bożka, którego p. Orst powołał na strażnika swego domostwa - urocze dzieło z połączanego brązu wykonane w pracowni artysty.

Przybywszy trochę przed umówioną porą i obejrawszy dom od zewnątrz, pociągnęliśmy za dzwonek i zmuszeni byliśmy czekać parę minut, zanim otworzono nam drzwi. Same drzwi, co należy podkreślić, są niezwykle imponujące, bogato zdobione ćwiekami i delikatnymi okuciami; wzbudziły one niemało refleksji na temat samotności, w której zdecydował się pogрузić p. Orst oraz na temat solidności, by tak się wyrazić, fortyfikacji, jakie uznał za nieodzowne, by bronić tej samotności przed bez wątpienia wścibskim światem. Gdyż w p. Orście, inaczej niż w pewnych artystach szkoły „symbolistycznej” - mamy tu na myśli znakomitego dramaturga spraw nienamacalnych, p. Maurice’a Maeterlincka, i jego zaprzysięgły zapał do piwiarni, welodromu oraz boksu - w p. Orście zatem odnaleźliśmy estety par excellence. Gdy tak staliśmy pod jego drzwiami tego kwietniowego ranka (i w delikatnym deszczu, który właśnie zaczął padać), naszym udziałem stało się zrozumienie podstaw jego żądania, by być uznanym za doyen wszystkich artystycznych pustelników naszych czasów. Nam tylko wypadało rozważyć, jaki koszt dla jego odosobnienia, a co za tym idzie dla jego sztuki, musiało oznaczać zaproszenie nas do swej samotni.

Nasi czytelnicy zapewne wiedzą co nieco o nieszczęśliwych wydarzeniach, które miały miejsce w życiu tego wybitnego malarza od czasu jego ostatniej wystawy w Londynie, i będą w stanie zrozumieć dyktaty serca i oka, dotyczące tak życia jak i sztuki, a wynikłe z tego potężnego wstrząsu: mówiąc słowami jednego z mu współczesnych było to un veu-vage pricoce - doprawdy przedwczesne wdowieństwo; narzuciło mu ono swoje wzniosłe i niewzruszone wymagania. Są osoby (kilka w samej Belgii, choć więcej, przynajmniej, na naszych własnych sąsiedzkich wybrzeżach), które nadal kwestionują pozycję p. Orsta w pierwszym szeregu współczesnych artystów; są też takie, które nazbyt chętnie przekazałyby

wszelkie jego twory na wysypisko dzieł gorszących, wraz z pracami p. Felicjena Ropsa i kilku innych, aby świat mówił o nich tylko tak, jak mówi się o sztuce przestępcy lub szaleńca. Nie da się zaprzeczyć stwierdzeniu, że obrazy p. Orsta - oraz jego godne podziwu rzeźby w glinie i gipsie, nie wspominając licznych prac w kamieniu - mają wartość jako świadectwo presji wywartej przez wyjątkową boleść na płodny umysł; przeczymy jednak zdecydowanie twierdzeniom o bezwartościowości motywów i mrocznej zmysłowości obecnej we wszystkich dziełach naszego gospodarza.

Takie właśnie myśli przyszły nam do głowy, gdy czekaliśmy u drzwi Willi Hermesa; które we właściwym czasie otworzyła młoda kobieta w jasnym kostiumie (przypominającym higieniczne suknie służących starożytnych Greków, a wykonanym zgodnie z własnym projektem p. Orsta) i pokazała nam, byśmy weszli. Podaliśmy nasze nazwisko, a ona wycofała się bezszelestnie - powiadomiono nas uprzednio, że całą służbę domową zachęca się do milczenia i porozumiewania się jedynie za pomocą gestów.

Znaleźliśmy się w długim westybulu - biegnącym przez całą szerokość domu i trochę przypominającym grobowiec - z którego wchodzi się do różnych małych pomieszczeń. W drzwiach kilku z nich odciągnięto kotarę ukazując attycki fryz, wystawiony na wysokim postumencie lub też rysunek wykonany ręką Giovanniego Belliniego czy sir Edwarda Burne-Jonesa. Należy nadmienić, że we wszystkich pokojach na parterze okna są albo umieszczone zbyt wysoko, by można było przez nie wyglądać, lub też wypełnione kolorowym szkłem, które sprzyja powstawaniu magicznej gry symbolicznego światła.

Ponieważ młoda pokojówka wróciła i skinęła na nas, opuściliśmy hall i wspięliśmy się po imponujących schodach, które zawiodły nas wprost do sklepionego antyszambru, gdzie przepiękna brązowa figura Andromedy przykutej do skały odbija się w wyłożonej marmurem sadzawce. Przez przysłonięte kotarami z zachwycającego starego brokatu łukowe drzwi w głębi mogliśmy zajrzeć do wzniosłego wnętrza pracowni p. Orsta. Przed kotarami przebiega dziwna mosiężna balustrada, podobna do tych w sanktuarium kościoła, gwarantująca, że nikt nie wejdzie, o ile p. Orst nie wyrazi takiej woli; w którym to przypadku mechanizm wciąga

barierkę w ścianę.

Wyróżnieni tym zaszczytem pospieszyliśmy do najważniejszego pomieszczenia, w rzeczy samej zajmującego całą wysokość tylnej części domu, za wyjątkiem sutereny, która od tej strony przeznaczona jest na pomieszczenia dla służby. Możemy od razu powiedzieć, że pracownia z ogromnym oknem wychodzącym na północ i zbiorem cudownych, wyjątkowych obrazów wiszących na tle pasujących do nich starych obić ściennych, wywarła na nas bardzo korzystne wrażenie. Jednak bliższe i dokładniejsze badanie dzieł zostało przerwane przez przybycie samego malarza. P. Orst powitał nas niezwykle serdecznie, jak przyjaciela, co wyznał z ukontentowaniem, z kraju, który od dawna darzył szczególnymi względami. Oznaką tych względów był fakt, że od razu chciał usłyszeć wieści o naszych znajomych z Anglii i że zadowalała go rozmowa o minionych czasach, jakby nasza wizyta nie miała nic innego na celu. Obawa, że przeszkodzimy mu w pracy okazała się nieuzasadniona; ubrany był elegancko i, inaczej niż wielu artystów, nie obwieścił natury swego rzemiosła pojawiając się w poplamionym barwnikami fartuchu i z zatkniętą na kciuku paletą. Wiadomo przecież, iż nigdy nikt obcy nie widział p. Orsta przy sztalugach.

Poprowadził nas do jadalni, gdzie białe ściany tworzą odpowiednie tło dla cyklu jego obrazów poświęconych porom życia; właśnie tam, przy sutym, choć lekkim posiłku, opowiedział nam o swoim stosunku do Willi, którą budował jako świątynię własnego powołania. Wyznał, że dopiero w trakcie projektowania jej, w trakcie nieustannego czynienia drobnych zmian, podczas wyczarowywania samotności doskonałej ze światła, przestrzeni i właściwego rozmieszczenia objets d'art, ku własnej satysfakcji odkrył, co dla niego oznacza bycie artystą i czego życie artysty, gdy już się w nim tak zapalczywie zapamiętać, może w rezultacie od niego wymagać. Nietrudno było pod urokiem jego łagodnie modulowanego głosu i przenikliwości bystrych oczu rzucających szybkie spojrzenia zza ciężkiego pince-nez, co więcej w otoczeniu kilku najbardziej uderzających dzieł jego geniuszu, poczuć nieugiętą dłoń jego szczególnego przeznaczenia.

Gdy opuszczaliśmy jadalnię w celu obejrzenia biblioteki p. Orsta, byliśmy świadkami

niezwykle zdumiewającego rytuału, polegającego na tym, że po każdym posiłku służba usuwa nie tylko różnorakie potrawy i nakrycia, ale również stół i krzesła, w sumie całkowite umeblowanie pokoju, pozostawiając go jak nieskalaną świątynię wizji artysty.

Gabinet w Willi Hermesa jest uroczym pokojem, w którym p. Orst przeprowadza transakcje z koneserami kolekcjonującymi jego prace. Znajduje się tam również potężna komoda zawierająca jego sztychy. Spostrzegliśmy, że szuflady tej komody zostały w sposób nieco tajemniczy opatrzone hebrajskimi hieroglifami; p. Orst zauważywszy nasze spojrzenie, oświadczył nie bez humoru, że „nikt nigdy nie domyśliłby się, co tam spoczywa” i że wielu bogatych kolekcjonerów proponowało mu fortunę za możliwość wybrania jednego artykułu z zawartości komody. Następnie otworzył dalsze drzwi do swej „ciemni”, wyposażonej we wspaniały sprzęt do wywoływania płytek fotograficznych, która wydała się nam zaiste ciemnym tygłem jego sztuki.

Obejrzałem zdjęcie zamieszczone nad artykułem: było szare na szarym, szyby oprawione w ołów i nieprzezroczyste, światło martwe jak w niektóre wiosenne dni. Młode drzewa we frontowym ogródku wyglądały porządnie i podmiejsko. Une petite fortress de reve, jak nazwał dom jeden ze starych znajomych; inny widział w nim krystalizację oschłego i lojalnego charakteru Orsta, jego „brytyjskiej” rezerwy i pragnienia, by nikt z nadto się do niego nie zbliżył. Z jakiegoś powodu wyobraziłem sobie ten dom w ranek śmierci malarza: widziałem, jak Paul jedzie na rowerze, wbiega do domu i słyszy nowinę; lekarz odbywa ostatnią krótką wizytę; potem służący, którzy komunikowali się gestami, ogłuszeni milczą już bez przymusu, zaciągają zasłony i zamykają okiennice, podczas gdy telefon dzwoni, a stoły i krzesła pozostają w jadalni przez cały dzień.

Runo

Rough Common to błonia, a także małe miasteczko na południe od Londynu.

Miasteczko niewiele znaczyło aż do 1790, kiedy to jego główna gospoda zyskała status stacji pocztowej na traktie do modnych kurortów południowego wybrzeża. Akwarela Davida Coxa wykonana w 1812 ukazuje białe odeskowane domki z wrzecionowatymi werandami stojące wzdłuż skraju błoni; a w krótkiej, ale szerokiej perspektywie Fore Street z poprzycinanymi lipami i śródownym targiem, nadal czuć cień atmosfery regencji, gdy można się tam było dobrze zabawić.

Sam trakt pocztowy został wchłonięty przez przepastną obwodnicę poprzecinaną wysokimi kładkami dla pieszych, prowadzącymi do nowych, odległych części miasta. Czasami bywałem tam w nocy z ludźmi, których poderwałem. Turkoczące pode mną samochody dodawały pewnego samotniczego uroku moim zawrotom głowy. Stara część miasta jest o niebo spokojniejsza, jakby zgiełk wsiąkał w wysmaganą wiatrem ciszę samych błoni.

Błonia zawsze tam były, w ten swój skromny, hojny sposób wznosiły się od niskich sztachet przy końcu Fore Street do piaszczystych wzgórz porośniętych króliczymi norami i do porośniętych chaszczami pagórków. W najwyższym punkcie stają się nagle strome - jest tam strzępek ścieżki, betonowa ławka i tępa kolumna punktu triangulacyjnego godząca w niebo. Widać stąd duży staw, o piaszczystych brzegach, lecz czarnym sercu, i skraj lasu, który długim gęstym pasem biegnie do dalszego końca błoni. W bezchmurny zimowy wieczór widok z triangułu sięga zdumiewająco daleko w posępną nizinę i unoszącą się do nieba łunę nad przedmieściami Kentu i Surrey.

Miasto rozciąga się po dwóch stronach błoni: w kierunku zachodnim okala je domkami z okresu regencji stojącymi przy mającej aspirację centrum towarzyskiego uliczce, która opasuje łukiem małą rezydencję de Souzaów oraz inne duże domostwa, zanim dociera do ocienionego przez drzewa podjazdu „Bedłek”, domu sir Perry’ego Dawlisha; na wschód zaś schodzi szpalerem willi z drewnianymi elewacjami, wśród których jest też nasza, do rozsypującego się osiedla mieszkaniowego z lat trzydziestych, blokowiska, z pożytecznym sklepem nocnym.

Wszedłem do przedpokoju i strząsnąłem torbę z ramienia na podłogę. Za kilka minut zniknie zaskoczenie niepokojącym i absolutnym brakiem jakichkolwiek zmian w domu, będącym moim mieszkaniem przez całe życie. Mama wyszła, był zmierzch i panowała cisza, która zawsze nas otaczała i której ją pozostawiłem. Klekot luźnych klepek w parkiecie, brzęczenie zasuvek w drzwiach i niepewne tykanie zegara - te dźwięki znałem od zawsze, odbijające się echem od powierzchni, które ojciec trzymał nagie i wypolerowane ze względu na akustykę. Przez siedemnaście lat mama nie zmieniała prawie nic - nowy telewizor, nowy daihatsu charade i na stole w hallu inne książki z biblioteki czekające na oddanie, ostatnie wydanie „Wiadomości Powszechnych”, lokalnej gazety reklamowej, złapane w skrzynce na listy we frontowych drzwiach. Zajrzałem do salonu: zapach pasty do podłóg i lawendy, czarny masyw fortepianu, na ścianie cienie rzucone przez uliczne lampy i wysoki, zaniedbany ligustrowy żywopłot kołyszący się na wietrze.

Nie zamierzałem tak szybko wracać do swojego pokoju, z całą ścianą książek z antykwariatu i atmosferą pozorów stanowczego odcięcia się od świata. Zerknąłem na trzeszczące pojedyncze łóżko; leżała na nim porzucona fauna dzieciństwa: jednouchy królik i obrzękły misiek w spodniach, zapomniani, ale nadal patetycznie czujni. Stanąłem przy biurku, gdzie napisałem tysiąc kompetentnych esejów i niemało sonetów, a potem zajrzałem do ogrodu Donnigtonów. Gerry dostał maszynę wioślarską; na siedzeniu w białych wgłębieniach na pośladki stały kałuże deszczu, połyskujące w świetle padającym z nie zasłoniętych okien ich kuchni. Jak zawsze otworzyłem okno, zanim zapaliłem papierosa.

Wyglądało na to, że Colin stracił panowanie nad samochodem na Brighton Road: był to 6-litrowy craxton, którego sam wyremontował, powinien więc wiedzieć, co się z nim dzieje, gdy jest mokro. Przy odrobinie zbyt dużej prędkości tył zarzuca na łuku i zaczynasz wirować po wszystkich pasach; możesz mieć szczęście, przeokożółkować z wysokiego pobocza i zaryć się w ziemi i trawie; lub możesz otrzymać od pięciu czy sześciu innych samochodów lekkie choć niszczycielskie ciosy i wyjść z tego roztrzęsiony i wymiotujący ze strachu, ale cały; albo też możesz pomknąć w bok, przez pół sekundy wisieć obok

rozbryzgujących deszcz, wyższych od twojego samochodu opon dwunastokołowego molocha, który za chwilę zgniecie cię pod sobą i poszatkuje na śmierć.

Edie widziała, jak to się stało. Wszystko trwało tyle czasu, ile potrzeba, żeby włączyć radio lub zerknąć w bok na swojego towarzysza. Jechała swoim peugeotem kawałek za Colinem i Rankiem; zahamowała i przeleciała z piskiem opon przez twarde pobocze, żeby uciec przed zarzucającym i pędzącym kolosem, a potem zaryła w wał, robiąc unik przed przednią częścią craxtona, z Colinem w środku, która wystrzeliła spod ciężarówki. Siedziała trzęsąc się i łkając, z całych sił ściskając kierownicę, gdy wtem poczuła grzmotnięcie w plecy, kiedy odrąbany tył samochodu Colina eksplodował pięćdziesiąt jardów za nią. Kilka godzin później dorwała mnie telefonicznie w Muzeum Orsta. Opowiedziała, jak biegła do wraku, gotowa rzucić się po Ranka, ale zaczęła się dusić w płomieniach; pobiegła z powrotem po Colina, ale był rozmazany po całej zmiażdżonej kabinie, jakby wybuchła pod nim bomba; coś w silniku ciągle wirowało i brzęczało, nadal działało radio „Pawana Synów Ranka z Hioba”: wykrztusiła te słowa, jakby przerażona, że będzie wiedziała, co to jest, i będzie musiała mi powiedzieć, wypuściła słuchawkę, ale słyszałem jej zawodzenie i szloch.

Wybrali się do Hove, żeby obejrzeć zegar szafowy, który przyjaciel ojca Edie chciał sprzedać. Edie, jako pośrednik, jechała pierwsza pokazując im drogę, a Ranek towarzyszył Colinowi w przejażdżce dla odmiany po monotonii życia w sklepie. Zegar był w porządku i Colin zapakował go do samochodu - co udało się zrobić po złożeniu siedzenia pasażera i owinięciu całości kocami. Ranek musiał siedzieć z tyłu. Colin znał drogę do domu, więc kiedy wyjechali na autostradę, wyprzedził Edie i pognął naprzód. Edie, trochę zdeprymowana tym męskim wyzwaniem, robiła co mogła, żeby za nimi nadążyć. Według niej jechali około 85 mil na godzinę, kiedy wpadli w poślizg.

Prawdziwe imię Ranka - mnie się wydało nieprawdziwe, gdy przeczytałem je w raporcie prasowym - brzmiało Ralph, było romantyczne, awanturnicze i nie pasowało do niego, ale w wieku piętnastu lat udało mu się je pogodzić ze swoją niesforną uczniacką

nieśmiałością. Potem wziął udział w szkolnym konkursie recytatorskim, który z zasady oceniał głuchy jak pień stary aktor, uczeń szkoły z czasów Wielkiej Wojny, znany głównie z ról duchownych. Każdy kandydat wstępował na mównicę, jak świadek, podawał swoje nazwisko i tytuł utworu, który wybrał, a następnie wygłaszał go dostatecznie głośno i majestatycznie, by jego słowa dotarły do sędziego. Ralph, zarumieniony i zdenerwowany, pojawił się przy pulpicie i natychmiast zaczął dosyć subtelną relację fragmentu z Gordona Bottomleya, wybranego z Poetów naszych czasów, dopiero gdy wyznał trzy czy cztery wersy, stary aktor radośnie zakrzyknął „Nazwisko?“, a Ralph, przerażony, odwrzasnął „Ranek...” dodając „według Bottomleya”, co zagłuszyły huragany śmiechu.

Pierwszego dnia szkoła wypróbowała „Bottomleya”, który wydawał się odpowiedni, jako że Ralph był chłopcem o wydatnym zadku; ale przyjął się Ranek. Po początkowym rozdrażnieniu poddał się i przywykł do niego, jak do imienia-zawady, zwłaszcza gdy pojął, że jego zadek nie jest godnym śmiechu obciążeniem, lecz wspaniałym majątkiem. Sam nigdy nie używał tego przezwiska i do końca dzwoniąc do kogoś mówił: „Tu, ech... eee... tu Ralph”, z wahaniem, jakby był kimś, kogo możesz nie pamiętać, z kim pospiesznie wymieniał numery w klubie. A ponury, męski ojciec Ranka, mimo że akceptował powszechne użycie jego przezwiska, posługiwał się nim tylko przypadkowo, zazwyczaj decydując się na „Ralphie”, traktując ten przyrostek w pewnym sensie symbolicznie. Natomiast matka, wesoła, cyniczna kobieta, która pracowała w BBC, od razu je zaaprobowała, jakby mogło ono wszystko wyjaśnić.

Następnego ranka poszedłem na błonia z moją mamą. Było szaro i wietrznie, raz czy dwa grube krople deszczu pokropkowały nasze prochowce, ale grożąca nam burza zatoczyła się w bok i rozładowała w skośnej smudze ulewy o milę dalej. Mama miała denerwujący nawyk opowiadania z oburzeniem o rzeczach nie dotyczących najbardziej wszystkich dręczącego problemu: w tym przypadku skupiła się na moim starszym bracie i tym, czy może sobie pozwolić na odwiedzenie go w Melbourne. Bardzo dotkliwie odczuwała fakt, że żona

Charlie'ego ukradła go jej, że wyprowadzili się celowo, aby zerwać więź matki z synem...
Pobrali się w rok po śmierci mego ojca, zatem po żalu i radości nastąpił znowu żal, gdy Lisanne („wiecznie kalkulująca krowa”, jak nazwała ją Edie) nagle zaczęła odwoływać wizyty, z czasem również nie pozwalając dzieciom na spotkania z babcią i w końcu przekonała Charlie'ego (który był elektronikiem pracującym dla wojska), żeby wyjechał do pracy niemalże najdalej, jak można było wyjechać. Moja matka usychała z tęsknoty za nim i za dwiema dziewczynkami; jedna miała dwanaście, a druga czternaście lat, nie rozpoznałyby jej, mawiała. Charlie obiecał, że zafundują jej lot i cudowną długą wizytę. Potem Lisanne napisała, że nie stać ich na to w tym roku, Charlie'emu nie najlepiej idzie...

- Charlie jest taki słaby - powiedziała mama i chwyciła mnie za przedramię, gdy zaczęliśmy wchodzić stromą ścieżką do tangu. Wydawała się w pewnym sensie wdzięczna, że ja przynajmniej nie znajdę sobie żony i oszczędzę jej tego konkretnie bólu. Przypomniałem sobie, jak w wieku pięciu czy sześciu lat oświadczyłem, że chcę się ożenić tylko z nią.

Dotarliśmy na szczyt i żwawo okręciliśmy się w kółko, spoglądając we wszystkie strony, jak to mieliśmy w zwyczaju, i mówiąc: - Tak... tak... tak... - jakbyśmy odfajkowywali każdy widok po kolei. Wieżę kościoła okryto szarym polietylenem. Pobliski pas drzew, nazwany ostatnio Knieją Kondomową w jednym z listów do „Wiadomości”, był prawie zupełnie pozbawiony liści, a jego sekretne runo obnażone. - Przyjdź, Zimo, przyjdź - powiedziałem cicho, gdyż w sumie nie chciałem, aby mama usłyszała.

- Nie ma takich wzgórz tam, gdzie mieszkasz - odezwała się.
- Nie - odpowiedziałem i odetchnąłem głęboko.
- Ale znalazłeś sobie przyjaciół? - jakby te dwie sprawy mogły się w jakiś nieokreślony sposób łączyć.

- Mnóstwo! - Myśl o nich była zbyt podniecająca, wywołała błysk bólu, który kazał mi na chwilę zaciąć zęby. - Paul Echevin, dla którego czasami pracuję w Muzeum, jest straszliwie miły, wręcz zaopiekował się mną i zaprasza mnie na posiłki. - Przez moment

chciałem jej po prostu wyznać, że zakochałem się w Lucu, opowiedzieć jej o całej tej głupiej sprawie i obserwować, jak do niej dociera. Miewaliśmy już chwile szczerości i dzielnie stawiała im czoła; ale rozumiałem, że raczej wolałaby nic nie wiedzieć.

- Pętla? - kiwnąłem głową. Tak nazywaliśmy przemierzaną nieprzeliczoną ilość razy trasę naszych rodzinnych spacerów, która omijała dalszy koniec błoni, wiodła łagodnie w dół przez kępy olch i krzewów ciernistych aż do „Bedłek”, a potem zawracała gwałtownie i biegła równoległe do drogi w kierunku domu.

- Dzwoniłem rano do rodziców Ranka - powiedziałem.

- Ja też powinnam. Choć w sumie ich nie znam.

- Matka wydawała się dosyć spokojna. - Mówiła bardzo wolno, jakby była naćpana, ale rzeczowo. Uważali, że zginął natychmiast, ale w tym ogniu... i co z niego pozostało? - Nie powiedziała tego wprost, ale odniosłem wrażenie, że nie żałuje, iż odszedł w ten sposób, zamiast... za kilka miesięcy może. A potem on wziął słuchawkę, nigdy nie wiedziałem, jak sobie z nim radzić nawet w najlepszych czasach, i powiedział tylko: „Cóż, nikt nie może powiedzieć, że on umarł na AIDS, Edwardzie”. Przypuszczam, że dotrze to do nich za dzień lub dwa, niektóre smutki są zbyt wielkie, by można je objąć całe od razu.

- Biedactwa. - Wiedziałem, iż moja matka zamartwia się, że mógłbym nie być ostrożny - że nie byłem ostrożny. Jeden z momentów szczerości nastąpił wtedy, gdy powiedziałem jej o ujemnym wyniku badań.

- Poprosiła, żebym wybrał coś na czytanie podczas pogrzebu. To dosyć trudna sprawa... w każdym razie nie Ranek Gordona Bottomleya, jak sądzę.

Po chwili milczenia zaproponowała:

- Uwielbiam zakończenie Elegii Graya, pamiętam, że czytywałam je bardzo często po śmierci twojego ojca. Przypomina mi wszystkie nasze spacerunki. Albo mógłbyś wziąć fragment z Lycidasa.

- Może być zbyt wzruszający. Muszę go przejrzeć.

- A co z jego przyjacielem ze sklepu ze starociami?

- Nie mówiła. Może nie wiedzieć. Ludzie są często trochę zirytowani, gdy w tym samym czasie umiera ktoś inny - to tak, jakby śmierć przyszła do niego rozmyślnie, żeby okraść ich z rozpacz.

- Kto pragnie rozpaczać? - spytała moja mama.

Nie byłem w tym samym domu co Ranek; ja mieszkałem w Raleighu, który miał solidną tradycję palaczy, piękni i abstrakcyjnych ekspresjonistów, podczas gdy on skrywał się w Drake'u, srogim, słynącym z dyscypliny domu, który ścierał wszystkich na proch w zawodach wioślarskich i w rugby. Nasza szkoła nie była stara ani wspaniała, co zapewne wyjaśniało, dlaczego wybrała takie zgrzytliwe historyczne nazwy dla swoich domów - Sidney, Frobisher; w zatęchłej jadalni wisiały portrety tych ubranych w krawatki poszukiwaczy przygód. Było w tym coś wzruszająco dziecinnego.

Ranek przybył tam rok przede mną, ale ja zostałem włączony do 4A, podczas gdy jego promowano od razu do 4B czy C: więc się nie spotkaliśmy. Wiedziałem, że jego rodzice mieszkali wtedy w pobliżu szkoły, do której on co dzień przyjeżdżał na swojej kolarzówce. Ja mieszkałem w szkole tylko w tygodniu: w każdy poniedziałkowy rano i piątkowy wieczór odbywałem dwudziestominutową podróż podmiejskim pociągiem z i do maleńkiej, rustykalnej stacji w Rough Common, przypominającej cottage orne z jednym akrem parkingu dla osób codziennie dojeżdżających do miasta. Nie pamiętam go za dobrze z tamtego okresu. Pozostał mi jedynie obraz zakończenia meczu Koltów z Lancami, sumienne zagrzewanie drużyn do boju, potem atmosfera szaleństwa i przygnębienia, stukot korków na chodniku, i Ranek pośród chłopaków, z opuszczonymi skarpetami, ciężkimi udami pomazanymi błotem, z potem w czarnych włosach i niebieskich oczach, tak przyjemnie krępy - otoczyliśmy ich pocieszyli i z jakiegoś powodu poklepałem go po gorących, wilgotnych plecach, gdy mnie mijał.

Moim najlepszym przyjacielem był Lawrence Graves. Przeszliśmy przez szkołę w tandemie, obaj wiele pisząc, chociaż on zawsze zakładał, że z taką kombinacją imienia i

nazwiska to jemu jest przeznaczone zostać ważną postacią literatury, podczas gdy ja miałem odegrać jakąś podrzędną rolę: na przykład wyobrażał sobie, że publikuję jego spuściznę poetycką po jego tajemniczej wczesnej śmierci. Ze szkolnej biblioteki pożyczył sobie na wieczne nieoddanie Korespondencję Lawrence'a z Gravesem. (I tak nie było na nią zbytniego zapotrzebowania.)

Już na samym początku Graves sprawił mi przyjemność, a nawet trochę mnie onieśmielił, przez fakt, że słyszał o moim ojcu. Był na jego recitalu ludowych pieśni Schuberta u św. Leonarda i dał mi do zrozumienia, że choć miał pewne zastrzeżenia, to w żadnym razie nie nazwałby tego kompletną klapą. Posiadał autografy Ronalda Dowda i Elly Ameling, zatem wiadomo było, że kryteria ma wysokie. Później mój ojciec śpiewał partię Ewangelisty, kiedy szkolne Stowarzyszenie Chórzystów wystawiało Pasję według świętego Mateusza: głos miał wtedy przepiękny i brzmiał jak wielki śpiewak na chudym tle dziecięcych skrzypków i chórzystów niepewnych siebie poniżej mezzo-forte. Siedziałem z boku sali otoczony własnym wirem niepokoju i dumy, czasami bezgłośnie podpowiadając mu słowa, jakby mógł je zapomnieć. Sporadycznie, gdy wstawał przed kolejną oracją, przesuwiał po mnie wzrokiem, jakby mnie nie rozpoznawał: powtarzałem sobie, że widzi mnie dobrze, ale że jest związany egzaltowanym protokołem sztuki, który narzuca mu rytualną pozę i glazurowaną sztywność fraka, czarnej szarfy oraz lakierków - wymarły kostium salonowy, który czasami odbierałem dla niego z prania czy cerowania. Koncertowe światła lśniły na jego natłuszczonych czarnych włosach i w czarnych ramkach okularów.

Czułem, że to zdarzenie powinno ze mnie również zrobić ważną postać, a Graves zwlekał z wyjściem po koncercie, żeby zdobyć autograf; ale mimo to było coś śmiesznego w sławie mojego taty. Wystąpił w jednym czy dwóch niezbyt świetnych programach telewizyjnych jako podpora dla „gwiazdy” bez talentu prezentującej kliwne ballady; a jego płyta z muzyką sezonową znalazła się na trzecim miejscu listy najlepszych albumów w notowaniach przed Bożym Narodzeniem'71. Przez krótki czas mówiło się nawet, że ma prowadzić własny show i nasz dom przez dwa tygodnie trwał w kleszczach udręki. Ale

zdjęcia próbne nie poszły dobrze, tato był zbyt nieśmiały i poważny; wrócił do domu podskakując ze wstydu i ulgi. Imaginowałem sobie, że odnosi sukces, który przeobraża nasz dosyć roztropny styl życia, ale kochałem go najbardziej za to, co on kochał najbardziej: za nadwerężającą cierpliwość godziny przy fortepianie, gdy moja matka dzielnie akompaniowała, a on pracował i pracował nad pieśnią lub recytatywem. Wszystko to nie miało wielkiego znaczenia dla moich szkolnych przyjaciół tkwiących w Muddzie i Siadzie. Po Pasji Mateusza jeden z nich wykonał duszącą parodię występu ojca i choć nie zrobił tego ze złośliwości, łzy zakręciły mi się w oczach. Zasiał podejrzenie, którego nigdy nie udało mi się do końca zwalczyć, że mój tato był postacią komiczną.

Oczywiście nie zawsze zachowywał obcą mu prostolinijność sceny koncertowej. Uwielbiał pozbywać się fraka. W domu był spokojnym ironistą, bliższym mojemu bratu Charlie'emu niż mnie, chociaż to ja odziedziczyłem po nim nawyk siedzenia i wpatrywania się w przestrzeń. Maleńka sypialnia stała się jego pracownią i często przechodząc koło drzwi, widywało się go opartego o okno i obserwującego wiatr na błoniach. Setki godzin przesiedziałem udając, że czytam, i wspólnie z nim przeżywając muzykę, jakiegokolwiek nagranie Beechama, podczas gdy on czytał partyturę lub zerkał w nieskończoność przez puste miejsce nad podpórką na nuty. Kiedy po raz pierwszy przyprowadziłem Gravesa do domu, podbił serce taty swoją chorobliwie szczegółową znajomością Deliusa, ale potem zaryzykował jego utratę dyrygując, gdy grała płyta. Musiałem zabrać go na spacer do triangułu i objaśnić mu, iż mój ojciec jest przekonany, że skoro orkiestrą dyrygował już sir Thomas, nie ma potrzeby, aby robił to ktoś inny.

W drugim roku szkoły dzieliłem z Gravesem sypialnio-pracownię. Zachowywał się w zbyt afektowany i snobistyczny sposób, żeby lubiano go powszechnie, ale ja rychło dostałem się pod jego wpływ, a on odpowiednio popadł w zależność ode mnie. Nikt inny nie rościł sobie praw do naszej przyjaźni i chociaż pewna część mojego ja tęskniła za zakwaterowaniem z jakimś cudownym buntownikiem z Raleigha, złożyłem ten plan do pękającej w szwach teczki z fantazjami i zamiast tego osiadłem z Gravesem oraz jego kolekcją płyt. Graves był

wysoki, miał ciężkie kości, faliste, brązowe włosy i długą, inteligentną twarz, która w miarę jego dojrzewania nabrała lekko bandyckiego wyrazu. Gardził tym, co nazywał „plebejskim” zwyczajem posługiwania się imionami, więc od początku do końca zwracaliśmy się do siebie per Graves i Manners.

Graves zamierzał zostać zarówno wielkim pisarzem, jak i wielkim dyrygentem, i co dzień prezentował podwójne wymagania swego przeznaczenia w ciasnej przestrzeni naszej pracowni, zrywając się zza biurka z piórem w dłoni, aby „przeprowadzić zespół” przez szczególnie szatański fragment lub dźgać powietrze w takt szczytowych akordów nagrania, którego akurat słuchaliśmy. Wkrótce ściany całe były zachlapane atramentem. Pracował nad sztuką Szlachetny dla samego siebie, w której wszystkie postaci posiadały tytuły, a ode mnie żądał, bym odgrywał dwie lub trzy role w trakcie prób czytanych, za każdym razem coraz bardziej połykając słowa i cedząc je przez zęby.

Rodzice Gravesa mieszkali w Somerset, ale w rzeczywistości, gdy w grę wchodziły kwestie praktyczne, wydawało się, że przebywają dużo dalej. Zatem często jeździł ze mną do domu na weekendy, chociaż moja mama nie darzyła sympatią ani samego Gravesa, ani jego nocnych zwyczajów, a brat kpił sobie za jego plecami; ojciec, którego przytłaczała myśl o tych wizytach, dawał się nieodmiennie wciągnąć w rozmowę o muzyce i przesiadywał z nim do późna, „cichutko” słuchając Baxa lub Busoniego, gdy reszta z nas poszła już spać. Memorabilia mojego ojca obejmowały podpisaną fotografię Beechama i jedną z jego batut, której Graves zwykł tęsknie się przyglądać, gdy siedział na sofie z rękami podłożonymi pod pośladki. Czasami w trakcie rozmowy ojciec ilustrował swoją tezę lub przypominał nam pieśń, śpiewając kilka taktów; robił to uroczo, ale wszyscy czuliśmy się zażenowani.

Nie żył już od tak dawna, że jawił się w moich myślach jak postać z innego wieku, z życia w wieczorowych strojach. Pamiętam, że nawet wtedy, gdy słuchaliśmy go w radio śpiewającego w codziennym nabożeństwie lub na prośbę słuchaczy w „Ulubieńcach Naszej Rodziny”, miałem wrażenie, że jego głos przybywa do nas z zaświatów, z przepaścistego obcego wymiaru osłoniętego materiałem głośników powleczonym czarnym dziegciem.

Bardzo wczesnie staliśmy się właścicielami gramofonu stereofonicznego, monsturalnej i luksusowej skrzyni z drewna tekowego z dyskretnymi światełkami, kratkami i pokrywą, której nie można było zatrzasnąć z impetem: jakiś mechanizm amortyzujący hamował jej upadek i bezszelestnie opuszczał ją na dół. Miał dobre basy, które ojciec zwykle podkrecał, żeby zatuszować trzaski i zgrzyty wydobywane przez maszynę z hołubionych przez niego starych płyt. Stała tam nadal w milczeniu, na początku listopada 1991. Była też batuta Beechama na stojaku podobnym do podstawki na pióro; i brzydki pulpit na nuty zapchany muzyką, kantatami Bacha, kiczowatymi wiktoriańskimi piosenkami, które zaczęły znów cieszyć się powodzeniem, gdy umierał; i błyszczący parkiet wokół ciemnobrązowych cielsk sofy i krzesel oraz pod czarnym cyblem fortepianu. Nic nie zostało zmienione, nic odnowione. Poczułem, że wrażenie powrotu jest dziwnie przerysowane, jakby moje dzieciństwo wróciło dalej niż kiedykolwiek było.

Siedziałem w swoim pokoju w podkoszulku i majtkach, wypaliłem ostatniego papierosa i strzeliłem niedopałkiem w krzewy Donningtonów - w bzy, które wczesną wiosną stłoczą się nad ogrodzeniem, a ich zapach uniesie się do mojego okna. W zeszłym tygodniu wydarzyła się potworna rzecz: opuściłem jadalnię w połowie lekcji z Lukiem i poszedłem na górę, żeby zrobić siusiu. Weszło mi to ostatnio w zwyczaj, gdyż stałem się szaleńczo uzależniony od kosza na brudy. Miałem przy sobie negatywy i zamierzałem wbiec piętro wyżej do sypialni Luca, wsadzić je do koperty w biurku i wrócić do łazienki w piętnaście, dwadzieścia sekund. Pomysł był prosty, choć śmiały, a kiedy nadszedł czas, by wprowadzić go w życie, coraz mniej i mniej udawało mi się skupiać na fragmencie z Milтона, o którym dyskutowaliśmy.

- Stado bydła - powiedział Luc. - Nie jestem pewien, co znaczy stado bydła.

- Wyjaśnię to za chwilę - odrzekłem zrywając się z wyrazem komicznego zaniepokojenia na twarzy, co oznaczało: „Idę za potrzebą” i wymykając się z pokoju. Miałem przecucie, że na dole też musi być kibel i nie chciałem nikomu dać dosyć czasu, aby mógł mi

o tym powiedzieć. Szybkim krokiem wszedłem na górę, minąłem ubikację i pognałem na następne piętro, trzymając się wewnętrznej strony gadatliwych starych schodów. Drzwi pokoju Luca były uchylone, wsunąłem się przez szparę i dopiero w połowie drogi do biurka uświadomiłem sobie w pełni, że nie jestem sam, że na łóżku leży wyciągnięty Patrick Dhondt w czarnych szkolnych bryczesach i czyta książkę.

- Ależ historia! - ryknąłem. - Szukam właśnie łazienki. - Czułem, że robię się taki czerwony jak nigdy w życiu, skompromitowałem się katastrofalnie. Spojrzał na mnie z nikłym zdziwieniem. - Hej-hej! - wykrzyknąłem. - Jak się masz?

- Bardzo dobrze - odpowiedział i uśmiechnął się. Bez wątpienia cały pokój wraz z łóżkiem znajdował się w jego posiadaniu. Wycofałem się w stronę drzwi, a on spojrział w książkę, częściowo po to, by ukryć rumieniec i uśmiech. - Jest piętro niżej - powiedział.

Zrobiło mi się gorąco, gdy teraz o tym myślałem - miał to być jeden z tych dręczących momentów, które od czasu do czasu przypominamy sobie masochistycznie przez resztę życia. Rozpiąłem boczną kieszeń torby, wyjąłem zdjęcia i wdrapałem się na łóżko. Dlaczego on nie był w szkole? Dlaczego ja musiałem grać rolę nudziarza, który odbiera mu Luca na całą godzinę? Co mówili potem, kiedy Luc pędem wrócił na górę i zaczęli razem swawolić w łóżku? Czy też po prostu wygnali mnie ze swoich myśli, położyli się blisko siebie i z namaszczeniem zaczęli się całować? Ręka Luca... Odpędziłem tę wizję i odłożyłem wszystkie zdjęcia, na których znajdował się Patrick: nie chciałem oglądać ani jego, ani dziewczyny. W dwóch fotkach przedstawiających ponuro uśmiechniętą panią Altidore przy pracy nad gobelinem uderzył mnie ni mniej ni więcej tylko jakiś subtelny wyrzut, więc wyeliminowałem je już wcześniej. Zacieśniałem magiczne koło wokół młodego mężczyzny.

Zdjęcie, na którym wyglądał jak faun z wydm, rozczarowało mnie teraz. Obejrzałem inne, które zwykłem zaniedbywać, nawet głupie fotosy z gigantycznymi piętami na pierwszym planie i leżącym na wznak nieostrym ciałem w tle miało pewną wartość poznawczą. Czy można czytać z pięty, tak jak się czyta z dłoni? Czy to wypełnione brudem pęknięcie było linią przeznaczenia, a ten zgrubiały wzgórek linią miłości? Miał długie,

chwytny palce, pamiętałem z łaźni - i powiedział mi, że biega bardzo szybko na krótkie dystanse. Nie bardzo mogłem to sobie wyobrazić; zawsze gdy go widziałem, poruszał się z pełną pewnością siebie powolnością ludzi pięknych. Nawet kiedy biegł truchtem, wyglądało to trochę jak w zwolnionym tempie.

A oto ujęcie ukazujące jego podbródek z drobnymi zacięciami po niewprawnym goleniu; pacha z rozjaśnionymi przez słońce, zapiaszczonymi włosami; szerokie sutki pragnące, by je wykręcać i zadawać im ból. Biały pasek od zegarka na opalonej ręce, krąg nieobecnej tarczy zdecentrowany, przesunięty w stronę kostki nadgarstka: czas był daleko, w jakimś innym miejscu... A tu zbliżenie zamazane, jak przy pocałunku, ta warga trębacza jakby roztopiona. Za nim w wyraźnym, nie związanym z tematem tle, widniał sąsiedni dom, z listewką żaluzji odchyloną przez ukrytego podglądacza.

Leżałem w ciemności i ponuro waliłem konia. Oto pokój, pomyślałem, do którego kazałem wracać Rankowi przez te wszystkie noce, z gorącymi ustami, niezdarnego ze zmęczenia, ale podekscytowanego i płonącego z miłości. Nadal rozrzewniało mnie wspomnienie jego pleców, kiedy ściągałem mu koszulę przez głowę i wyciskałem pocałunki na jego łopatkach i karku. Nikt nigdy nie wyglądał ładniej od tyłu. Jego plecy były jak zwężająca się tarcza, jak symbol mojej miłości do niego, zbyt prostej i zbyt pogmatwanej, by wyrazić ją słowami. Wiedziałem, że często czułem się znudzony i miałem pretensje, być może nie wydawał mi się interesujący sam w sobie, ale jednak wiedziałem też, że był motorem moich najwznieśliwszych uczuć i najśmielszych myśli, podstawowym basem pierwszych prawdziwych improwizacji. Chwilami czułem się przy nim samotny; znów innym razem ekscytująco ukojony. I co się wydarzyło od tamtego czasu? Nic przypominającego nasz związek. Wszystkie były w pewien sposób melancholijne, szaleńcze i z góry przesądzone.

Pierwszy człowiek, w którym się zakochałem, nazywał się Mark Lyle. Miałem dziesięć lat, uczyłem się w małej pobożnej szkole przygotowawczej, do której mogłem chodzić na piechotę skrajem miasta. Mark Lyle był może trzy lata starszy - za stary, żeby być

przyjacielem dzieciaka takiego jak ja, ale w równej mierze za młody, by uznał go mój szesnastoletni brat i jego paczka. Wpasował się w fascynującą lukę, głos mu się łamał, w moich oczach był już mężczyzną, ale zapewne nie mężczyzną w pełnym, zarozumiałym sensie, tak jak Charlie. Skończył moją szkołę, ale rodzice nie mogli sobie pozwolić na posłanie go do Stonewell, więc w moim wyobrażeniu stał się jakby człowiekiem wyjętym spod prawa, po którym można się spodziewać, że mieszka pod namiotem w jakiejś kotlinie na błoniach.

W rzeczywistości jego ojciec cierpiał na epilepsję i stracił pracę, ale mnie się zdawało, że wynika to z jakiegoś mrocznego, być może dziedzicznego, sekretu. W tym czasie wiele rozmyślałem o dziedzictwie; pisałem swoją pierwszą książkę: Ród Mannersów z hrabstwa Kent, napchaną chełpliwymi anegdotami mojej stryjecznej babki Tiny i bardziej trzeźwymi, czasami niezbyt zrozumiałymi, komentarzami mego wuja Wilfreda; opisałem, jak chwała rodziny rosła, dopóki nie ukoronował jej geniusz mego ojca, który śpiewał w radiu i pewne było, że otrzyma tytuł szlachecki. Widziana z tej perspektywy rodzina Marka Lyle'a niewątpliwie cierpiała z powodu jakiejś ciężkiej ułomności. Zdawało się wręcz możliwe, że Mark Lyle był podrzutkiem, co w owych czasach stanowiło dosyć popularną koncepcję.

Kilku starszych chłopców miało o nim wiadomości, gdy już poszedł do ogólniaka, i dyskretnie pyszniło się tym kontaktem. Czasami sam widywałem go w mieście i obserwowałem, taktownie udając obojętność, jakby był naprawdę sławną osobistością. Niepokoił mnie jego nowi przyjaciele, olbrzymy w wieku czternastu czy piętnastu lat, z puchatymi górnymi wargami, którzy wraz z nim czekali na przystanku autobusowym z rozwiązanymi krawatami i wystającymi koszulami i wskakiwali do „6” w ruchu; podobnie jak oni Mark Lyle zapuszczał włosy, które grubymi, brudnymi kosmykami zagarniał za uszy, co wydawało mi się zarówno niewłaściwe, jak i piękne.

Pewnego dnia późnym popołudniem zobaczyłem, że przechodzi koło naszego domu, więc wybiegłem i ruszyłem za nim. Miałem na sobie szorty i sandały - długie spodnie wdziewało się dopiero w szóstej klasie - a on niósł czarny blezer przerzucony przez ramię i

zaczepiony na palcu. Nie szedłem blisko niego, ale mimo to owiała mnie uderzająca do głowy smuga old spice'a. Musiał się nim cały zlać, może był od niego uzależniony w jakiś sposób: wiedziałem, że jeden z prefektów w szkole używał go z równym zapałem i słyszałem, jak rzucał dające do myślenia aluzje na temat jego właściwości wzmagających potencję.

Tropiłem Marka Lyle'a przez wzgórze, od czasu do czasu będąc zmuszonym się zatrzymywać i marudzić chwilę, żeby w podnieceniu go nie dogonić. Widoczne było, że nie spieszy się do domu, gdziekolwiek się on znajdował. Chciałem, żeby zrobił coś określonego - spotkał przyjaciela, wszedł do jakiegoś sklepu albo budynku - tak, żebym miał coś na niego, mógł wrócić do domu i przemyśleć to w kontekście innych, szczątkowych informacji.

Wyobrażałem sobie, że skręci w lewo, w jedną z willowych ulic obrzeżonych kwitnącymi wiśniami, gdzie mieszkało kilku moich kolegów ze szkoły, ale on spokojnie i wonnie sunął dalej, aż naszym oczom ukazało się blokowisko i zacząłem się niepokoić. Skrajny rząd bloków wybudowany nad ciągiem sklepów - był tam damski fryzjer, kiosk z gazetami, pralnia chemiczna, do której zanosłem frak mojego taty, indyjski sklep spożywczy otwarty do ósmej wieczór - wychodził na szerokie, poplamione smarami podwórze, gdzie mieszkańcy sporadycznie grzebali przy samochodach opatrzonych znaczkami podatkowymi z dawno wygasłą datą ważności. Ale dalsza część osiedla stanowiła dla mnie zupełnie nie znane terytorium. Mój ojciec nazywał to miejsce blokowisko-molowisko, jakbyśmy my zamieszkiwali wyłącznie wśród radosnych akordów durowych. Nie przypuszczam, żeby zabraniano mi wchodzić na teren zasmarowanego podwórka lub nawet do otaczających je długich, białych budynków z zardzewiałymi, metalowymi oknami. Musiałem sam sobie narzucić ten zakaz, wywołany społecznym strachem, który znowu się we mnie obudził, gdy zrozumiałem, że rodzice Marka zostali zmuszeni do mieszkania w bloku komunalnym.

Podczas tych letnich wakacji zadurzyłem się w Marku Lyle'u zupełnie poważnie. W marzeniach stał się moim obrońcą i wprowadził mnie do kuchni złodziejasków w blokowisku, jako kogoś, kogo należy szanować, bo inaczej będą mieli z nim do czynienia. Równocześnie miałem mieć na niego zbawienny wpływ, zawracając go na drogę życia, z

której los go sprowadził. Często niby niedbale wypytywałem o niego, a mój brat mówił: - Po jakie licho ciągle gadasz o Marku Lyle' u, głupku? - a matka odzywała się: - Taka biedna rodzina, sama nie wiem... - Zawsze chętnie oddawała się pracy charytatywnej, ale oni chyba nie całkiem się kwalifikowali. Wyobrażałem sobie, że idę tam z nią, zanosząc koce i talerze z jedzeniem przykryte folią aluminiową.

Większość dnia spędzałem na błoniach. Było to nieszkodliwe oraz zdrowe, i chociaż podsłuchiwałem uwagi o zrogowaciałym starym pułkowniku Palgrave' ie, który opalał się w wysokiej trawie koło lasu zupełnie nagi, nigdy nie czułem się zagrożony. Czasami włóczyłem się, niezbyt mile widziany, za Charliem i jego przyjaciółmi, kiedy wążali się po okolicy zrzedząc i mówiąc o wszystkim, że jest do dupy; często samotnie bawiłem się w skomplikowane romantyczne gry lub odważnie wspinałem na drzewa wydając polecenia wymaginanemu towarzysowi podążającemu za mną. Raz czy dwa sztywnym krokiem przeszedłem obok grupy zawierającej Marka Lyle' a, gotów spłynąć, gdyby zaczęli mnie straszyc. Mielismy wtedy dużego, przyjacielskiego psa, który uciekał, jeśli nie trzymałem go na smyczy, ale świetnie pomagał w nawiązywaniu nowych znajomości. Wstyd mi było powiedzieć chłopcom z blokowiska, że pies wabi się Sibelius, więc udawałem, że ma na imię Bach, co wywołało kilka żartów, ale w żaden sposób nie rozwiązało problemu dyscypliny. Na widok Marka Lyle' a czułem niebywałe podniecenie i pierwsze udręki męskości w tym czasie obrały jego za swój obiekt, a nawet powód.

Pewnego dnia zobaczyłem go nad stawem z paroma innymi chłopcami i kilkoma dziewczynami. Próbowali puszczać latawiec w lekkim wietrzyku, ale uniósłszy się trochę w górę i zanurkowawszy kilka razy z klapnięciem spadł na ziemię. Potem linka natrafiła na młodą sosenkę, a pozostali stracili nagle całe zainteresowanie zabawą w puszczenie latawca i rozeszli się. Z walącym sercem, nie wiedząc, co powiedzieć, ruszyłem do przodu i zacząłem wyplątywać bawełniany sznurek z małego drzewka. Mark Lyle spojrział na mnie i także nic nie powiedział. Niezdarnie uwalnialiśmy sznurek i udało nam się resztę zamotać w serię pętli, które zaciągały się w węzły, gdy próbowaliśmy je rozsuptać. Nadal nic nie mówiąc, jedynie

pochrzążając w skupieniu lub ze złości, zgarnęliśmy wszystko i poszliśmy na ławkę dalej się nad tym biedzić.

- Pierdolona zabawa - odezwał się Mark Lyle po chwili. To było fantastyczne, że ktoś do mnie mówił w taki sposób. Siedziałem w oparach jego przekleństwa i old spice'a, wejrzawszy w nowe życie złożone z niemalże przerażających rozkoszy. Zerknąłem na niego nieśmiało; koszulę miał do połowy rozpiętą i, gdy pochylił się do przodu, dostrzegłem brązowy sutek. Czasami nasze ręce stykały się, kiedy nawijaliśmy rozplataną linkę na plastikową rolkę.

- Ten Dave Dobbs to pierdolona cipa - dodał.

- Tak, naprawdę pierdolona cipa - zgodziłem się, a Mark Lyle wybuchnął głośnym, wesółym śmiechem. Miał szeroką, opaloną twarz i duże usta, a obok nich dwa pryszcze, które powinien był zostawić w spokoju. Kiedy mniej więcej skończyliśmy, poklepał się po udzie i zapytał, czy chcę papierosa. Zaczerwieniłem się i odmówiłem.

- Nie masz nic przeciwko temu, że ja zapalę? - spytał z zupełnie zbędną uprzejmością. Właściwie potwornie się zmartwiłem, że umrze przedwcześnie na raka płuc, ale uległem urokowi i intymności sytuacji. Obserwowałem go w skupieniu, gdy wypalał embassy do samego filtra. Każde zmarszczenie brwi, każde zmrużenie oczu przy zaciąganiu się, sposób, w jaki utrzymywał dym między rozchylonymi wargami, a potem, gdy dym uciekał, wciągał go z powrotem przez nos, dwa czy trzy różne sposoby trzymania papierosa, które wypróbował, wszystko to wryło się w mojej pamięci, niczym pierwsza lekcja erotyki. Pomyślałem, że Mark Lyle jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałem.

Zobaczyłem go ponownie później tego samego lata. Przyjaźń, którą sobie wyobrażałem, nie rozkwitła. Właściwie zniknął całkowicie gdzieś na trzy tygodnie, pozostawiając mnie szarpanego beznadziejnym niepokojem. Pewnego wieczora wlokłem się do domu przez błonia od strony „Bedtek” wśród wysokiej, suchej trawy, kiedy dostrzegłem jego charakterystyczną grzywę jasnych włosów. Siedział na ławce zwrócony plecami do mnie i przez kilka sekund cały dygotałem ledwie kilka jardów za nim. Nie wiedział, że nie jest sam.

Od czasu do czasu unosił do ust coś, co wyglądało jak puszka piwa. Zrobiłem wielkie koło i podszedłem od przodu, udając, że zauważam go dopiero w ostatnim momencie. Zgodnie z naszą konwencją nic nie powiedziałem, tylko usiadłem obok i czekałem.

Mógł mieć najwyżej czternaście lat, ale udało mu się zapuścić prawdziwe bokobrody, trochę bardziej rude w kolorze niż reszta włosów. Miał na sobie koszulkę „Cream on Tour” oraz obcisłe, wysokie, błyszczące brązowe spodnie hojnie wybrzuszone. Bardzo dokładnie widać było kształt jego kutasa.

- Ciekawe, czy puszczałeś jeszcze ten latawiec? - wydusiłem w końcu. - Myślę, że jest bardzo dobry.

Mark Lyle wlał w siebie resztkę piwa, przepłukał nim usta i połknął, a potem beknął tak, że doleciał mnie jego zapach. Wyglądało na to, że zapomniał o old spisie.

- Jestem kurewsko najebany, człowieku - odparł, rzucił puszkę na ziemię i nadepnął na nią gwałtownie kilka razy.

Znowu konflikt podniecenia i strapienia. W pewnym sensie nadarzała się okazja, której potrzebowałem, by wprowadzić w czyn mój zbawienny plan, ale kiedy przyszło co do czego, wcale nie byłem taki pewny siebie.

Użyłem jednego ze zwrotów mojej matki:

- Nie powinieneś się tak zachowywać.

Spojrzał przed siebie i zaśmiał się niewesoło.

- Taa, odpiardol się. Co za mały upierd.

Łzy napłynęły mi do oczu. Chciałem wybuchnąć: - Nie, nie, kocham cię, kocham cię, nie chciałem, żeby tak wyszło, nie mów tak! - Ale on wstał i odszedł. Nie byłem w stanie patrzeć za nim. Siedziałem kłując krawędź ławki paznokciem kciuka. Odczekałem dziesięć minut uspokajając się po to tylko, by znów rozdarło mnie to potworne odrzucenie.

Próbowałem słyszeć w jego słowach jedynie nutę zwykłego przyjacielskiego rozdrażnienia, ale za każdym razem zatruwała ją zaciekłość całej reszty. Do nikogo nie powinno się mówić w ten sposób, pomyślałem. Potem skoczyłem na równe nogi i ostatnie kilkaset jardów do

domu przebyłem biegiem.

Edie pojechała do swoich rodziców do Londynu: potrzebowała opieki. Rozmawiałem przez telefon z jej ojcem, który powiedział mi, że Edie śpi, dano jej jakieś łagodne środki uspokajające. Wrócą wszyscy do Rough Common na pogrzeb. Nie co dzień widzisz, jak ginie dwójka twoich przyjaciół.

- To prawda - odrzekłem.

Wędrowałem po mieście. Ludzi było bardzo niewiele i w bocznych uliczkach rozbrzmiewało czujne echo, do którego przywykłem w pewnym większym i starszym mieście. Lecz na Fore Street rozstawiono stragany z owocami i warzywami, tanimi koszulami i bluzami, wielkimi kawałami czekolady pod plastikowymi płachtami. Spojrzałem na wał oszukańczo nieskazitelnych produktów (zawsze sprzedają ci nędzny towar ze skrzynek): czerwona papryka, czerwone jabłka, krągłe mandarynki z ciemnozielonymi liśćmi, zwarte fioletowe globusy kapusty, piramida pasternaku, pięknie przyciętego i równiutko ułożonego. Ranek już nigdy nie zobaczy niczego podobnego, pomyślałem.

- Słucham pana? - śmiało zagaił straganiarz, ale poczułem, że płaczę, więc odwróciłem się mamrocząc przygany pod swoim adresem.

Poszedłem dalej i minąłem „Jerzego IV”: nie chciałem spotkać nikogo znajomego. Obok sklepu jubilerskiego Levertonów z chełpliwym opisem ich arkanów: „Wisiorzy i łańcuszki «Cuda Levertona»„; obok spaczonych przez deszcz stojaków przed antykwariatem Digby’ego: towar wydawał się nie zmieniony od czasów moich szkolnych wakacji, może tylko bardziej popstrzony i wyblakły. Na rogu widniał szyld „Colin Maylord - Antyki” - oryginalny fronton sklepu, drzwi zapraszająco cofnięte w stosunku do framugi. Napis głosił: „Otwarte”, ale nie miał racji. Zajrzałem do środka, osłaniając oczy przed odbiciami w szybie. Zazwyczaj punktowe światła podkreślały bogate błyski mahoni i starego orzecha oraz wzmagaly wrażenie historycznego bogactwa cofającego się nieosiągalnie w wyłożoną gobelinami głębię sklepu. Lecz dzisiaj szyfoniery i krzesła, karciaki, zegary i toaletki

uginające się pod ciężarem porcelany z Coalportu tłoczyły się bezładnie w naturalnym półmroku, za dużo mebli upchniętych razem, jak podczas przeprowadzki. Spojrzałem z roztargnieniem na figurynki muzyków na wystawie, których metki odwrócono z przesadną skromnością.

Nie znałem dobrze Colina, niezbyt go lubiłem, a także nie rozumiałem, dlaczego Ranek miałby go lubić - czy nawet kochać. Czasami wpadał do tylnej sali w „Jerzym”. Miał około czterdziestu pięciu lat, był smukły, wyglądał na hetero, nosił miodowe sztruksy z mankietami, zamszowe buty do golfa, koszule w paski. Przymilny i niezabawny, rasowy koneser angielskich mebli. Ranek wyraźnie dał do zrozumienia, że nie był gwiazdą w łózku, ale miał za to niezwykle łagodny charakter; na pewno ogromnie mu pomógł, gdy Ranek przeżywał swój pierwszy paniczny strach dowiedziawszy się, że musi niedługo umrzeć. Lecz nigdy nie potrafiłbym przewidzieć, iż będzie końcowym punktem w szeregu kochanków, którego ja byłem pierwszym, i któremu przypatrywałem się bezradnie i z żalem.

Ranek zachowywał się w sklepie zupełnie swobodnie. Ostatnim razem, gdy z nim rozmawiałem, najpierw szwędął się tu i tam, a potem usiedliśmy wśród towarów, ja na wygodnym małym krześle windsorskim z metką opiewającą na siedemset funtów, on w markizce wchodzącej w skład ośmioczęściowego kompletu jadalnego z okresu regencji tłoczącego się bezpiecznie za nim i wycenionego na sześć tysięcy. Potem przyglądałem się, jak prawie przekonał parę Amerykanów do kupienia komody i rozbawiła mnie pantomimiczna przesada, z jaką wyciągnął szufladę z porcelanowym nocnikiem nadal in situ. Później staliśmy przed poplamionym przez czas lustrem, a ja luźno, choć mocno obejmowałem go od tyłu. Był chudy, zdawał się kruchy, jak jedna z tych bezcennych rzeczy, które sprzedawał. Lustro przeznaczone było nad kominek, więc powinniśmy przypiekać się przy wielkim płonącym polanie. Nasza rozmowa polegała na uprzejmych niedopowiedzeniach, ale prawie zupełnie zamierała, gdy spoglądaliśmy sobie w oczy w plamistych głębiach zwierciadła, gdzie wszystko było odwrócone. Pomyślałem, że Ranek patrzy na swoją śmierć. Wyślizgnął się z moich objęć i zaczął mówić o antykach.

Sporo się nauczył do tej pory; podróż jego serca pozostawała dla mnie niezbadana, lecz etapy jego kariery mogłem prześledzić z większą pewnością siebie. Może to wszystko powoli i meandrami prowadziło do tego cennego sklepu, z zastałym zapachem pasty do podłóg, usidlonego w leniwej stagnacji głębokiego kryzysu. Ale przez długi czas wydawało się, że życie zawiedzie go w zupełnie inną stronę.

Nie pracował wystarczająco pilnie na stopień w Dorset; zagmatwał się robiąc francuski, teorię filmu oraz rękodzieło krajowe i skończył z tróją, która wywołała znaczne napięcie w domu. Jego ojciec był pracoholicznym agentem ubezpieczeniowym i uparcie wierzył, że Ranek będzie taki sam. Lecz on zamiast tego wziął służebną posadę w Zakładzie Czyszczenia Dywanów. Przez rok, a może dłużej, prezentował swój wspaniały tyłek w sypialniach i salonach w okolicach Croydon, gdy na czworakach traktował „Pianą do Czyszczenia” wino i szkody papierosowe po niezliczonych młodzieżowych imprezach. Raz czy dwa przyłapał się na tym, że usuwa plamy własnego autorstwa. Jeden z przyjaciół Edie zadzwonił do niego w porę i Ranek magicznym sposobem przeniósł się do Londynu, gdzie szukał odpowiednich eksponatów dla „Świata Kandelabrow”. Nie widywałem go wtedy często, choć od Edie wiedziałem o romansie, który miał z wydawcą czasopisma.

Kiedy romans się skończył, skończyła się także praca. Ranek hulał wtedy gdzieś z rok. Zorientowałem się, że lekkomyślnie puszcza się i pieprzy z kim się da, z różnymi starszymi, bogatszymi mężczyznami, którzy czuli potrzebę, by się nim opiekować. Był rok 1983. Gdy znowu się spotkaliśmy, wydał mi się inny, przejaskrawiony, podniecony własną rozwiązłością. Potem wszystko poleciało na łeb i na szyję - jeden z jego kochanków zmarł niezrozumiale szybko. Nagle Ranek nie miał już pieniędzy.

Przez krótki czas pracował jako ten młody człowiek, który podtrzymuje zegary i wazony na postumencie w Christie's, gdy ogłasza się numery kolejnych artykułów. Nosił kasztanowaty fartuch tragarza z wdziękiem, jakby był to strój mający lada chwila przyjąć się w modzie; ale potwornie się czerwienił, gdy sto lub więcej par pożądlivych oczu spoczywało na nim lub przynajmniej na tym, co trzymał w dłoniach. Jedna taka para oczu należała do

seksownego włoskiego handlarza posiadającego sklepy w Bath i Tunebridge Wells, który poderwał go na aukcji zabytkowych chronometrów i po pięciu minutach przerznął w ubikacji dla klientów. Ich związek trwał pięć lat, a Ranek w końcu zaczął prowadzić przedsiębiorstwo w Tunebridge Wells. Dla mnie nadal był chłopcem, ale musiał mieć dryg do interesów, choć nie bardzo lubiłem myśleć o nim w ten sposób. Potem niezwykle spokojnie przeszedł do Colina. Wyglądało to niemalże tak, jakby został przekazany, może w zamian za uroczy sekretarzyk bez żadnych przeróbek. Jednak Colin wiedział o jego chorobie. Zakochał się w nim i był to właśnie ten rodzaj miłości, którego Ranek wtedy potrzebował. Siedząc przy nim w klubie, nudząc się na śmierć i blado uśmiechając z jego żarcików, w życiu nie można by się było tego domyślić, ale Colin odnajdywał się w dawaniu, chronieniu i roztaczaniu opieki nad innymi.

Podczas trzeciego roku mojego pobytu w Stonewell Ranek zaczął się pojawiać w kolejce podmiejskiej. Jego rodzina przeprowadziła się do wsi położonej kilka przystanków za Rough Common. Wstawiał swój rower do przedziału kierownika pociągu, a czasami po prostu stał z nim na korytarzu przy końcu wagonu; był do niego nieznośnie przywiązany. Kiedy docieraliśmy do szkoły, przemykał obok grupy chłopców idących na piechotę szybko zmieniając przerzutki, z głową pochyloną i pośladkami uniesionymi nad wąską grzędą siodełka. Pewnego piątkowego wieczora zajął wolne miejsce obok mnie, gdy ze stukotem toczyliśmy się wśród bujnego listowia przedmieść w stronę domu i odbyliśmy rzeczową rozmowę na temat zalet różnych nauczycieli francuskiego. Trochę go zbiło z tropu, gdy się dowiedział, że ja i Van Oss, wysoki ładny chłopak z niższej szóstej, bierzemy również lekcje holenderskiego u żony jednego z profesorów francuskiego. Nie widział w tym sensu.

Przyściśnięty przez niego na zakurczonym pluszowym siedzeniu miałem erekcję twardą jak kość, choć nie jestem pewien, czy przypisywałem to akurat jemu. W tamtym okresie podniecał mnie każdy fizyczny kontakt, nic nie mogłem na to poradzić. Ale możliwe, że to był właśnie ten moment, kiedy wszystko się zaczęło.

Graves i ja od początku trzymaliśmy się razem; w rzeczy samej Graves i Manners stali się uznaną szkolną spółką, jak słynny podręcznik czy rodzaj herbatników. Jako że byłem milszy, słabszy i bardziej towarzyski niż Graves, od czasu do czasu uświadamiałem sobie wady takiego partnerstwa. Musiałem czasami wypierać się go na rzecz nocnych imprez haszyszowo-rockowych w pracowni jednego z buntowników Raleigha; a wszelkie umowy co do godziny mego powrotu okazywały się zwykle zupełną klapą - Graves wpadał nieoczekiwanie, kipiąc sarkazmem i zazdrością, i zmuszał nas do słuchania Vaughana Williamsa. Mimo to był moim nałogiem i nie potrafiłem z nim zerwać.

Zachęcaliśmy się wzajemnie do tworzenia naszego własnego językowego świata. To Graves zlokalizował i wypieścił we mnie żyłkę pedanterii. Niczym szaleni naukowcy ustanowiliśmy wspólnie cały kompleks niepisanych zasad i grzywien, sprawiając, że nawet opiekun internatu, nauczyciel łaciny, z niepokojem wchodził do naszej pracowni. Wielkim krokiem naprzód było odkrycie francuskiego klasycznego dramatu: po semestrze z tekstami przygotowującymi do egzaminów końcowych, puszczałyśmy w obieg aleksandryny i przemawialiśmy z niezłym wyczuciem cezury. Graves był bardzo przejęty precieaux, klaskając przetłumaczonymi na angielski: o każdym, kto go obraził, mówił, że „zbrukał jego cześć” i rzadko kiedy odnosił się do swoich stóp inaczej niż „biedne cierpiętniczki”. Doskonale to pasowało do naszego bolesnego unikania monosylab i wstrętu do skrótów. W szkole, gdzie typowe ogłoszenie mogło brzmieć: „Wszyscy JDR zgłoszą się do CKK o 3 na LT”, kultywowaliśmy staromodną kwiecistość i niepotrzebną staranność stylu. Pewnego roku na cały Wielki Post nałożyliśmy na siebie kary za używanie zaimka pierwszej osoby liczby pojedynczej: w weekendy biegałem po błoniach wykrzykując: „Ja, ja, ja, ja, ja”, jak potwornie jękający się szaleniec.

I pisaliśmy. Graves zarzucił plany dotyczące sceny i pracował nad eksperymentalną powieścią, zmierzającą w zupełnie nowym kierunku, w której postaci nie tylko nie miały tytułów, ale też imion: mężczyźni identyfikowało się po cyfrach, a kobiety po różnych bezdźwięcznych dodatkowych znakach drukarskich, takich jak # i [. Wystukiwał ją z

ogromną prędkością, z muzyką w tle, w którą dzwonek karetki w maszynie czasami wpasowywał się niezwykle udatnie. Ja pozostałem wierny poezji i pisałem na zmianę zamaskowane fantazje vers libre o prefektach i wordsworthowskie cykle sonetów na temat pór roku, miesięcy, tygodni... Zacząłem nawet cykl dotyczący wszystkich dni, każdy wiersz miał być pisany danego dnia, ale natchnienie wyczerpało mi się na początku lutego.

Miesiące wydrukowano w szkolnej gazecie i dorobiły się bardzo drobiazgowej krytyki Gravesa. Ciocia Tina przeczytała je i rozbudziła w domownikach podziw dla mnie, sugerując z jakiegoś powodu, który wtedy wydawał się przekonujący, że powinienem spotkać się z Perrym Dawlishem, jej przyjacielem, i dowiedzieć się, co on będzie miał do powiedzenia.

Dawlish miał wtedy około siedemdziesiątki i w okolicy uznawano go za słynnego pisarza. Jeśli tylko pokazywał się na jakichś uroczystościach lub wyprzedażach, robiono mu zdjęcia dla „Wiadomości”; lokalna prasa sygnalizowała również jego rzadkie wystąpienia w programach telewizyjnych poświęconych pisarzom lat dwudziestych i trzydziestych: „«Bardzo dobrze znałem Merrifielda» - mówi sir Perry i wspomina jego trzy małżeństwa oraz żywe poczucie humoru, które, jak twierdzi, pewnym ludziom mogło wydawać się niepokojące!” Dawlish był baronetem, ale nie miało to wpływu na powszechne przypuszczenia, że nadano mu szlachectwo za zasługi literackie.

Jego wiersze opublikowano w „London Mercury”, gdy miał zaledwie piętnaście lat (dokładnie tyle co ja podczas tego pierwszego spotkania), a Squire załączył jego prace określając go mianem genialnej nowej gwiazdy w swoim Wyborze poezji współczesnej kilka lat później. Pisał również powieści, które zyskały rozgłos z powodu niezwyklej bezpośredniości; oraz nikłe uznanie Tennysona i Patmore’a. Ludność naszego miasteczka ujrzała z jego dzieł jedynie Wspomnienia, wyprzedawane niespożycie u Digby’ego, oraz cienkie książkopodobne broszurki, którymi zajmował się ostatnio: tekst do kilku wizerunków Królewskiego Londynu oraz antologia Muzy z Kentu. Oczywiście wtedy nie wiedziałem tego wszystkiego: dla mnie był on schludnym, starszym dżentelmenem z orlim nosem, którego widywałem pędzącego przez miasto, rzucającego spod krzaczastych brwi zaambarasowane,

lecz wesołe spojrzenie i uśmiechającego się do obcych, jakby go znali. Raz czy dwa wszedł do sklepu razem ze mną i zauważyłem, że sprzedawcy nieświadomie zaczynają zachowywać się w uroczysty sposób, okazując pewnego rodzaju feudalne upodobania. Wydawało mi się to głupawe, ale wzruszające. Czasami mijałem go na błoniach. Miał neurotycznego, zwariowanego spaniela, który wzbudzał zainteresowanie Sibeliusa, i tak pędził w dół zasłanego liśćmi wzgórza, że on i wirujące liście wydawały się jednym. Dawlish mówił „Dzień dobry” lub „Dobry wieczór”, ale nawet przez chwilę nie pomyślałem, że wie, kim jestem.

Dla mnie większość mistycznego czaru sir Perry’ego pochodziła z jego domu. „Bedłki” zyskały swą nazwę od grzybów z liliowymi blaszkami, rosnących obficie w wilgotnym lasku. Sir Perry rozdawał je niemalże na chybił trafił ludziom z miasta. Kiedy byłem małym chłopcem, moja mama otrzymała koszyk tych grzybów i pamiętam, jak niespokojnie zastanawiała się, czy są jadalne, czy to dar dobrego, czy złego ducha, a potem pospiesznie wyrzuciła je do śmieci. Gigantyczne buki piętrzyły się nad domem od strony błoni i ryczały wstrząsająco w wietrzne noce. Zimą mogłeś dostrzec między ich konarami strome czerwone dachy i pokryte gontem szczyty domu, a w powietrzu kołowało pełno gawronów i unosił się dym z ogniska. W lecie wszystko było ukryte; podjazd wił się wśród krzewów laurowych i rododendronów, przepuszczających cętkowane, intymne światło. Odwiedziny w tym domu równały się z magiczną realizacją marzeń przemieszana z dumą po trudnej walce o nagrodę.

Był późny maj i dachy omszałych przybudówek zakrywały opadłe kwiaty kasztanowców. Pomyślałem, że zabawnie by było pomyszkować w tych szopach z małymi okienkami w pajęczynach; zabawniej niż rozmawiać z sir Perrym Dawlishem. „Dobry wieczór, sir Perry” - ćwicyłem za namową zaniepokojonej ciotki. „Dziękuję już za ciasto, sir Perry.” Miałem wysokie mniemanie o Miesiącach, ale mimo to nie byłem w pełni przekonany, że ten sławny stary pisarz, który naprawdę znał Gordona Bottomleya, będzie chciał im poświęcić wiele czasu.

Wewnątrz willi panował głęboki mrok. Wiedziałem, że jest to romantyczna odmiana domu wiktoriańskiego, co tłumaczyło boazerię z ciemnego orzecha i witraże w hallu. Początkowo prawie nic nie widziałem i zaimponowała mi pewność siebie, z jaką Dawlish poruszał się po domu. Miał zafrapowaną minę kogoś nieprzywykłego do obcowania z dziećmi, ale zdecydowanego, że musi sobie poradzić. Głos miał wysoki i entuzjastyczny, mówiąc połykał samogłoski w manierze z poprzedniego stulecia.

Usiedliśmy w dużym zabałaganionym pokoju na tyłach domu, salonie-cum-bibliotece przechodzącym w ciepłarnię z drzwiami otwartymi na zaniedbany ogród. Znowu poczułem, że jest tu tak absolutnie i ślepo zadomowiony, podczas gdy ja ostrożnie stąпам między stertami książek, stojącymi lampami z pergaminowymi abażurami, małymi zagraconymi biurkami, na których pozostało ledwie kilka cali wolnej powierzchni do pisania. Zapadł się przy końcu sofy, która była wysiedziana i ukształtowana do jego osoby, i gestem wskazał mi twarde krzesło z guzikami na oparciu, przypominające damę w gorsecie.

- To bardzo miło z pana strony, że mnie pan zaprosił, sir Perry - powiedziałem. - Moja ciocia Tina przesyła panu... wyrazy uszanowania. - Jakoś nie mogłem wystrzelić z „uściskami”.

- A jak się miewa nasza droga Tina? - spytał z przenikliwym, wesołym spojrzeniem, które sugerowało, że obaj uważamy ją za niezbyt rozgarniętą.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Było to dalekie od prawdy, od razu sobie uświadomiłem: w rzeczywistości właśnie stwierdzono u niej raka krtani.

- Cóż za utalentowana z was rodzina. Powieści i literatura piękna: to twoja ciotka. Cudowny śpiew: to twój ojciec. A teraz również poezja. Musisz czuć się, jakbyś żył na Parnasie. - Odwróciłem wzrok, speszony tymi wyrazami uznania, i omiotłem spojrzeniem półkę obok: Miiłość i ziemia George'a Merrifielda, Ochra Violet Riviere, Aurelia Roberta Nicholisa, Dalsze wiersze Waylanda Stronga. Kurz leżał na nich grubą warstwą, jak niebieskozielony filc, ale mimo to... prawdziwe książki prawdziwych poetów. Znałem sonet Merrifielda Jabłecznik z Poetów naszych czasów; właściwie Graves twierdził, że ściągałem z

niego w mojej własnej Jesieni; ale zobaczyć kompletny, majestatyczny tom dzieł tego człowieka oznaczało zbliżyć się o krok do źródła. Zauważyłem cienką książeczkę V. L. Edminson i pomyślałem, że może sir Perry mógłby rozsądzić zawzięty spór między mną i Gravesem co do płci V. L. Edminson...

- Chodzisz na błonia? - zapytał.

- O tak, sir, zawsze tam chodzimy. Szczególnie podobają mi się o zachodzie słońca.

Bywa tam wtedy przepięknie.

- Przepięknie... prawda. Nie wiem, co bym zrobił bez naszych błoni. Paulette uwielbia hasać po szczytach wzgórz. To mój kochany piesek - wyjaśnił. Postanowiłem nie przyznawać się do jej prześladowcy Sibeliusa.

- Błonia mają tyle różnych postaci, nie sądzisz? Strome odcinki, płaskie odcinki, zalesione odcinki, otwarte odcinki... Jest tam odcinek na każdy nastrój! O tej porze roku zagajnik leszczynowy wygląda przeuroczo.

- Przeuroczo - zgodziłem się, nie całkiem wiedząc, który to jest zagajnik leszczynowy, ale porwał mnie nerwowy entuzjazm.

- Prawda? Wędruję tam i porządkuję swoje pomysły, jak je nazywam, śmiem twierdzić, że ty robisz to samo. Opracowujesz wiersz w głowie, potem pędzisz do domu i go zapisujesz?

Właśnie tak robiłem i czułem się zaszczycony, iż Dawlish robi tak samo.

Równocześnie czułem też lekką irytację, że przyrodniczy mistycyzm, który nabudowałem wokół błoni, nie jest moim prywatnym kultem i posiada innych, starszych adeptów.

- Czuję się tam, jakbym miał bezpośredni kontakt z Muzą - powiedziałem. - A kiedy siadywałem na moim specjalnym drzewie i czekałem na skrzydlatą gwiazdę, wtedy... wtedy...

- Bezpośredni kontakt, bezwzględnie „gorąca linia”, zgadzam się w zupełności.

Nie uważałem, bym mógł wyrazić to lepiej.

- Dużo pan ostatnio pisał, sir Perry? - Starąłem się, żeby zabrzmiało to tak, jakby jego nowa książka była tym, czego pragnę najbardziej... czego my wszyscy pragniemy.

- A wiesz, to prawda. Nowy tomik wyjdzie w przyszłym tygodniu; i mam już wystarczająco dużo wierszy na dwa kolejne.

- To cudownie - powiedziałem wyobrażając sobie, jak powtarzam te porywające, prawdopodobnie poufne, informacje Gravesowi i może kilku innym kumplom.

- Cóż - wzruszył ramionami i wymamrotał, że tempus cois tam, co przyjąłem z współczującym uśmiechem. - W tym wieku zaczynają się człowiekowi przypominać pewne rzeczy. Pisałem wiele o zmarłych przyjaciółach - i o moim bracie Tristramie, on oczywiście byłby wielkim poetą. - Zapatrzył się w podłogę. Czy powinienem zapytać o Tristrama? - My wszyscy musieliśmy być pisarzami jak cholera i dzięki Panu wszyscy zaczęliśmy młodo. Nie wiem, czy wiesz, ale Tennyson... - I rozpoczął opowieść o Dawlishach, biskupach, generałach, poetach, o Swinburnie, Henrym Jamesie, Robercie Bridgesie (jego ojcu chrzestnym) oraz młodym T. S. Eliocie, co niewątpliwie ustawiło ród Mannersów z hrabstwa Kent na właściwym mu miejscu i przykuło mnie do krzesła w tym zmurszałym mroku. Jednak po dwudziestu bodajże minutach poczułem, że moja koncentracja słabnie, twarz mi zastygła w lekko szyderczym zdumionym uśmiechu, a wiersze w plastikowej teczce nadal przyciskałem do łona, jak program innego koncertu. Boleśnie przeżyłem swoją ignorancję na temat Swinburne'a i Henry'ego Jamesa; T. S. Eliota mieliśmy przerabiać dopiero w przyszłym roku. Czułem się pochlebiony, ale równocześnie jakoś zraniony, że źle mnie ocenił i zalał tymi często odgrzewanymi potoczystymi głupotami.

Później poszliśmy razem do kuchni, jakby nie całkiem pewni, co tam znajdziemy, i udało nam się zrobić dzbanek herbaty. Znowu wydawało mi się zaszczytem, że wykonuję takie domowe czynności z wielkim człowiekiem i to wkrótce po poznaniu go: wywarłoby to na mnie mniejsze wrażenie, gdyby miał służących, tak jak oczekiwałem. Nie było mowy o cieście.

W końcu poprosił o Miesiące i pozostawiając mnie, żebym poszperał w bibliotece, usiadł na krześle w jaśniejszym końcu pokoju. Wyciągnąłem tom Merrifielda, opatrzony dedykacją: „Dla Perry'ego Dawlisha od Starego Huncwota - George'a Merrifielda, w majowy

dzień 1928: w świadomości, że zajdzie daleko..." Spojrzałem na spis treści w nadziei, że znajdę Jabłecznik, który i tak znałem na pamięć (pożyczona przeze mnie sestyna zawierała rzucający się w oczy rym „muł” i „pruł”); ale nie było go w Miłości i ziemi, którą być może wydano wcześniej. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak obszerny dorobek posiadał Merrifield.

Ta książka i kojarzące się z nią sprawy przejęły mnie grozą. Zastanawiałem się, dlaczego jej autora nazywano Starym Huncwotem. Wyobraziłem go sobie jak Ropucha z Ropuszego Dworu, w goglach i z cygarem, beztrząsco jeżdżącego na motorze po Sussex z jednej piwiarni do drugiej. Co chwilę zerkałem w stronę okna próbując dostrzec reakcję Dawlisha. Był do mnie zwrócony profilem i częściowo osłonięty baldachimem z szerokich liści bardzo rozkrzewionej rośliny stojącej za nim. Wydawało się, że każdy sonet czyta z niebywałym skupieniem. Albo może cichutko zapadł w drzemkę? Przyszło mi na myśl, że umarł. Nie - kolejna strona została wsunięta pod spód. Ciekaw byłem, do którego miesiąca dotarł. Zdawałem sobie sprawę z tego, że jedno miesiące są lepsze od innych, dlatego cykl rozpoczynał się od września, jak rok szkolny. Uważałem za nieprawdopodobne, by potraktował je bardzo surowo, ale i tak będę musiał zachować się rozsądnie i wysłuchać jego uwag skwapliwie i chętnie.

W pewnej chwili uniosłem wzrok i stwierdziłem, że Dawlish patrzy na mnie i powoli kiwa głową, w milczeniu szukając jak najbardziej taktownego wstępu.

- Cudowne - odezwał się. - Po prostu cudowne, naprawdę masz talent. Naprawdę. Gratuluję ci. Rozumiesz sonet, jak rzadko kto. I w każdym z nich jest jakiś zapadający w pamięć efekt. „Gdy krzyk wędrowca lodem się skrzy” jest wspaniałym wersem. - I powtórzył go jeszcze raz, żeby uwypuklić to, co nazwał „zimowym echem” krzyku i skrzy. Sam uważałem, że jest to najlepszy wers w całości, a aprobatą Dawlisha sprawiła, że nabrał czegoś w rodzaju statusu przysłowia. - Nie ma absolutnie żadnych wątpliwości, Edwardzie - mówił wykonując gesty rezygnacji, które czasami podnoszą wartość pochwały. - Jesteś pisarzem. Urodzonym pisarzem, powiedziałbym. Widzę przed tobą doprawdy świetlaną przyszłość.

Melancholijnie przeglądając książki w poszukiwaniu czegoś na pogrzeb Ranka, natknąłem się na Wiersze nowe i stare Peregrine'a Dawlisha, z dedykacją dla mnie, i towarzyszący im egzemplarz Miłości i ziemi Merrifielda, o którego pożyczenie ośmieliłem się poprosić tego dnia osiemnaście lat temu i którego nigdy nie zwróciłem. Miałem z tego powodu nieco wyrzutów sumienia, ale teraz było już za późno. Kartkując Dawlisha pomyślałem, że był dobrym georgiańskim poetą piszącym z dużą dozą lirycznego wdzięku; dopiero później źle ocenił swój talent i czyniąc bolesne wysiłki, by stać się nowoczesnym, przerzucił się na przeraźliwy biały wiersz oraz przyziemne tematy, w konsekwencji robiąc z siebie głupka. Można było zrozumieć, dlaczego Squire wychwalał go w wieku lat piętnastu: przypuszczam, że użył tych samych słów, które Dawlish z takim namaszczeniem wygłosił do mnie. Patrząc wstecz pomyślałem, że potrafię pojąć podejrzane emocje tamtego popołudnia: starszy pan, wzorujący się na innym starszym panu, w podnieceniu oklaskujący talent, który istniał tylko w jego wyobraźni, tak jakby głupio gratulował sam sobie. Ale wtedy tak bardzo pragnęłam usłyszeć właśnie to, że znalazłem w tym niemalże erotyczną przyjemność. Kiedy po sekundzie wahania pożyczył mi Merrifielda oraz dołączył do niego Wiersze nowe i stare, odkrywszy z lekkim zdumieniem od czego skrótem jest „Perry”, poczułem się, jakbym został mianowany jego dziedzicem. Było coś takiego w świetle tego dnia, w półcieniu, w którym siedział przy osnutym liśćmi oknie, co zatopiło jego słowa w bursztynie. Wciąż jeszcze rozbrzmiewała mi w głowie jego pusta przepowiednia; jak słowa jarmarcznego chiromanty, które trudno zupełnie zlekceważyć.

Na początku tych wakacji letnich co dzień po kolacji wędrowałem na błonia. Charlie właśnie wrócił z Cambridge z trójką i jakoś nikt nie bardzo wiedział, co powiedzieć. On ze swojej strony oświadczył, że jest niezależnym geniuszem i nie musi popisywać się na egzaminach. Odbyło się coś w rodzaju wyciszonej awantury (zawsze odbywało się to w ten sposób) o jego długie do talii włosy i ich prawdopodobny wpływ na każdego, kto będzie przeprowadzał z nim rozmowę na temat pracy. W końcu znalazł sobie dziewczynę, której

ustępował we wszystkim: „Lisanne twierdzi, że nie powinno się gotować warzyw”, „Lisanne twierdzi, że Schubert jest bardzo nudny”. Po kilku dniach Lisanne stała się niewidzialnym antagonistą w naszym domu, przedmiotem czci Charliego i gorącej odrazy wszystkich pozostałych. Niemalże pragnęliśmy, aby przyjechała i zamieszkała z nami, żebyśmy mogli jej odpowiadać osobiście.

Charlie dał mi do zrozumienia, że było to coś, co nazywał „sceną bez skrótów” i bez potrzeby przyszedł do mojego pokoju, aby wynosić pod niebiosa zalety piersi Lisanne i cud pigułki. Nic mnie oni nie obchodzili, a zmuszony do zastanawiania się nad nimi pogrążyłem się jeszcze bardziej w wakacyjnej melancholii, spowodowanej rozstaniem z chłopakami, do których tyle czułem i o których tyle rozmyślałem. W domu było gorąco i nudno; ojciec nie czuł się dobrze, miał depresję i zdawał się odsuwać od nas w nowy, niezrozumiały sposób; kilkoro moich przyjaciół z miasta umknęło na Skye, do Montpellier lub na Korfu ze swoimi rodzinami. Wiele chodziłem po wzgórzach niby-szpiegując opalających się ludzi, niby-ukrytych w wysokiej trawie i myśląc o Mawsonie, Turloughu i El-Barrawim, którzy przez sam fakt bycia tym, kim byli, w godny zazdrości sposób przekształcali wszelkie wakacyjne czynności w coś bardziej interesującego.

Moja ulubiona pora następowała tuż po zachodzie słońca, kiedy to mogłem obserwować pierwsze pojawienie się wieczornej gwiazdy, nagle jasno świecącej, wysoko na zachodzie nad ciemniejszymi konturami zagajników. Był to samotniczy rytuał, kończony fragmentami wierszy chaotycznie powtarzanymi znowu i znowu jak zaklęcia: zachód i gwiazda wieczorna, gwiazda, która każe zapędzić stado do owczarni i w ciepłej, żółtej koronie dryfuje ku zachodowi... Te chwile równocześnie wzmagały i koły moją tęsknotę, niczym pieśń. Przeczytałem w jakimś wierszu, że tę pierwszą gwiazdę nazwano skrzydlatą gwiazdą, i słowa te prześladowały mnie budząc myśli o przytuleniu, a także o bezdźwięcznej implozji, o czymś starożytnym, lecz efemerycznym; patrzyłem na nią w nastroju skrajnej samotności wnikającej głęboko w chłodny spokój. Ociągałem się, sprawdzając, ile bólu jestem w stanie znieść: musiałem wrócić do domu przed zapadnięciem zmroku, ale w pełni

lata mogło to być bardzo późno. Stałem się koneserem ostatnich, samotnych przemian błękitu w czerni.

Ten wieczór był bezwietrzny, a na niebie stały wspaniałe wysokie chmury, które poświata przemieniała w senne wieże różowości. Wspinając się na szczyt dostrzegłem w półmroku przelatującego jastrzębia, a po chwili rozległ się przejmujący pisk - pomyślałem, że to jakieś małe nocne zwierzątko, ale był to tylko chłopak na rowerze, hamujący i podskakujący na stromych, pokrytych koleinami ścieżkach. Cóż, inni też mogli dzielić ze mną półmrok. Czasami pojawiała się jakaś parka z psem, rozkoszująca się chłodem, lub dzieciaki z blokowiska, nie całkiem gotowe, żeby wziąć w tym udział. Charlie mówił, że pedały przychodzą do lasu w nocy, i wyobrażałem ich sobie z mieszaniną nieufności i fascynacji. Oparłem się o trianguł i znowu zobaczyłem zbliżający się rower. Jakiż to musiał być wysiłek - wspiąć się aż tutaj, nawet jeśli wjechał po łagodniejszym stoku od drugiej strony. Usłyszałem pisk hamulców i spostrzegłem koła chybotające obok mnie oraz stopę w tenisówce szurającą po ziemi, żeby złapać równowagę. To był Ranek. Przechylił się w moją stronę, ręką objął mnie za gardło, żeby nie runąć, tak że przez chwilę się dusiłem jak podczas bójki. Pozwolił rowerowi upaść w poprzek ścieżki i odskoczył wyplątując się z niego, podczas gdy koło nadal leniwie wirowało. Potem przez sekundę obejmował mnie ramieniem w geście wyrażającym zarazem przeprosiny i zaskoczenie.

Wyglądaliśmy jak para przyjaciół: ramię Ranka nadal ciężko spoczywało tam, gdzie przedtem, jego palce w roztargnieniu machinalnie gładziły mój obojczyk. Wpatrywaliśmy się w lśniącą, różowo-fioletową turnię chmury, która stała bez ruchu na zachodzie. Był bardzo ciepły po wysiłku fizycznym i miał lekko wilgotny od potu dres - nie nowoczesny, śliski i wielobarwny, ale miękki, stary, granatowy, stanowiący coś w rodzaju cieplejszego ubrania domowego, jak pizama do noszenia na dworze. Zawsze czułem, że wyglądam niekorzystnie w stroju sportowym, i zazdrościłem chłopakom takim jak Ranek, których dres pobudzał do życia. Analizowałem naszą odrobinę niewygodną pozycję, pustkę w moim żołądku i ból w udach, jakbym wdrapał się na wysoki budynek. Uniostem rękę i położyłem mu ją na plecach.

- Powinienem być wiedzieć, że spotkam cię tutaj - odezwał się, z cieniem drwiny właściwej szkolnym normom, ale również z cieniem pochlebstwa, jakbym mógł pojawiać się w jego myślach, ja - poetycki typek z niższej szóstej, być może wart tego, by rozważyć o niego powalczyć.

- Zawsze tu jestem - powiedziałem, żeby z miejsca odeprzeć wszelkie sugestie, iż to może być jego miejsce, nie moje.

- Od kiedy się przeprowadziliśmy, ja też przyjeżdżam tu czasami na rowerze. Moglibyśmy się jakoś umawiać.

Szalenie spodobał mi się ten pomysł. Może obaj miewaliśmy te wspaniałe chwile bezczynności - te grandes vacances - do wypełnienia. Ale z drugiej strony, o czym będziemy rozmawiali... Prawie się nie znaliśmy; w moim umyśle Ranek już posiadał pewien koloryt przez sam fakt mieszkania w Drake'u, z tym ich brązowo-śliwkowym paskiem. Był przystojny, w zeszłym semestrze dosyć beznadziejnie grał Orsina, ale jego silne ciało i fioletowe rajtuzy przydały tej roli innego interesującego aspektu. Odwrócił się w moją stronę, głęboko wciągając powietrze niby kulturysta, wypchnął pierś i zgiął drugą rękę. - Dotknij - powiedział wskazując na nią głową. Światło zanikało. Wahałem się przez chwilę. - No, dalej.

Przesunąłem dłonią po napiętym bicepsie, a potem udałem podziw - tak naprawdę nie interesowały mnie muskuły, może tylko jako element nierozzerwalnie związany z męskością, a co za tym idzie, wiążący również mnie. Potarł o moją pierś swoją klatą, jakby miał wielkie dziewczęce cycki. Czułem jego twarde sutki przez dwie warstwy bawełny. Można sobie było wyobrazić, że jest to jedna z rodzaju tych niemych zabaw, na których spędzali czas w Drake'u. Umierałem z pożądania.

Szybko sięgnął w dół i chwycił mojego sztywnego fiuta.

- I cóż my tu mamy? - zapytał żartobliwie, podczas gdy ja, protestując, rzuciłem się w tył z zasapanym chichotem. Ale jego ręka nadal spoczywała na moim ramieniu. - Hej, chodź no tu - powiedział zawodząc z amerykańską i powoli przyciągnął mnie znowu do siebie. - Widziałem, jak ci stanął wtedy w pociągu.

- Kiedy? - spytałem.

- Mnie też stanął. - Nie mógł bardziej mnie uradować. Pomyślałem, że jestem na wyższym poziomie niż ten osobnik, że piszę mnóstwo sonetów, mówię po holendersku, w rzeczy samej zamierzam nawet napisać cykl sonetów po holendersku. Delikatnie ujął moją dłoń i potarł nią o swój dres w miejscu, gdzie jego fiut ułożony bokiem w ciasnych slipkach stanowił twarde wybrzuszenie. Dlaczego byłem zawstydzony tym, że on mnie uwodzi? - Zróbmy to - wyszeptał, tuż przy mnie, pierwszy raz słyszałem, żeby ktoś tak tchnął moimi własnymi myślami. Niedaleko nas rozległy się głosy, więc wyrwałem się mu.

Pojawiła się starszawa para, która mogła stać w mroku od wieków. Jakbym ich rozpoznawał. Podziwiali majestat nieba, stratosferyczny podmuch wiatru bawiący się czubkiem chmury i wyginający go na kształt kowadła, podczas gdy jej niższe partie ciemniały przez kolor bzu do bezsilnej burzowej szarości. Och, dlaczego nie odpieprzyli się po prostu? Mężczyzna w czapce prawie potknął się o leżący rower Ranka. - To musi być droga na Ashringford - powiedziała żona wskazując na dalekie światła. Spojrzałem na Ranka i stwierdziłem, że on nie spuszcza ze mnie wzroku. To działa się naprawdę, mieliśmy zamiar to zrobić. Nasze pełne wyczekiwania milczenie musiało być namacalne dla tamtych; kiedy zniknęli na stromej ścieżce, usłyszałem szorstkie „nie wiem” żony i ciekaw byłem, jak brzmiało ciche pytanie.

Jednocześnie podeszliśmy do siebie, a Ranek pocałował mnie nie otwierając ust, jakby on z kolei nieśmiało prosił o odpowiedź. Była to najdelikatniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek zaznałem od chłopca, bluźniercza i niekłamana. Znowu wyciągnąłem dłoń i pogłaskałem go przez majtki, a on mi po prostu na to pozwolił. - Lepiej wejdźmy pod drzewa - powiedział i poszedł po rower. - Nie chcę go stracić. - Pomyślałem: „Ale przecież tam chodzą pedały”, wyobrażając sobie jakąś subtelną różnicę pomiędzy tym, co robią oni, a tym, co zamierzaliśmy zrobić my.

Mocno odczułem tę chwilę fizycznej separacji, gdy okrążyliśmy sadzawkę. Ranek prowadził między nami rower. Chciałem, żeby wszystko znowu się zaczęło, a potem, gdy

wkroczyliśmy w noc na skraju lasu, poczułem również lekki strach. „Mroczne lasy” poezji stały się rzeczywistością. Nie widzę kwiatów pod moimi stopami. Porosłe paprocią poszycie lasu. Często wydeptywałem tu ścieżki za dnia, ale teraz było dziwnie inaczej, sierpniowe zarośla wydawały się niebywale gęste i poplątane.

Ranek stanął, żeby oprzeć rower o drzewo i szepnął głośno:

- Hej, Manners... nie idź za daleko. - Może próbowałem prowadzić, jakbym robił to często. Ruszyłem z powrotem w jego stronę i wpadliśmy na siebie. Początkowo po prostu nic nie widziałem, ale później zacząłem rozróżniać pnie drzew i krzaki na tle względnej jasności otwartych błoni poniżej. Objęliśmy się jakbyśmy chcieli dodać sobie otuchy, a ja nieśmiało przesunąłem dłoń po jego twarzy (pocałował ją!) i krótkich lokach. Usta miałem otwarte i cierpkie z pożądania. Nakrył je swoimi wargami i wcisnął między nie gruby szokujący język.

Kiedy wyszliśmy z lasu, wiedziałem, że jestem spóźniony i muszę się spieszyć.

Wzniesione wysoko kowadło chmury zmieniło się w rozwichrzoną palmę ciemności na tle trochę innej ciemności nieba. Pragnąłem być sam, pragnąłem, by to stało się znowu. Ranek wsiadł na rower i wsparł się na moim ramieniu, żeby złapać równowagę. Był to zdecydowany, trochę bolesny uścisk, przez który zdawał się zupełnie na mnie polegać, jakbyśmy byli parą akrobatów. Potem szybko zawrócił na darni. Pobiegłem do triangułu i obserwowałem pędzącą smugę jego przedniego światła i czerwony błysk tylnego, podskakujące i kołyszące się na ścieżce w dół zbocza. Nagle zniknął mi z oczu.

Geoffrey i Mirabelle Turloughowie byli dobrymi przyjaciółmi moich rodziców, chociaż nigdy dokładnie nie wiedziałem, dlaczego. Geoffrey był żyłastym mężczyzną z przygnębiającą szarą brodą i bez poczucia humoru, podczas gdy Mirabelle mogłaby ucieleśniać humor w żywym obrazie. Była potężna i bezpośrednia, miała krótkie ciemne włosy i okulary na łańcuszku. On pracował jako kierownik lokalnego biura planowania, ale tuż po wojnie świetnie amatorsko grał w tenisa: można go sobie było wyobrazić, jak miesiącami ćwiczy serw. Spotkali się w Klubie Tenisowym, gdzie Mirabelle często

sędziowała na meczach pań. Później kontuzja ramienia zmusiła go do poniesienia sportu, ale Mirabelle, sama nie potrafiąc grać, zachowała namiętne zainteresowanie tenisem, czym Geoffrey chyba czuł się mocno dotknięty. Kiedy byłem nastolatkiem, on zawsze nosił szare flanelowe spodnie, marynarkę i krawat, a ona białe rybaczkę i sportowe koszule z kieszeniami dokładnie na piersiach; często obciągała koszulę na biodrach w wesoły sposób, jakby mówiła „Może chciałbyś podotykać?” Co roku pod koniec czerwca pojawiała się w mundurku w telewizji, gniewnym spojrzeniem omiatając linie kortu i wrzeszcząc „Błąd”, gdy tylko było to możliwe. - Ona krzyczy tak głośno - powiedział kiedyś mój tato - że właściwie nie potrzeba telewizora, żeby to usłyszeć. - Jednak te dwa weekendy pod koniec semestru letniego zawsze spędzaliśmy oglądając tenisa przy zaciągniętych zasłonach, nie z powodu jakiegoś szczególnego zainteresowania tym sportem, ale raczej w nadziei, że ujrzymy naszą przyjaciółkę przykucniętą za umiśnionymi nogami gracza odbierającego piłkę. Tydzień później Turloghowie przychodzili na kolację i Mirabelle wyjawiała najciekawsze ploty, które zasłyszała na temat tenisistów - zwłaszcza dotyczące ich życia intymnego, z rodzaju tych, jakich nigdy nie wspominało się w naszym domu, i które wszyscy, łącznie z Geoffreyem, przyjmowaliśmy dosyć sztywno.

Od początku wiedziałem, że Mirabelle bardzo otwarcie podchodzi do seksu, w sposób zupełnie nie przystający do moich rodziców. Z drugiej strony wydawało się, że nie istnieje żadne porozumienie między nią a jej mężem, gdy tymczasem moją matkę i ojca w oczywisty sposób łączyła jakaś głęboka, choć powściągliwa więź. Geoffrey był przyzwoitym, rozczarowanym mężczyzną, który zawsze wypytywał o moje egzaminy, podczas gdy Mirabelle mówiła do mnie „kotku” i puszczając oko brała w krzyżowy ogień pytań na temat nie istniejących narzeczonych. Oboje zdawali się ucieleśnieniem jakiejś tajemniczej rzeczy - może wady, a może zasady - dotyczącej małżeństwa i niewyobrażalnych późniejszych epok dorosłego życia. Zawsze wypompywała ze mnie informacje o ich boskim synu Williem, który był rok wyżej w Stonewell i budził pożądanie absolutnie we wszystkich; przeżyłem niepokojący moment podsłuchawszy, jak mówi mojej mamie, że z łatwością mogłaby się

zakochać w tym chłopcu, a mama odpowiada: - On jest za młody dla ciebie, moja droga! - Niestety Willie wdał się w ojca, jeśli chodzi o skrupulatność i bezbarwność, i był nieprzystępny dla wszelkich namiętności oraz zalotów. Później, gdy stało się jasne dla mojej matki, że jestem gejem, to właśnie Mirabelle pomogła jej oswoić się z tym faktem, mówiąc o tym jak o godnej zazdrości sytuacji życiowej, wręcz błogosławieństwie... Cały czas z odrobinę nużącą życzliwością powracała do tego tematu.

Po śmierci mojego ojca starała się być blisko mojej mamy i przyjęła zwyczaj wpadania trzy, cztery razy w tygodniu na poranną kawę. Przez całe lata kojarzyła mi się z naszym przyjacielskim dzwonkiem do drzwi, który właściwie nie dzwonił, lecz rwanym dwutonem radośnie obwieszczał zbliżające się towarzystwo. Kiedyś niestosownie przerywał ćwiczenia mego ojca. Ale później, gdy już prawie nikt inny nie przychodził, słowa „Mirabelle” i „dzwonek” stały się niemalże synonimami.

Siedziałem z mamą przy stole kuchennym, przeglądając Elegię Graya w Złotej skarbnicy; zdumiało mnie, że tak słabo ją pamiętam. Nie wydawała mi się szczególnie odpowiednia dla mojego zmarłego przyjaciela, który błąkał się koło gaju, ale się nie smucił, i nie był Szczęściu nie znany. Pomyślałem, że mamie musi się po prostu podobać ton utkanego maksymami pocieszenia. - Samo zakończenie - powiedziała i wskazała na wers zaczynający się od „Pewnego dnia na wzgórzu, gdzie wrzosów bez liku...” Wtem zabimbał dzwonek. - Dziesiąta pięćdziesiąt pięć - skomentowała mama z ironią, ale bez niechęci.

Mirabelle miała teraz sześćdziesiąt cztery lata, rok więcej niż moja matka; ale podczas gdy w moich oczach mama wcale się nie starzała i trwała w idealnej czterdziestce sprawności i urody, wygląd jej przyjaciółki zaskoczył mnie. Po kilku miesiącach niewidzenia wydała mi się nagle starą kobietą. Jej solidna postura przemieniła się w dychawiczne cielsko o kilku upudrowanych podbródkach. Okazało się również, że ten dziwaczny kompromis, jakim było jej małżeństwo, przechodzi nieoczekiwany kryzys.

Z początku była cała radosna, opadła na przestraszone kuchenne krzesło i przyjrzała mi się badawczo.

- Cudownie cię widzieć, kotku, ale on wygląda trochę blado i ma cienie pod oczami; prawda, Peg? To zapewne dlatego, że późno tam chodzisz spać.

- Myślę, że naprawdę schudł - nieszczerze odpowiedziała mama.

- Mam nadzieję, że poznałeś jakiegoś uroczego holenderskiego chłopca, prawda, blondyna z szarymi oczami, bardzo przyjacielskiego.

- Ale ja nie mieszkam w Holandii - odpowiedziałem, lękając się zbyt skomplikowanej prawdy.

- Przyjechał tu na pogrzeb, wiesz... - powiedziała mama.

- Kotku, to doprawdy potworne. Biedactwo, i oni też biedactwa, och Boże...

Willie'emu urodziło się trzecie dziecko, chłopczyk: zupełnie nie mogli się zdecydować, jak dać małemu na imię, więc nazywali go Numer Trzeci albo jakoś tak głupio, jak Marmaduke, a ja obawiałam się, że to może do niego przylgnąć. W każdym razie teraz zamierzają nazwać go ku pamięci twojego przyjaciela.

- Co, Ranek...? Nie jestem pewien, czy to...

- Nie, głuptasie, Ralph.

- Myślę, że Ralph Turlough brzmi świetnie - odrzekłem, choć czułem, że Williemu udało się jakoś nie trafić w sedno.

- Jestem pewna, że bardzo chcieliby się z tobą spotkać. - Zawahała się i wzięła kawę, którą podawała jej moja mama. - Sama znajdowałam tam schronienie ostatnimi czasy. Cóż, mogę przecież pomagać przy dziecku. - I wtedy cała historia wyszła na jaw: Geoffrey, w ciągu paru tygodni po przejściu na emeryturę, wpadł w ostrą depresję, twierdził, że ich wspólne życie jest bezsensowne, że nigdy nie kochał Mirabelle, nawet nie bardzo ją lubił, i że wiedział wszystko o jej romansach z licznymi mężczyznami, w tym, jak można się było domyślić, z moim własnym ojcem. - A ja nigdy! - wykrzyknęła cockneyem Dandy'ego Nicholasa. - Ja nigdy! - Moja mama uśmiechnęła się ufnie. - Wiesz co mi dzisiaj powiedział? - ciągnęła Mirabelle. - Wszedł do kuchni i powiedział: „Dzień dobry, dobry wieczór i dobranoc, a teraz nie muszę się do ciebie odzywać przez resztę dnia.” I po prostu przesiaduje

tam, wiesz, z palcami wetkniętymi w brodę.

- Nie uważasz, że ktoś powinien mu pomóc? - zasugerowałem.

- To ja potrzebuję pomocy, kaczuszek. Jeśli mogę coś powiedzieć, to fakty są takie, że kiedy zapuścił brodę, pomyślałam: „Och nie”, ale nie mógł już grać w tenisa, co ciężko przeżywał, i musiał mieć coś do roboty. I po pewnym czasie przywykłam do niej, nawet zaczęła symbolizować, choć sama w sobie była koszmarem, jakąś drapiącą otuchę i bezpieczeństwo. Ale teraz... Cały czas chciałabym zejść go od tyłu i po prostu ją urąbać! Nigdy nie zapuszczaj brody, kotku. W brodzie jest dużo więcej, niż na pierwszy rzut oka się zdaje.

Kiedy tak mówiła, coraz bardziej porywał mnie prąd wspomnień, niejasno rozbudzonych przez jej obecność i wersy z Graya - nastrój opuszczenia tamtego lata roku 1976, w którym ona i Geoffrey odegrali pewną rolę, wspomnienie seksulnego osamotnienia, które później na większą część mojego życia nakładało swoje niepojęte szablony.

Przypomniałem sobie dzień po pierwszym razie z Rankiem, gdy schodząc na dół po schodach pogrążony w jakimś rozważnym zdumieniu, uczułem, że został mi dany wstęp do świata, który leży tuż po drugiej stronie parkietu, lodówki, radia, fortepianu deklamującego w salonie. Ukradkiem popatrywałem na moją rodzinę, zastanawiając się, czy oni też są mieszkańcami tego pasjonującego wymiaru. Być może Charlie; ale jego relacje z życia z Lisanne w dziwny sposób pomijały jakiegokolwiek wzmianki na ten temat. Czułem się zarazem drażliwy i niezrównanie tolerancyjny. Z posępną miną przejrzałem listę zakupów zrobioną przez mamę, ale potem, gdy znalazłem się na ulicy, roztańczonym krokiem pomknąłem do piekarza, niczym bohater komedii muzycznej.

Na pewno nie wstałem bardzo wcześnie. Przez wszystkie wakacje okresu dojrzewania do późna próżniaczyłem się w łóżku, jakbym chciał zrekompensować sobie surowe szkolne poranki, zimowe ubieranie się w ciemnościach. Czasami była już 11.30 lub 12, zanim zszedłem na dół na filiżankę kawy, gdzie ostrzegano mnie, bym nie objadał się przed

lunchem. Były to godziny rozkosznej nudy w półświecie sypialni, trochę czytałem, zapadałem w drzemkę i budziłem się przy pieśniach dochodzących z dołu, Schöne Mullerin przez całe to lato, gdyż ojciec był oklapnięty i niezadowolony. Snułem marzenia o fantastycznych sytuacjach erotycznych z chłopcami ze szkoły, zasypiając pośród nich, potem budząc się i doprowadzając ich do następnych bajecznie gorszących czynów. Znużona tym mama wykrzykiwała z hallu na dole niezamierzony półżart: - Długo jeszcze będziesz się wałkonił? - A ja odpowiadałem oględnym eufemizmem: - Rozmyślam sobie.

Teraz, gdy naprawdę kochałem się z kimś, i co bardziej jeszcze zdumiewające, ktoś kochał się ze mną, tamte fantazje zostały nieznacznie podważone. Było dziwnie, trochę strasznie, nogi miałem poparzone pokrzywami, tak naprawdę tylko dużo się całowaliśmy, potem szybko wzajemnie się wybrandzłowaliśmy, ale różniło się to absolutnie od nieczułego, okazjonalnego walenia konia w szkole z kimś, kto potem nazywał cię pedałem. Następnego dnia głowę miałem pełną uniesienia, cudownej pewności, że zrobiliśmy to dla siebie nawzajem. Gdy spotkamy się dzisiaj, uczynimy następny krok w senne runo miłości. Zanim wyszedłem na spacer po kolacji, zrobiłem plany wybiegające daleko w przyszłość. Podciągnąłem Ranka w nauce, tak że uzyskał zaskakujące wyniki na egzaminach, a on wykształcił ze mnie wzbudającego szacunek biegacza i pływaka. Pisałem długie listy do wymyślanego przyjaciela za granicą, w zaślepieniu drobniawo opisując czułość i urodę Ranka. Po naszych początkach na świeżym powietrzu, zamknąłem go ze sobą w odosobnieniu a la des Esseintes, w ezoterycznym świecie jedwabi, futer i absolutnego zaspokojenia.

Lecz Ranek nie przyszedł. Siedziałem na ławce czytając Tennysona i kompletnie nic z niego nie rozumiejąc, a co kilka sekund szukałem wzrokiem roweru lub samego Ranka w ciemnym stroju sportowym. Wiał silniejszy wiatr niż poprzedniego wieczora, las chwiał się burzowo jak w zwolnionym tempie, staw migotał i szemrał. Czekałem, dopóki nie zaszło opatulone obłokami słońce, a wiatr nie rozwiął armatniego dymu niskich chmur i nie odstąpił nieba coraz gęściej pokrytego gwiazdami. Oczywiście nie umówiliśmy się na spotkanie. Przez

chwilę nerwowo przechadzałem się skrajem lasu i patrzyłem w stronę, z której, jak przypuszczałem, powinien nadjechać, szukając światełka omiatającego trawę i krzaki. Ale były tylko światła samolotów, wysoko w górze, wznoszących się z Gatwick, i przerywane ziewanie ich silników, a gdy odlatywały, drzewa zaczynały kołysać się gwałtownie. Trzęsem się z zimna w samej koszulce i żeby się rozgrzać ruszyłem do domu biegiem, tworząc historyjkę o tym, jak to bezpiecznie wracałem wzdłuż drogi.

Następnego dnia wpadłem w rozpacz, nawet uroniłem kilka łez w swoim pokoju, co poruszyło mnie do głębi, a przez to prawie rozweseliło. Wiedziałem, że muszę zadzwonić do Ranka i, żeby to zrobić, wstałem podejrzanie wcześniej i kręciłem się z książką po hallu, dopóki nie stwierdziłem, że droga jest wolna, a potem raptownie udawałem, że mam zupełnie inne zamiary, kiedy mama albo Charlie na nic nie zważając przechodzili obok. Im dłużej zwlekałem, tym bardziej i bardziej byłem zdenerwowany. Nie znałem ich rozkładu dnia ani nic o nich nie wiedziałem; w książce telefonicznej znalazłem ich adres i mocą wyobraźni ujrzałem numer 12 przy Sands Road - przez samo brzmienie dosyć przyjemny - jako domostwo srodze niechętnie wszelkim telefonom, zwłaszcza od chłopców, którzy chcą pieprzyć syna gospodarzy. Wyobraziłem sobie, że Ranek zaprzecza wszelkiej znajomości ze mną odkładając słuchawkę lub po prostu obojętnie mnie zbywając. Już zacząłem wykręcać numer, gdy mama wyjrzała z kuchni i spytała:

- Nie możesz poczekać na tańszą taryfę, kochanie? - Pogodziłem się z jej sprzeciwem jedynie miną okazując, że robię to niechętnie.

Od piątej zaciskałem spieczone usta ćwicząc wstępne uwagi, zawierające dodatkowy ustęp w celu oczarowania rodzica (nie zapomnij się przedstawić i przeprosić, że przeszkadzasz), który blokowała kwestia, jak powinienem się do niego zwracać. Potem muszę powiedzieć: - Cześć! Ranek? Tu Edward... tak, super... - i mieć nadzieję, że usłyszę ciepłą nutę w jego głosie, i jeśli to w ogóle będzie możliwe sprowokować go, żeby sam zaproponował spotkanie. Około szóstej te kilka prostych zdań przerodziło się w histeryczny szwargot w mojej głowie, jakby obiegly pokój wkoło w zabawie w głuchy telefon.

Podszedłem do aparatu, ale dzięki Bogu właśnie w tym momencie zadzwonił ktoś do mojego taty, więc przełożyłem całe przedsięwzięcie na szóstą trzydzieści.

Po kolacji powiedziałem:

- Zadzwonię teraz, mamusiu - poszedłem i zrobiłem to tak szybko, że adrenalina dogoniła mnie dopiero w chwili, gdy ktoś podniósł słuchawkę: dziewczyna, dosyć impulsywna i znudzona. To znaczy, że Ranek musi mieć siostry. Wszyscy wyszli, jak powiedziała. Albo ujmując to inaczej, jest w domu zupełnie sama. Brzmiało to niemalże tak, jakby chciała, żebym przyszedł i przerznął ją w zastępstwie brata. Powiedziała, że przekaże Ralphiemu, iż dzwoniłem, i najpierw niechlujnie przekreśliła mój numer, a dopiero potem powtórzyła go dobrze.

Wyruszyłem w tęskne nieużytki pełni lata. Ranek nie oddzwonił. Tęskniłem za nim na wzgórzu, gdzie wrzosów bez liku, że hej. Brakowało mi go w każdym miejscu. Zdarzały się dni, gdy miałem wrażenie, że nic się w ogóle nie stało; kiedy indziej znów czułem się jak własny cień, obdarowano mnie tykiem cudownego eliksiru, a potem wyrwano mi go z rąk. Wiedziałem, że to absurd zakochać się po dziesięciu minutach pospiesznych pieszczot, ale to tylko przydało mojej namiętności pierwiastka histerycznej determinacji. Wszyscy zauważyli, że mam chandrę, ale dom nawiedziły większe nieszczęścia, które odsunęły moje w cień. Stryjeczna ciotka Tina była bardzo chora; Charlie odkładał wizytę u rodziców Lisanne (którzy wcale nie byli pewni, czy to w ogóle dobry pomysł) i bezsensownie dłubał przy jakichś obwodach w swoim pokoju; i mimo że nic mi nie powiedziano, zauważyłem, iż ojciec mniej pracuje, więc coraz roztropiej dysponuje się pieniędzmi. Zaczął odwoływać koncerty. Był błąd i zamknięty w sobie. Pytałem go, czy dobrze się czuje, a on wypinał pierś, jakby zaraz miał zaśpiewać, i mówił: - Nic mi nie będzie, jestem tylko trochę nie w sosie. - Ale nie pojechaliśmy tego roku na dwa tygodnie do Kinchin Cove; i znowu odłożyliśmy wymianę na nowy naszego rdzewiejącego humbera snipe, duszącego się potwora, który co prawda za bytności u nas nigdy nie był zupełnie nowy, ale sześć lat temu stanowił symbol zamożności: zaczynał przypominać dychawiczne stare kadłuby z podwórka na blokowisku. Samochody

zawsze mnie pasjonowały, więc czułem się jak przekłuty balonik, a do tego zawstydzony.

Mama powiedziała, że moje chesne kosztuje więcej niż samochód i wiedziałem, że nie wolno mi narzekać.

Po upływie pierwszego tygodnia zacząłem dzwonić do Ranka dwa lub trzy razy dziennie z budki telefonicznej w mieście, choć nigdy nikt nie odbierał. Musieli wyjechać na wakacje: był zupełnie gdzie indziej, paradował po plaży, ganiał swoje siostry, łapał je i dawał im klapsy, niezręcznie odgrywając macho, by mogły protestować ze śmiechem.

W domu czułem się jak w pułapce, ale nie chciałem przegapić okazji, gdyby Ranek zadzwonił. Mieliśmy głośny trelujący telefon, ale był to telefon towarzyski i wyobrażałem sobie Ranka zbitego z tropu i przetrzymywanego przez sygnał „zajęty”, gdy nasi gadatliwi sąsiedzi (których znaleźliśmy tylko z głupawych fragmentów rozmów hamujących nas, gdy próbowaliśmy gdzieś zadzwonić) bredzą godzinami. Zacząłem mieć halucynacje słuchowe i wyławiałem pisk telefonu w zwyczajnych półtonach i alikwotach domu - w telepaniu i brzęczeniu lodówki, w posępnym wyciu odkurzacza, w kroplach pluskających do napęniającej się cysterny na wodę. Być może zaczynałem wariować z rozpaczą. Dużo leżałem na podłodze, gapiąc się przez korytarz na fragment dywanu w sypialni od frontu, gdzie ukośnie padające promienie słońca oświetlały różnorakie pudła wetknięte pod łóżko. Raz, gdy wszyscy wyszli, poszedłem do salonu i z nieporadną dzikością waliłem w tę i we w tę po klawiszach fortepianu, na którym nie zgodziłem się nauczyć grać - a uważny Sibelius stał obok mnie, jakby gotów przewracać kartki z nutami. Był to jeden z rzadkich momentów *faute de mieux* wspólnoty z tym psem, który skądinąd całą swą lojalnością obdarzał moich rodziców, a mi nadal uciekał, gdy brałem go na spacer.

Czasami przychodziła pocztówka od przyjaciół przebywających na wakacjach i przyglądałem się ponurej społeczności na plażach płonąc z ciekawości. Ten chłopak w czarnych kąpielówkach wysoki na pół centymetra na drugim planie w Rapallo lub Cagnes-sur-Mer wyglądał na bardzo napalonego. Było tam niesamowicie seksownie. A tutaj mogłem spotkać tylko kilku piwoszów na trawie i staruszków bez koszul siedzących na ławkach i

sluchających relacji z krykieta w malutkich tranzystorach. W mieście odnajdowałem rzeczy objawiające absurdalnie seksualne podteksty: dziesiątki razy łąziłem po wymaginowane sprawunki, żeby popatrzeć na chłopca od rzeźnika, o pełnych wargach i poznaczonej przyszczami twarzy, przekomarzającego się w drzwiach ze swoimi bezrobotnymi kumplami. Wiedziałem, na której półce u Digby'ego leżą używane podręczniki do fotografii oraz księgi zdezaktualizowanej seksuologii. Nawet beżowe manekiny o mocnych szczękach na wystawach zakładów krawieckich, z uogólnioną wypukłością między nogami posiadały pewną siłę sugestii, podobnie jak surrealistyczne przekroje używane do wystawiania bielizny, tak jakby strefy erogenne naturalnej wielkości zostały odlane z mlecznej czekolady. Bycie zakochanym zdawało się uprawniać i wzmacniać ślepe pożądanie do wszystkiego wkoło; czułem się winny, że nie dotyczy mnie konwencjonalna mądrość każąca nie spoglądać na innych mężczyzn.

Pamiętam, że to właśnie ten przygnębiony dom Geoffrey i Mirabelle odwiedzali całkiem często, jakby zaparli się, że nas rozchmurzą. Wyglądało to tak, jakby zaimprovizowanymi przyjęciami próbowali pobudzić nas do życia; przychodzili z połową butelki befeatera lub kilkoma bezami w puszcze. Koncept Geoffreya rozchmurzającego kogokolwiek miał w sobie coś niestosownego, co pogłębiało wrażenie wymuszonej zabawy. Czynił autentyczne wysiłki, często się uśmiechał w dosyć niemądry sposób, raz nawet opowiedział długą zabawną anegdotę, po której zapadła pełna wyczekiwania cisza, a Mirabelle szybko dopowiedziała odpowiednią pointę i wskazała na błąd we wcześniejszej części historii, zmieniający znaczenie całości. Tak naprawdę to Mirabelle wszystkim się zajmowała.

Miała uroczy, przejrzysty głos, zarówno wtedy, gdy pokrzykiwała jako sędzia liniowy, jak i wtedy, gdy śpiewała, a ja wyobrażałem sobie, jak on osiąga swoją świetlistą czystość w potężnych kotłach jej piersi. Zawsze w obecności mojego ojca posługiwała się nim bardzo nieśmiało, robiła bezsensowne uwagi o tym, że w ogóle nie umie śpiewać, ale potem z czystego umiłowania muzyki mimowolnie wybuchała kilkoma frazami z Cole'a Portera, gdy

wynosila talerze lub nalewala drinki. Czasami zdarzalo sie, ze spiewala w duecie z moim ojcem, co zapewne wydawalo jej sie mniejszym zarozumialstwem, choc on o wiele bardziej wolalby jej po prostu sluchac, a jeszcze lepiej, zeby w ogole nie bylo spiewania:

- Za spiewam, jak Lewis za spiewa - mawiala, co moglo stanowic podstawe zazdrosci przepefniajacej Geoffreya przez te wszystkie lata.

Mój ojciec miał ogromną awersję do aktorskiej interpretacji piosenek, do wywracania oczyma, kładzenia dłoni na biodrach czy wymuszonej wesołości. Zwykle śpiewał w postawie żołnierza na warcie, zaprzysiężonego jakimś wyższym racjom. Jednakże Mirabelle okazywała upodobanie do piasów i układow tanecznych, które ujawniały nie spełnione pragnienie występowania na scenie i wydawały się dosyć przytłaczające w ograniczonej przestrzeni salonu. Znała parę pijackich piosenek z operetek i findesieclowych musicali i czasami śpiewała Mi, quel diner z La Perichole na beztrasko „francuską” modłę. Ale jej przebojem była piosenka Lekkiego rausza mam z zapomnianego przedstawienia pod tytułem Jej kuzyn z Kansas, w której każdy wers brzmiał odrobinę bardziej bełkotliwie niż poprzedni; pod koniec udawała, że potyka się o fortepian lub nawet pada na podłogę. Moja mama, która akompaniowała, zawsze po tym numerze wyglądała na beznadziejnie trzeźwą.

Jednego z tych smutnych, niespokojnych wieczorów przyszli dingdongując z tak zaskakującą wesołością, że mama wymamrotała do mnie, abym został w domu po kolacji. Od razu poczułem pewność, że dziś wróci Ranek. Widziałem go, opalonego, ciężkiego od spermy, włóczącego się po błoniach późnym wieczorem, może spotykającego kogoś innego... Ale Charlie po prostacku wymknął się z sieci i poszedł do pubu, więc tylko ja pozostałem dla zachowywania pozorów uroczystego nastroju. Turloughowie przynieśli butelkę wiśniowej brandy, wypilem kilka małych kieliszeczków i czułem się denerwująco nierozważny i dowcipny.

Poszliśmy do salonu, ja siadłem przy drzwiach, żeby w razie czego błyskawicznie dopaść telefonu. Niesamowita była moja pewność, jedna z tych bezpodstawnych fanaberii, może efekt subtelnej przemiany chemicznej, która zmienia całe twoje nastawienie. Geoffrey,

z zasady niepotrzebnie dyskretny, zdał szczegółowe sprawozdanie z zakulisowych machinacji dotyczących projektów nowej obwodnicy. Potem ojciec poszedł włączyć płytę. Wiedziałem, że nie cierpi, gdy muzyka gra w tle i że jest to podstęp, aby nie dopuścić do śpiewania. Lecz w chwili, gdy uniósł magiczną pokrywę, Mirabelle wykrzyknęła:

- Och, Lewis, miłości moja, może nam zaśpiewasz? Nie cierpię, gdy gra płyta i nie wiadomo, czy rozmawiać, czy jej słuchać.

- Dzisiaj nie, naprawdę - odpowiedział stanowczo lecz z uśmiechem. A potem mógł tylko dodać: - Ale jeśli ty masz ochotę... - Myślę, że zgodziła się bardziej z poczucia obowiązku niż z entuzjazmu.

- Nie zaśpiewam Lekkiego rausza mam - oświadczyła - bo go mam i prawdopodobnie poplącę słowa.

- No cóż - odparł ojciec.

- Ale czy mogłabyś zagrać...? - Poszeptła coś z moją matką i po pięciu sekundach skromnego zamyślenia zaczęła śpiewać głosem głębszym i bardziej seksownym niż zazwyczaj: „Dom bez mężczyzny nie jest domem...”, przy czym Goeffrey wyglądał na bardzo skrępowanego. Mama akompaniowała niecierpliwie, nadając piosence brzemienie metrycznego psalmu. Kiedy skończyły, klaskałem za długo.

- Dziękuję, kotku - powiedziała Mirabelle z ukłonem. Miała na sobie czarne lniane dzwony, przydające dodatkowej krągłości jej kształtom i nisko wycięte klapki, ukazujące drobne pościskane szczeliny między palcami.

- Na co macie ochotę teraz?

Nie padły żadne natychmiastowe żądania, a odpowiedź ogółu mogła równie dobrze brzmieć: - Zamknij się i siadaj.

- Żebracy w sztylpach - zawołałem psotnie. Był to komiczny numer z Broadwayu sprzed trzydziestu czy czterdziestu lat, gatunek absolutnie dla mnie starożytny, ale zachowany w sercach wszystkich obecnych tu dorosłych jako czarowna muzyka ich młodości, stąd przez osmozę wchłonięta do mojej. Była to kolejna rzecz budząca we mnie upiorne wrażenie, że

dorastałem we wcześniejszej epoce.

Odśpiewała Żebraków w sztylpach, piosenkę o ludziach, którzy pobrali się mając do spótki ledwie pięć centów, ale jakimś cudem radzili sobie bardzo dobrze; była to długa pieśń, w której wszystko działo się po kilka razy.

- Dosyć już się naśpiewałam - powiedziała zwracając wzrok na mojego ojca. - Może jednak przekonam Lewisa, by się do mnie przyłączył? - Pokręcił głową. - Wygląda na to, że dzisiaj jesteśmy w temacie matrymonialnym. Moglibyśmy na zakończenie zaśpiewać Niech żyje małżeński stan...

- Po prostu nie jestem dzisiaj w formie.

- Och, tato, proszę! - Krzyknąłem dając susa w stronę jego krzesła i ciągnąc go za rękę. - To zawsze jest takie śmieszne, jak śpiewasz z amerykańskim akcentem. - A Sibelius, zauważywszy poruszenie, rzucił mu się do stóp i stepował po parkiecie wydając krótkie zachęcające szczeknięcia. Zaapelowałem do mamy, która żałośnie patrzyła na tatę nie wiedząc, czego się spodziewać. Mirabelle machinalnie zanuciła dwie pierwsze linijki słodkim głosem, sotto voce: „Wyobraź sobie życie z kimś, / Kto jak ty cieszy się ze wspólnych dni”, i puściła do mnie oko, gdy tato wstał z zatrwającą miną tłumionej rozpacz i zajął swoje miejsce przy fortepianie. Mirabelle wsunęła rękę pod jego ramię i jeszcze raz zaśpiewała te same linijki, nadal bardzo słodko. (O Boże, wyobrażam to sobie w każdej minucie dnia, pomyślałem.) „Wyobraź sobie wasz marzec i luty, / I o Matisse długie dysputy” - odpowiedział tato, ale sztywną angielszczyzną. Ona podjęła, również po angielsku: „Tyle błogości w naszej miłości!”, a on zakończył z powagą, która sama w sobie brzmiała komicznie: „Uwierzcie w małżeński stan!”

Wszystko to było bardzo dziwne. Geoffrey tępo wpatrywał się w Mirabelle. Czy złościł się na nią, że udaje żonę mojego ojca? Czy też po prostu pod nadąsaną miną krył podziw i oceniał piosenkę, jakby nigdy przedtem jej nie słyszał? Przyszło mi do głowy, że może byłem tak pochłonięty sobą, że przegapiłem jakąś ważką uwagę. Akompaniament był dziwacznie nieuważny. Mirabelle ciągnęła cały występ własną siłą osobowości, może nawet

lekko przesadzoną: - Szybko, wołajmy księdza! - Głowa odrzucona do tyłu. Sekunda opóźnienia: - Bo starych panien i wdów życie nie oszczędza... - Mama przerwała, a ja odwróciłem się w jej stronę poirytowany. Policzki miała mokre od łez i szarpała mankiet w poszukiwaniu chusteczki. Potem zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

Ojciec zawołał „Peg!” i ruszył za nią, potykając się o smętnego, lecz podekscytowanego psa. Mirabelle wyglądała na przerażoną sytuacją, do której doprowadziła. Geoffrey kiwnął głową w stronę drzwi, a ona pomknęła do hallu przygryzając dolną wargę. Zostaliśmy sami we dwójkę. W pierwszej chwili szok obudził we mnie pragnienie, by po dziecinnemu również zapłakać, zarazić się nieszczęściem, obojętnie jak mało rozumianym. Geoffrey podniósł się, podszedł do okna i stał wpatrując się w zmierzch i ligustrowy żywopłot.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego taty - powiedział, przeczesując i przyglądając brodę. - Przypuszczam, że trzeba być przygotowanym na najgorsze. Miejmy nadzieję, że uda im się utrzymać go przy życiu jeszcze kilka miesięcy, he?

Zadzwoiłem do Willie'ego Turlougha, Bóg wie dlaczego - może wiedziony tym samym uczuciem osamotnienia, które buchnęło z przeszłości i wydawało mi się, co możliwe w pewnych okolicznościach, naszym prawdziwym środowiskiem. W tle rozmowy rozbrzmiewały dzikie hałasy, a Willie był niemożliwie rozkojarzony; wyobraziłem go sobie trzymającego wiercące się zawiniątko przypominające dzidziusia, który zamienia się w prosiaczka w Alicji. Na co też ludzie się narażają... Krzyknąłem, że wpadnę po kolacji i odniosłem wrażenie, że się zgodził.

Najpierw wstąpiłem do pubu. Moim kumplom nie wydawało się, że upłynęło bardzo dużo czasu od mojego wyjazdu. Mnie przeciwnie, dlatego też niechętnie tam wszedłem, a potem poczułem się urażony, że robią wokół mnie tak mało zamieszania. Oczywiście wieść o śmierci naszych przyjaciół nadal wisiła w powietrzu przesyconym kwaśnym zapachem dymu; wszyscy nadal byli nią autentycznie wstrząśnięci, a czasami okazywali wesołość

towarzyszącą poważnym wstrząsom i wyciskającą z oczu łzy, których nawet wylewnym wspominkom nie udało się wzbudzić. Od czasu do czasu ktoś z tłumionym podnieceniem przekazywał wieści nowo przybyłym, którzy jeszcze o niczym nie słyszeli. Zauważyłem, jak historia się zmienia, gdy każdy opowiadający składa ją do kupy.

Postawiłem piwo moim starym kumplom Danny'emu i Simonowi, którzy musieli chyba znać mnie dobrze, przecież tyle razem wypiliśmy i tyle razem gadaliśmy, w górę i w dół skali, od mrocznych wyznań po dopuszczalne upiększenia opowieści o podbojach, a oni dwaj sucho punktowali moje co bardziej niedorzeczne wzloty; ale miałem niesamowite wrażenie, jakbym z nimi zerwał, jakbym zazdrośnie spoglądał z zewnątrz w ich stały i samowystarczalny romans. Zupełnie nie zmieniony bar, kilku mężczyzn, z którymi spałem raz czy dwa, nawet sam Ranek - wszystko to istniało w dawniejszych, zamkniętych obszarach mojego życia. Kiedy Simon zadał mi absolutnie niedwuznaczne pytanie, wydało mi się, że jego sens rozmył się gdzieś po drodze. Jak się mają sprawy w Belgii? Chodzi ci o sprawy... w Belgii...? Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź.

Willie i Alison dali sobie spokój z czekaniem na mnie, zanim dotarłem do ich domu. Ona pojawiła się w podomce, trzymając na ręku dziecko, małego Ralphie'ego o tłustej twarzą, którego właśnie karmiła do snu. Willie miotał się w samych skarpetach, trzymając pogryzione zabawki i poplamiony dziecienny kocyk. Czuję, że przerywam coś mozolnego i intymnego. - O jakiej to porze się przychodzi? - zagaił wesoło i z sympatią pocałował mnie w policzek. Tak naprawdę było dopiero pół do dziesiątej, pora, o której normalnie pocieszam się pewnością nadchodzących godzin picia; ale gdy wkraczasz w życie młodych rodziców, znajdujesz się w innej strefie czasowej, blade twarze wychodzą ci na spotkanie z półmroku, roztargnione ze zmęczenia.

- To jak jakieś potworne szkolenie - powiedział Willie - gdzie budzą cię po nocy o dziwnych godzinach i musisz składać silnik lub rozbrajać bombę.

- Nie wiedziałem, że tak robią.

- A nie? Myślałem, że tak... - Ziewnął jak pies, wydając taki sam dźwięk.

Alison poszła na górę i nie pojawiła się ponownie. Wyobraziłem sobie, że po prostu zasnęła tam, gdzie stała. Willie wyglądał na łagodnie otumanionego ciszą, towarzyską wizytą z zewnętrznego świata. Musiał się potężnie skupiać, żeby zrozumieć, co się dzieje wokół. Powiedziałem: - Wolałbyś, żebym sobie poszedł?

Był skonsternowany.

- Mój drogi Edwardzie! - Teraz odrobinę ociężały. Zmarszczył brwi i uśmiechnął się, a ja uświadomiłem sobie, że wygląda na o wiele bardziej łysego, postąpił bowiem rozsądnie i wszystko obciął na krótko. Gdy widziałem go ostatnim razem, miał na głowie fatalne rzadkie kosmyki właściwe dla panów w średnim wieku. Miał tak piękną twarz, że wyglądał nawet lepiej bez włosów niż z nimi. Kiedy wędrował przez rumowisko z plastikowych cegieł i pogryzmołonych skrawków papieru, nie mogłem się oprzeć wspomnieniu, że pod bezkształtnymi, codziennymi ubraniami kryje się ten nagi prefekt, którym niegdyś był, jego magicznie nieskalana skóra, błękitne żyłki biegnące po ramionach, leniwe piękno potężnego ptaka i jąder. Nie po raz pierwszy pomyślałem, że byłby znakomitym homoseksualistą. - Masz ochotę na drinka?

- Mmm. Może najmniejsza wzmianka o szkockiej... Najmniejsza pogłoska...

- Przyniosę butelkę.

Zgarnąłem śmieci z fotela i usiadłem, a mimo to kawałek lego wbił mi się w tyłek.

Dlaczego oni to robią? Dlaczego ten posepnie uroczy mężczyzna, który i tak już absurdalnie pracował na utrzymanie dwójki dzieci, wstawał co dzień o szóstej, żeby dojechać do miasta, a czasami wracał do domu dopiero o dziewiątej, nagle bezmyślnie pcha się dalej i płodzi trzecie? To musi być instynkt, racjonalnie nie da się tego wytłumaczyć - instynkt, nieostrożność lub to, co Edie nazwała poli-filla-progenitowaniem: rodzeniem coraz większej ilości dzieci, żeby powstrzymać rozkład małżeństwa. Byłem w takim wieku, że nie mogłem tego ignorować; moi heteroseksualni przyjaciele żenili się i rozmnażali, czasami żenili ponownie i znowu rozmnażali lub po prostu rozmnażali bez względu na nic. Widziałem, jak tracą dar prowadzenia rozmowy, tak przywykli do tego, że przerywają im

żądania młodszych, że zaczynają przerywać sobie sami lub nerwowo pleść głupoty, które weszły im już w krew. Widziałem ogromne, upokarzające wehikuły, które zmuszone były kupować te dziecioroby: jak opływowe wagony sypialne, z rzędami dzieciennych fotelików i stertami tego szarego plastikowego świństwa, które wydaje się nierozłączne ze współczesnym niemowlęctwem. Widziałem ich otepiąte uleganie chaosowi życia domowego, z za małą ilością liter na drzwiach lodówki, żeby cokolwiek napisać poprawnie i krzesłami upapranymi jogurtem.

- Bardzo to wszystko smutne - powiedział Willie z surowym uśmiechem. Żaden z nas nie wiedział jeszcze, jak poważnie ten drugi to przeżywa, czy za chwilę będziemy opowiadać trochę zabawne historyjki w atmosferze łagodnej melancholii, czy jeden z nas będzie pocieszał drugiego, wypłakującego swoje gorzkie żale i smutki. Myśl o scenie niekontrolowanych emocji z Williem, niezależnie od ich przyczyn, miała w sobie pewien powab.

- Myślałem, że zastanę tu Mirabelle - powiedziałem.

- Nie ma jej, ale cudownie zajmowała się małym, dużo bardziej niż pozostałą dwójką.

- Jakby to mógł być jedyny powód jej wizyt.

- Za długie dobre życie Ralphie'ego numer dwa - wzniosłem toast, dotykając szklanką brody. - Nowego Ranka, można by powiedzieć. - Chyba była w tym niezbyt szczęśliwa aluzja.

- To pierwszy z naszych szkolnych przyjaciół, który odszedł, dlatego wybrałem jego imię. - To nie była prawda lub też zależy, co się rozumie przez przyjaciół; w naszym magazynie old boyów na stronie z notatkami pośmiertnymi znajdowały się teraz dwie epoki - profesjonalnie mierowe zgony pokoleń przedwojennych oraz garstka podciętych pędów życia, o których jeszcze niewiele można było powiedzieć, zmarłych w wieku dwudziestu czterech lub dwudziestu dziewięciu, lub trzydziestu trzech lat, bez podanej przyczyny tam, gdzie kiedyś wymieniano wypadki podczas wspinaczki.

- To bardzo miły pomysł. Czuję się taki zagubiony przez to, że jego śmierć przyszła

tak nagle, w pewnym sensie zacząłem się przygotowywać, iż odbędzie się to inaczej. Lecz gdyby mógł wiedzieć, że to zrobisz, byłby niezwykle wzruszony. Bardzo cię kochał, wiesz.

- Cóż, ja też go kochałem - powiedział Willie tonem filistra. - Na swój sposób, oczywiście, nie tak jak ty. - Spojrzałem na niego ze sceptycznym uśmiechem, więc ciągnął dalej: - Choć nawet ja zauważałem, że był diablo przystojny.

Cóż, tak, był całkiem przystojny - ciemne loki, niebieskie oczy - ale sedno Ranka nie w tym leżało, nie dlatego mężczyźni go pragnęli. Willie przypominał mi ludzi bez poczucia humoru, którzy wybuchają śmiechem w niewłaściwym momencie lub śmieją się za długo. Zawsze czegoś brakowało tym mężczyznom, którzy w młodości nie przeszli pedalskiej fazy, uwidaczniało się to w pewnej kostyczności wyobraźni, w dobrodusznej tolerancji nie zabarwionej żadnymi przemilczeniami, w ślepcie na fioletowe pasmo spektrum.

- Próbowałem opowiedzieć Alison o waszej dwójce w szkole, jak skandalicznie się zachowywaliście. Nie zrobiło to na niej wielkiego wrażenia. Powiedziała, że jej zdaniem robią to wszyscy chłopcy w szkołach publicznych - wiesz, ona potrafi być bardzo lewicowa.

- Wszyscy jesteśmy trochę lewicowi, mój drogi.

- Mmm.

- Mam nadzieję, że nie podejrzewa, iż ty kiedykolwiek tak się prowadziłeś. Musi wiedzieć, że ty byłeś wielki nietykalny.

Willie zajrzał do swojej szklanki i zamieszał w niej lodem.

- Tak naprawdę nie chciałem być nietykalny, wiesz. Ale po prostu nie pasowało mi to. Czasami bardzo się starałem; wszyscy nagle dostawali fioła na punkcie któregoś z nowych chłopaków: „Nie sądzisz, że jest świeży jak orchidea, czyż on nie wygląda po prostu jak mały czarny kociak?” A ja wnikałem w swoje serce, ale dostrzegałem jedynie dosyć zdenerwowanego kolegę, któremu ukradziono kij do krykieta czy co tam.

- Wiesz, że dosłownie cała szkoła była na ciebie napalona?

- Cóż, nie wiedziałem o tym. Czasami byłem dosyć samotny i czułem się trochę jak stary piernik. W sypialni naciągałem prześcieradła na głowę i udawałem, że śpię, gdy tylko

nagie postaci przemykały obok. Naprawdę czułem, że tracę dobrą zabawę.

- Nie sędzę, byś wiele stracił. Niedużo z tego wszystkiego pamiętam. Może oni naprawdę chcieli robić pewne rzeczy, ale, wiesz, byli zbyt mieszczańscy i zahamowani. Pragnąłem znaleźć się w jakiejś wspaniałej starożytnej szkole z prawdziwą surowością uczącej rozpusty.

- No, ty i Ralphie radziliście sobie nieźle.

- To nie była rozpusta, kochanie, lecz miłość.

Zauważyłem, że Willie niemal natychmiast zapanował nad zaskoczeniem, że nazwałem go „kochaniem”. Rozłożył się na sofie w pozie o ułamek bardziej swobodnej, jakby protestował przeciwko niepożądanemu poufałości mojego tonu i starał się zrozumieć przygnębienie, które musiało być jej powodem. Być może w tej chwili dostrzegłem, jak osamotniony się czuje po stracie Ranka, choć on nie był mój od... szesnastu lat.

- To obudziło tyle wspomnień - powiedziałem. Opowiadałem o tamtym lecie, o potwornych pustych tygodniach, które właśnie zaczęły dręczyć mnie pozornym zaprzeczeniem tego, co stało się wcześniej i tego, co przedtem zdawały się obiecywać. Zmieniłem temat i powiedziałem, że Ranek świetnie rysował: było coś seksownie zbyt kownego w cierpliwym siedzeniu, gdy chłopak, który w rzeczywistości miał mnie godzinę wcześniej, lokował się po drugiej stronie pokoju i kreślił moją sylwetkę na papierze, a ja czułem się, jakbym to ja go rysował, przypatrując się jego zaabsorbowanemu spojrzeniu, językowi na wardze, gdzie mój język chciał się znaleźć, lub zwilżającemu kciuk, żeby rozmazać nim węgiel.

- Przyłapano was kiedyś?

- Tak zupełnie chyba nigdy. Kilkakrotnie umykaliśmy dokładnie w ostatnim ułamku sekundy, wiesz, kiedy przybierasz pozę osoby głęboko pochłoniętej nauką, a w rozporoku masz przycięte włosy. Oczywiście wszyscy wiedzieli, że robimy to często, i kpili z nas z zazdrości, a choć to nie było tajemnicą, sam seks w jakimś sensie był. Ale tak już jest, prawda, zdumiewające rzeczy można robić, można wpasować w najzupełniej niewinne okresy

dnia.

- Myślę, że musiałem być wyjątkowym niewiniątkiem - powiedział Willie z pewnym zadowoleniem.

- Naturalnie sporo wychodziliśmy w nocy. Spotykaliśmy się koło rzeki. - Przez moment wydawało mi się, że czuję zapach wilgotnego błota i dostrzegam rzekę poruszającą się w ciemności, spiskującą z nami lub może obojętną. - Pamiętasz te drzewa za szopami CCF ? Nie wiem, co to był za gatunek, korony miały dużo bledsze od pozostałych, wydawało się, że świecą w ciemnościach. - Gęsta masa gałązek dookoła pnia, jak jakaś mimowolna erupcja wtórnego życia, liście zakurzone i lepkie, opadające na werandę wojskowego baraku, który figiel pamięci ukazał mi z szybami oklejonymi taśmą na krzyż, jak w czasie wojny. Liście opadają nawet teraz, szkolne życie nadal ślepo toczy się naprzód: może w tej chwili dzieciaki gromadziły się na przybrzeżnym biwaku palaczy kawałek dalej lub zapamiętałe obcałowywały się w pachnącej tłuszczem garbarskim chacie, rozbierając się nawzajem w blasku syczącego gazowego grzejnika. Willie, który był waźniakiem w kadetach, nie miał pojęcia o tej stronie działalności korpusu. A może chata wydawała mi się wspaniałym miejscem na rendez-vous, bo miast spędzać długie popołudnia na placu apelowym wybrałem beczynność, próżnowanie i palenie papierosów przy tak zwanych „pracach społecznych”.

- Lubisz nocne zabawy poza domem? - spytałem, nie dlatego, że chciałem to wiedzieć, ale jako pretekst do tego, co chciałem powiedzieć o sobie.

- Naprawdę nieczęsto to robię. Poza, no wiesz... w samochodzie.

- Może być już za późno dla ciebie. Trzeba to robić za młodu, kiedy czujesz się jak członek tajnego stowarzyszenia i część natury, stojąc bez ruchu i obserwując jak zwierzęta nocne buszują wkoło ciebie.

- Choć sam nic nie widzisz w ciemności...

- Po pewnym czasie widzisz. Czy to nie potworne, że nie pamiętam poszczególnych nocy, że cały jeden etap mojego życia skurczył się do kilku scen - stania pod drzewami,

leżenia w ramionach kochanka i patrzenia na gwiazdy, naszych nagich nóg omiatanych nocną bryzą i księżycową poświatą, obserwowania lisa drepczącego po ścieżce koło sali gimnastycznej, prób lewitacji na boisku do krykieta: pamiętasz ten odjazd na lewitację? Myślę, że naprawdę lewitowałem... i oczywiście wszystkie te rzeczy, które ze sobą robiliśmy, cóż, to była w pewnym sensie lewitacja, nie muszę ci mówić, jak wygląda miłość, ale może dlatego pozostał po tym tylko nastrój i wrażenie czerni. Byłem zbyt mocno przytulony do niego, żeby cokolwiek widzieć.

- Wygląda na to, że i tak wiele widziałeś - powiedział uprzejmie Willie, może wzruszony moimi wilgotnymi oczami i lekko fanatycznym zachowaniem. - Uhm, napij się jeszcze. - I nachylił się do przodu z butelką, a ja pozwoliłem mu nalewać, jakbym nie wiedział, że kiedyś powinienem powiedzieć „wystarczy”. Cudowna pewność tego matowego złocistego płynu w mojej szklance, uczucie, że moje potrzeby zostaną zaspokojone, świadomość, że mogę przetrwać. Zdjąłem okulary, aby przetrzeć oczy i ujrzałem rozmazaną, bladą twarz mojego przyjaciela w mrocznym pokoju intymnie oświetlonym lampą, jak na jakiejś małej akwafortce Edgara Orsta. I poczułem, że duch czasu, którego wezwałem, przelewa się po mnie, jak nocny wiatr po lesie wokół samotnej szopy lub dawno opuszczonego baraku Nissena, gdzie dwóch koczujących chłopców przekomarza się nad dziesięciominutowym ogniskiem z małych gałązek i śmieci. Serce waliło mi w niezachwianej pewności, że kiedy znów założę okulary, będzie nachylał się nade mną Ranek, z nastoletnimi oczyma i ustami odsłoniętymi przez miłość.

- Oczywiście musieliśmy się ukrywać przed Lawrenceem Gravesem.

- Chryste, zupełnie o nim zapomniałem.

- Staruszek Graves był śmiertelnie urażony całą tą sprawą. Starłem się, żeby nie czuł się porzucony, i przyprowadzałem Ranka na sesje Brucknera i Mahlera do naszej pracowni, lecz Graves wpadał w totalną furję, jeśli choćby uśmiechnęliśmy się do siebie. Dyrygował orkiestrą, a chociaż muzyka stanowiła istotną część tego wszystkiego, ja i Ranek jakimś cudem potrafiliśmy niemalże o niej zapomnieć, tak byliśmy pochłonięci naszymi

najświeższymi wspomnieniami i planami, a on przytąpywał nas na tym, że uśmiechamy się do siebie... Myślę, że chciał jakoś porwać nasz romans, wykraść go lub wysadzić w powietrze.

- Prawdopodobnie sam był w tobie zakochany.

- Naturalnie - potwierdziłem ze zniecierpliwieniem, ukrywając fakt, że nigdy wcześniej sobie tego do końca nie uświadamiałem. - Oczywiście. Prawdą jest też, że Ranek nigdy nie był szczególnie błyskotliwym lub czarującym towarzyszem, o ile nie dostrzegałeś sedna jego osobowości. Pamiętam, jak pewnego dnia wszedłem do pokoju i okazało się, że czekał na mnie parę godzin. Graves siedział po turecku na podłodze naprzeciwko niego, jakby próbował go zahipnotyzować lub zmusić do ujawnienia swych niezwykłych lecz nieodgadzionych przymiotów. Naprawdę starał się z nim dogadać. Powiedziałem mu później, że był to bardzo poetycki obrazek - „poetycki” należało do naszych dozwolonych zwrotów wyrażających uznanie - a on zrobił się bardzo nieprzyjemny. „Poetycki!” - wykrzyknął. - „On mówił do mnie prozą przez całe popołudnie!”

Willie nie uśmiechnął się. - Żał mi Gravesa: zostawał sam na całe noce, kierownik internatu W. Turlough kazał mu ściszać muzykę, podczas gdy jego najlepszy przyjaciel, właściwie jego jedyny przyjaciel, biegał na golasa po boisku do krykieta z kimś, kto w oczywisty sposób był bardziej atrakcyjny niż on sam. Gdybym zdawał sobie z tego sprawę wtedy, byłbym dla niego miłszy. - Parsknąłem z rozbawieniem po tej próbie żartu. - A tak przy okazji, co się stało z Gravesem?

- Sam jestem ciekaw. - Nasze ostatnie spotkanie żywo i wyraźnie stało mi przed oczyma, było szokujące i tajemnicze. A może to nie miało znaczenia. Willie powinien coś o tym wiedzieć. Byliśmy obaj ludźmi światowymi, z różnych, lecz przyległych światów; i byliśmy w mniej więcej tym samym wieku, choć wydawało mi się, że Willie wkroczył w tę pogodną, nieciekawą środkową fazę, oznaczającą częściowe uśmierzenie nadziei heteroseksualistów, gdy ja nadal biegałem samopas, zbaczając ze ścieżki i potykając się o romantyczne runo świata zewnętrznego. On musiał mieć trzydzieści pięć, ja miałem trzydzieści trzy, skończę trzydzieści cztery tydzień po Bożym Narodzeniu; ale jak zawsze

czułem, że mój wiek to tylko kwestia przekonań, wiek względny, w jednej chwili byłem pedantyczny i stary, a w drugiej byłem oszołomionym młodzikiem świeżo po szkole. Znowu zdjąłem okulary, żeby zaoszczędzić sobie jego zażenowania.

- Słyszałeś o Croyu? - spytałem.

- Nie, to szkoła przygotowawcza?

- Niedokładnie. - Zapatrzyłem się na zachodzące na siebie aureole lamp rzucone na sufit i znowu ujrzałem zdumiewającą scenę w tamtym domu. Zdarzyło się to wiele lat po szkole, już po Oksfordzie, w tym krótkim okresie, gdy pracowałem jako nauczyciel, podczas deszczowych pseudowakacji. Bywałem tam nieregularnie, zazwyczaj gnany pilną potrzebą, jak i, tym razem. Zobaczyłem Gravesa, ogolonego na łyso i w kolczykach, którego młody zarumieniony sprzedawca od Levertonów obciągał żarłocznie, z wstęgami śliny ściekającej po brodzie.

- Cóż, rzecz w tym, że... - zacząłem.

- Co się stało, kochanie? - zapytał cicho Willie. Głupio się uśmiechnąłem na te nowe czułości.

- Widzisz...

- Nie możesz zasnąć?

Spojrzałem przez pokój marszcząc czoło i zarumieniłem się. Mały, jasnowłosy duch pojawił się obok sofy, a silne ramię Willie'ego sięgnęło w jego kierunku i bezszelestnie wzięło go w objęcia.

- Posiedź z nami przez chwilę. - Znowu wsunąłem okulary na nos i zobaczyłem, że dziewczynka wierci się, potrząsa głową i ukrywa twarz na piersi taty. Chwilę ją kołysał, opierając z roztargnieniem brodę o jej kędzierzawą czuprynę i wpatrując się w ścianę. - Przepraszam, Edwardzie, mów dalej - poprosił ciepłym tonem, jakby sam siebie układał do snu. - Ona padnie za minutkę.

- Och, to nieważne. - Nie protestował, wydawało się, że odnajduje bezpieczeństwo w rozbudzonych żądaniach stawianych obowiązkom ojcowskim. Wiedziałem, że wolałby, abym

sobie poszedł.

Niezadługo dziecko spało lub przynajmniej powędrowało w senny gąszcz na ścieżce wiodącej do... Zgarbitem ramiona i pochylając się do przodu lekko wkurzonym głosem rzuciłem parę konwencjonalnych uwag na temat jej urody i usposobienia.

Kiedy znowu zszedł na dół, czekałem w hallu.

- Jak tam twój drink? - spytał.

- Skończyłem go.

- O kurczę.

- Wrócę już do mojej mamy.

Stał w skarpetkach przed drzwiami, a ja odwróciłem się na progu i spojrzałem na powoli sunącą chmurę i kilka gwiazd.

- Do zobaczenia jutro - powiedziałem. - Muszę czytać na pogrzebie, nie mam pojęcia, jak sobie poradzę.

- Zrobisz to pięknie. Chcesz, żebym wezwał taksówkę?

- Przejdę się kawałek i może pojedę autobusem, jeśli akurat podjedzie.

- Nie spytałem cię nawet o Belgię, twoją pracę i... nawet nie wiem, dlaczego wyjechałeś.

Uśmiechnąłem się do niego. - Och, zwykła mieszanina paniki i kaprysu. - Nie mogłem mu wytłumaczyć, dlaczego należało uciekać z tego miejsca. Z drżeniem postąpiłem krok do przodu, objąłem go i przytuliłem, a on po sekundzie pocieszająco, zdawkowo pogłaskał mnie między łopatkami. Cmoknąłem go w policzek, a potem wykorzystując sytuację całowałem w usta dopóki się nie odsunął.

- Nie mogę - powiedział. - Przykro mi. To znaczy przykro mi w ogóle z powodu tego wszystkiego.

Czekałem na przystanku autobusowym przy końcu cichej ulicy Willie'ego, żałując, że w ogóle przyszedłem i ze złością wyobrażając go sobie w naładowanych brutalnością scenach miłosnych. Noc była wilgotna i jesienna, podmiejskie brzoźowe i wierzbowe liście sfruwały

na asfalt, gromadziły się w kałużach lub dawały się miotać wiatrowi tu i tam. Stałem czytając ogłoszenie o sierpniowych wycieczkach z okazji świąt państwowych do Brighton, Eastbourne i Dover. U góry czerwony autobus pędził naprzód w przesadnie stromej perspektywie, a radosny kierowca unosił czapkę - och, ślepy czas przyszły starych ogłoszeń! Jakże niesłusznie człowiek wypiera się swego okresu dojrzewania, krzywi się na swój brak ogłady i ignorancję, kiedy wielkim szczęściem byłoby odzyskać dawną żywość i pewność siebie. Przeczytałem rozkład jazdy okiem przywykłym do wynajdowania literówek i okręciłem się na pięcie, niepewien, czy zacząć iść na piechotę. Oto dziwna ekonomika czasu, sposób, w jaki jedna strata pociąga za sobą następną stratę, jak szukanie chłopaka na ulicach lub czekanie na kogoś, kogokolwiek, na błoniach w letnią noc, nie wiedząc, czy dalsze czekanie po prostu dodaje się do całkowitej liczby zmarnowanego czasu, czy też jest istotnym preludium do przyjemności, która będzie tym większa, że prawie zupełnie straciliśmy już nadzieję.

W Stonewell raz do roku odbywał się dzień zajęć w terenie, gdy chłopców dzielono na oddziały i wysyłano z surrealistycznymi poleceniami, żeby sprawdzić ich siłę przebicia: mieliśmy przynieść list podpisany przez biskupa lub pamiątki z sześciu Cinque Ports, czy też podarować dziecko nauczycielowi w przebraniu w Beachy Head. Wczesną fazę tego dnia barwiło coś w rodzaju tęsknoty za domem. Jazda stopem była zabroniona i podczas gdy nieliczni tacy jak Ranek wymykali się na rowerach, reszta z nas gromadziła się w rozłąających się grupkach na przystankach autobusowych i na miejscowej stacji kolejowej, jakbyśmy nie chcieli się rozdzielić, mając nikłą nadzieję, że powleczeni za naszymi rywalami lub przyswoimy sobie szczęście i lekko maniacką pewność siebie dwóch czy trzech, którzy już działali przy mapach, aparatach fotograficznych i wydzwaniali do wysoko postawionych krewnych. Ale gdy spędziliśmy kilka godzin poza szkołą, bez nadziei wędrując do bram ściśle strzeżonych doków lub wkraczając do cudzego lasu w poszukiwaniu fałszywych ruin, niepokój ustępował przed pełnym poczuciem winy podejrzeniem, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia, przed niejasnym przecuciem, że wolność nie ma wartości.

Te dni zawsze upływały pod znakiem porażki, nigdy nie spodziewaliśmy się, że przeprowadzimy wywiad z kapitanem łodzi podwodnej, i często, gdy zapadał wieczór, okazywało się, że rzuciło nas w jakieś niedogodne miejsce, więc domagaliśmy się, aby znękańci nauczyciele przybyli nam na pomoc swoimi mikrobusami. Powrót do domu okazywał się największym sprawdzianem inicjatywy, a my go oblewaliśmy. Deszcz padał, a my czekaliśmy na nieostonowanym przystanku takim jak ten, grając w najprostszą grę hazardową, czyli w rzucanie monetami. Pamiętam, że raz wylądowałem z grupką chłopców, w tym z bladym, introwertycznym Niemcem Peterem Rottem (znanym jako Tommy), który zapuścił paznokcie tak długie, że przypominały pokrzywione szpony, i ukrywał długość swoich włosów nie wyplukując z nich szamponu: gdy deszcz zmoczył jego poplątaną czuprynę o sosnowym zapachu, Tommy zaczął łagodnie bulgotać i strużki piany popłynęły mu po twarzy jak senne łzy.

Mój ojciec nie miał przed sobą kilku miesięcy, miał trochę ponad rok; zmarł w tym miesiącu cienistej beztroski, który poprzedza pojawienie się wyników egzaminów końcowych. Poczułem ulgę, że nie stało się to w trakcie semestru, że nie zabrano mnie ze szkoły, żeby mi o tym powiedzieć, że nie zakłóciło to przebiegu moich egzaminów; lecz później odrobinę pożałowałem utraty rozgłosu i respektu, jaki byłby mi należny. W następnym semestrze, kiedy nagle pograżyłem się w żalu, nie zasługiwało to już na względy i zainteresowanie moich szkolnych kolegów.

Jego prochy zostały rozsypane na błoniach, gdyż kochał to miejsce, ale pomysł wydał mi się tak makabryczny, że zostałem sam w domu, podczas gdy matka, Charlie i mój wuj Wilfred wyruszyli na wzgórze, niepewni, czy stanowią procesję, czy też powinni iść odrobinę szybciej, jak rodzina zażywająca świeżego powietrza. Wybrali poranek zwykłego dnia w środku tygodnia, dosyć wcześnie, aby nie było zbyt wiele osób w okolicy, zastanawiających się, co oni robią, lub zmuszonych do odwrócenia wzroku w nagłym zrozumieniu i konsternacji. Nie chciałem patrzeć na urnę - przypominała bardziej pudełko z różanego

drewna na przybory do szycia mojej mamy niż samowar, który sobie wyobrażałem - i trudno mi było pogodzić się z faktem, że ojciec, tuż przed śmiercią mniej więcej tej samej postury co ja, mógł zostać zredukowany do tak zgrabnie przenośnej i rozporządzałnej ilości.

Siedziałem w salonie bez ruchu, odprawiając swój własny obrządek, z milczącym monumentem pianina, masą płyt i partytur nie do zaśpiewania - mama zostawiła otwartą arię Bacha na stojaku na nuty. Spoza niej sir Thomas Beecham spoglądał z nad swego autografu z krytycznie rozbawioną miną, którą uznałem za niestosowną. Pomyślałem, że ludzie w chwili śmierci wiedzą bardzo dużo: ten pulpit pełen muzyki, nie tylko znanej, ale zgłębianej w dorosły, wiecznie niezadowolony z siebie sposób, którego nie pojmowałem. Zawsze byłem zbyt pobłażliwym i niedouczonego sędzią, mówiłem, że to urocze przy pierwszej wersji, równie urocze przy drugiej, zupełnie innej, i szybko traciłem cierpliwość, gdy tata nadal pracował nad doprowadzeniem tego do jakiegoś przyszłego stanu, którego nie umiałem sobie wyobrazić i którego teraz już nigdy nie osfągnie.

Jego odejście było tak powolne i tak bezprecedensowe w moim doświadczeniu życiowym, że nie tylko trudno mi było znieść myśl o nim, ale wręcz w nie uwierzyć. Wydawał się spokojniejszy niż zazwyczaj, nie znosił robić zamieszania, ale czasami stawał się zimno wymagający. Cieszył się, że nie popadam w depresję, po minimalnych wybuchach pracowitości gnam na błonia, by spotkać się z przyjacielem, okazując tłumiony entuzjazm chłopca przeżywającego jakieś tajemne szczęście; rzadkie słowa wyrzutów dręczyły mnie całymi dniami, gdyż zdawałem sobie sprawę, że spędzam z nim o wiele mniej czasu niż przedtem; odstręczał mnie strach przed chorobą, do którego się nie przyznawałem. - Posłuchajmy dzisiaj trochę muzyki - mawiał i dostrzegał moje wahanie, natychmiastową zmianę planów.

Nad kominkiem wisiało na dwóch łańcuchach duże owalne lustro. Miało w sobie jakiś chłód - nie należało do tych luster, które obejmują pokój i zwracają go jemu samemu, jakby podnosząc jego wartość i przydając mu niesamowitości. Chociaż ostatnio stałem się dosyć próżny i zarozumiały na punkcie moich atramentowych pukli, starałem się w nie nie

spoglądać; ale gdy puszczałyśmy płytę i rozciągałem się na sofie naprzeciwko, mój wzrok spoczywał na przesuniętym horyzoncie ściany za moimi plecami odzwierciedlonej w jego wysokiej elipsie - słonecznie żółta ściana, jak pusta plaża stykająca się z niebem białego sufitu pogrążonego w cieniu, przestrzeń bez ptaków, nabierająca atmosfery przepychu lub smutku, zależnie od muzyki i światła o różnych porach roku.

Mniej więcej w tym czasie muzyka, która zawsze mnie otaczała i którą utożsamiałem przez zapach pasty do podłóg w salonie z wchłanianym przeze mnie powietrzem, zyskała nade mną nową i niezależną władzę; przypuszczam, że to miłość kazała mi postrzegać koncert Mozarta lub liryczną i triumfalną symfonię Schumanna nie tylko jako cud sam w sobie, ale też jako pewnego rodzaju usprawiedliwienie życia. Podobnie jak miłość, muzyka zdawała się wprowadzać mnie w nowy wymiar świetlnych celów: wyносиła moje oczekiwania na poziom ideału, który inni przyjaciele uznawali za komiczny lub niewiarygodny, jeśli sami nie przeszli inicjacji. W szkole puszczone nam fragmenty Janańka - w życiu nie słyszałem tak niepohamowanie żywej muzyki. Zebrałem strzępki informacji zamieszczone przez Supraphon na obwolucie płyty, tajemniczo skondensowane i powikłane przez tłumaczenie - było to wszystko, czego mógł się dowiedzieć chłopak z Anglii - i zaskoczył mnie późny start kompozytora oraz fakt, że ten zarośnięty starszy pan potwierdza to, co ja w wieku siedemnastu lat myślę o życiu, seksie oraz kochaniu się w nocy przy wietrze i gwiazdach.

A jakie były myśli mojego ojca, gdy tak siedział bez sił w swoim fotelu, z głową odchylną do tyłu, wpatrzony w inny obraz, niekiedy po pewnym czasie osuwając się w cichy, bezbronny sen? Miał dopiero pięćdziesiąt pięć lat, dopiero niedawno chemikalia okradły go z gęstych czarnych włosów, takich samych jak moje; nie wszedł jeszcze w starczą fazę. Zaczął śpiewać jako młody człowiek w marynarce wojennej: wyobrażałem sobie jego kompanów z mesy zebranych wokół niego lub z namaszczonej minami leżących na kojach, gdy on tymczasem nucił jakąś słonowodną starą balladę, a statek prześlizgiwał się po zalanym księżycowym światłem miniaturowym morzu z brytyjskiego filmu wojennego. Pomyślałem,

że on też musi raczej wspominać tamte dni niż wypatrywać nagłego, ostatecznego pogorszenia; ale wiedziałem, że nigdy o tym nie powie. Galaktykę myśli kłębiących się w tej zasłuchanej głowie cechowała przepiękna, choć przypadkowa integralność. Prawie wszystko, co wiedział i czuł, nie zostało nigdy powiedziane, wyśpiewane, poznane przez inną duszę.

I oto znów rozpoczął się letni ceremoniał, zarówno bardziej intensywny i bardziej trywialny niż zwykle. Pierwszomajowe targowisko rozłożyło się na ukośnie opadającym boisku do nogi obok blokowiska i jak co roku zaskoczyło mnie budząc też lekkie poczucie zagrożenia, gdy spacerowałem po błoniach w piątek po szkole i zobaczyłem w dole wozy i psy wśród świeżej zieleni oraz posłyszałem przemieszany szum generatorów i jazgot jarmarcznej muzyki. Chwilę później dostrzegłem Ranka w towarzystwie trzech kolegów sportowców z Drake'a, z uśmiechniętymi twarzami opuszczających namiot wróżki. Zrobili wielki popis na strzelnicy, potem powędrowali dalej. Tamci z ożywieniem obserwowali wstrząśnięte dzieci wysiadające z diabelskiego młyna, Ranek zaś potajemnie śledził akrobacje jasnowłosego nastolatka huśtającego się od masztu do masztu na czymś w rodzaju zawieszanej bokiem ławki. Właściwie kryłem się przed nimi, z jednej strony sparaliżowany własną zaborczością, a z drugiej lekko spięty uszczypliwymi uwagami, które by się posypały, gdybyśmy pojawili się z Rankiem razem. Zyskaliśmy już wtedy dosyć niefortunny rozgłos - nie było między nami czułości typowej dla związku prefekta z młodszym uczniem: nasze stosunki były niepokojąco prawdziwe, rozbrzmiewały nutą tak głęboką, że nasi kumple nie mogli jej znieść w swoim niezdarnym, choć nie pozbawionym tkliwości, szatniowym pedalstwie.

Potem znowu rozpoczął się Wimbledon, oglądany w zakazanych rundach po dwie, trzy godziny wśród przygotowań do egzaminów końcowych, czasami z Europą w siedemnastym wieku Ogga zdrętwiała w tej samej pozycji na moich kolanach. Mirabelle była w elektryzującej formie w pierwszym turnieju kobiet, który oglądałem, i zdawała się wołać: „Błąd!” niepomna na nic przy każdym pierwszym serwisie. Jeden z graczy z Europy Wschodniej miał ewidentnie kolosalny członek, ale nie słyszałem, żeby któryś z

komentatorów o tym wspomniał. Pomyślałem, że Mirabelle pewnie opowie o nim kilka anegdotek.

Uwielbiałem senną akustykę Wimbledonu: zasłony zaciągnięte na otwartych oknach, sporadyczny hałas z ulicy, dalekie okrzyki z rozstłonecznionych błoni lub bliskie rozmowy ludzi mijających nasz dom, głośniejszych i bardziej nieopatrznych niż my, jakby pochylali się wprost w usypiający półmrok pokoju, żeby powiedzieć: „Ta, zobaczmy co ona na to” lub „Żebyś się, kurwa, nie ważył!”; potem, ukryty wewnątrz tego, wyciszony, skupiony świat dźwięków na korcie, którego nieregularne puk-puk, oklaski i apatyczne nawroty komentarza od czasu do czasu ustępowały przed innym, niewidocznym wymiarem - rozbrzmiewającymi bez związku z naszym meczem oklaskami z sąsiedniego kortu, akustyczną eksplozją samolotu oddalającego się w powolnej smudze powyżej, minutę lub dwie później przelatującego wysoko nad naszym domem i zagłuszającego telewizję. Całe przeżycie naznaczone było dziwnie nieodpartą ospałością, angielską mieszaniną światła i cienia, rzeczy bliskich i dalekich, subtelnie popłatnych i przesuniętych. Ojciec wydawał się zadowolony z tego, jakby rodzina mogła przez chwilę dzielić jego własny bezsilny, pełen wzruszenia spokój.

Oczywiście mieliśmy nie jechać na wakacje drugi rok z rzędu i czułem się zawstydzony tym kolejnym dowodem upadku rodu Mannersów. Podczas Bożego Narodzenia wymusiłem na roztargnionej mamie zgodę, że Ranek będzie mógł wybrać się z nami do Kinchin Cove. Wyczekiwałem na to z upragnieniem, nie zważając na wszystkie ostrzegawcze sygnały. Mama nawet lubiła Ranka, który pomagał jej w zmywaniu, dołączał się do jej łagodnych kpin na temat mojej młodzieńczej afektacji i miał w sobie budzącą zaufanie bezpośredniość; nie mogła pojąć, dlaczego jesteśmy takimi nierozłącznymi przyjaciółmi i często w bardzo słodki sposób podkreślała jego zalety, jakby to było wyjaśnienie: „Ten Ralph to ma pupę”, powiedziała do mnie pewnego niedzielnego poranka nad ciastem na szarlotkę i skórkami jabłek. Ale zanim przyszło lato, mama, krucha i z oczami zapadniętymi od własnych trosk, zapomniała o swojej obietnicy. Zrobiłem scenę, na pół świadomy, jak bardzo się hańbię. Przypuszczam, że buntowałem się przeciwko czemuś zupełnie innemu.

Powiedziałem Rankowi, że sprawa jest odwołana i zaniósłem mu parę zdjęć z poprzedniego lata, ukazujących domek, plażę i skały tuż poniżej, płytką rzeczkę płynącą po piachu, próżnującego Charlie'ego i jego absolutnie nieodpowiedniego przyjaciela Gary'ego Quine'a, który miał wypadek pracując w pomocy drogowej, mówił do moich rodziców po imieniu i dał mi, gdy miałem dwanaście lat, pierwszą przerażającą lekcję używania gumowego kapturka. Ranek nieszczerze przejął się miejscem, które kochałem i do którego pragnąłem go zawieźć jako nowego brata, mogącego nauczyć mnie nurkować. Otoczył ramieniem moją szyję, całował mnie długo i pracowicie, po czym zaproponował, że może wybierzemy się gdzieś razem pod namiot - na przykład do Francji. On już zrezygnował z rodzinnej wycieczki do Hiszpanii. Pojąłem z nagłą ponurą pewnością, daleko bardziej lodowatą niż śmierć mojego ojca, że nigdy już nie pojedę do Kinchin Cove.

Poszliśmy obejrzeć namioty, zupełnie nieświadomi ich ceny i złożoności, minimalizując nasze zamiary od „Sułtana” przez „Markiza” i „Kawalera”, aż skończyliśmy na tyciej ciemnobrązowej rzeczy nazwanej „Pielgrzym”.

- W tym to chyba będziecie spać jeden na drugim - stwierdził sprzedawca.

Propozycja, żebyśmy spędzili próbną noc na błoniach, wyszła od mojego wuja Wilfreda, który nadzorował niezliczone obozy dla Trustu de Souzaów i podkreślał, że bardzo istotne jest, abyśmy obaj wiedzieli, jak rozbijać i zwijać. Pomysł był dziko podniecający, choć początkowo entuzjazm przesłaniał strach, że wuj wyruszy z nami, aby instruować nas osobiście. Lecz nie. Posiedzi z moją matką, co robił coraz częściej w ostatnich miesiącach życia mojego ojca; była jedyną przyjaciółką, jaką miał Wilfred, a wieczory, mówiąc oględnie, mocno nadwerężały ich oboje. - Twój wuj zawsze chadza własnymi ścieżkami - to wszystko, co moja mama kiedykolwiek o nim powiedziała. Prowokowanie do opowiadania anegdot o ich wspólnym dzieciństwie doprowadzało tylko do tego, że gderliwie omijali temat; kiedy ona miała czternaście lat, on poszedł na wojnę i w pewnym sensie reszta jego życia upłynęła pod wojskowym kamuflażem; widzieliśmy tylko niecierpliwą samodyscyplinę i sardoniczne skłonności, które nigdy całkiem nie dorosły do miana poczucia

humoru i były szczególnie niepokojące podczas tych wizyt mających na celu pocieszenie nas i zajęcie czymś innym naszej uwagi. W tym czasie nie wiedziałem nic o jego niespożytym apetycie seksualnym, mama prawdopodobnie również: jak wielu rodzeństw, nie łączyły ich ze sobą żadne pożyteczne sprawy, a próby dzielenia się czymś były napiętnowane dziecięcą nieporadnością i zawziętym wzajemnym niezrozumieniem. Wilfred sprawdził nasz rysztunek.

- Robiłem to tysiące razy dla Suzich - powiedział zerkając przenikliwie na Ranka, który schylał się, żeby rozpiąć plecak. Wyglądał, jakby czuł się dotknięty sprawnością starszego chłopca. Pomyślałem, że skrytykuje „Pielgrzyma”, ale on nazwał go zagadkowo „przyjemnym namiocikiem”.

- Wzięliście kocheher? - zapytał.

Powiedziałem mu, że bierzemy tylko jajka po szkocku i tabliczkę czekolady, co ewidentnie uznał za idiotyczne do granic zniewieściałości, ale mama warknęła, że nie ma nic innego. Pobiegłem na górę, by pożegnać się z ojcem, który leżał na łóżku kompletnie ubrany. Zapytałem go, jak się czuje, a on odpowiedział: - Nie najlepiej, staruszk. - Zawsze mówił tylko tyte, a ja nigdy nie wiedziałem, jak zareagować. Gdy schodziłem na dół, na zakręcie schodów usłyszałem, że mama pospiesznie mówi do Wilfreda: - ...może tydzień lub dwa, jak twierdzą, prawdopodobnie nie dłużej. - Wstrząsnęło to mną tak, że zacząłem poruszać się jakby w zwolnionym tempie, przyłożyłem rękę do ust, a po dziesięciu sekundach zbiegłem na dół z wymuszonym ożywieniem człowieka, który coś ukrywa.

Powędrowaliśmy znanymi ścieżkami, Ranek rozmyślnie poddawał próbie moją lojalność świetnie naśladowując wuja Wilfreda. Mimikra, podobnie jak rysowanie, stanowiła jeden z jego talentów, a oba były dostowne i jako takie czasami zbijające z tropu. Odpowiedziałem tchórzliwymi szturchańcami i szczypaniem wiedząc, że odda mi później nagą pierś przyduszając mnie do ziemi w zapaśniczym chwycie. Wciąż było całkiem wcześnie, więc spacerowaliśmy po labiryncie letnich ścieżek wydeptanych i nagryzmoonych w suchej trawie; nie chcieliśmy rozbijać namiotu po ciemku, ale wstydiliśmy się to robić,

gdy spacerowicze i spóźnieni romantycy puszczający latawce kręcili się po okolicy.

Prawdopodobnie najlepiej byłoby wybrać miejsce przy dalszym krańcu błoni, tam, którą Ranek przyjeżdżał z domu, gdzie znaleźlibyśmy schronienie wśród przypominających zagajniki szczątków sędziwych żywopłotów. Zawróciliśmy w kierunku stawu, siedliśmy na ławce i pochłonęliśmy jajka po szkocku, obserwując wędkarzy pakujących sprzęt. Znajdujący się wśród nich chłopcy szli ciężkim krokiem ze swoimi kijami i składanymi krzeselkami, jak starzy maleńcy. Za nimi sylwetki sosen i topól odbijały się w wodzie, a zachodzące słońce otworzyło kaniony rózu i ultramarynu w błotnistych głębinach sadzawki.

- Lepiej wypatruj skrzydlatej gwiazdy - rzekłem.

- Co to jest ta skrzydlata gwiazda? - spytał rozdrażniony Ranek, który słyszał, jak ciągle to powtarzałem, ale udawał, że wie, o co chodzi.

- Nie przerabiałeś Milтона? - powiedziałem tonem pełnym politowania. - Gwiazda, co pasterzy wiecie z pastwisk? Wschodząc błądy swój ukazuje diadem? Aj, aj, a niech mnie. - Objąłem jego muskularne ramiona i ścisnąłem. - Wtedy wiesz, że musisz umieścić owieczki bezpiecznie w owczarni. - Wyzwolił się z mojego uścisku.

- A może by tak umieścić chłopców bezpiecznie w namiocie? - zaproponował.

- Jasne. - Nie widziałem nigdzie gwiazdy, o której mowa, ale pomyślałem, że najlepiej będzie dać sobie z tym spokój. Zawsze wszystko psułem cytatami - Ranek odbierał je jako kpinę pod swoim adresem.

Rozbicie „Pielgrzyma” zajęło nam około pięciu minut. Ranek rzucił się szczupakiem do środka, jakby bronił bramki, a kiedy zająłem za nim, wydało mi się, że zajmuje całą przestrzeń. Poczułem, że rości sobie do niej takie prawo, iż nigdy nie będę w stanie go zakwestionować. Wślizgnąłem się obok niego, w mrok przesiąknięty zapachem gumy, zaskoczony nierównościami podłoża. - Super, że się lubimy - powiedziałem wsuwając rękę między jego nogi i głaszcząc go po jajach przez miękką bawełnę spodni od dresu.

- Pomyśl tylko: Nicea, Antibes, Juan-les-Pines. - Każda nazwa wymówiona ze smakowitymi francuskimi samogłoskami.

- Mmm.

Przetoczył się na mnie dziko szczerząc zęby, potem wpatrzył się w moje oczy, lekko rozchylając usta, wstrzymał oddech i nagle westchnął mi nim prosto w twarz, a ja wyczułem ślad zapachu kiełbasy i jajka na twardo. Zaczął pocierać sztywnym członkiem o moje udo. Przesunąłem dłonie po jego lekko spoconych plecach i niżej, pod gumką, do wilgotnej szczeliny dupy - wygiął kręgosłup i dosięgnąłem celu palcem serdecznym, wydobywając z Ranka jęk, gdy dotknąłem jego wrażliwego mięśnia. Wystający korzeń wiekowego żywopłotu coraz mocniej i mocniej uwierał mnie w plecy, jakby zgłaszał zdecydowany sprzeciw.

Udało mi się wydostać spod Ranka, który uważał, że to zmiana pozycji w erotycznych zapasach, dopóki nie powiedziałem: - Wychodzę na chwilę na dwór.

Nasikałem w krzaki i przeszedłem się kawałek po zboczu. W mroku późnego wieczora posiwałe, pierzaste wrzośce wydawały się niemalże świecić na tle ciemnego lasu. Przysiadłem na okrągłym wzgórku, mógł to być maleńki kurhan, i spojrzałem na z rzadka rozsiane chmury i odległe światła. Nigdy nie byłem tak daleko o tej porze, gdy słyhać tylko niewyraźny warkot samochodów na drodze do Londynu i szumiące liście niby deszcz, który słabnie, aż wreszcie ustaje. Dziś było tak, jakbyśmy dostali klucze do apartamentu dla nowożeńców: przybyliśmy tu z nieświadomym błogosławieństwem rodziny. Mój kochanek i ja. Owinąłem się tym słowem jak etolą. Cud posiadania kochanka - przez radosną chwilę patrzyłem z zewnątrz na nas i na ten zdumiewający czyn, którego dokonaliśmy. Inni chłopcy w szkole mieli oczywiście dziewczyny i nie pozostawiali żadnych wątpliwości co do rzeczy, które z nimi robili; ale jakże niegustownie wyglądały te romanse - w sobotę, w porze lunchu widywało się ich włóczących po sklepach, objętych i potykających się o własne nogi, jakby musieli nawzajem się holować. A my byliśmy tacy śmiali i niezależni, od razu przeszliśmy do sedna sprawy.

Spojrzałem na namiot, blado oświetlony latarką od wewnątrz, i na cień Ranka na czworakach przygotowującego postanie. Czasami ogarniało mnie niezwykle, potworne zdumienie, dlaczego to musiał być akurat on; i panika na myśl o podróży z nim do Juan-les-

Pins - tak bardzo zdany na jego łaskę, w czasie postojów na zakurzonej pobocznej drodze zobowiązany podtrzymywać nas obu na duchu, moja protekcyjność i jego drażliwość. Mogłoby być bardzo miło robić to z innymi chłopcami, jak na przykład z Turloughem lub z Hallem; ale oni oczywiście nie wykazywali ani odrobiny chęci, by mnie uwieść. Wyobraziłem sobie, jak rozmyślnie łamię, nie, skręcam sobie kostkę, fatalnie, tuż za Calais i muszę wrócić do domu.

W odległości około trzydziestu jardów stał jakiś mężczyzna i wpatrywał się w namiot. Pomyślałem, że mnie nie zauważył, mimo że siedziałem na lekkim wzniesieniu: zgnięty blask namiotu i podskakujący cień w kształcie zadka widoczny na płótnie zdawały się pochłaniać całą jego uwagę. Postąpił ostrożnie do przodu i zatrzymał się - odwrócił głowę nasłuchując. Fascynował mnie fakt, że on uważa się za obserwatora, ukrytego w ciemnościach; i mroziła swoboda, jaką to mu daje, nikt nie przeszkodzi mu w szpiegowaniu nas ani nawet wyrządzaniu gorszej krzywdy. Spojrzał na mnie, przez chwilę zdawał się zastanawiać, co zrobić, po czym powoli ruszył w moim kierunku. Pomyślałem, że absurdem byłoby teraz odejść, ale wstałem, jakbym został nakryty w grze w chowanego, i czekałem z mocno bijącym sercem. Pomyślałem, że może on jest kimś w rodzaju nocnego strażnika, który mógłby nam kazać się wynieść, a co bardziej przerażające - nie miał munduru i nie wiedzielibyśmy, czy go słuchać, czy nie.

Ponownie przystanął kilka stóp ode mnie, lekko pochylając się do przodu, żeby okazać zaniepokojenie. - Cześć - powiedział z namysłem. W lesie rozległ się głośny krzyk sowy, a potem następny trochę dalej. Nie potrafiłbym stwierdzić, czy są autentyczne, czy też to jacyś ludzie dają sobie sygnały - wiedziałem, że autentyczne odgłosy zawsze brzmią jak naśladowanie. Odwrócił głowę w ich stronę, a jasna poświata spod chmury ukazała mi okulary w stalowych oprawkach i bladą, kwadratową twarz z ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu. - Ktoś tu urządza niezłą zabawę - dodał. Miał niepokojąco kulturalny głos, odrobinę niewyraźny przez alkohol. Nie był świadom długiej ciszy, która zapadła, gdy rozważałem, jak mógłbym mu uciec w ciemnościach. Bywałem tu wcześniej i dobrze znałem teren, ale w tym

momencie odległości i znaki rozpoznawcze wydawały mi się bardzo nieokreślone. - Wygląda dosyć kusząco, prawda?

Powoli, z rozbawieniem pomacał kieszenie na piersiach i wyjął papierosy oraz zapalniczkę.

- Palisz?

- Nie - zabrzmiało to jak trwożliwe kasznięcie. - Nie - powtórzyłem.

Zapalił zapalniczkę i przez kilka sekund oglądałem go przy świetle; czarna skórzana kurtka, szare džinsy odrobinę przyciasne na brzuchu, upiorne chiaroscuro twarzy nad rozedrganym płomieniem, ożywione pragnieniem ciemne oczy próbujące dostrzec ze mnie, ile się da. Obraz unosił się chwilę w czerni, która zapadła, zawisł w suchym ciepłe dymu z francuskiego tytoniu.

- Ile masz lat? - zapytał.

- Osiemnaście - odpowiedziałem, dodając sobie rok, jakby kwestionowano mój wiek w pubie. A potem, mając nadzieję, że subtelna uprzejmość mnie ochroni, spytałem: - A pan, ile ma lat?

- Trzydzieści. - Z zadumą wydmuchał dym. - Trzy.

Więcej niż przypuszczałem. Czułem, iż jest to dla mnie jakoś złowieszczo hańbiące, że przebywam w nocy w towarzystwie tego człowieka, zagrożony jego niejasnymi zamiarami i pewnością siebie pedałów buszujących gdzieś tam w sekretnym żywiole. Lepiej spokojnie ruszę w stronę namiotu.

- Może podejdiesz bliżej? - powiedział innym tonem niż przedtem, intymnym i spiętym. Machnął ręką z papierosem w geście normalnie oznaczającym że przecież to nic takiego, ale nie ruszył się z miejsca, jakby nie chciał się wysilać w przypadku, gdybym nie był zainteresowany. - Cóż, jak wolisz. Ja będę miał ochotę, jeśli ty będziesz miał ochotę. - Nic w tym głosie nie przywodziło mi na myśl pożądania. Tak jakby złożył mi propozycję spiker z kanału trzeciego.

- Nie, dziękuję - wymamrotałem urażonym tonem. A potem, ku swemu wielkiemu

zdziwieniu dodałem: - Mój ojciec jest bardzo chory.

Znowu zaciągnął się gitanem, którego koniuszek rozjarzył się w ciemności. - Cholera.

- Zostało mu tylko kilka tygodni życia - wyjaśniałem precyzyjnie, choć właściwie wyjaśniałem to sam sobie.

Odrzucił papierosa w suchą trawę, a ja patrzyłem zaniepokojony, że ogień może się rozprzestrześć. Od ponad miesiąca nie padał deszcz. Chciałem udzielić mu za to ostrej reprymendy. - Hej, hej, hej - nie przejmując się niczym szeptał podchodząc bliżej. Twarz miałem zeszywniałą, właściwie nie płakałem, tylko wydychałem powietrze przez usta gwałtownymi haustami. Wyciągnął ramię i wtuliłem się w zapach skóry, dymu i piwa - było to koszarne, ale też dziwnie pocieszające, mocny uścisk innego świata, który mógłby mnie porwać, gdybym mu na to pozwolił. Stał i kołysał mnie, jakbym naprawdę płakał - czułem żal i wstyd, że nie jestem w stanie, ale naczynie ze łzami było mocno zapieczętowane gdzieś w środku mnie. Sztywno objąłem ramieniem plecy nieznanego. Gdyby widział mnie teraz mój tato... - pomyślałem..

- Edward, Edward? - ciche, pytające wołanie. Łatwa do rozpoznania postać Ranka, szelest trawy, gdy pośpiesznie się do nas zbliżał. Nieznajomy upadł mi pocałunkiem koło ucha w chwili, gdy mu się wyrzywałem.

- Nie... nie... - powtarzałem, prawie bezdźwięcznie, zamachnąwszy się na niego, niemalże przewracając się w pragnieniu, by się uwolnić.

- Edward? - powiedzieli obaj.

Ranek nagle zaczął być wojowniczy, co wydawało mi się zarówno niepotrzebne, jak i ekscytujące.

- Spieprzaj - powiedział do mężczyzny wydając krótki, bezsensowny chichot.

- Dobra, dobra - odparł facet cofając się o kilka kroków. - Dzieciak jest po prostu zdenerwowany. - Zmęczenie w jego głosie, jakby słyszał to już przedtem. Zaczął się oddalać, ale zawołał jeszcze: - Potrzebuje trochę czułości.

- Pierdolone pedały - stwierdził Ranek ze śmiechem pełnym niedowierzania. A potem

rzucił do mnie ze złością: - Niech sam się, kurwa, czuli do siebie.

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Czułem się zagubiony i zupełnie sam sobie nie znany. - To nie ma znaczenia - odezwałem się. - On nic nie zrobił. - Odwróciłem się w stronę namiotu. Gdybyśmy tylko byli każdy w swoim domu, gdybyśmy któregoś ranka rozbili namiot w ogrodzie, żeby sprawdzić, jak to się robi. Nienawidziłem namiotu i nadchodzących godzin, gdy Ranek będzie mnie miażdżył, a ja nie będę miał dokąd uciec, jedynie w noc do jej drapieżników. Postanowiłem nic teraz nie mówić, ale czułem, że rozsądnie będzie wstać o pierwszym brzasku pod pretekstem pisania wiersza.

Odwróciłem się i spostrzegłem, że wycofujący się nieznajomy ogląda się w ostatniej chwili, a biegnący bardzo szybko po zboczu Ranek powala go na ziemię szybkim, sprawnym chwytem, wstaje i biegnie z powrotem. Za nimi, na szczycie wzgórza, jakieś postaci poruszały się wśród drzew.

Od lat nie byłem w kościele Wszystkich Świętych i zapomniałem już, jak uspokajająco nieświęty jest to budynek; pod koniec osiemnastego wieku miejsce starego wiejskiego kościółka zajęło szerokie, pokryte stiukami pudło z galerią na organy, z prostymi białymi ławkami oraz ogromnym wschodnim oknem z przezroczystą szybą, za którą widać było drzewa i górne okna domu pastora, kiedy się siedziało i słuchało go bądź rozmyślało o lunchu. Z wcześniejszej budowli zachowano tylko starą, szarą zachodnią wieżę, którą znowu obstawiono rusztowaniem i tygodniami łagodnie czyszczono bieżącą wodą. Przyszedłem wcześniej i zastałem proboszcza prowadzącego negocjacje z murarzami na temat chronienia żałobników przed bezustannym zimnym deszczem. Następnie weszliśmy do środka i pociągnęliśmy za łańcuchy, które uruchamiały prymitywne, umieszczone pod sufitem grzejniki: przeszedłem się wkoło w ich suchym powiewie, wczuwając się w atmosferę tego miejsca bardziej rozproszony z powodu zdenerwowania niż smutku. Przypomniałem sobie mdłości poprzedzające lekcje w szkole, gdy byłem nauczycielem; nawet indywidualne seminaria poprzedzał pewien chłód. - Och, Boże! - jęknąłem i przystanąłem bezmyślnie

bawiąc się obłuzowanym mosiężnym uchwytem bramki przed rzędem ławek, zagubiony w dławiających marzeniach o miłości do Luca.

- Wszystko w porządku? - mruknął proboszcz, kładąc dłoń na moim ramieniu i szeleszcząc swymi dziwacznymi spódnicami po moich nogach.

To niebywałe, ile osób przyszło: nasi starzy przyjaciele, rówieśnicy ze szkoły, których nie widziałem przez całe dziesięciolecie, nie znane mi cioty z Londynu w dziwnie skrojonych, jakoś radosnych garniturach, młodzi ludzie od antyków i inni oszuści, wysoki, głuchy mężczyzna, którego nikt nie znał, a który był ojcem Colina Maylorda, chłopak prosto z motoru (och, Ralphie!) w skórach i z końskim ogonem usadowił się w ławce obok przerażonych ciotek i wujów ze wsi. Gerald i Anne de Souza, wytwornie skromni, z nieszczęśliwym młodszym bratem Edie, Pipem. Podszedłem, by ich powitać, jak mistrz ceremonii na ślubie, zastanawiając się, czy może Edie nie przyjechała. Lękałem się spotkania z nią po tym, co przeszła, oraz widoku jej smutku, który mógł być bardziej dręczący niż smutek odczuwany przeze mnie. Lecz okazało się, że przystanęła na zewnątrz, aby porozmawiać z Dannym i Simonem, i weszła tuż za nimi, blada i opanowana, upiornie piękna, jak to się czasami zdarza ludziom chorym. Miała cudowny czarny kapelusz z paradnie nastroszonymi piórami w kolorze sadzy dookoła ronda. Objęliśmy się nic nie mówiąc, a potem wsunęła się na miejsce obok swojej nieskazitelnej matki.

Zająłem miejsce przy końcu ławki i czekałem, aż minie ta przygnębiająca przerwa przed wkroczeniem rodziny i karawaniarzy ze wstrząsającym brzemieniem dowodu. Organista przynudzał bezkształtnym i rozciągającym się w nieskończoność introit: jest to muzyka, której nikt nigdy nie zapisał nutami, zwykle machinalne bębnienie po klawiszach, żeby zapełnić czas, urozmaicone od czasu do czasu ziewającą zmianą tonacji przypominającą fałszywy alarm. Czasami od strony robotników pracujących na zewnątrz dochodziło podzwanianie dłuta lub śpiewny okrzyk. Powrócił do mnie okruch snu z ostatniej nocy, ale rozpląnął się, zanim zdołałem go złapać. Matt w barze dręczył mnie i wyszydzał, opowiadając, jak uwiódł Luca tego popołudnia, gdy opuściłem miasto - jakie to było proste,

chłopiec niemalże błagał o to, zrobili to cztery, pięć razy, a dziś wieczór miał go znowu posiąść... Zacząłem z niecierpliwością myśleć o locie powrotnym jutro, pragnąc, by minęły już te godziny, których nie da się odrobić.

Patrzyłem na tylną część głów zgromadzonych tu ludzi, na tę część człowieka, o której on sam niewiele wie, która zawsze go zaskakuje w sklepie z ubraniami lub w ręcznym lusterku u fryzjera, część tak ufnie zwróconą w stronę kochanka. Za kilkoma ze znajdujących się tu głów siedziałem w szkole: Tony Barnett, który za pomocą brylantyny i spinaczy do papieru zwykł utykać włosy pod postawionym kołnierzem, aktualnie wielki reżyser reklamówek, z błyszczącą łysą plamą przypominającą tonsurę; Hilary Smythe (biedny koleś), nastoletni wieśniak, którego widywano kurczowo uchwyconego barierką przy światłach na przejściach dla pieszych wraz z pijakami w podartych tweedowych marynarkach, teraz wyglądał bezbarwnie i elegancko ze szpakowatym wąsem; obok niego szerokoszyja postać podobna do niesfornego, ale łagodnego psa, adekwatnie do wyglądu przezywana Bokserem - kapitan drużyny rugby, ocierający oczy czerwoną chustką do nosa; przed nim zapomniani bliźniacy Sindonowie, Doug i Greg, czy też Greg i Doug, dokładnie tacy sami jak kiedyś, genialni pływacy nie interesujący się niczym innym - nagle, niby wakacje z dzieciństwa, przypomniał mi się ich adres oraz łazienka z zapachem chloru i schnących ręczników - mieli teraz na sobie srebrzyste garnitury z poduchami na ramionach; miałem ochotę polizać identyczne jasnowłose paprotki w zagłębieniach ich karków.

Nie bardzo byłem w stanie skupić się na kazaniu, zanim nadeszła moja kolej; mieliśmy zaśpiewać hymn, ale organista zagrał niewłaściwą melodię, więc wszyscy ledwo mamrotali pod nosem do ostatniego wersu. Usiłowałem śpiewać, ale łzy odbierały mi głos, gdy zerkałem na koszmarną skrzynię zawierającą to, co pozostało z mojego przyjaciela przez krótką chwilę, zanim go znowu spaliliśmy. Cały czas próbowałem przypominać sobie nazwiska obecnych ludzi, aby nie denerwować się, że ta chwila zbliża się do mnie pędem. Nagle pastor zapowiedział moje czytanie przed Ewangelią, dużo wcześniej niż się spodziewałem. Głupawo rozejrzałem się dookoła w nadziei, że może nikt tego nie zauważył.

Audytoryum usiadło wygodnie, niektórzy zaczęli siękać nosy. Od strony matki Ranka z pierwszej ławki dobiegło ciche zawodzenie, wiedziałem, jak bardzo musi pragnąć, żeby to już się skończyło, ale zapewne chce też, żeby wszystko odbyło się należycie. Podszedłem zatem do pulpitu i przeczytałem.

Pewnego dnia na wzgórzu, gdzie wrzosów bez liku,
Nie widziałem go więcej pod drzewem wśród cieni,
Dzień minął, lecz nie było go znów przy strumyku Ni pod bukiem znajomym, ni na łąk
zieleni.

Dnia trzeciego ujrzałem: na cmentarz ze śpiewem
Powoli niósł go orszak żałobą okryty...

Ojciec pomógł mi przez to przebrnąć przypominając, jak oczyścić głowę i odnaleźć w sobie ten niewyczuwalny fałsz, którego potrzebują aktorzy. Kiedy w szarym listopadowym świetle spoglądałem na smutne twarze, wspominałem, jak opisywał mi publiczność i jej oczekiwania oraz panowanie nad sobą, którego potrzebujesz, żeby zapanować nad nimi. Chcieli ode mnie czegoś i, co zupełnie zaskakujące, w mojej mocy było im to dać. - Mów głośno - powiedział. Było podobnie jak w pewne ciche noce - nigdy nikomu o tym nie opowiadałem - ale czułem, że tato wynurza się z ciemnego kontinuum, na które został skazany, i przygniata mnie radami zbyt surowymi, by można je w pełni wykorzystać.

Wróciwszy na miejsce, uczułem spokojne uniesienie, prawie oczekiwałem gratulacji, i kilka chwil minęło, zanim przystosowałem się do otaczającego mnie przygnębienia. Wymieniłem współczujący uśmiech z jedną z siostr Ranka - wszystkie trzy siedziały w pierwszej ławce z rodzicami, dwie z nich u boku mężów, którzy, nie uroniwszy łzy, tkwili tam z dyplomatycznymi minami outsiderów. Dziwna była rola, jaką te kobiety odgrywały w moich uczuciach do Ranka, dziwne, że w najżywszym wspomnieniu o nim one były obecne, a ja nie - ich rodzinne wakacje, gdy miał ledwie szesnaście lat.

Jakiś banalny śródziemnomorski kurort, piach wydeptany i zaśmiecony pod koniec dnia, morze martwe i mdłe, czworo dzieci szarpiących się nawzajem, muskularny Ralph w obcisłych małych kąpielówkach, z ramionami zaróżowionymi od słońca, beztrąsko terroryzuje dziewczęta, całuje je i podszczypuje, łapie i wrzuca do wody. Jest pełen niezogniskowanej energii, znajdującej ujście w całodniowym przekomarzeniu i ganiu, przerywanym chwilami majestatycznego wygrzewania się na słońcu, kiedy to wcierają w niego kremy i, w nadziei na rozejm, przynoszą mu coś do picia. Cały jest potencją. Mocny, mały fiut staje, gdy Ranek gnieździ się w piachu. Lubi zaskakiwać siostry jego sterczącym kształtem; dziewczyny obserwują go bacznie, podobnie jak cztery włosy na jego klatce, i podobnie jak on obserwuje ich piersi. Jakąż są śliczną biuściastą grupą. Robi się chłodno, więc dziewczyny wloką się do domu, a on tymczasem po raz ostatni idzie popływać - długa, szybka rundka crawllem. Potem widzę, że sięga stopami dna i przystaje, oddychając gwałtownie i spoglądając na ląd, gdzie pojawiają się pierwsze światła. Rozsuwa nogi i czuje, jak chłodna woda dotyka jego wdzięcznego zwieracza. Nikt nigdy nie wiedział, nikt nigdy nie będzie wiedział, że w tej chwili myśli o mnie, w Rough Common, a ja myślę o nim, czekam na niego, sięgam dłonią w dół, tak jak wyobrażam sobie, że on to robi, by poczuć szybki podwodny prąd możliwości.

Auta wiozące rodzinę w dostojnym tempie utorowały sobie drogę wśród spieszonych, urażonych samochodów w kierunku północnym, do krematorium. Reszta osób zebrała się w luźnych grupkach na żwirowym placu. Podbiegłem do Edie i przyłgnęliśmy do siebie w krótkiej agonii łkania i stłumionych okrzyków. De Souzaowie mieli później wydać przyjęcie, więc poprosiła, żebym pojechał z nimi już teraz. Wtarabaniłem się na tylne siedzenie ich długiego, senatorskiego daimlera i w wyciszony, skomplikowany nastrój obcej mi rodziny. Pełzaliśmy do przodu rozdając wymuszone, pełne zrozumienia uśmiechy wśród ludzi, którzy ledwo słyszeli jadący samochód. Gerald otworzył okno i zawołał: - Przyjdźcie do nas o pierwszej, wiecie gdzie - choć Sindonowie wydawali się odrobinę zbici z tropu.

Wyglądało na to, że chłopak od motocykla znalazł sobie przyjaciół. Pozostali szli samopas wzdłuż drogi do centrum miasta, powiadomieni o ogniu na kominku i grzonym winie z korzeniami u „Jerzego IV”. Daleko przed nimi widać było dziarską, przygarbioną postać w ciemnoszarym płaszczu i filcowym kapeluszu, przy każdym kroku energicznie wyrzucającą laskę do przodu.

- Nie moglibyśmy go zabrać? - wymamrotała Anna, a jej mąż zwołnił, gdy tym razem ona otwierała okno od swojej strony. - Podwieźć cię, Perry? - zawołała. Lecz on nie zatrzymując się uniósł kapelusz i odkrzyknął:

- Nie trzeba, dziękuję!

- W takim razie do zobaczenia później.

- Ma prawie dziewięćdziesiątkę - powiedziała, kiedy ruszyliśmy.

- Bardzo ładnie z jego strony, że się pojawił.

Zerknąłem do tyłu zastanawiając się, czy przypomniało mu się nasze spotkanie, kiedy usłyszał, jak czytam, teraz, gdy byłem grubszy, starszy i nie pisałem już wierszy. Nadal rozglądał się wokół w ten sam sposób, jakby oczekiwał pozdrowień, nadal otaczał się atmosferą nadmiernej młodości. Było coś wzruszającego i niedorzecznego w tym, że przyszedł, jakby Anglia georgiańska musiała wystawiać swoją reprezentację na tych egzekwacjach końca wieku.

Później, dużo później. Za pięć i dwadzieścia dwunasta zielonawo-białe postaci majaczyły wokół mnie niewyraźnie. Dzień zachłystnął się alkoholem i prawie się podtopił. Wyszedłem od kogoś znajomego i powlokłem się w stronę domu, sam, ale naładowany niezwykłym poczuciem wspólnoty z absolutnie obcymi ludźmi: takie przymusowe zjednoczenie następujące po pogrzebie i jego niedwuznacznym zakończeniu. Noc była wilgotna i cicha, uliczne lampy jarzyły się mgliście pośród prawie nagich drzew. Trafiłem akurat w ten moment, gdy na dworze nie ma nikogo poza barmanami z pubów wyprowadzającymi swoje wilczury oraz taksówkami wiozącymi pasażerów z ostatniego

pociągu i pozostawiającymi za sobą woń spalonego paliwa.

Skręciłem w Fore Street i ujrzałem niezwykle zjawisko: w poprzek dalszego końca drogi wisiał wspaniały zawój perłowej mgły, przydając latarniom na skraju błoni wyglądu promenady w melancholijnym kurorcie nad jeziorem. Mgła stała się taką rzadkością w okresie mojej dorosłości, że patrzyłem na nią jak na coś cudownego, przezroczystego i nieprzezroczystego, z niewytłumaczalnych powodów rozpościerającego się akurat tu, a nie gdzie indziej. Ruszyłem do niej powoli środkiem drogi i przeszedłszy przez niski płotek, znalazłem się w jej dżdżystych objęciach.

Ku memu zdziwieniu wewnątrz mgły było prawie zupełnie ciemno, ale szybko trafiłem na ścieżkę, a okolica była mi tak dobrze znana... Postawiłem kołnierz płaszcza i odkryłem, że jest pokryty drobnymi kropelkami wody. Czułem się wyczerpany, ale wzdragałem się na myśl o powrocie do domu w takim nastroju. Ścieżka ruszyła stromo pod górę i wtem mgła nagle zniknęła. Wyszedłem z niej w zupełnie inną noc, połyskliwą od księżycowego blasku wystarczająco mocnego, by drzewa i krzewy mogły rzucać długie cienie. Uczulem dreszcz radości i pogałem na szczyt.

Mgła kręgiem obejmowała wzgórze i kładła się grubą warstwą na wschód zatapiając blokowisko, za którym tylko bezlistne korony najwyższych drzew rysowały się niewyraźnie nad jej powierzchnią. Na południu inne wzgórza unosiły się nad bladą krą jak nieprzystępni przyjaciele, niemniej wykorzystujący okazję: godzinka lub dwie panowania nad okolicą. Stanęły mi przed oczyma ciche belgijskie uliczki, do których miałem wrócić, okryte tą samą księżycową poświatą. Przyszło mi na myśl, że to jutro - nie, dzisiaj, ale później - Helene ma wyjść za mąż. Na pewno nie może spać. Wędrowałem skrajem lasu, prawie oczekując, iż uda mi się dostrzec miejskie wieże.

Dotarłszy do ławki odkryłem, że nie jestem sam. Przez chwilę miałem gęsią skórkę, jakby siedzący tam człowiek zmaterializował się zniemacka. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie mówiłem do siebie na głos. Obrócił odrobinę głowę, ale nie tak, by spojrzeć wprost na mnie, i księżyc błysnął w jego okrągłych okularach. Był to czarny chłopak -

zgodnie z coraz rozleglejszym znaczeniem, jakie przydawałem temu określeniu rok po roku - chyba niewiele po dwudziestce; usadowił się na oparciu ławki, stopy wspierając na siedzeniu; dostrzegłem wełniany kapelusz naciągnięty na uszy i puchatą kamizelę okrywającą inne ciemne ubrania. Przez chwilę tak trwaliśmy, wspólnie podziwiając niezwykle widok i przenikający go nastrój bezruchu i zapomnienia.

- Zdumiewająca noc, prawda? - rzuciłem lekko, tylko dla formy.

- Uhm - odrzekł i zeskoczył z ławki, jakby miał się już zmyć, bo mu wszystko popsułem. - Mroźna.

Naprawdę? Zbyt wiele wypłem, żeby zwrócić na to uwagę - ale, tak, z ust leciała nam para. Prawdopodobnie siedział tu od wieków; musiał coś przemyśleć. Dopiero po dobrej chwili zorientowałem się, że wyciąga do mnie rękę.

- Dotknij - nakazał wzburzonym tonem.

Kurczowo chwyciłem jego dłoń, była zimna i wydawała się popękana; przytrzymałem ją chwilę za długo, dopiero teraz dostrzegając sens tego gestu, a on w odpowiedzi ścisnął moje palce. Westchnął i przysunął się do mnie jakby tanecznym krokiem, a potem objęliśmy się - ładnie pachniał, jakimś typowym dziewczęcym zapachem. Pocałowaliśmy się posępnie, czemu towarzyszył cichy dźwięk stukających o siebie okularów.

Zdecydowałem, że odpowiada mi to, i zacząłem gmerać w okolicach jego talii; gwałtownie wciągnął oddech, gdy moje lodowate dłonie dotknęły jego skóry. Baniasta kamizela sprawiała, że wyglądał na większego niż w rzeczywistości był, ale miał okrągły, włochaty tyłeczek, a kiedy po omacku przedarłem się przez zwoje rozpiętej koszuli i dyndającą klamrę paska, poczułem początek czegoś pięknego w jego szorstkich włosach łonowych i musiałem to wydobyć, pęczniejące i samo sobie przeszkadzające, z więzienia w ciasnej nogawce dżinsów. Ledwie to widziałem w ciemnościach między nami, a chłopak napierał na mnie, pocierając okolice mojego rozporka i całując mnie z zaskakującym entuzjazmem po całej twarzy, przesuając językiem po okularach i zapaćkując mi szkła. Cały był rozpalony, w sposób, jakiemu nie mogłem dorównać, ale mogłem za to podziwiać,

podobnie jak łut szczęścia, który sprowadził mnie tutaj w tę listopadową noc, w innym przypadku ofiarowującą nam tylko perspektywę chłodu.

Pogoń za chimerami

15

Cherif zapuścił wąsy. Były gęste, nie sięgały kącików jego ust i nadawały mu wygląd zawadiaki; zakryły pociągająco wywiniętą górną wargę. Zawahałem się, zanim usiadłem obok niego przy barze. - Pewnie mnie nie poznajesz - powiedział.

Moja dłoń przez sekundę spoczywała na jego chłodnym, okrytym skórą ramieniu. - Poznaję całą resztę ciebie.

- To dobrze. - W rzeczywistości pod zarostem kryła się nieśmiałość. - Myślałem, że umarłeś albo coś w tym stylu. Spędziłem tu ostatnie trzy wieczory.

- Nie ja, ktoś inny: byłem w domu na pogrzebie.

Okręcił szklankę na podstawce.

- Pomyślałem, że może będziesz w tej saunie dla mężczyzn, więc poszedłem tam.

Wiedziałem o istnieniu tej instytucji i wyobrażałem sobie, że zajmuje poczesne miejsce w głębszym, mrocznym kręgu seksualnego życia miasta.

- Nie, nigdy tam nie chodzę. Było coś ciekawego?

Wzruszenie ramion.

- Jeden czy dwóch facetów... W sumie nic nie robiłem.

Zauważyłem, że sprawiło mi to przyjemność.

- Nie mam już odpowiedniej figury do rozkładania się w saunie.

Nadal marszcząc się do swojego drinka, powiedział:

- Wyglądasz naprawdę chudo. - Czy zabrzmiał w tym krytyczny podtekst, skryta aluzja do marnowania się w nie zaspokojonej miłości? Zamówiłem piwo dla siebie i dodałem

drugie dla niego.

- A gdzie ty się podziewałeś? - spytałem.

Pochylił się, przeczesał palcami moje włosy i przez chwilę delikatnie głaskał kciukiem małe gładkie wybrzuszenie za moim uchem. Pomyślałem, że prawdopodobnie wypił już kilka kolejek - trafiłem w chwilę ciszy w środku wieczora. Przyszedłem tu prosto z lotniska, było mi odrobinę mdło po chaotycznych podskokach samolotu, kilku miniaturowych piwach słodowych i szalonym kabarecie w wykonaniu stewardów linii Kentair.

- Nigdzie - odrzekł. A ja pomyślałem, że może okazaliśmy już dosyć ciekawości.

Krzyknął coś do barmana, który reagował powoli i sprawiał wrażenie, że Cherif nie należy do jego ulubionych klientów, gdy wręczał mu gazetę zatkniętą za kasę. Była to „Flemish Post” sprzed kilku dni, zwinięty i z lekka już pożółkły, o kruchej fakturze papieru gazetowego, który zamókł, a potem został wysuszony. Cherif rozłożył go przede mną, wskazał na krótki artykuł i przyglądał się, gdy czytałem. Wiedziałem, że dosyć kiepsko włada językiem, więc wydawało się, że ponownie przyswaja sobie ten kawałek obserwując moje reakcje.

- Hm - stwierdziłem odsuwając gazetę w jego stronę.

- Była tu policja i gadała ze wszystkimi.

- Och. - Ponownie zerknąłem na artykuł. Mówił o tym, że w kanale morskim znaleziono ciało młodego mężczyzny; Pietera jakiegoś tam...

- To Róża - wyjaśnił Cherif - ten, którego nazywałeś Różą. - Chwila niepokojących reminiscencji: duża, nerwowo zaciśnięta pięść z dziewczęcym imieniem wypunktowanym na niebiesko w poprzek kłykci, źrenice jak łebki szpilek, nerwowa paplanina i nieogłędna próba naciągnięcia tego starszego mężczyzny. Barman przechodząc zabrał z powrotem gazetę.

- Wyrzuciłem go - powiedział. - Niebezpieczny gość. Narkotyki. Będzie tydzień temu albo dwa. Oczywiście nie ciota - wyjaśnił. - Co oznacza albo stratę czasu, albo kłopoty. - Odwrócił się, krótko i zdecydowanie potrząsając głową.

- I co odkryli? - zapytałem Cherifa.

- Nie wiem. - No oczywiście, ale miałem nadzieję na choćby odrobinę więcej informacji. - Może był wariatem.

- Ze mną rozmawiał najzupełniej rozsądnie. - Lecz Cherifa cała ta sprawa napawała melancholią. - Nie znałeś go, prawda?

- Spotkałem go tutaj, to wszystko. Zachowujesz się jak policjant.

- Przepraszam, kochanie. - Napilem się i spojrzałem na prawie pustą salę. Była to godzina zastoju - szafa grająca milczała, telewizor gorączkował się, ale bezdźwięcznie, jeden czy dwóch nudziarzy walkowerem zdobyło panowanie nad salą. Pogłaskałem go po dłoni.

- To potworne, gdy ktoś tak po prostu zostaje usunięty z życia, że się tak wyrażę. - Drążył mnie własny smutek i byłem na przemian dotknięty i pełen współczucia.

- To nie ma znaczenia - odrzekł.

Lecz wrócił do tego później, gdy leżeliśmy w ciemności: skrzywienie sprężyn łóżka już ustało, właśnie zasnąłem i szukałem swojej przyczyny w hotelu robotniczym, w którym mieszkał Cherif, w tym labiryncie drzwi i nie oświetlonych klatek schodowych... Coś o „Róży”, gdzieś w zimnym kanale, chyba tylko przywołał obraz, a potem pozwolił mu zblaknąć i odpłynąć, nie mając nic więcej do powiedzenia na ten temat - choć pod powierzchnią pozostał jakiś lęk.

Potem ja z kolei leżałem bezsennie, gdy jego oddech stawał się coraz wolniejszy, otwarte usta wgniatały się w moje plecy, a krótkie włosy wąsów łaskotały mnie w ramię. Wyglądało na to, że bez słów zgodziliśmy się znowu być razem. Nawet sam w to wierzyłem, kiedy przyszliśmy do mojego pokoju i rzuciliśmy się na siebie tak, jak pierwszego dnia naszej znajomości. Powiedział, że nie spuszczał się od dwóch tygodni, nigdy nie trzymał tak długo, a kutas mu stał jak żołnierz na baczność. Chciał, żebym go wytasował, aby mógł podziwiać widok tych obfitych pióropuszy spermy. - Oszczędzałem ją dla ciebie - wyznał i serce we mnie zamarło, choć udawałem, że czuję się pochlebiony. Następnie ja wziąłem jego, a on wziął mnie i zupełnie osaczył niekontrolowanie czułym dupczeniem - to znaczy czułym kochaniem, wiedziałem, że kocha mnie każdym silnym pchnięciem, jego twarz podrygiwała

nad moją jak rozmazana plama, gdyż zezowałem z namiętności; nie mógł wyczuć lekkiego oporu wśród moich dreszczy i jęków.

Nad ranem zrobiło się zimno, przynajmniej poza zaduchem nagromadzonym pod pierzyną. Wskoczyłem prosto w dżinsy, dwa podkoszulki i najgrubszy sweter, a Cherif drżał wycierając kawałek zaparowanej szyby i spoglądając nad zamglonym ogrodem na ciemny masyw szkoły. Poczułem się trochę winny, więc przytuliłem go od tyłu i popatrzyłem nad jego ramieniem; lecz dziś nie odprawiano żadnych starożytnych rytuałów, widać było jedynie kłęby pary z kuchennych przewodów wentylacyjnych i przytłumiony blask witraży. Trzymanie w ramionach nagiego mężczyzny, gdy samemu jest się kompletnie ubranym, stanowi niezłą pożywkę dla sadystycznych fantazji.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - ubierając się spytał ironicznie oficjalnym tonem. Ubzdurał sobie, że ja zawsze mam plany i że robienie ich stanowi jedną z moich głównych przyjemności; a ja zaczynałem sobie uświadamiać, że wszelkie plany, jakie mu przedstawię, stanowią obronę przeciwko jego niesprecyzowaniu, że on o tym wie i wie również, iż w rzeczywistości moje dni są równie pozbawione wątku i chaotyczne jak jego.

- Pierwszy plan - powiedziałem - to zabrać cię gdzieś na śniadanie. Pracowałeś solidnie ostatniej nocy, młody człowieku, zasłużyłeś sobie na to.

- A drugi plan? - spytał i kicnął w moim kierunku naciągając sztywnawe stare skarpety, po czym udał, że się potyka i powalił nas obu z powrotem na łóżko.

- Drugi plan to zapakować cię do tramwaju, autobusu lub innego środka publicznej lokomocji i wyekspediować na miejsce pracy.

Wycisnął szlaczek z pocałunków na mojej szyi, delikatnie popychając mnie w tył, póki prawie zupełnie mnie sobą nie nakrył. - A trzeci plan, panie Manners? - Był w tej grze cień agresji, przypominający odległe parodię „dowcipnych” konwersacji erotycznych w starych komediach filmowych.

- Cóż, później muszę, hm, muszę trochę pouczyć.

Leżał zupełnie bez ruchu, czułem, jak serce bije mu ze wzburzeniem.

- Uczysz Luca?

Wydostałem się spod niego i usiadłem. - Na litość boską, przestań drążyć ten temat - jęknąłem. - To się skończyło wieki temu. Sam nie rozumiem, co ja widziałem w tym gówniarzu. - Ruszyłem do głównego pokoju, cały czas improwizując. - Jest taki... taki arogancki, i leniwy, wprost nie da się go uczyć. Ma dziewczynę. To znaczy... Nie jest atrakcyjny, ma koszmarnie usta, jak wszyscy twierdzą, dosłownie zdeformowane... - Cierpła mi skóra, a oczy miałem pełne łez od gmatwaniny aktorstwa i herezji. Przygarbiony odwróciłem się plecami do Cherifa, gdy przydreptał za mną i on z kolei objął mnie.

Skręciwszy w ulicę Długą niemalże rozdeptałem małego, ruchliwego teriera, który w popłochu wrzaskliwie zaszczekał i uskokzył w bok. Uniosłem oczy i spostrzegłem brodate oblicze Starego Gusa. Jak zawsze groźnie buńczuczny zbliżał się siekąc powietrze laską, jakby ciął źdźbła trawy. Odsunąłem się na bok, a gdy znalazł się tuż obok mnie, stanął i zagaił przyjaźnie: - Czy mógłby mi pan odstąpić parę franków?

Przez chwilę udawałem, że nie dosłyszałem, lecz po chwili otumaniony mieszaniną zasad i zabobonów sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem wszystkie drobne. Było ich całkiem sporo, w tym kilka funciaków, zacząłem w nich przebierać, po czym dałem mu całość. Natychmiast poczułem pewność, że było warto, poczułem, że wcisnąłem łapówkę w dłoń opatrności, która nagrodzi mnie bezzwłocznie godziną czułości z Lukiem.

Stary Gus wrzucił pieniądze do kieszeni i zmiażdżył mnie wzrokiem. - Sukinsyn! - warknął srogo i nienawistnie, trzasnął laską w chodnik, odwrócił się na pięcie i ciężkim krokiem ruszył dalej.

Stałem szczerząc zęby z czystego przestachu i dziwnego poczucia wstydu, a potem powoli poszedłem w stronę domu. Wyzywająco rozejrzałem się wkoło, ale poczułem, że cała okolica instynktownie stanęła po stronie Gusa. Surowe fasady dęsały się na mnie za tę drobną niesprawiedliwość; ich czujne, wysokie okna patrzyły na złoczyńcę, na kogoś, kto nie przynosi im zaszczytu. Odpowiedziałem im podobnym spojrzeniem, ale przez chwilę

nienawidziłem tej ulicy i długiej perspektywy porażek, na które mnie skazała. Przystanąłem, żeby wziąć się w garść i dodałem sobie animuszu wpadając na piękny, nowy pomysł wyjazdu na wycieczkę. Pożyczę na jeden dzień jeepa od Matta, zabiorę Luca wcześniej rano, wykąpanego, natalkowanego, zaciekawionego i czującego, że jest uprzywilejowany, i wywiozę go do jakiegoś historycznego miasteczka na lunch, przechadzkę, obaj przyznamy się do znużenia w brunatnym starym muzeum, nasza konwersacja uwolni się od zahamowań budzonych przez jadalnię Altidore'ów i ich wykrochmalonych przodków. Być razem w nękaney burzami okolicy, stanąć na wysokości zadania z nie znanym sobie nawzajem czarem i otwartością! A potem... najlepsze zostawmy. Wbiegłem po stopniach i natarłem na dzwonek odrobinę maniackim gestem. Otworzyła jego matka otulająca gardło i prawie całe usta pomarańczowym, ręcznie dzierganym szalem. - Prędszej, prędszej - ponagliła mnie. - Wszyscy jesteśmy przeziębieni.

- Coś takiego! Wszyscy dwoje?

- Ja zachorowałam po spacerze w deszczu, a on chyba zaraził się ode mnie.

Ty głupia stara krowo, pomyślałem, po prostu nigdy nie spaceruj w deszczu.

Traktowałem go niemalże jak Ranka w jego ostatnich dniach, uważając, że trzeba go strzec przed najlżejszą infekcją. - Tak mi przykro.

- Może woli pan odwołać lekcję?

- Nie, nie - zaprotestowałem z pośpiesznym kaszlnięciem, skrycie sprawdzając, czy sam nie mam lekkiego kataru.

Wprowadziła mnie do jadalni, nadal z szalem naciągniętym na twarz. Bardzo była w nim wzruszająca, jak starszawa aktorka grająca zawołowaną hurysę. Potem wymknęła się, pozostawiając mnie z antenatami mojego ukochanego. Byli tam ci, których widywałem za każdym razem - wiszący twarzą do mnie, a Lucowi za plecami - i których rysy usiłowałem nałożyć na jego rysy w takim niby genetycznym fotomontażu; oraz inni, za miejscem, gdzie siedziałem, którym mogłem teraz chwilę poświęcić. Zauważyłem interesującego Guillaume'a z cienką szarą książeczką w dłoniach, ale sam obraz był ogólnie nudny. Dlaczego nie postarał

się, by namalował go nasz wspólny przyjaciel Orst, zamiast tego konwencjonalnego czeladnika, którego niewyraźną sygnaturę zaciemnił już dym świec? Towarzyszyła mu żona Anona, sama księżna Cireno, kobieta o delikatnych rysach i seksownych oczach lecz równie ujarzmiona przez trzeźwość swojej nowej rodziny, A po nich już nikt: tak jakby reszta ukrywała swoje twarze.

- Ty też sprawisz sobie portret? - spytałem słysząc, że Luc wchodzi do pokoju.

- Nie w takim stylu - odparł. - I nie w takim stanie.

Odwróciłem się i zobaczyłem, co miał na myśli.

- Och - zaprotestowałem łagodnie. Rzeczywiście wyglądał jak człowiek obłożnie chory, co wzruszyło mnie w nowy sposób. Miał zaczerwienione oczy, był blady i udreżony przeziębieniem, ale być może znajdował też coś zbyt kownego w swojej bolesnej pasywności, w ogromnym, wełnianym szaliku w kratę i workowatych starych sztruksach; był jeszcze wspanialszy, gdy wyglądał parszywie, jak Garbo w roli włóczęgi. Włosy miał pociemniałe i tłuste, a gdy przeczesał je palcami zaczęły mu sterczeć na boki w zbitych kępkach.

- Nie podchodź blisko mnie - powiedział ponuro, wysuwając krzesło przy najdalszym końcu stołu, gdzie zostawiłem moją teczkę na nuty.

- W porządku - zgodziłem się z bolesnym śmiechem.

- I co oznacza twoje L? - spytał wskazując głową na pozłacane inicjały wytłoczone w czarnej skórze.

- To nie moje L - odrzekłem. - To torba na nuty mojego ojca, chyba mówiłem ci, że był śpiewakiem. Właśnie przywiozłem ją ze sobą z Anglii. - Mama zasugerowała, nie bez emocji, że może chciałbym jej używać. - Edward Lewis Manners. ELM - wiąz - drzewo, którego nie mamy już w Anglii dzięki pewnym żuczkom z Holandii.

- Zatem nie masz drugiego imienia?

- Ależ mam, oczywiście.

Chwila milczenia. - Czy to tajemnica?

- Tak. Nie, nie wygłupiaj się. W rzeczy samej mam... mam na drugie Tarquia. Zawsze

mi się wydaje, że to brzmi jak nazwa konia - dodałem histerycznie.

- W sumie się cieszę, że nie mam drugiego imienia - stwierdził Luc. Pani Altidore wtoczyła się z moją kawą i cytrynowym napojem dla syna.

Pochylił się nad nim wachając, zły i zbuntowany.

- LA oznacza Los Angeles - powiedział.

- Oznacza również Londyńską Akademię. - Znałem wszelkie możliwe znaczenia LA, nie wszystkie nadające się do powtórzenia samemu LA.

- Chciałbym pojechać do Los Angeles.

- Nie sądzę, by ci się tam spodobało - przestrzegłem go - mnóstwo tam przemocy i powietrze jest trujące.

- Jest również bardzo daleko stąd.

- Nie jestem pewien, czy to akurat świadczy na korzyść tego miejsca.

- Och, ja uważam, że świadczy - powiedział i skinął głową, wpatrując się w okno za moimi plecami. Rozpiąłem torbę w chłodnej ciszy, która nagle zapadła. Już wcześniej wystawiał mnie na swój gniew, przerażał mnie i dręczył, choć wiedziałem, że nie jestem jego przedmiotem, raptem słuchaczem, który znalazł się pod ręką, gdy zdarzyło mu się go wyrazić. Było w tym coś szalonego i niecywilizowanego. - Nie mówmy dziś o Williamie Wordsworcie

- poprosił, gdy otworzyłem książkę.

- Dobrze.

- Nie jestem jeszcze do tego przygotowany. - Zatem nie przejrzał tekstu, pomyślałem.

- Nie najlepiej się czuję, wiesz, może po prostu porozmawiamy.

- Dobrze. - Jasne, co tylko sobie życzysz. Zacząłem szukać jakiegoś neutralnego tematu, gdy on tymczasem wdychał parę z nad kubka; lecz byłem tak nieszczęśliwy, że nic nie przychodziło mi do głowy.

- Więc musiałeś wrócić do Anglii?

- Niestety.

- Zatem tutaj bardziej ci się podoba?

- Tak przypuszczam - odrzekłem, myśląc o tym, jak szaleńczo pragnąłem wrócić i jakie to dziwne, że on, który nigdy przedtem nie okazywał w ogóle ciekawości, zadaje tak osobiste pytania. Lecz znowu powrócił do niewesołych komentarzy na własny temat.

- Mnie bardziej by się podobało tam. Cieszę się na myśl o wyjeździe na Uniwersytet w Dorset, jeśli mnie tam zechcą.

- Jestem pewien, że doskonale sobie poradzisz. Będę mógł przyjeżdżać w odwiedziny i zabiorę cię na przejażdżkę do Zamku Dziewiczego i Cerne Abbas - powiedziałem, kompensując sobie wcześniejsze fantazje o wycieczce i dopiero po chwili dostrzegając swoją freudowską gafę w wyborze celów.

- Cerne Abbas to ten facet z ogromnym interesem?

- Zgadza się - powiedziałem sucho przez piekący rumieniec - to późnoromańska rzeźba w kredzie, przedstawia prawdopodobnie Herkulesa...

- Chciałbym to zobaczyć - oświadczył zdecydowanie, choć zabrzmiała w tym aluzja, że mógłby to zrobić i bez mojej pomocy. Smutne widmo kilku wizyt w Dorset, gdy Ranek się tam uczył, przesłoniło jak deszcz zapamiętany przeze mnie obraz rozległych, trawiastych wzgórz. Fakt, że Luc również postanowił tam pojechać, był dziwnie wzruszający, niczym ujrzenie we śnie utraconego przyjaciela. Potem przypomniałem sobie wysmagane wiatrem alejki w kampusie, zgubne luźne okrycia i lepki dywan w barze studenckim.

- Osoba, z której pogrzebu właśnie wróciłem, była w Dorset, stąd wiem o tym miejscu co nieco. - Natychmiast pożałowałem zaproszenia do poufałości; spojrzał na mnie trzeźwo, w sposób, który mnie lekko przestraszył - chłopcy nie chcą mieć żadnej styczności ze śmiercią, psującą wszystko, nie odczuli jej nigdy osobiście, jeśli mieli szczęście, tak jak Luc. Lub może jego spojrzenie wyrażało stosowne współczucie, trochę umniejszone i osłonięte przez przeziębienie.

- Przykro mi - powiedział bezbarwnie. - Dlaczego umarł? Lub umarła...

- Umarł. Zginął w wypadku samochodowym. To bardzo bolesna strata. I tak był ciężko chory, miał AIDS; lecz zapewne przeżyłby jeszcze kilka miesięcy. - Cień wzniosłego

smutku z pogrzebu zmusił mnie do odwrócenia głowy.

Kiedy znów na niego spojrzałem, Luc wydawał się równie wstrząśnięty. Poczuł nie znaną mu do tej pory odpowiedzialność, jaką dzielą członkowie drużyny, gdy karetka zjeżdża z boiska krykietowego, jeden z nich odpadł, a oni biegną z powrotem na stanowiska wśród instynktownie skąpych oklasków. Coś go dotknęło. Zaczął mówić o wypadkach drogowych. Powiedział, że nigdy nie będzie się miało wypadku, jeżeli się myśli, iż go się będzie miało, ponieważ sednem wypadku jest element zaskoczenia. Odparłem, że można jechać autostradą pod prąd i mieć absolutną gwarancję, iż się spowoduje wypadek, lecz on utrzymywał, że wtedy to nie będzie wypadek, bo zrobi się to celowo - choć naturalnie będzie to wypadek dla zupełnie nic nie podejrzewających osób, w które się wjedzie. Wydawało się, że czuje absolutną pewność, iż ten sofistyczny stan gotowości uchroni go na drogach, a ja zupełnie nie potrafiłem wyprowadzić go z błędu. Do pewnego stopnia zgadzałem się z nim - przecież wyobrażamy sobie potworne tragedie, na przykład ja czasami wyobrażałem sobie, że skórą cierpnącą na czaszce i gorącymi łzami w oczach, jego śmierć lub zniknięcie, jakbym w ten sposób próbował odegnać zły los. Powiedziałem: - Mam nadzieję, że się nie mylisz. - I nawet w tym momencie przepełniał mnie zabobonny lęk, że jednego lub drugiego z nas rozgniecie ciężarówka następnym razem, gdy odważymy się wyjść z domu.

Jeden z nas odejdzie pierwszy, pomyślałem później, gdy siedziałem w „Kasacie”, czekając, aż pojawi się Cherif, i ostro popijając, aby uśmierzyć ból poranka i nudę popołudnia, które szybko pochłaniał zmrok. Za rok od dziś nie będzie tu ani mnie, ani jego. Dla odmiany usiadłem przy oknie i wyglądałem przez brązowe, pomarszczone szyby na niespokojną ulicę - trudno było określić, kim są te postaci wynurzające się i przepływające pod przybrudzonymi ulicznymi lampami. Dziś wieczór zimne i mokre powietrze znad morza wypełniało place i aleje, podobnie jak widmowy nocny pejzaż z wybrzeżem, kanałem La Manche i łodziami rozbitymi na wystających skałach w Dorset, i to była cała przyszłość, jaką mogłem dostrzec. Cóż, niech odejdzie. Wycofałem się z lekcji po dwudziestu minutach, z minimum uprzejmości, powołując się na słaby stan jego zdrowia, jakby chodziło o moje.

Nawet nie wstąpiłem do łazienki.

Cherif przyszedł około piątej i jego beztroski uśmiech oraz wynikające z nieświadomości zaufanie podniosły mnie na duchu. Pocałowaliśmy się, a jego kurtka była zimna i śliska. Gdy wracał z kibla, obserwowałem, jak zbliża się wzdłuż baru - jego kutas wyglądał rozkosznie i wesoło, tak jak go nosił: na środku i noga przy nodze, pomyślałem, na sekundę przenosząc Cherifa w obce rejony krykieta. Usiadł osiągnąwszy niezłą erekcję - fakt ten nie umknął uwadze barowego arcynudziarza Harolda, którego przywilej okienny naruszyliśmy. Pochylił się nad nami w kłębach fajkowego dymu i rzekł:

- Wiesz co, masz straszno farta, że spotkałeś tego młodego człowieka. - Uwaga zarazem obraźliwą i w pewnym sensie bezspornie prawdziwą.

- Lekcja poszła dobrze? - spytał Cherif, niemalże z nutą dojrzałej troski o swojego zdeptanego rywala.

- Był chory - odpowiedziałem. - Potworne przeziębienie, nie mieliśmy lekcji.

- Och. Więc co robiłeś przez cały dzień?

Okrutne pytanie. - Cóż, po południu przyszedł Marcel Echevin. Robiliśmy testy na uzupełnianie. Było wesoło - odrzekłem ponuro.

- Co to jest?

- Uczeń musi uzupełnić słowo brakujące w zdaniu, aby pokazać, że rozumie tekst.

Cherif wyglądał na przerażonego. Przesunął dłonią po moim udzie i nerwowo mnie pocałował, jakby chciał umknąć przed całą tą historią, o której nic nie wiedział i która w sumie go nie obchodziła. Mówiłem dalej:

- Na przykład: „Cherif Bakhtar pochodzi z Paryża: jest.....” A on by powiedział...

- „Jest bardzo seksownym mężczyzną”.

- Nie. Powiedziałaby, że jest paryżaninem. Uzupełnienie musi wynikać z tego, co ja powiedziałem; chociaż twoje w pewnym sensie wynika, zgadzam się.

- A ja bym powiedział: „Pan Manners pochodzi z Anglii”, a on na to: „Jest bardzo, bardzo seksownym mężczyzną”.

Przypuszczam, że w tym pijackim żarcie była pewna doza żalostnego uroku. - Wiesz, nie sądzę, żeby on tak powiedział. Kocha się w pięknej dziewczynie o imieniu Sybille. Na jego nieszczęście Sybille jest narzeczoną Luca. - Spokojnie wprowadziłem to imię jako sprawdzian dla nas obu: Cherif zaśmiał się słodko i gruchająco, natomiast ja usłyszałem bębniący protest mojego serca na dźwięk tych sylab oraz ból wywołany jego obojętnością i siłą podejrzeń na temat dziewczyny. W innym razie - myślałem sobie, podczas gdy Cherif zaczął znowu mówić - dlaczego by udawał, że nie pojechała z nimi do St Ernest te kilka bezowocnych tygodni temu? Czyż nie powiedział mi, bodaj wcześniej jeszcze, że jest jego najbliższym przyjacielem i sprowadził na manowce moje widoki na przyszłość? Dlaczego nic nie prowadziło gdzie indziej, tylko zawsze do stęchłej atmosfery tego baru i jasnych płycizn szklanki?

- ...i było naprawdę zimno - mówił Cherif - i zaczęło padać, a ja nie miałem nic do ubrania.

Nagle przybrał pozę z jakiejś nieokreślonej powieści - widziałem to już wcześniej, gdy odgrywał rolę człowieka w potrzebie, zapewne nieświadomie dopominając się o współczucie.

- Powinieneś mieć odpowiedni płaszcz - powiedziałem znowu naśladowując moją zdecydowanie dobroczynną mamę. - Ta kusa kurteczka jest do niczego. - W pewnym sensie czułem do niej sympatię: wytargowana na ulicznym straganie kupę lat temu, modna jedynie w pozaczasowym stylu Trzeciego Świata, z rudą powierzchnią odpadającą płatami niczym popękany fornir.

Wzruszył ramionami. - Dobra, ale nie mam forsy.

- Nie bądź śmieszny. Musisz nieźle zarabiać na tych wszystkich ciężkich pracach, czy co tam robisz.

- Nic nie rozumiesz - powiedział. - Ja mam matkę i cztery siostry w St-Denis i wszystko im wysyłam. - Miał teraz do dyspozycji nowy gest, który właśnie wykonał, rozdzielając wąsy kciukiem i palcem wskazującym, następnie przesuwając dłoń po ustach, w sposób przywodzący na myśl tajemnicę lub niecałkowitą prawdę. Może to zabrzmiało

dziwnie, ale podobało mi się to jego udawanie, niosło ulgę po żrebięcej szczerości, nawet jeśli to ja miałem zostać wykorzystany.

- W porządku, sprawię ci płaszcz - powiedziałem dopijając piwo i wręczając mu pustą szklanę.

Sklep Alejo nadal był otwarty, choć cienista dyskrecja frontonu nie wskazywała na to, nadając temu miejscu wygląd sex-shopu lub biura bukmachera. Cherif z wahaniem wkroczył za mną do oświetlonego reflektorami korytarza, zaskoczony jak ja za pierwszym razem zwykłym brakiem towaru. Zdawało się, że można tu kupić chusteczkę do nosa, impregnowany podkoszulek lub pojedynczy zielony but. Alejo we własnej osobie mitrężył czas przy ladzie, leniwie składając koszulę. Wyglądał czarująco w uwodzicielskich jedwabiach i oliwkowych, aksamitnych bryczesach.

- Hola, Alejo! - zakrzyknąłem idiotycznie, ale wystarczyło, żeby spojrzał i przypomniał mnie sobie.

- Cześć - powiedział truchtając ku nam i całując mnie na hiszpańską modłę w oba policzki.

- To mój przyjaciel Cherif, jest mu zimno i chce mieć płaszcz. - Uścisnęli sobie dłonie i Alejo obszedł go z uznaniem kilka razy dookoła, zanim poprowadził go przez lustro, które okazało się drzwiami wahadłowymi, do tłocznej groty sklepu. Ruszyłem za nimi, ożywiony w mojej nowej roli patrona, ale również starając się zachować pewną rozwagę, jak rodzic u szkolnego dostawcy konfekcji. Z głośników dobiegał głos Doris Day śpiewającej Żaboty i żakiety.

- Rudi, idź do kasy - powiedział Alejo do drobnego blondynka w szelkach. - Ja się zajmę klientem. - Rudi szepnął coś i wychodząc zerknął na drugą stronę pokoju. - Kłopot w numerze trzecim - wyjaśnił tajemniczo Alejo i od razu dorzucił: - Twój przyjaciel jest bajeczny.

- Podoba ci się? - spytałem patrząc na Cherifa wędrującego wzdłuż stojaka z

płaszczami i nieśmiało macającego rękawy; może moglibyśmy zrobić jakąś wymianę.

- Gdzie go znalazłeś? Jest tam więcej takich?

- Musi być drugi całkiem podobny. Dokładniej w Muzeum Miejskim, ogląda Niebo i piekło.

- Ach, wiem, co ty oglądasz! - Z zadumą pogładziłem się po brodzie.

- Po płaszczu zainteresuję go paroma innymi rzeczami. - I pomknął doradzać

Cherifowi, ręką poufale obejmując go nad łokciem, prawie przytulając się policzkiem do jego ramienia.

Przez chwilę kręciłem się tu i tam, leniwie przeglądając ubrania na wieszakach. Było tam wiele budzących wstręt rzeczy z rodzaju tych, których nigdy w życiu byś nie założył, ale które jakiś modniś-daltonista mógłby obnosić na przyjęciu lub w klubie; obejrzałem mnóstwo skór mających dużo bardziej dziwaczne fasony i zapięcia niż moja własna stara, kochana kurtka - widać również było zacięcie anglicyzujące, kraty tatterstalskie oraz tweedy w jodełkę. Przymierzyłem jedną marynarkę, ale poczułem się w niej jak Jimmy Edwards. Trzeci sprzedawca, bardzo nerwowy, ale wyuczony podstawowego frazesu kupieckiego, którego trzymał się wiernie, powtarzał bez przerwy, że świetnie w niej wyglądam.

Odwiesiłem marynarkę na wieszak, a w lustrze obok mnie pojawił się mój rywal. Szybko spuściłem wzrok, po czym znowu ukradkiem zerknąłem i zauważyłem, że jego uśmiech rozciągnął się poza podziw dla czarnej dżinsowej kurtki, którą przymierzał, ironicznie prowokując mnie do wyrażenia opinii.

- Hej tam - zawołał. - Coś często się spotykamy.

Odwrociłem się i posłałem mu gniewne spojrzenie, ale nie wytrzymałem i szczątkowe dobre wychowanie kazało mi trochę złagodzić jego wyraz.

- No właśnie.

- Pamięta pan, dwa razy wpadłem na pana. Jest pan Anglikiem, prawda? Zazwyczaj widuję pana z takim wysokim, jasnowłosym młodym Belgiem. Niezwykle urodziwy chłopak.

- Niedobrze mi już było od komplementów na temat urody moich towarzyszy. - Nie

pamiętam, jak mu na imię. - Odwrócił się bokiem, żeby sprawdzić krój kurtki i pokazać mi zwarty tyłek: doskonale możliwy do przyjęcia sam w sobie, ale nieodwołalnie obrzydliwy dzięki temu, że należał do niego.

- Hans - odparłem. Uniósł brodę i zmarszczył brwi w lustrze, jakby mówiąc, że nie wierzy mi ani na jotę.

- Powinniśmy wybrać się kiedyś razem na drinka - powiedział tym samym groźnie naturalnym tonem. - Wie pan, dwóch Brytyjczyków za granicą, wspólne zainteresowania...

- Niestety, nie piję - powiedziałem, a w moim oddechu prawdopodobnie czuć było piwo. Zapewne widział mnie w barze, kiedy byłem już mocno wcięty.

- Zdumiewający jest ten sklep, nieprawdaż? Jak czarodziejska grota. - Spojrzał na mnie figlarnie. - A co pan właściwie robi?

- Jestem pisarzem. - Odwróciłem się, żeby zobaczyć, jak sobie radzą moi przyjaciele.

- Ja aktualnie robię niewiele - powiedział. - Cóż, wałkonię się.

Uśmiechnął się i zrzucił z siebie kurtkę. Przez odrażający moment myślałem, że zamierza zacząć się wałkonąć od razu na miejscu. Wyjął portfel z kieszeni koszuli i wręczył mi bilet wizytowy. - Gdyby zmienił pan zdanie - wyjaśnił ufnie. Pokręciłem głową, ale trzymał wizytówkę, dopóki jej nie chwyciłem niewidzialnymi szczypcami do odkażania i odszedłem z nią w drugi koniec sklepu. Ku memu zakłopotaniu nie było na niej napisane: „Jestem szkodliwym durniem”, lecz „Rodney Young - Badacz”.

Cherif wybrał mocno nowomodny, brunatny zamaszysty płaszcz z szerokimi ramionami i paskiem w talii. Miał mnie sporo kosztować, ale byłem zdeterminowany doprowadzić sprawę do końca, nie całkiem nawet pojmując, dlaczego. Przypuszczam, że miał to być substytut miłości, której nie mogłem odwzajemnić, lub to, co ludzie nazywają kupowaniem spokoju sumienia za pieniądze i utrzymują, że nie działa. Postawił kołnierz i postąpił w stronę lustra zaskoczony swoją metamorfozą. Oto inny Cherif: burżuazyjny i skrępowany. Jego wygląd zdawał się sugerować, że należy poczynić dalsze zmiany: stare dżinsy, zakurzone buty, czapka. Alejo wpadł na nawet jeszcze bardziej radykalny pomysł.

- A może by tak jakaś pasująca do tego nowa bielizna?

- Obawiam się, że nie stać mnie już na nic więcej.

Cherif podszedł i przytulił mnie, a ja wciągnąłem kosztowny, uspokajający zapach wełny. - Dziękuję ci, przyjacielu - powiedział. Uderzyło mnie, że nie jest to praktyczny płaszcz na wyprawę do doków. Zapewne dalej będzie nosił to stare, co to jest? bolero?, do pracy, a płaszcz od razu zostanie wyniesiony do rangi luksusowego stroju wieczorowego. Cała ta gimnastyka była zbytecznym pobbżaniem sobie.

Alejo dygając pojawił się z powrotem z opakowanymi w coś śliskiego paczuszkami majtek. - Możesz dostać jedną parę jako prezent od firmy - szybko złożył ofertę, którą ewidentnie należało zachować w sekrecie przed kierownictwem sklepu i kilkoma innymi klientami markotnie przetrzāsającymi półki z koszulami.

- Które byś chciał, kochanie?

- Lepiej niech je przymierzy - zaproponował Alejo z przesadną skromnością.

Pomógł mu oswobodzić się z płaszcza i wysłał do kabiny za zastoną. Cherif zastanawiał się, czy robimy go właśnie w konia. Alejo odciągnął mnie na bok.

- Cóżes ty uczynił mojemu biednemu kuzynowi z Bilbao? - spytał.

- Och, rety... - Zaśmiałem się nerwowo. - Agustino. Cóż, myślę, że... - Naturalnie nie miałem pojęcia, co właściwie zrobiłem. - Co mówił?

- Był zbyt zaszokowany, aby cokolwiek mówić - uroczyście wyznał Alejo.

- Na pewno nie zrobiłem tego, na co miałem ochotę - powiedziałem. - Chyba po prostu szaleńczo się w nim zakochałem na dwie czy trzy godzinki.

- On wszystkim łamie serca - potwierdził Alejo. - I wiesz, nadal jest virgen, ma bardzo surowych i religijnych rodziców. Wszyscy moi ciotowaci kumple mają bzika na jego punkcie, bez przerwy przysyłają mu kwiaty i zapraszają go na wymyślne przyjęcia.

- Nie widziałem go ostatnio. Wiesz, czasami zostaje na noc w mieszkaniu koło mnie.

- Och, wyprowadził się stamtąd! Nie mógł mieszkać koło ciebie! - Wpadłem w osłupienie. - Żartuję tylko. - Położył dłoń na mojej. - Ma własny pokój, powiem ci gdzie.

- Raczej nie ma to sensu, prawda?

- Absolutnie żadnego - odrzekł zadowolony z siebie.

- Niewątpliwie jesteście bardzo atrakcyjną rodziną - napierałem.

- Chodź ze mną - powiedział i zaprowadził mnie na zaplecze sklepu: nagie żarówki, zlew, biały stół krawiecki, ubrania do przeróbek pospinane szpilkami i pomazane kredą. Ciekaw byłem, czy zaraz będę go obciążał.

- Spójrz na to - zażądał.

Na listwie z boku zamontowano mały czarno-biały telewizorek, jako zabezpieczenie przeciw kradzieżom. Monitor ukazywał środek sklepu w dziwnej, wypukłej perspektywie. Klient przechodzący poniżej miał ogromną czaszkę i zanikające, krzywe ciało kończące się w miniaturowych butach. Natychmiast stałem się podejrzliwy, zniekształcenie postaci zdawało się zmuszać do zauważenia, że złodziej przebiegle bada teren lub sprawnie ukrywa jakiś drobny, acz kosztowny artykuł. Brak dźwięku wzmagał wrażenie ukradkowości.

Alejo przekręcił pokrętkę i scena zmieniła się na frontowy westybul, czy nawet bardziej jeszcze ponuro puste miejsce. W dolnym rogu maleńki Rudi rozwalił się za biurkiem i gapił się w przestrzeń, nieświadom, że jest szpiegowany. Spojrzał na zegarek.

- A teraz popatrzmy, co słychać w numerze trzecim - powiedział Alejo i znowu pokręcił gałką. Zobaczyliśmy pod ostrym kątem z góry rząd kabin do przebierania. - Niesamowite rzeczy wychwytuje ta kamera, nie chodzi mi o nagość, ale o to, co ludzie tam robią. - Odniosłem niepokojące wrażenie, że zapewne ma rację: to wysilone wpatrywanie się w siebie, wyobrażanie sobie odmienionej przyszłości, którą jakaś sztuka odzieży zdaje się przez chwilę gwarantować. Na lewo widoczny był blady i mocarny nagi tors mojego rywala posypującego sobie ramiona talkiem.

- Co on, u diabła, robi? - zażądałem wyjaśnienia.

- Trzeba tak robić przy tych gumowych koszulkach, wiesz, bo inaczej nie da się ich zdjąć. - Alejo przyglądał się okiem profesjonalisty, jak policjant czekający, aż chwila wahania zamieni się w zbrodnię. - Mieliśmy z nim sporo kłopotów.

- Nie dziwi mnie to.

- Dziwaczny jest, cały czas przymierza ubrania, ale nigdy ich nie kupuje.

- Czemu go nie wyrzucicie? - spytałem, choć moje oburzenie zostało nadwątlone widokiem kabiny tuż pod spodem. Cherif nie mógłby być mniej zainteresowany frymuśną bielizną, w której przymierzanie został wrobiony; nawet nie rozpakował paczuszek. Poczuję zadowolenie i jakąś zaborczość. Mój przyjaciel siedział po prostu na wąskiej ławce i obracał w dłoniach kawałek papieru. Wiedziałem, mimo nurkującej perspektywy, że ten papier to list, który napisałem do niego w pierwszym tygodniu naszej przygody, pełen niekontrolowanych deklaracji i poznaczony przeze mnie na różne wstydliwie osobiste sposoby. Obaj z dezaprobatą spojrzeliśmy w mały ekran, gdy Cherif odrzucił głowę do tyłu i z rozkoszą przesunął list pod nosem.

16

Parę dni później w tym samym tygodniu składaliśmy tryptyk. Paul stał się drażliwy i ciężko go było zadowolić, a kiedy tylko prosił mnie, żebym coś dla niego zrobił, zaraz włożyłem mu w drogę. Nie dało się teraz spokojnie pracować w Muzeum. Paul musiał zamknąć galerię na pierwszym piętrze, żeby zmontować swój nowy nabytek, więc obcesowo odprawił uprzejmego młodego studenta, który już tam był i robił szkice, podobnie jak kobietę zatrudnioną do przepisania katalogu na maszynie. Na progu jego spełnienia wszyscy wydawaliśmy się potencjalnymi przeszkodami, które należy bez sentymentów usunąć na bok.

Czekaliśmy na nocnego kuriera z Monachium, mającego przywieźć fragment centralny: pejzaż miejski. Wiedziałem, że są to eksperci wyspecjalizowani w transportowaniu dzieł sztuki, ale nie mogłem wygnać z myśli obrazu koleżki na opryskanym błotem motocyklu, z płótnem przytroczonym paskami do bagażnika. W tym samym czasie pożyczone skrzydło ze Szwajcarii leciało na nasze małe lotnisko, a wszystko to miało się zbiec w szarpiącym nerwy momencie kulminacyjnym tuż przed lunchem. Jako że Helene była za granicą, gdzie spędzała miesiąc miodowy, wolałem zejść z drogi i zasiadłem przy frontowym

biurku, przysuwając krzesło plecami do nikłego ciepła kaloryfera.

Czytałem artykuł, który Orst napisał dla „The Studio”, na temat letnich wakacji swego dzieciństwa spędzanych w Ardenach. Opisał dni przygotowań, dreszcz radosnego oczekiwania przebiegający przez ich dobrze zorganizowany dom, gdy zbliżał się poranek odjazdu. Potem podróż pociągiem do Brukseli, „zdumiewające i przerażające wrażenie”, jakie wywołała stolica po pustych drogach i zarośniętych trawą nabrzeżach, które pozostawili za sobą; drugi pociąg do Namur, i po długim oczekiwaniu, „gdy wydawało się, że mimo wszystkich naszych wysiłków nigdy tam nie dojedziemy”, dalej do St Hilaire, „gdzie potężne wieże bazyliki, widoczne już z daleka nad lasem, dawały nareszcie pewność, że nasza pielgrzymka ma się ku końcowi i że wkrótce będziemy przejeżdżać przez błogosławione dobra Givrecourt. Gdy wysiedliśmy z pociągu, powitał nas woźnica mojego dziada i zawiózł do domu wielkim czarnym powozem, który wiernie przypominał, według wyobrażeń mojej siostry i moich, dylizans z poprzedniego stulecia, przysłany, aby nas unieść w regiony romantycznych przygód.

Dwór Givrecourt jest niskim starym domem z czasów Karola V, otaczają go wysokie wiekowe drzewa, a nieopodal znajduje się potężna stodoła oraz stajnie i osada zabytkowych chałup. Dwór leży na bezpiecznej pochyłości między lasem sosnowym i borem dębowym, a ponure piaszczyste wrzosowiska i wyżynne moczary tej górzystej krainy są niebywale zdumiewające dla dziecka wychowanego na płaskich flamandzkich równinach, jedyny kontrast widującego pomiędzy amfiteatrem nieba i równiną morza. Flandria, dla znawców krajobrazu, jest obszarem bez konturu, kompozycją rządzoną przez pojedynczą i niezmienną linię horyzontalną, przecinającą obraz na dwie części i powtarzającą się bez końca wszędzie wokół, choć przecież nie pozbawioną mocy i świetności. Lecz tutaj linia prosta wszędzie jest skrzywiona - w osobliwych starych budowlach z kamienia i gipsu oraz w zniszczonych przez czas podłogach samego dworu, w sękatych i starożytnych olbrzymach z Boru St Hilaire, w ich konarach ze znużeniem opuszczających się do ziemi, a potem dźwigających się w fantastycznych kształtach, w postrzępionych skałach powyżej, wznoszących się na tle

zachodzącego słońca jak strawione wiatrem oblicza pogańskich bogów.

Bywałem później w Givrecourt w innych porach roku: kiedy lasy pełne były śniegu lub w jesiennym półmroku - są to najbardziej urocze i tragiczne okresy. Między moimi obrazami wystawianymi ostatnio w Londynie znajduje się kilka studiów tutejszego okolonego sosnami stawu, które namalowałem w wiosenny poranek lub w zimowej szarówce; są tam również szkice ludzi z wioski zaskoczonych przez wieczer, leśniczego na dróźce, gajowego z torbą i strzelbą. Pewne osoby twierdzą, że brak tym pracom wartości, które dostrzegały w moich poprzednich dziełach, inne, że ujawniają moje pragnienie, by zarzucić tematy legendarne, będące dla kilku z nas najwyższym powołaniem. Lecz dla mnie są one po prostu dalszym wyrazem idei stojącej za legendą, idei, której legenda dostarcza najbardziej niewyczerpanych i zrozumiałych kształtów. Mam na myśli oczywiście te małe drzwi, które każdy obraz otwiera, by pozwolić nam zbliżyć się do tajemnicy, do nieznanego i niepoznawalnego. Wielbicielowi moich tajemnic milczący staw i aleje Givrecourt mogą posłużyć jako przedsiönki niewypowiedzianego równie pewnie jak moja Meduza i Perceval. A jeśli ktoś protestuje przeciwko temu, że mój leśnik czy zakrystian obdarzeni są własnym głosem i wołają do nas tonem łamiącym tę subtelną harmonię, mogę powiedzieć jedynie, że są to również głosy mego dzieciństwa, a jego nieuchwytnie harmonie kryją się za wszystkim, co staram się robić."

Artykuł został napisany w październiku 1898. Wiedziałem, że rok później Orst spotka Jane Byron i ona umrze.

Trzy części Autrefois nie pasowały do siebie. Paul oparł je o ścianę, rama przy ramie, jak jakąś klasyczną układankę złożoną z prostych elementów, której rozwiązanie wymaga niestety najwyższego ilorazu inteligencji. Lewa część już wcześniej należała do Muzeum: był to wizerunek kobiety w blasku świateł z twarzą widoczną tylko w lustrze, który pojawiał się na pocztówkach oraz plakatach i uważałem go za samodzielny obraz. Miał oryginalną drewnianą ramę ze zmatowiałą pozłotą. Prawe skrzydło, krajobraz morski, było o kilka cali wyższe, gdyż

zostało ponownie oprawione w szerokie obramowanie ze srebrzystego drewna gruszy, podkreślające jego nasycone mroczne barwy. Większa kwatera centralna, opustoszałe miasto, której koleje tak dziwnie się plotły, powinna mieć potężną wystającą ramę, którą można by było zamknąć bocznymi skrzydłami, oraz szeroki cokół. Paul pokazał mi ciemną fotografię pracowni, na której dało się dostrzec cały tryptyk otwarty jak obraz ołtarzowy, i po raz pierwszy zaszokował mnie jego układ: postać dziewicy usunięta z centrum, w normalnie przynależnym jej miejscu gotyckie miasto, jakie zazwyczaj skupia się za flamandzkimi scenami narodzin, nie zamieszkałe i grobowcowe, a z boku, tam gdzie mogliby klęczeć mecenas, tylko szare morze i purpurowe niebo.

- Muszę zaprosić pana Pauwelsa - powiedział Paul - naszego producenta historycznych ram. Prawą kwaterę ewidentnie czyszczono całkiem niedawno, sądząc z wyglądu ledwie w zeszłym tygodniu, podczas gdy część dentysty jest brudniejsza i bardziej zniszczona niż, jak mi się zdaje, wtedy gdy ją widziałem ostatnio. Oczywiście światło było bardzo słabe... - Wydawało się, że to dzieło zarazem robi na nim wstrząsające wrażenie i rozczarowuje go. Badał je z niesamowitą techniczną dokładnością. Zastanawiałem się, co on tam odczytuje cal po calu.

- Jak myślisz, kiedy to zostało namalowane? - spytałem.

Wyprostował się i oparł dłoń na moim ramieniu, jakby chwilowo zakręciło mu się w głowie. - To bardzo dobre pytanie. - Kontemplowaliśmy trochę patetyczne ponowne połączenie trzech płócien, które przypominały mi teraz dawno rozdzielonych przyjaciół nie mających już sobie wiele do powiedzenia. - I takie, na które powinienes już być w stanie sam udzielić odpowiedzi - dodał, potrząsając mną po nauczycielsku.

- Obawiam się, że szukałem tylko błędów ortograficznych - odrzekłem.

- Cóż, mamy tu w pewnym sensie do czynienia z błędem ortograficznym. - Ponownie przyjrzałem się obrazom, wiedząc że go nie znajdę, i wzruszyłem ramionami.

- Chyba krajobraz morski jest utrzymany w całkiem innej stylistyce.

- W rzeczy samej. Można mieć pewność, że został namalowany przynajmniej dziesięć

lat później niż pozostałe panneau, prawdopodobnie dopiero około 1932. W tym czasie wzrok stale mu się pogarszał, więc malował z pamięci. Widać, jakie szerokie są pociągnięcia pędzlem, a kompozycja należy do najprostszych. Jednak uważam, że to bardzo piękny obraz, i bardzo wzruszający - jego późne prace czasami mają w sobie taką moc.

- Helene opowiadała mi o białych obrazach - powiedziałem nie bez niepokoj.

Zauważyłem, że wzdrygnął się ze znużeniem i irytacją.

- Tak, niestety to stek bzdur - odrzekł, jakby zdeterminowany, że zachowa spokój. -

Nie zgadzam się na pokazywanie ich jako skończonych dzieł: są w wielu przypadkach tylko zagruntowanymi płótnami. Helene, daj jej panie Boże zdrowie, dała się nabrać pewnemu młodemu historykowi sztuki z Paryża, który pracował tu przez krótki czas i zaczął im nadawać tytuły jak Dans la Neige . Rzecz w tym, że Orst tracił wzrok. Jak musiałeś się zorientować, był zżarty przez syfilis, dalej odważnie próbował malować, niemalże w formie optycznego eksperymentu, podczas gdy zewsząd osaczała go mgła. Jeśli nawet te płótna są interesujące, to tylko z czysto medycznego punktu widzenia.

- Rozumiem. Nie miałem pojęcia... że chorował na syfa.

- Nadal mógł malować, z wyobraźni, że tak powiem, do około 1933. Pozostałe dwie kwatery można datować dużo wcześniej, jako że obie są skopiowane ze znanych fotografii. Jeśli chodzi o syfilis, to tak, oczywiście.

- Przypuszczam, że powinienem był się tego domyślić - powiedziałem niepewnie. -

Nie wspominasz o tym w przewodniku, prawda?

- Nigdy nie rozwodziłem się akurat nad tą sprawą. To znaczy, jest ona znana, oczywiście. Obawiam się, że należę do szkoły nie aprobującej rozrzebywania prywatnego życia artystów - wyznał w nieszczęśliwie oziębły sposób, absolutnie nie przystający do jego normalnej nieśmiałej przenikliwości.

- Nie jestem pewien, czy masz rację.

- Zapominasz, że go znałem i... przepraszam, nie wiem, dlaczego cię pouczam. Po prostu mam ugruntowane poglądy na tę sprawę.

Rozłożyłem ręce, pokazując, że nie mam zamiaru mu się sprzeciwiać; choć zaskoczyła mnie informacja, że mnichowaty Orst, znamienity pustelnik, padł ofiarą tej osobliwej, prawie romantycznej choroby wenerycznej. Pomyślałem, iż po wyrazie mojej twarzy Paul może się zorientować, że chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej.

- Oczywiście ironią losu - kontynuował - jest fakt, że Orst i tak nigdy nie widział dobrze, przynajmniej od chwili, gdy był gdzieś tak w wieku Marcela.

- Naprawdę? Zauważyłem, że nosił bardzo grube szkła. Lecz jego prace są zazwyczaj tak niebywale precyzyjne.

- Och, z bliska widział świetnie, miał nadludzki wzrok, ale wszystko oddalone o więcej niż kilka stóp sprawiało mu coraz większe kłopoty. Był po prostu bardzo krótkowzroczny, podobnie jak wielu artystów z różnych dziedzin. - Paul ukradkowo rzucił współczujące spojrzenie na obrazy pod ścianą, a ja poczułem się, jakby mój własny kiepski wzrok został pochlebnie usprawiedliwiony i wytłumaczony. - Pamiętam, że kiedy oślepnął już zupełnie, powiedział mi, jakie to dziwne, iż w wieku pięćdziesięciu lat miał oczy niby mikroskop.

- A co z portretami, a nawet krajobrazami?

- Och, malował je na podstawie zdjęć. Oczywiście i tak po 1900 zarzucił portretowanie. Późniejsze krajobrazy, w tym wszystkie widoki Givrecourt, powstały na bazie wcześniejszych prac: Orst w cudowny sposób potrafił wyobrazić sobie bądź pamiętać zmiany światła. Pejzaże w galeriach sprawiały wrażenie, że jeździł tam rokrocznie, ale w rzeczywistości tak nie było. Nie po końcu stulecia i wszystkich tych odmianach w jego życiu. Cóż, widać, że nie musiał. I nie mógł. Stary dwór sprzedano, by sfinansować Willę Hermesa.

- To dziwne, akurat dziś rano czytałem jego artykuł o Givrecourt i rozmyślałem nad tym, co szykowała dla niego przyszłość. - Nigdy nie byłem całkiem pewien, czy Paul zdaje sobie sprawę z całego bezmiaru mojej niewiedzy na temat tego człowieka. - Zatem w ogóle nie podróżował?

- Prawie wcale. Nadal sporadycznie wyjeżdżał do Londynu. Raz czy dwa był w

północnych Niemczech i Jutlandii. Odbył krótką podróż do Włoch, ale nie podobała mu się gwałtowność zachodów słońca na południu, więc nigdy tam nie wrócił. Generalnie stosował się do rady Rembrandta, że artyści nie powinni podróżować. Nie pamiętam, czy to się pojawia w artykule, który czytałeś, ale bardzo znaczące jest jego wyznanie, że kiedy był chłopcem, zmuszano go do studiowania i kopiowania kolekcji angielskich akwarel jego dziadka. Malował w pracowni pejzaże z Suffolk oraz Lake District, zanim jeszcze pozwolono mu wyjść i namalować las tuż obok.

- Wydawało mi się dziwne, że tak często fotografował Jane, ale może to wcale nie jest dziwne, skoro potrzebował zdjęć, żeby z nich malować. - Uznałem, że to tłumaczy coś, co nigdy mi się w nim nie podobało: tworzył płodnie, lecz nie w nadmiarze, jego namiętność była schłodzona i skodyfikowana, w sposób niemalże złowieszczy.

- Często się nad tym zastanawiam - powiedział Paul i przeszedł przez pokój, jakby zwabił go inny jej wizerunek, z pomarańczową lilią i amuletem w otwartej dłoni. Bardzo wzruszał mnie sposób, w jaki cała ta sprawa pochłaniała go, sprawiając, że wydawał się zarazem groźny i dziecinny, jakby każdy swój osąd ważył w kontekście ich dawnych spotkań i tego, co wtedy zostało powiedziane. - Wydaje mi się to jednym z niepojętych zbiegów okoliczności w sztuce - rzekł - że gromadził cały ten materiał nie mając świadomości, iż los każe mu go tak wykorzystać.

- Ciekaw jestem, czy te fotografie jeszcze istnieją.

- Tak, przynajmniej większość. Jego siostra zachowała wszystko bardzo skrupulatnie. Nie była w żadnym sensie naukowcem, ale dogłębnie rozumiała, czego może od niej wymagać potomność. Nie przypominała tych słynnych przeszkadzających wdów, które doprowadzają naukowców do rozpacz. Wszystko przekazała na rzecz Muzeum: nawet przedmioty, które musiały ją zaszokować i zaniepokoić.

Przyjąłem to beznamiętnie i zadałem następne pytanie: - Ale powiadasz, że pejzaż morski nie powstał na bazie zdjęcia ani wcześniejszego obrazu?

Paul postąpił krok w tył. - Tak się składa, że istnieją dużo wcześniejsze szkice do

niego. I jest również tematem jednej z najchmurniejszych litografii Orsta. Jednak formy są tak proste, że raczej żaden model nie był potrzebny. Jeśli chodzi o kobietę, mamy zdjęcie z 1899 jako terminus post quem; jeśli chodzi o miasto, mamy fotografię w angielskim wydaniu Zabytków Flandrii z 1911, na której obraz jest wzorowany bezpośrednio. Istnieją pewne komplikacje, w które teraz nie będę wchodził. Dla krajobrazu morskiego proponuję datę na gruncie wyłącznie stylistycznym - pochodzi z innej fazy twórczości Orsta, choć pewien jestem, że nie umknęło ci, iż w rzeczywistości stanowi on emocjonalne centrum całego dzieła.

- Widać jakby ruch na zewnątrz - zaryzykowałem. - Z głębi duszy do miasta i na otwarte morze. To w pewnym sensie... podróż duchowa?

Nie wyglądało na to, żebym szczególnie zaimponował Paulowi. - Nie jestem pewien, czy to działa dokładnie tak - odrzekł.

Cherif leżał na łóżku paląc jointa i dmuchając dymem na swojego drzemiącego kutasa. Hałaśliwy, mały grzejnik pobudzał duszne powietrze do cyrkulacji w pokojowym antycyklonie.

- Wszystko to bardzo północnoafrykańskie, mój drogi - zauważyłem. - Ale nie pochwalam palenia w sypialni. - Tłukłem się po mieszkaniu doprowadzając je do porządku, napędzany paroma zwietrzałymi urazami. - Cudowne w tangerskim burdelu, jestem tego pewien, lecz tutaj...

- Chcesz trochę? - spytał.

Zacząłem sortować stertę ubrań na mniejsze stosy przed wizytą w pralni: grube skarpety, nylonowe majtki i etaminowe koszulki Cherifa, drobiazgi Luca, które w pewnym sensie wstyd było prać, moje kolorowe koszule z wystrzępionymi kołnierzami. Podszedłem do niego i wziąłem szybkiego, trzaskającego macha. Zakręciło mi się w głowie i poczułem delikatne mrowienie jak po afrodyzjaku - tak naprawdę nigdy nie widziałem w tym sensu. Gorące powietrze z dmuchawy żarłocznie sunęło w górę moich nóg, pomyślałem, że spodnie mi się przypieką; Cherif też był ciepły, gdy pochyliłem się i pocałowałem go wydmuchując

dym. Cudownie całował i co rano pozostawiał mnie z ustami, miękkimi i lśnięcymi, jakby posmarowanymi błyszczkiem. A teraz jeszcze doszły do tego wąsy i ich delikatne drapanie.

Przezeszał dłonią moje włosy. - Kocham cię - powiedział, cichy refren, rutynowe przypomnienie.

- Mmm.

- Nie wychodź teraz.

- Niestety muszę. Prawdę mówiąc, moje spodnie chyba się właśnie zapaliły.

Zsunął mi okulary, jakby chciał w ten sposób uniemożliwić mi wyjście, i założył je sobie na nos, mówiąc, że teraz będzie „patrzył na świat z punktu widzenia Edwarda”.

Zostawiłem go mrużącego oczy i wzbraniającego się przed gwałtownie pomniejszonym i ostrym światem, po czym niepewnie ruszyłem do drugiego pokoju, wyciągając przed siebie rękę i nie zauważając, co robię. Otworzyłem szafkę, żeby wyjąć skórzaną kurtkę; wisiała skromnie obok wulgarnego płaszcza Cherifa, który nadal wydawał ten drogi nowy zapach operowych szatni. Zdawało się, że moje życie polega na porozumieniach w sprawach seksu i nieporozumieniach w sprawach miłości.

Targając na ramieniu opasłą torbę, nie ogolony, pogwizdując oklepaną piosenkę puszczaną na okrągło w „Kasecie”, tę samą, którą w dniu mojego przyjazdu zagwizdał mi w szyję tamten chłopak, „Nocny kochanek” - „nocnik łazanek” myślałem za każdym razem - skręciłem za róg i spostrzegłem Paula wychodzącego ze starego domu po drugiej stronie ulicy. I znowu ten przelotny impuls, żeby iść dalej, jakbym go nie zauważył: czułem się zbyt podle, doprawdy jak nocnik łazanek.

- No, proszę! - zawołał.

- Dzień dobry, Paul.

- Wyglądasz, jakbyś uciekał z domu.

- Tylko do pralni, Niestety.

- Właśnie byłem u Pauwelsa w sprawie ramy. Musi dobrać odpowiednią pozłotę.

Dałem mu zdjęcie, żeby przygotował projekt.

- Świetnie. - Prawie tak, jakby moja aprobatą była niezbędna.

- A tak przy okazji, to gdzie ta pralnia?

Wskazałem ogólnie w kierunku centrum handlowego.

- Czy to nie nudne?

- Nieszczerólnie fascynujące. - Choć ostatnio widziałem tam kilku przyjemnych chłopaków składających w kostkę staromodne kalesony.

- Gdybyś miał ochotę się przejść, mógłbyś to zrobić u nas w domu. Lilli lubi, kiedy pralka cały czas działa.

- To miło z twojej strony. Ale mam tego taką masę - powiedziałem wzruszając ramionami i uginając się pod ciężarem. - I nie wszystko jest moje - ostrzegłem szczerze.

- A poza tym chciałbym ci coś pokazać - wyznał.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, przyzwyczajając się do pierwszego wspólnego pobytu w mieście. Czułem się bardziej spostrzegawczy, przepełniony z lekką idiotycznym respektem dla otoczenia, jakby Paul był właścicielem tego miejsca i łaskawie oddał je do mojej dyspozycji.

- Zupełnie nie miałem racji tamtego dnia - powiedział, w oczywisty sposób niepomny na splendor głównego placu. - Przepraszam. Zauważyłem, że myślisz, iż coś tu się nie zgadza.

- Naprawdę? Pewien jestem, że nie ma za co przepraszać.

- Ależ jest, gdyż byłem niekonsekwentny. Zapytałeś o białe obrazy, a ja zacząłem rzucać zgryźliwe uwagi na temat seksu i powiedziałem, że prywatne życie artysty nie ma znaczenia lub że powinno być trzymane w tajemnicy, a potem nękałem cię pytaniami, które w sumie dotyczyły wyłącznie prywatnego życia artysty.

- Chyba pomyślałem - powiedziałem ostrożnie - że czujesz szczególny szacunek do tego artysty, ponieważ go znałeś.

- Cóż, to absolutna prawda - odrzekł - choć niedokładnie sedno sprawy. - Spojrzał na mnie przenikliwie. - Niezbyt chętnie pracuję jako kustosz, jak wiesz. - Niemalże sugerował, że gdzieś kiedyś twierdziłem coś wręcz przeciwnego. - Na pewno nigdy nie planowałem, że

skończę z powrotem tutaj, gdzie zaczynałem. Chyba już ci mówiłem, że moim oryginalnym polem zainteresowań był siedemnasty wiek; spędziłem rok w Courtauld w Londynie, z waszym słynnym sir Anthonyem Bluntem! Potem wróciłem i uczyłem w Amsterdamie, i tak dalej, i temu podobne, nie będę cię zanudzał. - Był zdenerwowany przez te kilka ostatnich dni i często zauważałem, mimo pełnej współczucia życzliwości oraz autentycznej rozkoszy czerpanej z przebywania z nim, że przynajmniej o krok mnie wyprzedza lub odchodzi gdzieś w bok. Chwyciłem go za ramię i przytrzymałem, gdy tramwaj cicho przeciął naszą drogę.

- Nie bardzo rozumiem, jak doszło do powstania Muzeum - przyznałem. - A chyba powinienem już zrozumieć.

- Cóż, prawdopodobnie w tym tkwi problem, problem, że gadam bzdury. Rzecz w tym, że jeśli spędziłeś lata całe z Van Eyckiem i tak dalej, potem z Rembrandtem, a nawet Rubensem, czułeś namiętność do Delacroix, Maneta lub Picassa, wtedy Edgar Orst mimo wszystko nie wydaje ci się artystą, nazwijmy to, na światowym poziomie. Właśnie w tym momencie jego umierająca siostra prosi, bym jej pomógł ustanowić fundusz powierniczy i stworzyć stałe muzeum prac Orsta; mówi, że takie było jego życzenie, a ona uważa, iż jestem odpowiednim człowiekiem do prowadzenia tego muzeum, które ma powstać w domu rodzinnym - gdzie ona, nawiasem mówiąc, mieszkała niezamężna do samego końca. Oto, w wielkim skrócie historia mojego powrotu do tego miejsca. I być może również wyjaśnienie dlaczego czułem potrzebę, by go chronić. Gdyby był Delacroix, nie przypuszczam, abym się martwił.

To nie mogła być cała historia. Powiedziałem:

- W obecnych czasach ludzie przejawiają większe zainteresowanie, jeśli wiedzą, że artysta miał, powiedzmy, syfilis.

- Tym bardziej, nie uważasz, gdy artysta stwarzał wrażenie, że żyje w surowym celibacie? Przez lata tutejszy pobożny ludek widział w nim wzór poświęcenia. Skandaliczny romans z Jane poszedł w zupełne zapomnienie, nic o nim nie wiedzieli, myśleli o nim jak o kimś w rodzaju pustelnika, niby święty Antoni czy ktoś taki. I jak święty Antoni on też miał

swoje pokusy.

W kuchni Lilli (czy mogę ją tak nazywać?) siekała przy stole warzywa i pobłaźliwie łażała Marcela, który siedział naprzeciwko niej i podjadał. Pomyślałem, że jest bardzo niewinny i że wraz z Lilli zachowują się, jakby odgrywali parodię matki i syna. Zastanawiałem się, jaką formę przybrała jego namiętność do Sybille, jakie obrazy otaczały ją w relikwiarzu jego umysłu. Powitał mnie przyjaźnie, jakbym już nie był nauczycielem, lecz raczej kimś w rodzaju wujka. Przywykł do tego, że ciągle kręcę się gdzieś w pobliżu, co uwidaczniało się w tym, jak się uczył: bardziej leniwie, ale też lepiej. A co do mnie, to byłem zauroczony, że znalazłem się w ich ciepłej kuchni, pospiesznie upycham pranie w ich kompetentną pralkę, przyjmuję propozycję kawy, cały gotów dać się wchłonąć tym prostym, sobotnim rytmem.

- Będziesz pracował nad obrazem? - spytała Lilli.

Nie planowałem robić nic w tym rodzaju, ale jeśli Paul chce... Będzie to oznaczało kilka godzin więcej z dala od Cherifa.

- Zamierzam zabrać Edwarda na spacer - powiedział. - Jest parę rzeczy, które chciałbym mu pokazać, moja droga Lilli. - I uśmiechnął się ostrożnie.

Szliśmy ulicami łukiem opasującymi miasto. Paul ukrył swoją delikatną, czaszkę pod ciemnym kapeluszem, który nadawał mu awanturniczy ład a do tego otaczał go subtelną aurą autoironii. Uświadomiłem sobie, że jest podniecony. - Nie mam takich wspaniałych kruczych loków jak ty - powiedział. Kroczyłem obok niego w nastroju tłumionego niepokoju, ogarniającym nas zawsze wtedy, gdy ktoś ma nam sprawić niespodziankę.

- A to jest ten stary dom Altidore'ów - odezwał się, gdy mijaliśmy długi budynek z łukowo sklepionym wejściem i wysokimi szczytami z ciętej cegły. Obok drzwi widniała płyta zawiadamiająca, że mieści się tu regionalny zarząd wodociągów, a biurowe światło jaśniało w wypaczonych, starych oknach; lecz wysoko w górze nadal znajdowała się wymurowana gotycka litera A. Próbowałem nie okazać po sobie, jak niebywale interesuje mnie ten dom.

- Kiedy go sprzedali? - Pojawiła się nagła kłopotliwa możliwość, że Luc spędził tu swoje wczesne dzieciństwo. Lecz okazało się, iż jego dziad hazardzista przeniósł się na Długą jeszcze przed wojną. Niemcy założyli w tym domu swoją lokalną kwaterę główną, powiedział Paul, i przed odjazdem złośliwie zniszczyli piętnastowieczną stolarkę. Wtedy to po raz pierwszy wspomniął o okupacji, która musiała przecież bardzo boleśnie poznać jego młodość.

Milutki, ostrzyżony do gołej skóry żołnierz o masywnym ciele kulturysty szedł wolnym krokiem naprzeciwko nas - jak to się często zdarza na pustej ulicy, dostrzegłem go już z dosyć daleka: było wystarczająco dużo czasu, by pobudzić lub stłumić zainteresowanie i nieśmiałość, zanim zbliżyliśmy się do siebie, obcy ludzie obiecujący sobie zbyt wiele - i rozczarowani. Był ubrany w panterkę, pod bluzą miał sweter z golfem, a cętkowane spodnie wetknął w skarpety i wysokie buty - wyglądał na sprawnego, giętkiego i zwartego. Zauroczył mnie fakt, że nosił okulary w szylkretowej oprawce.

Paul opowiadał o czymś, a ja zacząłem się przesadnie śmiać, żeby wyrzucić na młodym mężczyźnie wrażenie radosnej obojętności; śmiech ten równocześnie był maską, dzięki której mogłem dokładniej przyjrzeć się chłopakowi. Nie słuchałem Paula i nie wiedziałem, czy dostrzegł moją nieuwagę: pochwycony w zawikłany bieg własnych myśli miał tendencje do odcinania się od świata. Jednak zerknął w bok z przelotnym zdumieniem, gdy mężczyzna zrównał się z nami uśmiechając się pytająco, a ja odważyłem się na krótkie: „Cześć!” Serce zabiło mi szybciej i nawet zostałem krok czy dwa z tyłu i obejrzałem się za nim, gdy odchodził. Nieczęsto widuje się samotnego żołnierza. Miał naturalny okazały tyłek, jak młody Ranek, ale tak naprawdę podbił mnie błysk inteligencji, ślad dowcipnego *sous-entendu*, jaki nadawały okulary jego kwadratowej, niedoświadczonej twarzy. A może rzeczywiście stanowiliśmy enigmatyczną parę: ja nie ogolony, w skórzanej kurtce, wyglądałem jak pół dupy zza krzaka, a Paul w płaszczu z dziwnym rozcięciem z tyłu i w kapeluszu z szerokim rondem wydawał się prawdopodobnie trochę ekscentryczny i tajemniczy, niczym jedna z tych malowniczych, lecz czarujących osobistości, które dyskretnie

rekrutują do służb wywiadowczych. Kiedy znów go dogoniłem, przez sekundę uważnie mi się przyglądał, i pomyślałem, że jego duże, jasne oczy nigdy nie były pełniejsze tak subtelnego zrozumienia. Poczułem, że musi wiedzieć o Lucu i o wszystkim, ale po prostu uprzejmie powstrzymuje się od wzmianek na temat sytuacji, która może mu się wydawać jedynie bezperspektywiczna i niewłaściwa. Nie był pijakiem ani plotkarzem. Wiedziałem, że troszczy się o mnie. Musiał odczytać moje zawołane aluzje, moją drżącą obojętność przy każdym napomknięciu o Lucu i jego starożytnym rodzie. Odwróciłem wzrok spoglądając w łukowaty bezruch pod mostem, na który prowadziła droga. Prawie okrąg - łuk i jego odbicie przecięte zimową kreską wody. Do niczego nie doszedłem, nie zbliżyłem się do Luca, nie miałem nic od niego, co miałoby znaczenie, nic z niego. Dotarło to do mnie po raz pierwszy z tak bolesną i perfekcyjną jasnością.

- Byłeś u św. Vaasta? - spytał Paul.

Powiedziałem mu, że widziałem kościół tego wieczora, gdy przyjechałem do miasta i włóczyłem się bez celu... - Był zamknięty - dodałem. - Nie mogłem się dostać do środka. Wyglądał dosyć ponuro.

- Niestety, masz rację. To bardzo biedna, mała parafia. Ludzie nadal korzystają z kościoła, ale nigdy nie mieli pieniędzy, by go wyremontować. W siedemnastym wieku dobudowano mu całkiem okazały portyk. Lecz od tamtej pory mniej lub bardziej zaniedbywano go.

Skręciliśmy za róg i naszym oczom ukazał się kościół stojący przy końcu ulicy. Przeżyłem szok: nie tylko dlatego, że wyglądał jak budowla z koszmaru sennego - posępna, obłankowana wieża zupełnie nieproporcjonalna w stosunku do otaczających ją niskich starych chat, zaniedbana teatralność portyku z kolumnami jak cukrowe lizaki i osranymi gzymsami - lecz również przez falę nie rozcieńczonego niczym przypomnienia moich pierwszych godzin tutaj, pełnych wymuszonej ekscytacji i samodzielności oraz walki z tęsknotą za domem.

- Ta dzielnica wiele wycierpiała w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Kiedyś za kanałem znajdowało się kilka fabryk, ale wszystkie zostały zamknięte.

- I zapewne był tu też hotel? - Spytałem, na poły oczekując, że Paul zaprzeczy.

- Stary „Pielgrzym i Komiwojażer”? Święta racja. Zgromadziłeś zdumiewająco dużo informacji o mieście. - Pomyślałem, że jest to żałośnie nie trafiona uwaga. Całą swoją wiedzę nabyłem nieświadomie podczas tęsknych peregrynacji po określonych dzielnicach; nie interesowała mnie żadna historia prócz jednej.

Gdy weszliśmy do kościoła, Paul zdjął kapelusz i mijając pierwszy rząd ławek przyklęknął na jedno kolano, a jego płaszcz przez sekundę układał się na kamieniach niczym wachlarz. Byłem zaskoczony, lecz sposób, w jaki się podniósł i pogonił mnie, sugerował, że jest to tylko nawyk, pocieszczeniowski gest na rzecz klęczących tu i ówdzie, pogrążonych w modlitwie wiernych. Przed nimi oraz przy kilku bocznych ołtarzach piramidy z chybotliwych płomieni świec rozjaśniały niewrażliwe twarze świętych i Matek Boskich. Poza tym wnętrze budziło tylko wrażenie zgrzybiałości i romańskiej posępności.

Szedłem za Paulem wzdłuż wąskiej nawy, prawie zupełnie zastawionej czarnymi szafami konfesjonatów. Może powinniśmy po prostu wskoczyć do jednego z nich i załatwić sprawę. Nagle Paul odwrócił się, wydawał się niepewny, wahał się przez moment z dłonią na moim ramieniu, po czym spojrzał ostrożnie na garstkę klęczących postaci. - Zostańmy tu chwilę - wymruczał i wsunął się do ławki. Znowu poszedłem w jego ślady i usiadłem obok wyczekując. Postyszałem jakieś mroczne echo. Czułem się, jakby żałobnicy lada moment mieli wnieść trumnę.

Co pewien czas wchodziła do środka stroskana stara kobieta, a inna kończyła modły i odchodziła powłócząc nogami; czasem był to powłóczący nogami stary mężczyzna, wdowiec wśród wszystkich tych wdów, prawdopodobnie wierzących w cuda i piekło. Na swój zgrzybiały sposób kościół zdawał się ożywiony, w porównaniu z pustką ulic na zewnątrz. Może to był ten sekret: miejsce, gdzie pobożni zbierają się, gdy zbliża się ich koniec, choć nikt nie widzi, jak tu przychodzą. Wpadłem na niesprecyzowany pomysł, że może ma to coś wspólnego z żoną Paula, o której nigdy nie mówił i o której słyszałem tylko tę tragiczną anegdotę wymuszoną na Marcelu. Jej zdjęcie w ramce z kości słoniowej stało na biurku w

gabinecie Paula: wrażliwa chłopięca blondynka wśród groźnych rudzielców Orsta. Ożenić się w końcu w wieku pięćdziesięciu lat, a następnie stracić żonę, odnaleźć długie dekady stanu kawalerskiego znowu wpelzające do twego życia niby pogrzebowy daimler dostosowujący się do twojego kroku, z twardą jak podeszwa samotnością wiecznie czujną, cierpliwie przeczekującą krótki okres zawieszenia...

- To pewnie zupełna strata czasu - szepnął Paul. - Nie wiem, dlaczego zawracałem ci głowę i ciągnąłem cię aż tutaj.

- Pamiętam, że Orst wykorzystał wieżę tego kościoła w ilustracji do opowieści o zdradzieckim Kapłanie - powiedziałem jak nadgorliwy studencik.

- Tak. Zwykł tu przychodzić, masz rację.

Zapadła cisza. - Niełatwo wyobrazić sobie, dlaczego - stwierdziłem.

- Przyciągała go tu jedna rzecz.

- Cóż, w końcu to kościół.

- Orst nie był człowiekiem religijnym. To znaczy, interesował się religią, przypatrywał się jej ze względu na formy i legendy, wzruszała go prymitywna wiara tego kraju oraz naturalnie idea tajemnicy; ale nie był ściśle mówiąc praktykujący. Lubił obserwować modlących się ludzi, lecz sam się nie modlił... a przynajmniej tak twierdził.

- Zdaje się, że sugerujesz, iż modliła się tu pewna osoba, którą szczególnie lubił obserwować.

Paul wyglądał na trochę zażenowanego, że trafiłem w sedno; nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mógł powiedzieć mi o tym po prostu w domu, w ciepłe, proponując przed lunchem szklaneczkę dżinu i otwierając burgunda, by sprawdzić jego aromat... Czy może to nie byłoby to samo? Popatrzyłem w bok, na okutane szalami postaci, zagubione profile, usta poruszające się prawie bezdźwięcznie, jakby w niespokojnym śnie, ponury stary budynek obdarzony głębią i czułością przez delikatne pulsowanie płomieni dziesiątek świec. I tu Edgar Orst siedział lub klęczał pośród biednych, grymasne usta miał zamknięte, a spojrzenie zza silnych okularów szybowało zawsze w stronę tego samego nieświadomego wiernego.

- Wydaje się, że są tu tylko starzy ludzie - powiedziałem cicho, niektórzy mogli być w wieku Paula, choć o wiele bardziej zgarbieni i sponiewierani.

- Była młodą parafianką, miała zaledwie koło dwudziestu pięciu lat, gdy Orst spotkał ją po raz pierwszy. Bodajże straciła narzeczonego podczas pierwszej wojny światowej. Brała pranie do domu, jak większość kobiet z tej okolicy. Nadal pamiętam długie sznury bielizny wzdłuż kanału, tunele i aleje z prześcieradeł, w których dzieciak mógł się zgubić.

- Zatem mieli romans?

- Cóż, należy powiedzieć, że nie tylko brała pranie.

- Rozumiem.

- Od dawna cieszyła się pewną reputacją, choć nie jestem pewien, czy Orst o tym wiedział.

- Został jej... klientem, tak to nazywacie?

- Zauważył ją pewnego dnia, gdy wracał z rynku. Wsiadła do tramwaju, a on natychmiast podążył za nią. Rzecz w tym, że niesamowicie przypominała Jane Byron; miała posągowe kształty i oczywiście zdumiewające rude włosy - orange, jak on je nazywał, chyba dosyć dosłownie.

- Na pewno nie on ci o tym wszystkim powiedział.

- Nie, nie. Choć często bywał szalony, to nigdy niedyskretny. Lecz dużo później powiedział swojej siostrze i zaczął prowadzić dziennik, powodowany siłą nowego uczucia. Czytała go tylko siostra Orsta i ja.

- Jesteś niewiarygodnie opiekuńczy - powiedziałem nieuprzejmie i zaśmiałem się krótko, nie panując nad irytacją; zbladł i rozejrzał się, jakby inni mogli usłyszeć oskarżenie, ale nie zrewanżował mi się. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi nasza rozmowa. - Wróćmy do tramwaju - zaproponowałem miękko.

Paul milczał jeszcze przez chwilę. - Wsiadł za nią do tramwaju i śledził ją, gdy wysiadła. Wydawało mu się, że widzi ducha, jakby obraz, który bez przerwy malował przez ostatnie dwadzieścia lat, ożył nagle, czy też raczej odżył, że tak powiem. Zauważył, do

którego domu weszła, zapisał to w notatniku, a potem odszedł zupełnie otumaniony i zablądził. Nie znał tej części miasta, mimo że spędził tu całe życie. Musiał wrócić dokładnie na przeciwległy kraniec, na nowe przedmieścia, gdzie tak niestosownie wzniesiono Willę Hermesa. Jak wielu raczej surowych ludzi, był w rzeczywistości dosyć nieśmiały. Wiesz, że lata Wielkiej Wojny spędził w Anglii. - Ponownie tylko uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. - I tak bardzo odizolował się od świata w Willi, w efekcie odrzucając terażniejszość z takim powodzeniem, że nie wiedział już, jak się zawiera znajomość ze zwykłą dziewczyną.

- Ale musiał być dużo od niej starszy - zgłosiłem sprzeciw. - Na pewno za stary, zbyt wstydlivy, żeby za nią gonić, skoro nie wiedział nawet, jakiego autoramentu kobietą była.

- Miał około pięćdziesięciu lat, nie więcej. - Paul wyglądał na dotkniętego. - Ponadto zakochał się szaleńczo, więc wiek raczej nie stanowił okoliczności, która mogłaby mu przeszkodzić. - I posłał mi wieloznaczny uśmiezek, odnoszący się być może do mnie, a być może do jego własnej przeszłości, trudno powiedzieć.

- Zatem przychodził do kościoła.

- Przychodził wiele razy, zanim odezwał się do niej; wynajął fiakra, żeby w każdą niedzielę rano przywoził go tu i odwoził z powrotem. Naprawdę ledwo mógł uwierzyć własnym oczom, pragnął z nią być, ale bał się spotkania i utraty złudzeń.

- Rzeczywiście była taka podobna?

- To dosyć wzruszające, początkowo myślał, że identyczna, ale z powodu krótkowzroczności nie mógł być tego pewien: ogólne wrażenie, powolne, lecz elektryzujące ruchy, to co nazywał właściwością Lady Macbeth w Jane, zdawały się wręcz doskonale zreprodukowane. Dopiero kiedy, hm, poderwał ją i zabrał na przejażdżkę, odkrył jedną różnicę - miał praktycznie bezbarwnych oczu Jane, miała, jak je nazywał, oczy chryzantemowo brązowe, w kolorze zmatowiałego złota.

- Domyślałam się, że bez żadnych trudności namówił ją, by z nim pojechała.

- Oczywiście. Przypuszczam, że dosłownie wskoczyła do dorożki. Ale to znowu stanowiło dla niego potwierdzenie wrażenia reinkarnacji, woli przeznaczenia. A ona nie była

głupia, ciągnęła grę; zapewne też musiała mieć w sobie coś z aktorki, chociaż nie wywodziła się z artystycznego środowiska Jane ani nie posiadała jej rodzinnych koneksji. Była po prostu kobietą z ludu. Jego dziennik przesycony jest potwornym, niezamierzonym humorem, jeśli się wie, kim ona była, i porównuje z tym, co on o niej myślał. Po prostu wierzył w to, w co tak bardzo pragnął wierzyć.

- Ale nie mógł przecież wierzyć, że między tymi dwiema kobietami istniał jakiś związek?

Paul ogarnął kościół łagodnym spojrzeniem. - Wiara to zabawna rzecz - odrzekł. - Drobne przeszkody pobudzają człowieka, by wierzył jeszcze gorliwiej.

Kiedy znów znaleźliśmy się na zewnątrz, miał minę kogoś, kto zaciągnął znajomego na film kultowy do dalekiego podmiejskiego kina i przypuszcza, że nie był to absolutny sukces.

- To bardzo fascynujące - zapewniłem go.

- Miałem nadzieję, że pokażę ci coś innego; ale nie możemy czekać cały dzień.

Chodziło mi o to, że do tego kościoła nadal przychodzą prostytutki. Miałem nadzieję, że może jakieś malowane lale będą się modliły do św. Vaasta.

- Myślę, że mam dużo lepszy obraz tego, co się wydarzyło, bez patrzenia na pierwowzory. - Choć to akurat była prawda, cała sprawa nie wstrząsnęła mną ani mnie nie zaszokowała tak, jak niewątpliwie Paul miał nadzieję. Moje własne obsesje sprawiały, że trudno mi było uznać siłę obsesji kogoś innego - a poza tym stało się to dawno temu i stanowiło część nie w pełni wiarygodnego świata heteroseksualnych uczuć. Zacząłem przekładać to na moje kategorie; gdybym spotkał kogoś fizycznie identycznego z Lukiem, czy czułbym do niego to samo, co do prawdziwego obiektu moich dzikich tęsknot - co sprawiło, że zachłysnąłem się i zapiekły mnie oczy, gdy skręciliśmy za róg w zimny wiatr.

- Mówisz, że jestem skryty - rzeki Paul tonem, który stanowił przyznanie się do winy, ale też ujawniał, że jego duma rzeczywiście została zadraśnięta przez moją uwagę sprzed kilku minut. - Ale zawsze byłem przygotowany na wyjawienie tego, gdybym mógł najpierw

znaleźć właściwą osobę. Dlatego tak się cieszę, że rozumiesz, o co tu chodzi: bardzo chcę, żebyś rozumiał, gdyż niezwykle mi pomagasz w doprowadzeniu całej sprawy do końca.

Wetknąłem ręce w kieszenie i delectowałem się jego słowami w milczeniu, którego, mam nadzieję, nie odebrał jako niewiary. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście rozumiem. Miałem wrażenie, że pochlebnie przerysowuje moją pomoc i ważną rolę. Prace redakcyjne i sprawdzanie źródeł były oczywiście niezbędne; ale mógł to robić równie dobrze ktoś inny, nawet chyba lepiej, gdyby robił to ktoś, czyja wiedza na ten temat nie jest tak znikoma i fragmentaryczna. Równocześnie czułem się ożywiony i pokrzepiony zaufaniem, jakie pokładał we mnie Paul, tonem usilnej prośby, który czasami słyszałem już przedtem, oraz implikacją, że mógłbym poradzić sobie w chwili krytycznej, nawet gdybym nie całkiem wiedział, z czego wynika. Było tak, jakby dostrzegał we mnie jakąś zaletę, którą ja od dawna przestałem widzieć lub też nigdy nie wierzyłem, że ją posiadam.

Pod koniec lunchu znowu zacząłem wymuszać na Paulu informacje o wojnie. Opróżniłem dwa lub trzy, a może cztery kieliszki wina, on sam wypił więcej niż zwykle i wydawało się, że powściągliwie coś świętuje. Opowiadał zabawnie o jakichś francuskich krytykach sztuki i ich poglądach na temat Orsta. Bardzo wyraźnie wyobrażałem sobie ich nadęty styl i tępe trzymanie się teorii, lecz także dostrzegłem niepokój pod kpinami Paula. Lilli słuchała wszystkiego, co mówił, ze swą zwykłą, dosyć bierną uwagą, czasami powtarzała zdanie, gdy milkł, jakby uczyła się go na pamięć lub mi w tym pomagała. Poprosiłem wprost: - Opowiedz mi o swoich wizytach u Orsta. - I spostrzegłem, że spojrzenie Lilli spoczęło na jego opuszczonej głowie.

- Waham się tylko dlatego, że nie wiem, od czego zacząć - odrzekł po chwili i uśmiechnął się do mnie lekko, ale odniosłem wrażenie, że nie chce spotkać wzroku Lilli. Marcel, siedzący naprzeciwko mnie, zwinął swoją serwetkę i odsunął krzesło - zauważyłem, że poczekał, aż Lilli skinęła głową, zanim wstał. Następnie ona też się uniosła, sięgnęła po talerze i spytała nas o kawę. Paul patrzył, jak odchodzi, z pewną czułą irytacją, którą, jak pamiętam, widziałem czasami między moją mamą i ojcem.

- Żałuję, że nie widziałem Willi Hermesa - powiedziałem, niepewny, czy mi o tym zamierza opowiedzieć, czy nie.

- A ja żałuję, że jej nie widziałem w początkowym okresie istnienia - zgodził się natychmiast Paul. - Tak.

- Czy to znaczy, że popadła w ruinę, kiedy tam bywałeś?

Grzebał w okruchach chleba na obrusie. - Chodzi o to, że nigdy naprawdę tam nie bywałem. Orst wyprowadził się wiele lat przed tym krótkim okresem, gdy przychodziłem go odwiedzać. Przed wojną została odnajęta angielskiemu artyście, a potem stała pusta. Znałem ją jako punkt orientacyjny oczywiście, gdy szedłem z wizytą do szkolnych przyjaciół w tamtej części miasta. - Pospiesznie zacząłem korygować scenariusz, który stworzyłem w luźnych zarysach, dotyczący wizyt młodego Paula tamże i życia ślepego estety w domu-skarbcu. - Nie, jedyny raz wszedłem do Willi w okresie przed jej zburzeniem na początku lat sześćdziesiątych, gdy kilkoro z nas próbowało ją uratować i mieliśmy petycję podpisaną, cóż, właściwie przez prawie nikogo. Symbolistów nadal wtedy traktowano jak niezdrowy żart. Nawet dzieci malarzy symbolistów były dręczone, jakby miały za ojców szaleńców lub kryminalistów. Rzeczy, które teraz przyniosłyby fortunę, sprzedawano za cenę ram.

Przez chwilę żałowałem tych utraconych szans; nie byłem osobą, która kiedykolwiek będzie coś posiadała.

- Ale nadal był znaną postacią, gdy go poznałeś?

- Szczerze mówiąc, nie - przyznał Paul. - Pamiętano o nim w mieście, ale raczej jako o kimś z minionej epoki. Jego wielkie londyńskie sukcesy miały miejsce czterdzieści czy pięćdziesiąt lat wcześniej - kiedy był mniej więcej w twoim wieku. Był ślepym, na wpół sparaliżowanym i na wpół szalonym starym człowiekiem, który równie dobrze mógł już nie żyć, tyle to kogokolwiek obchodziło. Bardzo się go bałem i oczywiście postanowiłem udowodnić, że tak nie jest. Myślałem, że starałem się być dla niego wyrozumiały i z czasem go polubiłem. Wykonywałem trochę prac domowych, czytałem mu, słuchałem, jak mamrotał i unosił się nad przeszłością oraz nad piękną kobietą, która zrujnowała mu życie i doprowadziła

do takiego stanu - nie rozumiałem wszystkiego, ale wczuwałem się w atmosferę jego własnej mitologii, można by powiedzieć. Uczyłem się wędrować po miejscu, w którym nigdy nie byłem. Nadal miewał przebłytki świadomości: „Bądź moimi oczyma - mawiał. - Powiedz mi, co widziałeś na ulicy, jakie było niebo, jakiego koloru były chmury?” Oczywiście częstokroć nie miałem pojęcia, a on potrząsał swoją ślepą głową i udawał, że jest zły. I naprawdę nauczył mnie patrzeć samodzielnie: zacząłem rzeczywiście zwracać uwagę na świat. Pamiętam, jak naśladowałem jego sposoby wyrażania estetycznej przyjemności - raczej zniewieściały i kłopotliwy język dla piętnastoletniego chłopca, te wszystkie charmant, exquis i ravissant, tylko po francusku, w języku ludzi jemu podobnych. - Powoli kiwnąłem głową ze zrozumieniem: muzyka wymagała czegoś podobnego, niby system czułych słówek, których nigdy nie wymówiłem inaczej niż w myślach. - Cóż, dawał mi lekcje prawdziwego życia i odkryłem, że potrzebuję ich, chciałem wracać po więcej. To on był moim najlepszym nauczycielem, a nie odważni mnisi, którzy w rzeczywistości uczyli nas i opiekowali się nami przez te potworne lata...

Poczułem, że pragną ze mnie trysnąć ważne, szerokookie pytania o to, jak wtedy było; a potem napłynęły zawstydzone wątpliwości, o co ewentualnie mógłby zapytać ktoś, kto nic o tym nie wie, kto nigdy nie przeżył czegoś podobnego.

- Twoi rodzice nie martwili się, że spędzasz z nim tyle czasu? - było wszystkim, na co pruderyjnie się zdobyłem.

- Nie, nie. To oni wszystko zaaranżowali. - Przez chwilę myślałem, że Paul jest na mnie zły, ale potem stwierdziłem, że może jest zły na siebie. - Mówiąc prosto: kiedy Orst zniedołężniał tak, że nie mógł mieszkać w Willi, sprowadził się z powrotem do domu swojej siostry - czyli, jak wiesz, aktualnie naszego Muzeum. Nie jestem pewien, kiedy nabawił się kiły. Zapewne wiesz, że ta choroba bardzo się rozprzestrzeniła podczas wojny - to mogło się stać wkrótce po jego powrocie z Anglii, w 1919. Przypuszczam, że trzecie stadium rozwinęło się z dużym opóźnieniem, a kiedy się już zaczęło, niewątpliwie trwało bardzo długo. W każdym razie, Delphine przyjęła go: była bardzo twarda, sprawna i... niesentymalna. Stało

się to około roku 1930. Stary służący, mąż kucharki, pomagał jej opiekować się Orstem - kochani staruszkowie. Przewieziono obrazy i większą część sprzętów z Willi, a sporo rzeczy złożono tutaj, w tym domu, w którym znajdujemy się teraz. Delphine otrzymała go w spadku i stał nie używany przez całe lata. To ona zrobiła to tajne przejście, którym idzie się z naszego salonu do gabindtu w Muzeum.

- Och! - powiedziałem z odrobinę większym zdumieniem, niż tego wymagała sytuacja.

- I tutaj pozostał, malując, dopóki zupełnie nie stracił wzroku, i umierając powoli. - To właśnie sugerowała Helene w trakcie naszego wieczornego spaceru. Wydawało się to ucieleśnieniem czegoś, co zawsze wyczuwałem w tym starym mieście i czego przepowiednię znajdowałem w wielu pełnych grozy litografiach Orsta: atmosfery umierającego życia, życia ukrytego, nawiedzanego i spowolnionego jak w zimie. - Problemy zaczęły się wraz z wybuchem kolejnej wojny. Matka Edgara i Delphine była Żydówką - och, całkiem zasymilowaną, ale jednak Żydówką. Oczywiście musieli z niepokojem obserwować pogłębianie się nienawiści rasowej wśród belgijskich faszystów; lecz gdy Niemcy wykonali swój ruch, wszystko przebiegło tak niewiarygodnie szybko i napotkali na tak słaby opór, że musieli powziąć jakąś decyzję. Ona znowu umknęła do Anglii, naprawdę w ostatnim możliwym momencie - tuż przed Dunkierką. Do końca 1944 mieszkała w Chislehurst u przyjaciół, którzy byli dawnymi patronami Edgara.

- Chislehurst! - Ten trywialny detal zaskoczył mnie dużo bardziej niż błyskawiczny postęp armii niemieckiej. Mogła poznać ciotkę Tinę. Przypomniało mi się uwielbienie Orsta dla sentymentu do legendy w sztuce angielskiej.

- Oczywiście nie było sposobu, aby zmusić Edgara do wyjazdu z kraju, więc zrobili najprostszą rzecz, czyli udawali, że nie istnieje - co praktycznie biorąc w mniemaniu większości ludzi i tak było prawdą. Kucharka i jej mąż pozostali i nadal się nim zajmowali, a zapytani twierdzili albo że nie żyje, albo że również jest w Anglii.

- Prowadził życie ducha, przedwczesnego ducha.

- W rzeczy samej. Zrazu prześladowania nie były tak drastyczne, jak się obawiano. Myślę, że początkowo Żydzi musieli tylko nosić żółtą Gwiazdę Dawida - pamiętam tych na ulicy. Lecz nie trwało to długo: następnie nie pozwalano im opuszczać domów. Ostatnim etapem oczywiście był rozkaz wyjazdu do pracy gdzie indziej, który wiele tysięcy ludzi pozbawionych swobody i praw obywatelskich wykonały bez zbytej niechęci. Może sami sobie wmówili, że wezwanie na dworzec kolejowy oferuje im szansę na lepsze życie, a nie... to, co naprawdę oferowało. - Podzielałem widoczne opory Paula przed nazwaniem ich stacji końcowej po imieniu: czułem, że zawisło między nami, gdy słuchałem tego smutnego podsumowania faktów.

- Przy pewnej okazji, dużo później, dom został przeszukany, przypuszczam, że czysto rutynowo. Orsta przewieziono na fotelu inwalidzkim przez sekretne przejście do drugiego domu i nikt niczego nie podejrzewał.

I w tym miejscu zawiesił opowieść. Chciałem pomóc mu doprowadzić ją do fatalnego punktu kulminacyjnego, choć nie mogłem jej już traktować jak przygody. Obejrzałem się do tyłu i spostrzegłem Lilli stojącą w drzwiach.

- Ach - powiedział Paul, czując równocześnie ulgę i zakłopotanie. - Może przejdziemy do gabinetu?

Uprzątnąłem blat po mojej stronie biurka i zasiadłem za nim, jakby miano mi podać drugi posiłek. Wyobraziłem sobie Cherifa w moim pokoju, ziewającego z nudów, powoli pogrążającego się w złości i zazdrośnych imaginacjach. Właściwie nie powiedziałem, że wrócę na lunch. Wszedł Paul niosąc duże stare pudło na papiery i ustawił je przede mną - poczułem, że zrobiłem falstart, nadal musiał przeprowadzić mnie przez ten etap edukacji.

Skrzynka zawierała wszystko to, co pozostało z fotografii Jane Byron wykonanych przez malarza. Zdjęcia były pomarszczone, pogięte i poupychane, tak że gdy odsunąłem przytrzymującą je sprężynę, z upiorym drżeniem uniosły się do krawędzi pudła.

Patrzyłem na kobietę o szerokiej twarzy, jak mieszkanka pustyni omotaną całymi

metrami ciemnej materii, a jej jasny, wyrazisty półprofil kontrastował z jedwabistym kapturem. Skórę miała szorstką i luźną, było w tym zdjęciu coś bezlitosnego, podkreślonego przez ostre kontury, przechodzące od czerni przez nieokreślone ołowiane szarości do oślepiających, rozmazanych refleksów. Na następnym zdjęciu włosy miała rozpuszczone, spoglądała spomiędzy nich w górę, w bolesnej adoracji, a jej długie, silne dłonie mięły lilię. Na kolejnym spoczywała na czymś w rodzaju kozetki, włosy miała odrzucone do tyłu, oczy wpatrzone w pustkę. To było pierwsze zdjęcie, które rozpoznałem jako model obrazu - Ofelii wiszącej na pierwszym piętrze - i z odległości prawie całego stulecia, oglądanie, jak odgrywa tę właśnie śmierć, wzbudziło we mnie nagły dreszcz.

Paul pozostał w pokoju, gwałtownie zdejmując książki z półki, a potem je odstawiając, nie narzucał mi się, ale obserwował, jak mi idzie, sporadycznie robiąc komentarze, gdy wyciągałem kolejną fotkę z pudła, na temat obrazu, w który się przeobraziła. - To oczywiście jest Le Collier de Medailles - powiedział, gdy zatrzymałem się nad zapatrzoną twarzą z brodą uniesioną przez wyszukaną, ciężką obrożę z czego?, z rzymskich medali, i nad imponującym białym wżesieniem piersi przesłoniętych prześcieradłem - widok zarazem seksowny i monumentalny. A potem w bardzo zacienionej malutkiej pracowni zadumana, z odwróconymi oczyma i bladym ramieniem w rękawiczce promieniejącym na tle ciemności: - Ach, a to jest zaginione dzieło. Przepadło podczas wojny, nazywało się La Musique lub Palestrina - co dziwne, znam je tylko ze zdjęcia.

Wiele zdjęć było podartych na brzegach lub widniały na nich małe ślady po ząbkach klamerek lub dziurki po zardzewiałych pinezkach. Na kilku biała kredka dodała własne akcenty lub wydobyła jakiś detal z ciemności, jak na poprawionych i wyostrzonych fotografiach w starych czasopismach. Na jednym czy dwóch widać było smugi farby, cytrynowe lub fioletowe odciski kciuka, stanowiące niepokojący dowód istnienia tego człowieka, który tak starał się, aby nigdy go nie widziano przy pracy. Gdzieś zauważyłem plamki tego intensywnego błękitu, o którym Paul mawiał, że był to kosztowny błękit Madonny Belliniego, ale obdarzony głębszym rezonansem - bezkresny lazur

symbolistów.

Prawie na samym dnie pudła znalazłem fotografię, według której Orst namalował słynne skrzydło tryptyku, gdzie Jane widoczna jest tylko w głębi lustra, zasłonięta przed nami lśniąca peleryną z wysokim kołnierzem w deseń z Lilli. Zdjęcie było jaśniejsze niż obraz, ale wydało mi się równie znakomite - połyskliwy materiał przechodził w fałdy cienia, a źródła światła były subtelnie rozproszone. W pewnym sensie podobało mi się bardziej niż skończone dzieło, podobało mi się bez nałożonych kolorów, gdy nadal widać było szczegóły tła - zarzucone szpargałami biurko, drzwi z podpiętą gwoździkami zasłoną - które Orst rozmazał i przemienił w cieniste kasetony i mroczne przedsionki.

Czasami Jane uśmiechała się, miała za zadanie się uśmiechać, albo z daleka, jak do miłych wspomnień, albo w zbliżeniu, z jakąś lubieżną niewzruszonością, którą dostrzegłem dopiero po chwili za prążkowanym półmrokiem welonu. Paul dostarczał mi reprodukcje obrazów, a ja układałem je tuż obok i oglądałem z coraz niklejszym zdumieniem. Sprawiały niezamierzony efekt polegający na tym, że obrazy stawały się przewidywalne, a zdjęcia coraz bardziej tajemnicze. Czy też może były to po prostu dwie różne tajemnice, jedna stworzona umyślnie przez artystę kreującego rzeczy nieokreślone i złowieszcze, a druga zapewne miała coś wspólnego z dwojgiem kochanków w brukselskiej pracowni i tym, co robili dla siebie nawzajem w pewne poranki, z pozowaniem i odgrywaniem ról, które zamieniały się w uroczysty obrzęd przez długi czas naświetlania, przez konieczność zachowania absolutnego bezruchu. W jednym czy dwóch portretach dostrzegłem cień irytacji, nastroju przewlekającej się próby, wrażenia, że zajmowali się tym już wystarczająco długo. Przyłapałem się na wyobrażaniu sobie, jak pęka kamienna twarz, dłoń upuszcza złotą czarę, odrzuca szal, aktorka rusza do pokoju obok na kawę i papierosa - intymne ugody romansu w apartamencie starego kawalera.

Istniała jeszcze kolejna, pomniejsza tajemnica dotycząca słynnych piękności, a właściwie tego, co za „piękność” uznawano w czasach przed kinem i bieżącą wodą: ziemista cera, melancholijny kontur twarzy, ciężkie sploty tłustych, ciemnych włosów, równie tłusty

połysk na kołnierzach, klapach i przepeconej satynie, ale najmniejszego wahania przed kamerą, najlżejszej wątpliwości, że ich zdjęcie mogłoby nie wyrzucić uroku na wymagającej publiczności sto lat później. Jane nie wyglądała aż tak ponuro jak inne damy, które kiedyś z osłupieniem oglądałem, ale zbliżenie pokazywało, że była duża i w średnim wieku, czego prawdopodobnie nie było widać w magii reflektorów na scenie, a już na pewno w nekromancyjnej sztuce Orsta. Może to żrące szminki popsęły jej skórę i malarz w zupełnie naturalnym odruchu zrobił jej radykalny, klasycyzujący lifting twarzy. Nie miałem pewności, czy mogę to powiedzieć Paulowi, ale najbardziej podobała mi się, gdy stawiała przed obiektywem profesjonalnie i bez wstydu, gdy jedynie grała. Podobał mi się seksowny nastrój utajonej siły, który ją otaczał, inteligencja w tych wielkich oczach, tak bezbarwnych, że zdawały się odrobinę diaboliczne i prawie się nie różniły na zdjęciach i obrazach, źrenice z szarego lodu. Nic o niej nie wiedziałem, ale czułem, że potrafiła postawić na swoim, że nie była tylko milczącą projekcją fantazji artysty - lub przynajmniej nie miała nią być, nie byłaby, gdyby żyła.

Ostrożnie odłożyłem zdjęcia z powrotem i uniosłem wzrok na Paula, który sprzątnął pudło jak dbały kelner. - To było bardzo... - powiedziałem, dopiero po kilku sekundach będąc w stanie zaprezentować raczej szczególny uśmiech, lecz, zdaje się, Paul uznał go za wystarczająco przymiotnikowy.

- Wiedziałem, że będziesz zafascynowany - odrzekł cicho. - Myślę, że kilka z nich powinniśmy zamieścić w katalogu, jak sądzisz?

- Ależ oczywiście. - Mniej więcej w ciągu ostatniego tygodnia zrobił się z tego nasz katalog i wydawało się, że Paul z zadowoleniem przyjmuje wynikłą z ignorancji pewność siebie, z jaką podchodzę do pewnych spraw, które jego gryzły od lat. - Poza tym one same w sobie są dziełami sztuki - wypowiedziałem się. - Możemy... możesz nawet zamieścić je wszystkie.

- To nie jest przyjęte - odrzekł krótko, podchodząc do szafki z grawiurami i schylając się, by wysunąć jedną z płytkich, szerokich szuflad.

- Ale zobaczymy, co będziesz o tym myślał później - dodał prowokacyjnym tonem; czyżbym był pijany?

Wrócił z dużą, kwadratową teczką i ostrożnie mi ją wręczył. A la nuit tombante głosił napis wykaligrafowany staromodnym charakterem pisma - nie było to ładne pismo Paula, może należało do jakiegoś poprzedniego kustosza, może do szlachetnej Delphine... - Chciałbym, żebyś to obejrzał - powiedział. Otworzyłem teczkę, udając niebywałe zaniepokojenie, jakby był to prezent dla mnie.

Obszar kremowej bieli, arkusz przypominający mur z małym, kwadratowym otworem w środku, przez który spoglądało się na ciemne morze i niebo przechodzące od kręgu światła w coraz głębsze szarości. Obrazek miał ledwie cztery czy pięć cali wysokości, ale posiadał niezwykłą siłę wyrazu dzięki ciężkiej, czarnej framudze, dającej poczucie, że wygląda się z wysoko umieszczonego okna w zamku o grubych murach - z jakiegoś powodu przyszedł mi na myśl Elsinore. Równocześnie zrozumiałem, że jest to litografia, do której Orst nawiązał w tym najprostszym, późnym skrzydle tryptyku, choć tam zrezygnował ze żmudnej roboty murarskiej przy obramowaniu. W samotnym morzu i niebie była jakaś moc, choć czułem, że stawia ona enigmę na krawędzi próżni.

Pod spodem znajdował się następny arkusz - wcześniejsza wersja, jak powiedział Paul - na którym widać było to, co ukrywały czarne marginesy, niby stare, zniszczone ozdoby zabite deskami dla ochrony przed słonym powietrzem: u dołu białą balustradę balkonu, z boków wysokie okna otwarte do wewnątrz, w lewym odwrócone litery DROM, biegnące w dół i bardzo niewyraźne. Niebo było jaśniejsze i poprzecinane prążkami wysokich chmur. Wydało mi się, że w jego czeluści dostrzegam (mogło to być tylko omsknięcie się ołówka) bladą plamkę skrzydlatej gwiazdy - cóż, nie zagania się owiec do owczarni na pełnym morzu, ale poczułem się niepokojony.

- Prawdopodobnie Hipo, nie Aero - powiedziałem, wyobrażając sobie biały klif hoteli stojących frontem do morza, to mogło być Eastboume, a potem oczywiście dostrzegłem, gdzie to było naprawdę i wszystko przesunęło się w głębszą perspektywę, hotel w Ostendzie:

„zimnej jak wiatru morskiego wiew”.

- He? Och, jesteś bardzo bystry. - Paul uśmiechnął się. - Ale niewystarczająco! -

Zmarszczyłem brwi, a on pochylił się obok mnie; czułem jego oddech, gdy badawczo studiował obraz. - Musisz zastanowić się, jaki hotel nasz przyjaciel wybrałby na romantyczną ucieczkę z kochanką. I tuż obok Kursaal, gdyż Jane lubiła gry hazardowe.

- Nigdy nie byłem w Ostendzie, a to chyba tam właśnie się działo, poza tą chwilą, gdy wysiadłem z promu w drodze tutaj. - Próbowałem wymyślić, jakie jeszcze są „dromy”. Welodrom? Belgowie pasjonowali się kolarstwem. A może to początek słowa? - Hotel „Dromader”? - zaryzykowałem niepewnie.

Paul odsunął się. - To bez znaczenia. Hotel „Andromeda”. To naprawdę nie ma znaczenia, choć ta legenda należała do jego ulubionych.

- Czy wydawało mu się, że ratuje Jane przed czymś? Przypuszczam, że przed zazdrosnym mężem?

- Możliwe. Lecz właściwie nie sędzę, aby interesowała go idea ratowania, dużo bardziej entuzjasmował się zakuwaniem kobiety w łańcuchy. Miał spiżową Andromedę w Willi - ze szkoły de Vriesa, piękna rzecz, ale obciążoną bardzo długim i ciężkim łańcuchem zwieszającym się pętlą z piedestału.

- W każdym razie - odezwałem się po chwili - z pewnością nie uratował jej w najważniejszym momencie.

- Nie umiał pływać - stwierdził Paul z roztargnieniem, nadal dumając nad obrazami, które musiał przecież widzieć już tyle razy, jakby można było dostrzec w nich jeszcze więcej tajemnic, jeśli wiedziało się, jak patrzeć.

- Późnym popołudniem stał w oknie i obserwował, jak odpływa, dopóki nie stracił jej z oczu. Wypląnęła prosto w morze, co często robiła - była świetną pływaczką. Nigdy już nie zobaczył jej powrotu. Siedział w pokoju i prawie odruchowo szkicował okno oraz widok za nim: lubił bez przerwy zajmować się pracą. Wykonał ten prosty, pusty rysunek, a że nadszedł wieczór, dostosował się do pory dnia i przyciemnił go w swój ulubiony półmrok. Później

zszedł na plażę, żeby jej szukać. Zawsze bardzo wyraźnie wyobrażałem sobie tę scenę: dandysowaty młody człowiek w sowich okularach, miotający się w tę i we w tę po piachu w gęstniejącym mroku, próbujący rozróżnić twarze, wypytujący obcych ludzi opanowany tym koszmarnym strachem, który robi z człowieka idiotę. W końcu zawiadomił policję, ale zapadła już noc i nic nie mogli zrobić; poza tym nikt nie wiedział, w którą stronę popłynęła. Może gdzieś dalej porwał ją prąd. Zaalarmowali straż przybrzeżną w Middlekerke i De Haan. Była całkiem dobrze znaną osobą, więc wieści rozniosły się szybko we wszystkich kierunkach. Najwyraźniej zameldowali się w hotelu pod fałszywymi nazwiskami, o czym Edgar zapomniał w podnieceniu. Wydaje się, że na pewien czas popadł w obłąd z niepokoju - późno w nocy poszedł do Kursaal, ufając, że ją tam spotka. Potem zrobił scenę. Nadal był młody, pamiętaj, miał zaledwie trzydzieści cztery lata, i sądził, że utracił swoją największą miłość - cóż, miał rację. Muszę przyznać, że wydaje mi się wzruszającą postacią - egocentryczną oczywiście, nieszczerólnie wesołą, choć mimo to lekko komiczną i, no wiesz, mającą swoje słabe miejsca.

Nasze oczy spoczęły na oprawionym zdjęciu wiszącym nad regałem na książki, które datowało się, jak mniemam, z 1910, gdy wyglądał dużo starzej niż na czterdzieści pięć lat. Uświadomiłem sobie, że to dumne odwrócenie głowy nastawiło mnie do niego trochę nieprzychylnie już w chwili, gdy zobaczyłem jego zdjęcie w czasie swojej pierwszej wizyty tutaj. Ale któż mógł wtedy przewidzieć, co im przyniesie następna dekada?

- Kiedy ją znaleźli? - spytałem.

Paul ostrożnie włożył sztychy do szuflady. - Nie znaleźli - odrzekł.

Byłem pod wrażeniem, jak zawsze w przypadku kompletnego zniknięcia i wywołanego nim wstrząsu, ale też sposobu, w jaki mimo wszystko pozostawia miejsce na nadzieję. I kolejny już raz kipiałem od pytań i wątpliwości, które wahałem się przedstawić. Czy ona sama się zabiła, czy nikt jej nie widział z łodzi lub promu, czy to mogła być zaplanowana ucieczka, czy wchodził w grę inny mężczyzna, zmiana tożsamości, wyjazd na inny kontynent? Musiałem ponownie obejrzeć zdjęcia, żeby poszukać kolejnych wskazówek.

- Oczywiście przesłuchano jej męża - powiedział Paul. - Był w Deauville, co wydawało się trochę podejrzane. Ale przypuszczam, że miał doskonałe alibii. A sam Edgar absolutnie wykluczył samobójstwo, nie pozostawiła listu ani wyjaśnienia, a on znał jej nastroje. - Przyglądałem się, jak Paul otwiera szufladę po swojej stronie biurka lekko marszcząc brwi. - Sądzę, że to wszystko rozbudziło w nim wrażenie, że życie jest niewytłumaczalne, że nie ma żadnego pojęcia o tym, co nawet najbliżsi mu ludzie myślą i przez co przechodzą. Naturalnie był to też potworny wstrząs. Lecz kiedy tylko doszedł do siebie, zaczął wciąż wracać do Jane, i myślę, że był to jego sposób zadawania tych prostych pytań: jak, gdzie i dlaczego.

- I nie dochodzenia do odpowiedzi.

- Cóż, rzeczywiście nigdy nie doszedł do żadnych odpowiedzi. Na szczęście - dała Paul chichocząc - zawsze robił z tego sedno sprawy.

Przyciskał do piersi zniszczoną kopertę z manili - następny fragment demonstracji. Przypomniała mi się relacja Helene ze zwiedzania Muzeum po godzinach, dziecinne poczucie uprzywilejowania niemal niezależne od tego, co jej pokazywano. - Zostawię cię z tym na moment - powiedział - a ja tymczasem pójdę i hmm...

Gdy Paul pospiesznie wyszedł przez tajne przejście, wstałem i przeciągnąłem się przy oknie - akurat w tym momencie ściekło po szybie kilka kropli. Leniwie wyrząłem na dwór, co robiłem często, na tajemnicze domy naprzeciwko widoczne teraz wyraźnie poprzez nagie drzewa. Domy, na które patrzył Orst jako chłopiec, które jego siostra widywała co dnia przez następne lata. W tej rozziwanej poobiedniej ciszy można było wręcz uwierzyć, że nadal mieszkają tam ci sami ludzie, wiodąc minimalne życie zjaw wśród trzeszczących desek i wczesnych wieczorów, od czasu do czasu patrząc przez strugi deszczu na ciemną fasadę naszego domu. Pomyślałem o domu starego doktora, widocznym z mojego mieszkania, z pozamykanymi okiennicami na piętrze, z atmosferą profesjonalnej dyskrecji i tylko z rzadka wymykającym się cichym, srebrzystym kurantem wybijającym godzinę. Nagle otworzyło się okno i mężczyzna w czapce rzucił na ulicę worek śmieci.

Wytrząsnąłem zawartość koperty na stół i szybko rozłożyłem. Znowu fotografie i fragmenty fotografii - kobiet, jak przez chwilę uważałem, ale potem spostrzegłem, że jest tam tylko jedna kobieta, która podobnie jak Jane przeżywała ciężkie chwile. Były tam te same zawołowane zbliżenia, hieratyczne pozy, łuszczące się, na poły oświetlone twarze z wyrazem zadumy. Zdjęcia były mniejsze, przypuszczam, że wywołane w ciemni Orsta, czyli „ciemnym tyglu jego sztuki”, jak nazwał ją wrażliwy gość z Anglii. Inaczej jednak niż poprzednio znajdowało się wśród nich wiele aktów i półaktów, długie włosy opadały kaskadami zakrywając, lub prawie zakrywając, sterczące na boki piersi kobiety. Czasami spoglądała do tyłu przez ramię w udawanym zdumieniu, czasami pólleżała na sofie w krótkich czarnych pończochach lub z czarnymi piórami wachlarza zebranych między nogami. Była urodziwą dziewczyną, młodą i nieskrępowaną; wyglądała na cyniczną, lecz godną zaufania. Dopiero po dłuższej chwili uświadomiłem sobie, że to jest przecież druga Jane, praczka będąca reinkarnacją aktorki.

Istniało między nimi ogólne podobieństwo, choć w monochromie najbardziej uderzająca cecha, czyli pochodnia jej włosów, mogła mieć dowolny nie za jasny i nie za ciemny kolor. Miała mocno zarysowaną szczękę, była blada i duża, nie będąc grubą. Rzeczywiście mogłaby być krewną Jane, jej młodszą siostrą o podobnym usposobieniu i charakterze. Próbowałem zapomnieć, że była prostytutką i prawdopodobnie otrzymała zapłatę za te sesje w pracowni, lecz nie udało mi się rozproszyć wrażenia obojętności i usługowości. Spoglądała w obiektyw kamery bardzo trzeźwo: nadal miała dużo energii i szacunku do samej siebie, ale jej lśniące oczy w odcieniu jasnej sepii nie miały w sobie nic z niepokojącej mocy oczu Jane, nie budziły wrażenia, że widzi przyszłość i eksperymentuje z niebezpiecznymi narkotykami. Ta nowa dziewczyna nigdy nie mogłaby być Kundry z Jadis Hirodias, quoi encore? Na jednym ze zdjęć stała z ramionami pełnymi mrocznych splotów swoich włosów, choć w pierwszej chwili wziąłem je za kota.

Wśród fotografii znajdowała się inna mała koperta, na której prowokacyjnie wypisano słowo „Tajne”. Otworzyłem ją ostrożnie, stary klej nadal był trochę lepki, i wysunąłem

następny zestaw fotek, które sprawiły, że drgnąłem i zawahałem się. Przez chwilę wiedziałem, co oznacza „Tajne”: pragnienia wyrażone bez filtra sztuki, posępnie wstydlive potrzeby... Postanowiłem podejść do sprawy naukowo, tłumiąc w sobie myśl, jakimż to kołtunem jestem, gdy chodzi o kobiety i poniżenia, na które narażają je mężczyźni. Wyglądało na to, że pod mistycyzmem Orsta czai się coś ordynarnego i podniecającego. Młoda Jane - nie wiedziałem, jak ją nazywać - miała teraz rozważną minę: zapewne podniosła stawkę, była przecież profesjonalistką, choć nie aktorką jak jej poprzedniczka. Możliwe, że właśnie to stanowiło okrutne, erotyczne sedno zdjęć, ale budziły we mnie wrażenie, że chociaż była kobietą pracującą, była też dobrą katoliczką, która wierzy w ogień piekielny i zastanawia się biorąc do ręki bicz lub odlewając się przed aparatem Orsta, czy to jej przypadkiem tam nie pośle.

Było ich tylko pół tuzina. Na pierwszym dziewczyna stała jedną stopą na stole, drugą na krześle, oglądając się za siebie przez ramię (zdaje się, że lubił to przestraszone, błagalne spojrzenie) i dwoma palcami od tyłu rozciągając cipę. Była w tym jakaś błyszcząca dosłowność, daleko przerastająca rzeczy, nad którymi dawno temu łamałem sobie głowę oglądając ukryte pod materacem Charlie'ego egzemplarze „Escorta” i „Parade”. Potem, ku swemu oburzeniu, odkryłem, że nosi obrozę z medali: wspaniała kolia jej nieżyjącego pierwowzoru stanowiła część aparatu zniewolenia. Na następnym zdjęciu leżała rozciągnięta na dywanie, przykuta do czego? do stojaka kamery? łańcuchem Andromedy. Na kolejnym pochylała się w przód i, z protestem westchnąwszy „Och...”, zauważyłem czarną wypukłość gówna cierpliwie zatrzymaną w ciasnym otworze jej tyłka. Odkładając zdjęcia pomyślałem: „Cóż, w końcu nie są takie znowu najgorsze”, ale nie chciały wejść do końca, coś w kopercie je powstrzymywało. Otworzyłem ją i wytrząsnąłem na stolik gałązkę pomarańczowych włosów związanych nitką, malutki, szeleszczący loczek. Jakoś od razu wiedziałem, że nie odcięto go z głowy.

Cherif kuczał boso na fotelu, w płaszczu naciągniętym jak namiot na kolana.

- Słonko, nawet się nie ubrałeś - powiedziałem.

- Czekałem, aż wrócisz, żeby pójść gdzieś na lunch.

- Wpół do szóstej to trochę późno jak na lunch - odrzekłem. - Patrz, mam zrobione całe pranie, i to za darmo! Wyprane, wysuszone i wyprasowane. - Otworzyłem zamek torby i przechyliłem ją w jego stronę: koszule zapięte na guziki, poskładane majtki, zwinięte skarpety, wszystko schludnie zapakowane. Wspomniałem, że gdy Lilli Vivier oddawała mi pranie, miała lekko zarumienioną i zażenowaną twarz. Czy znalazła tam coś wstydliviego? Wyjąłem koszulę Cherifa całą zadrukowaną napisem PARIS i prawdopodobnie nie zamierzoną dla samych paryżan. Czy Lilli pomyślała, że to moje? Uznałem, że po paranoi z orstowskim krawatem wszystko jest możliwe. Wręczyłem koszulę Cherifowi, a on potrzymał ją przez chwilę z podziwem, po czym zmiął i cisnął w kąt.

- Och.

- Edwardzie...

- Wolisz nie uprasowane. Zapamiętam na przyszłość.

Popatrzył na mnie żałośnie i poczułem, jak twarz mi tężeje pod tym pełnym wyrzutem spojrzeniem. - Dlaczego uciekasz przed swoim Cherifem?

Był to bardzo wytworny zwrot - pomyślałem, że pewnie wypróbował go płaczącym tonem przez całe popołudnie.

- Nie mówiłem, że wrócę na lunch - podkreśliłem. - Miałem mnóstwo rzeczy do zrobienia.

Zerwał się z fotela i podszedł, żeby popatrzeć na pranie. - Przypuszczam, że matka Luca tak się wysiliła dla ciebie.

- A więc to tak? - syknąłem z nie do końca autentyczną złością. - Już ci powiedziałem, że z Lukiem skończone, skończyłem z nim. - Co też to ludzie mówią, że dowodem miłości jest jej ciągle odradzanie się? Przełknąłem tży smutku na samą myśl o nim. - Nie, to gospodyni ojca Marcela tak się wysiliła dla mnie... dla nas. Byłem w Muzeum. Wiesz, że mam tam dużo pracy. - Wiedziałem też, że Cherif nigdy nie pyta mnie o to niedostępne

terytorium, raniące go przez fakt, że pochłania mnie tak bardzo. Wsadziłem rękę pod rozpięty płaszcz i pogłaskałem go po brzuchu. - Musisz mieć coś innego do roboty - powiedziałem. - Nie mogę spędzać każdej chwili z tobą... choć bardzo bym chciał. - Ostatnie słowa ledwie słyszalne. Zauważyłem, że zbliża się seria oczywistych pytań, bolesny katechizm zapewnień - przeszliśmy to już kilka razy w tym tygodniu, raz nawet płakał i upierał się, że jestem pierwszą osobą, którą naprawdę pokochał. Nie mogłem tego znieść - faktu samego w sobie, a także tego perwersyjnego wymogu, że cały czas muszę przysięgać coś, o czym coraz chętniej w ogóle bym nie wspominał. - Chcesz się napić? - spytałem i zająłem się układaniem prania w szafkach.

- Nie mamy nic do picia - wymamrotał. - Gdybyśmy mieli, już bym to wypił.

Sięgnąłem w głąb półki na skarpety i wyciągnąłem ukrytą ćwiartkę brandy. - Proszę bardzo.

Chwycił ją i skulił się znowu na krześle pociągając z butelki, jakby właśnie uratowano mu życie. Nie miało znaczenia, czy byłem z innym mężczyzną, czy tylko z drogim starym Paulem, nie rozumiałem, dlaczego mam się mu przypochlebiać, żeby odzyskał humor, ale jego podejrzenia przylgnęły do mnie i obudziły niejasne poczucie winy. Chociaż zdawało się, że kłopoty mam już za sobą. Zaczęły się żałośnie frywolne pytania.

- Edwardzie?

- Mmm.

- Czy myślisz, że jestem za gruby?

- Nie ma dla mnie znaczenia, czy jesteś gruby. Nie przeszkadzają mi tłuszczy faceci. Daj spokój, ledwo mówię. - Podeszedłem do okna i wyrząłem w mrok poniżej: w kanale połyskliwie odbijały się światła z mostu, a szkoła pogrążona była w weekendowych ciemnościach.

- Edwardzie?

- Jestem tu tylko ja...

- Wiem, ale Edwardzie? Co myślisz o moim tuyau d'incendie ? - Jego własny

chępliwy eufemizm.

- Myślę, że jest, hm, uroczy. - Całym sobą pragnąłem znaleźć się gdzie indziej. Jakąż ulgą byłoby spotkać Matta, spędzić noc lub dwie na pozbawionej złudzeń niewierności, ale nie dawał znaku życia od mojego powrotu z Anglii. Zastanawiałem się, jak też Luc spędza ten wieczór. Uświadomiłem sobie, że od naszej poronionej lekcji, tej z przeziębieniem, podświadomie skłaniałem się do poprzedniego poglądu, że Luc i Sybille są, cóż, kochankami. Możliwe, że tylko racjonalizowałem poczucie odrzucenia - choć to nie było tak uczciwie zdecydowane, tak dramatycznie nieodparte jak odrzucenie: pod koniec dnia uświadomiłem sobie, że nie pozostawiłem żadnego wrażenia, że po prostu nie liczyłem się dla niego, że nawet nie stałem się czymś, co się odrzuca.

- Powinieneś zobaczyć mojego brata - mówił Cherif. - On ma dużo większą.

- Doprawdy, kochanie, twoja w zupełności mi wystarcza. Poza tym, ty nie masz brata. Masz cztery siostry, pamiętasz? Wysyłasz im wszystkie swoje pieniądze. - Na kilka sekund pojawił się dawny wykrętny Cherif, seksownie niegodny zaufania, ten, którego kretyńsko zamieniłem na lamentującego kochanka, otumanioną kurę domową...

- Tylko dlatego, że nie wspominałem ci przedtem o moim bracie Ahmedzie. nie znaczy, że on nie istnieje - powiedział z pewnym samozadowoleniem. - Jest w Rotterdamie. Mieszkałem u niego, gdy tam pojechałem po tym, jak mnie odesłałeś.

Było to całkiem prawdopodobne, jak przypuszczałem. Jeśli chodzi o odsyłanie go - nic nie mogłem poradzić na historyjki, które sam sobie opowiadał.

Poszedłem do Muzeum nawet w niedzielę, niezbyt pewien, czy będę tam mile widziany, choć zawsze przecież było coś do zrobienia. Poprzednio Paul dał mi swoją pracę, napisaną parę lat temu, na temat Orsta i jego kontaktów w Anglii, którą można by jakoś skondesować, przerobić i zamieścić w katalogu - nie miał sprecyzowanego zdania i wydawało się, że potrzebuje mojej rady. Wędrując przez miasto wśród nonszalanckiego bicia dzwonów, wśród znanych zaszyfrowanych wezwań do tuzina różnych parafii, nie mogłem przestać się

martwić, czy aby jestem odpowiednią osobą do udzielania takich rad, skoro mam kwalifikacje jedynie literackie, a styl Paula jest tak ostrożny, tak pozbawiony bezładnego uroku jego opowiadań, tak nieodpowiedni w gruncie rzeczy, by wulgarnie wykorzystać materiał, który może przyczynić się do zaspokojenia czegoś więcej niż ciekawość naukowa. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin jego wybryki zaczęły się wydawać bardziej nerwowe i defensywne, a co za tym naturalnie idzie, bardziej obnażające, choć nie potrafiłem jeszcze stwierdzić, co obnażają.

Jednakże w oczywisty sposób coś miało się wydarzyć lada chwila. Jeśli podejrzewał, że nadszedł czas, aby powiedzieć wszystko o swoim malarzu, to z łatwością udzieli mu poparcia w tych zamiarach. Obecnie seksualne szczegóły częstokroć zdają się być sednem biografii, z implikacją, że dla jej bohatera były również tym samym. Książka Paula byłaby jałowa i nieaktualna bez nich, a z nimi mogłaby stać się pewną sensacją, i to bez straty dla jej wartości naukowej. W rzeczywistości, skoro szczegóły nie były li tylko szczegółami, skoro zajmował się całym życiem artysty przeżyтым w zgubnym świetle obsesji seksualnej, nauka naprawdę wymagała, aby ujawnić wszystko... Takiego rodzaju argument będę musiał mu przedstawić, czułem, że sam mnie w niego wyposaża i podpuszcza, bym go przedstawił.

Niezupełnie dostrzegałem wagę tego dylematu - próbowałem oddać sprawiedliwość Paulowi i jego rozumieniu moralnej tajemnicy, zastanawiając się równocześnie, kogo, u diabła, w tym zaganianym świecie na zewnątrz obchodzi Eggar Orst. Kim byli wielbiciele Orsta? Wyobrażałem sobie, że są podobni do fanów jakiegoś pomniejszego ekscentrycznego kompozytora, na przykład amatorów Deliusa, którzy pojawili się, gdy ojciec mój wykonywał Mszę życia w Fairfield Hall - poplamieni tabaką starzy maniacy seksualni, którzy siedzieli dyrygując sobie między nogami, a po koncercie zabierali z szatni brzuchate skórzane torby na zakupy. Nie dało się tego rozstrzygnąć na podstawie rzadkich zimowych gości Muzeum, ale orstianie musieli być podobnie podejrzaną gromadką, fantastami woniejącymi kadzidłem, dziewięćdziesięcioletnimi ciotkami w aksamitnych - może nie całkiem jeszcze wyliniałych - garniturach. Było dla mnie całkiem oczywiste, że Paul do nich nie należy. Wczoraj przyznał,

iż Orst był czymś w rodzaju degradacji po Rembrandcie, że choć potrafił być olśniewający, brakowało mu rozmachu i zrozumienia dla innych, charakterystycznego dla wybitnych artystów, że jego świat był „światem niemożliwości”. Ale to tylko zdawało się umacniać jego lojalność. Pomyślałem o tym, co powiedział o spotkaniach z Edgarem, choć w retrospekcji jego słowa wydawały się asekuranckie i nieprzekonywujące: Orst i ostatnie dni jego życia pozostawały w głębokim cieniu niedomówień. Czułem pewność, że ślepy, stary człowiek wymógł jakąś istotną obietnicę na tym bystrym nastolatku, który przychodził z nim rozmawiać lub (jak zasugerowała Helene) przeglądać szuflady i opisywać obrazy. Paul powrócił do niego wiele lat później bez wielkiego entuzjazmu, lecz mogło to się wydawać przeznaczeniem. Był w tym głęboki powolny rytm, na wpół ukryte koleje innego życia, wymagające szacunku i akceptacji, i absolutnie nie zmienialne.

Po zastanowieniu stwierdziłem, że wczorajsza lekcja dotyczyła w równej mierze technik i zajęć Orsta, jak i przyjemności płynącej z posiadania ucznia. Nie chodziło o to, że Paul był zupełnie samotny, lecz przedstawił sekrety malarza, bardzo zgrabnie i pouczająco, jako symbole swoich własnych sekretów - czy nawet nie sekretów, lecz problemów. Gdy ponownie zamykał akty w szufladzie, odniosłem wrażenie, iż ujawnił coś innego; i posłał mi optymistyczny uśmiech. Byłem zaskoczony, kojarzyłem powoli, miałem poczucie, że realizujemy jakiś dobrotliwy plan, w którym gram pożyteczną rolę, nie całkiem wiedząc, na czym ona polega - młodsza osoba tajemniczo wykonująca to, na co starsza straciła nadzieję. Co nie znaczy, że miałem coś przeciwko temu - cieszyło mnie, że świat Orsta i jego przyjemne problemy odwracają moją uwagę, przerodziły się w cudowne cieniste schronienie przed moimi własnymi. Wkroczyłem do wewnętrznego oszklonego westybulu Muzeum oczekując pociechy i ukojenia niesionego przez książki.

Za stołem z pocztówkami i pudełkiem na pieniądze nie siedział milutki student z ostatnich paru dni, lecz ten odrażająco wymuskany typek... okazało się, że na dobre wyrzuciłem jego nazwisko z pamięci, z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy Rex Stout w czasie tej sekundy czy dwóch, gdy stałem jak wmurowany marząc, aby okazało się, że to

nieprawda.

- Cześć, cześć! - zakrzyknął. Wydałem ciche rozgoryczone chrząknięcie, a on dodał: - Powinienem być się domyślić, że masz odjazd na sztukę.

Nawet w tym momencie przyłapałem się na tym, że wspominam swoje bełkotliwe wysiłki, aby przekazać Edie całą głębię jego potworności, jego fałszywej pewności siebie, aktywnej próżności, gruboskórnie obłudnej serdeczności, jego, jego... i znowu dostrzegłem, jak zupełnie mi to nie wyszło.

- Nie mam odjazdu - odrzekłem lodowatym tonem; i ruszyłem w stronę schodów.

- Mimo to należy się pięćdziesiąt franków za wjazd.

Znalazłem się właśnie tuż obok biurka i zerknąłem na to, co robił, na gęsto zapisane strony notatek, które poznał żółtym markerem. Wyglądało to, jakby przygotowywał się do egzaminów na zakończenie szkoły średniej, z beznadziejnymi pretensjami do systematyczności...

- Pracuję tutaj. - Przez co jasno miałem na myśli, pracuję tutaj, dupku.

Nie dotarł do niego mój nietakt, co zrozumiałem, gdy z satysfakcją zamrugał oczami, przyswajając sobie ten fakt. Ronald jakiś tam - „badacz”. To zapewne paranoja, ale nie mogłem się oprzeć uczuciu, że jednym z obiektów jego badań jestem ja sam - oczywiście nie jako ja, lecz jako postać w życiu pewnego wysokiego, smukłego, jasnowłosego, młodego mężczyzny...

- Nie powiedziano mi, że ktoś tu pracuje. -

Wzruszyłem ramionami.

- To znaczy, że jesteś strażnikiem?

- Pracuję z dyrektorem, jestem jego asystentem.

Widziałem, że dostrzegł szansę na zatrzymanie mnie i zadanie paru następnych pytań.

- A mówisz, że nie masz odjazdu na sztukę! - Westchnąłem rozdzierająco. - Tak się składa, że nigdy nie powiedziałeś mi, jak się nazywasz.

Czy mogłem jakimś cudem odmówić? Mogłem użyć fałszywego nazwiska. Przez

chwilę mogłem znowu stać się Caseyem Hopperem... - Manners - odrzekłem srogo, zadowolony, jak mi się to zdarzało już wcześniej, że moje nazwisko coś znaczy i może zabrzmieć jak wyrzut .

- Cóż, Manners - powiedział - mam nadzieję, że to oznacza, iż będziemy się mogli widywać częściej. - Wziął swój jaskrawy mazak i pochylił się ponownie ciotowato trzęsąc głową, jakby dawał do zrozumienia, że niepotrzebnie go niepokoiłem. Kiedy ruszyłem po schodach na górę. powiedział nie odwracając się: - A propos: dyrektor wyszedł. Pewien jestem, że wiesz.

Dzięki Bogu drzwi do gabinetu nie były zamknięte na zamek, więc wpadłem tam i zatrzasnąłem je za sobą, jakbym właśnie uciekł przed jakąś potwornością we śnie. Powtarzałem sobie, że to absurd mieć taką fobię na punkcie zwykłego człowieka - była to odraza tego rodzaju, co to może zapełnić wszystkie twoje puste kąty, taka neurotyczna obsesja. Włączyłem lampę, usiadłem i zapatrzyłem się w miejsce, gdzie normalnie siedziałby Paul. Milcząco czyniłem mu wymówki o to, jak mógł zatrudnić Ronalda Stronga i jak to się stało, że nigdy mi o nim nie wspomniał? Czułem się, jakbym to ja był dyrektorem Muzeum, a Paul podjął za moimi plecami jakąś ważną decyzję. Znowu wyjąłem Orsta i jego kontakty w Anglii i wpatrywałem się w jeden akapit przez pięć minut.

Prawdę mówiąc, czułem autentyczny niepokój przebywając w tym miejscu samotnie - nie był to dzień, w który normalnie przychodziłem, Paul „wyszedł”, ale może lada chwila wrócić, nie byliśmy umówieni. A poza tym to nie jest zwykłe biuro, to niemalże część jego domu, może przyjść przez tajne przejście w szlafroku, bez podejrzeń ciesząc się porankiem, i zastanie tutaj mnie: nie do końca intruza, zatem stłumi zaskoczenie i niechęć, by ujawnić je później w upokarzających aluzjach. Źle zrozumiałem zasady naszej przyjaźni, może byłoby lepiej, gdybym już tu więcej nie przychodził. Tak się składa, że inny młody Anglik, Rex Stout, interesuje się Orstem, naprawdę jest pełen zapału, może niebywale pomóc, to wyszkolony badacz... Wstałem i wyjrzałem przez okno. Oczywiście nie miałem zamiaru ani potrzeby grzebać w biurku Paula, ale zaczęło mnie ogarniać dziwne przeświadczenie, że

jestem drobnym kryminalistą. Zostawiłem wszystko tak, jak zastałem i bardzo cicho wyszedłem na schody.

Drzwi do galerii na pierwszym piętrze były zamknięte, ale nie na klucz, więc wślizgnąłem się do środka. Rozstawiono stół, żeby ułatwić pracę nad tryptykiem, i poczyniono kilka tymczasowych zmian w umeblowaniu. Obrazy nadal się tu znajdowały, dwie nowe części podwieszono w odpowiedniej linii z Lustrem. Stałem i próbowałem skupić na nich uwagę. W czasie naszego małego seminarium nie omawialiśmy środkowej kwatery - wzięta wprost w fotografii, jak powiedział Paul, lecz czy jej temat był szczególnie istotny? Pusta ulica, most, gotycki wykusz, gęstwa starych dachów z tyłu, niewątpliwie wieża Św. Jana, z czarnymi plamkami krążących po niebie kawek; wszystko to uchwycone podczas tego dziwnego kwadransa wieczorem, kiedy stwierdzasz, że nie widzisz dokładnie, detale zaciera mgła, wysilasz się, by rozróżnić szary od grafitowego. A może to po prostu kurz, który można było dostrzec na powierzchni, gdy spojrzano się z boku - może obraz przetarto mętną wodą. Może to był jasny, wiosenny poranek czekający, by olśnić, pełen spraw do załatwienia, nieświadom tragedii wybuchającej pod koniec dnia.

Zerknąłem na znajomą kwaterę z Jane. Tutaj panował prawdziwy cień, był to sen o pięknie, pełen połyskliwego jedwabiu, upadłych aniołów, wąwozów aksamitnego mroku. Wyobraziłem sobie jej zwichniętą następczynię, przeskok od czci do okrucieństwa. Uznałem, że raz obrabowany z tego, co kochał, Orst musiał przykuć swoją dziewczynę łańcuchem (na imię miała Marthe), upierać się przy swojej władzy, póki mógł, z pewną bezskuteczną siłą - czułem się, jakbym obserwował niezwykle opóźniony atak gniewu po stracie ukochanej osoby. Popatrzyłem na twarz w ciemnym owalu lustra i zaparło mi dech, zarówno z powodu mojej własnej głupoty jak i przenikliwego spojrzenia chryzantemowych oczu.

17

Opalony blondyn powolnym krokiem przeszedł obok patrząc na mnie bojaźliwie, wymijająco, bacząc, czy haczyk przypomnienia zapadnie w mroczny staw. - Cześć! -

odezwałem się.

- Och. cześć! - Opadł na ławę koło mnie. Czułem, jak stara się przystosować do przygnębienia, którym emanuję i do mojego wzroku utkwionego w bezładnie nagromadzonych pustych szklankach. - Jak się masz? - zagaił radośnie.

- A ty jak się masz. Ty? Jesteś bardzo brązowy.

- Mm, byłem w Londynie.

- Och... - A cóż to za imię, do jasnej Anieli, Ty? Brzmi jak imię aktora w jednym z filmów Matta. „I wtedy nareszcie Casey ulega pulsującemu dyszlowi namiętności Ty’a...” A jego dyszel był ewidentnie, zarozumiale widoczny. - Jak tam stare śmieci?

Skrzywił się, słysząc, że kpię z miasta jego marzeń. Wiedziałem, że dla niego oznaczało ono ogrom i przepych, sesje zdjęciowe i noce w „Niebie”; a nie brud i upadek, labirynt przemierzany przez młodzieniaszków z wiotkim zarostem, śpiących po bramach, gdy olśniony wychodzisz z „Nieba” o drugiej czy trzeciej. - Och, było naprawdę cudownie. Dużo pracowałem, no wiesz, pozowałem. We wszystkim od kurtek po gatki!

- A dla kogo to robisz?

- Dla C & A - odparł nonszalancko. - Wkrótce pojawię się na wszystkich przystankach autobusowych.

- A pokazujesz fiuta w bawełnianych portkach C & A?

- Nie, nie wolno - zachichotał. - Każą nam je ukrywać. - Zatem żywi modele muszą dążyć, jak czasami podejrzewałem, do uogólnionej bezpłciowości starych figurek z czekolady.

Ty wykorzystał szansę, by zmienić bieg (przypomniały mi się jego zwyczaje) na monotonną piątkę swoich fantazji i podbojów, wcisnął guzik pilota automatycznego i może teraz tak lecieć całymi godzinami. - Spotkałem naprawdę seksownego mężczyznę w Bloomsbury, siedzi w modzie - robi, no, wystawy okienne, wiesz, to się nazywa podkładki ekspozycyjne i...

- Podkładki ekspozycyjne.

- Tak, no wiesz, podkładki na klejnoty i pierścionki. To, co się eksponuje. Cóż, to starszy pan, ale nadal bardzo wysportowany i sprawny. Ma ogromne mieszkanie z precudownymi zasłonami...

Zastanawiałem się, co to znaczy „starszy pan”? Przyglądałem się Ty’owi z bliska i w lepszym świetle niż przy naszym pierwszym spotkaniu: mógł być w moim wieku lub nawet starszy, sądząc po drobnych zmarszczkach wokół oczu, gdy rozpromieniał się przy własnych anegdotach, choć w opanowaniu i ogólnej niewinnej próżności był zaskakująco świeży i młody. Zacząłem przyznawać się sam przed sobą, że bardzo przypomina Luca: wysokie kości policzkowe, niezbyt duże, ostrożne szare oczy, gęste jasne włosy. Nie zdawałem sobie z tego sprawy przedtem - oczywiście, przecież nie znałem jeszcze Luca tamtej nocy w „Barze Biff”: w tym pierwszym tygodniu na każdego patrzyłem tak, jakby mógł zostać moim przyjacielem i moją przyszłością. Zastanawiałem się, czy Ty był nieudaną pierwszą próbą, suchą zaprawą, przed Lukiem, który został stworzony według tej samej receptury, ale był prawdziwą żywą materią.

- ...w każdym razie, powiedział: „Może byś przyjechał do mojego domu na wsi, bo mamy wiele wspólnych tematów do omówienia i może, kto wie, do czegoś dojdziemy.” A ja na to...

- Wiem - przerwałem mu - może byś postawił mi drinka. Jakoś trudno mi się bez tego skoncentrować. A także jestem kurewsko nieszczęśliwy i mam wszystkiego powyżej uszu.

- Och... Co się stało? - Rozejrzał się, jakby ktoś miał mu dostarczyć wyjaśnienie. - Jesteś dzisiaj sam?

- Byłem - odrzekłem niegrzecznie. - Czekam na kogoś. Na Cherifa, pamiętasz go.

- Ach, ten - przyznał Ty protekcjonalnie. - Głupi młodzik.

- Mieszka ze mną aktualnie - odpowiedziałem, nie całkiem przecząc jego opinii. A potem w kilku zdaniach wyznałem, jak rozpaczliwie jestem zakochany, więziony we własnym domu przez chłopaka, który się we mnie zadurzył, a teraz do mojego miejsca pracy przeniknął ktoś, kogo nienawidzę. Wątpię, czy wywnętrzyłbym się tak treściwie i gorzko

przed osobą zdolną do reakcji, ale wyartykułowanie tego przy Ty'u przyniosło mi wyraźną samotniczą ulgę. Zatrzymałem dla siebie jedynie wciąż powracający szok na myśl, że Ranek nie żyje, żal, że nie pożegnał się ze mną i pełne poczucia winy przeświadczenie, że wszystko, co robię, jest czymś, czego on zrobić nie może.

Odpowiedź była pogodna, ale mimo to zaskakująca. - Cóż, wiem, jaki jesteś. Musisz wyznać miłość chłopcu, inaczej nigdy nie zaznasz spokoju, i spróbować odnaleźć dobrą stronę tego Rexa Stouta, bo musi taką mieć, i powiedzieć temu, kto właśnie wszedł do baru, że musi odejść i zamieszkać gdzie indziej, a poza tym również pójść do diabła.

- Dziękuję ci - odrzekłem, gdy wstał i pomachał palcami na do widzenia. Ciekaw byłem, co się wydarzyło w domu tego faceta na wsi. Może prowadził centrum moralnej samopomocy. Ustyszałem, że Cherif wydał swój szyderczy okrzyk, gdy mijał Ty'a za moimi plecami.

- Kotku, dlaczego nazywasz go Mouchoir? - spytałem, kiedy już się usadowił i przestał robić zamieszanie wokół mnie. Wyszczrzył zęby i wskazał sobie między nogi.

- Bo to nie jest prawdziwe. Tylko zwinięta chusteczka.

- Nie bądź śmieszny.

Pokręcił głową z grymasem sugerującym, że jest to fakt niezaprzeczalny. - Ja to wiem - stwierdził jasno dając do zrozumienia, że nie chce mnie obrażać szczegółowym dowodzeniem. Pomyślałem, że w sumie ta opowieść mogłaby pomóc przetrwać nadchodzące godziny. Tęskniłem za Edie i pragnąłem, żeby wróciła, z tym swoim darem równoczesnego dzielenia i osądzania moich uczuć. Nie wiedziała, w ilu wymagowanych dialogach brała udział, jak często jej przyjaciel zwracał się do niej z milczącymi błaganiami i okrzykami. Choć wkrótce troski pozostawię za sobą, fala alkoholu uniesie się wysoko, poudaję trochę, że płynę pieskiem, obejmę Cherifa i pójdę na dno.

Chwilę siedzieliśmy w milczeniu w bocznej łoży, jak para zapominalskich starych pijusów w „Złotym Cielcu”, którzy znają się od urodzenia. Uniosłem wzrok i popatrzyłem w dalsze, ciemniejsze zakątki baru obok kibelków. Stała tam grupa mężczyzn pojawiających się

tutaj tylko w niedzielne wieczory ciężko odzianych w skóry, przystrzyżonych, okolczykowanych i wytatuowanych, spokojnych w swoim towarzystwie, jak konspiratorzy o mocnych nerwach, patrzyli sobie nawzajem w oczy kontemplując to coś, co mieli zaraz zrobić. Przypuszczałem, że będzie to coś wymagającego i niewygodnego, ale zazdrościłem im - seksownie i posępnie emanowała z nich pewność, że to jest właśnie to, czego chcą. Wtem usłyszałem, że Luc mówi tym swoim elagancikowatym akcentem z Ealing Films : - I jak się miewamy?

Przez ułamek sekundy myślałem, że to pytanie skierowane jest do mnie. Uniosłem się, po czym usiadłem bardzo sztywno. Dziewczęcy głos odpowiedział: - Jakież to mile z twojej strony! - a hałaśliwy młody mężczyzna dodał: - Po prostu pysznie! - Zaczerwieniłem się słysząc to wydrwiwanie angielszczyzny i wściekle marszcząc brwi odwróciłem się, by stawić im czoła, ale zasłaniała ich wysoka, lakierowana ścianka łoża: nie mogli wiedzieć, że tu jestem. Serce waliło mi od niebezpieczeństwa i nadziei - Trójca właśnie tutaj, w „Kasecie”, dowcipkująca w fajowym angielskim, którego nie używał już nikt młodszy od Perry'ego Dawlisha, choć oni nadal ewidentnie uważali, że jest pierwszoklasny. Czułem się osaczony i podminowany. Dlaczego tu przyszli? Należeli do świata na zewnątrz, w tym barze szukało się pociechy i azylu przed takimi jak oni. Uciszyłem Cherifa, by lepiej ich słyszeć, gdy przeszli na flamandzki. Istniała możliwość, że w dobrym nastroju ślepo wstąpili tu na piwo albo też mogą uważać, że to szpan pić w mniej więcej gejowskim barze; obawiałem się jedynie znowu przebłyскуjącej nuty szyderstwa, kłopotów, które czasami wywołują podpici hetero. Oczywiście będę musiał się do nich przyłączyć; moim przeznaczeniem było przejść przez ten mały czyściec.

- Cherif, kochanie, przepraszam, że cię uciszyłem, ale właśnie rozmyślałem, co jak wiesz nie przychodzi mi łatwo. - Choć byłem dosyć pijany, skradałem się jak kocur, mając na widoku zdobycz w gniazdku.

- Czasami nie rozumiem, o czym myślisz - odrzekł pogodnie, wręcz z dumą. Spuściłem wzrok i uśmiechnąłem się.

- No dobrze, powiem ci. Jeśli obiecasz, że nie będziesz się złościł. - Milczał, jakby rozważał swoje prawa. Zagłębiłem się zatem w długie, pełne uzasadnień przemówienie o tym, że nie przywykłem spędzać z kimś tyle czasu, o latach, które minęły, odkąd miałem ostatni taki romans, o tym, że moje życie seksualne właściwie zanikło, zanim przyjechałem do tego kraju; że oczywiście to wszystko wydawało mi się zdumiewające i cudowne, ale nadal byłem z natury raczej samotnikiem, a także, jak wiedział, próbowałem pisać, a łapanie kilku srok za ogon... Chodzi o to, że akurat teraz i czasami w przyszłości będę potrzebował trochę czasu dla siebie. Chciałbym wrócić dzisiaj do domu sam, więc czy mógłby pojechać na noc do hotelu robotniczego?

Jako kłamstwo miało to tę zaletę, że było niemalże zupełnie prawdziwe, ale Cherif nie mógł dostrzec w nim tego uroku. Głowa odskoczyła mu w tył, jakby naparł na niego gorący podmuch, a usta wygięły się zrzędliwie. Cały nieporadny plan zależał od tego, czy widział Luca i jego przyjaciół, oraz od ostatniego autobusu odjeżdżającego zapewne lada chwila... Byłem przygotowany na dąsy, lecz miałem nadzieję, że uniknę awantury. Napierałem na niego niebaczny na nic, równocześnie starając się wyglądać na uczciwego, znużonego, spokojnie uduchowionego, niczym święty wzdychający do swej jaskini i swego lwa. Jako tako zadziało. Wysłałem żądło z rany, złożyłem drobne namiętne przysięgi, które teraz przychodziły mi automatycznie, dodając odrobinę pełnych wyrzutu frazesów na temat dojrzałości i zaufania, i zanim skończyłem, Cherif musiał pędzić na Grote Markt. Sam byłem sobą zdumiony - obserwowałem własne przedstawienie jakbym był, powiedzmy, Lukiem spoglądającym znad przepierzenia za moimi plecami.

Poszedłem na siusiu, a potem czekałem, jakbym zamierzał napastować facetów, tuż za drzwiami. Obok miałem maszynę durexu, więc kupiłem paczkę z trzema gumkami, żeby coś robić; następnie umyłem ręce z niepokojącą starannością i obejrzałem się w lustrze pod pozbawiającą złudzeń lampą. Przeraziłem się. Ktoś coś do mnie wymamrotał - zmieszany popatrzyłem na niego w lustrze, a on wzruszył ramionami i odszedł. I oto znowu tu byłem, lecz teraz absolutnie sam w tym godnym uwagi świetle; pochyliłem się w przód, jakbym

zamierzał przyjrzeć się portretowi, który został namalowany genialnie, lecz niewyraźnie. Cóż to sprawiło, że model wygląda jak żywy? Trudno powiedzieć. Nachyliłem się bliżej, jakby zakręciło mi się w głowie od tej bezstronności. Zauważyłem, że soczewki moich okularów pokrywa kurz: drobinki dymu, śmieci z powietrza, mikroskopijne płatki skóry ciała i głowy.

Luc zwrócony był plecami do mnie, gdy idąc wzdłuż baru spojrzałem na niego po raz pierwszy: był rozluźniony, rozprawiał o czymś odrobinę za głośno, aby pokazać, że czuje się swobodnie wśród czujnych ciot. Nosił dokładnie te same ubrania co tego ranka, gdy się w nim zakochałem - zamszową kurtkę, białe lekko rozepchane dżinsy - i wypychał dupkę kołysząc się ze skrzyżowanymi kostkami, a jego trampki skrzypiały charakterystycznie. Pomyślałem, że za każdym razem zaskakują mnie jego rozmiary i kształty zapewne dlatego, iż tak bardzo przerabiam go w marzeniach i zawsze, gdy go widzę, wydaje mi się inny, zawsze przerażający i zawsze odrobinę banalny.

Mówił: - Lecz on ponownie napisał całość, w tym właśnie tkwi sedno sprawy: nie wyciął kawałków i nie dodał nowych. Tekst z 1850 jest ogólnie dużo lepiej napisany niż ten z 1805, bardziej zwarty, żywy i uważam, że nawet dowcipny. - Patrick przyjął postawę tolerancyjnego znudzenia, jakby słuchał czegoś, co może okazać się pożyteczne dla niego na pewnym etapie, i dopiero po chwili dostrzegł mnie, czekającego za plecami Luca. Posłałem mu wymuszony uśmiech złożony z bardzo sprzecznych elementów: zadowolenia, że Luc tak chętnie powtarza to, co mówiłem podczas naszej lekcji, żalu, że nie podziela moich odczuć na korzyść Preludium z 1805 i jego młodzieńczej żywiołowości (ból tylko połowicznie zapamiętanych słów), nawrotu paranoicznych podejrzeń, że w pewnym sensie sztydzą ze mnie, nawet znalazł się w nim cień smutnej, niezdarnej miłości; i miłość sama w sobie: nie chłodne błękitne światło kontrolne, lecz łoskot i błysk, gdy uruchamia się mechanizm zegarowy... Zacząłem czuć, że pali mnie twarz, usta i szyję miałem gorące, a jądra bolały mnie bezsilnie.

Dotknąłem ramienia Luca akurat w chwili, gdy Patrick rzucił neutralne „Cześć”, a ja objąłem ich wszystkich gorliwym, promiennym „Hej!” jak młody lubiany przez uczniów

wychowawca. Luc był zaskoczony, zawstydzony, że przyłapałem go na rozprawianiu o Wordsworcie, ale również, jak zwykle gdy spotykaliśmy się w zewnętrznym świecie, podekscytowany i, cóż, czarujący. Uścisnęliśmy sobie dłonie, obaj pocieszając się zmieszaniem, rumieńcami i uśmiechem, prawie że drwinami, drugiego, niczym starzy przyjaciele, którzy początkowo nie wiedzą, co powiedzieć.

- Jak tam twoje przeziębienie? - Na więcej nie było mnie stać.

- Och, minęło - odrzekł z lirycznym gestem, jakby unosił welon z twarzy, choć jego głos nadal miał lekko schrypnięte brzmienie.

Nasza grupka zamilkła na moment i zastanawiałem się, czy słyszą, jak moje serce pompuje. Może czekali, aż pójdę dalej lub całkiem się wyniosę, nie wiedzieli, że zamierzam zostać; a może wiedzieli wszystko o mnie i o mojej żalosznej, nie chcianej namiętności. Nieśmiało popatrzyłem na Sybille, która wesoło spozierała na Luca; potem zerknąłem na Patricka, lecz on natychmiast umknął do Sybille. A potem Luc powiedział: - To mój przyjaciel - Patrick. - Kiwnąłem głową i uśmiechnąłem się. Nie widziałem go od tamtego ranka, gdy zastałem go w sypialni Luca; nadal nie wiedziałem, jakie szkody wtedy wyrządziłem. - A to moja przyjaciółka Sybille, Sybille de Taeye - kontynuował Luc z odrobiną dumy z powodu dystyngowanego nazwiska. - A to mój przyjaciel Edward Manners. - Rytm sceny wymagał, by nazwał mnie swoim przyjacielem, ale i tak bardzo mnie to uszczęśliwiło. Przez chwilę obgotowywaliśmy się w tych prezentacjach, jakby każde z nas na nowo rozważało pokrzepiającą tajemnicę, że jesteśmy tym, kim jesteśmy. Pragnąłem być tym, kim jestem, to znaczy człowiekiem naturalnym i wesołym, lecz wiedziałem, że zostałem skazany na bycie kimś innym przez gwałtowność moich potrzeb i przez enigmatyczne zwanie wewnątrz Trójcy. Rozmawiali tylko o Wordsworcie, ale dawali mi odczuć, że nędznie przerwałem daleko bardziej intymną i wysublimowaną wymianę zdań. Może i się nudzili, ale nudzili się na swój własny satysfakcjonujący i wręcz całkiem zabawny sposób. Odkryłem, że moja dłoń jest dziwnie pusta, i przepchnąłem się między nimi do baru. Usłyszałem, że grzmie: - I jak się miewamy?

Najpierw zacząłem rozmawiać z Sybille - poczułem się nagle zbyt wytrącony z równowagi, by poradzić sobie z Lukiem pod badawczymi spojrzeniami jego najlepszych przyjaciół. Odwróciłem się do niego prawie tyłem, choć wychwytywałem jego pogawędkę z Patrickiem przez rozrzedzone medium mojej konwersacji z Sybille. Pomyślałem, że jeśli będę bardzo uroczy i jakoś uda mi się zasugerować, że znam Luca lepiej niż w rzeczywistości, może wymknie się jej jakiś oklepany piorun z jasnego nieba: „Kiedy już pobierzemy się z Lukiem...”, czy coś w tym rodzaju. Była niesamowicie opanowana, jak dziecko wychowane, by grzecznie rozmawiać z obcymi i zachować zimną krew w obliczu ich ekstrawagancji czy złego zachowania. Twarz miała okrągłą i spokojną, twarz dziewczyny z klasztoru, lekko upudrowaną, by zasugerować też inne osiągnięcia. Nosła białe dżinsy, w złowieszczym braterstwie z Lukiem, oraz koszulę otwartą na białych chłopięcych obojczykach i ciasno zapiętą między niechłopięcymi piersiami; w uszach miała stare, zabytkowe perły. Chciałem, żeby okazała się naiwna lub nawet lekko snobistyczna w angielski sposób, więc trochę mnie zraził jej spokój i otwartość, z jaką szacowała moją karierę i uzdolnienia.

- Uczysz również mojego przyjaciela Marcela, prawda? - spytała.

- Och, tak, prawda. - Śledziłem opowieść Luca o wakacjach we Włoszech... Padwa... Galileusz... wykłady z anatomii... Jakież oficjalny był dzisiaj z nimi. Chciałem krzyknąć: „Trochę luzu!”, wyciągnąć go na plażę i jak dziecko walczyć z nim w piachu... - Tak, to... to miły chłopak. Oczywiście przeżył ciężkie chwile.

- Bardzo się ciebie boi - powiedziała w sposób stanowczo sugerujący że ona nie. Lecz tego wieczora respektowałem strach, poznałem wypaczającą presję i panikę, które może wywołać obecność jednej osoby.

- Nie ma powodu do strachu - odrzekłem. - Zresztą to chyba już niemożliwe: zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. - Wyobraziłem go sobie w domu gmerającego w okruchach ciasta, zawsze szukającego dzieciennego pocieszenia: dokładne przeciwieństwo tej trójki pijącej piwo w barze dla gejów.

- Wspomniał mi, że pracujesz dla jego ojca.

- Tak, to prawda.

- ...Niezwykle przystojni Włosi... - mówił Patrick.

- Zawsze mi się wydaje dosyć żalospną postacią.

- Jak to? - spytałem z krótkim zagniewanym śmiechem.

- Och, stracił żonę w taki dziwaczny sposób. Marcel i ja dużo o tym rozmawiamy.

Uważamy, że od tamtej pory nie ma do niczego serca.

- Niebywale kocha swojego syna - powiedziałem ciepło, zastanawiając się, czy choćby w ten sposób mogę oddać sprawiedliwość jego przywiązaniu.

Sybille potrząsnęła lśniącymi włosami i oparła się o bar. Pomyślałem, że naprawdę nie przepadam za jej pewnością siebie. Powiedziała: - Mój tato mówi, że on nigdy nie skończy tego słynnego katalogu. Mowa, że Paul Echevin był pierwszorzędnym naukowcem, gdy zajmował się Rembrandtem, ale z jakiegoś powodu rzucił to i zajął się Orstem, i od tamtej pory napisał ledwie parę artykułów. Mój tata uważa, że on stracił nadzieję.

- Potwornie się mylisz - odrzekłem. Słyszałem to już przedtem, od Helene. Niedobrze mi się robiło od tej konspiracji przeciwko mojemu przyjacielowi. - Przede wszystkim pracuje nad katalogiem codziennie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak ciężko pracował. Jest prawdziwym uczonym, no wiesz, chce, żeby wszystko było dokładnie sprawdzone. Skończy przed nastaniem wiosny. I napisał dużo więcej niż parę artykułów, mogę cię zapewnić. - Z całą pewnością przypominałem sobie trzy.

Lecz ona pozostała wierna opinii swojego wybitnego taty, nawet jeśli w jakiś sprytny sposób dystansowała się od niej. Patrick przekazywał Lucowi aktualne ploty ze Świętego Narcyza, przezwiska nauczycieli, nowości futbolowe, opowiadał je tym swoim donośnym głosem wesołka, lecz mimo to wydawały się pełne drżenia i posępnego nastroju szkoły zimą. Luc śmiał się. Poczułem, że zupełnie nie ma do tego dostępu, poczułem, że raczej wolałby o tym nie słuchać.

- A jak ci się uczy mojego uroczego Luca? - spytała Sybille głośno, żeby ją było słychać i może, żeby zakończyć podział na pary i nasz drobny antagonizm.

Okręciłem się, żeby objąć go wzrokiem, a serce waliło mi od złych przeczuć.

Uśmiechnąłem się niemrawo, podczas gdy Luc odwrócił się z kasznięciem i okazał zainteresowanie grupką ciot w skórach. Zauważyłem, że jeden z nich pochwycił jego spojrzenie i posłał mu uśmiech, na co Luc zarumienił się i szybko odwrócił z powrotem.

- Och, to radość uczyć twojego... twojego Luca - powiedziałem. - Jeśli nie jest w złym nastroju.

Z uczuciem położył mi dłoń na ramieniu, a ja aż podskoczyłem, natychmiast pochylając się przepaszająco w jego stronę, fuszerując w ten sposób całą swobodę jego gestu. - Ostatnim razem byłem w bardzo złym nastroju i biedny Edward musiał wziąć nogi za pas - wyjaśnił i ścisnął moje ramię wymazując cały ból poprzedniego tygodnia. Poczułem, że krtań mi nabrzmiwa i pulsuje jak krtań gołębiczy od niewypowiedzianych „kocham cię”, chciałem całować go po całej twarzy i mamrotać wyznania w jego zarumienione uszy.

- Był w kretyńskim nastroju przez kilka dni - stwierdził Patrick. Sybille strzeliła w niego spojrzeniem spod zmarszczonych brwi, a Luc zmrużył oczy. Nadal nie miałem pojęcia o roli lub wpływach Patricka; mógł być błaznem, outsiderem albo też liderem, jeśli potrafiliby to zaakceptować. Cisza przeciągała się, a ja syciłem się widokiem jego seksownej, zdrowej sylwetki, w grubym swetrze i niebieskiej koszuli wyłożonej na stare, postrzępione dzinsy. Pomyślałem, że gdyby tutejsze ciotunie wiedziały, co on ma między nogami... Przez kilka sekund pławiłem się w niewyszukanym, lubieżnym dreszczyku rozkoszy płynącym z przebywania w towarzystwie dzieciaka o prawdziwie kolosalnym interesie. - Zatem lubisz Luca, nieprawdaż? - spytał. Nie umiałem powiedzieć, czy mnie podpuszcza czy ma nadzieję dostać za niego dobrą cenę.

Nadszedł moment, gdy Sybille podziękowała za następnego drinka, ześlizgnęła się ze stołka barowego i cicho oświadczyła, że czas już iść. - Niektórzy z nas mają szkołę jutro rano - powiedziała. Wyglądało na to, że Patrick byłby szczęśliwy, gdybym stawiał mu drinki przez całą noc, ale wreszcie dał się przekonać. Zatem wszystko już się skończyło - nie trwało nawet godziny. Ujrzałem moje bezpodstawne zdenerwowanie jakby przez szkło powiększające lub

tak, jak musiał je widzieć sceptyczny barman, podając mi kolejkę za kolejką, gdy chłopcy robili się coraz bardziej hałaśliwi a zawód sercowy cierpliwie czekał - i czegoż innego mogłem się spodziewać? Zacząłem myśleć tęsknie o Cherifie.

I wtedy Luc oznajmił: - Ja zostanę jeszcze trochę.

Sybillle rozejrzała się wkoło, oceniając nieoględność tej decyzji. - W porządku - powiedziała na sekundę unosząc brwi. Kręcąc tyłkiem Patrick powoli podszedł do oświetlonej konsoli szafy grającej, a my wszyscy przyglądaliśmy się, jak wciska kciukiem monetę i deliberuje nad staromodnym zestawem tytułów. Nie przychodziło mi do głowy nic do powiedzenia, nie śmiałem nawet spojrzeć na Luca. Następnie guzik został wciśnięty i po kilku sekundach spłynęły na nas ze wszystkich stron znajome pierwsze takty. Była to jedna z tych retorycznych piosenek, które lecą w taksówkach późną nocą, „Chcę być tam, gdzie miłość jest”, a ty po pijaku wysłuchujesz różnych żądań - Daren, przestań łamać mi serce... Potrzebuję cię, ale potrzebuję też czasu - pędząc po lśniących ulicach.

Luc ucałował Sybillle w oba policzki. - Bądź grzeczny - napomniwała go - sois sage . - A Patrick podszedł z uśmiechem, pchnął go i pocałował w usta. Pomyślałem, ach, więc robicie to, tak? - czy może to tylko niemęska zażyłość młodych sportowców, ich supermęski bolesny szacunek dla samych siebie i siebie nawzajem? Mnie nie zamierzali potraktować w ten sposób - szybko rozgrzeszająco machnąłem ręką, ale Patrick uchwycił moją dłoń w powietrzu i ucisnął ją: trochę to przypominało jive'a. - Lepiej już chodźmy - zaproponowała Sybillle. Patrick odwrócił się przy drzwiach i znowu uśmiechnął; zastanawiałem się, czy padam ofiarą jakiegoś pikantnego żartu - ale jeżeli tak, to Luc również. Liczyło się jedynie to, że chciał zostać choć kwadrans dłużej, nawet jeśli tylko po to, by gderać o swoich problemach z dala od tłamszących go, krytykanckich przyjaciół.

Przeżyłem z nimi prawdziwy koszmar. Obserwowałem sam siebie, jak próbuję różnych gambitów, profesorskich na początek, kontynuuję kwestię Preludium z 1850, potem rozprawiam o Miltonie, Schubercie, F. R. Leavisie itd., itp., i bez wątpienia zachowuję się jak największy nudziarz na ziemi; następnie zapaliłem papierosa (czego nie cierpieli) i mnóstwo

przeklinałem (co również zdawało się ich nie zachwycać); potem rozwinąłem swój urok do maksimum, co odrzucili jako zbijającą z tropu formę satyry. W którejś chwili nawet zacząłem kiwać głową w rytm piosenki z szafy grającej, ale Sybille osadziła mnie jednym spojrzeniem. Jestem młody, pełen życia i inteligentny, powtarzałem sobie popełniając kolejne gafy jak jakiś Ronald Strong miotający się od odprawy słownej do odprawy milczącej. A potem Luc zechciał zostać.

Miałem cudowne uczucie, że przestrzeń została oczyszczona, że wokół rozpościera się spokój, niczym blask słońca kładący się na morzu i rozjaśniający złotą i miedzianą kajutę bani. Przysunęliśmy stołki bliżej i usadowiliśmy się kolano w kolano, a piosenkarz lamentował wzniosie, aż wreszcie zamilkł.

- Och, drogi Edwardzie, tak mi przykro z powodu tego wszystkiego. Ale bardzo się cieszę, że cię tu zastałem!

Byłem zaskoczony. Gestem jednej ręki poprosiłem o drinka, nie chcąc uronić ani chwili, ani jednego drgnięcia mięśni na jego twarzy. Gdy się uśmiechnął, spostrzegłem plamkę szpinaku nad jego zębem i zapragnąłem ją wysssać. - Dlaczego jest ci przykro i czemu się cieszysz? To ja miałem przeprosić, że wpakowałem się między was.

- Nie, nie. - Westchnął i spuścił wzrok. - Wiesz, kłóciliśmy się. Sybille i Patrick to moi starzy przyjaciele, ale po raz pierwszy spędziliśmy ze sobą cały tydzień. Wyszliśmy na kolację i było koszmarnie, a potem musieliśmy pójść się napić, żeby pokazać, że nie chcemy wracać do domów, choć myślę, że wszyscy właśnie tego chcieliśmy!

- Och. O co się kłóciliście? - Patrzyłem na jego pochyloną głowę, ale też na nabrzmiałe żyły na smukłych dłoniach luźno złożonych między udami; nie obchodziło mnie, o co się kłócili, czułem śmieszne zadowolenie, że mam go dla siebie, i zdumienie, że to się nie stało dużo wcześniej.

- Bardzo trudno to wyjaśnić, czuję się strasznie zawstydzony. - Pociągnął łyk świeżo podanego piwa. - No wiesz, chodzi oczywiście o miłość.

- Mmmm.

- A, co wszyscy wiemy, ścieżki prawdziwej miłości nigdy nie biegną zupełnie prosto.

- Dokładnie tak.

- Jesteś dużo starszy ode mnie, może mi powiesz, co mam robić - poprosił.

Przyglądałem się odpowiedzialnie swoim kciukom, zraniony, zaszczycony, a gdy uniosłem oczy, zauważyłem, że Luc się uśmiecha, lecz nie całkiem do mnie, gdzieś tuż ponad moim ramieniem. - Cześć - powiedział. Owiał mnie zapach perfumowanego balsamu do ciała, na mój kark opadła ciężka dłoń. Wrócił Matt.

Niezdecydowanie pochylił się po buziaka, a jego pokryte żelem włosy chłodno dotknęły mojego policzka. - Cześć - odrzekł cicho, figlarnie skinąwszy głową. - Nie spodziewałem się, że zobaczę was tu razem.

- No cóż, a jednak zobaczyłeś - odrzekłem z satysfakcją, która rozbawiła Matta. - Tak się składa, że odbywamy właśnie niebywale osobista rozmowę.

- Och, to nieważne - zaprotestował Luc, który przyglądał się Mattowi z takim wyrazem szczęścia na twarzy, jakby spotkał swego ulubionego bohatera. A Matt wyglądał naprawdę fascynująco w garniturze kanciarza i kaszmirowym płaszczu oraz z szafirowym kolczykiem w uchu.

- Nie ma sprawy. Zobaczymy się później - powiedział ruszając wzdłuż baru i poklepując mimochodem Luca po ramieniu, jakby chłopak był jego obiecującym uczniem, a nie moim. Śledziłem go wzrokiem, a on odwrócił się z uśmiechem i wykonał sprośny gest pięścią - lekko pokręciłem głową, dając mu do zrozumienia, że to nie takie znowu hop siup. Zaczął rozmawiać z jednym ze skórzastych. Z tego, co zauważyłem, miał w kieszeni coś dla niego.

- Myślę, że ten Matt musi być gejem - powiedział Luc.

- Masz absolutną rację - westchnąłem, jakby niechętnie wyznając długo skrywany sekret. Wyczułem, że zbiera się do następnych pytań, musiał być odrobinę pijany, ale nadal wahał się przed wkroczeniem na nowy teren. Chociaż raz rozbudziłem jego ciekawość: już prawie zainteresował się mną i moimi przyjaciółmi. Rozejrzałem się wokół, po niskich

stolikach przy których plotkowali mężczyźni, niektórzy obejmowali się lub całowali w cieniu.

I co Luc na to wszystko? Poczucie przyzwoitości targnęło moim sumieniem, po czym zniknęło bez śladu. Musi być im mdło z zazdrości, gdy widzą mnie z nim, moją twarz opromienioną jego aureolą z młodego żaru. - Wróćmy do rozwiązywania twoich problemów - zasugerowałem tak wniebowzięty, że mi to zaproponował, że zlekceważyłem fakt, jak te problemy mogą przepleść się z moimi własnymi.

Ból zmienił rysy jego twarzy; Luc porównywał trudność wywnętrzania się z niesioną przez zwierzenia ulgą. Spojrzał na mnie w roztargnieniu. Czy byłem jego kumplem, czy nauczycielem moralności? - Pewnie w ogóle nie będziesz wiedział, o czym mówię - zaczął. - Jesteś bardzo rozsądny i taki przyzwoity. Chyba zawsze panujesz nad swoimi uczuciami, a może po prostu twoje uczucia do innych ludzi nie są aż tak silne.

- Zobaczymy.

- Widzisz, to bardzo kiepska sprawa, kiedy zakochasz się w kimś i myślisz o nim cały czas, ale ten ktoś jest też twoim bliskim przyjacielem i bez przerwy go widzisz, lecz on cię nie kocha. A za każdym razem, kiedy widzisz tego kogoś, zakochujesz się jeszcze bardziej.

- To rzeczywiście kiepski układ.

- Czasami chciałem opowiedzieć o tym na lekcji, ale lepiej rozmawiać o książkach i sprawach bieżących.

- Czy to dlatego miałeś taką ochotę pojechać do Los Angeles w czasie naszego ostatniego posiedzenia? Cóż, miałeś też katar.

Uderzył dłonią w kontuar. - Byłem przeziębiony, bo przez całą noc, jak skończony dureń, stałem w deszczu pod oknami pewnej osoby.

- Mama powiedziała, że zaraziłeś się od niej. - Zbyt wzruszające było myśleć o nim w ten sposób - romantyczny semafor młodzieńczej miłości, zaloty stare jak świat, oraz strach przed doprowadzeniem sprawy do decydującego momentu. Wyobraziłem sobie, że pewnej nocy cofając się, zderzamy się plecami, jak śpiewający serenady rywale w operze komicznej.

- Moja mama już taka jest, zawsze bierze na siebie winę. - Uśmiechnął się do mnie

poważnie: wyglądało na to, że znajduje we mnie pocieszenie. Delikatnie delektowałem się jego widokiem. - Rzecz w tym, Edwardzie, że obawiam się, iż bez wątpienia muszę zająć do panów.

W pierwszej chwili nie miałem pojęcia, o czym on mówi - to musi być coś jak zejść na psy lub na manowce. Dopiero gdy wstał i rozejrzał się wokół, zrozumiałem i pokazałem mu drogę. Patrzyłem, jak wędruje w drugi koniec sali, odgarniając włosy do tyłu, słodko skrępowany pod spojrzeniem dwudziestu par oczu. Rozpierało mnie pożądanie. Pomyślałem, dlaczego po prostu nie przytulisz się do mnie, nie zmoczysz mnie, nie rozepniesz mojego rozporoka, nie wsuniesz do niego kutasa i nie nalejesz mi w majtki... dlaczego nie? Spostrzegłem, że nienasycony ciemny dzieciak, na którego natknąłem się wcześniej, wstaje i idzie za nim. Ciekaw byłem, co Luc sobie pomyśli, gdy usłyszy brzęk kolczyków w napletku objijających się o pisuar.

Pochwyliłem spojrzenie barmana i zamówiłem następnego drinka. Wydawało się, iż jestem kompletnie trzeźwy, przynajmniej piłem nawet nie zauważając, że to robię, jakbym używał tych kawalerskich szklanek, które przechyla się do ust, a płyn znika. Barman zapytał, czy chłopiec też chce, może w końcu zaimponowało mu, że odparłem goryli i uratowałem gwiazdę. Przytaknąłem, przecież to tylko lekkie jasne piwka, zatrzymają go kilka chwil dłużej, zanim uściśnie mi dłoń i ruszy do domu.

Matt podszedł i powiedział szybko: - Nie wiem, co zrobisz Cherifowi. Jest u mnie. Znalazłem go na przystanku autobusowym płaczącego jak dziecko.

- O kurwa, dziękuję ci, to tylko... jak widzisz...
- Podziękowania niepotrzebne. Jak może pamiętasz, uważam, że to gorący towar.
- Nie jest taki rozkoszny, gdy ma zasmarkany nos. Ale weź go, rób z nim, co chcesz!
- On się w tobie durzy na poważnie, wiesz chyba. - Wykrzywiłem się ze zniecierpliwieniem. - Jak bądź, porównamy notatki jutro wieczorem - I posłał mi swoje obojętne spojrzenie, jak zwykle wyrażające pewność że świat fantazji nie musi pozostawać fantazją zbyt długo.

Obserwowałem, jak Luc wraca, był skończenie piękny, lecz nie czułem się unicestwiony przez jego piękno: szedł przecież do mnie, uśmiechając się z daleka, jak przyjaciel, który szuka cię tam, gdzie zbierają się przekupnie na kaspijskim wybrzeżu - wspomniałem zapomniany wers Violet Riviere z Poetów naszych czasów. Wskoczył na stołek z oczywistym poczuciem, że dotarł do mety po ryzykownej grze w berka. W tej samej chwili wstrząsający czarny stwór natrętnie wcisnął się między nas i wsparł się o bar.

- Czołem, kotku - powiedział Gerard swoim znużonym tonem sugerującym „ach, jakież fascynujące życie ja wiodę”. - Nie widziałem cię wieki całe.

- Nie, prawdę mówiąc właśnie...

- Masz ochotę na drinka? - Rzadko zdarzało mu się to proponować, zapewne zauważył, że mam pełną szklankę. Tam, gdzie przed chwilą majaczyła niepokojąca woń Matta, teraz pojawił się zapach kogoś ganiającego przez cały dzień w workowatych wełniakach i raczej beznadziejnej kurtce. Oszołomiła mnie myśl, że kiedyś chciałem z nim pójść do łóżka. - Zwierzątka mają się bardzo dobrze - dodał.

- Och, świetnie, słuchaj, prawdę mówiąc wciskasz się między mnie i kolana mojego przyjaciela. Właśnie odbywamy dosyć istotną rozmowę.

Gerard cofnął się i spojrzał na Luca z szybką cyniczną kalkulacją, taką samą jak wtedy, gdy pytał o życie seksualne innych ludzi. Uderzyła mnie myśl, że prawdopodobnie nie ma własnego.

- Dobra, to jest Luc, a to Gerard. - Zauważyłem, że Luc złapał wskazówkę i ledwie skinął głową. A potem ingerowała moja nieuleczalnie słaba strona, czyli uprzejmość: - Gerard gra w Ghezellen van der coştam. Wszyscy zamierzają przebrać się za zwierzęta.

- Och! - Patrzyłem, jak to rozważa, a potem wyciąga rękę i dotyka pudła z bombardonem. - A co to jest?

- To jego bombardon. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko... - Lecz Gerard już otwierał klamry, ukazując instrument, przełamany na trzy części i bezpieczny w aksamitnych wgłębieniach. - Wspaniały, dziękujemy bardzo - powiedziałem.

Luc był perwersyjnie zaintrygowany. - Czy to rodzaj oboju?

- Tak, właściwie jest to basowa szałamaja. stanowiąca wczesną wersję oboju. Została skonstruowana na wzór piętnastowiecznego instrumentu, który można obejrzeć w Muzeum Miejskim.

- Zatem został wykonany na zamówienie.

- Racja. - Luc przesunął palcami po grubym, ciemnym trzonku, wokół migoczącego dzwonka i zestawu piszczałek, które były długie, zakrzywione i poblakłe jak stare organy. - Wygląda na to, że lubisz instrumenty - rzucił Gerard głupkowato.

- Kiedyś grywałem na oboju - odparł Luc. - W szkolnej orkiestrze. Ale zrezygnowałem z tego.

- Nie znoszę, gdy ludzie rezygnują z gry na instrumentach - wymamrotałem udręczony, że nigdy mi o tym nie powiedział. - W takim razie, jaki pierdolony sens ma uczenie się tego, to takie marnotrawstwo.

Biedny Luc potwornie się spieszył i wymruczał przeprosiny: przecież skoro nie chodził już do szkoły... Gerard chyba zwęszył okazję i wcisnął się z relacją na temat szczęśliwego powrotu Filipa Dobrego w 1440. Miałem koszarne przeczucie, że zamierza wygłosić cały wykład o dworskich antyfonach. którego wysłuchałem kilka miesięcy temu. Lecz Luc przerwał mu dziecinny: - Czy to robi dużo hałasu?

- Ściśle rzecz biorąc - odrzekł Gerard - jest to najgłośniejszy instrument, jaki kiedykolwiek istniał. Używany był do ogłaszania alarmu. - Wybuchnął swoim huczącym śmiechem, wyjął dwie części bombardonu i figlarnie rozejrzał się po barze.

- Kategorycznie zabraniam ci dąć tutaj w tę rzecz - powiedziałem. I na szczęście w tym momencie uruchomiła się szafa grająca, przywirowali do nas Beach Boysi, a Gerard otrzymawszy piwo i zaprosiwszy Luca. żeby kiedyś popróbował sobie na bombardonie, oddalił się. Pomyślałem, że moja oschłość chyba go trochę ubodła.

Ciężko westchnąłem, a Luc zaczął nadrabiać zaległości w picciu.

- Zatem - odezwałem się, podejmując rozmowę, której zdaje się gotów był poniechać -

nadal chcesz wyjechać z kraju? - Szaleństwem z mojej strony było upierać się przy tym temacie, sięgałem po dowody, które mogły jedynie wytrącić mnie z równowagi, ale bycie choćby jego powiernikiem stanowiło namiastkę miłości i pragnąłem otrzymać jej jeszcze więcej.

- No oczywiście, nadal chcę jechać do Dorset. Ale może nie aż do LA! Miło by było nie żyć wiecznie w tym miasteczku, gdzie mieszkałem przez całe życie, a moja rodzina od trzynastego wieku, ale... - W jego narzekaniu zabrzmiała przechwałka i poczułem, że kryzys prawdopodobnie minął. - Wiesz, jak to jest, czasami wszystko idzie coraz gorzej i gorzej, aż dochodzisz do takiego punktu, że chcesz tylko wynieść się gdzieś i zacząć na nowo, wystartować od samego jądra życia.

Zaśmiałem się, co go na chwilę zbiło z tropu. - Naprawdę wiem, co masz na myśli. Może dlatego jestem tutaj, a nie w Anglii.

Uniósł brwi i pochylił się do przodu, jakby było to szczególnie zdumiewające, ale w rzeczywistości po prostu sygnalizował, że ktoś stoi za mną. Dłoń kolejnej groteskowej przeszkody spadła zdecydowanie na moje ramię.

- No i znów się spotykamy.

Podszyta fałszem serdeczność Ronalda Stronga Lucowi też zadziałała na nerwy, co z przyjemnością zauważyłem. Odwróciłem głowę i uśmiechałem się do niego przez pięć sekund, a potem zaproponowałem spokojnie: - Spierdalaj.

Oparł się o mnie szczerząc zęby. Można by pomyśleć, że właśnie zaproponowałem mu piwko. Kiwnął głową do Luca i kołysał się w tył i w przód na palcach nóg, jakby szykował się do jednego ze swoich słynnych ćwiczeń sprawnościowych. - Na imię mi Rodney, tak przy okazji - przedstawił się, lecz Luc, lojalny i trochę przestraszony moją reakcją, odwrócił wzrok.

- Cóż, złapię was później - dodał Rodney, znów poklepując mnie po ramieniu i z pewnością siebie ruszając naprzód. Zauważyłem, że jakiś facet uważnie mu się przygląda.

Luc wypił resztkę piwa i odstawił szklanekę z wahaniem, które ukrywało drżenie rąk. -

Nie da się rozmawiać w tym miejscu - powiedział - gdzie znasz chyba wszystkich.

- Przepraszam, kochanie, porozmawiamy innym razem. - Mój Boże, nazwałem go „kochaniem”. Dodałem szybko: - Właściwie miałem zaproponować, że moglibyśmy kiedyś wybrać się na przejażdżkę w jakieś przyjemne, stare miejsce... mógłbyś pokazać mi kawałek swojego kraju.

- Zamiast lekcji?

- Jeśli chcesz. - Dołożyłem garść szczegółów. - Matt ma jeepa, moglibyśmy nim pojechać.

- Czy Matt wybierze się z nami?

- Och nie, nie sądzę.

- Och. - Potem: - Tak, myślę, że byłoby cudownie. - I posłał mi uśmiech, po którym dostałem zadyszki i musiałem chwycić się baru.

Kawałek podszewki utkwiał w zamku błyskawicznym kurtki Luca.

Szarpał zamek w górę i w dół, ale zaciął się na dobre. - Co za cholerstwo! - zrzędził.

Chciałem pomóc, ale powstrzymałem się. Bałem się znaleźć zbyt blisko niego teraz, na ulicy; gotowałem się, żeby powiedzieć mu dobranoc, zdenerwowany jak diabli, zastanawiając się, czy mógłbym go pocałować, zanim ruszę w pochmurną noc. Z chłodnej wysokości Dzwonnicy rozległ się kwadrans na którąś. Kiedy odejdzie, będzie tak, jakbym znalazł się tam na górze z galopującym sercem w wirującej ciemności.

- Mógłbyś mi pomóc, Edwardzie?

- To powinno być całkiem proste - odrzekłem energicznie, może nawet pomyślał, że gniewnie. Uniósł ramiona w geście rezygnacji, a ja chwyciłem uszko zamka i szarpnąłem. Przesunęło się o jeden ząb i utknęło jeszcze mocniej niż przedtem. - Nie widzę dokładnie - powiedziałem - stańmy tutaj pod latarnią. Dobrze... - Pochylaliśmy się razem rozwiązując problem, jego włosy opadały na moją twarz. - Zastaniasz mi światło głową. - Spojrzał w bok, jak ktoś komu robi się niedobrze w czasie zastrzyku. Chwyciłem kurtkę u dołu, gdzie była

zapięta prawidłowo, i naciągnąłem w dół, ruszając języczkiem zamka w górę: dłonią dotykałem jego paska, nawet musnąłem migoczący języczek drugiego zamka. - W takim razie musi pójść w dół - powiedziałem zaglądając w mroczny zapach chłopca i skóry, delikatny świat podszewek ocieplanych kurtek i serc bijących pod wełną i jedwabiem. Kłytke mojej drugiej dłoni otarły się o jego brzuch, wyczułem przez koszulę małe zagłębienie pępka. Przeprosił z chichotem, który wskazywał, że dla niego nie było to piekło i niebo miłości i pożądania, a potem znów popatrzył w dół owiewając piwnym oddechem moje usta, gdy koncentrowałem się wysunąwszy język. Wreszcie wyłudziłem na zamku, by zszedł niżej, jeden ząbek, dwa, trzy, a potem poszło już jak z płatka.

- W którą stronę idziesz? - spytałem.

Zaciągnął zamek pod samą szyję z drzeniem i uśmiechem nowo nabytej ufności.

- Och, nie wiem - spojrzał w lewo i w prawo. - Nie bardzo chce mi się wracać do domu.

- Jest dosyć późno, a rano masz lekcję.

Przekrzywił głowę na bok, co jak sobie uświadomiłem, było po prostu pijackim wyglupem. - Ale tylko z tobą - zagruchał. Nie wiedziałem, czy mam się czuć zlekceważony, czy wyróżniony.

- Twoja mama będzie chciała, żebyśmy obaj pojawili się o dziesiątej. - Odkryłem, że czuję się dziwnie pokrzepiony jej obecnością i wymaganiami. Czułem, jak sekundy opadają z łoskotem. Słychać było przytłumiony hałas z baru po drugiej stronie ulicy i sporadycznie taksówkę pędzącą z miejsca na miejsce z absolutnie obcymi ludźmi.

- Od dłuższego już czasu pragnąłem obejrzyć twoje miejsce zamieszkania.

Nie wiedział, co mi robi. Odpowiedziałem: - Mój drogi Lucu, naprawdę nie powinienes wzorować się na angielszczyźnie naszego nowego premiera. - A on robiąc dzikie miny zaczął przedrzeźniać polityków, aktorzy i buców z telewizji.

Dotarliśmy do szerokiego mostu, a Luc wskoczył na murek i szybko ruszył po jego

zwieńczeniu, rozkładając ramiona, by zachować równowagę. Widziałem wcześniej, jak robili to młodsze dzieciaki w paru miejscach i zastanawiałem się, czy wskoczyłbym do lodowatej wody. Żeby je ratować, gdyby się poślizgnęły. Murek był dosyć szeroki, lecz słyszałem, jak nogawki jego dżinsów ocierają się o siebie, gdy stawiał jedną stopę dokładnie w prostej linii przed drugą. Jakże mocno i pięknie wyglądały jego białe nogi w blasku starej, rokokowej lampy z kutymi z żelaza muszelkami i innymi elementami przypominającymi nie tak odległe morze. Nie miałem pewności, ale przypuszczałem, że prawdopodobnie nigdy nie „brał kogoś do domu”, i ten spacer dla niego nie obfitował w ciekawe precedensy, nie oznaczał dla niego parodii z podrywu, tak jak dla mnie. Na szczycie mostu oparłem się o balustradę; na nieruchomym kanale widniały ślady mgły. Wrócił truchtem do mnie i przez chwilę łapał równowagę trzymając rękę na czubku mojej głowy.

Robiłem w myślach przegląd mojego pokoju, oglądając wszystko okiem nowego przybysza. Pokój był ponury i ledwo umeblowany - poddasze, modny lokal, mógłby pomyśleć Luc i poczuć się tam swobodnie, nieświadom własnych świeżo upranych ubrań poukładanych w szafkach. O to czułem się spokojny, wszystkie Luciana sprzątnąłem przed Cherifem - w rzeczywistości minione dwa tygodnie przeobraziły mnie w ponurego sprzątacza, natychmiast porządkującego każde miejsce, w którym Chrif zbyt się zadomowił. Zastanawiałem się, czy w pokoju będzie śmierdziało.

Gdy zbliżyliśmy się do domu, Luc został z tyłu, jakby postanowił przemyśleć sprawę lub wpadł w zadumę na widok białej fasady. Otworzyłem furtkę i rozejrzałem się, a po chwili podbiegł do mnie z uśmiechem, który zdawał się przeczyć jego wahaniu. - Cóż za obskurne miejsce, Edwardzie - zakrzyknął. Było w jego głosie coś afektowanego i psotnego, czego nie słyszałem nigdy przedtem; popędziłem przez podwórko z twarzą stężałą i udręczoną. Oczywiście zachowywał się tak z powodu wypitego alkoholu. Przyszło mi na myśl, że może celowo mnie dręczyć i kusić, bym podjął próbę nieudolnej napaści - nie byłem pewien, czy długo jeszcze dam radę być taki koleżeński, nie buntując się w końcu przeciw otaczającym go mocom, przypominającym jakieś zaklęcie z Czarodziejskiego fletu, które zmraża moje

intencje w locie i zamyka moje usta na kłódkę. - To tam mieszkasz? - spytał spoglądając na kwadrat okna Hiszpanek. Pochwyciłem strzępek muzyki i śmiechu.

Lekkim krokiem przebył schody i stanął za mną z rękami w kieszeniach kurtki, gdy grzebałem w poszukiwaniu klucza. Wpadłem w wyraźnie paranoiczny nastrój, uznałem, że ma w sobie coś z agenta w cywilnych ciuchach, prawie opierał się na mnie, sceptyczny i czujny. Potem przypomniałem sobie, że jest ledwie nastolatkiem i nie zauważa tych samych rzeczy, co ja, z pewnością nigdy nie zauważa mnie. Błyskawicznie zapaliłem światło i zastaniając ciałem różne miejsca przeleciałem się po pokoju - tylko sprawdzając.

Luc spokojnie podszedł do okna i wyrztał w ciemność; na sam pokój zdawał się nie zwracać uwagi. Nie wiedziałem, co powiedzieć, usta miałem wyschnięte, w głowie młyn i łomot, jakbym musiał wygłosić ważną mowę bez przygotowania. Obserwowałem go ukradkiem, sądząc, że może widzieć moje odbicie w szybie. Lecz on osłonił twarz dłońmi: jego oczy wypatrywały czegoś położonego znacznie dalej. - To moja stara szkoła - odkrył ze zdumieniem. - Wiedziałaś, że widać stąd Świętego Narcyza, Edwardzie?

- Naturalnie. Ciągłe mi przeszkadzają dzwonki i chłopcy sikający z okna.

- Och, trzeba to robić - odrzekł z roztargnieniem, wysilając się, by dojrzeć ciemne szczyty budynku na tle nieba. - Tam była moja klasa. To duże okno na drugim piętrze.

Lecz ja nie ruszyłem się z miejsca i stałem na środku pokoju, ręką w kieszeni przytrzymując kutasa, patrząc na jego tyłek i szerokie pochylone ramiona. Prześladowały mnie dziś wieczór możliwe gesty - jak w czasie tych niepewnych, uwalonych nocy w Cambridge, kiedy nie wiedziałem, czy już coś powiedziałem, czy dopiero zamierzam to powiedzieć. Ujrzałem, jak mój fantom urywanymi, lecz płynnymi ruchami, jak na starym filmie, podchodzi do Luca, wsuwa mu rękę pod ramię, przytula go i całuje. Ujrzałem, jak Luc odwraca się z uniesioną dłonią, może po to, by zadać cios lub by... pieścić.

- Próbuję to sobie poukładać, wiesz. Spoglądałem na ten dom, cóż, całkiem często. Nigdy nic nie zauważyłem i zastanawiałem się, co tu jest. Możesz sobie wyobrazić, na bardzo nudnych lekcjach. Oczywiście, nie tak jak teraz! - Odwrócił się z uśmiechem. - To było

bardzo dawno temu.

- Masz ochotę na kawę? - spytałem. Na uczelni zawsze w ten sposób odwdzięczaliśmy się sobie, jeśli nie fajkami. Spędziłem setkę długich nocy na skraju snu, niespokojny i wyczerpany przez kawę. - Albo na drinka? - Pomyślałem, że prawdopodobnie nie powinien już pić.

- Och, drinka, drinka, drinka - wyskandował idąc w moją stronę, świadomie brawurowy. Podniósł czapkę Cherifa ze stołu i umieścił ją na swojej jasnej czuprynie, trochę zagubiony bez lustra. - Niekoniecznie jednego - zabuczał.

- I nie dla jednego. - Poszedłem po brandy na czarną godzinę i z ulgą stwierdziłem, że większość zniknęła. Zaczęły mnie dręczyć konwenanse, pomyślałem, że mogę zostać zaskarżony za rozpijanie ucznia. Przypomniało mi się, dlaczego Luc znajduje się tutaj, a nie w ciemnej szkole po drugiej stronie kanału: noc na statku, whisky, karty i kto wie, co jeszcze - nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Powracało to w moich snach: wulgarna scena oświetlona jak u Caravaggia pojedynczym błyskiem światła odmieniającego życie. I czy cię wydupczyli? Potrzebowałem brandy. Mdliło mnie od potężnych fal pożądania.

Z zakłopotania zająłem się kubkami i włączyłem dmuchawę - nie dlatego, by było mi zimno. Luc opadł na wielki fotel i wyciągnął się, zrzucając drukowaną bawełnę z porozrywanego pluszu oparcia i naciągając czapkę Cherifa na oczy. Po raz pierwszy od wyprawy do St Ernest widziałem kształt jego jaj, więzionych i rozsuniętych na boki szwem dżinsów. Ujrzałem, jak mój fantom kłęka i liże napięty materiał, aż staje się on kompletnie mokry.

- Kto to był ten bardzo nudny i ohydny stary koleś w barze? - spytał biorąc łapczywego łyka. Oczy zrobiły mu się okrągłe, gdy zaczęło go palić w gardle.

- Którego konkretnie nudnego i koszmarnego... ach, tego tuż przed wyjściem, tak? - Chodziło o Harolda, który wciskał się między nas krytycznie w chmurach dymu fajkowego, widząc, jak porywam tego przepysznego dzieciaka, gdy nie tak dawno temu zazdrościł mi Cherifa. Usadowiłem się na krześle biurowym naprzeciwko i zacząłem opowiadać jego

historię; miała zwarty wątek niczym akcja noweli. Harold mieszkał z Andym, filipińskim chłopcem, to znaczy chłopcem tuż po czterdziestce, którego prawie nigdy nikt nie widywał. Był to smutny romans - Harold uratował Andy'ego ze służby w Brukseli, gdzie ten pracował bez wizy dla sadystycznego biznesmena. Całymi dniami siedział uwięziony w dużym wieżowcu z alarmami. Wychodził jedynie po to, by gdzieś zawieźć biznesmena jego mercedesem, a czasami odebrać go późno w nocy, kiedy to biznesmen zwykł lżyć go lub wymiotować w samochodzie. Brał Andy'ego siłą, doprowadzał go do płaczu i bił godzinami, aż chłopak zaczynał krwawić.

Dlaczego opowiadam o tym Lucowi? - pomyślałem. Lecz nigdy przedtem nie widziałem, by był taki przejęty. Zapomnij o Wordsworcie i skradzionej łodzi. Upił jeszcze trochę brandy. Przeszedłem do tego, że Harold pracował jako strażnik w tym samym budynku; widywał Andy'ego na podziemnym parkingu, gdy ten taszczył wymiotującego faceta z merca. Chłopak przypadł mu do serca. Po pewnym czasie Andy zaufał mu i jakoś zaczęła się ich przygoda - spotykali się w mieszkaniu biznesmena i wszystko szło gładko. Z tego, co ludzie powiadają. Harold już wtedy był monstrualnym nudziarzem, ale jego życzliwość stanowiła rzecz zupełnie nową dla małego Andy'ego. Pewnego dnia biznesmen nakrył ich razem. Okazało się, że wiedział o wszystkim od dawna. Według Harolda nagrywał ich na video od miesięcy. Ale raptem zaczął być zazdrosny. Natychmiast załatwił, żeby Harolda przeniesiono gdzie indziej, lecz tej samej nocy kochankowie umknęli.

- Mój Boże! - zaśmiał się Luc, a jego głos był jeszcze lekko zasapany i szorstki po ostatnim przeziębieniu.

- Najpotworniejsze jest to, że cała sytuacja niejako powtórzyła się. Andy siedzi w domu, podczas gdy Harold łązi po knajpach, pali fajkę i pożera wzrokiem młodych mężczyzn. Mówi, że to dlatego, iż Andy nadal się boi wpadki, bo biznesmen wciąż go szuka. Ale tamto zdarzyło się wieki temu. Prawda chyba wygląda tak, że Andy jest trzymany w domu siłą, musi wykonywać obowiązki domowe na golasa, a kiedy Harold się szlaja, leży nagi i związany. Mimo to nadal jest oddany Haroldowi, bo ten go uratował i dba o niego. - W

ostatniej części zmyślałem dosyć swobodnie.

- Może już czas, żeby ktoś go znowu uratował - zasugerował Luc niedbale.

- Nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. - Przypomniałem sobie ten jeden raz, gdy go widziałem: ziemisty i ciotowaty, z galaretowatym tyłkiem. - Harold wszedł w ten okres życia, kiedy człowieka ogarnia strach, że nie jest już młody: nie zauważa, iż młodzi ludzie nie noszą fularów ani nie wkładają koszul w spodnie, zawsze bardzo zabiega, aby nikt go nie wystawił do wiatru.

Rozbawiłem tym Luca, lubił pokazywać, że nic go nie szkodzi, a ten niebezpieczny wiek był od niego odległy o całe życie. Uśmiechał się śmiało i seksownie spod tweedowego daszka Cherifa. Odegrałem od siebie myśl, że go parodiuje. Postanowiłem dać mu jeszcze kilka minut i zdecydowanie wyrzucić z szybkim buziakiem w policzek u szczytu schodów. Potem pójść do sypialni i w jakiś sposób załamie się. Już czułem, jak narasta we mnie agonia żalu.

- Obawiam się, że muszę znowu do panów - powiedział, po omacku stawiając drinka na podłodze i wynurzając się z fotela. Pokazałem mu, gdzie jest kibelek, a on wszedł do środka zatraskując drzwi, jakbym mógł zaprzagnąć mu pomoc. Wróciłem do pokoju, aby nie torturować się słuchaniem.

Gdy pojawił się ponownie, miał nadąsana, kpiącą minę osoby walczącej z napięciem lub z nie wypowiedzianym. Nie patrzył mi w oczy. Pomyślałem o wcześniejszych nie dokończonych wyznaniach i o tym, że nie chcę już wiedzieć nic więcej. Z cichym śmiechem odrzucił czapkę, podszedł do miejsca, w którym stałem, i luźno otoczył mnie ramionami.

- Pa, mój drogi - powiedziałem. Uroczy gest, ale prawie żałowałem, że go wykonał. Moja głowa w zgięciu jego ramienia, jego głowa przy mojej szyi, twarz ukryta przede mną. Uniosłem dłoń i przesunąłem nią lekko, smutno po jego zamszowych plecach. Zdawało się, że chce, by to trwało dłużej, wyczuwało się ładunek emocji, na jaki nie mogłem pozwolić. Poczuję, że przyciska się do mnie, wygodniej wtula brodę w mój kołnierz w ostatnim uścisku i wydaje stłumione westchnienie. Pomyślałem, że musi wiedzieć o wszystkim, że to

taki niezdamny sposób przepraszania, sportsmeńsko-pedalskie współczujące objęcia, z których będę się musiał wyzwolić lada chwila. Poczułem, że jego usta przyciskają się, unoszą, przyciskają do mojej szyi.

Próbowałem powiedzieć „Luc”, ale tylko przełknąłem ślinę i zabalgotałem. Za ścianą rozległ się śmiech, spazmatyczne trajkotanie, stuk upuszczonego przedmiotu wstrząsającego podłogą.

- Co to było? - wyszeptał Luc, w ogóle nie zdenerwowany, zaśmiał się cicho i odsunął się, nadal mnie obejmując. Położył obie ręce wygodniej na moich ramionach, a ja stałem, ściskając go słabo i wzdychając gwałtownie z przerażenia. Oparł swoje czoło o moje, miał otwarte usta i znajdował się zbyt blisko, bym mógł go widzieć. Powoli doszedłem do siebie, wróciła mi moc w ramionach - było tak, jakby coś weszło do pokoju lub z niego wyszło. Zaczęliśmy się całować.

Luc spał. Leżałem obok opierając się na łokciu i rozmyślając o przyszłych dniach naszego romansu, o nieodgadnionych popołudniach miłości, przejażdżkach wzdłuż długich kanałów, jego napiętym kutasie wysuwającym się z rozparka w samochodzie, o chwilach ciszy w pełni lata, gdy będziemy leżeli jak żołnierze pod flandryjskimi wierzbami i topolami, bez koszul, obserwując chmury dryfujące w kanale, a on będzie mnie nękał swymi niedojrzałymi, obsesyjnymi wymaganiami.

Wyszedłem na palcach po szklankę wody i wróciłem pijąc z niej po dziecinnemu zachłannymi haustami. Pomyślałem, że może zniknąć, że to głupota spuszczać go z oczu; ale był tam nadal jak złocista plama. Potknąłem się o jego ubrania i kucnąłem, żeby je gwizdnąć - ale cóż one miały za znaczenie, gdy był tu chłopiec we własnej osobie? Ten niezmierny fakt odpowiadał na każdy lęk i uśmierzał go. Luc leżał w moim łóżku, nagi, śpiący - ot tak po prostu. To był triumf. Łzy spłynęły po mojej twarzy, nie wiedziałem naprawdę, dlaczego - czułem coś na kształt wdzięczności, ale równocześnie były to łzy wskazujące na jakieś głębokie wewnętrzne przemieszczenie, poczucie straty zalewające mnie nagłą, dławiącą falą. Dotarło do mnie, że oplakuję wszystko, co stało się przedtem - dryfowałem na samotnej fali

sukcesu.

Kiedy zaczęliśmy się całować, było dokładnie tak, jak chciałem, Luc był ciepły i silny, nasze kutasy, leżące naprzeciw siebie w dżinsach, ocierały się i pobudzały nawzajem, mieliśmy się pieprzyć, ale przez długą chwilę po prostu trzymałem go w mocnym, zaszokowanym uścisku. Wepchnął mi język do ust, ale powstrzymałem go swoim językiem: czułem, że jest on koniuszkiem jakiegoś namiętnego organu zakorzenionego głęboko we mnie, tak gęsto skręconego, tak niepohamowanie pogmatwanego, tak znieczulonego na własną ciemność i głód, że zareagował spazmem oszołomienia na dobrowolny dar, którego przecież łaknął. Luc uniósł moje okulary i spojrzał na mnie, jakbym wydawał mu się zabawnie piękny. Muskałem i modelowałem jego twarz i szyję nie dowierzającymi palcami, całowałem powieki, długi nos, miękki ciężar górnej wargi. Zaczął już ścisnąć mojego kutasa, a ja nadal myślałem, że będę szaleńcem, jeśli pozwolę nam to zrobić. Myślałem, że gdy już zacznę, zaduszę go, przerażę potwornymi, bezwarunkowymi potrzebami. Ucieknie ode mnie śmiejąc się z odrazą.

Nie brałem pod uwagę jego szaleństwa. Oczywiście to nie był tylko figiel, nie próbował mnie złapać w pułapkę: miał ochotę na zabawę, na nowe doświadczenia, cokolwiek podniecającego - albo zrobisz to z nim, albo nie. Gdzieś tam na zewnątrz znajdował się człowiek, którego kocha, chłopak lub dziewczyna, ale w tej chwili zadowalał się namiastką; czułem, że korzystam z nadmiaru namiętności przeznaczonej dla kogoś innego, lecz już przelewającej się i rozpryskującej; a może podobała mu się zmiana układu sił w uwodzeniu starszego mężczyzny. Uderzyła mnie myśl, że to może być nawet taka jego odchyłka, że robił to przedtem - miałem ten sen o nim i o Matcie... Zacząłem zdzierać z niego ubrania kipiąc zazdrością i dumą.

Luc nagi - jedynie w białych slipach. Wzdłuż jego sztywnego kutasa biegła żyła tak gruba, że jej kontur widać było przez napiętą bawełnę. Odwróciłem go plecami do siebie, pocałowałem w kark, a potem rozpinając mankiety odsunąłem się na chwilę i patrzyłem na jego nogi, na których nadal odznaczały się linie letniej opalenizny. Pomyślałem, że nie wolno

mi wyznać mu miłości, choć były to jedyne słowa, jakie rozbrzmiewały w mojej głowie. Zerknął przez ramię i okręcił się powoli, przełykając, dziwiąc się - na jego twarzy widniała powściągnięta nieśmiałość, a jego ruchy nabrały uwodzicielskiej zamaszystości po alkoholu, zdecydowania wzmożonego przez odwiekanie. Wziął mojego kutasa w dłoń i pogładził go kilka razy, a potem znów mnie przytulił - całowałem go z uwielbieniem, posapując odrobinę szaleńczo nie odrywałem się od jego ust i zaskakiwałem go; również uspokajałem głaszcząc po plecach, moje ręce w ekstazie delikatnie opadły łukiem na gumkę jego majtek, po czym zdecydowanym ruchem wsunęły się do środka, a jemu zaparło dech, gdy myszkowałem dalej. Skulił się oparty o mnie, po czym zaczął gwałtownie ściągać majtki.

Kutas Luca - z tym tłustym sznureczkiem szarobłękitnej żyły biegnącej wzdłuż szerokiego grzbietu i kapryśnie zekręcającej pod spód, z ciasnym napletkiem nadal leciutko wilgotnym od środka - całowałem go i lizałem porośnięte rzadkimi jasnymi włoskami jaja, szybko, z uznaniem, podczas gdy jego ręce delikatnie przeczesywały moje włosy. Popchnąłem go w tył kilka razy, aż wpadł na fotel, niezupełnie wiedząc, co się dzieje - postawił stopę na poręczu, a ja wsunąłem się mu pod nogi i okręciłem z twarzą w jego tyłku. Był jeszcze bardziej wyrazisty i piękniejszy niż się spodziewałem, tak cudownie się zaokrąglił, gdy Luc pochylił się do przodu, by niezręcznie zabawić się moim fiutem. Pogłaskałem jego odbył kłykiem, pragnąc go polizać - obwąchałem go, jakbym lekko pogwizdywał dmuchając na coś, by ostygło. Miał śliczny, zepsuty wyraz jak zdumiony dąs. Całowałem wszystko naokoło niego, powędrowałem językiem w dół uniesionego uda, wróciłem i spróbowałem w niego wejść polizanym kciukiem. Była w Lucu pewna duma, podobnie jak we mnie; przyjąłby wszystko, co bym mu zaproponował. Przez kilka sekund czułem surowe obowiązki narzucone przez rolę nauczyciela, lecz potem, gdy mój kciuk wsunął się do pierwszego stawu, następnie do drugiego, a on tymczasem jęczał i zawzięcie się samozadowalał, zwątpiłem, czy powinien się jeszcze czegoś uczyć.

Rznąłem go w poprzek fotela: stopy miał uniesione nad ramiona, musiałem widzieć jego twarz i odczytywać jego reakcje, w mrużeniu oczu i jękach, w nagłym rumieńcu, gdy

wbiłem w niego kutasa, raptownym pomieszaniu chęci i odrazy. Zużyłem całą wazelinę, jaką Cherif pozostawił w stoiku, ale zauważyłem, że z kącików oczu spłynęły mu łzy, a górna warga odwinęła się w grymasie bólu lub mimowolnej agresji. Jego ręka zatrzepotała o moją pierś, by mnie powstrzymać lub spowolnić moje ruchy. Oszalałem z miłości; i tylko na poły świadom byłem, gdy owładnął nami rytm pieprzenia, tego głuchego pragnienia, by zadawać mu ból, by obserwować, jak wymierzam mu karę i odpłacam za to, co mi zrobił, za mękę i upokorzenia tyłu tygodni. Dostrzegłem, że zaczyna odczuwać przyjemność, jakby nie spodziewał się tego, kutas znowu mu stanął w dwie sekundy, mięśnie twarzy rozluźniły się, ale przeszkodziłem mu ostrymi, krótkimi dźgnięciami.

Unosiłem się na krześle, dupcząc go jak rekrut robiący pompki na mustrze, dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt... Miałem niejasne wrażenie, że chce zaprotestować, lecz zwleka z tym, jakby nie był całkiem pewien, złożony na pół, bezsilny; wycisnąłem z niego oddech, słychać było tylko mlaskające pompowanie mojego ogumionego kutasa w jego dupie i ciche przerywane popierdywanie. Piersi i twarz Luca ociekały potem, ale był to mój pot: woda lała się ze mnie jak z boksera, przesiąknięte włosy opadły mi na czoło i kłuły w oczy.

I oto już zbliżał się koniec. Stanąłem na ziemi, wyszedłem z niego na chwilę i przyciągnąłem do siebie za biodra. Wbiłem się prosto w jego połyskujący i pulsujący odbył, potem przytrzymałem łagodnie, ledwo się poruszając w dławiącym rozedrganym limbusie tuż przed spełnieniem. Miałem wyraźne, gwiazdziste wrażenie, że jest to najlepszy moment mojego życia. Pogładziłem go po wewnętrznej stronie ud i odchyliłem się, by polizać i wciągnąć w nozdrza słaby gumowy zapach jego stóp; wyjąłem mu kutasa z dłoni i nieustępliwie go obciągnąłem. Jądra mu się skurczyły, jęknął „Nie, nie” i rytmicznie się poruszył, gdy struga spermy wystrzeliła w moją twarz i włosy, a potem znowu i znowu. Zatem sam również przekroczyłem granicę - wydałem jęk pełen żalu nad goryczą tej chwili, łaknąc błogosławieństwa jego spojrzenia, lecz oczy Luca były dziwnie zamglone, niepokojące i bezbarwne jak u jakiejś orstowskiej kusicielki.

Luc był niezwykle przyjacielski w łóżku, mimo że uśmiechał się raczej po to, by uspokoić siebie, niż zauroczyć mnie. Dawał mi odczuć, że posunąłem się odrobinę za daleko. Byłem dla niego bardzo czuły, nasze głowy spoczywały razem na poduszce, lecz próbowałem nie pchać się na niego i nie naprzykrzać. Niedbale położyłem rękę na jego ciepłym brzuchu. Chciałem go przytulać, był dla mnie wszystkim. Oczy miał zamknięte, ale nie mógłby spać z tak szybko bijącym sercem.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Mmm. - Kolejny leniwy uśmiech, klepięcie w moje opiekuńcze ramię.

- To naprawdę świetnie, że przyszedłeś do baru dziś wieczór. - Chwila ciszy, w której westchnął i przełknął ślinę. - To znaczy, chyba nie robisz tego często.

- Nie. - Poraziła mnie myśl, że gdyby dziś mnie tam nie było, wylądowałby u kogoś innego; może działo się tak w inne wieczory. Poczułem, że jest mi niedobrze.

- Byłeś już wcześniej w „Kasacie”?

- Założyliśmy się - powiedział z wymuszonym uśmiechem. Zatem to po prostu była prowokacja, pomyślałem, że rzeczywiście zachowywał się trochę zuchowato... - O to, czy tam będziesz.

- Och... - Nie potrafiłem określić, czy to czyniło ze mnie głupka, czy niebezpiecznego czarnego konia. - A kto uważał, że tam będę?

- Oni. Ja myślałem, że możesz, ale nie byłem pewien. Powiedziałem, że nie. Już sądziłem, że wygram, bo nigdzie cię nie widziałem, ale wtedy podszedłeś, żeby porozmawiać z nami. - Czy to pasowało? Pochwyliłem znowu ich tajemnicze spojrzenia, dostrzegłem migoczącą nić kpiny w historii tego wieczoru. A jednak został dla mnie i zatriumfowałem. Zakasowałem Patricka i Sybille. - Oni myślą, że masz na mnie chrapkę - dodał.

- A dlaczego mieliby tak myśleć? - spytałem lekko i zaraz tego pożałowałem.

Ale był zbyt bystry, aby odpowiedzieć, albo może zbyt uprzejmy. Odwrócił się, spostrzegł moje zmieszanie i pocałował mnie w policzek. Cóż, nawet jeśli podzielał ich zdanie, niewątpliwie mu to nie przeszkadzało. Nawet, pomyślałem, jeśli mnie jedynie

wykorzystuje, uprawia tu ze mną dobroczynność, to jest to szczęście, jest to pierdolony cud. Przesunąłem dłonią po jego brzuchu i między nogami. Znowu był twardy, ja również. Na wpół wtoczyłem się na niego, a on nonszalancko owinął się wokół mnie jak kot, podciągając nogę piętą potarł mnie po udzie i zostawił ją niewyszukanie i elektryzująco w szparze mojego tyłka. Pomyślałem „samo jądro życia”, uśmiechnąłem się do niego i do siebie, ale nie tłumaczyłem; czułem zarazem ulgę i smutek, że o tyle bardziej niż on żyję w świecie metafor i kalamburów. Odepchnął mnie łagodnie mówiąc: „Nie teraz”, choć pozostawił na mnie bezwładnie ramię, a nasze łydki były skrzyżowane. Zastanawiałem się, czy przebiega go grzeszny dreszcz, gdy czuje męskie owłosione nogi przytulone do jego własnych.

Czuwałem nad nim, gdy spał - patrzyłem na gładkie ramię, łagodne wgłębienie pod obojczykiem, szyję, niezwykłą twarz, włosy potargane i odgarnięte do tyłu. Usta miał rozchylone i suche, i stwierdziłem z troską, że powinienem je zwilżyć wodą z piersiówki lub mokrą szmatką. Zdawało mi się szaleństwem mieć go tu i nie kochać się z nim raz po raz, ale poświęcałem się dla jego odpoczynku: popadłem w dziwnie rycerski nastrój. Przypomniała mi się stara legenda Altidore'ów - z tego co wiedziałem, Luc nie był jej zwolennikiem - która czyniła z niego bezpośredniego potomka Maryi Dziewicy, dzięki, jak powszechnie uważano, jej późniejszej, post-dziewiczej fazie. Niemalże od samego początku wiedziałem, że Luc ma w sobie coś niezemskiego - w moim mniemaniu cała ta opowieść była bardziej niż prawdopodobna. Położyłem się olśniony samą jego obecnością i zaufaniem, jakie pokłada we mnie, pozwalając oglądać się przez całą noc. Pomyślałem o radach Ty'a: pozbyć się Cherifa - póki co wydawało się, że to osiągnąłem, moje myśli nie biegły za nim nawet do Matta i tego, co tam wyprawiali; znaleźć to, co najlepsze w Rexie Stoucie - może nie postąpiłem zgodnie z tym co do joty, niestety zachowałem się jak gbur; powiedzieć Lucowi, że go kocham, albo nigdy nie zaznam spokoju. Zatem uczyniłem wyznanie w przestrzeń, niewystarczająco głośno, by go zbudzić - sam ledwo się usłyszałem przez klekot piecyka i łoskot za drzwiami, który mogły wydawać roztrzęsione silniki promu słyszane z kabiny podczas nocnej przeprawy.

Śniło mi się, że spotkałem nad morzem młodego człowieka. Zostawiliśmy za sobą plażę i poszliśmy na długi, energiczny, dosyć emocjonujący spacer przez opuszczoną przemysłową dzielnicę miasta. Czułem do niego ogromną sympatię; miał ciemne kręcone włosy, niebieskie oczy i był zdumiewająco silny. Wyrwał stalowe drzwi z pozbawionego okien podobnego do bunkra budynku tylko po to, by mi pokazać, co potrafi. Ucieszyło mnie to. Byłem zbyt nieśmiały, by go prosić, ale miałem nadzieję, że pokaże mi więcej takich sztuczek. Okolica ziała pustką, usiedliśmy na zakurzonym progu i chłopak zdart z siebie koszulę, żeby mi pokazać mięśnie klatki piersiowej i bicepsy. Nazywałem go Lukiem, chociaż byłem prawie pewien, że ma na imię zupełnie inaczej. Rozważał to przez dłuższą chwilę, zanim zareagował.

- Tak, jestem Luc - powiedział - Oczywiście, że tak. - I wysokim łukiem rzucił bryłę koksu w okno po drugiej stronie ulicy, aby tego dowieść.

Luc poruszył się obok mnie - rytmiczne pobrzękiwanie szyb oznajmiło, że św. Narcyz wybija trzecią. Westchnął i wymamrotał coś, ale chyba się nie obudził, a jeśli tak, to udawał, że śpi dalej. Uniosłem się na łokciu i przyjrzałem jego twarzy. Pod pożyłkowanymi, srebrzystymi powiekami widziałem gwałtowne drgania oczu, które oznaczały sny lub u budzącej się osoby odruch niechęci na myśl o wstaniu. Zastanawiałem się, po jakim wędruje mieście i w kim się zakochał w tym jasnym świecie własnej inwencji, którego nigdy nie ujrzy nikt prócz niego i o którym on sam marnotrawnie zapomni.

18

- Obawiam się, że jeszcze nie wrócił. Ale proszę wejść.

- Och. - Sam spóźniłem się kilka minut, zwlekając prawdopodobnie z powodu niepokoju przed tym spotkaniem, jak również za sprawą zmęczenia, lekkiego kaca i wspaniałego wstrząsu ostatniej nocy. Sprawiał, że znowu czułem się jak dzieciak idący do domu rodziców Ranka, gdy świadomość skandalicznych rzeczy, które robiliśmy razem, zdawała się wyrzyszczać w górę niczym jakaś monstrualna erekcja pod stolikiem do herbaty -

widać już, jak drżą filiżanki... Wyobrażałem sobie nadchodzące tygodnie, wyświechtane drobne fortele, którymi będziemy musieli się posługiwać. Pomyślałem, że zapewne będzie w tym lepszy ode mnie: należało to do jego codziennych rozrachunków z matką, gdy ja tymczasem w poczuciu winy wzdragałem się przed oszukiwaniem jej.

Ruszyłem za nią do kuchni. - Dokąd on poszedł? - zapytałem. Chciałem, żeby tu był, gdy przyjdę. Bardzo.

- Został na noc u Dhondtów, ich syn Patrick jest najlepszym przyjacielem Luca ze szkoły. - Proszę, oto pierwszy zręczny fortelik.

- Och tak, poznałem go. Natknąłem się na nich pewnego ranka w łaźni miejskiej.

- To rzadki przypadek. Luc normalnie nienawidzi pływania. Nie lubi żadnego miejsca, w którym trzeba się rozbierać. Był taki wysoki jako dziecko i wstydził się, że jest chudy.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, by nazwać go chudym - wyznałem, jakbym zamierzał głębiej się nad tym zastanowić. Nadal czułem ciepłe wgłębienia i krzywizny jego ciała na swoich dłoniach. Było dla mnie oczywiste, że całe to przejmowanie się tuszą i wagą było domeną matki, nie syna.

- Robię kawę. tak jak zwykle - powiedziała. A potem: - Zatem jest pan zadowolony z jego postępów?

- Och, jest wyjątkowo dobry - odrzekłem. - Bez wątpienia może już się koncentrować na egzaminie z angielskiego do Dorset. Wiem, że martwiła się pani o to, ale mogę obiecać, że sobie poradzi. W tym tygodniu ma napisać swój pierwszy duży esej dla mnie, na temat Wordswortha i dzieciństwa. - Widziałem już te staranne stronice i siebie poprawiającego je zdecydowanie, lecz niechętnie.

- On jest czasami taki dziki. - Przybrała swoją zagubioną minę. - Ma zupełnego bzika na punkcie wydostania się z tego miejsca. Przypuszczam, że będę musiała... pomóc mu uciec! Oczywiście kocham to stare miasto. Wie pan, że jego rodzina mieszka tu od dwunastego wieku?

- Słyszałem, że ich korzenie sięgają dość głęboko.

- Chciałabym, żeby bardziej interesował się Kościołem. Nie sądzę, aby młody Patrick Dhondt miał na niego dobry wpływ, to nieokrzesany, hałaśliwy chłopak i ma przerażające auto. Zawsze boję się, że w coś nim wjedzie i zabije ich obu. Luc wydaje się bardzo do niego przywiązany. To chyba coś w rodzaju kultu bohaterstwa, pewnie się pan z tym spotkał. Spędza z Patrickiem Dhondtem tyle czasu, ile tylko się da.

- Rozumiem.

- Oczywiście ojciec, Roger Dhondt, jest słynnym ornitologiem. Ale ciągle się gdzieś podkrada ze swoją lornetką. Chyba nie ma zbyt wiele czasu na nic, co widać gołym okiem.

Zaśmiałem się i zauważyłem, że biadolenie dodaje jej otuchy w ten ciemny listopadowy poranek. Wyglądało na to, że może będę w stanie pomóc trzymać Luca z dala od pazurów Patricka. - Zrobię, co będę mógł - obiecałem.

Wprowadziła mnie do jadalni, jak zwykle, siadłem i wbiłem wzrok w „Opactwo Tintem”. Luc zawsze był punktualny, więc wyglądało to na jakiś sprawdzian. Zostawił mnie w chłodzie ranka, nerwowo i pośpiesznie, trochę zażenowany, z napiętym uśmiechem wysunął się z moich ramion i wspomniął coś o powrocie do domu, gdy mama jest na porannej mszy. Ale może w ogóle nie wrócił na ulicę Długą. Robił właśnie coś boleśnie skrywanego przede mną. I musiał stracić poczucie czasu, bo nie wiedział, ile mu to zajmie. Przyjdzie zasapany z lekką, niewyszukaną wymówką, uśmiechnie się do mnie wchodząc do pokoju, krzyknie coś uspokajającego do matki. Sącyłem kawę, a ręka mi drżała. Wpadło mi do głowy, że mnie unika.

- To bardzo dziwne - powiedziała pani Altidore zaglądając do mnie pięć minut później. - Dzwoniłam właśnie do Celeste Dhondt, to Francuzka i zawsze bardzo nieuprzejma. Mówi, że Luc u nich nie spał ostatniej nocy. Mówi, że Patrick wrócił do domu bardzo późno, chyba około pierwszej. Rano powiedział, że Luc zmienił plany.

- Ciekawe... - Moje serce galopowało szaleńczo.

- Widzi pan, co mam na myśli, on jest taki dziki. To naprawdę mnie czasami przeraża, panie Manners. Nie chcę wyciągać przed panem całej jego historii, zawsze pragnęłam, by

widział pan w nim przede wszystkim człowieka inteligentnego i utalentowanego, ale przypuszczam, że i tak dowiedziałby się pan, iż już wcześniej miały miejsce pewne katastrofy.

- Jestem pewien, że nic mu nie jest. Nie ma powodu, by myśleć, że przydarzyło mu się coś... niefortunnego.

Zbliżyła się do okna - po raz pierwszy dostrzegłem w jej kanciastych ruchach prześladowujące mnie echo leniwego kroku syna. Mój umysł miotał się po labiryncie alibi i wytłumaczeń. Odkryłem, iż bezsilnie koncentruję się na fakcie, że Patrick wrócił do domu dopiero o pierwszej.

- I jeszcze w zeszłym miesiącu ta potworna sprawa z chłopcem znalezionym w kanale morskim - martwiła się. Wydawało się okrucieństwem nie powiedzieć jej szczęśliwszej prawdy o synu. Dość szorstko odsunąłem od siebie jej lęki, doświadczony w oglądaniu matczynych złych przeczuć i groźnych wizji plugawego świata.

- To był narkoman i... i sutener - powiedziałem i spostrzegłem, że tylko wyczarowałem kolejne dwa niebezpieczeństwa i przyniosłem je ociekające wodą pod jej dach.

Kilka minut później postanowiłem jej poszukać. Czułem pewność, że Luc musiał pójść do mnie ten jeden raz przez jakieś proste nieporozumienie, błąd w wielojęzycznej gadce w poduszkę. Cicho ruszyłem korytarzem do kuchni i stanąłem gwałtownie, ujrawszy ją przez otwarte drzwi. Zwrócona do mnie profilem stała przy piecu z oczami utkwionymi, jak pomyślałem, w rojącej się pustce pod stołem. Za nią wisały miedziane rondle, dużo więcej niż kiedykolwiek można by użyć na raz, a przed nią rozłożone były ziemniaki, karbowana czerwona kapusta, strzępiasta francuska pietruszka, cytryna, moździerz, butelka oleju i ogromna fiołkoworóżowa, wąsiasta biesiadna ryba.

Gnałem przez miasto w mglistej mżawce, biegnąc kilka jardów, a potem znów powracając do zdyszanego kroku spacerowego; mruczałem z niepokoju: czyżby Luc skałał

ten poranek, kiedy wszystko miało przebiegać tak gładko i zwodniczo? Odebrałem to jako protest lub prowokację, która zdawała się zapisywać w moim ciele, czułem tępy ból w udach i plecach po trudach tego szczególnego ćwiczenia. Moja tęsknota za jego smukłym, sprawnym ciałem zamieniła się w odurzającą zazdrość o nie, w bezradną potrzebę, by mieć siedemnaście lat, o połowę mniej niż mam, i znajdować się na początku tej cudownej drogi...

Cherif siedział u szczytu schodów jak wyrzucony kochanek albo jakby sam przyszedł na lekcję.

- Jesteś już dla mnie gotów? - spytał.

- Kotku, czy ty nie powinieneś być przypadkiem w pracy?

Spojrzał na mnie z politowaniem.

- Muszę najpierw wziąć swoje ubrania. Nie pójdę w najlepszym płaszczu.

Otworzyłem drzwi z lękiem, że poprzednia noc była halucynacją i że oto wróciła normalność, bezszelestna i solidna. Ale potem zobaczyłem, jak przechodząc przez pokój, tylko częściowo ukrywa swoje podejrzenia; a muszę przyznać, że posprzątałem jak po zbrodni. W jego twarzy i sposobie mówienia widoczny był przeraźliwy niepokój i wyrzut, niezdarnie, dzielnie i przesadnie ukrywany. Kiedy wyjaśniłem, że Luc zniknął, rozjaśnił się i zmarszczył brwi udając, że się martwi.

Zatem ruszyliśmy polować na niego razem. Cherif miał być moim partnerem w tej wyprawie, nie chciał, by dramat między mną i Lukiem bez przeszkód niósł się po mieście; pozwoliłem mu iść, bo nie miałem pojęcia, gdzie szukać i nie oczekiwałem, że mi się powiedzie. Przypominało to misję wypełnianą we śnie: z przejściem wędrujesz po okolicy, jesteś bezcelowo systematyczny, twój wzrok przeszukuje wystawy sklepowe, krążysz wśród tłumu, aż zaczyna ci się kręcić w głowie, jakbyś próbował policzyć ludzi. Widzisz jasnowłosego chłopaka i biegniesz za róg ulicy, doganiasz go, tak jak mógłbyś chcieć to zrobić w rzeczywistości, i czujesz się uprawniony, by przyjrzeć mu się badawczo i odprawić go z kwitkiem. Cherif na nic się nie przydawał, ponieważ nigdy nie widział Luca: dla niego to była szarada, w płaszczu z wysokim kołnierzem jak szpicel ze starego filmu, bardziej uważał

na mnie niż na dzieciaka. Często go przeklinał i krytykował jako wagarowicza i intryganta.

Sprawdziliśmy kilka kawiarni i barów, choć wydawało mi się bardziej prawdopodobne, że Luc jest u przyjaciela albo po prostu spaceruje po jednej z wysadzanych drzewami ulic na obrzeżach miasta. W miarę trwania poranka cierpiał coraz dotkliwiej - obolały i zmieszany po naszej wspólnej nocy potrzebował zaufania i miłości.

Wykombinowałem sposób, by przejść koło „Kasety” i wpadłem na siku, przemykając koło opustoszałych stolików i boksów oraz nagich stołków barowych, na których siedzieliśmy.

Wydawało mi się możliwe, że przyjdzie tu i będzie czekał na mnie, jakby założył się z przyjaciółmi.

Na główne ulice handlowe wyległy znienawidzone ekipy przygotowujące miasto na Boże Narodzenie, podwieszając blaszane głoścniczki nad drzwiami wejściowymi do sklepów: z oddali słychać już było mechaniczną muzykę gorszą nawet niż carillony, bo pozbawioną ich wzniosłego rezonansu. Pomyślałem histerycznie, że pewnie będę musiał wrócić do Anglii i zostawić to wszystko za sobą, zaniechać poszukiwań, choć chłopak nadal się nie odnajdzie. I o zimie pełnej gderania i rozczarowań Cherifa. Deszcz pochlapał i zamazał mi okulary. - Lepiej wpadnę do mamy Luca, może wrócił do domu - powiedziałem.

Gdy weszliśmy na Grote Markt, niska chmura zdawała się przec w dół i zgniatać połączane szczyty kamienic, czubek dzwonnicy zniknął, panowała atmosfera krańcowej koncentracji. Deszcz nagle stał się słyszalny i w ciągu kilku sekund urósł do stałego musującego stukotu na kamieniach; atakował nas od góry i od dołu. zawzięty i obojętny naraz - podniosłem kołnierz kurtki i ruszyłem biegiem, a Cherif rozchlapał kałuże tuż obok, pokrzykując i śmiejąc się. Nie było gdzie się ukryć: tak jakby ulewa złapała nas na kamienistej plaży lub wręcz na morzu. Zdjąłem okulary i biegłem kurczowo trzymając je w kieszeni. Był to chaos podskoków, niewyraźnych kształtów i świata rozmazanego przez wodę - skierowałem się na Długą, przemoczony i zasapany, gotów się poddać: pominąwszy wszelkie niepokoje, czułem się dziwnie radosny. Wbiegłem po schodkach i uderzyłem dłonią w dzwonek, a Cherif, chroniony przez płaszcz, lecz mimo to ociekający, stał za mną i

przeklinał hałaśliwie, gdy mama Luca otworzyła drzwi.

Staliśmy zadyszani i przemoczeni w hallu, sami jak dwaj wagarowicze nie mający nic do powiedzenia. Pani Altidore była w widoczny sposób spłoszona widokiem Cherifa w brudnych buciorach szwędającego się po pokoju, gdy my tymczasem rozmawialiśmy. Cały dzień był tak przedziwny, że prawie w ogóle mnie nie zaskoczyła jego obecność w tym najmniej prawdopodobnym miejscu, z wodą nadal lśniąca w kręconych włosach przyglądającego się krytycznie makatkom.

- Wyjechał z miasta - powiedziała. - Jestem tego pewna. - Pragnęłam powiedzieć nie, on jest tutaj, był ze mną ostatniej nocy - taki już czułem się udręczony, w ubraniach mokrych, przyklejonych do ciała i zimych. choć po biegu zrobiło mi się gorąco, a w lustrze naprzeciwko widziałem swoją zaczerwienioną twarz. Pogrzebała w kieszeniach fioletowego zrobionego na drutach długiego swetra, który miała na sobie, i wyciągnęła list. - Właśnie przyszedł. To od przyjaciela Luca Arnolda, bardzo odpowiedzialnego młodego człowieka. Traktuje Luca jak starszy brat. Jest genialny. Studiuje na uniwersytecie w Leuven.

- Tak, Luc wspominał mi...

- Pisze: „Uznałem, że powinienem pani przekazać, iż otrzymałem od Luca długi list... większa część jest bardzo osobista, ale pisze, że bardzo chciałby opuścić dom... prawdopodobnie wie pani, że ostatnio był dosyć poruszony, sprawy sercowe nie układają mu się dobrze... próbowałem go uspokoić, ale pomyślałem, że powinna być pani przygotowana na to, iż zrobi coś nieoczekiwanego, jak to mu się zdarzało już przedtem.” - Wręczyła mi list ze spojrzeniem osoby żądającej pomocy. Przeczytałem go szybko i z urazą, jako dowód dawniejszej zażyłości i raczej bezinteresownej troski. Ściekająca z moich włosów woda rozpuściła atramentowe zawijasy.

- Nie wiem - powiedziałem. To było kołtuństwo, prawda, i tchórzostwo? Ale przecież Arnold nie wiedział o mnie, o nas. Nikt nie wiedział.

- Chcę, żeby pan go odnalazł - powiedziała tym swoim załamującym się, wielkopańskim tonem.

- Cóż, oczywiście, z wielką ochotą, ale właśnie przeszukiwałem...

- Sądzę, że wiem, dokąd się udał. Nie ma sensu, abym to ja za nim jechała, niestety - nic by to nie dało. Niełatwo jest matce samotnie opiekować się siedemnastoletnim synem. Brakuje mu ojca, to zupełnie naturalne.

- Myśli pani, że pojechał do ojca, do Brukseli? - Przeraziłem się, że mógłby się wygadać na temat ostatniej nocy.

Przygryzła policzek. - Umie pan prowadzić?

- Tak...

- Zatem proszę wziąć mój samochód; jestem pewna, że powinien pan pojechać prosto za nim. On panu ufa, lubi pana, a pan działa... bezinteresownie. Mógłby pan sprowadzić go z powrotem, zanim zrobi jakieś głupstwo.

Ujrzałem, jak w przebraniu zaokrętowuję się na statek i infiltruję emocjonującą grę w rozbieranego pokera głęboko pod pokładem. Będzie to sprawdzian inicjatywy, jak jeden z naszych szalonych szkolnych dni zajęć w terenie. Nadal wydawało mi się to niezbyt sensowne, ale zacząłem zarażać się podnieceniem jego matki, jej strachem nie tylko przed tym, dokąd uciekł, lecz również przed tym, że go wygnała. - Nie chcę, żeby dostał się w nieodpowiednie ręce - powiedziała przyglądając się pilnie Cherifowi, jakby on sam w sobie był dowodem, wysłannikiem podziemnego świata (długo ignorowanego, długo podejrzewanego i wzbudzającego lęk), który tylko czekał by przyjąć na swe łono jej syna.

- Zrobię, co pani sobie życzy - powiedziałem. - Lecz najpierw naprawdę muszę się przebrać, jestem przemoknięty do suchej nitki. - Oczywiście było, że zauważyła to dopiero teraz.

Powyciągała szuflady i przeglądała ubrania na wieszakach pozbijanych w kieszce na szynie w szafie. Nie byłem pewien, czy szuka starych rzeczy, które do niczego się nie nadają, czy czegoś dostatecznie porządnego i odpowiedniego. Nie widziała mnie nigdy w skórze, jedynie w sportowej marynarce i krawacie. Wyłożyła kilka koszul.

- Podkoszulek?

Kiwnąłem głową.

- Bielizna? Proszę sobie wybrać.

- Dziękuję, zrobię to.

- Ale czy pan się wbije w jego spodnie? - Odrzekłem, że przymierzę i zobaczę.

- Jesteście obaj tego samego wzrostu, lecz pan jest oczywiście dużo grubszy. - Uniósł jakieś ponure flanele, które mimo wszystko obdarzone były pewnym pięknem, gdy wyobraziłem sobie, jak prasowały je długie nogi Luca.

Nie mogłem zacząć się przebierać, dopóki nie wyszła; kucnąłem, żeby rozsznurować but. a ona przyglądała mi się z zainteresowaniem, jakby chciała powiedzieć, że lata całe już minęły, odkąd widziała rozbierającego się mężczyznę, chociażby tylko w tym stopniu. - Dam panu kluczyki do samochodu - powiedziała - i do Pavillon de l'Aurore.

- Dziękuję bardzo - odrzekłem, nadal traktując to jak zabawę, której czar mógłby prysnąć, gdybym zaprotestował lub zadał jakieś pytanie. Przez ostatnie dwanaście godzin, czy nawet więcej, życie żyło samo z własną logiką i potocznością, wszyscy inni przechodzili kryzys, lecz ja stałem się spokojny, wiedziałem bowiem, że nie można go powstrzymać.

Kiedy wyszła, delikatnie przymknąłem drzwi i ściągnąłem mokre ubrania. Nadal miałem wrażenie, że jest mi naraz chłodno i gorąco, jak w neo-klasycznym opisie namiętności. Na środku podłogi urosła sterta ciężkiej, nie zachwycającej odzieży, jakby ułożona przez pedantycznego samobójcę. Stałem w swoich wilgotnych spodenkach i powoli wycierałem się Luca ręcznikiem do twarzy; potem przeszedłem się po pokoju patrząc na jego zdjęcia i bałagan na biurku. Przeczytałem notatki w bloku: „W. urodzony w Cocker-mouth (!)\ „Podsycany zarówno przez piękno, jak i strach”, różne inne cytaty oraz „Zapytać Edwarda o”, a dalej puste miejsce. Na pewno powiedziałbym mu, gdybym mógł.

Oprawione w ramki szkolne zdjęcie pochodziło sprzed czterech lat i można by się spodziewać, że Luc będzie siedział ze skrzyżowanymi nogami z przodu trzymając puchar, ale z powodu wysokiego wzrostu ustawiono go wraz z chłopcami ewidentnie starszymi -

wyglądał między nimi bardzo krucho, uśmiech miał niespokojny i odrobinę seksowny na tle ich marnych nonkonformistycznych grymasów i szyderczych min. Było kilka piękności u Świętego Narcyza, typowych blondynów z Beneluksu - a tam, u stóp dyrektora, siedział ciemny Puk, młody Patrick o okrągłej buzi. i trzymał między kolanami wypolerowaną heraldyczną tarczę chytrze łypiąc oczyma, jakby mówił: - Gdybyście tylko mogli zobaczyć, co się za nią kryje...

Pomyślałem o dniu, gdy zastałem Patricka w tym pokoju - rozłożonego właśnie tu. ze zdartymi szkolnymi butami na bogato zdobionej kapie pani Altidore. I o mojej pierwszej wizycie tutaj - o tajonym podnieceniu, pragnieniu, które tłamsiłem pod pozorami zadzierania nosa, jak teraz mi się zdawało, niby ktoś, kto dopiero co opuścił swoją własną jaskinię pełną trofeów Airfix. A teraz trzecia wizyta - jakże młodo to wszystko nadal wyglądało, i takie było nie chronione, a przez to pełne wyrzutu.

Flanele okazały się za ciasne, żeby dopiąć zamek: poszperałem trochę i znalazłem parę innych spodni, starych i workowatych, ze stolarskimi kieszeniami, ale wyglądających możliwie, uszytych z grubego marynarskiego płótna, z kredowymi liniami na kolanach od oksydowanego wieszaka i lekko zatęchłych po sezonie nieużywania. W sumie na mnie nie wyglądały tak workowato, a niepochlebny guzik w talii pozwolił się zapiąć. Założyłem skarpety Luca, podszedłem do lustra i zapiąłem jego koszulę na jego bawełnianym podkoszulku, po czym wciągnąłem jego brunatny sweter - wszystko to otoczone matczyną opieką, w świetnym stanie i starannie przechowywane. Popatrzyłem na siebie z pełną grozy satysfakcją.

Deszcz nadal młócił ulicę i światło nie było najlepsze, więc postąpiłem krok do przodu, by lepiej się widzieć - zarumieniony falsyfikat. Na jego grzebieniu znalazłem długie złote pasma, które zapewne wyszły, gdy przeciągnąłem nim po moich ulizanych przez deszcz włosach i zostały na nich jak pierwsze delikatne nici wieku wśród czerni. Jego ubrania obejmowały mnie ciasno, dokładnie, niczym strój sportowy; poczułem lekki skurcz serca, który zapewne poprzedzał zajęcia sportowe w szkole, gdy spoglądałem na nieubłaganą

bieżnię. A jednak zdawało się, że to nie ma żadnego znaczenia - pogłaskałem się po udach i jakimś cudem były to jego uda, tak czuje się człowiek z nogami medalisty, gdy zrywa taśmę, która trzepocząc owija mu się wokół pasa, a on lekko ściąga cugle i swobodnie biegnie dalej. Kościoły wydzwoniły południe, lecz w lustrze panował mrok. A ja, jego mieszkaniac pochylałem się, bacznie przypatrywałem i rumieniłem.

Spostrzegłem, że zaakceptowałem przecucia jego matki - nie oczekiwałem już, że Luc wbiegnie przeskakując po kilka schodów naraz i przyłapie mnie w swoich ubraniach. Zobaczyłem, jak moja własna twarz blednie w lustrze. Każda sekunda poświęcona przeobrażaniu się w niego jedynie oddalała go ode mnie. Wyobraziłem go sobie boleśnie, pędzącego w dal w deszczu, szybciej niż jakikolwiek biegacz, w samochodzie ukrytym przed prześladowcami wirującą ścianą pyłu wodnego lub w pociągu, który zdawał się w kilka sekund przejeżdżać z jednego krańca tego małego kraju na drugi. A po cóż na tym poprzestawać? Znikał we Francji, Holandii lub Niemczech, znajdował się wśród młodzieńczych wyrzutków Paryża lub Hamburga. A potem padały pytania. Patrick i Sybille oświadczyli, że pozostawili go pod moją opieką, oszczercze zdjęcie z zaczerwienionymi oczyma, jak tamta fotka Róży, wędrowało po barze. Żadna z przygarbionych osób idących do kościoła ani żadna sprzątaczką zimowego świtu nie wystąpi przypominając sobie, że zauważyła go na ulicy, gdy wyszedł ode mnie. Byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Rozległo się pukanie i jego matka, nie czekając, weszła do pokoju. Moja żałobna mina na moment zbiła ją z tropu. - Właśnie miałam telefon - powiedziała - od Kristien de Taeye, żony ministra kultury. - Stało się. Poczułem, jak oskarżycielski palec drga, dźga mnie i zapędza w kąt - palec był epee - a ja w przerażeniu wtulam twarz w ścianę.

- Och tak - powiedziałem udając, że szukam buta.

- Jej córka Sybille jest bardzo bliską przyjaciółką mojego Luca. Wygląda na to, że była z nim ostatniej nocy. Do pewnego momentu.

- Aha.

- No i ona też zniknęła.

Samochód był laurowo-zieloną limuzyną marki Renault, około dziesięcioletnią, ale miał zdumiewająco mały przebieg. W środku panował uciążliwy zapach pasty i plastiku, trochę mdły, słodko-kwaśny, przypominał tran lekarski albo sól. Mimo deszczu otworzyłem okno, żeby wpadło trochę świeżego powietrza - krople śmigały obok mnie. mocząc szydełkowe pokrowce na siedzenia i poduszki rozłożone pod tylnym oknem.

Zatem Trójca nareszcie się opowiedziała. Ich jajo zakotłosało się i pękło, a z jego nieprzejrzystych szczątków umknęły młode blade bazyliżki Luc i Sybille. Usta miałem otwarte w grymasie pogardy, rozczarowania, zazdrości i winy - uciekł tak prędko, i do tego z nią... Jak oni to zaaranżowali? Po co w ogóle zawracali sobie tym głowę? Urosły mi pazury i skrzydła, byłem potworem grubiańskich, nieznośnych pretensji. Nie potrafił stanąć twarzą w twarz ze mną po tym, co się stało. A oto ja goniłem go z rykiem. Z żalości docisnąłem pedał gazu i po chwilowym wahaniu samochód rzucił się w przód z mocą, o której posiadaniu zdawał się prawie zupełnie zapomnieć. Bębniiliśmy po kocich łbach ulicy Rozczarowań z nie znaną nam dotąd prędkością i nie znanym natężeniem nieszczęścia.

W płaszczu siedzącego obok mnie Cherifa było coś, co tylko pogarszało nastrój. Oczywiście przemókł po raz pierwszy i nawet przez słodko-kwaśny zaduch samochodu czuć było jego własny melancholijny zapach mokrej wełny, psi i bezbronny - woń porażki. Wiedziałem, że stracił swój połyskliwy meszek, swoją kosztowną świeżość i że już nigdy nie będzie nowy.

Zastanawiało mnie, dlaczego go nie zdjął. Siedział w nim przygarbiony w hallu Altidore'ów przez kwadrans, podczas gdy ja przebierałem się i rozmawiałem. Zszedłem na dół klepiąc się po kieszeniach najlepszej sportowej marynarki Luca, tej, której czasami mu zazdrościłem, z delikatnego szarego tweedu z szerokim żółtym wzorem, a tam uparcie siedział Cherif, niepoprawny i nie harmonizujący z otoczeniem, jak brygadzysta wezwany do domu właściciela młyna. W samochodzie nic nie mówił, ale wiedziałem, że obserwuje, jak prowadzę i przygląda się ciosom, jakie moja twarz przyjmuje od uczuć, z którymi walczę.

Zmrużyłem oczy i pochyliłem głowę w stronę kierownicy zrzucając okulary i ocierając kufakiem łzy wściekłości. Nie mogłem wziąć go z sobą w tę podróż ani udawać czysto nauczycielskiego zainteresowania Lukiem, kiedy już teraz łkałem z gniewu i niepokoju. Będę musiał powiedzieć mu, że nie może jechać. I wtedy odezwał się:

- Chcę wysiąść.

Siedziała mi na ogonie ciężarówka widoczna przez strugi zacinające deszczu, więc nie mogłem zatrzymać się od razu, ale Cherif przeżywał swój własną pasję.

- Wypuść mnie - powtórzył z przerażającym napięciem.

- Nie mogę - krzyknąłem. - Odpieprz się na chwilę, Cherif, Chryste mam dosyć spraw na głowie bez twoich fochów, ty głupia pipo. - Lecz coś w nim pękło. Tak tłukł mnie w ramię, że trudno mi było utrzymać kierownicę; popatrzyłem w lusterku na już zaparowane tylne okno, potem przez sekundę na niego, z obnażonymi zębami. Włączyłem prawy migacz i wykręciłem szyję szukając w mroku jakiegoś miejsca, żeby stanąć, a Cherif, który nigdy w życiu nie prowadził samochodu, zaciągnął hamulec ręczny - zarzuciło nam tył, ciężarówka zatrąbiła i wykręciła gwałtownie, jechała za szybko; w bocznym lusterku zamigotały jej światła, gdy pojawiła się dosłownie cal od błotnika i przeleciała obok, a w jej oknie ukazała się czyjaś dłoń, niby dłoń dyrygenta, brutalna i potępiająca.

- Zaraz bym się zatrzymał - powiedziałem cicho, gdy stanęliśmy. - Mogłeś skasować samochód pani Altidore w dwie minuty po opuszczeniu jej domu. - W rzeczywistości czułem, że jakoś umknąłem całemu łańcuchowi niepowodzeń, jakbym chwycił lusterko, zanim się rozbiło, lub nie patrzył przez szybę na księżyc w nowiu. Mógłbym przez jakiś czas przemawiać z podobną roztropnością, wyciszony i panujący nad swoim przerażeniem, nie przyznając się do dziecinnego rozdrażnienia, że mnie oskarża, choćby słusznie. Lecz Cherif szamotał się z pasem bezpieczeństwa, szturchając i szarpiąc proste zapięcie, które w końcu ustąpiło. Pas był starego typu i nie zwinął się samoczynnie, więc Cherif cisnął nim ze stukiem o blachę i plastik drzwi. Wyskoczył z samochodu i przez chwilę stał patrząc gdzieś w bok, jakby wybierał najdoskonalszy zwrot na pożegnanie: czekałem na jedną z jego wydumanych

poetyckich skarg, a tymczasem deszcz strumieniami spływał po nim i po wewnętrznej stronie otwartych drzwi. Lecz on tylko rozwiązał pasek i zrzucił z siebie ciężki płaszcz. Zwinął go luźno i niedbale, po czym nie patrząc cisnął nim we mnie, jak czymś pospolitym i godnym pogardy. Następnie ruszył z powrotem ulicą, pozostawiając drzwi odstające niby złamane skrzydło. Przechyliłem się, zamknąłem je, a potem siedziałem i patrzyłem, jak szybko maleje w musującym od deszczu bocznym lusterku, z mimowolnym dreszczem przyjemności na widok jego okazałego, przystojnego tyłka - przez chwilę wydawał mi się szalenie seksowny.

Posiedziałem chwilę uspokajając się. Jechałem do Muzeum uprzedzić Paula, że opuszczam miasto, ale nie mogłem się u niego pojawić w takim stanie.

Sięgnąłem po chusteczkę, oczywiście należącą do Luca, nie całkiem czystą, ze stęchłym zapachem kieszeni spodni, sklejoną smarkiem, który przyłgął do zagięć w twardych półprzezroczystych grudkach jak ryż: umieściłem jedną na języku, na poły oczekując, że się stopi, jak w jakimś cudzie z ocalonymi wydzielinami świętego. Marynarka, cokolwiek konwencjonalna sztuka odzieży z rodowodem Szkocja-Piccadilly-Bruksela, nadawałaby się idealnie na ucieczkę nastolatka - ale to była właśnie zagadkowość Luca. Pasowała mi bardziej niż pozostałe jego rzeczy i sprawiała, że moje ramiona stały się elegancko kwadratowe, czego sam nigdy nie mogłem w pełni osiągnąć. Zauważyłem, że jego mama zawahała się, gdy zdjąłem marynarkę wraz z wieszakiem, jak coś, na co nie było mnie stać. - Tak. proszę ją wziąć - zgodziła się. Tylko ją pożyczałem, ale zauważyłem, że takie zapewnienie pomogło jej rozstać się z nią, czy może potwierdziło, że stanęła na wysokości zadania. Wydawała się niemalże z entuzjazmem przyjmować niezdarną symulację syna. która zmontowała się w jej własnym domu.

W kieszeni na piersi znalazłem karnet biletów tramwajowych, połowa była już podziurkowana datami i godzinami wędrówek po mieście - odległy dowód... czegoś; końcówki dwóch różowych biletów do kina „Memling”, opowiadające o paru godzinach spędzonych w ciemności z... kimś; oraz zwinięty pasek papieru, na którym napisano: „ul. św. Albana 73”, czyli mój adres. Nie miałem pojęcia, jak go zdobył ani dlaczego; notatka ta

wydała mi się niejasno obciążająca, więc ją podarłem, a potem borykałem się z dylematem, gdzie ukryć skrawki, skoro byłem w jego ubraniach i w samochodzie jego matki.

19

Przy standardowej prędkości wycieraczki robiły opieszale, niezdecydowany trakt po przedniej szybie, lecz przy pełnej umykały z boku na bok tak szybko, że miało się uczucie, iż mechanizm zaraz trzaśnie. Marcel opowiedział mi o wycieraczkach w BMW ojca jego przyjaciela, które najwyraźniej jednym dotknięciem palca można wyregulować na każde tempo od *lento* do *preslissino*, a do tego ustalić różne długości przerw między machnięciami. Interesował się samochodami, ale tylko na poziomie rzeczy wbudowanych na stałe; zawzięcie bawił się zapalniczką i szybko oszacował skromne możliwości ogrzewania. Podróżowaliśmy zatem w ryku ustawionej na maksimum dmuchawy z ciepłym powietrzem, zerkając pod łukami pary na pędzące tabuny chmur.

Pomysł, że Luc i Sybille są gdzieś przed nami i poczekają, aż ich znajdziemy, stracił wszelki sens w popołudniowych ciemnościach poprążkowanych samochodowymi światłami, w ociekającej wodą anonimowości drogi. Och, chciałem dopaść go pierwszy, dowiedzieć się, co opowiada, zawrzeć z nim układ - ale jeśli znalazł się na stacji wcześniej rano, teraz mógł być już setki mil stąd. Jego matka myślała inaczej; powiedziała, że to po prostu kolejne przesilenie w jego nastrojach, którego rezultaty mogą okazać się drastyczne, ale zasięg fizyczny ma zupełnie lokalny. Ścisnąłem kierownicę, niegodnie obawiając się o własną skórę, ale też wymawiając potężniejsze, bardziej niejasne życzenie, że nie powinien spieprzyć swojego młodego życia.

Marcel był niespokojny i podekscytowany umknąwszy z lekcji w poszukiwaniu swojego pięknego, gorszącego starszego kolegi. Zaróżowił się pod wrażeniem tego przywileju i trajkotał z namaszczeniem, dopóki moje nerwowe milczenie i zwięzłe prośby o pomoc w odczytywaniu znaków drogowych i zjazdów nie wpłynęły na jego nastrój, jak smutek rodzica przesączający się w dziecko i ujarzmiający je. Przez łoskot ogrzewania

docierał do mnie jego ciężki oddech, a co jakiś czas dychawiczny skrzek inhalatora. Kiedy pamiętałem, lekko uśmiechałem się do niego kątem ust i słyszałem, że wzdycha nagle pokrzepiony. Wiedziałem, że pod całym naszym napięciem i ignorancją obaj byliśmy podekscytowani własną aktywnością, i podziwialiśmy samych siebie, pchanych naprzód przez mrok radosnymi imperatywami kryzysu.

Oczywiście Marcel też przeżywał pewien kryzysik. Przystanął obok z ironicznym grymasem na twarzy, kiedy oświadczyłem jego ojcu, że Luc znowu uciekł - nadal naśladował kwaśne miny i politowanie Lilli Vivier, jego opiekuńczej przyjaciółki, a może nawet to, co zapamiętał z mimiki swojej matki. Gdy powiedziałem, że Sybille również zniknęła, przez chwilę zupełnie nie pamiętałem o tym, że Marcel ją uwielbia. Ujrzałem, jak zaskoczony jest po raz pierwszy naprawdę uświadamiając sobie swoje uczucie - postąpił krok w przód. Wtedy Paul spokojnie zaproponował, aby jego syn pojechał ze mną, ale pod warunkiem, że będziemy rozmawiali tylko po angielsku - miała to być w pewnym sensie lekcja. Marcel zawahał się - nie był całkiem pewien mocy całej sprawy; i znowu widziałem, jak ojciec klaunowato go zachęca, raczej boleśnie wyolbrzymia i publicznie podkreśla jego wywołującą rumieńce tendresse. Położyłem dłoń na ramieniu dzieciaka, wiedziony nie sprecyzowanym współczuciem. To prawda, że jest przyjacielem Sybille: wie o niej dużo więcej niż ja. Podejrzewałem, że sama Sybille prawdopodobnie nie zna lub przynajmniej uprzejmie nie zauważa prawdziwej głębi jego uczuć, niezależnie od tego, jak nieokreślone i idealistyczne mogłyby być. Zerkając na niego w samochodzie, zastanawiałem się, czy to nie niewydolność mojej wyobraźni - nie istniał żaden powód, dla którego miałby mieć mniej brudne myśli niż ja w wieku szesnastu lat. W przypiływie chwilowego szaleństwa uznałem, że powinienem mu opowiedzieć, co robiliśmy z Lukiem ostatniej nocy; lecz chwila minęła, a ja poczułem się jeszcze bardziej żałośnie niż poprzednio.

- Przypuszczam, że będą musieli zawiadomić policję - powiedział Marcel.

- Och, miejmy nadzieję, że my ich znajdziemy pierwsi - odrzekłem, choć wiedziałem, że uznaje policję za najlepsze rozwiązanie, zarówno w kwestii odnalezienia ich, jak i ukarania

Luca. - Jest na to jeszcze trochę za wcześnie. Właściwie to wiem, że ojciec Sybille chce, by wszystko odbyło się bez rozgłosu: mogłoby to być dla niego kłopotliwe, oczywiście dla ojca Luca również. - Stałem obok, gdy pani Altidore dzwoniła do nich obu, i obserwowałem, jak ich przekonuje do swojego ekscytującego i absurdalnego planu. De Taeye został wywołany z ważnego spotkania i ewidentnie nie mógł rozmawiać swobodnie; zaszokował go pomysł, żebym to ja jechał rozwiązać problem. Słyszałem, jak dawała mi niebywałe referencje, podsumowanie nie tylko jej przeczuć, ale wysokiego mniemania o mnie, którego nigdy nie dała mi odczuć osobiście; również Martin Altidore bardzo mnie popierał: z reakcji jego żony wyczytałem początkowo ton fałszywego rozdrażnienia, a potem ulgę, niemalże wykrzyczaną, gdy zaproponowała mnie jako posła. Ponownie pomyślałem, że nie wiem, co robię ani dlaczego ci ludzie tak bardzo mi ufają. Ich oczekiwania przytłoczyły mnie i same w sobie stały się bodźcem.

- Czy policja była w to zamieszana ostatnim razem? - spytałem. Miał już gotową całą historię. - Tak, przyprowadzili go do szkoły na pierwszą lekcję.

- Ale on naprawdę nie popełnił żadnego przestępstwa?

- Alkohol. Narkotyki. Papierosy. Kradzież. Wkroczenie na teren prywatny. Obraza policjanta.

- Masz mówić po angielsku - upomniałem go, aby ukryć fakt, że ten incydent nadal robi na mnie wrażenie. Nie chciałem, żeby dobrał słowa i opisywał to dalej. Scena, którą sobie wyobrażałem, była za bardzo drażliwa i bolesna, była za bardzo moją mroczną własnością. - Mam wrażenie, że nie bardzo lubiłeś Luca.

Milcząc spojrział przez zasmarowane boczne okno na ukryte farmy.

- Podpalił mi włosy - odrzekł w końcu.

- O mój Boże.

- Altidore i Dhondt. Dhondt był gorszy, ale Altidore zawsze robił, co tamten mu kazał.

Podpalili moją pelerynę i miałem atak astmy.

To cud, że nie oskarżono go również o podpalenie. - Ależ to potworne -

powiedziałem; byłem zły, rozczarowany i bardzo nieznacznie podniecony.

- Tak, to prawda. Musiałem iść do szpitala, jak pan wie. Altidore dostał już ostrzeżenie, zanim uciekł.

- Ale ty myślisz, że... to Dhondt naprawdę za tym stał. - Zgubiłem się w tej potwornej wizji Luca jako tchórza i szui. To na pewno Dhondt z tą koszmarną nabrzmiałą maczugą zmusił go do tego.

- W lewo! W lewo! - wrzasnął Marcel, jakbym był głupi nie do odpokutowania.

Wjechaliśmy do nieokreślonego miasteczka - nie miało nawet nazwy: tablica leżała przy drodze obok wypełnionych wodą śladów po oponach ciężarówki. Marcel oświadczył, że jest głodny, a ja pożałowałem, że ze mną pojechał: ujrzałem, jak moja pogoń opóźnia się przez jego potrzeby, które okradają ją ze stosownego, ponurego pośpiechu.

Siedzieliśmy w pustej kawiarni i wyglądaliśmy na pusty skwer. Marcel chciwie pochłaniał cheeseburgera - rościł sobie prawo do odpowiednich posiłków, jakby jego tłuszcz miał niezależne wymagania; ale to również pozwalało na zwłokę i dawało mu pocieszenie. Po części obserwowałem chłopca, a po części wpatrywałem się w pomnik wojenny i przechodniów w przedwcześnie zapadającym zmroku. Nagle przestało padać - nastąpiło krótkotrwałe przejaśnienie, pojawiły się pośpieszne przebłyski światła nad dachami domów, żółte groty z chmur, w których na chwilę mogłyby zgromadzić się uskrzydłone twarze podziwiające święte zwycięstwo lub męczeństwo. Chodnik załśnił oślepiająco. Uśmiechnąłem się do Marcela i jego klaunowskich ust z keczupu. Prawdę powiedziawszy nie potrafiłem z nim rozmawiać - dysponowałem jedynie repertuarem języka lekcyjnego, pożytecznych tematów, nienaturalnych zainteresowań. Wyjąłem papierosa, ale przyszło mi do głowy, że dym może mu zaszkodzić.

- Wyjdę na chwilę na zewnątrz - powiedziałem.

Przeszedłem przez skwer krokiem nerwowym, acz niespiesznym. Próbowałem wyobrazić sobie spotkanie z Lukiem - na przykład łapali stopa i z wdzięcznością podbiegli do

samochodu, niezbyt wspaniała bryka, ale zawsze coś, wtem Luc zauważył, że to jego matka i zawrócił, a tymczasem Sybille szarpnęła za klamkę, otworzyła drzwi i z przerażeniem odkryła, że to ja. Ani ja, ani on nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy przyjaciółmi czy wrogami, przyjaciółmi czy kochankami. Albo spotkaliśmy się na wybrzeżu i przez długi czas w ogóle nic nie mówiliśmy. Straciłem swoją słabą przewagę, nie wiedziałem, jakimi słowami przekonać go, by zszedł z wysokiej półki skalnej swojej decyzji.

Pomnik sam w sobie był stromą skałką, z setką nazwisk nadal wyraźnie widoczną w granicie podstawy. Na szczycie stał żołnierz ze spiżu, przystojny, zdeprymowany, z wirtuozerskim wąsem, dla mnie niezbyt pociągający, ale zakrzepły w patetycznej pozie. Był niedwuznaczny i solidny, pewien efektu, jaki sprawia. Przyglądałem mu się zaszokowany - hełm i peleryna lśniąca od deszczu i ta stanowczość pod gołym niebem po orstowskich fantazjach dla wtajemniczonych.

Przez kilka sekund obserwowałem mini, zanim uderzył mnie jego znajomy wygląd - prowokacyjny różyk i niezapomniana tablica rejstracyjna. Podobne do zabawki toczyło się przez skwer, z daszkiem po stronie kierowcy opuszczonym, żeby słońce nie raziło, i światłami nadal włączonymi po deszczu. Ujrzałem, jak moja misja bezradnie się komplikuje przez Patricka, podążającego za nimi, by przekonywać, zmieniać i wykorzystywać tę swoją nieokreśloną władzę. A moje zadanie stawało się wtedy jeszcze bardziej samotne i absurdalne. Byłem zażenowany, że mnie widzi, że tak szybko wystartowałem, uprzedziłem go i ślinię się za Lukiem, jak pomyśli. Odwróciłem się od nadjeżdżającego samochodu.

Ale kiedy znalazł się koło mnie, za kierownicą nie siedział Patrick, lecz Sybille, ze zmarszczonymi brwiami pochylona w przód - choć w chwili, gdy przejeżdżała tuż obok, zerknęła w moją stronę (znajoma postać w ubraniach, które pamiętała), przyjrzała mi się, po czym udała, że mnie nie poznaje, choć gwałtowny skręt samochodu świadczył o wysiłku włożonym w panowanie nad sobą. Ujrzałem, że unosi głowę, by patrzeć za mną w lusterku. Zatem Luc był tutaj lub w pobliżu, poczułem skurcz ulgi, że jest już prawie po wszystkim...

Pobiegłem w stronę kawiarni, przez okno machając na Marcela. Widziałem, którą

drogą Sybille zjechała ze skweru, ale zanim dopadliśmy samochodu i skręciliśmy za nią, nikogo przed nami już nie było widać. Ulica skręcała łukiem i ciągnęła się przez kilkaset jardów, aż dochodziła do innej ulicy. Obaj popatrzyliśmy w prawo i w lewo, a Marcel wzruszył ramionami, jakby mówiąc, że nigdy nie oceniał wysoko naszych szans. Pojechałem w prawo okazując coś co mogło wydawać się zdecydowaniem. - Miej oczy otwarte - przykazałem. Deszcz stukał w przednią szybę, jak woda skapująca z markizy po burzy.

Gdybym pojechał w lewo, mogłoby już wkrótce być po wszystkim. Dopiero dwadzieścia minut później dostrzegłem zaparkowany samochód, pół-ukryty na podwórku przed budynkiem - wysokim, szarym, wyłożonym zaprawą ze żwirem, z metalowymi okiennicami, nowiutkim blokiem mieszkalnym na nędznych peryferiach miasta. Zostawiłem renault na drodze i puściłem się sprintem w marynarce Luca naciągniętej na uszy. Pomyślałem, że dziś jest mi przeznaczone ciągle na nowo przemakać - ujrzałem, jak co rusz przebieram się w ubrania obcych ludzi. Obok drzwi frontowych znajdowała się tabliczka z podświetlonymi przyciskami, przeczytałem nazwiska dwukrotnie, najpierw jako zupełny bełkot, potem powoli, jakby każde z nich gdzieś daleko naprawdę włączało dzwonek.

- Czekamy naprzeciwko domu.

- Rozumiem. Dziękuję.

- Przypuszczam, że będziemy musieli tu czekać, dopóki któreś z nich nie wyjdzie.

- Chciałabym wiedzieć, z kim oni są: nie znam nikogo, kto by tam mieszkał. To muszą być znajomi Sybille.

- Albo może Patricka. - Usłyszałem, że pani Altidore westchnęła. - Oczywiście nie wiem, czy Patrick tam rzeczywiście jest. Widziałem tylko jego samochód.

- Ten samochód!

- Ale jeśli są tam wszyscy, sprawa wygląda mniej poważnie: to po prostu jakiś głupawy psikus.

- Co najmniej przez godzinę rozmawiałam przez telefon z Kristien de Taeye. Za

wszystko wini Luca.

Okręciłem się ze słuchawką pod brodą, ale z tylnego rogu baru nie mogłem dostrzec domu. Podjąłem środki ostrożności zamówiwszy małe piwo. Czekają, poza zasięgiem moich rąk. schłodzone i złociste na ciemnym dębowym kontuarze. - Kończą mi się drobne - powiedziałem. - Zadzwoń za jakiś czas.

- Tak, bardzo proszę.

Improwizowałem na poczekaniu moją nową rolę człowieka zaufanego, in loco parentis: nagle bardzo ostro odczułem zależność tej kobiety ode mnie, z Lukiem w centrum wszelkich naszych potrzeb.

- Albo może po prostu pojawię się z nim - niemalże dodałem „związany i zakneblowany”. Odwiesiłem słuchawkę i opróżniłem szklankę dwoma łykami w nagrodę za to, że byłem bystry i uważający. Na zewnątrz zapadł już mrok i fenomenem cnoty zdawało się wyjść z baru nie obaliwszy kilku następnych piwek. Ale tak właśnie zrobiłem.

Niełatwo było czuć w takiej ciemności, w deszczu i wśród naszych własnych ciepłych oddechów perlących się na szybach samochodu. Czułem się dosyć głupkowato - nie dopasowałem się jeszcze do tempa całej sytuacji i siedziałem pochylony do przodu wlepiając oczy nie wiadomo w co. Kiedy padało, widok natychmiast się zamazywał; ciemny masyw budynku z luną z westybulu i jedną czy dwiema oświetlonymi szparami w zamkniętych okiennicach powyżej robił się ociekający i rozpaćkany przez wodę na naszej szybie, pokrytą własnymi nieprzerwanymi strumyczkami mnogich białych refrakcji lamp ulicznych. Włączałem wtedy silnik i zmywałem deszcz kilkoma machnięciami wycieraczek. Wszystko nabierało wyrazistości - tak jakbym zakładał okulary i chwycił świat takim, jakim jest, czytelnym i zwyczajnym. Potem róg okna zaczynał chybotać i ściekał, a betonowe sklepienie ganku wykrzywiało się i rozpływało.

Marcel łatwo się zniechęcał i łatwo wpadał w panikę, ale długą nudę warty znosił lepiej niż ja. Powiedział, że przypomina mu to scenę z filmu, w którym Eddie'ego Murphy'ego w hotelu obserwują dwaj niekompetentni gliniarze w samochodzie: miał to

nagrane na video i dwukrotnie, słowo po słowie, opowiedział mi fragment, gdzie Murphy, w rzeczywistości wchodzący i wychodzący z hotelu kiedy mu się żywnie podoba, zaskakuje swoich strażników przynosząc im tacę z kawą i rogalikami. Skrzywiłem się z bólu pomyślawszy, jak daleko jest poranek. Nie udało mi się odpowiednio zareagować na jego małe przedstawienie, zbyt byłem pochłonięty własnymi wspomnieniami o oczekiwaniu i obserwowaniu, ja - mimowolny drapieżca.

- Przykro mi, że Luc cię dręczył - powiedziałem, niemalże przyjmując na siebie odpowiedzialność za niego, przetykając na wspomnienie jego lekko pytających pocałunków, dostrzegając w zamazanej szybie dziwaczny i niesamowity obraz jego nagiego ciała zroszonego moim potem.

- To nie ma znaczenia - odrzekł Marcel, co zabrzmiało jakby był znudzony ponizeniami. - Pewnie nie miał na to wpływu.

Zaśmiałem się cicho i płaczliwie. - No cóż, chyba każdy ma wpływ na to, by nie dręczyć innych, co?

Marcel pokiwał głową na boki, jakby rozważał swoje długie doświadczenie życiowe. Nadjeżdżający samochód omył nas światłami jak parę siedzącą przed telewizorem, a potem pozostawił w cieniu. - On był, wie pan, bardzo stuknięty. Prawie w ogóle nie miał przyjaciół w szkole. Później doktor Boesmans przychodził go odwiedzać.

- Och tak. To znaczy mój gospodarz z ulicy świętego Albana? - Marcel kiwnął głową.
- I co doktor Boesmans mówił?

- Nie wiem. To jest poufne. Spotykał się z niektórymi chłopcami w ambulatorium po lekcjach, jeśli mieli problemy... - I popukał się palcem wskazującym w skroń.

- Chodzi ci o to, że on jest psychiatrą? Myślałem, że jest... zwykłym lekarzem.

- To bardzo sławny psychiatra - cicho odpowiedział Marcel. Poczułem bezradną retrospektywną czułość do Luca, którego chłopięce kłopoty wyjaśniał ten słynny starzec. A potem zrozumiałem, z zamarzającym sercem, co oznaczał świstek papieru w jego kieszeni. Nie mój adres zapisał, lecz doktora Boesmansa. Właśnie tego typu wiadomości ukrywała

przede mną jego matka: musiała posłać go do niego znowu. To dlatego zawahał się przez chwilę, kiedy zobaczył, gdzie mieszkam, cała ta eskapada dla niego ocieniona była spotkaniami o innym charakterze.

- Skąd to wiesz? - spytałem.

Przetarł okno po swojej stronie i wyjrzał na zewnątrz. Odpowiedział opornie: - Sybille mi powiedziała. - Tak, ona powinna wiedzieć. - Mówi również, że matka Luca też jest stuknięta, mój tata też tak uważa.

- Ona nie jest stuknięta - odparłem surowo - jest tylko bardzo nieszczęśliwa i niepokoi się, bo wychowuje syna samotnie, gdyż ojciec Luca zwiął.

- Jego ojciec to mauvais sujet - oświadczył Marcel.

- Przypuszczam, że Sybille też tak twierdzi. - I roześmiałem się. Nie zaprzeczył.

Przyszedł mi na myśl Maurice tego wieczora na kolacji u Paula i jego sugestie, że Luc jest taki sam mauvais sujet, jak jego ojciec. Wyglądało na to, że nauczyciele i chłopcy nie ufali mu, wystrzegali się go, gdyż był odrobinę niepoczytalny.

Trochę później przejaśniło się i pojawiły się gwiazdy. Miało się wrażenie, że to północ, ale była dopiero 8.30. Samochody przyjeżdżały i odjeżdżały z podwórka naprzeciwko, a moje serce przyspieszało, gdy tylko w oszklonym hallu pojawiały się jakieś sylwetki albo do naszych uszu docierało przytłumione trzaśnięcie mocno pchniętych drzwi wejściowych. Czułem, że nasza tajemniczość uchodzi z nas w miarę wysychania drogi; przechodzący obok ludzie zauważali, że za zarysami zagłówek kryją się dwie żywe, czujne głowy. Luc mógł już wyrzeć z nie oświetlonego okna i zobaczyć samochód mamy zastanawiając się, cóż to za oddział przyjechał go odbić. Przepętniała mnie zazdrość o miasteczko i jego zwyczajny wieczór. Obok samochodu pojawił się owczarek alzacki, a za nim mężczyzna w skórzanej kurtce: przeszli przed maską, minęli bloki i przemknęli się przez dziurę w płocie, mężczyzna machał łańcuszkiem ze skórzaną rączką dwuznacznie, groźnie. Pies zaszczekał wbiegając na ciemne nieużytki.

Marcel wpadł na pomysł, żebyśmy czuwali na zmianę, podczas gdy jeden z nas będzie

spać. On miał się zdrzemnąć pierwszy. Zdjął z ręki zegarek, pokręcił i poobracał różnymi nakrętkami swojego odpornego na wstrząsy chronometru: wyglądało na to, że wskazuje, iż czas już jeść, więc wysłałem go z paroma frankami, a on wrócił z frytkami na papierowej tacce, kawowymi herbatnikami i przyprawiającą o mdłości lemoniadą. W samochodzie odbyła się skupiona mała uczta, podczas gdy ja wypaliłem papierosa na zewnątrz i poszedłem zrobić siusiu na ławkę, po drodze tworząc obojętną, acz sprośną fantazję na temat faceta z psem.

Pochłodziło, więc obtępiliśmy samochód z kilimków i poduszek, którymi się podzieliliśmy; Marcel uniósł jakąś dźwignię i popychał swoje siedzenie, dopóki zupełnie się nie rozłożyło. Po raz pierwszy jego obecność dodała mi otuchy: zdawałem sobie sprawę, że nie wie, co się dzieje i że jego skupienie osłabło; ale przyda się przy Sybille - będę musiał go wykorzystać, jeśli ta chwila nadejdzie. Kiedy spał, oddychał wolniej, co brzmiało tak, jakby z rzadka parsknął ze złości.

Rozpostarło się przede mną coś tak jakby wieczność, niby podwójna lekcja fizyki w popołudnie szkolnego dnia, podniebienie miałem wyschnięte, dłonie pachnące gumą i miedzią... Głowa mi opadała i ziewałem raz po raz. Wydarzenia następowały po sobie monotonnie i bez żadnego rytmu - kot z przesadną cierpliwością skradający się wzdłuż niskiego murku otaczającego podwórze, przejeżdżające daleko wielkie ciężarówki, wytarowane i ozdobione chorągiewkami, swoim łoskotem wprawiające samochód w drżenie. Żeby nie zasnąć, próbowałem przypominać sobie w całości wiersze, których kiedyś się uczyłem, ale moja pamięć zmatowiała, słowa wydawały się bełkotliwe, jeden obraz mętnie przechodził w inny, poeta w poetę. Kiedy zaczynali się jąkać, dawałem im spokój i szedłem ospale w stronę mirażu, który wyczarowali, letnich zmierzchów, zabawnych starych anegdot, dawnych wstydliwych chwil, na wspomnienie których nadal paliły mnie policzki, młodzińskich fiutów i pocałunków pod więzami, które umarły wraz z końcem mojego chłopięctwa. A wiersze kierowały się własnymi pobudkami i punktami widzenia, które niby rady życzliwych przyjaciół zdawały się raczej odległe od mojego nastroju i problemów.

Wszystko to tak słabo wiązało się z ostatnią nocą. Przeżywałem ją na nowo z mocno bijącym sercem i zamkniętymi oczyma. „Człowieka tego wciąż gna żal, / W górę i w dół - i dalej, w dal - / Śladem miłości biegnie / Straconej i nagle upada, / I niby bóg czy złodziej się skrada”. Niby bóg czy złodziej: po raz pierwszy od dwudziestu lat, czyli od czasu, kiedy poznałem ten wiersz, rozumiałem, co znaczą te słowa. Ale ta stracona miłość... Czy straciłem ją? Czy kiedykolwiek ją posiadałem? Czy też inteligentnie zmaksymalizowałem problem tracąc coś, co nigdy do mnie nie należało? Spojrzałem na brzydki dom z zamkniętymi okiennicami i jęknąłem z czystej rozpacz - i z przemożną, mocną pewnością, że zostałem ukarany i wygnany.

Zmierzałem w lasu mroczną toń, wtem ptak

Zaśpiewał pieśń nie znanym głosem twym

I zobaczyłem ciebie innym tak,

I rozumiałem ciebie w śpiewie tym.

Kiedy odezwał się budzik Marcela, zerwałem się przejęty wciąż tym samym metalicznym strachem i uczuciem, że znajduję się daleko od domu. Marcel podniósł się tak ospale, że bezsensownie wydawało się oczekiwać po nim, iż będzie czujnie siedział do szóstej rano. Mimo to poderwał oparcie fotela do góry i siedział łapiąc się rękami za głowę, jakby naprawdę zamierzał odegrać swoją rolę. Może nie będzie się czuł tak samotnie i głupio jak ja. Usadawiłem się z tyłu, owijając się stęchłymi wielobarwnymi szydełkowymi szalami, już je fetyszując jako odległych krewnych kapy na łóżku Luca oraz pozostałych znajomych, nie zauważanych dekoracji, wśród których się rozkładał i kokosił, rozmyślając o innych miejscach.

Śniło mi się, że byliśmy u pana Croya. Luc leżał nagi na stole w otoczeniu pięciu lub sześciu mężczyzn, paru w mundurach marynarki wojennej, paru w tanich garniturach, z potężnymi sterczącymi kutasami już sączącymi się w naprężony materiał. Jakimś sposobem

znajdowałem się wśród nich. a jednocześnie obok i ponad ich luźno skupionym kręgiem, jakbym pisał opowiadanie o śnie i jakby ode mnie zależało, czy zostaną wprowadzeni w ruch. Zdawało się, że wyczuwam i dzielę z nimi dojmującą, zapomnianą dynamikę grupowego seksu, zarazem demokratycznego, jak i budzącego zazdrość. A Luc był gotów do rytuału, lekko uniósł głowę i nerwowo zwilżył suchą górną wargę czubkiem języka. Lecz ku mojemu zdumieniu, mężczyźni jedynie oglądali go, dokładnie choć uprzejmie, jakby mogli go mieć, ale jeszcze się nie zdecydowali i nie chcieli pobrudzić towaru, co obligowałoby ich do zapłacenia. Lub nieomal jak medycy, których naukowe zainteresowania budzą jakieś niewidoczne symptomy. Widziałem, jak rozsuwają mu nogi, przesuwają dłońmi lekko, sprawdzają, w górę i w dół jego ud, po piersiach i brzuchu. Jeden z nich beznamiętnie zważył jego jaja w dłoni, podczas gdy inny zsunął napletek i ściskając dwoma palcami rozchylił dziurkę w główce jego obrzmiałego kutasa przypominającą pyszczek złotej rybki. Przewrócili go na brzuch i jeden z nich rozsunął mu policzki, gdy reszta szacowała ten drugi ukryty wylot; widziałem, jak się zaciskał i rozwierał pod wpływem oczekiwań i zwłoki.

Poszedłem do łazienki i zgubiłem się wśród tylnych korytarzy pana Croya, spiżarni i klatek schodowych poobwieszanych ociekającymi zbiornikami na wodę. Wiedziałem, że chcę wrócić do głównej sali - opuściłem ją z tłumionym niepokojem kogoś, kto na chwilę zostawia bagaż bez opieki lub prosi obcego człowieka, by zajął mu miejsce w długiej i wygodniejszej kolejce. Truchtałem w kółko zagubiony, czasami moich uszu dobiegał okrzyk lub klasnięcie zza zamkniętych na klucz drzwi lub zza ściany. W zasłoniętym kotarą saloniku na tyłach przelotnie ujrzałem samego pana Croya - wypasionego, wybrylantynowanego, pijącego dżin z tonikiem, słuchającego Żebraków w sztylpach. Zaczęło mi ciężać na piersi przecucie nieszczęścia i straconych pieniędzy.

Kiedy wróciłem do pokoju, różnili Luca jeden za drugim, a wewnętrzna strona jego ud była już oślizgła od spermy i śliny. Utworzyła się kolejka i gdy któryś kończył, cofał się i kuszykał na koniec ogonka, po drodze przelotnie głaskany i całowany przez przyjaciół. Usilnie próbowałem dołączyć się do kolejki - wyjaśniałem im, że Luc jest moim kochankiem

i rościłem sobie daleko posunięte pretensje do jego eseju o Wordsworcie, lecz oni uznali, że to taki kawał, i odpychali mnie. Za każdym razem, gdy powracałem, odtrącali mnie coraz bardziej bezceremonialnie, aż padłem na podłogę, a potem kopali mnie, jeśli tylko podpełzałem, gapiąc się w górę na ich spotniałe nagie pośladki i wypolerowane kutasy. Nie słyszałem, o czym sobie szeptałem żartowali rozpychając się i dla wprawy dupcząc nawzajem, w miarę zbliżania się do oszołomionego, uwalonego, krzywo uśmiechniętego chłopca. - Ale dlaczego? - błagałem łkając. - On jest mój, dzielę się nim z wami. bo chcę, żebyście byli moimi przyjaciółmi. - Lecz oni jedynie szydzili, okładali mnie pięściami i kazali mi się odwalić.

Obudziłem się roztrzęsiony i przejęty. Leżałem dysząc ciężko, niemalże wdzięczny, iż znajduję się w tym zimnym, woniejącym samochodzie w ponurym półmroku na poboczu drogi gdzieś za granicą. Przeciągnąłem się i zerknąłem na blade wskazówki zegarka: 5.45 - westchnąłem tęsknie za moim przestronnym, wysokim łóżkiem. Nade mną wznosiło się oparcie siedzenia Marcela, a jego głowa gibała się na boki we śnie, nigdy nie opadając całkowicie i nie budząc go. Usiadłem prosto, lekko tylko zdziwiony, współczując dzieciakowi. Każdy jego gwałtowny wydech pokrywał przednią szybę kółkiem pary, które malało i zanikało, zanim następne ulotnie się tam skondensowało.

Wysunąłem się z samochodu, po czym ziewając i przytupując mszyłem drogą. Senny nastrój nadal mnie otumaniał i przerażał chrzęstem osypujących się piargów paniki i rozżalenia. Łazienka z żaluzjami u Croya i mężczyźni szorujący się jak po krykcie lub squashu, sporadycznie rzucający komicznie typowe uwagi w stylu: „Nieźle mu poszło dziś wieczór”, „Tak, zapowiada się bardzo obiecująco”... Naturalnie wiedziałem, że te dni nigdy nie wrócą, jedynie w tych czy innych snach impreza trwała nadal - nie potrzebowałem aż tak brutalnego przypomnienia. Miało w sobie ostrość przebudzenia i zdawało się dostępne pamięci bez typowego rozmazania. Obok tego snu, wokół niego, moje rzeczywiste położenie, spacer przed świtem gdzieś na krańcach flamandzkiego miasteczka, zdawało się stosunkowo nierealne, niewiarygodne, wytłumaczalne jedynie poprzez najsubtelniejszą analizę

symboliczną. Starszy mężczyzna z plecakiem mijając mnie rzucił radosne powitanie, a ja odpowiedziałem mu z ogromną werwą - pierwsza flegmowata wypowiedź dnia szafująca nieadekwatną serdecznością. Przeszedłem spacerem przez dziedziniec przed blokiem i ponownie zerknąłem, już bez pośpiechu, na nazwiska przy dzwonek. Tym razem wszystkie wydawały się pogodnie znajome, ale tylko dlatego, że czytałem je już przedtem. Stojąc na ganku zmrużyłem oczy i spojrzałem, czy budzik Marcela już dzwonił: nie będę go dręczył, prawdopodobnie wchłonie to potknięcie w swoją ogólną rezygnację, w doświadczenie życiowe złożone z niepowodzeń... Chwiejnym krokiem zszedłem po schodach i spostrzegłem, że mini zniknęło. Pobiegłem na puste miejsce i wpatrzyłem się w tęczową plamę oleju błyskającą świeżo na bladym prostokącie asfaltu.

Wyposażeni w mapę narysowaną od ręki przez mamę Luca, w ślimaczym tempie sunęliśmy po polnych drózkach, jak para zaproszona na imprezę do dalekiego folwarku. Odległości były drobiazgowo podane, ale trudne do oszacowania w rzeczywistości: zwolniłem i wyciągając szyję obejrzałem w szarym świetle ranka kilka bram wjazdowych. Miotła mną furia, że ich zgubiliśmy i w stosunku do Marcela byłem chłodno wybaczący; równocześnie czułem irracjonalny entuzjazm towarzyszący krótkotrwałemu odroczeniu wyroku, batom odłożonym na później.

- To tu - rzucił Marcel z dziwacznym optymizmem.

Brama prowadziła do lasu. Zatrzymałem się na trawiastym półkolu przed nią i przez chwilę siedziałem patrząc - było jasne, że nikt tu nie przyjechał, przynajmniej nie samochodem. Ciężki łańcuch zwisał owinięty wokół środkowych prętów, ale wysiadłszy odkryłem, że nie jest zapięty na kłódkę. Na środku każdego skrzydła bramy do łuszczącego się, kutego żelaza przytwierdzone były tarcze przypominające zdezelowane piasty, a na nich dostrzegłem pokryte rdzą płaskorzeźby z monogramem „TA”. Och, zatem należące do nich rzeczy opatrywali swym znakiem. Zerknąłem przez wrota na sosnową aleję, na której nadal panowały ciemności.

Zgodziliśmy się, że tu nie przyjechali, lecz obaj rajfurzyliśmy sobie nawzajem w zaspokojeniu połowicznie tylko skrywanego pragnienia, aby zwiedzić to miejsce. Pani Allidore przyszło ono na myśl już w pierwszej chwili - Luc ostatnio tyle o nim mówił, powiedziała; wydobył skądś oryginalne projekty i książkę, w której architekt zebrał wykonane akwarelą plany. Wywiązała się między nimi jakaś sprzeczka, ponieważ Luc chciał poprosić ojca, żeby wyremontował dom, a matka była przeciwna zachęcaniu go do dalszych ekstrawagancji. Rozsupiałem łańcuch, napałem na bramę i pchnąłem ją ramieniem. Potem ostrożnie wjechałem na aleję samochodem, po którego dachu i oknach szorowały i stukały nie przycięte niższe gałęzie. Poza zasięgiem naszych przednich świateł plantacja niknęła w przesadnej ciemności. Pomyślałem, że Luc potrzebowałby sporo odwagi, aby przybyć tu samotnie.

Wyjechaliśmy na obszerne, porośnięte kępami trawy pole, na którym dojazd do rezydencji znaczyły koleiny wryte przez maszyny rolnicze, i przetelepaliliśmy się przez ospale brzęczącą zastawkę dla bydła. Kierowałem się w stronę majaczącego przed nami strzelistego konturu wypełnionego szarością, a wysokie trawy omiały podwozie. Potem dotarliśmy na wybrukowany dziedziniec, na którym stały płotki do grodzenia pastwisk i beczki na paliwo oraz omszała, osowiała statua patrząca w dół: mógł to być ktokolwiek - pasterz, prorok, a nawet sama Aurora. Za nią kilka stopni wiodło do zamkniętych na kłódkę stalowych drzwi. Od razu lepiej - oto przygoda w rozpoznawalnej formie. Wygramoliliśmy się z samochodu i wciągnęliśmy powietrze głęboko do płuc.

Wzdłuż dalszego skrzydła małego chateau rozciągał się zdewastowany trawnik, którego granice wyznaczały opasłe, rozrośnięte kształty, niegdyś będące zapewne piramidami cisów. Ze śliskiego podium tarasu mogłem dostrzec sadzawkę, a za nią jezioro, zadławione sitowiem i opadłymi konarami. Stopniowo się rozjaśniało, nad szczytami jodeł pojawiły się pomarańczowe pasma, zerwał się kos, wolny i beztroski. Oto odpowiedni moment, aby obejrzeć to miejsce, poranek zupełnie różny od tego, którego imieniem dziad Luca ochrzcił dom, albo od tych, które miał okazję tu przeżyć - zimne niebiosa nad przemokniętą puszcza;

choć znalazłem tu też ślady klasycznych upodobań: na przykład nad jeziorem wisiała chmura odpowiednich rozmiarów, by odziać bożka na fresku rzucającego się w miłosną pogoń. Zgubiłem Marcela. Powędrowałem w kierunku wody, niechętnie dając się poruszyć reliktom całej tej udawanej dworskości, myślami niejasno błakając się po lecie, choć podmuchy zimnego wiatru upierały się, że przyszedł już grudzień i kazały mi postawić kołnierz marynarki Luca. Odwróciłem się i ujrzałem, że maleńkie okna na szczycie wieży barwią się wczesnym słońcem, jakby zapalono w nich latarnie.

Główną część Pavillon de l'Aurore stanowiła willa we francuskim stylu, z wysokimi otworami okiennymi zabitymi deskami i sztukaterią odpadającą tu i ówdzie i odstaniającą tanią czerwoną cegłą. Jedna część domu zapadła się tworząc nieregularną rysę w ścianie pierwszego piętra: powyżej dach krył się pod baldachimem przerdzewiałej blachy falistej, którą wiatr obluzował i powypaczał - od czasu do czasu piszczała głośno.

Marcel był bardzo podekscytowany. - Sądzę, że on może tu być - oświadczył. Przeszukał garaże i podwórko kuchenne. Jak się okazało, okno zostało wyłamane, ale nie dałby rady przejść przez nie bez wsparcia dla nogi i mojej pomocy. Zaprowadził mnie tam, a ja zajrzałem do zaniedbanej bezpańskiej spiżarni z drzwiami pół otwartymi na błądy mrok. No cóż, istniało nikłe prawdopodobieństwo, że to był Luc, ale wolałem odsunąć od siebie tę myśl.

- Złodzieje zawsze włamują się do najdalszej części domu - powiedziałem przez chwilę obawiając się, że Marcel będzie mnie prowokował, abym wszedł do środka. Postukałem palcem w omszały parapet, jakbym wiedział, czego szukać. - Chyba dawno nikt tego nie ruszał. - Pochylił się i krzyknął „Luc!”, po czym odskoczył w tył, gdy gdzieś w głębi domu rozległ się łopot i szelest skrzydeł gołębia.

Zaśmiałem się nerwowo i Marcel chwycił mnie za ramię. - Mam klucze do drzwi wejściowych - wyznałem, a on spojrzał na mnie, jakbym mógł otworzyć jego pierwsze dorosłe doświadczenie; już teraz wzdragał się przed nim. Wyobraziłem sobie, jak później będę o tym opowiadał Lucowi - raptem przypomniało mi się, że on może tu być, może

usłyszał silnik samochodu na jałowym biegu i wziął go za monotony plusk deszczu na liściach drzew laurowych, może słyszał nasze głosy za zamkniętymi okiennicami, może podniesie go z drżącego snu uciekiniera dźwięk klucza w zamku i skrzypienie ciężkich drzwi.

Powietrze wewnątrz zdawało się budzić niechętnie, obracać i wirować w świetle i przeciągu po latach zakumulowanego bezruchu. Kurz uniósł się i zakręcił na skraju jasno oświetlonego progu; hall pachniał stęchlizną, ale niezrozumiale żywo, jakby zwierzęta porwały go i zaznaczyły w nim swoje terytoria. Macając na oślep, znalazłem sztywny stary metalowy przełącznik do światła i mocowałem się z nim, aż wreszcie przeskoczył, lecz bez żadnego efektu.

Marcel powiedział, że w samochodzie jest latarka, i pobiegł po nią. gdy tymczasem ja wkroczyłem nieśmiało w prawie absolutną ciemność uważnie wodząc ręką po ścianie. Dotarłem do jakichś drzwi, do modelowanej krawędzi sklepionego przejścia, i zarejestrowałem, jak mogłaby to zrobić osoba niewidoma, zagrażającą mi zmianę skali; przesunąłem stopę w przód po płytach z gruboziarnistego piaskowca, myśląc, że mógłby tu być stopień; kaszlnąłem, a echo uniosło się i opadło w niewidocznej otchłani, jak w kaplicy. Zbyt przestraszony, by iść dalej, przckradłem się z powrotem na próg. Wydawał się oślepiająco jasny w jupiterowym świetle zimowego poranka wpadającym przez otwarte drzwi, przez które Marcel wkroczył niczym komediant na scenę.

- Chodź, nie ma się czego bać - zachęciłem go, a on włączył własną latarkę.

Na prawo otwierała się amfilada pokoi. Ruszyliśmy przez nie, jakby Marcel był moim przewodnikiem po starożytnym grobowcu, a mnie aż skręcała chęć, żeby zabrać mu latarkę. Poruszał nią żwawo i z namaszczeniem, ale bez zainteresowania, po nagich ścianach, wysokich sufitach z fasetami, olistwowanych framugach okien. Dom był porzucony, ale nie zupełnie ogołocony - w jednym pokoju znajdowało się trio połączanych balowych krzesel, w drugim kanapowe siedzenie starego samochodu, na którym mogli pić i spać włóczędzy. Wysoko na ścianach przebiegały mosiężne pręty do zawieszania tkanin ściennych, a nagiego gipsu pod nimi nigdy nie miało ujrzeć ludzkie oko. Latarka zawróciła i oświetliła nabazgrane

litery: „KRIS” oraz jaja i tryskający kutas.

Ostatni pokój był najokazalszy i w najbardziej opłakanym stanie. To tutaj zapadła się podłoga, a wraz z nią para filarów, które rozszczepiły się ukazując żelazne trzpienie biegnące przez ich drewniane środki. Wszystko tu było tandetne, aż po sufit jak z rokokowej kawiarni, gdzie naga kobieta majaczyła w błękicie. Może to naprawdę była Aurora, zblakła i trędowata, z kredowym zarostem tam, gdzie tynk popękał od wilgoci. Jedno oko odpadło, drugie było duże i zapraszające. Z jej stóp zwieszały się łańcuchy masywnej lampy, która unosiła się niby niebezpieczny baldachim nad wielką łupkową płytą stołu bilardowego. Stół zdumiał Marcela - szczyły ryps, kilka zbutwiałych sznurków po siatkach w łuzach; przesuwał w tę i we w tę sztabki po zakurzonych prętach tablicy wyników.

- Lepiej sprawdźmy dom od tyłu - zaproponowałem, a on ze strachu przełknął ślinę i znowu zahuścił światłem, po filarach i sylfidzie na zimnym suficie. Skoro dowodziłem, zachowywałem się stanowczo - tak się zazwyczaj dzieje; a on szedł za mną ufnie. Dyskutowałem w myślach z Paulem i nie odnosiłem wrażenia, że ma coś przeciwko temu, co robimy. Było inaczej niż wtedy, gdy szedłem za Mattem do Rostandów, choć tamten odległy epizod zdawał się nakładać na ten, tak jak we śnie jedno miejsce staje się innym.

Nie mieliśmy się czego obawiać w korytarzu kuchennym poza ptakami i szczurami. W przejmująco wilgotnej spizami półki kredensu zawalone były słomą i odchodami, jak jakiś stary colombier ; pozrywano deski chroniące okna i jeżyny zaczęły szukać sobie miejsca w domu. Na piecu kuchennym leżało gniazdo, które na chwilę zabrało mnie w przeszłość do rysunków z dziecinnej książeczki o przyrodzie - brunatne myszy polne usadowione na kłosach pszenicy. Pełno tam było butelek, puszek i niedopałków po czasowych rezydentach, tak jak onegdaj musiało tu być mnóstwo skrzynek z próżnymi flaszkami po szampanie i popiołu po hazardowych przyjęciach trwających do świtu. KRIS-a upamiętniono również tutaj z takim samym fallicznym totemem; zaciekało mnie, czy stanowił on obiekt marzeń, czy też sam był chełpliwym artystą-wandalem. Dalej poszliśmy korytarzem, w którym farba na boazerii skurczyła się i popękała, jak szkliwo na starym serwisie obiadowym. Kończył się

on drzwiami z pogruchotaną górną częścią, uchylonymi na schodzące w dół schody i płytką piwniczkę pełną wody.

Wróciliśmy do hallu wejściowego przez boczne drzwi. Nadszedł czas na pokój z echem - wiedziałem, że musi to być rotunda wieży. W końcu udało mi się przejąć latarkę - pod pretekstem pożyczania jej na chwilę - i posłałem promień wysoko na ciemne ściany. Schody prowadziły stąd w górę i widać je było znowu powyżej, jak zatrzymują się przy balkonie. Światło omiotło kopułę, a po drugiej stronie sali czekały na nas twarze.

Artysta namalował dla nich drugi, zręcznie ocieniony balkon, na którym rozwalali się birbanci w nonszalanckich pozach, jedni spoglądali w górę, jakby na gwiazdy lub sztuczne ognie, inni przechylali się przez balustradkę, oślepieni i oczarowani wyimaginowanymi latarniami niesionymi przez nowo przybyłych gości. Ten i ów mężczyzna miał wysoki biały kołnier, kwiat w butonierce, papieros, tępo lśniący monokl - wyniosły, lecz nie reagujący na prowokacyjne światło latarki. Kobiety miały wachlarze, mantyle lub płaszcze i trójgraniaste kapelusze; jedna uniosła rękę w rękawiczkę i otworzyła usta, by zaśpiewać. Dwoje czy troje dzieci przebranych za karty do gry, niczym ogrodnicy z Alicji w Krainie Czarów, radośnie wskazywało na coś palcami przez barierki z kutego żelaza.

Theo Altidore stał pośrodku, w turbanie i czerwonej szacie, z dłonią na biodrze, z bułatem przy pasie. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście nosił wąsy jak radża; czy stanowiły one część kostiumu. Był krępy i namalowany w żywych barwach, z zapalczywą miną zdeterminowanego hulaki, przystojny, wciąż jeszcze młody, ale już z cechami człowieka, którym miał pozostać. Świetne malowidło, nie tknięte przez dym i deszcz, mogło jedynie ukazać, podobnie jak sam Pavillon, jak daleko odszedł Theo od surowego wyrafinowania Guillaume'a. Przypominał mi bankierów w Glyndeboume zgrywających się na estetów (zdradzał ich alkoholizm) albo duże zdjęcia w „Tatlerze” z balów dobroczynnych - księżę Jakiśtam, przerażający stary potwór, przebrany za szejka lub indyjskiego księcia, nigdy za kogoś o niższej pozycji społecznej niż jego własna. Godny uwagi był też fakt, że Theo wybrał przepych innego imperium niż to, które miało go zrujnować. Rozumiałem już, dlaczego

przestraszył małego Luca swoim mieczem, spojrzeniem i towarzystwem nierobów.

Całe to miejsce świadczyło o rozkoszach i rozczarowaniach ludzi dorosłych - szaleństwem było sądzić, że Luc kiedykolwiek chciałby tu przyjechać. Jego matka i ja ujawnialiśmy naszą własną romantyczną skazę, poetyckie domniemania, nie mające nic wspólnego z problemami i doznaniem młodego chłopaka, z tajemnymi wstrząsami miłości. Ależ kiepskim nauczycielem byłem. Stałem przez chwilę w otwartych drzwiach frontowych i czułem się zmęczony i brudny. Nie chodziło tylko o to, że nie znalazłem tu Luca osobiście. Miałem nadzieję, że odnajdę go tutaj też w innym sensie: marzyłem o tym domu jako sposobie na to, by go osiąść, wejść w jego przeszłość na głębokim, wczesnym poziomie, ale przez te napięte dziesięć minut spędzone w jego wnętrzu dostrzegłem jedynie pustą skorupę. Zacząłem żałośnie pochlipywać, więc odwróciłem się, aby Maicel tego nie zobaczył. I wtedy usłyszałem, że zastawka dla bydła cicho donosi o zbliżającym się samochodzie.

Fiołkowe mini jechało przez pole, podskakując i walcząc na koleinach. Cóż za przerażający samochodek. Czekałem nań chytrze wypatrując, czy wiezie jedną, dwie, a może nawet trzy osoby - może wszyscy przyjechali powiedzieć mi, że gra skończona, wysiądą, oprą się o otwarte drzwi i będą się dziwić mojemu szaleństwu. Autko zawarczało na porośniętych mchem płytach i zatrzymało się przed statuą. W środku była tylko Sybille - siedziała przez chwilę piorunując mnie wzrokiem. Stało się dla mnie oczywiste, że przysłał ją Luc, aby przekazała jakieś ultimatum, a teraz doprowadza się do odpowiedniego stanu i koncentruje złość na mnie i moich beładnych działaniach. Wtedy dostrzegła Marcela stojącego kawałek dalej po mojej prawej stronie, ze zmarszczonymi brwiami, z przekrzywioną głową, w jednej z tych jego nieudacznie „dorosłych” póz.

Wysiadła, podbiegła do niego i pocałowała w oba policzki. - Mm, powinieneś się ogolić - skarciła go. Marcel zachichotał, a potem umilkł; stali patrząc na siebie zmrużonymi oczyma, jakby oboje próbowali sformułować wytłumaczenie, jakim cudem się tu znaleźli.

- W środku jest niesamowity stół bilardowy - odezwał się Marcel.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się ośmielająco i niespiesznie ruszyła w moją stronę,

irytująco spokojna, jak wyszkolona pielęgniarka zbliżająca się do niebezpiecznego pacjenta.

Przepraszająco zszedłem ze schodów. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Bardzo ładna marynarka - powitała mnie. Kiwnąłem głową i potarłem materiał kłapy palcem wskazującym i kciukiem. - Mam nadzieję, że cię grzała przez całą noc w samochodzie.

- O tak, dziękuję - zabrzmiało to głupio, ale nie chciałem dodawać marznięcia do pozostałych moich słabości.

- Jest bardzo ciepła, nieprawdaż? Sama ją nosiłam kilka razy, kiedy Luc uznał, że się ochłodziło: na mnie bardziej przypominała płaszcz. - Ujrzałem, jak bezceremonialnie narzuca jej marynarkę na plecy, a ona poprawia ją wzruszeniem ramion. Spuściła wzrok urażona, jakby myślała, że ja też jej to proponuję. Pozostałe jego ubrania przeszły bez komentarza, może wyglądały wystarczająco anonimowo, by nie mówić o swoim właścicielu. A ja oczywiście pragnąłem właśnie tego jednego: mówić o nim, ale nie zdradzając jego tajemnic, aby nie wyglądało na to, że dzielę się nim, zachować dumę mimo porażki. Zacząłem; drogą okrężną:

- Musiałaś wyjechać bardzo wcześnie.

Ale jej lont już się palił. Spojrzała na mnie tępo.

- Nigdy go nie będziesz miał.

- Zatem nic nie wiesz... - Nie powiedziałem tego, ale stłumiony wyraz zadowolenia z siebie niczym skurcz bólu musiał przemknąć mi przez twarz i osłonić mnie przed jej brutalnością. - Chcę tylko mieć - powiedziałem - szansę, by z nim porozmawiać i pomóc mu, jeśli potrafię. Jego mama potwornie się martwi, ona chce... cóż, chce zrobić to, co dla niego najlepsze.

Gapiała się na mnie z otwartymi ustami, jakbym był skończonym durniem: nigdy sobie nawet nic wyobrażałem takiego braku szacunku, ale zbyt cierpiałem, żeby zareagować typowym kazaniem o bezczelności młodzieży.

- Jego mama...

- Może więc powiesz mi, gdzie on jest? Nikt nie chce was rozdzielić. On uważa mnie za przyjaciela.

- Skąd, u licha, mógłbyś wiedzieć, co on uważa? Nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje w jego głowie. To mnie uważa za swojego najlepszego przyjaciela.

- Tak - zgodziłem się rozbrajająco - mówił mi o tym.

Chodziła w kółko, z rękami w kieszeniach, policzkami zaróżowionymi ze złości i zimna. Marcel oparł się o renówkę i szurał nogą po ziemi - nie wiedział do tej pory, jakim ona potrafi być postrachem.

- Więc gdzie on jest? - spytałem.

- Nie ma go w tym domu - odrzekła w sprytnie wymijający sposób.

- Tyle to ja wiem.

Zatrzymała się i przyjrzała podnieszczonej elewacji. - Też mi to przyszło do głowy.

Zerknąłem na nią, jakbym nie dowierzał własnym uszom. - Nie zamierzasz chyba udawać, że nie wiesz, gdzie on jest, to zbyt banalne.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała *sollo voce*.

- Ale uciekliście razem. - Uniosła brwi. - Czy sugerujesz, że od ciebie też uciekł?

- Nie uciekliśmy razem - powiedziała po chwili. - Luc uciekł, jak to nazywasz, i zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć. Poprosiłam go, byśmy się spotkali w mieszkaniu znajomego, żeby nie robił żadnych głupot i żeby nie dał się aresztować. Pożyczyłam samochód od naszego przyjaciela Patricka i pojechałam tam. Właśnie w to miejsce, gdzie spędziłeś noc. O trzeciej nad ranem znowu zadzwonił i powiedział, że nie da rady przyjechać na spotkanie. Był... na wybrzeżu. Pojechałam w inne miejsce, i czekałam tam godzinami, ale się nie pojawił. Nie próbował mnie nabrać, myślę, że po prostu mu się nie udało. - Musiałem powstrzymać się od uśmiechu w miarę słuchania jej lakonicznej relacji z marszruty porażek. - Pomyślałam, że może przyjechał tutaj.

- Tu nie ma nikogo - powiedziałem, znacznie łagodniej.

- W takim razie nie wiem, gdzie on jest - zrzuciła maskę, uderzyła pięścią w udo i

załamana wybuchnęła łzami.

Nabrała takiej mocy jako moja rywalka, że wprawiło mnie w zakłopotanie, wręcz zawstydziło, widzieć ją drżącą i zapłakaną. Lecz teraz przyszła kolej na Marcela. Odwróciła się ode mnie ze szlochem, jak od kogoś absolutnie nieodpowiedniego, by ją pocieszać, i ukryła swą zapłakaną twarz w ramionach młodego przyjaciela. Poklepywał ją po plecach i wtulał brodę w jej włosy, jak chłopak podczas swojego pierwszego wolnego tańca, niespokojny i rozpromieniony.

Wycofałem się zadowolony, że jestem dorosły i daleki od chęci wtrącania się. Wszystkie moje myśli skupiały się na Lucu i naszym spotkaniu na wybrzeżu - pomyślałem, że moglibyśmy wszystko zacząć tam, gdzie skończyliśmy, zapierało mi dech, gdy wyobrażałem to sobie. Jakiż nieoczekiwany widok stanowiła ta para przytulająca się pod zachwaszczonym kamiennym gigantem, wyglądającym jak zamrożony utracjusz, na tle brązowo-śliwkowego zimowego lasu.

Po paru minutach w samochodzie Marcel zaczął śpiewać, nieświadomie, jak się zdawało, wyglądając przez okno i kiwając głową. Był to Nocny kochanek, ale wykonany jasnym chłopięcym barytonem, który czynił piosenkę świeżą i miłosną. Wszedłem w drugim refrenie - utkwił mi w głowie i należało go tylko uaktywnić za pomocą słowa-klucza jak w hipnozie. Przez chwilę kontynuowaliśmy pełnym wahaniami, hałaśliwym unisono, obaj pełni ulgi i entuzjazmu z powodu zmiany perspektyw na przyszłość. Nocny kochanek nie dawał wielkich możliwości, więc prześpiewawszy go entuzjastycznie kilka razy, zamilkliśmy. Marcel wyglądał na dosyć zaskoczonego, że to się w ogóle wydarzyło. - Znasz, hm, Heartbreak Hotel? – zapytał, a ja zacząłem. Mknęliśmy pustą drogą wyrzaskując: „Jestem taki samotny, kotku, taki samotny i smutny, kotku”, jak uczniaki na wycieczce autokarowej.

Jak się okazało, jego matka zwykła śpiewać piosenki w samochodzie i on wraz z ojcem czasami przypominali sobie ten zwyczaj - śpiewali te same flamandzkie pieśni ludowe, co dziesięć i więcej lat temu. W mojej rodzinie były to hymny, przez całą drogę do Konwalii,

w skórzanym zaduchu humbera, a mój ojciec celowo zaczynał w złej tonacji. Ja zawsze wybierałem wspaniałe Chestertonowskie pieśni, Nie szczędź nam swego gniewu, Doświadcz nas i zbaw, podczas gdy znudzony Charlie wysuwał kandydaturę Hymnu geograficznego. Czasami zachwalaliśmy słoneczny nastrój wykonując Letnie wakacje lub Słońce włożyło już kapelusz - wers, który zawsze niepokoił mnie kontrsuggestią chmury. Najtrudniejsze i najbardziej lekcjopodobne były kanony, w których nie dało się złąć z ogólnym zgiełkiem, ale wchodziło się samodzielnie i we właściwym momencie, choć Charlie przeciągał, zapominał i fałszował. „Biały piach i szary piach. Biały piach i szary piach. Komu biały piach? Komu szary piach?” Słowa zawsze brzmiały niedorzecznie. ale trzeba było je wyśpiewać głośno i utrzymać własny głos wśród nieprzyjaznego wibrowania pozostałych głosów.

Hotel był duszny i opustoszały, lecz morze, widziane z okna, miało w sobie jakieś ponure piękno, a twarde, ozdobione frędzlą łóżka wydawały się obiecywać nie sprecyzowany luksus. Położyłem się, gdy Marcel był w łazience i słuchałem syku prysznica i skrzypienia rur. Była to chwila wytchnienia w trakcie polowania, jak jedna z tych zaskakujących chwil spokoju w samej miłości. Hotele nadal stanowiły dla mnie rzecz niezwykłą, miałem ochotę zostać tu całe dni, miesiące może, zapomniany przez obsługę - obudziliby nas na wiosnę przynosząc kawę i gazety podobne do wydań primaaprilisowych, pełne absurdów na granicy prawdopodobieństwa.

Śniło mi się, że Gordon Bottomley zatrzymał się w tym samym hotelu. Przepętniony uczuciami zabrałem Luca na spotkanie do jego pokoju. Poeta świetnie się trzymał, był pełen wigoru i pracował nad wierszowaną sztuką, którą zaczął w latach trzydziestych i która miała teraz ponad tysiąc stron długości. Otworzył wiklinowy kosz z pokrywą, służący do przewożenia z miejsca na miejsce zwiniętych plików manuskryptu. Wyznał nam, ile ta praca go kosztuje, czego się wyrzekł, ilu zwykłych przyjemności i smutków, aby znaleźć czas na doprowadzenie jej do końca. Opowiedziałem mu o jego poemacie, który mój ojciec śpiewał w scenografii Finziego, ale kiedy zapytał mnie o tytuł, w głowie miałem pustkę: powiedziałem,

że nazywał się Bioto, a on odrzekł: „Och, tak”, choć żaden z nas nie był do końca przekonany. Luc zachowywał się uprzejmie, lecz obojętnie i po chwili skierował się do przyległego pokoju - widziałem go przez otwarte drzwi, masturbującego się spokojnie i rozmawiającego z kimś dla mnie niewidocznym.

Przez cały dzień wraz z Marcelem patrolowaliśmy oddzielnie kurort, kosze na plaży, zaparowane kafejki, wszelkie miejsca służące mikrym rozrywkom. Czasami nasze ścieżki krzyżowały się i kupowałem mu wtedy jakąś przekąskę, jakiś lokalny przysmak: porcję frytek lub kanapkę z dorszem. Jego nastrój gwałtownie się poprawił. Równie dobrze mógł tu przyjechać na wakacje. Pani Altidore poparła rezerwację w hotelu swoją kartą kredytową i kasjer wypłacił nam plik banknotów tysiącfrankowych. Marcel większość czasu spędzał w kakofonicznej arkadzie z grami, zarzekając się, że Luc mógłby tam trafić. Przyglądałem się, jak ruszał w kolejną pogoń przez krajobrazy otwierające się z przyprawiającą o mdłości prędkością, fioletowe, różowe, zielone jak limony, gdzie przegraną oznajmiało urągliwe buczenie a zwycięstwo natarczywe trele. Inni, bardziej nieokrzesani chłopcy, zaczęli tłoczyć się za jego plecami, pełni posępnego podziwu dla jego opanowania i szybkiej ręki. To miejsce nie było w stylu Luca. Widziałem oczyma wyobraźni, jak włóczy się po plaży, pięknie pograżony we własnych myślach, posyłając kopnięciem kawałki wyrzuconego na brzeg drewna z powrotem do morza, patrząc, jak fale rozlewają się u jego stóp - niczym coś odczuwanego wzdłuż serca...

Burza zasypała piaskiem esplanadę i opanierowała solą wychodzące na morze okna hotelu. Wykonywano minimalne naprawy za pomocą mioteł i drabin. Coś w nastroju codziennego toku zajęć próżniaka, coś w porannej pustce hotelu rozbudziło moją tęsknotę. Powędrowałem na dworzec, wciąż i wciąż od nowa pytając „Dlaczego?” i „Dokąd?” - jak w jakiejś nieskończonej niemieckiej pieśni, którą mógłby śpiewać mój ojciec: Warum?, Wohin?, konwencjonalne zwrotki zapadały się w zapierającą dech głębię dzięki modulacjom pomiędzy nimi. Dworzec, z maleńkim repertuarem przyjazdów i odjazdów, stanowił próg całego dalszego świata - może Luc znajdował się już o wiele mil za tym lśniącym punktem, w

którym znikają tory.

Mimo to nie traciłem nadziei. Usiadłem i zapaliłem papierosa w ponurym publicznym ogrodzie osłoniętym od wiatru, ale nie od dźwięku morza; rabaty kwiatowe były zimowo obnażone, kałuże drżały na betonowych ścieżkach. Zupełnie nikt tutaj nie przychodził, co zdawało się czynić to miejsce szczęśliwie dobranym i przygotowanym na nasze ponowne spotkanie. Za moimi plecami rozległo się stęknienie i szybkie kroki. Pomyślałem, oto on, i odwróciłem się z uśmiechem, o którym wiedziałem, że będzie na poły grymasem strachu i wątpliwości. W moją stronę biegł przysadzisty blondyn i przez ułamek sekundy próbowałem przemienić go w Luca, zastanawiając się, co on ze sobą zrobił. Zerknął na mnie przebiegając obok, a jego duża twarz miała roztargniony wyraz wywołany rytmem biegu i muzyki: słyszałem metaliczny jazgot z jego słuchawek. Obiegł ogród wokół, następnie zatrzymał się i zaczął kiwać w miejscu, wykonując skłony i inne ćwiczenia niewątpliwie bardziej przyciągające wzrok niż pożyteczne. Ale cóż ja mogłem wiedzieć?

Należał do typu facetów, którzy często mi się podobali, takich z paroma kilogramami nadwagi: uznałem, że jego tyłek wygląda tak, jak wyglądałby mój w obcisłych, pociemniałych od potu spodenkach cyklisty - sprawiał, że przez skojarzenie sam sobie wydawałem się dosyć seksowny. Miał też na sobie zapinaną na zamek bluzę od dresu i rozdeptane buty na gumowej podeszwie, które od czasu nocy z Lukiem zdawały mi się niepokojąco pociągające. Łydki miał owłosione i pomyślałem, że dupa okazałaby się podobnie kudłata, gdybym zaczął lizać grubą schowaną żyłę za jego jajami i odrobinę wetknął język w muskularną dziurę. Moje marzenia popłynęły i pieściły go - głowę miałem lekką ze zmęczenia i ulgi, że w polu mojego widzenia znalazł się ktoś inny niż Luc; przez kilka minut absorbowano mnie obserwowanie tego solidnego substytutu, a kiedy odwrócił się w moją stronę wykrzywiając twarz, podskakując i unosząc kolana wysoko jak koń, patrzyłem na niego nadal z dziwnie prosto zachęcającym wyrazem twarzy. Ruszył dużymi susami z powrotem w moim kierunku, jego kutas i jaja zwarte lecz wyraziste; robiłem, co mogłem, z jego dosyć obwisłymi wargami i szorstkimi włosami zgniecionymi pod opaską walkmana.

Niedbale kiwnął głową, ale spostrzegłem, że to tylko od naporu muzyki - wydawało się, że ledwie mnie dostrzega przebiegając ciężko obok. Odwróciłem się z uśmiechem pełnym ubolewania, już rozdarty między niechęcią do chłopaka i zazdrość do świata biegaczy, który zawsze wielbiłem, ale w który nigdy nie dane mi było wstąpić.

Przy kolacji mieliśmy restaurację prawie wyłącznie dla siebie. Marcel wypił kieliszek wina i paplał o przeżyciach całego dnia, o tym, że kilka razy myślał, iż widzi Luca, ale w końcu był to zawsze inny „śmiesznie wyglądający” chłopak. Miesiące spędzone przez niego na grach video w sanatorium cudownie się opłaciły tego popołudnia - zabłysnął niczym jakiś czempion w arkadzie rozrywek: ogólnie rzecz biorąc był to dla niego jeden z najbardziej udanych dni od lat. Lecz mój brak zainteresowania szybko go uciszył; spoglądał na mnie z głową przechyloną na bok i czynił słodkie, nieśmiałe próby udobruchania mnie, ale ja szybko pogrzeżałem się w niekomunikatywnej ponurości - pierwsza butelka była już opróżniona. Nadal jaśniał w swojej nowej roli rycerza Sybille, wysłanego na wybrzeże, podczas gdy ona schroniła się w domowym zaciszu. Zerknąłem w wysokie lustro i ujrzałem widoczek, jaki mógł widzieć szef sali: młodzieniec z wujkiem, może ojcem chrzestnym, bez wątpienia starym kawalerem, nie potrafiącym się dogadać z młodzieżą i studzącym zapał chłopięcia, zamiast sprawiać mu frajdę. Różnica wieku między nami zdawała się pogłębiać; chwycił sztucze jak dziecko i naładował sobie dobrego, zbyt mocno przyprawionego jedzenia, jakby postanowił wyciągnąć przynajmniej taką korzyść z sytuacji, gdy ja tymczasem zbyt byłem udręczony innym głodem, by jeść. Czasami wskazywał na coś nożem, mówiłem mu, jak to się nazywa po angielsku, a on powtarzał słówko kiwając głową. Bez przerwy puszczano smętną muzykę, krótką taśmę zamazaną od ciągłego powtarzania, ze swingującymi i przesłodzonymi fragmentami Mozarta oraz Czajkowskiego: wyobraziłem sobie studio o paranku, muzyków bez marynarek, nikczemnego aranżera, kpinę ze wszystkiego, co było mi drogie.

Przy stoliku obok siedziała godna szacunku para z inteligentnie wyglądającym chłopcem w okularach. Od razu zauważyłem w nich skrępowanie i pochwyliłem fragment odwiedzinowej rozmowy: matka zawzięcie opisywała sytuację w domu, a syn usiłował

przekazać swoją ekscytację studiami, które rodziców w ogóle nie interesowały. Dostyc szczegółowo zagłębił się w listę lektur: zdaje się, że w tym tygodniu przerabiał Republikę „autorstwa Platona”.

Stwierdziłem, że próbuję sobie zjednać ich poparcie. - Czyż ta muzyka nie jest potworna? - zagałem. Początkowo nie zrozumieli, o co mi chodzi, a kiedy już do nich dotarło, widać było, że rodzice, jeśli w ogóle zwrócili uwagę na muzykę, wdzięczni byli za jej bezbarwną opiekę, tymczasem chłopak sprzymierzył się ze mną: - Koszmarna, koszmarna. - I nagle pożałował chwilowej hysterii w swoim tonie.

Przy dalszym stoliku dwie starsze panie zauważyły niezwykle wybuch rozmowy między obcymi sobie ludźmi i wziętem ich niespokojne spojrzenie za poparcie w mojej sprawie. Skinąłem na kelnera, ale akurat w chwili, gdy wymknął się do kuchni. Zdałem sobie sprawę, że jestem potwornie zły, trzęsę się w poczuciu niesprawiedliwości, które wreszcie ujrzało ujście. Marcel wbił wzrok w talerz, ale ledwo mógł przetykać z powodu zawstydzenia i przestachu, odkrywszy wreszcie z całą pewnością, że dzieli pokój z szaleńcem. Odwracając się kopnąłem go pod stołem, a on wydał jęk, który przyspieszył atak szału. - Przepraszam! - zawołałem do innego kelnera, stojącego plecami do mnie. zastawiającego już stoły cukrem i dżemem na śniadanie, kiedy to bez wątpienia, jeśli nic nie zostanie zrobione, ta sama taśma będzie się bezmyślnie odwijać. Zaczęła właśnie swój drugi przebieg tego wieczora, piekielna nieustająca pętla. Obejrzał się i spostrzegłem, że to biegacz z ogrodu.

Moja furia zamarła i przez chwilę była wniebowzięta - ujrzałem ją jak znieruchomiłą masę chmur w telewizyjnej prognozie pogody, nadciągającą nad północną Europę, niosącą bombę z deszczem, która dotrze do Londynu nad ranem... Chłopak nie wiedział, jaką czułość we mnie obudził. Podszedł gorliwie, bardzo teraz ulizany, jak wieśniak w kościele, z przekrzywioną muszką, nadal trzymając połowicznie zwiniętą lilię z serwetki w swoich wielkich dłoniach. Stanął obok mnie, a ja absurdalnie delectowałem się tym, że jest do mojej dyspozycji; robiłem wieloznaczną minę, ale nie wykrzesalem z niego ani śladu rozpoznania.

- Słucham pana? - Czy może była w tym szczypta ironii, kpiny z podpitego

obcokrajowca podróżującego z uczniem: z jego lekceważenia dla słynnej kuchni

flamandzkiej, z obskurnych ubrań, w których bez wątpienia spał?

Uśmiechnąłem się.

- Czy mógłby pan być tak uprzejmy i wyłączyć tę muzykę?

Nie wyczuł niebezpieczeństwa w mojej uprzejmości, choć samo życzenie oczywiście uderzyło go jako majaczenie i brak wychowania, możliwe że wręcz zagrożenie dla zasad hotelu i prawości kierownictwa.

- Przykro mi, proszę pana, ale ta muzyka gra we wszystkich publicznych pomieszczeniach.

- Jestem tego świadom. Sugeruję jedynie, że powinna przestać. Jest absolutnie nie do zniesienia dla każdego, kto choćby odrobinę zwraca uwagę na muzykę. - I tu mój głos podskoczył, a chmura burzowa nadciągnęła bliżej. Poszukałem poparcia patrząc na chłopaka od stypendium, lecz on był bezbrzeżnie pochłonięty swoim torcikiem czekoladowym. Jednak rodzice zachowali czujność i byli oburzeni w imieniu kelnera, który, jak poczułem, w towarzyskich układach wytworzonych na te kilka sekund czerpał siłę z ich ignorancji. Wtedy usłyszałem kolejną melodię podle pogwałconą, o całe niebo głośniejszą w ciszy panującej w restauracji. Minęły dwie czy trzy nieprzytomne sekundy, zanim uświadomiłem sobie, co to jest.

- Czy wie pan, co to za muzyka? - warknąłem. - A pani? - Matka zadrżała, zarumieniła się i uniosła brodę, natomiast ojciec, któremu niełatwo było dopiec, jak podejrzewałem, teraz wiedziony staroświeckim poczuciem honoru, zaprotestował: - Doprawdy, młody człowieku...

- Powiem wam. To aria Mozarta z Czarodziejskiego fletu, dokładniej mówiąc Dies Bildnis ist bezaubemd schön. - Siedziałem z tętniącym sercem przez następnych kilka taktów, jęklawie podbudowanych przez hawajskie gitary, ozdobionych świetlicowym pianinkiem, skalanych rozpaczliwym bełkotem, i czułem, że doskonale mogę udowodnić swoje zarzuty. Cały ten stracony dzień nawiedzany był przez mego ojca - słyszałem jego czysty tenor w poranek dzieciństwa, w starym tłumaczeniu Denta, które zdawało się wdzięcznie opisywać

samą pieśń: „O piękna ponad wszystko”.

Uniosłem wzrok na kelnera, który kiwał głową, tak jak przedtem kiwał do swojego walkmana, i wzruszył ramionami, jakby roztropnie przyznając, że ta cała klasyka nie jest taka zła, jeśli się w nią wsłuchać; a matka powiedziała: - Zawsze kochaliśmy Mozarta.

Żadna z tych rzeczy, które wyrzucałem z siebie przez następne dwie minuty, nie była błyskotliwa ani nawet przekonująca, ale wylewały się jak nawałnica, sam nie wiem skąd. Prawie w ogóle nie byłem świadom swojej niewielkiej publiczności, pozostałych członków personelu wychodzących z kuchni i stojących z ścierkami w rękach oraz zmian w ich uczuciach, od urazy po złość i cyniczną satysfakcję. Zmarnowałem im wieczór swoim brzydkim słownictwem i pięścią uderzającą w stół, ale może osiągnąłem jeszcze coś: nigdy nie zapomną człowieka, który oszalał i pieklił się przeciwko muzyce, nie przeszkadzającej nikomu innemu, i przeciwko nim, i przeciwko biednemu młodemu kelnerowi, zdającemu się prowokować go do szczególnie dzikich wyrzutów, niczym niewierny mąż.

Później nie mogłem sobie przypomnieć swoich słów, tylko wrażenie, że mówiłem, artykułowałem opinie, o których nie miałem pojęcia, że je posiadam, w druzgocący sposób uciekając się do fundamentalnych zasad. Jednak perora mi nie wyszła. Potknąłem się na wzniosłym zdaniu o „kpinie ze wszystkiego, co mi drogie” - jedną ręką ścisnąłem niechętny, lecz obowiązkowy nadgarstek kelnera, a za drugą w milczeniu ciągnął mnie Marcel, z litości, strachu lub na wspomnienie dawno minionego dnia, kiedy jego matka zrobiła podobną scenę w miejscu publicznym. Wyrwałem mu się i wyszedłem, jakby moje łzy po tym wszystkim mogły przynieść mi hańbę, i pospieszyłem do kibla; chociaż nawet tam, w nikłym świetle ze świetlika, cicho transmitowano wandalską muzykę.

Trochę później wyszedłem i powędrowałem w wilgotnym, przenikającym do szpiku kości wietrze na koniec miasta. Noc była pochmurna, morze niewidoczne prócz chwil, gdy waliło jak echo odległego wybuchu o tamę i posyłało obfite fontanny w światło lamp na promenadzie. Nie było tu nikogo poza mną, a mnie przed zimnem chronił koniak, lecz umysł

miałem jasny i chłonny. Rozmyślałem, jak to miejsce wygląda w lecie, pełne rozpychających się, hałaśliwych młodziaków, nierozróżnialnych wrzasków znad skraju wody: lecz choć raz cieszyłem się, że to należy już do przeszłości. Dokładałem starań, by delektować się subtelniejszym zjawiskiem kurortu poza sezonem, dni bez ciepła i nocy bez spotkań, pustych placów zabaw i gwałtownych przypiływów.

Skręciłem na krótkie molo i na chwilę pochyliłem się nad kłębiącą się, odtrącającą samą siebie czernią. Niewidoczne ejakulacje wody budziły we mnie lęk: czułem, że z upiorną fasadą miasta i krajem leżącym poza nią łączy mnie bardzo cienka nić. Wyobrażałem sobie ciemne, zaorane obszary, zagrody i wioski zabezpieczone przed potokami wiatru i deszczu, rozhuśtaną, zamazaną latarnię. A dalej miasta z dzwonami kołyszany wicherem, ulica, przy której mieszkałem. Światło z podwórza powinno rzucać blade pasmo na mój sufit. Z czasem wzrok przywyknie do półmroku i będzie można dostrzec poważną bryłę stołu i krzesel. Jakiż widmowy zdawał się dziś ten opuszczony pokój, kiedy rytmiczne pojękiwanie nie urazi uczuć hiszpańskich dziewcząt.

Wyraźnie pamiętałem, jak Paul powiedział o sztychach Orsta, że były zwierciadłem północnego świata, milczącego, zimowego, skrytego, dalekiego od nietajonej jasności południa. Były to *adresses aux esprits de silence*, dyskretne sygnały przesyłane od jednej samotności do drugiej; posępna nieokreśloność i mistyczny blask tych dzieł stanowiły również odzwierciedlenie świata ich kolekcjonerów, duchowego czuwania przed cennymi płótnami, drżącego zestrojania z nienazywalnym. Zatem wierne pamiętanie Orsta o Jane idealnie odwzorowywało namiętność kolekcjonerów: pochlebiał ich archaicznym tęsknotom i zaliczał ich do bogatych duchem, szydzących z wulgarności współczesnego świata i tego, co nazywał jego niszczyielskim dostatkim.

Dziś wieczór, usadowiony nad przybrzeżnymi falami i przymgloną fosforescencją powracającej piany, odczułem całą poezję tej idei. Nie wiedziałem nic o tym kraju, dla mnie była to Belgia ze snów, Allemonde, królestwo ruin i minionych rozkoszy, cudów i męczeństwa, zakątków, do których nigdy nie dociera światło. Niewielu rozpozna tę krainę,

ale niektórym to się uda. Wydawało się, że zgubiłem w tym wszystkim Luca. To jego dzikość przyciągnęła mnie do niego, a teraz mi go zabrała. Analizowałem całą sytuację z pewnym estetycznym zdumieniem.

20

Helene wróciła po miesiącu miodowym w Rzymie i Neapolu promieniejąca nowo nabytą pewnością siebie; uwidaczniała się w letargiczności jej ruchów, w pozbawionym wstydu blasku bijącym z jej policzków, widocznym poczuciu, że wraca do osobliwego światka, do którego zasad stosuje się z przymrużeniem oka. Spytałem ją, jak jej się podobało, i choć odpowiedź ograniczała się do dni spędzonych wśród ruin Forum i Pompei, było oczywiste, że prawdziwe cuda zdarzyły się, i nadal się zdarzają, w odosobnieniu nowoczesnych hoteli.

- Paul wygrzebał skądś śmieszne pudło - powiedziała i nawet jej chichot pobrzmiwał nową pewnością siebie, że wie, iż jest z czego chichotać. Odnosiłem się do tego oczywiście sceptycznie, ale mimo to zazdrościłem jej; pocałowałem ją w policzek, żeby przez chwilę obcować ze szczęściem i powodzeniem.

Pudło wcale nie wyglądało śmiesznie stojąc na podłodze obok biurka Paula. Było wielkości pudełka na ciastka, z odrzuconą do tyłu pokrywką, ponieważ zniszczył się podtrzymujący ją skórzany pasek. Paul wyjął ze środka kawałek kolorowego szkła i wytarł go delikatnie swoją chusteczką. Podeszedłem i nachyliłem się. - Zainteresuje cię to, mój drogi - powiedział, jakbym był Marcelem, i uniósł pod światło romb w kolorze rubinowym z zapinką u góry.

- Wygląda jak fragment żyrandola - stwierdziłem.

- Mmm. Prawdopodobnie nim jest. - Położył go na bibularzu obok drugiego identycznego kawałka. - Pięknie. Wartość cnotliwej kobiety większa jest niż wartość rubinów.

- Nie wątpię. - Spojrzałem na galimatias w pudełku, łańcuszki, sztuczną biżuterię,

resztki jedwabiu drukowanego we wzór z pawi.

- Kolczyki Kundry - powiedział Paul. - Znajdziesz tam też inne znajome rzeczy. - I kiwnął głową pokazując, że mogę się porozkoszować oglądaniem. Przykucnąłem i zacząłem lekceważąco grzebać w pudle, jakbym był na pchlim targu. Znajdowały się tam tanie broszki z porzewiałymi zapięciami, kryształowa kula, liniejąca futrzana czapa (Le toqnet de vair!) , wyszywany paciorkami błękitny welon z L'Infini , który się podarł, gdy go uniosłem, delikatne berło z ptaszkiem na czubku - znałem je z Ozyrysa Orsta, choć nie wiedziałem, że model do odpoczywającego jastrzębia stanowiła drewniana dziecinna zabawka. Były to prawdziwe śmieci, które na pewno nie nadawałyby się na bal przebierańców u Thea. Na samym dnie leżała obroża z medali, ten ciężki skarb unoszący brody obu Jane w ich różnych pozach, starożytne profile zamazał czas, a napisy starły się do szczątkowych znaków runicznych.

Wyjąłem naszyjnik uśmiechając się sceptycznie, ale zaskoczył mnie jego ciężar: medaliony były grube, oprawę również wykonano z jakiegoś zmatowiałego metalu, inkrustowanego płaskimi różowymi kamieniami. Na pewno szczypał białe kobiece szyje tłoczonymi krawędziami i ukrytymi połączeniami. Osuwał się z obu moich dłoni, gdy pokazywałem go Paulowi. Wziął go ode mnie gestem księdza i ułożył na biurku mówiąc cicho: - To jest stare, przynajmniej medale... - Nadal widać na nich było skrócone imiona władców, kolumny obwieszane girlandami, koła rydwanów - miniaturowe larum, bardzo dawny triumf. Nie byłem pewien, czy naszyjnik jest piękny czy odrażający, wzruszający czy szokujący: podobnie do obrazów Orsta jakimś sposobem posiadał te wszystkie cechy równocześnie. Był fetyszem, który stał się relikwią i możliwe, że obu nas przepętniał mieszaniną respektu i niesmaku. Pochyliłem się, żeby przewrócić go na drugą stronę, udając, że nie zauważam, jak Paul ukrywa szybkie ziewnięcie.

Był to wolny dzień Lilli. Od naszego powrotu z wybrzeża Marcel leżał w łóżku z duszącym przeziębieniem, więc zjedliśmy z Paulem po talerzu zupy przy biurku. Paul czytał

gazetę leżącą koło niego; czasami marszcząc brwi odkładał łyżkę i bazgrał coś na marginesie.

Wyglądał na bardzo niezadowolonego z większości tego, co czyta.

Wyobrażałem sobie trochę inną przerwę w pracy - gdyby nie mroźna mgła, wyszedłbym na spacer, na papierosa, może nawet na drinka i po to, by nagle poddać się gorzkiej próżni, którą światło naszej lampy słabo odpychało. Wygrzebałem resztki zupy po dziecinnemu stukając w talerz i rozpocząłem rozmowę z większą determinacją, niż to było potrzebne.

- Dokąd chodzi Lilli, kiedy jej tu nie ma?

Paul lekko przytknął serwetkę do ust. - Nie mówiłem ci? Idzie na farmę swojej szwagierki.

- Ach tak. A gdzie to jest?

Z roztargnieniem machnął dłonią. - Tam... po drugiej stronie Roeselare. Trzeba kawałek jechać autobusem.

Stwierdziłem, że wolę, kiedy nie ma jej w pobliżu. Była trochę niekomunikatywna, a przez to odpychająca. Wszyscy, którzy ją znali, wciąż mówili, jaka jest cudowna; gdy nadarzała się sposobność, ja mówiłem to samo, ale tak naprawdę to nie wiedziałem, na czym polega jej dar.

- Naprawdę uważam, że jest wspaniała - powiedziałem.

- Och, cieszę się. Nie można jej nie lubić - odrzekł Paul dodając:

- Obawiałem się, że może być dla ciebie trochę surowa. Nie wiedziałem, jak zareaguje na fakt, że ma się opiekować następnym członkiem rodziny. - Uśmiechnąłem się i spuściłem wzrok, zadowolony, ale też niejasno podejrzliwy w stosunku do serii wzajemnych uprzejmości, którą rozpocząłem.

- Jak ona się u ciebie znalazła? - W końcu sama nie była dosłownie członkiem rodziny. Nagle spostrzegłem, że wszedłem do pomieszczenia, obok którego drzwi do tej pory przechodziłem na palcach - nie miało to nic wspólnego z Lilli, ale z żoną Paula, której śmierć dała Lilli szansę na obecną rolę.

Paul wytarł telerz kawałkiem chleba, nie spiesząc się z odpowiedzią.

- Kiedy umarła mama Marcela, miał ledwie sześć lat i potrzebował opieki. - W interesujący sposób w tym scenariuszu pominął swoją osobę. Spojrzał na mnie z lekkim wyzwaniem w oczach, chwilę później rozproszonym kpiarsko-pedantycznym tonem: - „Ach tak”, powiesz, „ale jak to się stało, że wybrałeś na jego opiekunkę akurat Lilli Vivier?” - Kiwnąłem głową, po czym wzruszyłem ramionami, wyrażając w ten sposób, że wcale nie muszę tego wiedzieć. - Cóż, są dwie odpowiedzi na to pytanie. Odpowiedź krótkoterminowa brzmi, że straciła męża niecały rok wcześniej, nie chciała dalej pracować na farmie, nie... nie czuła się najlepiej. Kiedy umarła mama Marcela, napisała do mnie. Spotkaliśmy się i doszliśmy do porozumienia. - Odsunął krzesło i odwrócił się, żeby spojrzeć na chłodną zawieszinę mgły.

- Jest też odpowiedź długoterminowa, jeśli masz ochotę posłuchać.

Jeśli miałem, to tylko po to, by się rozproszyć, albo dla samej rozmowy, albo żeby przestać myśleć o innym pytaniu, na które jak dotąd nie znalazła się żadna odpowiedź. - Jeśli masz ochotę opowiedzieć.

- Dzisiaj mogę ci to powiedzieć. Nie chciałbym tego robić, gdyby tu była. - Uniósł otwartą dłoń w moją stronę w geście szacunku, którym nakazywał cierpliwość. - Znowu wracamy do wojny.

- Myślę, że mnie to zainteresuje. - Przypomniało mi się, jak Lilli zeszywniała i wyszła z pokoju, kiedy w końcu zapytałem o wojenne wizyty Paula u Orsta. - Wstyd mi, że tak niewiele o tym wiem; nigdy do końca tego nie pojąłem. - W Belgii rzadko kiedy wspominało się tamtą epokę, chyba że pod naciskiem pytań lub gdy Helene przekazywała mi swoje niejasno sensacyjne wrażenia na temat śmierci Orsta.

- Cóż, zapewne wiesz coś o okupacji. Szczerze mówiąc niełatwo mi jest przekazać, jak ona wyglądała, choć dorastałem w tamtych czasach: trwała całe lata, ciągnęła się i ciągnęła. Była przerażająca, ponizająca i monotonna, z tym potwornym głodem, który czuje dorastający chłopiec. Lecz czasami też bywała ekscytująca, jeśli byłeś młody i miałeś żywą

wyobraźnię. W miasteczku kręciło się pełno żołnierzy, Niemców i oczywiście naszej własnej nazistowskiej milicji. Istniało pewne wojenne prawo, być może mające pewien urok: nikt o tym naturalnie nie mówi, bo brzmi to frywolnie w szerszym kontekście tego, co się działo, ale wraz z przyjaciółmi ze szkoły przeżywaliśmy dreszczyk emocji robiąc kawały żołnierzom, którzy częstokroć byli bardzo głupi lub bardzo znudzeni. Wyczynialiśmy mnóstwo śmiałych rzeczy i stawaliśmy się wielkimi bohaterami we własnych oczach. Pewnie sami byliśmy głupi, czasami nawet na pewno. Mój ojciec bez przerwy powtarzał: „To nie jest zabawa, to nie jest zabawa!”

- Co robił twój ojciec?

- Był dostawcą konfekcji, jeśli mogę użyć tego wspaniałego określenia. Zaopatrywał szkołę, dostarczał swetry, marynarki i krótkie sztruksowe spodnie. I oczywiście miał absolutną rację; przez cały czas my, chłopcy, dzierżyliśmy w swoich rękach życie innych ludzi, zwłaszcza później.

- Zaopatrywał Świętego Narcyza?

- Tak, choć podczas wojny musiały im wystarczać ubrania ze zwykłej serży, z czego wszyscy inni byli chyba zadowoleni. Wydaje mi się, że cała złota nić została zarekwirowana do mundurów wojskowych.

Biedne przygaszone Narcyzki!

- I mieszkałeś nad sklepem?

- Tak, przy ulicy Świętego Tomasza. Przez cały czas, dopóki nie wyjechałem na uniwersytet. To było sympatyczne stare domostwo, ale dziwnie się żyło ze sklepem pod spodem. Po godzinach bawiłem się za ladą i pamiętam uczucie, że jestem uprzywilejowany, ale też w jakimś sensie nie nadążam za innymi. - Co w ogólnych zarysach przypominało obecną sytuację Paula w muzeum. Złożył dłonie przed sobą i przyjrzał się swoim kciukom. - Równie dziwne rzeczy działy się w sklepie - ciągnął. - Przez długi czas nie wiedziałem, dlaczego ludzie wpadają późnym wieczorem i rozmawiają z ojcem w magazynie. Przychodzili również w ciągu dnia, mężczyźni, a także kobiety, oraz podczas szkolnych

wakacji, kiedy pracowałem w sklepie zmiatając i otwierając drzwi. Zauważyłem, że często pytali o rzecz dosyć niezwykłą, o jakąś purpurową wstążkę, i prowadzono ich na zaplecze podczas gdy mnie wysyłano ze zleceniami. Wychodzili zazwyczaj z paczkami w brązowym papierze, które musiałyby zawierać dosyć sporą ilość purpurowej wstążki. Raz spróbowałem o to zapytać, a ojciec bardzo uroczyście odprowadził mnie na bok i powiedział, że nie wolno mi o tym nigdy więcej wspominać. I oczywiście, że to nie jest zabawa.

Wyobraziłem sobie przyszłego studenta Rembrandta - już ze śladami jego obecnego dostojęstwa - biegającego ze zleceniami po miasteczku i podskakującego do drzwi sklepowych, gdy dzwonek brzęczał oznajmiając przybycie nowego klienta.

- I co o tym myślałeś?

Paul uśmiechnął się smutno. - Nie mogę przesadzać z tą moją niewinnością. Zapewne słyszałeś o reksistach, mówiących po francusku faszystach z tego kraju, no i oczywiście istniały też różne flamandzkie grupy sympatyków nazizmu. Sądzę, że po prostu przejąłem pogardę moich rodziców dla nich, jak to zazwyczaj robią dzieci. Choć cały obraz nie był do końca jasny: kilku krewnym ze strony matki podobał się pomysł, że mamy stać się częścią nowych, potężnych Niemiec. To zbyt skomplikowane, żeby wyjaśniać. Zresztą nie muszę tego wyjaśniać. Wielu nazistów szło prosto do lokalnej milicji, którą założyli Niemcy. Pamiętam, że chłopak o imieniu Frank, który był pomocnikiem w naszym sklepie i bawił się ze mną, gdy byłem mały, przyszedł pewnego dnia w mundurze i krzyknął Heil Hitler!, kiedy otworzyłem drzwi. - Paul wymamrotał osławione pozdrowienie jak na pół stłumione czknięcie. - Zapotrzebowanie na purpurową wstążkę nagle się urwało po tym incydencie. Zatem miałem pewne pojęcie o tym, co się dzieje. Oczywiście szkoła aż wrzała od plotek i pogłosek, więc dowiadywałem się tam różnych rzeczy, o których nigdy nie wspomiano w domu - często, należy przyznać, tylko dlatego, że były absolutnie nieprawdziwe. Pozostało mi wspomnienie, że nigdy nie wiedziałeś, czy możesz komuś zaufać. - Spojrzałem na niego uważnie, ponownie odczuwając, jak bardzo chce mi zaufać; ale unikał mojego wzroku, jego oczy powędrowały nerwowo w kierunku ponurego prostokąta okna.

- Pewnego dnia przy śniadaniu ojciec powiedział mi, że zamieszka z nami dwoje dzieci. Chłopiec mniej więcej w moim wieku, około piętnastu lat, co mnie absolutnie nie ucieszyło, i młodsza dziewczynka. Powiedziano mi, że mam się nimi opiekować, jako że porzucili swoje rodziny i będą bardzo samotni i zagubieni. Chłopiec będzie chodził do szkoły ze mną i pamiętam, że bardzo się denerwowałem, iż będę musiał przedstawić obcego mojej dosyć ekskluzywnej grupce przyjaciół. Trzymałem się nędznej wymówki, że jest moim kuzynem, choć tak nieskończenie dalekim, iż nigdy wcześniej o nim nie słyszałem. Lecz niepotrzebnie się martwiłem: okazał się naprawdę bardzo inteligentny, przeczytał więcej książek i widział więcej amerykańskich filmów niż którykolwiek z moich znajomych. Był naprawdę cennym nabytkiem i związek z nim jeszcze bardziej umocnił moją pozycję wśród przyjaciół. Musiałem dzielić z nim sypialnię, a on całymi nocami opowiadał tylko o książkach: wiem, że brzmi to nieprawdopodobnie.

- Och, nie dla mnie - odpowiedziałem cicho; uśmiechnął się.

- Z dziewczynką, muszę przyznać, była zupełnie inna sprawa. Wydawała się niesamowicie zagubiona, ciemnowłose maleństwo zamknięte w sobie; w nocy słyszeliśmy, jak płacze w swoim pokoju, a moja mama idzie ją pocieszyć. Obawiam się, że chyba ją zaniedbywałem, zostawiałem, by krzątała się w kuchni, gdzie wydawała się najszczęśliwsza. Sprawiała wrażenie, że żyje w innym świecie. Oczywiście przeraźliwie tęskniła za domem i miała dziwny nawyk niereagowania na swoje imię, dopóki nie zawołało jej się drugi czy trzeci raz, co raniło moje nowo odkryte poczucie własnej wartości.

- Jak miała na imię?

- Nazwano ją po matce świętego Augustyna: Monika. Ale jak się domyślasz, nie było to jej prawdziwe imię. Zdumiewa mnie teraz, ile czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że udzieliliśmy schronienia dwójce żydowskich dzieci. Chłopak ukrywał ten fakt ze zdumiewającą pewnością siebie. W rzeczywistości pełen był pewności siebie; w jakiś dziwny sposób potrafił odciąć się od tego, co się działo, koncentrując się intensywnie na nauce i żyjąc w świecie książek. Sądzę, że przeczytał wszystkie powieści z serii Waverly poza jedną,

którą ukradziono z biblioteki. Lecz... Monika od początku jakoś wiedziała, że straciła wszystko. Była taka cicha, ponieważ żyła w bezustannym strachu, że się zdradzi. Mieli fałszywe papiery, fałszywe książeczki żywnościowe i szkolne mundurki uszyte przez mojego ojca. Oczywiście to właśnie goście zawsze zabierali w szarych paczkach: dziecięce ubrania z podrobionymi dokumentami pod podszewką. Okazało się, że moi rodzice należeli do podziemnej siatki pomagającej tysiącom żydowskich dzieci zniknąć lub zmienić tożsamość, kiedy ich rodzice nie mogli już nic zrobić.

- Inaczej zostaliby deportowani...

- Dokładnie. Jeszcze po pięćdziesięciu latach drzę na myśl o tym. I nie wszystkim się udawało: dzieci nie mają takiej samodyscypliny, nie mogą wiecznie przebywać w krainie pozorów. Mnisi i inni nauczyciele w różnych szkołach siedzieli na dynamicie. Ryzykowali życiem, żeby ratować te dzieci, ale naprawdę to one trzymały ich los w swoich rękach. Jeśli gestapo znalazło ukryte żydowskie dziecko w szkole, ani dziecka, ani nauczyciela, którego uznano za odpowiedzialnego, nikt już nigdy nie widział. Ja osobiście nie chciałbym pokładać takiego zaufania w przerażonym lub osieroconym nastolatku, ale co mogli zrobić, jeśli to była ich jedyna szansa?

- Zaczynam się bać, że powiesz coś o Monice i chłopcu.

- Nie, oni należeli do tych, którym się udało. - Posłał mi zdumiewająco radosny uśmiech. - W miarę upływu czasu nasza mała trójeczka stała się sobie bardzo bliska. Zostali u nas aż do końca wojny, dopóki nie dowiedzieliśmy się z całą pewnością, że ich rodziców... eksterminowano. Staliśmy się nierozłączni, jak to nastolatki: mieliśmy sekretny język, każde z nas na poły kochało się w pozostałych, pełno było też rywalizacji, która czasami znajdowała ujście w gwałtownych awanturach. Przy takich okazjach po raz pierwszy ktoś tak bezlitośnie opisywał moje wady. Oczywiście ciągłe przebywanie pod tym samym dachem sprawiało, że nie dało się tego uniknąć. Fakt, że było nas troje, dawał nam poczucie tajemniczej mocy, nam samym i ludziom z zewnątrz. Również trudno było zrobić coś samodzielnie lub w parze, bez tego trzeciego. Nie wiem, czy kiedyś przeżyłeś coś podobnego.

Pokiwałem głową i uniosłem brwi, by powiedzieć: „Kiedyś tam przeżyłem”.

- Jestem pewien, że odgadłeś pointę tej historii. - I choć raz pomyślałem, że rzeczywiście odgadłem.

- Cóż, jak przypuszczam, Monika musi być Lilli.

Paul westchnął uśmiechając się i spuścił wzrok, tak że przez chwilę zastanawiałem się, czy nie popełniłem pomyłki. Powiedział: - Nie będę udawał, że nie zaniepokoił mnie jej powrót. Straciliśmy kontakt, kiedy wyjechałem do Anglii. Ona wróciła do kraju i bardzo szybko wyszła za mąż. To naturalne, chciała rozpocząć nowe życie. Lecz już po kilku dniach przypomnieliśmy sobie, jakie jest to drugie. Oboje byliśmy wyczuleni po stracie bliskiej osoby, kłóciliśmy się, tak jak zawsze. Szczerze mówiąc, często było nam bardzo trudno. Najważniejsze jednak, że Marcelowi świetnie się z nią układało. Widziałem, że dla niej stanowi sposób na ponowne pogodzenie się z tym miastem, przynajmniej na tyle, na ile było to możliwe. Zabierali się nawzajem na długie spacer, które musiały wywoływać w niej koszmarne myśli, wspomnienie nastroju tamtych lat i podstęp, który pozwolił jej przetrwać, podczas gdy cała jej rodzina została unicestwiona. Wracała z Marcelem wyczerpana, mocno ściskając go za rękę - ewidentnie nie zdawał sobie sprawy, ile dla niej znaczy. Nigdy mi tego nie powiedziała, w rzeczy samej w ogóle nigdy o tym nie mówiła, ale jestem pewien, że pomógł jej zobaczyć świat swoimi oczyma - to znaczy z pewną świeżością i optymizmem. On również zdawał się zapominać o własnych nieszczęściach, gdy ona go chroniła.

Pomyślałem: dlaczego nikt mi nie powiedział? Mogłem nigdy tego nie odkryć. Beźladnie pognałem w przeszłość robiąc przegląd różnych półpijanych posiłków i zastanawiając się, czy nie powiedziałem czegoś potwornego.

- A co stało się z chłopcem?

Paul spojrzał na mnie uprzejmie, niepewnie. Spostrzegłem, że nadal myśli o Marcelu. Potem: - Och. z chłopcem. Cóż, pozostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi, poszliśmy razem na uniwersytet. Jeśli powiem, że zostałem nauczycielem - powiedział Paul wahając się z lekkim rozbawieniem - to prawdopodobnie powiem już wszystko.

Niezdarna weryfikacja opinii zajęła mi kilka sekund. Nic nie odrzekłem, ale uśmiechnąłem się i powoli skinąłem głową, by wyrazić moje zdumienie, a następnie zupełny brak powodu do zdumienia. Zatem dwoje sierot opiekowało się dziećmi - cóż, wydawało się to właściwe, taką formę przyjęła jakaś nieodmienialna potrzeba. Usłyszałem trzeszczenie deski i odwróciłem się, by zobaczyć, że Helene stoi w drzwiach wychodzących na schody. Rękę trzymała na klamce i nachylała się w stronę pokoju, jakby czekała na znak, że nam nie przeszkadza. Ciekaw byłem, jak długo tak stała i słuchała. Paul musiał ją widzieć: ten cień rozbawienia był być może wywołany jej obecnością przy zakończeniu historii jej ojca.

Obeszła biurko, stanęła za krzesłem Paula i pochyliła się, aby go objąć, ramiona luźno krzyżując pod jego brodą i przyciskając policzek do jego skroni. Gest zdawał się pełen świeżo nabytej dorosłej pewności siebie, choć była to również pieśczoła, którą dziecko przymila się do surowego, lecz sentymentalnego starszego krewnego. Trwała tak, patrząc na mnie lśnącymi oczyma, aż Paul poklepał ją po ręce, a ona powoli się wyprostowała. Biło od nich spokojne zadowolenie, że zostałem wtajemniczony; równocześnie odczułem też złe strony położenia nowicjusza - musiałem milcząco przyznawać, jaki głupi byłem do tej pory.

Wstałem dużo gwałtowniej, niż zamierzałem, i w zwykłym odruchu spojrzełem przez okno na mgłę, która unicestwiała ulicę, równocześnie tworząc bladą iluminację.

- Prawie że powiedziałam ci wcześniej - odezwała się Helene - kiedy poszliśmy na spacer, pamiętasz? Ale tatuś i Lilli nigdy o tym nie rozmawiają, zatem nic wydaje mi się właściwe, że bym ja to robiła.

- Po prostu bardzo się cieszę, że w ogóle tu są - powiedziałem po chwili, choć czułem, że nie powinienem teraz udawać, iż lubię Maurice'a bardziej niż w rzeczywistości. Ujrzałem, że szkolna rola wszystkowiedzącego rywala przetrwała i zatęchła na nim jak solidna, stara marynarka. Było to podłe z mojej strony, ale zaczęła mnie irytować wszechobecna moc niewypowiedzianego i hojny przejaw wdzięczności Helene, ta pieśczoła, która im mówiła, że kryzys już minął - nie czekał nadal, gdzieś na niewidocznych drogach.

- Masz jakieś wieści o Lucu? - spytał Matt tonem, który po raz pierwszy dopuszczał czułą troskę i wziął mnie zupełnie znieca. Głos mi się załamał pod lekkim naporem współczucia.

- Żadnych - odrzekłem i oddaliłem się od niego, a kąciki ust opadły mi w dół, jak u dziecka w chwili milczenia przed wybuchem płaczu. Stałem patrząc na jego pomiętoszoną pościel i oddychając głęboko; przemknęło mi przez myśl pytanie, kto tu spał. Matt trzymał się z dala ode mnie, układał taśmy w sterty z hałaśliwą dziarskością kogoś, kto udaje, że sprząta. Po chwili podszedłem i pocałowałem go. - W sumie jestem potwornie głodny - wyznałem.

Uśmiechnąłem się z ulgą tym swoim krzywym uśmiechem. - To skocz po jakieś hamburgery.

- Dobra. Nie mam pieniędzy. - Pogrzebałem w kieszeniach dzinsów z jakąś zбочzoną dumą i pokazałem kupkę moniaków, za które nic się nie kupi, garść drobnych, za które człowiek oczekuje, że żebrak lub uliczny grajek będzie wdzięczny. Matt zrobił coś podobnego, lecz on wyjął bukmacherski zwitek pieniędzy z ogromnymi, niewyraźnymi sumami zanotowanymi na górnym banknocie. Wyjął kilka tysięcy i zatknął mi je za pasek, jakbym był striptizerką; potem znów mnie pocałował.

Kiedy wróciłem z ciepłymi plastikowymi pudełkami, rozmawiał przez telefon: - Tak... właśnie... facet z Ameryki... tak, naprawdę seksowny... nie, nie je kotleta... och, tak, atleta... tak, atleta z niego że hej... - Puścił do mnie oko, przekrzywiając głowę, żeby przytrzymać słuchawkę, kiedy wyciągał zapaczowane dodatki z torebki. - Dobra, jest tu... Tak, Ed... To do ciebie - powiedział przyciskając guzik na automatycznej sekretarce.

- Kto to?

- Jakiś koleś z Ostendy.

- Czego on chce?

- Jesteś amerykańskim studentem, a on potrzebuje się po prostu wygadać. -

Zaskoczony zrobiłem unik. - No chodź, nieźle płaci. Trzyma w ręku kutasa. Powiedz mi tylko, jaki jesteś seksowny. - Matt wyciągnął słuchawkę w moją stronę, a ja bezradnie

wskazałem na swojego cheeseburgera, już stygnącego po podróży z Pałacu Biskupiego. - Jedz podczas pracy - powiedział.

Usiadłem. - Ale ja nie jestem Amerykaninem... - Nie było na to rady.

- Hallo? - burknąłem podejrzliwie.

- Och. cześć! To Ed, prawda? - Mężczyzna mówił z ciężkim amerykańskim akcentem, ale miał swojskie flamandzkie samogłoski.

- Ta. - Usadawiłem się i odwróciłem głowę tak. by nie widzieć Matta. Możliwość wpadki była na tyle wielka, że stwierdziłem, iż załatwię sprawę szybko i autoszyderczo, jakbym wywiązywał się z zakładu. Nigdy nie dzwoniłem do seks-telefonu. więc nie wiedziałem, jakie panują tam konwencje.

- No to skąd jesteś, Ed? - zapytał z cierpliwym podnieceniem facet z Ostendy.

- Z Oregonu - odrzekłem, zastanawiając się. czy dla niego brzmi to równie fałszywie jak dla mnie. Przypomniało mi się. jak wystawialiśmy w szkole Nasze miasto i tylko Ranek radził sobie z akcentem, osiągając coś pośredniego między Misiem Yogi a uduziwnioną wymową z Yorkshire.

- Och wspaniale. To w Górach Skalistych, prawda?

- Mamy Skalniaki, owszem. - Choć natychmiast opadły mnie wątpliwości.

- I drwali, mój Boże, jakie to podniecające.

- Ehę. Ale ja studiuję, nie zapominaj.

- Racja! To bardzo seksowne. Ale musisz znać kilku drwali?

- No, kilku chyba tak. - I usłyszałem, że śmieję się z zażenowaniem, jakbym naprawdę zwierzał się komuś ze zbereźnych weekendów w lasach Oregonu. Sięgnąłem po burgera i obróciłem go w dłoni, żeby nie upuścić luźnych krążków cebuli ani nadmiaru keczupu.

- Wspaniale. Więc jaką robisz specjalizację? - Nie wiedziałem, że w seks-telefonie potrzeba tylu informacji ubocznych. Usłyszałem, jak lekko zachłysnął się oddechem i pomyślałem, że może to go bierze.

- Och, nie rozmawiajmy o nudziarstwach! - zaprotestowałem, czując się bardziej

oswojony ze swoim akcentem, który nieodpowiedzialnie skręcał ku południu, by zdecydować, że jego modelem będzie klawy Bobby z Dallas. Nastąpiła chwila ciszy, w której usłyszałem odległe rytmiczne dźwięki. Wziąłem gryza letniej wołowiny z bułą.

- No to, Ed - głos stał się wolniejszy i bardziej poważny - nie zamierzasz mi powiedzieć, jak wyglądasz i, no wiesz, co sobie robisz?

Żułem jak szaleniec. - Pewno, pewno. No to od czego mam zacząć?

- Jesteś blondynem, tak chyba powiedział twój przyjaciel?

- Jestem blondynem. Właściwie bardzo jasnym blondynem. I mam spore mięśnie, bo, ten, pracuję dużo, pływam, i całe to gówno. - Wyglądało na to, że zmieniam się w Rexa Stouta. - Ta, mam brzuch jak głaz.

- Jak płaz?

- Tak jest.

- Och...

- Przynajmniej tak mówią chłopaki.

- Powiedz mi, ile ważysz, Ed - wciągnął oddech, jakby usłyszeć liczbę znaczyło tyle samo, co poczuć na sobie moją prawdziwą wagę. Uświadomiłem sobie, że nie umiem przeliczać kamieni na funty. Przypuszczałem, że 140 funtów to 10 kamieni, co było o tyle mniej niż miałem w rzeczywistości, że brzmiało wręcz na anoreksję.

- Sto sześćdziesiąt pięć funtów - rzuciłem władczo.

- Chyba naprawdę mi się podobasz, Ed.

- Wielkie dzięki. - Potraktowałem to jako komplement dla mnie i dla osoby, którą wymyśliłem i która mi również zaczynała nawet odpowiadać. Zastanawiałem się, kim jest mój rozmówca. Nie miałem nic przeciwko tej fazie mistrzowskiej gry wstępnej, nieświadomość całego systemu sprawiała, że brzmiałem tym autentyczniej. - A ty jak masz na imię?

Jego oddech był... ciężki: to było ciężkie oddychanie. Poczułem, że nie będzie uprzejmie okazać, iż to zauważyłem. Niemniej wyobraziłem sobie mężczyznę, może

starszego ode mnie, nagiego na łóżku, w przyćmionym świetle, jakoś poobwieszanego klipsami, paskami i podwiązkami, spoconego i twardego, ale odwlekającego ten moment mogący oszczędzić mu czas i pieniądze. W jego scenariuszu ja też byłem nagi. Znowu napchałem sobie usta burgerem.

- Masz dużego, Ed?

- Mm. Mmm. - A kiedy odchrząknąłem: - Ta, jest potężny. Jak... jak... półfunciak.

- Och, Ed, to naprawdę rozkosznie... Duża, duża kiełbaska.

- No...

- Czy trzymasz go teraz w ręku?

- Ta. jasne. Ledwo obejmuję go dłonią. Unoszę go do ust...

- Och, chłopie. - Choć zabrzmiało to jak „och, chłopcy”.

- Coś z niego wycieka!

Na to nie padła żadna natychmiastowa odpowiedź, zatem jadłem dalej, lekko zaniepokojony priapicznym monstrem, które w tak zwięzłych słowach powołałem do życia. Facet musiał zakryć mikrofon: szczątkowa skromność kazała mu osłonić ostatnie momenty. Potem szepnął kuląc się tuż przy moim uchu: - Kocham cię, Ed. - Nie wiedziałem, czy powinienem odwdziżyć się czymś podobnym; przyszło mi do głowy jedynie „Cóż, ja też bardzo cię lubię”, ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem szcęk upuszczanej słuchawki i ujrzałem, jak wiruje na kablu, objając się o nogę stołu. Potem połączenie zostało przerwane.

- Kto to był? - spytał Matt. gdy odłożyłem słuchawkę.

- Nie wiem. - Teraz czas coś zjeść, proszę; i prócz głodu poczułem zdumiewające ukłucie żalu za moim nowym przyjacielem. Ciekaw byłem, czy znowu się z nami skontaktuje.

- Byłeś fantastyczny - powiedział Matt idąc w moją stronę przez zabałaganioną podłogę.

- Chyba podziało na niego.

- Oczywiście.

- Choć właściwie nic nie powiedziałem.

- Cóż, właśnie to działa - odrzekł Matt i posłał mi potworny uśmiezek.

Wyglądało na to, że Matt bawi się pomysłem założenia seks-telefonu. Miał już kilka automatów zgłoszeniowych zarejestrowanych na oddzielny numer, z nagraniami amerykańskich gwiazd porno spowiadających się ze swego prawdziwego życia. Co jakiś czas przez cały wieczór, gdy siedzieliśmy oglądając piłkę nożną, rozlegał się stukot ruszającej kasety i prawdziwie amerykański głos, bardzo przyciszony i dla mnie brzmiący dziwnie fałszywie, zaczynał cedzić słowa, na poły zagłuszony przez skandowanie na trybunach i wrzaski komentatorów. - Cześć, dodzwoniłeś się do Chada Mastersa, przypuszczam, że już mnie widziałeś... tak, mam jednego z największych... och, chłopie... dałbyś radę obciągnąć całego tego sukinsyna?... tak jak ja musiałem codziennie, gdy byłem nastolatkiem... - Byłem przez to niespokojny i roztrzęsiony, zdawało się, że noc wokół mnie pożytkowana jest jak śladami po pociskach smugowych liniami anonimowej lubiczności. Niewygodnie gnieździłem się z Mattem na jego krześle i wchłaniałem jedną butelkę piwa za drugą.

Później Matt wyciągnął video; uznałem, że próbuje mnie podniecić lub odwrócić moją uwagę. Zarabiał na rozkoszy i ludziach płacących za nią: nie umiał pojąć tych ciemniejszych stanów umysłu, odpornych na podniecenie lub mających je za złe. Jęknąłem i pomyślałem, że mogę się rozbeczeć, jeśli będę musiał patrzeć na pieprzających się facetów.

- Chodźmy po prostu do łóżka. Mogę zostać na noc?

- Jasne. Myślę jednak, że to cię naprawdę zainteresuje.

- Nie jestem twoim klientem, kotku. - Ziewałem i potykałem się o wszystko.

Matt wcisnął kasetę do maszyny. - Gra tu ktoś, kogo znasz. Ktoś, kto kiedyś wywarł na tobie ogromne wrażenie.

- Nie będę zgadywał - odrzekłem, ale mimo wszystko mój umysł zaczął kartkować podarty katalog mężczyzn, których znałem lub tylko przelotnie widziałem i zapragnąłem. - Tak czy siak, nie mam żadnych przyjaciół w tych kręgach. - Na ekranie pojawiła się drżąca

plansza i kapryśnie rozbrzmiała ścieżka dźwiękowa z muzyką rockową.

- To tylko amatorska rzecz, lokalna, żadnych zalet produkcyjnych czy odpowiedniego montażu. Wielu ludzi woli takie coś. a kiedy występują tam chłopcy, których mogą znać z codziennego życia, filmy stają się bardzo popularne. - Czytałem o czymś podobnym w domu: mężczyźni z osiedla zbierają się, by popatrzeć na video, na którym jeden z nich rżnie córki innych: czułem, że oglądam moje własne fantazje odbite w krzywym zwierciadle hetero - podobali im się mężczyźni po piwie i nie ogoleni, a dziewczyny cysate i młode. Zakryłem twarz dłońmi; potem, kiedy Matt powędrował do kuchni, sięgnąłem po pilota i przewijałem do przodu całe wieki.

Matt obudził mnie szarpiąc za ramię, usiadł i ze zmarszczonymi brwiami patrzył na dwóch mężczyzn dupczących się obłąkańczo, z bezdźwięczną histerią wczesnych filmów. Wziął pilota i gwałtownie zwolnił akcję - jęknąłem patrząc, jak normalny czas wlecze się bez żadnego uroku, zwleka bez żadnego powodu.

Później pojawiła się potworna sypialnia, gdzie światło odbijało się od srebrnawej „abstrakcyjnej” tapety, i dwóch chuderlawych chłopców, którzy nie mogli osiągnąć erekcji, zawzięcie działało w pozycji 69. Musiał to być oczywiście czyjś pokój, prawdopodobnie reżysera, jeśli można go tak nazwać - spędził tam potem noc, może sam, gdy już dał chłopakom forszę na narkotyki, oczywiście mniej niż potrzebowali - pokój iskrzył się złą wiarą. - To najgorsza rzecz, jaką w życiu widziałem - stwierdziłem. Nad łóżkiem jakaś święta kobieta, może nawet sama Dziewica Maryja, zwracała podobne do spodeczków oczy w stronę nieba. Udawałem, że śpię, a potem zasnąłem.

Jeszcze później - minutę? dwadzieścia minut? - pojawił się młody mężczyzna leżący twarzą do łóżka, nagi i blady, ale większy i silniejszy niż większość upiornej obsady filmu. Nogi miał rozsunięte i widać było mrok włosów na jego jajach; twarz miał zagrzebaną w poduszkach. Kamera myszkowała po nim pokazując muchę, która przysiadła i spacerowała sobie po jego białej dupie. Odleciała, gdy kamera odjechała w bok, ukazując półotwarte drzwi i stojącego za nimi mężczyznę w koszulce - koło czterdziestki, brodatego, z nadwagą. Dżinsy

miął opuszczone do kolan - brandzlował się podglądając chłopaka: wydawał się autentycznie zaangażowany i była to nowa nuta w filmie, coś ochotniczego, odczuwanego naprawdę, a przez to jeszcze trudniejszego do zniesienia.

- Właśnie ten facet nakręcił to video - powiedział Matt.

Chłopak stał plecami do nas, widzieliśmy go tylko od ramion w dół, gdy tymczasem para owłosionych rąk nieumiejętnie obrabiała i sondowała jego tyłek. Jak wszystko w tym filmie trwało to całą wieczność - czuleś, że mogłeś polecieć do Aten albo przeczytać łapy z Poynton w czasie, który potrzebny był na dokonanie jakiejś zmiany. Dezorientowała mnie myśl, że ktoś mógłby oglądać dla przyjemności to, co zdawało się karykaturą wszelkiej seksualnej szczęśliwości. Nareszcie znaleźliśmy się od przodu, gdzie klęczał mężczyzna z miękkim kutasem chłopaka w ustach. Obciągał go i obciągał; czasami brał go w dłoń i wtłaczał w niego odrobinę życia, ale kutas po chwili znowu obwisał. Nie widzieliśmy twarzy tego młodego człowieka, jedynie silne, smukłe ciało; lecz chyba obudziło się w nim coś na kształt poczucia winy, jego dłonie zaczęły niechętnie pieścić rzednący skalp fellatora i spoczywały tam wystarczająco długo, byśmy dojrzeli wpijający się w jego palec pierścienek z czaszką oraz wytatuowane litery R. Ó. Ż. A.

Pod koniec starszy mężczyzna spuścił się na nogę Róży i widać było mleczne krople zwisające i sączące się przez gęste włosy na jego łydce. Róża nie szczytował i kamera podryfowała w oklepanym ujęciu w dal ciągnącą się za otwartym oknem. - Była teraz noc i przez kilka sekund widzieliśmy z góry cień i migotanie miasta, światła na chodnikach przed domami odbite echem we wstęgach świateł na statkach w doku, a między nimi sieć ulic, pulsujących i bezimiennych.

Czułem ogromny opór przed zdjęciem ubrania, więc pospieszyłem do łóżka w koszuli i spodniach. Owinąłem się kocami, a kiedy przyszedł Matt, drżący i podniecony, objąłem go jak stary zapaśnik, tak że ledwo mógł oddychać. Zanim zaczął chrapać, byłem już ugotowany na twardo i musiałem wstać z łóżka, żeby się rozebrać. Stałem tak, mizerotka. z oczyma półprzymkniętymi ze zmęczenia, rozpinając guziki koszuli. Kiedy wygrzebywałem się z

dżinsów, rozległ się stukot, od którego aż podskoczyłem i przewróciłem się, a potem głos tuż za moimi plecami, intymny i niepożądany: - Cześć, dodzwoniłeś się do Chada Mastersa, przypuszczam, że już mnie widziałeś...

Wszedłem powoli na pustą arenę Grote Marktu i przystanąłem, by go podziwiać lub przynajmniej potwierdzić jego wyblakły podziw dla samego siebie. Czułem się samotny niby jedyny człowiek, który przetrwał w mieście wyniszczonym przez mór - i zaniepokojony tym, jak długo mogę mieć nadzieję, że dam sobie radę sam, owrzodziały i kulejący. Postawiłem kołnierz płaszcza Cherifa i uniosłem głowę, by przyrzeć się Dzwonnicy, która zdawała się wykrzywiać i przewracać na tle szybko płynących chmur. Kiedy opuściłem wzrok, kręciło mi się w głowie prawie tak. Jakbym wszedł na górę - jakże kojąco podziałało na mnie, gdy usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu.

Odwrociłem się. a w moją stronę szybkim krokiem zmierzał Patrick, krzywo uśmiechnięty, odwracając wzrok. Było coś swobodnego, a mimo to oficjalnego w naszym spotkaniu na środku tego potężnego placu, więc rozłożyłem ramiona, żeby gestem pokazać jego ogromny rozmiar, choć on mógł pomyśleć, że czekam aż padnie mi w objęcia. Bardzo mocno rzucał się w oczy w różowej kurtce narciarskiej na zielonej koszuli z tartanu, jak zawsze wystającej z przodu. Pomyślałem, że jest bardzo przystojny, a potem dostrzegłem w nim niepokój i determinację osoby przynoszącej złe wieści.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, zmarszczyliśmy brwi i zaczęliśmy przytupywać, jakbyśmy czekali na pojawienie się innych, może reszty rozgromionej Trójcy: zauważyłem, że Patrick i ja mieliśmy tylko wspólnego przyjaciela, sami nie byliśmy przyjaciółmi.

- Masz ochotę pójść gdzieś na kawę? - spytał.

Wszedłem w poszukiwaniu śniadania, ale zmartwienie kasowało wszelki apetyt. Ruszyliśmy w kierunku starej kawiarni po drugiej stronie placu, pomyślałem, że to miejsce może być zbyt eleganckie i uładzone, ale zabrakło mi woli, by zasugerować coś innego.

- Miałeś jakieś wiadomości od Luca? - rzuciłem lekkim tonem.

- Od tygodnia żadnych - odpowiedział prawie tak, jakby nie miał pojęcia, że cokolwiek się stało.

- Ach. Pomyślałem sobie, że możesz mieć.

- Nie, nie widziałem go ani nie miałem od niego wiadomości od tego wieczora, kiedy wszyscy spotkaliśmy się w... barze. Chyba jesteś ostatnią osobą, która go widziała.

Wiedziałem, że siedzę w tym po same uszy. Czasami zastanawiałem się, czy go nie zamordowałem, a potem wymazałem wszelkie wspomnienia o tym wydarzeniu - teraz sztywno kucnął w jednej z moich wielkich szafek, a Hiszpanki wyczuwały już fetorek.

- Oczywiście wasza przyjaciółka Sybille rozmawiała z nim później.

Patrick postąpił mi dziwnie posępne spojrzenie. - Cóż, to możliwe - przyznał popychając drzwi, a mnie przejął dreszcz, gdy wkroczyliśmy do ciepłego wnętrza. Usiadłem zastanawiając się, dlaczego idę przez życie nic nie wiedząc, nigdy ani odrobinę mądrzejszy; wydawało się, że jestem uczniem mego ucznia.

- Sugerujesz, że kłamała?

Patrick opadł naprzeciwko mnie na stojące ukosem krzesło, ręką omiatając stolik. - Nie, tego bym nie powiedział. - Wydał mi się pełen rezerwy, dumny i trochę uroczy w tych młodzieńczych porywach emocji, o których nierozumie oskarża się dorośli. - Ona zmyśla różne bajki - powiedział jak łobuz, którym niegdyś był, nadal z tą samą skrywaną niepewnością.

Przyszły mi na myśl jej nadęte teorie na temat moich przyjaciół - ale czy pewna przedwczesna stanowczość nie była dozwolona wśród młodych ludzi? W ten sposób oczarowywali i podbijali - nagle stanąłem po jej stronie.

- Dlaczego miałyby to zmyślić? Przecież pożyczyła twój samochód, chyba się nie mylę, i pojechała kawał drogi przejęta tym telefonem: kazał jej się stawić w... gdzieś tam.

- Nie, pewnie masz rację... - Przyszła kelnerka, a on pozwolił mi złożyć zamówienie; świadom byłem, że mnie obserwuje. - Nie wiem, co wiesz o Lucu - powiedział później.

- Uhm...

- Sybille jest w nim zakochana do szaleństwa - spłoszył się. - Dlatego może bywa bardzo nieuprzejma, zawsze wygląda tak spokojnie i tak cholernie pięknie, że nie zdajesz sobie sprawy, iż pod spodem potwornie się martwi, i wtedy mówi rzeczy, których naprawdę nie myśli. Próbuje nie wypuszczać go z rąk i trzymać z dala od wszystkich innych. - Spojrzał na mnie wielkimi brązowymi oczyma ekstrawertycznego chłopca uczącego się o sprawach serca; pomyślałem, że nigdy nie będzie się bał jego demonów i zawsze będzie otrzymywał to, czego zachce. - Uważa cię za potworne zagrożenie.

Przez kilka sekund wierzyłem, że się nie czerwienię.

- Jestem tylko jego nauczycielem - powiedziałem nerwowo drapiąc się po głowie i czując się ogólnie skompromitowany, jakby Patrick zasugerował jakiś nikczemny pożądlivy motyw w prostym fakcie, że z nim teraz siedzę. Okręciłem się i zrzuciłem z ramion gorący płaszcz. - Luc nie jest we mnie zakochany, na miłość boską. - Nigdy przedtem nie wyraziłem tego tak otwarcie, nawet sam przed sobą.

- Może lepiej by było, gdyby był - odrzekł Patrick maskując ryzykowność tych słów pruderyjną miną.

Przez minutę lub może dłużej milczeliśmy gapiąc się w stronę baru, jakbyśmy nie myśleli o niczym szczególnym. Nie mogłem jeszcze stwierdzić, jaką wrogość czuł do mnie ten chłopak, i zaczynałem przypuszczać, że on sam też nie wie i oczekuje jedynie przygnębiającego pocieszenia płynącego z pogawędki. - Czy Luc nie mógłby spróbować być z Sybille? - zaproponowałem nieszczerze.

Patrick chrząknął niewesoło. - Pewien jestem, że chciałby... - I powstrzymał się od dalszego mówienia, gdy przyniesiono kawę z mlekiem. Potem: - Nie, są przyjaciółmi od bardzo dawna.

Zanurzyłem usta w ciepłej piance i kryjącej się pod nią szokująco gorącej cieczy i na kilka sekund wrócił do mnie przytłaczający nastrój kultu miłości, któremu poddajemy się mając te naście lat, jego przejmujące dreszczem nowe absoluty, hormonalny szał. - Wybacz mi, jeśli jestem zbyt wścibski - powiedziałem z uśmiechem. - Ale odniosłem wrażenie...

pamiętasz pewien weekend, kiedy w trójkę pojechaliście gdzieś nad morze, chyba do domku twoich rodziców?

Patrick spojrzał na mnie ostrożnie. - Często to robimy.

- To było całkiem niedawno. Luc powiedział mi później, że był tam tylko z tobą, a potem wymknęło mu się, że była też z wami Sybille. Uznałem, że... ukrywa fakt, iż pojechał z nią.

Pomyślałem, że Patrick lekko się zniecierpliwiał tym drobiazgowym dochodzeniem, bo przez chwilę nie odpowiadał. - Mój przyjaciel Luc jest bardzo lojalny - odezwał się w końcu. - W rzeczywistości krył mnie i Sybille. Byliśmy... byliśmy wtedy kochankami; jak mówisz, całkiem niedawno. Cóż, ojciec Sybille jest ministrem kultury i nie możemy wywołać skandalu. Myślał, że Sybille pojechała z... innymi przyjaciółmi. - Podniósł filiżankę, a potem ją odstawił. - Właśnie w ten weekend nagle zdecydowała, że kocha Luca, a nie mnie. Pamiętam, że wypłynąłem z nią naszą łodzią, a ona niemalże ją... - Gwałtownie odwrócił dłoń uderzając jej grzbietem w stół.

- Wywróciła.

- Wywróciła. Musiała zakochać się akurat w najlepszym przyjacielu swojego chłopaka, żeby sprawić wszystkim jak najwięcej problemów. - Był przybity własnym doświadczeniem, ale także dumny z niego oraz z faktu, że upoważnia go ono do sceptycyzmu w stosunku do dziewcząt. Z napięcia kręciło mi się w głowie, gdy wspominał kolejne tego dramatu, zupełnie oddzielne, lecz tak mrocznie wiążące się z moim.

- Niewątpliwie wydawała się bardzo porywczą i zaborczą, kiedy tego dnia spotkaliśmy się o świcie na środku pola. Wyglądało to niemalże jak pojedynek. Oczywiście nie miałem pojęcia, dlaczego znowu uciekł, nigdy nie mówił mi nic osobistego. Nie mogła nic poradzić na to, że sprawiała wrażenie, jakby uciekł od niej.

Przez twarz Patricka przemknął nerwowy uśmiech. - Au contraire - zaprzeczył. - Uciekał ode mnie.

Zabrzmiała w tym nuta mocno niechętnego wyznania, a ja przyjąłem jego zaskakującą

treść wielkodusznie i z radością. Zatem mieliśmy jednak coś wspólnego, mogłem mu pomóc mimo wszystko. - Zatem oboje się w nim kochaliście! - I naturalnie nie było w tym nic zadziwiającego - zaskakiwało mnie, że tłumy bezbronnych wielbicieli nie gromadziły się wokół Luca na ulicach.

- Au contraire - powtórzył z pewną satysfakcją z harmonijnej i polimorficznej żywotności Trójcy. - On kochał się we mnie.

Poczułem, że musiałbym być Racine'em, by dotrzymać kroku temu niepohamowanemu trio, zmianom w ich namiętnościach, które w retrospektywie zdawały mi się skomasowane w czasie niewiele dłuższym niż jeden dzień.

Moje serce absurdalnie przyspieszyło spostrzegłszy drugą szansę, przepiękne potwierdzenie tego, w którą stronę kierowały się myśli Luca, potrzebę, by dostać się do niego teraz, zanim zdąży to zrobić ktokolwiek inny. Przemierzałem myślami mapę z na nowo rozbudzoną zazdrością i wrażeniem zagrożenia. Bezprecedensowe poczucie winy z ostatniego tygodnia i strach, że to ja go wyгнаłem, zniknęły w głębszym nurcie tych nowych wyjaśnień - przeszły nie zauważone, nie podejrzewane. Jeśli go zabiłem, to tylko we śnie.

- Tak - ciągnął Patrick, być może zauważając moją pedalską aureolę i chcąc się zdystansować - po tych wszystkich latach oświadczył, że mnie kocha.

- To nie oznacza, że cię nie kochał przez ten cały czas - zaprotestowałem, dbały o uczucia Luca w obliczu dotkliwie wyniosłego zachowania Patricka. - Czy też że nie był gotów pokochać cię, gdy przyszedł ten właściwy moment. - Na co spuścił wzrok i stracił trochę pewności siebie. - W każdym razie, ty go nie kochasz.

- Ależ oczywiście, że go Kocham - odrzekł z tą samą skrywaną dumą z powodu swojego niedawnego awansu do bractwa wyższych uczuć i ze śladem dąsu z powodu sugestii, że może zostało jeszcze coś, czego powinien się nauczyć. - Znałem go przez całe życie. Jest moim bystrym przyjacielem. Ja jestem jego przyjacielem, cóż, chyba jedynym przyjacielem. U Świętego Narcyza zawsze trzymaliśmy się razem, choć inni chłopcy go nie lubili. I oczywiście my... robiliśmy razem różne rzeczy... dawno temu. A ja już nie potrafię robić tych

rzeczy - tyle tylko mogę powiedzieć.

- To absolutnie zrozumiałe. A właściwie potwornie zwyczajne.

- Chciałbym móc, no wiesz, uszczęśliwić go - powiedział, smutny i kołtuński zarazem.

- Ale nic już zdaje się nie układać tak, jak powinno. Nasza grupka przyjaciół stała się grupą wrogów!

 Zaśmiałem się, częściowo współczująco. - Wtedy, kiedy spotkałem was razem, Luc powiedział, że się kłóciliście.

- To znaczy w barze?

- Tak. Powiedział mi, że jest zakochany i że złapał przeziębienie stojąc pod oknem, to musiało być twoje okno, przez całą noc...

- Nie zdziwiłbym się. To jeszcze nic. Dostaję setki listów, co dzień więcej. On zupełnie oszalał. Jak powiedziałem, całkiem nagle, chociaż ty może uważasz, że to zawsze w nim siedziało. Powiedział, że jeśli zgodzę się pójść z nim do łóżka tylko raz, wszystko będzie w porządku. - Chwyciłem się za gardło i odwróciłem wzrok. - Powiedziałem mu, że to nie ma sensu. - Przygarbił się i kilkoma łykami wypił swoją kawę. - Nie, myślę, że przejął ten pomysł od swojego kumpla Arnolda.

- Masz na myśli tego genialnego przyjaciela?

- Wspominał o nim? Jest teraz na uniwersytecie. Od lat szaleńczo kochał się w Lucu i byli też całkiem dobrymi przyjaciółmi, choć Arnold zgrywał jego drugą matkę, wciągał go w muzykę klasyczną i czytanie poezji. Lucowi pochlebiało jego zainteresowanie, cóż, jest dosyć inteligentny i nie chciał być nieuprzejmy. Ale popełnił błąd... kochając się z Arnoldem, tylko raz, ale prawdę mówiąc sędzę, że Arnold nigdy się z tego nie otrząsnął.

- Rozumiem.

 Patrick rozpiął kieszeń koszuli pod szeleszczącym kokonem kurtki narciarskiej. Wyrzebał kopertę, z której wyjął list i rozłożył go do połowy.

- Jest bardzo słodki - powiedział, podczas gdy ja odwróciłem wzrok, a potem pozwoliłem sobie strzelić oczami w mimowolnej próbie odszyfrowania tego, co dało się

dojrzyć z pospiesznego, niezdarnego pisma Luca. Patrick trzymał list blisko przy sobie i oglądał go w próżny i dosyć niesmaczny sposób - miałem uczucie, że mnie prowokuje jego osobistą i niekontrolowaną zawartością, że nosi go jako sentymentalny dowód miłości i chce, żebym dostrzegł, w chwili gdy go odwraca, namiętny i staroświecko czuły zwrot, którym się zaczynał i który przez wieczność całą mógłbym pragnąć usłyszeć od Luca. Pomyślałem, że zamierza przeczytać fragment na głos, ale wtedy potrząsając głową i uśmiechając się zdawkowo, postanowił tego nie robić. Zgarnął list i posłał mi szybkie, zimne spojrzenie, jakby chciał odciąć się od jakiegokolwiek rzekomej poufałości.

- W każdym razie nie napisał do ciebie, odkąd... odszedł.

- Nie.

- I myślisz, że uciekł przed tobą i przed swoimi uczuciami do ciebie? - Podkreślałem ten punkt z uporem i sceptycyzmem policjanta.

- Nie wiem - odparł Patrick ze złością. - Nie rozumiem, dlaczego ja mam być odpowiedzialny za jego czyny. Robił to już wcześniej.

- Tak, wiem. Ale tylko na jedną noc.

- Kto ci to powiedział? Trzy dni trwało, zanim policja go znalazła.

Nie miałem o tym pojęcia. - Tysiące młodych ludzi opuszczają dom i nikt nie wie, dlaczego - powiedziałem. Oszołomionych rodziców filmowano w dostatnio urządzonych mieszkaniach, a oni w odrętwieniu powtarzali, że przecież cała rodzina była taka szczęśliwa. Zawsze wydawało mi się, że stanowią dowód na absolutną niepoznawalność innych ludzi, na utajoną pasję sprowokowaną przez niedostrzegalną presję do autodestrukcji i zadawania bólu innym; właśnie w strachu przed tym żyła miłość i temu starała się zapobiec.

- Zastanawiałem się - powiedział Patrick - co się wydarzyło tej nocy, gdy zostawiliśmy was w barze. - Spostrzegłem, że subtelnie lecz bezpardonowo odwrócił role w naszym małym przesłuchanku.

- Cóż, nic szczególnego, z tego, co pamiętam - odpowiedziałem niemalże tęsknie. -

Luc powiedział, że jest bardzo nieszczęśliwy, ale nie wyjaśnił do końca, z jakiego powodu.

Gawędził z innymi moimi przyjaciółmi. - Przypomniały mi się drobne żądła jego wypowiedzi przed zaśnięciem: zakład trojga młodzików, zazdrosne przeczucia Sybille co do moich uczuć. A jednak zostawiła mnie z nim. Ale przecież sam Luc bolał nad napiętą atmosferą tego wieczora - dziwaczną uprzejmością maskującą rozłam w Trójcy, do którego się przyznał. Ciągnąłem ostrożnie: - Powiedziałem Lucowi, że musi wracać do domu, do łóżka, gdyż z samego rana mieliśmy odbyć lekcję.

- Taa, taa - przerwał mi Patrick.

Zastanawiałem się, ile on wie. Odkryłem, że pragnę jego zaufania: chciałem wejść w jego myśli i zająć miejsce nieobecnych przyjaciół, ukoić nieuświadomione osierocenie tego niezdarne go okresu w życiu. Pomyślałem, że mogę mu się wydawać obolały i ścierpnięty - zarówno drapieżnik jak i namiastka. - Żałuję, że nie mogłem bardziej mu pomóc - powiedziałem.

Lecz on zachował rozsądek: - Zrobiłeś, co mogłeś. Byłeś wszędzie, gdzie się dało w tej pogoni za chimerami! - Klepnął dłonią w stół zaznaczając swoje zadowolenie, że zna ten wymagany idiom i zmarszczył brwi w lekko wymuszonej trosce. - On jest nieznośny! - powiedział i szybko dodał: - Myślisz, że może nie żyć?

Odepchnąłem od siebie to przypuszczenie i stanął mi przed oczyma prosty panel Orsta z plażą, morzem i niebem o zmierzchu.

21

Czekałem na Paula w sali portretowej. Zgromadzone tam kobiety i dzieci nadal były mi obce, same czekające, jak się zdawało, z buziami zaróżowionymi po pobycie na świeżym powietrzu, w westybulu ciemnego laboratorium. Właściwie nie odwiedzałem ich od tej pierwszej nie do końca świadomej wizyty, kiedy to błądziłem po pierwszym szoku wywołanym Lukiem. Od nich należało zacząć zwiedzanie, od tych duchów szczęśliwej krainy, którą artysta pozostawił za sobą. Spoglądały z tła nieczytelnych starych obić ściennych, jak postaci z zalanego słońcem antebellum, nic nie podejrzewające. Szczególnie

dzieci - kuzyneczki i długonodzy chłopcy - były wzruszające i faunowate we wszystkich tych kapeluszach z błękitnymi wstążkami i eleganckich pantalonach do kolan. Orst uchwycił ich niepokój, krótkotrwałość odpoczynku, który na nich wymusił, zagnanych w głęboki kąć sofy lub ubranych w lamowane futrem płaszcze i kapelusze, jakby właśnie wrócili z zimowej przechadzki ożywione nowymi doświadczeniami, rękoma za plecami przyciskając drzwi, absolutnie niezdolne do skupienia się na czymkolwiek. Odkrył dziewczynkę również w swojej matce, choć zaczesane w tył włosy były siwe, a skóra srebrna i miękka nad wysokim białym kołnierzem. Oczy spuściła w dół na otwartą książkę w pozie Madonny Memlinga, a policzki miała zarumienione jakby właśnie usłyszała pierwszy w życiu komplement.

Paul wszedł z aktówką i kapeluszem filcowym. Mieliśmy pojechać razem do Brukseli, aby obejrzeć rzeźbę Orsta wystawioną na licytację, a ja sam miałem pójść na pogawędkę z Martinem Altidore' em, co przepełniało mnie obawą podszytą tajonym podnieceniem. Paul wręczył mi katalog z miejscem zaznaczonym zakładką i ujrzałem zdjęcie nagiego gipsowego torsu obłudnie nazwanego Printemps , podpisane w pierwszorzędnym żargonie *une de ses tres rares aures plastiques* . Ruszyłem do samochodu zastanawiając się, czy mógłbym jakimś cudem poprawić ten komentarz.

Przez kilka minut dostrzegałem coś niewytłumaczalnie komicznego w widoku Paula za kierownicą pociągającej małej alfy giulietty - był wyprostowany i roztropny, jakby nadal stosował się do wskazówek zapamiętanych z lekcji jazdy. Obawiam się, że okazałem to w jakiś sposób i uraziłem jego uczucia. Robiłem, co mogłem, podziwiałem samochód, potem gładko rozprawiłem o mieście w świetle zimowego poranka - choć gdy tylko znaleźliśmy się na peryferiach zrozumiałem, jak mało mi go brakuje, było to miasto upiorów, od kiedy odszedł Luc. Poczułem lęk na myśl o dalszym życiu tutaj bez niego, o bezcelowych miesiącach, o paraliżującym poczuciu przegranej.

- Żadnych wieści o chłopaku Altidore' ów? - spytał Paul powodowany subtelnym i wybaczającym współczuciem.

Odwróciłem głowę i przyglądałem się powolnemu odkręcaniu się wstecz

gospodarstw, a każda szopa, chatka i bezlistna topola była naga i krzyczała o jego nieobecności.

- Zupełnie żadnych.

Czułem, że Paul mnie obserwuje. - Bardzo go kochasz, prawda?

Topole, wiatrak, skrzyżowanie.

- Tak... tak, bardzo.

Zwolnienie, czekanie, wyprzedzanie.

- Bardzo mi przykro... to znaczy przykro mi, że musisz przechodzić przez to piekło.

Paul nie poczuł się zażenowany moim płaczem lub może wyczuł przebłysk ulgi przez krople łez, zasmarkany uśmiech na powitanie otuchy.

- To przecież musiało być... oczywiście!

- Och, wcale nie. Może odrobinę. Dopiero w retrospekcji coś do mnie dotarło, miałem drobne przebłyski, których znaczenia nie pojąłem we właściwym momencie.

- Bardzo często myślałem, że zrozumiałeś.

- Lilli mi o tym powiedziała. Wiesz, zostawiłeś trochę ubrań chłopca zmieszanych z twoim praniem. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że macie romans.

- Ach...

- Nie martw się, ona nikomu nie powie. Bo rozumiem, że to tajemnica.

- Uhm, jego mama chyba nie byłaby bardzo zachwycona.

- Można sobie wyobrazić, jaki by to wywarło wpływ na jej robótki - powiedział cicho Paul, niepewny, czy może sobie pozwolić na żart. Z wdzięcznością cicho parsknąłem śmiechem.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, pełnym wyczekiwania milczeniu, a ja tymczasem zastanawiałem się, czy będę śmiały wyznać mu więcej. W roztargnieniu dotykałem zamka przy schowku na rękawiczki.

- Rodney powiedział mi, że widział was razem w barze - odezwał się Paul, więc pomyślałem, że po prostu mnie rozrzewnia przed przystąpieniem do poważniejszych spraw.

- Byłem dla niego bardzo niemiły. Przypuszczam, że, jak on by to nazwał, badał mnie, nieprawdaż? Prawdopodobnie podejrzewa, iż ukatrupiłem Luca. Przepraszam, ale ten Rodney to jakiś koszmar.

- No, może nie jest bardzo... - wymamrotał Paul próbując się przystosować do niewątpliwie nieoczekiwanej opinii na temat jego nowego pracownika. - W każdym razie nie o to chodzi, po prostu wydaje się bardzo zaniepokojony miejscem pobytu chłopca. Wypytywał Marcela o całą waszą ekspedycję.

Pomyślałem, że i tak jestem zbyt podenerwowany, by musieć jeszcze myśleć o Rodneyu Youngu. - Nie potrafię tego wyjaśnić - warknąłem.

- On jest po prostu moją bele noire. - Paul zrobił minę mówiącą „Przepraszam, że o tym wspomniałem” i od razu ciągnął dalej:

- Nie krytykuję cię, mój drogi Edwardzie. Nie wiem, czy to, co zrobiłeś, jest właściwe czy nie. Ktoś mógłby powiedzieć, że zajmujesz pozycję osoby zaufanej w domu Altidore'ów, podobnie jak w naszym, i że taka pozycja raczej nie uwzględnia możliwości, iż wdasz się w romans ze swoim uczniem.

Wymruczałem swój fatalistyczny banał: - To się zdarza, zdarza się. - Byłoby zbyt stałą okolicznością łagodzącą, byłoby zbyt boleśnie prawdziwe, powiedzieć, że to chłopiec mnie uwiódł.

- Oczywiście, że to się zdarza. Wiem o tym. Pragnę cię tylko zapewnić, że to w żadnej mierze nie zmienia ani nie umniejsza mojego zaufania do ciebie. - Paul wszedł w kolejną fazę szczerości używając dziwnie oficjalnego języka.

- Dziękuję ci. - Zerknąłem na niego i zauważyłem, że jest aż sztywny z napięcia: rozpocząłem dalsze wdzięczne towarzyskie podziękowania, ale on wciął się z przygotowaną wcześniej następną częścią przemowy, może tylko lekko się zająknąwszy po przerwie...

- Ależ nie, wszystko to jest dla mnie bardzo fascynujące. Czy mógłbym... jest coś, co chciałbym ci powiedzieć.

Zbliżyliśmy się do następnego miasteczka, ogromne znaki gromadziły się, by objaśnić

nam nieuniknione wybory, których musimy dokonać. Patrzyłem na pola, składy towarowe, lśniące w słońcu parkingi samochodowe przy fabrykach, na zbitkę gotyckich wież przypominającą spartaczoną wersję naszego miasta. Czułem pewne opory przed wysłuchaniem Paula. Moje myśli wybiegały naprzód do spotkania z Martinem, które, jak sobie wyobrażałem, będzie stanowiło znacznie bardziej wyczerpujący sprawdzian niż ta rozmowa z Paulem. Pomyślałem, że może wykorzystuje tę godzinę, by odbyć ze mną próbę generalną, jak ustny test przed koszmarnym egzaminem. Nie chciałem, żeby nasza podróż zbyt szybko dobiegła końca, ale równocześnie niespokojnie pragnąłem wydostać się z samochodu. Przypuszczałem, że zamierza zwierzyć mi się z jednego z tych przeżyć, które opowiadający uważa za „niesamowicie podobne” do naszych doświadczeń, i które, ofiarowane jako dowód współczucia, przyczyniają się jedynie do obrabowania naszego kłopotliwego położenia z jego siły i wyjątkowości.

- Potwornie mnie martwi spotkanie z Martinem Altidore'em - wyznałem, jakbym go w ogóle nie usłyszał.

Poczułem, że drgnął po tej odprawie - przez sekundę stała mi przed oczyma atmosfera scen w samochodach, antagoniści przypięci pasami w sztywnych pozach, gapiący się przed siebie. Lecz kiedy się odezwał, zabrzmiało to jak próba negocjacji: - Rozumiem, że to trudne. - A po chwili sięgnął i poklepał mnie po ręce, akurat gdy ją odsuwałem. - Myślisz o tym, żeby wszystko mu wyjawić?

- Nie. Chyba, że będzie oczywiste, iż on wie. Jeśli Luc coś powiedział albo... Nie uważam, by musiał wiedzieć ktokolwiek poza mną i nim... i tobą. Szczerze mówiąc, mam pewność, że jego ucieczka nie miała nic wspólnego z tym, że my... - Nie mogłem wypowiedzieć na głos Paula szczęśliwej wersji wydarzeń. - To wynikało z czego innego. Nie chcę mącić wody obwiniając siebie.

- Altidore raczej nie mógłby nic ci zarzucić - uznał Paul - po wszystkim, co sam zrobił. Wiesz, ta biedna matka musi mieć powyżej uszu tego, że wszyscy od niej uciekają. Ale sądzę, że masz rację. Jesteś prawdomówny wobec siebie, a to zwalnia cię z wyczerpującej i

niepotrzebnej prawdomówności wobec innych. - Nastąpiła dłuższa pauza, w czasie której nieufnie analizowałem tę pożądaną radę. - Nigdy nikomu nie mówiłem o moim pierwszym romansie, ponieważ wywołałoby to zmartwienie, a nie służyło niczemu. Byłoby... niepotrzebnie szczere. - Jego skrępowanie wydawało się namacalne, determinacja wysuszyła mu usta i przydała dziwnej głębi jego głosowi. Byłem gruboskórny: zaplanowałem, że zostanie wysłuchany. Mimo to chciałem go wybawić z opresji, oszczędzić mu tych gwałtownych wdechów i bezustannego zerkania w lusterko. Może mógłby mi o tym opowiedzieć innego dnia, kiedy nie będziemy tacy zajęci i nie będziemy coraz bardziej przekraczać dozwolonej prędkości. - Naprawdę tak uważam, a ty? Nie wolno mylić brutalności ze szczerością, co robi teraz wielu młodych ludzi, ani niecierpliwości z bystrością, nawiasem mówiąc! Och, w moim przypadku przeżyłem swą namiętność w lecie, kiedy miałem siedemnaście lat i, jak to bywa, ze starszym mężczyzną. - Zatem ruszył z „niesamowicie podobnym przeżyciem”, wydobywał je na światło dzienne po upływie prawie pół wieku, słowami nie wyćwiczonymi, lecz z pewnością wypróbowanymi; zdobył moją sympatię. Widziałem, ile go to kosztuje, choć jeszcze nie wiedziałem, dlaczego.

Jeśli nadal nie udawało mi się go zachęcać, to dlatego, że nie chciałem wydać mu się brutalnie żądnym szczegółów - niezupełnie wiedziałem, jakimi słowami okazać zainteresowanie. Wybrałem nieokreślenie sztuczny wyraz trzeźwej koncentracji. - Opowiedz mi, jeśli na pewno tego chcesz - zaproponowałem. Z irytacją kiwnął głową, ale potem zacheł, jakby nieoczekiwanie utknął na marginesie wątpliwości, który pozostawiły moje słowa. Lub może przeciwiczone zdania umarły w nim, czy też z czasem zamieniły się w nonsens. Przechyliłem lekko głowę na bok, koncentrując się na jego nieszczęściu, które zdawało się rosnąć i stawać coraz bardziej niewyraźnym, gdy najpierw minęła pełna minuta, a po niej następna. Napięcie już wtedy zaczęło być żenujące i przyprawiające o mdłości, wręcz nie mogłem na niego patrzeć. Po chwili wyprostowałem się i wyrząłem przez boczne okno, gdy szpule mojego własnego niepokoju i żalu, zatrzymane na moment, zaczęły się znowu rozwijać. Zrobiłem jakąś trywialną uwagę, ale on nic odpowiedział, tylko uniósł dłoń

w tym swoim geście nawołującym do cierpliwości i zrozumienia. Gnaliśmy tak mniej więcej przez kwadrans, raczej szaleńczo sklecając z pasa na pas, Paul pochylony do przodu, jakby jazda wymagała całej jego uwagi. Pomyślałem, że skoro czekał pięćdziesiąt lat, co znaczy piętnaście minut? Ale wokół nas zaczynała już wznosić się Bruksela i zarażać nas swoim własnym spazmem niepokoju.

- Wiesz, jakie miejsce będę miał na myśli, mówiąc o Pustelni? - spytał.

- Tak, wiem - odrzekłem z uśmiechem ulgi, a on odwrócił się i zobaczył go. myśląc może, że był ironiczny.

- Och, przypuszczam, że to normalne miejsce dla ciebie. Myślę, że jest tam teraz tłoczno, jak to się mówi. odlotowo.

- Nie bywam tam często. Poszedłem raz i zgubiłem się, prawie zamarzłem i... - Cóż, nie wolno mi mylić brutalności ze szczerością. - I było beznadziejnie. Czasami myślałem, żeby wrócić w ciągu dnia i popatrzeć na drzewa, ale jakoś nigdy mnie tam nic zaniósło.

- To uroczy park. Z samej Pustelni został już tylko fragment, bardzo kiepsko odrestaurowany. - Jego pewność siebie zaczęła powracać przy tym profesjonalnym zwrocie. - Lecz piękne aleje i kanał, i pozostałości okrągłego ogrodu z basenem zasilanym przez naturalne źródło, i alkowy z cisów wyglądają jak trójwymiarowy Fragonard.

- Tak, myślę, że widziałem to wszystko w czasie moich pijackich wędrówek.

- Usłyszałem, jak ktoś wspominał o Pustelni w szkole - ciągnął Paul robiąc gładki przeskok w czasie, za którym dopiero po chwili nadążyłem. - Udawałem, że nie zwracam na to uwagi, ale jak wielu chłopców bardzo mnie to zaintrygowało. Ten chłopak powiedział, że człowiek z miasteczka, właściciel sklepu bardzo usłużny dla Niemców, chodzi tam co wieczór. Opowiadał całkiem szczegółowo, dopóki nie zaczął robić dziwnych min, wiesz, wydawało się, że wie za dużo. - Posłał mi szybki uśmiech zupełnie nie pasujący do wyrazu jego oczu. - W każdym razie zaczęło mnie to dręczyć. W pewnym sensie miałem obsesję na punkcie Pustelni, choć wiedziałem, że nigdy nie starczy mi śmiałości, by spytać o nią wprost; prowokowałem ludzi, by wspominali o niej, a potem robiłem wielką aferę, że ja to nigdy bym

nie chciał tam pójść. Co, oczywiście, w końcu zrobiłem, pewnego sobotniego wieczora na początku maja 1944, uprzednio zapewniwszy sobie wyszukane alibi przed Mauricem i Lilli i wymyśliwszy miliony pretekstów, gdybym przypadkiem spotkał kogoś znajomego. Jak wspomniałem wcześniej, podczas wojny wszyscy odkryliśmy, że mamy w sobie wiele odwagi, ale do tej pory byłem odważny tylko w oczywistych wspólnych działaniach - nigdy sam dla siebie. Niemalże zaczepiałem kompletnie obcych mi ludzi, żeby im wyjaśniać, iż wcale nie robię tego, co naprawdę robię.

Zaśmiałem się i pomyślałem o bieganiu późnym wieczorem do Ranka skrajem lasu; ogarnęła mnie pewna czułość, jakby sytuacja się odwróciła, i wstrzymałem się od przytaczania moich niesamowicie podobnych anegdot na poparcie tego, co mówił. Pomyślałem, że nawet chętnie obejrzałbym jego fotografie z tamtego okresu. Nadal miał w sobie coś z tej samej nieśmiałej śmiałości.

- Cóż, nie będę się wdawał w szczegóły, ale podkradłem się blisko. Liście na drzewach zaczynały już rosnąć, więc nie było wiele widać. W rzeczywistości nie widziałem w ogóle nikogo. Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym kogoś spotkał, i jak im się udaje robić to coś, co robią. Za każdym razem, gdy tam wracam - och, z Lilli i Marcelem, w niedzielne ranki! - słyszę wiatr w drzewach i przypominam sobie natychmiast tamten wieczór, gdy samotnie szedłem pustą aleją. Dzień zaczynał już odchodzić i pomyślałem, że ja też muszę; wiedziałem, iż najprawdopodobniej ten właściwy moment nadchodzi dopiero po zmierzchu, ale też zaczynałem podejrzewać ni mniej, ni więcej, że mój mimowolny szkolny informator mylił się co do tego miejsca. Wtedy ujrzałem mężczyznę krocącego przez polanę dokładnie naprzeciwko mnie - młodego mężczyznę, jak uznałbym teraz, miał gdzieś około dwudziestu pięciu lat, ale dla chłopca był on oczywiście stary. - Westchnąłem urażony i wspomniałem moje irytujące faux-pas co do wieku Paula w St Vaast. - Zauważył mnie, nie zwalniając rzucił powitanie i zniknął między drzewami. Nie byłem zupełnie pewien, co się stało. Stałem tam przez pewien czas rozważając sprawy typu która to godzina obok oczywistego faktu, że ten mężczyzna spodobał mi się, nawet jeśli nie był moim absolutnym

ideałem; te myśli z kolei były tonowane przez możliwość, że on po prostu sobie spacerował - może był robotnikiem z miasteczka. Ale w takim razie z pewnością nic się nie stanie, jeśli za nim pójdę.

- Ruszyłem zatem ścieżką pod drzewami, a tam, ledwie kilka kroków dalej, stał mój mężczyzna - do połowy skryty za potężnym pniem buka, o który się opierał. I tak... stała się jedna rzecz; a potem następna...

Czułem się odrobinę oszukany przez ten energiczny skrót, jakby zmierzch i listowie nie pozwalały mi dostrzec, co się wydarzyło - ale może też zadowolony, że Paul nie zmusza się do mówienia o tym. Wyraziłem aprobatę cichym pomrukiem.

- Cóż, były to dla mnie pierwsze wstrząsy erotycznej rzeczywistości: potężne dłonie mężczyzny, szorstkie policzki i broda, podobnie jak reszta. Byłem bardzo zmieszany, mój drogi Edwardzie, i potwornie świadom, że postępuję niewłaściwie. Ale stwierdziłem, że podnieca mnie ryzyko. A później, równie bardzo jak wielki interes tego faceta i inne rzeczy, rozpałała mnie jego łagodność, uczucie, że chroni mnie i osłania jakiś wspaniały olbrzym. Zapewne istniała jeszcze kwestia społeczna, która podobno u was odgrywa dużo większą rolę niż u nas - tamto miejsce i samo wydarzenie złożyły się na fakt, że myślałem o nim, jak to się mówi, jak o człowieku lasu.

Czułem, że jego opowieść rozkwita z głębokich nostalgicznych korzeni i rzuca cętkowany cień na szkło i beton, na Afrykańczyków wolno poruszających się przed tanimi sklepami, na rusztowania wysoko w górze. Całe to wspomnienie było piękne, afirmatywne - trudno było zrozumieć, dlaczego Paul pozwolił mu tak długo leżeć w jeżynach i glinie.

- Zatem spotkałeś go znowu.

- Prawdopodobnie sam bym do tego doprowadził, bo oczywiście byłem młodym romantykiem i dla mnie te dziesięć minut z przystojnym nieznanym znaczyły naturalnie to samo, co prawdziwa miłość, a poza tym istniały jeszcze romantyczne powikłania jak niebezpieczeństwo i grzech, gdyż tak chyba o tym wtedy myślałem. Teraz widzę, że również zgadzało się to z powszechnym w tamtych czasach poglądem, że wszystko co ważne jest

sekretem, zatem każdy sekret musi być na pewno ważny.

- To nie była zabawa.

- Zaproponował następne spotkanie. Nie zdawałem sobie z tego wtedy sprawy, bo dla mnie to on był cudowny, ale zapewne uważał się za szczęściarza, że złapał świeżego i, cóż, całkiem ładnego siedemnastolatka, nie sądzisz? W każdym razie wyglądało na to, że się w sobie zakochaliśmy. - Milczałem dosyć wstrząśnięty. Paul szybko mówił dalej: - To prawdopodobnie brzmi dla ciebie głupio, mogę tylko powiedzieć, że wtedy było to szalenie niezwykle.

- Ależ skąd - odrzekłem ciepło, uciszając powracającą nutę niepewności, jakby czuł, że nie może dorównać jakimś hulaszczym i cynicznym standardom, którym według niego miałem hołdować. Nie potrafiłem bez protekcjonalności wyrazić, jak bardzo wzrusza mnie jego pełna wątpliwości, pedantyczna uprzejmość.

Wspięliśmy się na chodnik i skręciliśmy w niską gardziel podziemnego parkingu samochodowego. Na każdym zakręcie serpentynowego zjazdu opony alfy piszczwały. Dopiero na czwartym czy piątym poziomie dostrzegliśmy wolne miejsca - Paul cofnął w zatoczkę, wyłączył silnik i siedzieliśmy patrząc w cieniistą prostokątną perspektywę, na beton prążkowany paskami żółtego światła, z całym ciężarem milczących pięter nad nami.

- Cóż, nadal spotykałem się z Willemem. Udawało mi się to, bo musiałem. Często jako przykrywki używałem wizyt u biednego starego Edgara Orsta - szedłem do niego na dziesięć minut po południu i zostawiałem staruszka bełkoczącego i zaskoczonego, żeby pojechać rowerem do Pustelni. Nie przyszło nam do głowy, żeby odważyć się na spotkanie gdzie indziej - w rzeczywistości było to idealne miejsce. Willem pochodził z wioski oddalonej o milę czy dwie i mieszkał ze swoim starym ojcem. Przechytryłem wszystkich, równocześnie ledwie wierząc, iż nie zauważają, że coś się dzieje. Trwało to przez kilka miesięcy - raj i szaleństwa. Początkowo nie, ale później robiliśmy ze sobą... wszystko. Same nasze spotkania trwały zawsze potwornie krótko - myślę, że prawie wcale ze sobą nie rozmawialiśmy.

Zauważyłem, że skręca mnie zazdrość. Myślałem o dwóch miesiącach paralitycznego drżenia przy Lucu, nic poza rozmowami i bezcelowym wahaniem się. Ach gdybymż od razu wykonał ruch, na samym początku pochylił się w jego pachnący kawą z mlekiem oddech...

- Potem pewnego dnia szedłem do szkoły z Mauricem. Przechodziliśmy przez Grote Markt, jak zawsze strojąc sobie żarty z żołnierzy, oczywiście tylko między sobą; bo nie opodal stała grupa lokalnej milicji, i wiedziałem od razu, tylko dlatego że go kochałem i rozpoznałbym jego sylwetkę wśród setki innych, że jeden z nich to Willem. Był odwrócony plecami do mnie, rozmawiał z kumplami paląc papierosa - jacyż oni głupi, zgodziliśmy się z Mauricem, i jak niewiele czasu im pozostało, skoro alianci wylądowali już we Francji i dotrą tu za kilka tygodni. Wyobrażaliśmy sobie potężnych, jasnowłosych Amerykanów o mocno aryjskich rysach, sunących majestatycznie przez miasto na czołgach, koszących faszystów i równocześnie podnoszących nas w górę, byśmy mogli z nimi jechać ponad tłumem. Tak sobie fantazjowałem. Myślę, że chyba, cóż, miałem nadzieję na szczególny związek z jednym z wyzwolicieli. A teraz popadłem w rozterkę - nie wiem, moja wina nagle stała się dziesięć razy głębsza, była udowodniona, nosiła mundur; ale równocześnie pojawił się też dreszcz buntu, jakbym sam został podwójnym agentem; a potem myśl, że ten wspaniały wielki chłopak, gnany własnymi silnymi namiętnościami i niezwykle śmiały, może trochę oryginał, zostanie niezadługo wymieciony przez dobrych Amerykanów i Kanadyjczyków - chciałem powstrzymać ich nadejście, może Niemcy zrobią natarcie. I w chwilę później znowu wiedziałem, że mam beznadziejnie złe myśli.

Kłykie Paula lśniły bielą na kierownicy, patrzył w skupieniu przed siebie. jak ktoś jadący zbyt szybko we mgle, stawiający pośpiech nad roztropność.

- Zobaczył cię wtedy?

- Wydawało mi się, że nie. Tego dnia byłem zupełnie oszalały; a później nie mogłem w ogóle zasnąć. Kiedy tylko słyszę zwrot „bezsenna noc”, wraca do mnie ta, która trwała wieczność, choć była to krótka letnia noc. Przecież po drugiej stronie pokoju znajdował się Maurice, będący w dużo większym niebezpieczeństwie niż ja, a śpiący spokojnie.

Przeanalizowałem wszelkie możliwe rozwiązania i w końcu postanowiłem, że będę musiał zrezygnować z Willema. Lecz zdecydowałem, że będę musiał też uczynić jeszcze jeden desperacki krok i poprosić go, by wyrzekł się faszystów, zanim nie jest za późno. Myślałem, że mogę uratować mu życie. Wiele godzin spędziłem powtarzając argumenty miłości, którymi zamierzałem go przekonać. Mój najśmielszy plan polegał na nakłonieniu go, aby został informatorem. Pomyślałem, że mógłbym przedstawić go ojcu, który miał kontakty w podziemiu, choć wiedziałem, że zaryzykuję wtedy życie setek osób. Czułem potworny ciężar na sercu, że muszę podejmować takie decyzje i wiedzieć takie rzeczy w tak młodym wieku. Przypuszczam, że musiałem dorosnąć w ciągu jednej nocy, a poważnie wątpię, czy jestem w stanie.

- Następnego wieczora pojechałem do Pustelni, lecz on się nie pojawił. Czekałem w naszym zwykłym miejscu, aż prawie zupełnie się ściemniło. Pamiętam głosy innych ludzi przechodzących opodal, bałem się, że ktoś się na mnie natknie. - Paul rozpostarł palce, jakby chciał wyczarować przed nami leśną mgiełkę ze wszystkimi jej ukrytymi możliwościami. - Działalem powodowany silnym, oraz bardzo romantycznym, poczuciem honoru. Moje myśli, jak już powiedziałem, pełne były rycerskich wizji, choć teraz nosiły one mroczniejsze brzemie.

- Parę dni później po południu, po szkole, poszedłem odwiedzić Orsta. Tak naprawdę pamiętam jedynie zaciągnięte story i półmrok, jakby Orst wtopił się w jeden ze swoich sztychów, jeśli możesz to sobie wyobrazić - tak nikła ilość światła, że przedmioty nie miały żadnych barw. Stara gospodyni powiedziała, że bardzo mu się pogorszyło, lekarz, przychodzący do nich potajemnie, ostrzegł, że prawdopodobnie nie zostało mu już wiele czasu. Nie wiedziałem, czemu otoczyli go tą półciemnością. skoro światło i tak nic dla niego nie znaczyło. Przypuszczam, że zrobili to w symbolicznym lub może zabobonnym odruchu. Było to w pewnym sensie przerażające, ale chyba zbyt mnie zajmowały moje własne lęki, bym się tym przejął, ponadto chlubiłem się tajemnym przystępem do niego i swoim dobrym sercem, że w ogóle tam przychodzę. Nic, co mówił, nie trzymało się kupy, poza może jednym

wyjątkiem, gdy zasugerował, że zaczynam go zaniedbywać, co próbowałem zbyć jako jego kolejny paranoiczny zwid. Miał wtedy mnóstwo planów dotyczących wakacji nad morzem, głównie o nich opowiadał, jak to się mówi, „wśród gęstniejących cieni”.

Kiedy wyszedłem z domu, Willem i jeszcze jeden żołnierz stali dokładnie po drugiej stronie ulicy. Umiałem już wtedy znakomicie udawać, ale albo drgnąłem z miną winowajcy, albo też wyglądałem na bardzo zaskoczonego, gdyż tamten żołnierz zawołał, żebym podszedł. Kazał mi pokazać papiery, spytał, z czyjego domu wyszedłem i co tam robiłem. Powiedziałem, że byłem z wizytą u starej kucharki i dozorczy, którym pomagałem w różnych robotach domowych. Spojrzeliśmy na ten wielki dom i ucieszyły mnie stopy i zamknięte okiennice na piętrze. Nie śmiałem spojrzeć Willemowi w oczy, a on tymczasem rzekł, że dom został już przeszukany, degeneraci uciekli, a teraz znajduje się pod opieką pary z dobrej flamandzkiej rodziny - wydało mi się, że wie bardzo dużo. Masowe deportacje Żydów ciągnęły się przez całe lato i w tamtym momencie faszysti uważali, że wyłapali już prawie wszystkich, więc z tym większą chwałą kojarzyło im się wykrycie tych, którzy pozostali. W rzeczywistości ukrywały się jeszcze tysiące ludzi, ale zaczęli się denerwować... zakończeniem. Wskoczyłem na rower, a gdy się zacząłem oddalać, Willem zawołał: „Przyjemny wieczór na przejażdżkę”. Odwróciwszy się ujrzałem, że się uśmiecha, a ten drugi koleś nadal podejrzliwie marszczy brwi.

Uznałem to za znak i poszedłem później na miejsce naszych spotkań. Był tam i czekał na mnie, ale w mundurze. „Teraz już wiesz” - powiedział i wyglądał na mocno zawstydzonego, gdy odpinałem kurtkę i zdejmowałem ją z niego, upiorne brązowe potworactwo. Myślałem, że nie będę mógł się do niego zbliżyć, ale okazało się, że mogłem, tak jak zwykle. Kiedy skończyliśmy... się kochać, próbował mnie zmusić, żebym założył jego kurtkę, chciał, bym był jego małym żołnierzem, jak powiedział. Włożyłem tę bluzę i siedziałem na leśnym runie, a materiał drapał mnie w skórę, i mówiłem, mówiłem do niego. Pamiętam, jaka to była dla nas nowość i zaskoczenie. Ale nie pamiętam tego, co mówiłem. Prawdę powiedziawszy, przerabiałem to później niezliczoną ilość razy, powoli wciskając w

nowy, mniej oskarżycielski kształt, jak stolarz lub szkutnik podgrzewający i gnący drewno w taki łuk, którego potrzebuje. Nie będę udawał, że wiem, jakich argumentów użyłem i jakie dowody sprokurowałem. Wiem, że większość z tego, co pamiętam, stworzyłem sam później dla własnego pożytku.

- Próbowaleś tylko pomóc. - Czułem, że mój lęk przed ojcem Luca ogniskuje się na niedoli Paula: siebie również usiłowałem usprawiedliwić tą ckliwą uwagą.

- Następnego dnia obudziłem się ze świadomością, że zrobiłem coś potwornego. Wymknąłem się bardzo wcześnie i pojechałem do Orsta, jak najszybciej mogłem: musiałem ich ostrzec, że dom jest pod obserwacją. Skręciłem za róg - w naszą ulicę - i ujrzałem zaparkowaną furgonetkę, grupę ludzi przed drzwiami frontowymi, żołnierzy, wysokiego oficera gestapo dobrze znanego w mieście, gruppenleiters, oraz paru sąsiadów. Było to bardzo nieostrożne z mojej strony, ale nie mogłem się powstrzymać - powinienem był natychmiast zawrócić, ojciec wbijał mi do głowy, że nigdy nie wolno mi się niepotrzebnie w nic mieszać. Podjechałem bliżej i właśnie wtedy wyprowadzono drogich staruszków i wepchnięto ich do furgonu. Nie zauważyli mnie, lecz widok ich milczącego przerażenia po dziś dzień budzi we mnie ból. Zapadła dłuższa cisza, stoicka, pozbawiona złudzeń cisza ze strony sąsiadów; byli zaciekawieni i na swój nieszczęsny sposób czuli, że oto natrafia się okazja, że zaraz zostanie wyciągnięte na światło dzienne coś, co było bardzo długo skrywane. Kiedy ukazał się Orst, wszyscy się przeżegnali. Willem popychał go w fotelu inwalidzkim, lecz starzec już nie żył, podrygiwał i chwiał się. gdy kółka podskakiwały na bruku. Twarz miał pozbawioną kropli krwi, a oczy otwarte szeroko: wyglądał, jakby gapił się ze złością, a usta rozwarł w szyderym uśmiechu. Szedł od niego zapach, więc kobiety uniosły fartuchy do twarzy. To groteskowe, ale wiara widzów dorównała niebezpieczeństwu - cicho rozgłosili między sobą, kto to jest, uronili łzę, wymamrotali modlitwę, spektakl został przyjęty bez protestu.

- Potem żołnierze dźwignęli ciało w fotelu, to znaczy malarza, do furgonetki i pozostał tak przez chwilę, zanim zatrzaśnięto drzwi, niby na krześle sędziowskim. Ukrywanie się w tłumie nie miało sensu, widział mnie teraz, choć nie widział nigdy przedtem. Byłem w tym

szalonym stanie oszołomienia, kiedy głowę przepętniają retoryczne głosy: zdawało się, że pyta mnie z goryczą, jak to miał z zwyczaju, co widzę na ulicy, jaki kolor mają chmury. Potem odjechał - wszyscy odjechali. W jakiś czas później mogliśmy zażądać wydania ciał służących, żeby ich pogrzebać. Orst, jak wiesz, nie ma grobu.

Nie ma grobu. Jakże często nie udawało mi się rejestrować dowodów przez negację, białych płócien, niewidzialnego skrzydła muskającego stronę.

- Ale co się stało?

- Tego, mój drogi Edwardzie, nie wiem. - I spojrzał na mnie przenikliwie, jakby chciał, żebym ja wreszcie mógł mu to wyjaśnić. - Willem musiał wiedzieć. Patrzyłem, jak stał przy samochodzie, i pamiętam, że myślałem o tym, jak dobrze go znam, w sensie fizycznym. Widziałem na wskroś przez jego potworny uniform. Wiedziałem, jak poruszają się jego ramiona i jak rosną włosy na jego piersi i u dołu pleców, i między nogami. Znałem jego bliznę po wyrostku i kółka po szczepionkach na ramieniu. Wiedziałem, co potrafi robić tymi potężnymi dłońmi w swoim innym życiu, życiu miłosnym. Mimo katastrofy wszystko to nadal wydawało się triumfem. Pomyślisz, że oszalałem. Mógł wtedy podejść i aresztować mnie: widział, jak łkałem w tłumie i być może nie rozumiał, że płaczę nie za Orstem, lecz za nim. Posłał mi spojrzenie, ale nie zdradził mnie.

- Ależ on zdradził cię już wcześniej!

- Cóż, nie sądzę, by zdradził mnie choć w przybliżeniu tak strasznie, jak ja zdradziłem Edgara Orsta i tych niewinnych ludzi, którzy go chronili.

- Nie możesz mieć pewności, że to twoja wina: dom był pod obserwacją, nie wiesz, jak on zmarł...

- Ale skąd mamy wiedzieć, co jest naszą winą? Wydaje mi się, że młodziak nie może wiedzieć. Trzyma w swych rękach życie osoby starszej i - jest roztargniony, pochłonięty sobą, nadgorliwy lub może zupełnie bezmyślny, nie ma pojęcia, co robi - nagle je upuszcza.

Pod wszystkimi tymi upokorzeniami, do których Paul przyznawał się otwarcie, po raz kolejny dostrzegłem jego subtelne zrozumienie życia, bystrą inteligencję bezradną wobec jego

własnych problemów, które mogła jedynie obserwować i opłakiwać. Poza tym samo wyznanie uczynił tak beznadziejnie poniewczasie, tak długo je wstrzymywał, powodowany jakimś wewnętrznym oporem, że tajemnica, której było relikwiarzem, rozmyła się i zacięła swoje istnienie niemalże do samego końca. Współczułem mu, ale też uświadamiałem sobie, że daleka perspektywa jego objawień odbiera im trochę atrakcyjności. Westchnąłem, pokręciłem głową i skupiłem się nad znalezieniem jakiegoś sposobu, w który mógłbym grzecznie rozgraniczyć nasze kłopoty.

- Chodźmy popatrzeć na tę jego rzeźbę - zaproponował. Czekaliśmy w milczeniu, aż winda z brzękiem opadnie na dół. Wiedziałem, że nie reaguję tak, jak powinienem, i wyczułem jego niepokój, zabarwiony paniką, którą zdusił kolejnym wyznaniem: - Nie potrafię wytłumaczyć, jak to się stało, że tak bardzo mi pomogłeś z tym wszystkim, ale to prawda. Och, pomogłeś mi na mnóstwo sposobów, robiąc korektę i cierpliwie pracując, ale nie o to chodzi. - Zawahał się. - Czasami miałem ochotę jeszcze bardziej przeciągnąć pracę nad katalogiem, po to tylko, by cię zająć i byś nadal mną się opiekował, byśmy opiekowali się sobą wzajemnie. - Rozległo się dzyń! i drzwi rozsunęły się owiewając nas aromatem dymu z cygara, przypominającym świeży trop upragnionego mężczyzny. Weszliśmy do środka, drzwi zasunęły się i po kilku sekundach wznoszenia się Paul pocałował mnie w policzek i objął rękoma waląc mnie aktówką w krzyż. Gapiłem się nad jego ramieniem na swoje odbicie w metalowej ścianie windy.

Printemps - trochę mniejsza niż naturalnych rozmiarów, z poważnymi szarymi oczyma i kaskadą rudych włosów - wydała mi się złowieszczą. Prawą pierś miała lśniąca i zniszczoną, jakby była często pocierana, niczym duży palec u nogi świętego wypolerowany przez rozmarzonych zelotów. Figura kończyła się w kolanach i stała na zmatowiałym, łuszczącym się, połączonym cokole. Budziła kłopotliwe wrażenie, że zamarła w ruchu i czeka, by capnąć widza w chwili nieuwagi. Pomyślałem, że powinna być w podstawie szparka na monetę, po wrzuceniu której głowa zaczynałaby się kiwać, oczy wywracać, dolna warga i broda opadać i kłapać; mogłaby też wydawać powolny, powtarzający się śmiech:

następnie znów zamierałaby bez ruchu, tak jak teraz, z szyderczą obietnicą w spojrzeniu i uśmiechu.

22

Dla Hiszpanek znów zaczął się czas zabawy: ich głosy przeżywały się jak piły tarczowe przez dźwięki muzyki i rozmów. Oczywiście Boże Narodzenie. I jakież mnóstwo przyjaciół miały. Spojrzałem w dół na absolutną ciszę ogrodu z tyłu, nagie drzewa, kanał, gnijącą wodną bramę pogrążonej w ciemnościach szkoty. Dopiero trzecia, a już się ściemniło. Nie mogłem dojrzeć małej statuy pod gałęziami jabłoni: cieszyłem się, że nigdy tam nie zszedłem i nie wiedziałem, kogo przedstawia. Nieubłagane akordy flamenco i dumne stukanie w pudło gitary, rytm w rozbawieniu wytupywany na nagiej podłodze, przesyłany przez wiekowe legary do mojego pokoju. Czułem się osamotniony, ale równocześnie pogardliwie antyspołeczny, jak czasami w dzieciństwie, kiedy pogardzałem imprezami Charlie'ego. Wyobraziłem sobie, jak przesadnie ciskają głowami i błyskają oczyma niby na okładce longplaya Fiesta Latinoamerykańska z lat sześćdziesiątych.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Było to coś tak niezwykłego, że oczyma duszy nieomal ujrzałem całe moje życie. Obawiałem się powrotu Cherifa, płaczkliwych wyrzutów lub udawania, że nie stało się nic poważnego. A może to biedny, zakłopotany Paul, pomyślałem, w poszukiwaniu pocieszenia, które tylko ja jeden wydawałem się zdolny mu zaoferować. A co, jeśli stoi tam Luc, puszysty od nie golonego zarostu, z tłustymi włosami, głodny...? Przeszedłem przez pokój zapewniając siebie, że to tylko Marcel, któremu pomyliła się pora lekcji lub zapomniał, że ma ferie.

Na zewnątrz, w aureoli nieskalanej młodości i piękna, stali Alejo i Agustino. Zatem przebaczone mi? Ten pierwszy, w jednej ze swych jaskrawych, jedwabnych kamizelek, niczym występny prefekt, pocałował mnie w oba policzki, podczas gdy jego kuzyn sztywno wyciągnął rękę, ale też lekko się uśmiechnął: sprawiał wrażenie, że nakłoniono go do tej wizyty pochlebstwami i że absolutnie polega na Alejo jako przyzwoitce. Mimo to czułem się

w jakimś sensie pobłogosławiony przez nich, śmiesznie wzruszony, że znalazło się dla mnie miejsce w ich myślach.

- Agustino chce cię o coś poprosić - powiedział Alejo. Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce w geście mówiącym „O co tylko zechce”.

- Moje siostry pytają, czy nie zechciałbyś przyjść na ich przyjęcie.

- I... - podpowiedział Alejo.

- I ja też cię zapraszam.

- Ja również.

- Och... to potwornie miło z waszej strony.

- Z okazji Bożego Narodzenia, a także mojej siostry, hm, onomastycznego... święta - dodał Agustino, zadowolony z kolejnego racjonalnego uzasadnienia ich gestu.

- Bardzo jestem wzruszony, proszę podziękujcie swoim siostrom, byłoby cudownie w końcu je poznać, ale niestety jestem unieruchomiony przez pewną robotę w domu. - Spostrzegłem, że obaj z ciekawością zerkają za moje plecy w ponury zaduch pokoju. - A poza tym lada moment będę musiał wyjść na spotkanie z kolegą na drugim krańcu miasta. Ale dziękuję wam, dziękuję, przyjaciele. - Przez chwilę byłem Scroogem grającym pana Brownlowa. - Mam nadzieję, że będziecie się świetnie bawili. - Uchwyciłem na niezrównanej twarzy Agustino blask podwójnej satysfakcji.

Nie zniósłbym przyjęcia, prosta towarzyska kurtuazja przerastała ostatnio moje możliwości: ale zanim cichaczem przemknąłem się przez podwórko, świadom, że zauważono mnie z okien moich sąsiadów - skuloną postać w mroku - zacząłem czuć się upokorzony ich propozycją, jak jakiś zdziwaczały stary wdowiec zaproszony na rodzinny indyka. Uświadomiłem sobie również, że lękam się tańczenia z obcymi dziewczynami.

Po metalicznych kolędach na ulicach, mechanicznym amoku zakupów, świątecznym czyścicu, jaskrawym, lecz nieprzyjemnie wilgotnym, poczułem się, jakbym wreszcie dotarł do domu, otworzywszy ciężkie drzwi baru i usłyszawszy, jak sprężyna zatrzaskuje je za mną.

Znowu mogłem się poruszać w zwolnionych rotacjach tego innego czyścica i jego gębokomorskim mroku z miedzi i zieleni.

Usadowiłem się przy barze i złożyłem zamówienie, rozkoszując się faktem, że szefostwo po malkontencku odrzuciło cały ten świąteczny chłam, po czym usłyszałem buczenie starodawnych fletów, jak impertynenckie echo dawno minionych koncertów na koniec semestru. Odwróciłem się i ujrzałem w rogu grupę zarośniętych mutantów, ciał w dżinsach i rozlazłych swetrach zwieńczonych głowami z pogniecionego filcu i czarnej szczeci, z otworami na oczy, jakby ktoś palcem przedziurkował kość. Jeden, z zagadkowo długą szczęką i kłapciatymi uszami, pomachał do mnie ręką, co wywołało stłumione chichotanie reszty. Kiwnąłem do niego głową w nadziei, że to by było na tyle. Obudził się we mnie głupi strach przed maskami.

Oczywiście wiedziałem, że to Gerard, gdy podszedł, rozpoznałem jego szerokie biodra i jasny puszek na wierzchu dłoni.

- Zapomniałem, że jesteś osłem - powiedziałem.

Jeśli nawet zamierzał posłać mi sarkastyczne spojrzenie, to zostało ono dokładnie ukryte pod groteskowym kinolem. - Jestem zajęciem. - Miał dwie pary ust: jego prawdziwe usta i podbródek pozostawały odkryte pod gębą maski, żeby mógł grać, podczas gdy usta niedźwiedzia i mały nachodziły na wargi muzyków w bardziej niepokojący sposób.

- I kiedy macie koncert?

- Dzisiaj. Nie przyjdiesz? W starej Sali Soborowej.

- Oczywiście, bardzo chętnie. Można jeszcze dostać bilety?

- Kompletnie wysprzedane. - Z żalem przymrużyłem oczy. - Ale prawdopodobnie będę mógł cię wprowadzić. Przyjdź wcześniej. - I zaczął na rzecz tego, jak i gdzie.

Niewątpliwie był to Dzień Dobroci Dla Mnie.

Żeby uwolnić się od tego wszystkiego, wróciłem myślami do dnia, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, właśnie tutaj - chciałem go pocałować, a on wykręcił się, ale został ze mną, ciepły, cichy i wymijający. Przyszło mi na myśl, że teraz nie mógłby nikogo pocałować.

Nastąpił upiorny moment, gdy inni zgromadzili się wokół, jak niezgrabne chimery, ukrywając zażenowanie pod futrem i wąsiskami. Niedźwiedź z piszczałką, grający kawałek, do którego normalnie kasanoby mu tańczyć, zakwilił jeszcze kilka razy. Odprowadziłem ich spojrzeniem, uśmiechając się bez przekonania. Odeszli powłócząc nogami, zrywając sobie maski z głów jak szermierze i odkrywając zaróżowione, młode twarze. Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi, odwróciłem się z przeproszającym grymasem do barmana. drogiego małego Ivo, który trzymał uszy i oczy otwarte oraz pomagał mi kilka razy wcześniej - z zewnątrz doszedł przerażający hałas, huczący powtarzający się skrzek, i następny, i następny. Brzmiał jak nigdy nie używana syrena na tonącym statku. Gerard w końcu wyrwał się na wolność ze swoim bombardonem.

Ivo wykonał zniewieściały gest trwogi przyciskając ściereczkę do serca. Chwilę później:

- Cieszę się, że poszli. Grali mi na nerwach!
- Mnie również. - Przystanął przy mnie i zapatrzył się w ladę, jakby próbując podjąć wątek przerwanej konwersacji, po czym pokręcił głową.

- Zostajesz w mieście na święta?
- Wracam do domu za kilka dni.
- Z powrotem do Londynu, tak?
- No, trochę na południe od Londynu.
- Szczęściarz! - Rozpiął guzik kieszeni koszuli i wyjął paczkę marlboro. - Chcesz?
- Wielkie dzięki. - Podałem mu ogień.
- Dziękuję. Wydaje się, że wszyscy zmykają stąd najszybciej, jak mogą. To nie znaczy, że ich winię.

Nie wiedziałem, co o tym myślę. To miejsce sprawiało mi przykrość, budziło ból nieobecnością Luca, każda ulica szydziła ze mnie, lecz bałem się wyjechać, choćby na kilka dni, bo mógłby mnie wtedy potrzebować albo poczuć zimową tęsknotę za domem.

- Miałem nadzieję, że będzie tu Matt.

Ivo zerknął na zegar.

- Trochę za wcześnie na Matta, czy jak on się tam nazywa.

- Chyba masz rację.

- Pewnie jest zajęty.

Uśmiechnąłem się i wypuściłem dym. Ciekaw byłem, ile wie o moim przyjacielu. -

Może być. - Tak naprawdę to było za wcześnie na kogokolwiek: jedynie zbyt szybko zapadający zmrok w tym najkrótszym dniu w roku przydawał tej godzinie aurę pory na drinka.

- Pewnie ktoś mu dostarcza zajęcia, z tego, co wiem. - Nie całkiem zrozumiałem. -

Nadal widuje tego chłopaka?

Myślałem o tym przez chwilę i łyk piwa. - Nie wydaje mi się. O którego ci chodzi? -

Nie mógłbym uczciwie powiedzieć, że wiem albo że jestem zazdrosny.

Ivo przybrał swoją plotkarsko „dyskretną” minę. - Nie wiem, jak ma na imię, kotku.

Po prostu pewnej nocy obserwowałem, jak Matt go podrywa. Następnego dnia opowiadał mi wszystko o tym, a tu dzieciak znowu wchodzi. Był nienasycony, rzekł Matt. - Zerknął na boki wzdłuż baru. - Wziął go siedem razy i to w czasie pierwszej nocy. Czułem umiarkowaną zazdrość, bo chłopak raczej nie był w moim typie - wiesz, bardzo, bardzo wysoki uczeń, blondas z ustami jak gąbka. Mimo to, zaledwie siedemnastoletni... Miło zarwać coś naprawdę świeżego.

Rękę nadal miałem pewną, serce kamienne.

- I kiedy to się stało?

- Och... - zastanawiał się bez wiary, że to ma jakieś znaczenie: - Trzy albo cztery

tygodnie temu? Jedno trzeba Mattowi przyznać: zawsze dostaje to, czego chce. Chociaż nawet on wyglądał na odrobinę zużytego. Potem dzieciak całował go cały czas, a Matt obłapiał go między nogami - białe dżinsy, wiesz - mówię, że mi się nie podobał, ale kiedy się nad tym zastanowię, to stwierdzam, że był absolutnie fenomenalny. Po prostu na ogół wolę ciemnych mężczyzn - wyznał trzepocząc rękami i odsunął się, żeby obsłużyć innego klienta.

Nadal byłem zdumiewająco spokojny, choć zaciągnąłem się gwałtownie papierosem i popatrzyłem na podniszczone siedzenie barowego stoika obok mnie, na którym Luc siedział taki nietykalny tamtego wieczora. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, była arcynaiwność jego uwagi, że „ten facet Matt musi być gejem”; a potem obsceniczny, zachęcający gest Matta za plecami chłopca. Szybko, choć w zadumie, dokończyłem drinka i stanąłem właśnie obok drzwi, kiedy otworzyły się z rozmachem i z perfekcyjną koordynacją, by wpuścić załatany świat RONALDA STRONGA. Pomyślałem, że choć raz odezwę się do niego pierwszy, w końcu umysł miałem jasny i nabuzowany, więc przystanąłem patrząc na niego ironicznie - ale on z miną pokerzysty błyskawicznie zmierzył mnie z góry na dół i przemknął obok. Ruszyłem do wyjścia rzuciwszy pod nosem stłumione, ledwo słyszalne: „Pierdol się”.

Przemierzałem miasto wstrząśnięty, ale opanowany, jak w pierwszych chwilach po tym, gdy umrze ktoś, czyjej śmierci się spodziewaliśmy. Ten koszmarny fakt towarzyszył mi, był mi znany przez cały czas - i tym bardziej wiarygodny, że objawił mi się we śnie.

Dalej do Matta, przez szerokie, zaniedbane ulice, wśród domów rozchwianych przez ciężarówki, chodników i okien zamulonych i oślepionych przez kurz. Z ciekawością obserwowałem własne zdecydowanie, zastanawiając się, kiedy straci na sile. Matt nie dbał o nic i był dzięki temu osobliwie niewrażliwy na ciosy - przecież ułatwiał życie wszystkim, powie, że „tylko przygotowywał dzieciaka dla mnie”, i może to prawda, może przysposobił go do tej przygody. Rozważałem, czy Matt może być zamieszany w jego zniknięcie - ale nie widziałem w tym sensu. Pomyślałem, że zaraz zerwę z nim na dobre, odkuśtykam w śmiechu wartych strzępach godności własnej, ale może to też nie miało sensu; lubił mnie, ale nie oszaleje z tęsknoty za mną, gdy tymczasem mnie paraliżowała przeszkoda w postaci sentymentalnego respektu za rolę, jaką odegrał w mojej porażce. Dotarłem do wylotu jego ulicy.

Włókłem się wzdłuż zaparkowanych samochodów napętnionych cieniem przez latarnie uliczne, choć czasami można było dostrzec jakieś pudełko lub dziecięcy bucik

ukośnie przecięty smugą światła, leżący przez całą noc pod tylnym oknem. Jakże posępnie i bezpiecznie wyglądały te hermetyczne wnętrza, odgradzone od świata jedynie taflą szkła. Oczywiście zawsze chciałem mieć samochód, ale nigdy taki, na jaki mogłem sobie pozwolić - gardziłem perspektywą spędzania całych dni na podjeździe usmarowany rdzą z maxi lub 1100. Chciałem jensena CV8 albo polującą na miłość giuliettę, taką jak ta Paula. A oto Bractwo św. Kaspiana, na poły bezpańskie, nadal emanujące jakąś niewyobrażalnie ukrytą dewocją. A potem rozległ się dźwięk tak często słyszalny u Matta, przeraźliwy dwutonowy ryk syreny okrętowej, odbijający się echem na pustej ulicy, niczym końcowy akcent sekcji dętej w nieznanym Requiem.

Tył domu był ciemny, jeep stał na podwórku luźno owinięty nylonową plandeką, szeleszczącą, unoszącą się i opadającą w podmuchach wiatru, jakby ktoś pod nią siedział. Wszedłem na oszklony ganek, nadal woniejący przyćmionym wegetacyjnym zapachem azalii i kauczukowych pnączy, a potem do mieszkania z własnym bukietem brudu spryskanego wodą kolońską. Zatem przyprowadził tutaj Luca. Zapaliłem papierosa i stanąłem nad łóżkiem z obrzydzeniem rozgrzebując je stopą jeszcze bardziej. Przez sekundę lub może trochę dłużej pozwoliłem sobie ich wyobrazić. Zdaje się, że puściłem już w niepamięć fakt, iż spałem tu od tamtej pory, niczego nie świadom, w nadziei na zapomnienie.

Jeep zapalił z charkotem, następnie zajęło mi chwilę odnalezienie świateł i przełącznika na krótkie. Wrzucenie wstecznego też okazało się zawile. Lecz potem byłem już za bramą, siedziałem wyprostowany, gotów do drogi, a w ryku rury wydechowej postyszałem drżenie tamtej pierwszej wyprawy nad morze: gwałtownymi zrywami przejechałem ulicę, przyzwyczajając się do prowadzenia. Miałem nadzieję, że minę Matta wracającego do domu, a potem poczułem ulgę, że tak się nie stało. Na czerwonym świetle zatrzymałem się za małym fiatem z trzema młodzieńcami z tyłu i dwoma z przodu, dowcipkującymi i hałaśliwymi, w drodze na ubaw; moje reflektory pogłaskały ich czyste karki. Smutno zawyłem silnikiem i jeden z nich obejrzał się, zauważył lśniące chromy i jasne lampy rajdowe, i wyszczerzył zęby - tymczasem kierowca, zwąchawszy okazję, też dodał gazu i gdy światła się zmieniły,

wystrzelił do przodu z kwikiem opon. Nie psułem im zabawy.

Poza miastem noc była wietrzna i połyskliwa, światła gospodarstw i domów na odludziu świeciły jasno przez pola, a czasami rozszczeptały je i przesłaniały nagie czubki drzew. Przez jakiś czas droga wiodła po wysokim wale kanału morskiego, a woda w nim była czarna i ledwie widoczna. Nie było żadnych statków, tylko archaiczna bryła pogłębiarki z oświetloną i pustą platformą. Położyłem wolną rękę na siedzeniu obok niczym na udzie niewidzialnego pasażera. Maski jeepa szwargotała telepiąc się od pędu.

Luc czekał w Ostendzie patrząc na morze przez szybę nakrapianą solą. Policzki miał zapadnięte, a oczy zwężone z bólu i przekory; poczułem, że okradziono go z piękna i trudno byłoby mi go wyróżnić z tłumu otaczających go dzieciaków. Stał się ofiarą, na którą się gapi i której się żałuje, budzącą współczucie dla rodziny i przyjaciół - i to właśnie w chwili, gdy jego przyszłość przejaśniała się jak wzgórze w pierwszej poświacie, przygotowywała się na jego przebudzenie. Stałem przed nim i powtarzałem jego imię, choć wiedziałem, że nie może mnie widzieć ani przypomnieć sobie tej nocy, gdy wziął moje życie w swoje ramiona. Spoglądał poza mnie, jakby z bezpłodnym morzem łączyły go dużo prawdziwsze więzi. Minęło nas kilku spóźnionych spacerowiczów przyglądając się, jak czuвам w swoim wielkim, nieszczęśliwym płaszczu; nie wiedzieli, czy studiuję grafik zachodów słońca i przyplływów, czy podpisane fotografie osób zaginionych.

Cytat z książki Philipa Larkina *The Whitsun Weddings* (przyp. tłum.)

fr. - Niegdyś Herodias, co jeszcze? (przyp. red.)

fr. - wstydlivość, skromność (przyp. red.)

fr. - początek roku szkolnego (przyp. red.)

Belgravia - modna i ekskluzywna dzielnica Londynu niedaleko Hyde Parku; Bermondsey - biedna dzielnica

mieszkalna w pd.-wsch. Londynie (przyp. tłum.)

fr. - dwuznaczność (przyp. red.)

fr. - przedmioty cnoty (przyp. red.)

fr. - mroczny, posepny (przyp. red.)

fr. - natrętny, nachalny, nie na miejscu (przyp. tłum.)

fr. - wyniosłość (przyp. red.)

Mayfair - modna i droga część londyńskiego West Endu, z ekskluzywnymi hotelami, restauracjami i sklepami

(przyp. tłum.)

Lek antywirusowy stosowany w leczeniu AIDS (przyp. tłum.)

fr. - Trójca nie wzbudza podejrzeń (przyp. red.)

hiszp. - dzielnica (przyp. red.)

fr. - powóz biskupa (przyp. red.)

Stał przed trzecimi drzwiami (przyp. red.)

W sypialni mojej starej krewnej (przyp. red.)

Co zrobi tam, nienasycony? (przyp. red.)

fr. - mała forteca marzeń (przyp. red.)

Regencja - styl w meblarstwie i architekturze panujący w Anglii pod koniec XVIII i na początku XIX wieku.

Odpowiednik francuskiego empiru (przyp. tłum.).

ang. - siedzenie, zadek (przyp. tłum.)

Angielskie szkoły prywatne dzielą się na domy mieszczące internaty dla chłopców (przyp. tłum.).

fr. - wiejski dworek (przyp. red.)

Klasa szósta jest najstarszą klasą szkoły średniej i zazwyczaj dzieli się na dwa lata: lower sixth i upper sixth,

czyli niższą i wyższą szóstą. Przygotowuje ona uczniów do A-level examination, egzaminu zdawanego w wieku

17-18 lat na zakończenie edukacji w szkole średniej, będącego podstawą przyjęcia na wyższe uczelnie (przyp.

tłum).

fr. - bohater powieści A rebours Karla-Jorisa Huysmansa (przyp. red.)

Cooperative Commonwealth Federation - Federacja Współpracy we Wspólnocie Brytyjskiej (przyp. tłum.)

Cinque Ports - nazwa historyczna określająca pięć przybrzeżnych miast w pd.-wsch. Anglii. Są to: Hastings,

Dover, Sandwich, Romney i Hythe, później dołączono jeszcze Winchelsea oraz Rye (przyp. tłum.).

May Day - 1 maja. tradycyjne święto wiosny, w czasie którego odbywają się różne imprezy na świeżym

powietrzu (przyp. tłum.).

Tłum. Jerzy Pietrkiewicz

fr - W śniegu (przyp. red.)

Instytut i Galerie Courtauld - otwarte dla publiczności galerie sztuki, słynące z kolekcji włoskich pejzaży,

angielskich i holenderskich portretów oraz dzieł impresjonistów i postimpresjonistów (przyp. tłum.).

fr. - o zmierzchu (przyp. red.)

fr. - wąż gaśniczy (przyp. red.)

ang. manners - maniery (przyp. tłum.)

Studio filmowe w zachodnim Londynie działające w latach 1948-50 i specjalizujące się w komediach określanych jako typowo angielskie (przyp. tłum.).

fr. - bądź grzeczny (przyp. tłum.)

ang. cock - penis; ang. mouth - usta (przyp. tłum.)

firma produkująca modele samolotów do klejenia (przyp. tłum.)

fr.- szpada, miecz (przyp. red.)

fr - czułość, tkliwość (przyp. red.)

fr - łajdak (przyp. red.)

fr- - gotębnik (przyp. red.)

Coroczny festiwal operowy organizowany w wiejskiej rezydencji o tej nazwie (przyp. tłum.)

fr. - sygnały do duchów ciszy (przyp. red.)

fr. - czapka z popielic (przyp. red.)

fr. - nieskończoność (przyp. red.)

Cykl 29 powieści historycznych autorstwa Waltera Scotta (przyp. tłum.)

fr. - wprost przeciwnie (przyp. red.)

fr. - wiosna (przyj. red.)

fr. - jedno z tych rzadkich dzieł plastycznych (przyj. red.)

fr. - antypatia (przyj. red.)